

A person wearing a red hoodie and a white mask with eye cutouts. They are holding a red string or cord in front of their face. The background is dark and textured.

JEFFERY DEAVER

MAG

Prömlerfeld 1. Teil

Deaver Jeffrey

Lincoln Rhyme Tom 5

Mag

Tytuł oryginału: THEVANISHEDMAN

Dedykuję TK

W opinii iluzjonistów sztuczka magiczna składa się

z efektu i metody. Efektem jest to, co dostrzega publiczność..

metoda zaś to tajemnica ukryta za efektem,

pozwalająca mu zaistnieć. Peter Lamont i Richard Wiseman, „Teoria magii”

Część I Efekt

Sobota, 17 kwietnia

Doświadczony iluzjonista pragnie oszukać raczej umysł niż oko.

Marvin Kaye, „Podręcznik twórczej magii”

Pozdrawiam was, szacowni widzowie. Witajcie. Witajcie na naszym przedstawieniu.

Mam nadzieję, że się wam spodoba. W ciągu najbliższych dwóch dni czeka was wiele

niespodzianek. Zatrąszą się o to nasi prestidigitatorzy, magicy, iluzjoniści. Mam nadzieję, że ich czary porwą was i zachwyca.

Pierwsza sztuczka pochodzi z repertuaru artysty, o którym wszyscy słyszeli: Harry'ego

Houdiniego, najwybitniejszego specjalisty od uwalniania się z więzów w Ameryce, a kto wie, czy nie na świecie. Houdini występował przed koronowanymi głowami Europy i amerykańskimi prezydentami. Niektóre z jego wyczynów były tak niebezpieczne, że nikt nie

próbował powtórzyć ich po przedwczesnej śmierci tego wybitnego artysty.

Dziś zaprezentujemy numer, podczas którego ryzykował uduszenie. Nazywa się: „Leniwy Kat”,

Nasz artysta leży na brzuchu, z rękami skrzepowanymi na plecach klasycznymi kajdankami

Darbys. Kostki nóg ma związane; biegnie od nich sznur, kończący się zadzierzgniętą na szyi pętlą. Każda, naturalna próba wyprostowania ugiętych w kolanach nóg powoduje zaciskanie się pętli i rozpoczyna straszny proces duszenia.

Dlaczego sztuczka ta nazywa się „Leniwy Kat”? Ponieważ w jej trakcie nieszczęśnik sam się dusi.

Podczas wielu niebezpiecznych numerów Houdiniego na scenie obecni byli asystenci z nożami i kluczami. Czekali, gotowi uwolnić go z więzów, gdyby nie potrafił uczynić tego sam. W jego występach często uczestniczył lekarz.

Dziś jednak nie podejmujemy śmiałych środków ostrości. Sukces musimy osiągnąć w ciągu maksimum czterech minut. Ceną za nieudaną próbę jest śmierć.

Zacniemy dosłownie za chwilę, teraz pora na pewną radę.

Nie zapominaj, drogi widzu, że decydując się uczestniczyć w naszym przedstawieniu, przekraczasz granice rzeczywistości.

To, co według swego najgłębszego przekonania widzisz, zapewne w ogóle nie istnieje. To, co masz za iluzję, może okazać się trudną do zaakceptowania, ale prawdą.

Ktoś dobrze ci znajomy, z którym się do nas wybrałeś, może okazać się kimś zupełnie obcym.

Ktoś zupełnie ci obcy, przypadkiem zauważony na widowni, może wiedzieć o tobie a może za

wiele. To, co wydaje ci się bezpieczne, może okazać się śmiertelnie groźne. A

niebezpieczeństwa, przed którymi usiłujesz się bronić, mogą być tylko zwodniczymi tropami, wiodącymi do jeszcze gorszych niebezpieczeństw.

Podczas tego przedstawienia nikomu nie możesz wierzyć. Nikomu nie możesz zaufać.

No cóż, szacowny widzu, prawda jest taka, że podczas naszego przedstawienia nie powinieneś wierzyć w nic.

I nie powinieneś wierzyć nikomu.

A teraz unosi się kurtyna, przygasają światła, cichnie muzyka, słychać tylko bicie serc czekających na występ.

Zaczyna się przedstawienie.

Dom wyglądał na nawiedzony, a w każdym razie nawiedzany. Często. Był pokryty patyną czasu, mroczny, utrzymany w pseudogotyckim stylu, zwieńczony attyką i miał wiele zamkniętych okien. Pochodził z epoki wiktoriańskiej, niegdyś mieściła się w nim szkoła z internatem, później szpital dla umysłowo chorych, w którym pacjenci o zbrodniczych skłonnościach umierali po nędznym życiu.

Manhattańska Szkoła Muzyczna i Operowa bez trudu mogła ugościć kilkadziesiąt duchów. I

jeden z nich z całą pewnością nie zamierzał opuścić jej murów. Zapewne nadal unosił się nad ciałem młodej dziewczyny, leżącej na brzuchu w niewielkim, ciemnym korytarzyku przed małą salą koncertową. Jej szeroko otwarte oczy były nieruchome, lecz jeszcze nie zeszkłone, krew na policzku nie zdążyła zaschnąć.

Dziewczyna miała wyjątkowo jasną skórę, ale bardzo ciemną twarz... ciemną, a właściwie

siną z powodu zaciśniętej na szyi pętli i sznura, łączącego szyję ze związanymi w kostkach nogami.

10

Wokół ciała leżały: pokrowiec na flet, rozrzucone nuty i duży kubek kawy Starbuck. Rozlana kawa zaplamiła jej dżinsy i zieloną koszulkę z napisem „Izod”, pozostawiła też plamę w kształcie przecinka na marmurowych płytkach podłogi.

Morderca pochylał się nad ciałem i przyglądał mu uważnie. Nie spieszył się, uważał, że nie ma takiej potrzeby. Zawczasu sprawdził, że w weekendy nie ma zajęć, a był przecież sobotni rano. Uczniowie ćwiczyli wprawdzie w specjalnych salach, znajdowały się one jednak w przeciwległym skrzydle budynku. Pochylił się jeszcze niżej, zmrużył oczy. Bardzo chciał

zobaczyć uchodzącą z ciała esencję, duszę, może ducha... ale nic nie dostrzegł.

Wyprostował się, zamyślony. Myślał o tym, co jeszcze może zrobić ze spoczywającą u jego stóp, nieruchomą postacią.

Jest pan pewien, że to był krzyk?

Oczywiście... to znaczy, właściwie nie - odparł ochroniarz. -

Nie krzyk. Jakiś okrzyk, hałas, jakby ktoś się zdenerwował. Trwało to sekundę czy dwie, a potem ucichło.

Czy ktoś jeszcze coś słyszał? - kontynuowała przepytывanie

Dianę Franciscovich, funkcjonariuszka patrolu z dwudziestego posterunku.

Ochroniarz, tęgi i ciężko oddychający, spojrział na wysoką, ciemnowłosą policjantkę, potrząsnął głową, zacisnął i rozluźnił pięści. Wylał ciemne dłonie o niebieskie spodnie mundurowe.

-

Wzywamy wsparcie? - spytała Nancy Ausonio, równie niedo

świadczona jak jej partnerka, niższa od niej, jasnowłosa.

Tego Franciscovich robić nie chciała, ale teŜ do końca nie wiedziała, jak postępować.

Policjanci patrolu pieszego w tej części Upper West Side mieli do czynienia przede wszystkim z wypadkami samochodowymi, kradzieŜami sklepowymi i kradzieŜami samochodów, by nie wspomnieć juŜ o ściskaniu za rączkę i pocieszaniu nieszczęsnych ofiar wypadków samochodowych. Coś takiego zdarzyło im się po raz pierwszy; dwóm młodym policjantkom na porannej sobotniej zmianie. Ochroniarz zauwaŜył je i przywołał gestem. Chciał, Ŝeby sprawdziły, kto krzyczał, a właściwie, kto podniósł głos ze zdenerwowania. Wstrzymajmy się - odparła spokojnie. Sprawdźmy, o co chodzi.

Moim zdaniem ktoś krzyczał gdzieś tam, za rogiem korytarza - powiedział ochroniarz, wyciągając rękę. Ale sam nie wiem.

Trochę tu strasznie - wtrąciła Ausonio. MoŜe i denerwowała się bardziej od koleŜanki, ale sprawdzała się jako partnerka. Potrafiła wskoczyć między bijących się męŜczyzn dwukrotnie większych od niej.

- Chodzi o dźwięki, rozumie pani? - dodał ochroniarz. - Trudna sprawa... ro znaczy trudno powiedzieć, skąd dobiegają.

Ale Dianę Franciscovich nie zwaŜała na jego słowa. Myślała raczej o tym, co powiedziała jej partnerka. Trochę tu strasznie, powtórzyła w myślach.

Ochroniarz poprowadził je korytarzem. Ciągnął się bez końca i był ciemny, nie znalazły nic niezwykłego, później męŜczyzna zwolnił.

Dianę ruchem głowy wskazała mu ostatnie drzwi.

Co tam jest? - spytała.

Nie ma powodu, by studenci dziś tam wchodzili. To tylko...

Policjantka popchnęła drzwi.

Za drzwiami znajdował się korytarz prowadzący do wejścia do Sali Koncertowej. A przy

drzwiach leŜało ciało młodej kobiety, skrępowane, z pętlą na szyi i kajdankami na przegubach dłoni. Nad ciałem stał brodaty, mniej więcej pięćdziesięcioletni męŜczyzna o brązowych włosach. Spojrzał

na nie, zaskoczony.

Nie! - krzyknęła Ausonio.

O, Chryste! - jęknął ochroniarz.

Obie policjantki wyciągnęły broń. Franciscovich wymierzyła w męŜczyznę i ze zdziwieniem stwierdziła, że nawet nie drŜy jej dłoń.

-

Stój! Nie ruszaj się! Wyprostuj się, cofnij, ręce wysoko!

- Jej głos nie był niestety tak pewny jak ręka.

MęŜczyzna posłusznie wykonał jej polecenia.

-

PołoŜ się na podłodze. Twarzą w dół! Cały czas mam widzieć twoje ręce.

Ausonio przesunęła się w stronę dziewczyny... i w tym momencie Franciscovich dostrzegła,

Ŝe wzniesiona nad głowę prawa dłoń męŜczyzny zaciśnięta jest w pięść.

-

Otwórz prawą...

Puff!

Korytarz wypełniło jaskrawe światło. Wydobywało się z zaciśniętej pięści, trwało to dosłownie moment, potem zgasło... ale ją oślepiło. Ausonio zamarła, Dianę cofnęła się, przesunęła w bok, zmrużyła oczy, przesuwała lufą glocka w lewo i w prawo, rozpaczliwie próbując coś zobaczyć. Była przerażona. Wiedziała, że morderca zamknął oczy w odpowiedniej chwili, że teraz zaatakuje, że musi mieć pistolet lub chociaż nóż...
- Gdzie, gdzie, gdzie?! - krzyknęła.

Powoli odzyskiwała wzrok. Nie musiała pytać. Chmura dymu powoli zniknęła. Dianę dostrzegła, jak zabójca wbiega do sali koncertowej i zatrzaskuje za sobą drzwi. Usłyszała łomot; najwyraźniej barykadował je krzesłami albo dosunął stół?

Ausonio przyklęknęła obok ciała dziewczyny. Przecięła pętlę na szyi nożem, obróciła ją na wznak, rozpoczęła udzielanie pierwszej pomocy.

Czy są tu jakieś inne wyjścia? - krzyknęła Dianę do ochroniarza.

Jedno! Z tyłu za rogiem. Po prawej!

Okna?

Nie!

Hej! - krzyknęła do partnerki, biegnąc. - Pilnuj tych drzwi.

-

Jasne! - odkrzyknęła Ausonio i przycisnęła usta do białych warg ofiary.

Z sali koncertowej dobiegał głośny hałas - zabójca wzmacniał barykadę. Pędziła co sił w

nogach, skręciła w prawo ku wejściu, które wskazał jej strażnik, wzywając pomocy przez radionadajnik. Nagle przed nią, w końcu korytarza, pojawiła się jakaś postać. Zatrzymała się, wymierzyła broń, zapaliła potężną halogenową latarkę...

- O Jezu! - jęknął wiekowy woźny, puszcżając szczotkę. Dianę Franciscovitch podziękowała Bogu za to, że palec trzymała na osłonie spustu.

Widział pan kogoś wychodzącego przez te drzwi?

Co się...?

Widział pan kogoś czy nie?

Nie, proszę pani.

Jak długo pan tu jest?

Bo ja wiem? Dziesięć minut?

Znow łomot. Zabójca wzmacniał barykadę. Policjantka odesłała woźnego do głównego korytarza, gdzie był ochroniarz, po czym przysunęła się do bocznych drzwi. Trzymając lufę glocka w górze, delikatnie nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Przywarła do ściany; nie chciała, by sprawca trafił ją, strzelając przez drewno. Widziała tę sztuczkę w serialu „Nowojorscy gliniarze”, choć możliwe, że instruktor z akademii też o tym wspominał.

Kolejny łomot.

- Nancy? Jesteś tam? - szepnęła do mikrofonu Franciscovich.

Nie syje - usłyszała odpowiedź Nancy Ausonio, która nie mogła powstrzymać drżenia głosu. -

Próbowałam... ale ona nie syje.

Nie uciekł tędy. Jest nadal w sali. Słyszysz mnie?

Cisza, a po chwili:

Próbowałam, Dianę. Naprawdę próbowałam.

Zapomnij o niej. Oprzytomniej. Dasz radę?

Jasne. Nic mi nie jest. Naprawdę. Poprosiłam o wsparcie.

Dorwijmy go.

-

Nie! Trzymamy go tam, póki nie pojawi się oddział szturmowy. To do nas naleŜy.

UwaŜaj. Nie podchodź do drzwi. I na litość

boską uwaŜaj.

W tym momencie męŜczyzna z sali koncertowej krzyknął:

-

Mam zakładnika! Mam tu dziewczynę. Jeśli spróbujecie

wejść, zginie!

O, Jezu!

-

Hej, ty! - krzyknęła Franciscovich. - Nikt nie ma zamiaru ni

gdzie wchodzić. Nie bój się! I nie skrzywdź zakładniczki!

Czy tak wygląda procedura? - zastanowiła się. W tej chwili nie mógł jej pomóc ani serial telewizyjny, ani pobrane w akademii nauki. Słyszała, jak Nancy wzywa centralę i informuje ją, posługując się kodem, Œe bandyta zabarykadował się z zakładnikiem.

-

Spokojnie! - krzyknęła. - MoŜe pan...

Przerwał jej donośny huk wystrzału. Podskoczyła jak wyrzucona na brzeg ryba.

-

Co się dzieje? Czy to ty? - spytała przez radio.

Nie - odpowiedziała jej partnerka. - Myślałam, Ŝe ty.

Nic ci nie jest?

Nie, nic. Powiedział, Ŝe ma zakładniczkę. Jak sądzisz, zastrzelił ją?

-

Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? - krzyknęła Dianę. Gdzie jest to cholerne wsparcie!

-

Dianę, słuchaj - szepnęła po chwili Nancy. - Musimy wejść

MoŜe coś jej się stało? MoŜe jest ranna? - Przerwała, by po chwili krzyknąć:

-

Hej, ty tam, w środku! - śadnej odpowiedzi. - Hej, ty!

Nic.

-

MoŜe popełnił samobójstwo? - powiedziała do mikrofoi

Franciscovich.

A moŜe wystrzelił, byśmy pomyślały, Őe popełnił samobójstwo

a tymczasem spokojnie na nas czeka?

I nagle wrócił do niej ten koszmarny obraz: stare, brudne drzwi prowadzące na korytarz przed salą koncertową, słabe światło padające na twarz ofiary, siną i zimną jak zimowy zmierzch.

PrzecieŜ wstąpiła do policji, by powstrzymać jednych ludzi od krzywdzenia innych, a jeśli to się nie uda, to przynajmniej chwycić sprawców.

Musimy wejść, Dianę - szepnęła Nancy Ausonio.

Chyba tak. Dobrze. Wchodzimy. - Mówiła szybko, za szybko,

myślała i o rodzinie, i o tym, Őe kiedy strzela się z pistoletu samo

powtarzalnego, trzeba koniecznie podtrzymać jedną dłoń drugą.

-
Uprzedź ochroniarza, Œe będziemy potrzebowaly Œwiatła!

-
Włacznik jest na zewnątrz - powiedziała po chwili Ausonio.

-
Kiedy krzyknę, przekręci go. - Dianę usłyszała przez radio, jak jej partnerka głąboko wciąga oddech, a potem mówi:

Gotowa. Wchodzimy na trzy. Ty liczysz.

Jasne. Raz... zaraz, zaczekaj. Będe na twojej drugiej godzi nie. Nie postrzel mnie.

Rozumiem, druga godzina. Ja...

Ciebie będę miała po lewej.

No, to zaczynamy.

Raz... - Franciscovich chwyciła klamkę lewą ręką. - Dwa. -

Położyła palec na spuście, a nie osłonie spustu. Palec oparła na drugim spuście - tak w Glocku skonstruowany był bezpiecznik. -

Trzy! - wrzasnęła tak głośno, że Nancy musiała ją usłyszeć nawet bez radia. Wpadła do dużej kwadratowej sali, w której właśnie rozbłysły światła.

- Stój! - krzyknęła... lecz nikogo nie dostrzegła. Przykucnęła. Dostała gęsiej córki, zserały ją nerwy. Omiotła pomieszczenie lufą pistoletu. Powiodła po sali wzrokiem, ale nie dostrzegła ani przeciwnika... ani zakładniczki.

Zerknęła na partnerkę. Nancy Ausonio zachowała się identycznie.

- Gdzie? - szepnęła.

Dianę potrząsnęła głową. Widziała około pięćdziesięciu składanych drewnianych krzeseł, ustawionych w równe rzędy. Kilka z nich leżało tu i tam, ale morderca nie próbował zbudować z nich barykady. Po prawej stronie znajdowała się niska scena z poobijanym fortepianem, kolumnami głośnikowymi, zwojami kabli. Widziały dosłownie wszystko. Ale na sali nie było nikogo. - Co się stało, Nancy? Powiedz mi, co się stało! Nancy Ausonio nie odpowiedziała. Kiedy jej przyjaciółka się rozglądała, obróciła się dookoła, nerwowo wpatrywała w cienie

15

i sprawdzała pod krzesłami, choć widziała już, że nikogo nie zobaczy.

Trochę tu strasznie.

Sala była zamkniętym sześcianem. Bez okien. Przewody ogrzewania i klimatyzacji miały niespełna dwadzieścia centymetrów średnicy. Drewniany dach; nie wyłożono go specjalnymi

płytkami, by poprawić akustykę. Pod scenę nie prowadziło żadne wejście. I było tylko dwoje drzwi: główne, przez które weszła Nancy, i przeciwpożarowe, których użyła Diane.

-
Gdzie? - spytała cichutko Franciscovich.

Nancy wyszeptała coś w odpowiedzi, ale nie dało się tego zrozumieć. Wyraz jej twarzy mówił jasno: Nie mam zielonego pojęcia.

-
Hej, wy! - rozległ się donośny bas, dobiegający z korytarza.

Obie policjantki odwróciły się jak na komendę, z bronią gotową do strzału. - Przyjechała karetka i mnóstwo glin.

Mówił oczywiście ochroniarz, który przezornie krył się za framugą.

Dianę Franciscovich, czując, jak wali jej serce, wezwała go do środka.

Czy jest... hm... to znaczy, czy go macie?

Jego tu nie było - odparła drżącym głosem Nancy Ausonio.

Co? - Ochroniarz bardzo ostrożnie wysunął głowę i rozejrzał się szybko po sali.

Są tu jakieś drzwi w podłodze czy coś takiego?

Nie. Nic takiego. Naprawdę go nie ma?

Dianę Franciscovich usłyszała głosy zbliżających się policjantów oraz sanitariuszy, a także brzęk ich

sprzętu, ale nie mogła się poruszyć, dołączyć do kolegów. Obie policjantki stały jak sparaliżowane pośrodku sali, zastanawiając się, jakim cudem mordercy udało się uciec skądś, skąd nie było drogi ucieczki!

2

Słucha muzyki. - Nie słucham muzyki. Jest włączona, ot co!

Muzyka, tak? - burknął do siebie Lon Sellitto, wchodząc do sypialni Lincolna Rhyme'a. - Co za zbieg okoliczności!

Bardzo polubił jazz - powiedział Thom do tęgiego detektywa. - Muszę przyznać, że mnie tym zaskoczył.

Jak już powiedziałem - w głosie Rhyme'a brzmiał upór - pracuję, a muzyka po prostu gra sobie w tle. O co właściwie chodzi z tym zbiegiem okoliczności?

Młody opiekun, ubrany w białą koszulę i ciemne spodnie, do których dobrał sobie ciemnofioletowy krawat, wskazał płaski ekran monitora komputerowego, ustawiony przed szpitalnym łóżkiem Flexicair.

Nie, nie pracuje. Chyba że nazwiemy pracą wpatrywanie się godzinami w jedną stronę książki. Gdybym ja tak pracował, już

dawno by mnie wyrzucił.

Polecenie, odwróć stronę.

Komputer rozpoznał głos Rhyme'a i wykonał jego' rozkaz, wyświetlając na monitorze kolejną stronę „Przeglądu Kryminalistycznego”.

- Chcesz mnie przepytac ze składu pieciu najpopularniejszych egzotycznych trucizn, znalezionych ostatnio w laboratoriach terrorystow w Europie - spytal Rhyme zgryzliwie Thoma. - Moze sie zalozy o pare dolcow?

-

Nie. Mam sporo do zrobienia. - Thom mial na myśli trudną pracę opiekunów, którzy muszą troszczyć się o rozmaite potrzeby sparaliżowanych pacjentów.

17

-

Wrócimy do tego za chwile. - Kryminalistyk wsłuchał się w szczególnie udany riff trąbki.

-

Nie. Załatwimy to od razu. Przepraszam na chwilę, Lon.

-

Jasne, nie ma sprawy. - Ubrany w wymięty garnitur, tęgawy Sellitto posłusznie wyszedł z sypialni Rhyme'a, znajdującej się na drugim piętrze jego nowojorskiego mieszkania w Central Park West, i zamknął za sobą drzwi.

Podczas gdy Thom wykonywał swe obowiązki, Lincoln Rhyme słuchał muzyki i myślał: Zbieg okoliczności?

Pięć minut później Sellitto został zaproszony do sypialni.

Kawy? - spytał uprzejmie Thom.

Jasne. Przydałaby się. Jest cholernie wcześnie jak na pracę w sobotę.

Thom wyszedł cicho z pokoju.

No i jak ci się podobam, Lincoln? - Policjant wykręcił piru— eta. Poły marynarki zawirowały w powietrzu. Wszystkie jego garnitury miały jedną cechę wspólną: zrobione były z beznadziejnie wygniecionego materiału.

Co to, pokaz mody? - spytał Rhyme, mając w pamięci sformułowanie „zbieg okoliczności”. I powrócił myślą do na grania. Jakim cudem udało się komuś zagrać na trąbce tak...

gładko? Jakim cudem wydobył on taki dźwięk z blaszanego instrumentu?

Zrzuciłem osiem kilo - chwalił się tymczasem policjant. -

Rachel wzięła mnie na dietę. Problemem jest tłuszcz. Rezygnujesz z tłuszczów i zdumiewające, jak szybko tracisz na wadze!

Tłuszcz, oczywiście. Mam nieodparte wrażenie, że wszyscy o tym wiedzą. Więc... - Mogło to oznaczać tylko jedno: przejdź wreszcie do rzeczy.

Dziwna sprawa. Pół godziny temu w szkole muzycznej przy twojej ulicy znaleziono zwłoki. Prowadzę tę sprawę i cholernie przydałaby mi się pomoc.

Szkoła muzyczna. A ja słucham muzyki. Zastrany zbieg okoliczności.

Sellitto przedstawił w skrócie najważniejsze fakty. Zamordowana uczennica. Mordercę prawie udało się ująć na miejscu zbrodni, ale jednak uciekł, choć nie miał którejdy.

Muzyka to matematyka. To Rhyme, naukowiec z krwi i kości, potrafił zrozumieć. Muzyka jest logiczna, ma doskonałą strukturę. I, jak mu się zdawało, sięga nieskończoności. Dźwięki można łączyć ze sobą na niezliczone sposoby. Kompozytor nigdy się nie

znudzi. Ciekawe, jakie to uczucie, gdy się komponuje. Jak to się właściwie robi?

Lincoln Rhyme był pewien, że brak mu zdolności twórczych. Kiedy miał jedenaście, może dwanaście lat, uczył się grać na fortepianie. Zakochał się w pannie Blakely na zabój, ale lekcje te to była strata czasu. Jedyne, co z nich pamiętał, to stroboskopowe zdjęcia wibrujących strun, które zrobił na jakiś konkurs naukowy.

Słyszałeś, co mówiłem, Linc?

Opowiadałeś o sprawie. Dziwnej sprawie.

Sellitto przeszedł do szczegółów i jakoś udało mu się przyciągnąć uwagę słuchacza.

Musi być jakieś wyjście z tej sali - powiedział policjant. -

Ale nie może go znaleźć nikt ani ze szkoły, ani z naszego zespołu.

Jak tam miejsce zbrodni?

Praktycznie nadal dziewicze. Może Amelia by się rozejrzała?

Rhyme zerknął na zegar.

Będzie zajęta jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut.

śaden problem. - Sellitto poklepał się po okazałym brzusz

ku, jakby sprawdzał, czy rzeczywiście schudł. - Wywołam ją.

Mam numer jej pagera.

Nie przeszkadzajmy Amelii.

A dlaczego? Co takiego robi?

Och, coś niebezpiecznego. - Rhyme znów skoncentrował się

na jedwabistym tonie trąbki.

Przyciskała twarz do mokrych cegieł ściany starej czynszówki i czuła ich zapach. Dłonie jej się pociły, skóra pod ognistorudymi włosami przykrytymi czapką policyjną strasznie swędziała. Nie poruszyła się nawet wówczas, gdy prześlizgnął się do niej umundurowany

funkcjonariusz i - jak ona - przylgnął policzkiem do ściany.

-

W porządku, sytuacja wygląda następująco - powiedział, ruchem głowy wskazując na prawo. Wyjaśnił, że tuż za rogiem kamienicy jest pusta działka, pośrodku której stoi samochód, rozbiły kilka minut temu wskutek kraksy po długim policyjnym pościgu.

Da się nim jechać? - spytała Amelia Sachs.

Nie. Uderzył w duży pojemnik na śmieci i dokonał żywota.

Przestępców było trzech. Uciekali, ale jednego dopadliśmy. Drużgi siedzi w samochodzie, uzbrojony w jakąś cholernie wielką strzelbę myśliwską. Zranił policjanta z patrolu.

19Co z nim?

Draśnięcie.

Macie drania w zasięgu strzału?

Nie. Jest w tamtym budynku. - Wskazał na zachód.

Trzeci sprawca? - spytała Amelia.

Męczyzna westchnął.

-

Niech to diabli. Udało mu się uciec na pierwsze piętro tego
budynku. - Kiwnął głową w stronę kamienicy, do której ściany
oboje się tulili. - Zabarykadował się, ma zakładniczkę. Kobiętę
w ciąży.

Amelia Sachs słuchała. Przeszła z nogi na nogę w nadziei, że choćby w ten sposób uda jej się
zmniejszyć dokuczający artretyczny ból. A bolało jak diabli. Z plakietki na piersi mężczyzny
odczytała jego nazwisko.

-

Wilkins, jak uzbrojony jest ten od zakładniczki? - spytała.

-

W broń krótką nieznanego typu.

-

A gdzie nasi?

Wilkins wskazał dwóch policjantów, ukrytych za ścianą po przeciwległej stronie placu.

-

Jest jeszcze dwóch z przodu. Pilnują tego, który wziął za kładniczkę.

-

Czy ktoś wezwał jednostkę ratownictwa?

-

Nie mam pojęcia. Straciłem krótkofalówkę, kiedy zaczęła się strzelanina.

-

Masz kamizelkę kuloodporną?

-

Skądś. Kiedy się zaczęło, regulowałem ruch na skrzyżowa-

niu. To co robimy?

Amelia Sachs włączyła krótkofalówkę na określonej częstotliwości.

Miejsce przestępstwa pięć-osiem-osiem-pięć do dyżurnego.

Tu kapitan siedem-cztery - usłyszała po krótkiej chwili.

-Mów.

Dziesięć-trzydzieści na placu na wschód od sześć-zero-pięć

Delancey. Ranny policjant. Potrzebne wsparcie, karetki i jed-

nostki ratownictwa, natychmiast. Dwóch podejrzanych, obaj

uzbrojeni, jeden z zakładnikiem. Przyślijcie negocjatora.

Zrozumiałem pięć-osiem-osiem-pięć. Helikopter do obser-

wacji?

Nie przysyłać! Jeden z podejrzanych uzbrojony w daleko

siężony karabin. Chętnie strzela do policjantów.

Wyślemy wsparcie jak najszybciej. Ale... Secret Service

20

zamknęła pół śródmieścia. Wiceprezydent jedzie z lotniska Ken-nedy'ego. Będzie opóźnienie.

Załatwiał sprawę według własnego uznania. Bez odbioru.

- Zrozumiałam, bez odbioru.

Wiceprezydent, pomyślała Amelia Sachs. Właśnie stracił mój głos.

Wilkins potrząsnął głową.

Nie możemy podprowadzić negocjatora do mieszkania.

Przynajmniej póki ten facet siedzi w samochodzie.

Spokojnie. Pracuję nad tym.

Powoli podeszła do narożnika kamienicy, wychyliła głowę, zerknęła na samochód. Tani model sportowy, podrasowany, z maską wbitą w pojemnik na śmieci i otwartymi drzwiczkami. Widziała siedzącego w środku uzbrojonego mężczyznę. Pracuję nad tym...

- Hej, ty, w samochodzie! - krzyknęła. - Jesteś otoczony! Rzuć broń, bo otworzymy ogień! Pospiesz się!

Mężczyzna obrócił się i wymierzył broń w jej stronę. Natychmiast się wycofała. Wezwała przez radio dwóch policjantów, kryjących się po przeciwnej stronie placu.

-

Czy w samochodzie są zakładnicy? - spytała.

-

Nie ma.

Jesteście pewni?

Tak - odpowiedział jeden z nich.

Rozumiem. Macie go na muszce?

Musielibyśmy strzelać przez drzwi.

Nie. Nie próbujcie śladnych sztuczek. Znajdźcie sobie lepsze pozycje, tylko nie wejdźcie mu pod lufę.

Zrozumiałem.

Widziała, jak rozsunęli się na boki, okrążyli samochód. Już po chwili jeden z nich zameldował:

Jestem na czystej pozycji. Mam strzelać?

Czekaj - powiedziała Amelia i krzyknęła: - Ty, w samochodzie! Z karabinem! Za dziesięć sekund otwieramy ogień. Rzuć broń, rozumiesz? - Następnie powtórzyła to samo po hiszpańsku.

-

Pieprz się!

A więc zrozumiał.

-

Dziesięć sekund. Liczymy. - A dwóm policjantom przekazała przez radio: - Dajcie mu dwadzieścia. Potem zacznijcie strzelać.

Nim upłynęło dziesięć sekund, mężczyzna odrzucił karabin i wyszedł z samochodu.

Nie strzelać! Nie strzelać! - krzyczał.

Ręce do góry. Podejdź do rogu budynku. Jeśli opuścisz ręce, zginiesz.

Gdy męŜczyzna podszedł do nich, Wilkins skuł go i obszukał. Amelia przykucnęła obok podejrzanego.

Kim jest ten gość w środku? - spytała.

Nie mam zamiaru kapować...

AleŜ masz zamiar, masz. A to dlatego, Őe kiedy go wyciągnie my, a uwierz mi, Őe to tylko kwestia czasu, idziesz siedzieć za za bójstwo. Powiedz mi, czy twój kumpel wart jest czterdziestu pięciu lat w Ossining?

Przesłuchiwany tylko westchnął.

-

Daj spokój! - warknęła Amelia. - Nazwisko, adres, rodzina, ulubione danie, panięskie nazwisko matki, krewni... załoŜę się, Őe umiesz nam pomóc.

MęŜczyzna puścił farbę. Amelia zapisywała wszystko, słowo w słowo. Nagle zatrzeszczała krótkofalówka. Na miejscu pojawił się negocjator i jednostka ratownictwa. Wręczyła swe notatki Wilkinsowi.

-

Przekazała je negocjatorowi - poleciała.

Odczytała zatrzymanemu jego prawa. Nie miała pojęcia, czy dobrze poradziła sobie w tej sytuacji. Czy niepotrzebnie naraziła czyjeś życie? Czy powinna osobiście sprawdzić stan rannego policjanta?

Pięć minut później zza rogu wyszedł kapitan. Uśmiechał się szeroko.

-

Ten drugi zwolnił zakładniczkę. Nic jej się nie stało. Mamy wszystkich trzech. Nasz człowiek został tylko draśnięty.

Podeszła do nich policjantka; spod czapki wysunęły jej się jasne włosy.

-

Patrzcie, co mamy. Sporą premię - rzekła wesoło. - W jednej ręce trzymała wielką plastikową torbę pełną białego proszku, w drugiej fajki do cracku i inny sprzęt.

Kapitan przyglądał się tej zdobyczy z wyraźnym zadowoleniem. Tymczasem Amelia spytała: Gdzie to znaleźliście? W samochodzie?

Tak, ale nie sprawców. Przesłuchiwałam potencjalnego świadka. Pocił się i był jakiś taki nerwowy. Więc przeszukałam

jego wóz. A oto rezultaty.

Gdzie stal ten wóz?

W garaŜu.

22

-

Poprosiła pani o nakaz?

-

Nie. Tak jak mówiłam, zachowywał się nerwowo, a ja do strzegłam róg tej torby. To jest uzasadniony powód.

-

Nie. - Amelia Sachs potrząsnęła głową. - Przeszukanie było nielegalne.

Nielegalne? W zeszłym tygodniu zatrzymaliśmy faceta za przekroczenie prędkości, znaleźliśmy w bagażniku kilogram trawki, no i załatwiliśmy go bez pudła.

Na ulicy wygląda to inaczej. Prawo do prywatności w pojeździe poruszającym się po drodze publicznej jest znacznie ograniczone.

Do aresztowania potrzebne jest wyłącznie uzasadnione podejrzenie. Ale jeśli ten sam samochód znajduje się na terenie prywatnym, to nawet gdy widzicie narkotyki, potrzebujecie nakazu.

Przecież to szaleństwo - próbowała się bronić dziewczyna. -

Miał trzysta gram czystej koki. Facet jest handlarzem, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ci z Narkotyków pracują miesiącami, by dopaść kogoś takiego jak on.

Jest pani tego pewna, funkcjonariuszko? - spytał kapitan.

Całkowicie.

Co radzisz, Sachs?

Skonfiskować kokainę, porządnie nastraszyć właściciela, przekazać wszystkie jego dane ludziom z Narkotyków. - Zerknęła na policjantkę. - A pani przydałby się ponowny kurs przeszkolenia i zatrzymywania.

Policjantka próbowała się spierać, ale Amelia nie zwracała już na nią uwagi. Przyglądała się pustemu placowi, na którym stał wbity w pojemnik na śmieci samochód. Zmrużyła oczy.

Funkcjonariuszko... - Kapitan zaczął coś mówić.

Jego też zignorowała i spytała Wilkina:

Powiedział pan: „Trzech sprawców”?

-Tak.

Skąd pan wie, że było ich trzech?

Tyłu obrabowało jubilera.

Wyszła na plac, wyciągając broń.

Proszę przyjrzeć się samochodowi, którym uciekali - warknęła.

Jezu! - zdumiał się Wilkins.

Otwarte były wszystkie drzwi. Tym samochodem uciekało nie trzech, lecz czterech sprawców!

Amelia Sachs przykucnęła i wymierzyła w jedyne miejsce, w którym można się było ukryć: krótką, kończącą się ślepo alejkę z pojemnikiem na śmiecie.

23

Uwaga! - krzyknęła, nim jeszcze dostrzegła ruch.

Policjanci wokół niej przyklękli na widok wielkiego mężczyzny w podkoszulku, uzbrojonego w strzelbę, który wybiegł z alejki i próbował uciec na ulicę. Amelia szybko wzięła go na muszkę.

Rzuć broń!

Mężczyzna wahał się przez chwilę, a potem z uśmiechem uczynił taki ruch, jakby pragnął w nią wycelować. Sachs też się uśmiechnęła.

Pif, paf! Dostałeś - powiedziała wesoło.

„Przestępca” roześmiał się i z podziwem potrząsnął głową.

-

Dobra jesteś - przyznał. - Już myślałem, że cię mam. Zarzucał strzelbę na ramię i spokojnie podszedł do grupy przyjaciół - policjantów, stojących obok starej czynszówki. „Podejrzany”, ten z samochodu, odwrócił się; Wilkins szybko zdjął mu kajdanki.

„Zakładniczka”, grana przez policjantkę Latynoskę, która z całą pewnością nie była w ciąży, przyjaciółka Amelii Sachs od wielu lat, klepnęła ją serdecznie po ramieniu.

-

Zrobiłaś świetną robotę, ratując mi tyłek - powiedziała z podziwem.

Amelia była z siebie dość zadowolona. Mimo to zachowała powagę, jak studentka, która właśnie z wyróżnieniem zdała trudny egzamin.

Ponieważ, szczerze mówiąc, tak właśnie było.

Amelia Sachs postawiła sobie nowy cel. Jej ojciec, Herman, przez całe życie był gliniarzem, który pieszo patrolował ulice. Amelia miała teraz jego stopień. Była z tego zadowolona i do niedawna uważała, że może spokojnie poczekać na awans jeszcze parę lat. Ale wszystko zmieniło się po

jedenastym września. Uznała, że powinna robić więcej dla swojego miasta.

Złożyła więc podanie o awans do stopnia detektywa sierżanta.

Śadna jednostka do walki z przestępczością nie przyczyniła się do utrzymania porządku w mieście w takim stopniu, jak detektywi Departamentu Policji Nowego Jorku. Ich tradycja wywodzi się od równie twardego jak inteligentnego Thomasa Byrnese, którego mianowano szefem podupadającego Biura Detektywów w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Byrnes posługiwał się groźbami, biciem, ale i subtelną dedukcją; udało mu się kiedyś rozbić złodziejski gang dzięki prześledzeniu losów włókna, z której drobne włókno znaleziono na miejscu przestępstwa. Pod jego natchnionym przewodnictwem detektywi biura, uzyskawszy

przydomek Nieśmiertelnych, radykalnie zmniejszyli

24

przestępczość w mieście, które rządziło się prawem pięści rodem wprost z Dzikiego Zachodu.

Herman Sachs zbierał policyjne pamiątki. Tuż przed śmiercią podarował córce jeden z najcenniejszych eksponatów w tej kolekcji: mocno zniszczony notes, w którym sam Byrnes prowadził zapiski o wszczętych przez biuro dochodzeniach. Kiedy Amelia była młoda (a w pobliżu nie było matki), czytał jej fragmenty zapisków, a potem oboje wymyślali na ich podstawie najbardziej fantastyczne historie.

„12 października 1883. Znaleziono drugą nogę! Pojemnik na węgiel Slaggardy'ego. Pięć punktów. Oczekuję, że Cotton Williams natychmiast przyzna się do winy”.

Biorąc pod uwagę prestiż biura (i bardzo przyzwoite zarobki), może się wydawać dziwne, że kobiety miały tam większe szansę na awans niż w jakimkolwiek innym oddziale nowojorskiej policji. Jeśli Thomasa Byrnese przyjęli za wzór mężczyźni, kobiety, w tym także Amelia, podziwiała Mary Shanley. Służąca w latach trzydziestych Shanley była policjantką twardą i bezkompromisową. Powiedziała kiedyś: „Wolno ci nosić broń, więc równie dobrze możesz jej używać”, co też czyniła często i skutecznie. Po latach walki z przestępczością w

śródmieściu przeszła na emeryturę jako detektyw pierwszego stopnia.

Amelia Sachs pragnęła jednak czegoś więcej niż stopień detektywa, oznaczającego przecież wyłącznie specjalność zawodową. Chciała osiągnąć odpowiednio wysoki stopień słuŝbowy.

W policji nowojorskiej, jak w większości policji na świecie, detektywem zostaje się dzięki wiedzy i doświadczeniu. Ale ŝeby awansować do stopnia sierŝanta, przechodzi się morderczy potrójny egzamin: pisemny, ustny i, tak jak ona teraz, terenowy; symulację autentycznego

zdarzenia, podczas której sprawdzano umiejętności praktyczne oraz działanie w sytuacjach stwarzających zagrożenie dla ŝycia.

Kapitan, bardzo spokojny, cichy i doświadczony, przypominający Lawrence'a Fishburna, był głównym egzaminatorem i cały czas robił notatki.

- W porządku, funkcjonariuszko - zwrócił się do niej z uśmiechem - przygotujemy ocenę i

włączymy ją do pani akt. Pozwolę sobie jednak powiedzieć coś nieoficjalnie. - Zajrzał do

notesu. - Ocena zagrożenia cywilów i policjantów doskonała. Prośby o wsparcie zgłaszane

właściwie i w odpowiednich momentach. Rozmieszczenie sił praktycznie uniemoŝliwiało

sprawcom ucieczkę z miejsca, w którym zostali zatrzymani, jednocześnie minimalizując

zagrożenie z ich strony. Ocena nielegalnego przeszukania właściwa, Bardzo podobało mi się, jak zdobyta pani od zatrzymanego informacje przydatne negocjatorowi. Nie pomyśleliśmy, by uczynić to częścią ćwiczenia, ale naprawimy ten błąd. I wreszcie: nie podejrzewaliśmy nawet, ŝe dzięki obserwacji samochodu ustali pani istnienie czwartego sprawcy. Zaplanowaliśmy, ŝe postrzeli on funkcjonariusza Wilkinsa, dzięki czemu moglibyśmy sprawdzić, jak poradzi sobie pani w sytuacji „ranny policjant” i jak zorganizuje zatrzymanie uciekającego bandyty. -

W tym momencie kapitan porzucił oficjalny ton i uśmiechnął się szeroko. - Najważniejsze, ŝe dorwała pani sukinyńców! Proszę, proszę...

Egzamin ustny i pisemny ma już pani za sobą, prawda?

Tak jest. Rezultaty będą znane na dniach.

Moja grupa dokona oceny i wyśle ją do komisji z rekomen-

dacją. Spocznij.

Tak jest!

Podszedł do niej policjant grający ostatniego złego faceta, tego ze strzelbą. Był to przystojny Wioch o mięśniach boksera, sprawiający wraŜenie, jakby urodził się i wychował w dokach Brooklynu. Policzki i brodę pokrywał mu ciemny, krótki zarost. Na smukłym udzie miał

kaburę z wielkim, chromowanym pistoletem, a jego łobuzerski uśmiech omal nie skłonił

Amelii do zasugerowania, by przejrzał się w kolbie i wreszcie przyzwicie ogolił. - Muszę ci coś powiedzieć... brałem udział w kilkunastu egzaminach praktycznych, ale ten był najlepszy, mała.

Roześmiała się, zaskoczona tym, jak ją nazwał. W policji, począwszy od patroli po naroŜne gabinety na Police PlaŜa, nie brakowało oczywiście jaskiniowców, lecz na ogół patrzyli oni na kobiety z góry, jak ognia unikając seksualnych przytyków. Słów „mała” czy „słodziutka”

nie słyszała z ust gliniarza co najmniej od roku.

Pozostańmy przy „funkcjonariuszko”, jeśli nie ma pan nic

przeciwno temu.

AleŜ skąd. - Przystojniak roześmiał się. - Uspokój się, egzamin skończony.

O co panu chodzi?

Kiedy powiedziałem „mała”, to nie była ani część egzaminu, ani oceny. Nie musisz tego traktować... no, oficjalnie albo coś.

Powiedziałem tak, bo zrobiłaś na mnie wraŜenie. I jesteś... no

wiesz. - Uśmiechnął się szeroko. Bił od niego blask co najmniej taki, jak od jego pistoletu. -

Nie szastam komplementami, wiesz?

Jeśli juŜ zdarzy mi się coś takiego powiedzieć, to jest to duŜa rzecz!

Jesteś... no wiesz.

Hej, nie wściekłaś się na mnie, prawda?

SkądŜe znowu. Ale pan będzie mówił do mnie „funkcjona- riuszko”, a ja do pana „funkcjonariuszu”.

Przynajmniej tak będę ci mówiła w oczy.

-

Przecież nie chciałem nikogo urazić! Ładna z ciebie dziewczyna. A ja jestem facetem, więc... przecież wiesz, jak to jest.

Więc.

-

Więc? - spytała, odwracając się.

Przystojniak zastąpił jej drogę. Zmarszczył brwi.

Poczekaj! Nie najlepiej to wyszło. Słuchaj, postawię ci piwo.

Jak mnie lepiej poznasz, to na pewno polubisz.

Ja bym na to nie stawiał - zaśartował jeden z jego przyjaciół. Włoch odwrócił się i zrobił obraźliwy gest, ale przyjacielsko, bez złośliwości.

Dokładnie w tym momencie odezwał się pager Amelii. Zerknęła na wyświetlacz, na którym pojawił się najpierw numer telefonu Rhyme'a, a potem słowo PILNE.

Czas na mnie.

Nie wypijemy piwka? - Przystojniak skrzywił twarz w teatralnym grymasie.

Nie mam czasu.

To daj mi chociaż swój telefon.

Amelia złożyła z palców pistolet i wymierzyła w niego.

-

Pif, paf-powiedziała i pobiegła do swego Sóltego camaro.

3

To jest szkoła? Amelia szła mrocznym korytarzem, ciągnąc za sobą wielką czarną walizę na kółkach, w której mieścił się sprzęt do badania miejsca zbrodni. Czowała wyraźnie zapach pleśni i starego, wilgotnego drewna. Pajęczyny przy wysokim suficie skleiły się w jedną zbitą masę.

Jak ktoś mógł się tu uczyć muzyki? Dom był jak z powieści Annę Rice, które tak lubiła czytać jej matka.

- Trochę tu strasznie - powiedział jeden z towarzyszących jej policjantów i wcale nie Sartaował, a przynajmniej nie do końca.

W podwójnych drzwiach przy końcu korytarza czekało na nich sześciu gliniarzy, czterech patrolowych i dwaj w cywilnych ubraniach. Sellitto, jak zwykle zaniedbany i w wygniecionym garniturze, stał z opuszczoną głową, w wielkiej łapie ściskając notatnik.

Rozmawiał z ochroniarzem, ubranym w mundur równie brudny i zaplamiony jak ściany i podłoga. Przez otwarte drzwi dostrzegła mroczne wnętrze, w środku leżało nieruchomo coś niezwykle - przynajmniej w tym miejscu - kolorowego. Ciało ofiary.

- Potrzebujemy lamp - zwróciła się do technika kryminalistycznego. Ten skinął głową i poszedł do samochodu, ruchomego laboratorium badania miejsca zbrodni, zaparkowanego dwoma kołami na chodniku przed wejściem do szkoły. Było to duże kombi, załadowane sprzętem do zbierania, zabezpieczania i przechowywania dowodów, znalezionych na miejscu przestępstwa. Ekipa kryminalistyczna dojechała tu szybko, ale nie tak szybko jak Amelia, która w swym camaro z 1969 roku osiągnęła średnią prędkość stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

W tej chwili Amelia Sachs przyglądała się zwłokom jasnowłosej dziewczyny, stojąc jakieś trzy metry od nich. Ciało leżało na wznak, z uniesionym brzuchem; skrępowane ręce ukryte były pod nim. Nawet z tej odległości, mimo słabego oświetlenia, Sachs widziała głębokie rany od sznura na szyi oraz krew na wargach i brodzie, prawdopodobnie od przegryzionego języka, co można uznać za normalne przy śmierci przez uduszenie.

Pierwsze spostrzeżenia: brak obrączki, w uszach kolczyki w kolorze szmaragdu, zniszczone sportowe buty. A także: brak śladów rabunku, napastowania seksualnego, znęcania się.

Kto z naszych był tu pierwszy?

My - odpowiedziała wysoka dziewczyna o ciemnych włosach, ruchem głowy wskazując młodszą, jasnowłosą partnerkę. Sądząc z plaketek z nazwiskiem na mundurach, brunetka nazywała się „D. Franciscovich”, blondynka „N. Ausonio”. Po oczach obu łatwo było poznać, że są zaniepokojone. Franciscovich nerwowo stuknęła palcami po kaburze służbowego pistoletu, Ausonio co chwila zerkała na ciało. Prawdopodobnie było to ich pierwsze morderstwo.

Obie złożyły jasne, spójne zeznania. Opowiedziały o sprawcy, o oślepiającym błysku światła, o ucieczce mężczyzny, o barykadzie. I o niepojętym zniknięciu sprawcy.

Słyszałyście, jak powiedział, że ma zakładnika?

Słyszałyśmy - potwierdziła Ausonio. - Ale doliczyłyśmy się wszystkich, przebywających wówczas na terenie szkoły. Jesteśmy pewne, że blefował.

Ofiara?

-

Świetlana Rasnikow. Lat dwadzieścia cztery. Studentka.

Sellitto przerwał przesłuchiwanie ochroniarza.

Bedding i Saul rozmawiają ze wszystkimi, którzy byli tu dziś rano - powiedział.

Kto wchodził do środka? - spytała Amelia.

Te dwie funkcjonariuszki. - Sellitto gestem głowy wskazał młode policjantki. - Potem dwóch sanitariuszy i dwóch lekarzy pogotowia. Wycofali się, gdy tylko zrobili swoje... a niewiele mieli do roboty.

Tak że ochroniarz - przypomniała mu Ausonio. - Ale tylko na chwilę. Wyprowadziłyśmy go prawie natychmiast.

Świetnie. Świadców?

Na korytarzu był woźny - przypomniała sobie Nancy Ausonio.

Ale nic nie widział - wtrąciła jej partnerka.

Muszę obejrzeć podeszwy jego butów - wyjaśniła Amelia.

- Zebrać materiał porównawczy. Czy któraś z was mogłaby go znaleźć?

Jasne - odparta Nancy i natychmiast udała się na poszukiwania.

Z jednej ze swych czarnych walizek Amelia Sachs wyjęła zapinaną na zamek błyskawiczny, przezroczystą plastikową torbę. Wyjęła z niej biały kombinezon, włożyła go, rude włosy przykryła kapturem, po czym naciągnęła rękawice. Był to standardowy strój wszystkich kryminalistów z nowojorskiej policji. Zapobiegał zanieczyszczeniu badanego terenu mikrośladowcami, fragmentami włosów, komórkami łuszczącej się skóry. W komplecie były buty; Amelia zawsze pamiętała jednak, by nałożyć na nie gumowe opaski, dzięki którym jej ślady różniły się zarówno od śladów sprawcy, jak i ofiary.

Podłączyła krótkofalówkę motoroli, nałożyła słuchawki, poprawiła mały mikrofon na cienkim drucie. Wywołała połączenie do naziemnej linii telefonicznej i już wkrótce, bo ten skomplikowany system komunikacyjny instalował się naprawdę szybko, usłyszała w słuchawkach cichy głos Lincolna Rhyme'a.

Sachs, jesteś tam?

Owszem. Wygląda to dokładnie tak, jak mówiłeś: policjantki zagoniły go w pułapkę bez wyjścia, a on znikł, jakby się rozpułynał w powietrzu.

A teraz chcę, żebyśmy go dla nich znaleźli? - Rhyme zachichotał. - Już taki nasz los, że naprawiamy popełniane przez innych błędy. Poczekaj chwilę. Polecenie, ścis� muzykę.

Jeszcze...

tak.

Technik, który szedł z Amelią mrocznym korytarzem, powrócił z lampami na trójnogach.

Ustawiała je w korytarzu, a następnie ostroŜnie przekroczyła próg i znalazła się na miejscu przestępstwa.

Dyskusje, jak prawidłowo badać miejsce zbrodni, toczą się praktycznie bez przerwy.

Oficerowie śledczy w zasadzie zgadzają się, Ŝe im mniej ludzi, tym lepiej, ale nadal zespoły przeszukujące są na ogół kilkuosobowe. Lincoln Rhyme przed wypadkiem pracował niemal wyłącznie sam i nalegał, by Amelia takŜe prowadziła przeszukiwanie sama. Praca w zespole nie sprzyja skupieniu, poza tym policjant jest mniej uwaŜny; choćby podświadomie zakłada, Ŝe jeśli on czegoś nie znajdzie, wyręczą go koledzy.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego jeden przeszukujący lepiej się sprawdza niŜ kilka osób.

Rhyme doskonale zdawał sobie sprawę z tego, Ŝe na miejscu zbrodni tworzy się makabryczna więź. Policjant przeszukujący je samotnie szybciej nawiąŜe psychiczny związek z ofiarą i sprawcą, dzięki czemu łatwiej mu będzie określić, które dowody są waŜne i gdzie ich szukać.

Amelia bez wysiłku osiągnęła ten trudny stan umysłu. Przyjrzała się uwaŜnie bezwładnemu ciału, leŜącemu na podłodze obok taniego drewnianego stolika. W pobliŜu ciała dostrzegła

kubek, z którego wylała się kawa, rozsypane nuty i srebrny element fletu, który dziewczyna składała zapewne, gdy morderca zarzucił jej pętlę na szyję. W zaciśniętej dłoni trzymała fragment instrumentu. CzyŜby zamierzała uŜyc go jako broni? A moŜe w ostatnich chwilach

Ŝycia czepiała się po prostu tego, co znajome?

Stoję przy ciele, Rhyme - powiedziała do mikrofonu, robiąc

zdjęcia aparatem cyfrowym.

Mów.

-

LeŜy na wznak, ale odpowiadające na wezwanie policjantki

znalazły ją leŜącą na brzuchu. Próbowwały dziewczynę reanimo

wać. ObraŜenia odpowiadają załoŜonej koncepcji śmierci przez

uduszenie. - Amelia Sachs ostroŚnie obróciła ciało z powrotem

na brzuch. - Ręce skrępowane czymś wyglądającym na staro

świeckie kajdanki. Nie rozpoznaje ich. Zegarek stłuczony. Zatrzymał się dokładnie na ósmej rano. Nie wygląda to na przypadek, -

Objęła wąski nadgarstek dziewczyny ręką w rękawiczce. Tak, zegarek został zgnieciony. -

Rhyme, sprawca na niego nadepnął. To

był dobry zegarek, Seiko. Dlaczego go zniszczył, zamiast po pro

stu ukraść?

-

Dobre pytanie. MoŚe mamy tu coś... a moŚe nie?

Doskonały opis kryminalistycznego rozumowania, pomyślała Amelia.

-

Jedna z policjantek przecięła pętlę na szyi. Pozostawiła

węzeł.

Policjanci nie powinni przecinać węzłów przy zdejmowaniu więzów z szyi ofiar uduszenia; mogą one przekazać mnóstwo informacji o tych, którzy je wiązali.

Amelia Sachs uŚyła rolki pokrytej warstwą samoprzylepną, by zebrać mikroślady; zdaniem ekspertów odkurzacze, przypominające te domowe, zasysały za wiele zwykłych śmieci.

Większość zespołów badających miejsca przestępstw preferowała urządzenia podobne do tych, jakimi oczyszcza się sierść psów.

Zdobyte dowody zapakowała do torebek, po czym używając zestawu do badania zwłok, zebrała próbki włosów ofiary oraz brudu z paznokci.

- Idę po siatce - powiedziała do mikrofonu. To określenie, stworzone przez samego Lincolna Rhyme'a, określało jego ulubiony sposób badania miejsca zbrodni. Siatka to metoda najdoskonalsza: tam i z powrotem w jednym kierunku, tam i z powrotem pod kątem

dziewięćdziesięciu stopni. Po tym samym terenie, pamiętając, by badać nie tylko ziemię lub podłogę, lecz także, gdy to konieczne, ściany i sufit.

Amelia Sachs rozpoczęła badanie. Szukała porzuconych lub upuszczonych przedmiotów, zbierała mikroślady naklejone na wałek, robiła elektrostatyczne zdjęcia śladów butów i

fotografie cyfrowe. Zawodowi fotografowie policji mieli wkrótce uwiecznić miejsce zbrodni

centymetr po centymetrze, ale wywołanie i udostępnienie ich zdjęć trochę trwało, a Lincoln Rhyme nalegał, by choć część materiału mieć do dyspozycji natychmiast.

-

Hej! - zawołał Sellitto.

Obróciła się w kierunku, z którego dobiegał głos.

Tak się właśnie zastanawiałem... Nie wiemy przecież, gdzie znikł ten dupek. Ściągnąć ci wsparcie?

Nie - odparła, ale w myśli podziękowała mu, że przypomniał jej o tym jak ważnym fakcie: mordercę, zbiegłego z miejsca zbrodni, po raz ostatni widziano właśnie tutaj, w pomieszczeniu, które miała przeszukać. Wspomniała kolejny aforyzm Rhyme'a:

„Szukaj w skupieniu, lecz uważaj na tyłek”. Dotknęła kolby glocka, przypominając sobie, gdzie dokładnie jest, na wypadek gdy by musiała szybko po niego sięgnąć (pod kombinezonem kabura przesuwiała się nieco do góry), i wróciła do poszukiwań.

Uwaga, mam coś - powiedziała Rhyme'owi chwilę później. -

Znaleziono w korytarzu, jakieś dziesięć metrów od ciała. Fragment czarnej tkaniny. Jedwabnej. W każdym razie przypomina jedwab. Leży na części fletu ofiary, musiała więc należeć albo do niej, albo do sprawcy.

W korytarzu nie znalazła nic więcej, weszła więc do sali koncertowej, nadal trzymając dłoń na rękojeści glocka. Odprężyła się na chwilę; przekonała się, że nie ma tu miejsca, w którym mógłby skryć się sprawca, nie ma ukrytych drzwi ani zamaskowanych wejść. Gdy jednak zaczęła chodzić po siatce, poczuła się niewyraźnie.

Trochę tu strasznie.

- Rhyme, dziwna sprawa...

- Nie słyszę cię, Sachs...

Oczywiście. Czuję się tak niepewnie, że mówiła szeptem.

-

Widzę spalone nici, związane wokół przewróconych krzesel. Także coś, co wygląda na zapalniki. Czuję zapach po spalonych azotanach i siarce. Policjantki, które pierwsze się tu pojawiły, twierdzą, że sprawca strzelał, ale nie jest to zapach prochu bezdymnego. Czuję coś innego. Aha. Mam małą spaloną petardę.

Może to był ten strzał, który słyszały dziewczyny? Chwileczkę...

jest coś jeszcze, pod krzesłem. Niewielki zielony układ scalony,

z dołączonym do niego głośnikiem.

Niewielki? - spytał kwaśno Rhyme. - Metr jest niewielki

w porównaniu z kilometrem, a kilometr niewielki w porównaniu

ze stu kilometrami.

Przepraszam. Ma jakieś pięć na dwanaście centymetrów.

Całkiem spory w porównaniu z dziesięciocentówką, nie uwa

Ŝasz.

Zrozumiałam, co chcesz mi powiedzieć, i bardzo ci za to dziękuję, pomyślała Amelia. Zebrała w sali koncertowej, co mogła, i wyszła przez drugie drzwi, przeciwpoŜarowe. Zbadła elektro-statycznie i sfotografowała odciski butów, które tam znalazła. Na zakończenie wzięła próbki kontrolne do porównania ze śladami pozostawionymi na ciele ofiary i w miejscach, po których mógł poruszać się sprawca.

Mam wszystko, Rhyme - zameldowała. - Wracam za pół go

dziny.

Znalazłaś sekretne drzwi i podziemne przejścia, o których

wszyscy opowiadają z takim zapalem?

-Nie.

-

Doskonale. Wracaj do domu.

Wyszła z sali, pozostawiając ją fotografom i patologom. Przy drzwiach spotkała się z

funkcjonariuszkami Franciscovich i Ausonio.

-
Znalazłyście woźnego? - spytała. - Muszę zdjąć próbki z jego butów.

Nancy Ausonio potrząsnęła głową.

-
Musiał odwiedzić Sonę do pracy. Zostawiłam informację w administracji, ma się z nami skontaktować.

Jej partnerka powiedziała bardzo poważnie.

-
Hej, proszę pani, my... rozmawialiśmy, Nancy i ja. Nie chcemy, żeby łobuzowi udało się uciec. Jeśli możemy się na coś przydać, wystarczy powiedzieć.

Amelia Sachs doskonale je rozumiała.

-

Zobaczę, co da się zrobić - obiecała.

Zatrzeszczała motorola Sellitta. Przyłożył ją do ucha, chwilę słuchał w milczeniu, po czym powiedział: -

Chłopcy Twardziele meldują, że zakończyli przesłuchiwanie świadków.

Sachs i Sellitto dołączyli do nich w korytarzu. Jeden z Twardzieli był wysoki, drugi niski, jeden miał piegi, drugi czystą, gładką cerę. Obaj detektywi z Duśego Gmachu specjalizowali się w „przeczesywaniu”, czyli wyszukiwaniu i przesłuchiwaniu świadków po dokonaniu przestępstwa.

Rozmawialiśmy z siedmioma osobami.

Plus ochroniarz.

Nie było wśród nich wykładowców.

Tylko studenci.

Mimo że tak do siebie niepodobni, ci dwaj policjanci nazywani byli „bliźniakami”. Doskonale „podwajali” zarówno świadków, jak i sprawców, ale traktowanie ich oddzielnie sprawiało kolegom zbyt wiele kłopotów. Woleli przyjmować po prostu, że mają do czynienia z jedną osobą, wówczas przynajmniej dawało się ich bez trudu zrozumieć.

Nie zdobyliśmy żadnych istotnych informacji.

Po pierwsze, większość przesłuchiwanych strasznie się bała.

I miejsce nie sprzyja nawiązywaniu kontaktów - jeden

z „bliźniaków” wskazał pajęczyny zwisające z brudnego sufitu, poplamionego starymi zaciekami.

Ofiary nikt dobrze nie znał. Przyjechała dziś rano i poszła do sali koncertowej z przyjaciółką.

Ta...

Ta przyjaciółka nie zauważyła nikogo. Rozmawiały jakieś pięć minut. Rozstały się około ósmej.

A więc - powiedział Rhyme, który słuchał tej rozmowy przez radio - sprawca czekał na nią w sali.

Ofiara - kontynuował niwszy z dwóch jasnowłosych detektywów - przyjechała z Gruzji...

To znaczy z rosyjskiej Gruzji, a nie tej naszej, od drzew morelowych*.

...jakieś dwa miesiące temu. Uchodziła za samotniczkę.

Konsulat skontaktuje się z jej rodziną.

* W języku angielskim Gruzja to Georgia.

Studenci siedzieli w salach ćwiczeń rozrzuconych po całym budynku. Nikt nic nie słyszał.

Maś, przyjaciel, przyjaciółka? -Amelia doskonale pamiętała pierwsze przykazanie śledztwa w sprawie zabójstwa: sprawca zazwyczaj zna ofiarę.

Jej koledzy o nikim takim nie słyszeli.

Jak można dostać się do budynku? - spytał Rhyme. Amelia

Sachs przekazała jego pytanie.

Wyłącznie przez drzwi frontowe - odpowiedział ochroniarz.

- Mamy oczywiście wyjścia przeciwpożarowe, ale nie da się ich otworzyć od środka.

Więc sprawca musiał przejść obok pana?

I wpisać się. No i został nagrany przez kamerę.

; Sachs spojrzała w górę.

-
Mają tu kamerę systemu bezpieczeństwa, ale obiektywu

nikt nie czyścił od wieków.

Podeszli do stanowiska ochrony. Ochroniarz wcisnął kilka przycisków i odtworzył nagranie.

Bedding i Saul wytypowali siedem osób i - jak zwykle jednogłośnie - zgodzili się, że jednej nie było wśród przesłuchiwanym: brązowowłosego, starszego mężczyzny w dżinsach i obszernej kurtce.

-
To on - powiedziała Franciscovich. - To morderca.

Nancy Ausonio potakująco skinęła głową.

Na niewyraźnym, drżącym nagraniu widać było, jak mężczyzna wpisuje się do księżki wejść i odchodzi. Kiedy składał podpis, strażnik patrzył na księżkę i nie widział jego twarzy.

Nawet pan na niego nie zerknął? - zdziwiła się Amelia.

A po co? - Ochroniarz najwyraźniej uznał, że powinien się jakoś bronić. - Kiedy się wpiszą, to ich wpuszczam. Dlaczego nie?

Taką mam pracę. Przede wszystkim pilnuję, żeby nikt nie wy
niósł nic na zewnątrz.

Przynajmniej mamy jego podpis, Rhyme - ucieszyła się

Sachs. -1 nazwisko. Bez wątplenia fałszywe, ale próbka pisma to

też coś. Gdzie się podpisał? - spytała ochroniarza, biorąc księżkę
wejść dłonią w lateksowej rękawiczce.

Przewinęli taśmę i obejrzelili jeszcze raz od początku. Morderca wpisał się czwarty w kolejności, ale w czwartej rubryce widniało imię kobiety!

- Obejrzyjcie to jeszcze raz - poradził Rhyme. - Policzcie wpisujących się ludzi.

35

Postąpili zgodnie z tą radą. Wpisało się dziewięć osób: ośmioro studentów, w tym ofiara, oraz morderca.

Weszło dziewięcioro, Rhyme. Ale wpisanych mamy tylko

ośmioro.

Jak to możliwe? - zdziwił się Sellitto.

Spytajcie strażnika, czy jest pewien, że sprawca się wpisał

- polecił Rhyme. - Może tylko udawał?

I to pytanie zostało przekazane.

-

Tak, jestem pewien. - Odpowiedź padła bez wahania. - Niezawsze patrzę im w oczy, ale zawsze spoglądam na wpisy.

Taką mam pracę.

Amelia Sachs tylko potrząsnęła głową i wbiła kolejny paznokieć w stwardniałą skórę kciuka.

-

No cóż, przywieź mi książkę wejść ze wszystkim, co zebrałaś.

Przyjrzymy się temu razem - zdecydował Rhyme.

W rogu holu stała młoda Azjatka. Kulila się. Niecierpliwie wyglądała przez szybę, czekając na autobus, który miał ją wywieźć z tego okropnego miejsca. Obróciła się, zauważyła Amelię.

Słyszałam waszą rozmowę - powiedziała. - Mówiliście...

a przynajmniej tak mi się zdawało... więc mówiliście, że nie wie

cie, czy wyszedł ze szkoły po tym, jak... po tym, co się stało. Myśli

pani, że ciągle może tu być?

Nie, nie sędzę. Chodziło nam raczej o to, że nie wiemy, jak

się wydostał.

-Ale jeśli tego nie wiecie, to skąd pewność, że w ogóle uciekł? Może gdzieś się tu przyczaił i czeka na następną... ofiarę? Nie macie przecież zielonego pojęcia, gdzie jest.

Amelia próbowała uśmiechem dodać jej odwagi.

-

Będziemy trzymać w okolicy mnóstwo policjantów, póki nie

dowiemy się, co tu naprawdę zaszło. Nie masz się o co martwić.

Lecz jednocześnie myślała: Masz rację, dziewczyno. On ciągle może tu być i czekać na następną ofiarę. Rzeczywiście, nie mamy zielonego pojęcia, gdzie jest w tej chwili.

A teraz, szacowni widzowie, ogłaszam krótką przerwę. Cieszcie się wspomnieniem

„Leniwego Kata”, rozkoszujcie marzeniami o tym, co nastąpi wkrótce. Rozluźnijcie się. Na drugi akt nie będziecie musieli długo czekać.

MęŜczyzna szedł Broadwayem, po Upper West Side Manhattanu. Przy rogu którejs z poprzecznych ulic zatrzymał się, jakby nagle coś sobie przypomniał. Zręcznie skrył się w cieniu budynku. Z futerału przy pasie wyjął telefon komórkowy i podniósł go do ucha. Mówił coś, uśmiechając się od czasu do czasu, jak to ludzie, rozmawiający przez komórki. Rozglądał się przy tym dookoła, niedbale i jakby przypadkowo, co teŜ nie było bynajmniej zachowaniem niezwykłym.

W rzeczywistości męŜczyzna ten wcale nie rozmawiał przez telefon. Sprawdzał, czy nikt go nie śledzi, po tym jak opuścił szkołę muzyczną.

Malerick wyglądał zupełnie inaczej niŜ wówczas, gdy pół godziny wcześniej wychodził z budynku szkoły. Był teraz gładko ogolonym blondynem ubranym w dres do joggingu i sportową koszulkę polo. Gdyby któryś z przechodniów przyjrzał mu się bliŜej, zauwaŜyłby pewnie kilka charakterystycznych szczegółów: blizny wyraźnie widoczne nad kołnierzykiem koszuli i zrośnięte dwa palce lewej ręki, mały i serdeczny. Ale nikt nie przyglądał mu się bliŜej. A to dlatego, Ő zachowywał się zupełnie naturalnie; naturalny był zarówno wyraz jego twarzy, jak i ruchy. Wszyscy iluzjoniści doskonale wiedzą, Ő naturalne zachowanie czyni cię niewidzialnym.

Nikt go nie śledził. Zadowolony Malerick ruszył przed siebie niespiesznie i skręcił w ocienione drzewami uliczkę. Widział tylko kilku biegaczy i dwóch, moŜe trzech mieszkańców wracających do domów z „Timesem” pod pachą i papierowymi torbami z delikatesów, marzących o kawie, a moŜe takŜe niespiesznym seksie w weekendowy poranek.

Wszedł po schodach do mieszkania, które wynajął kilka tygodni wcześniej. Mieszkania w mrocznym, cichym budynku, tak róŜnym od jego domu i studia na pustyni niedaleko Las Vegas. Okna jego mieszkania wychodziły na podwórko z tyłu.

Jak juŜ mówiłem, kolejny akt wkrótce się rozpocznie.

Na razie, szanowni widzowie, poplotkujcie sobie o iluzjoniście, którego właśnie oglądaliście,

porozmawiajcie z sąsiadami, spróbujcie domyślić się, co jeszcze was czeka.

Kolejny występ będzie wymagać od naszej gwiazdy zupełnie innych umiejętności, lecz mogę wam obiecać, że wstrząśnie wami tak jak „Leniwy Kat” albo nawet bardziej.

Te słowa - a także wiele innych - pojawiały się w umyśle Malericka niejako automatycznie.

„Szacowni widzowie...”. Do swej wyobrażonej widowni przemawiał bezustannie. Czasami słyszał nawet brawa, krzyki i śmiechy, a od czasu do czasu zdumione, przepełnione strachem westchnienia. Słyszał szum słów, wypowiedzianych z teatralną manierą przez mocno umalowanego konferansjera lub staroświeckiego iluzjonistę, słyszał monolog, skierowany do

widzów, przekazujący im informacje konieczne do zrozumienia kolejnego numeru, do nawiązania kontaktu, a czasami słuchający rozproszeniu ich uwagi, nazywany „zagadywaniem”.

Po porażce Malerick zerwał kontakty z ludźmi, ze społeczeństwem. Zastąpili mu je „szacowni widzowie”, którzy stopniowo stali się jego najwierniejszymi przyjaciółmi. Zagadywanie wypełniło wkrótce cały jego czas, całe dni i całe noce; wydawało mu się czasami, że może wręcz doprowadzić go do szaleństwa. Lecz jednocześnie sprawiało mu ogromną

przyjemność. Dobrze było wiedzieć, że nie został sam mimo tragedii sprzed trzech lat.

Widzowie pozostali mu wierni.

W mieszkaniu czuć było tanie werniksy i dziwny, intensywny zapach wydzielany przez tapety

i podłogę. Lokal był ledwo umeblowany, i to jak najtaniej: tandetne kanapy i krzesła, surowy pokój jadalny ze stołem, zastawionym w tej chwili dla jednej osoby. Ale i sypialnie... w sypialniach z trudem znalazłoby się odrobinę wolnego miejsca. Wypełniały je przedmioty

niezbędne iluzjoniście: rekwizyty, kostiumy, liny, stroje, lateksowe formy, peruki, bele

materiałów wraz z maszyną do szycia, farby, zestawy do makijażu, układy scalone, przewody, baterie, bawełna strzelnicza, zapalniki, narzędzia ciesielskie i setki innych podobnych przedmiotów.

Malerick zaparzył herbatę ziołową. Usiadł przy stole w jadalni i popijał ją, jedząc przy tym owoce i niskokaloryczny batonik. Stwarzanie iluzji jest aktywnością fizyczną, iluzjonista zależy od sprawności swego ciała. Zdrowe odżywianie się i ćwiczenia są konieczne do

osiągnięcia sukcesu.

Poranek okazał się bardzo owocny. Pierwszego statystę zabił wyjątkowo łatwo. Z rozkoszą

wspominał, jak dziewczyna zeszywniała w szoku i zmoczyła się, gdy stanął za nią i zarzucił

jej sznur na szyję. Do ostatniej chwili nie wiedziała, że przez pół godziny czekał w kącie, okryty czarnym jedwabiem. I to zaskakujące wejście policji: owszem, wstrząsnęło nim, ale jak każdy dobry iluzjonista Malerick umiał radzić sobie z niespodziankami. Zawczasu

przygotował drogę ucieczki i wykorzystał ją wręcz perfekcyjnie.

Skończył śniadanie, zaniósł kubek do kuchni, wymył go dokładnie i ustawił na suszarce. We wszystkim, co robił, był bardzo, bardzo metodyczny. Jego mistrz, iluzjonista o raczej gwałtownym temperamencie, ale jednak dokładny i całkowicie pozbawiony poczucia humoru, wiedział, jak uczyć dyscypliny.

Przeszedł do największej sypialni. Włożył do magnetowidu kasetę z nagraniem przedstawiającym miejsce, w którym miał wykonać kolejny numer. Oglądał je kilkanaście razy, zapamiętał z wszystkimi szczegółami, ale postanowił obejrzeć wszystko jeszcze raz.

Mentor wbił mu do głowy - czasami w trakcie tych nauk nie śłał rzemienia - szacunek dla reguły sto do jednego, ćwiczysz sto minut dla jednej minuty występu.

Nie odrywając oczu od telewizora, Malerick przyciągnął przykryty aksamitem stolik iluzjonisty. Nie patrząc na ręce, spróbował prostych sztuczek karcianych: szufladki,

falszywego przekładania na trzy kupki, rozdania asów. Potem przyszedł czas na bardziej

skomplikowane: ukrycie asa Stanleya, słynnej tajemnicy sześciu kart Maldo i kilku innych, z których część była dziełem wielkiego aktora i mistrza sztuczek karcianych Ricky'ego Jaya, a część - Caldiniego.

Nie pominął także sztuczek karcianych z repertuaru młodego Harry'ego Houdiniego. Houdini zasłynął jako mistrz wyzwala

się z więzów i jako taki jest pamiętany, w rzeczywistości był jednak znakomitością w każdej dziedzinie magii. Umiał wywołać „zniknięcie” nie tylko asystentów, lecz także słoni, ale nie zaniebyszał magii nazywanej „drobną”. Wywarł wielki wpływ na życie Malericka. Gdy po raz pierwszy Malerick zaczął występować, jeszcze jako nastolatek, przyjął nawet sceniczny

pseudonim „Młody Houdini”. Druga część nazwiska, którego używał obecnie, nie tylko miała przypominać mu poprzednie życie, życie sprzed pożaru, ale była także hołdem dla Houdiniego, który urodził się na Węgrzech jako Erik Weisz. Z kolei jeśli chodzi o Mai, łatwo było uznać, że pochodzi także od iluzjonisty, słynnego Ma-xa Breita, występującego pod pseudonimem Malvini. Ale podejrzenie to okazałoby się błędne. W rzeczywistości Malerick

uSł trzech liter składających się na łacińskie słowo oznaczające zło, opisujące doskonale rodzaj jego ulubionej magii.

Bardzo uważnie obserwował film, notując w pamięci rozkład okien i miejsca, w których mogliby pojawić się świadkowie, a także możliwe kryjówki; wszyscy iluzjoniści są mistrzami w ukrywaniu się. Cały czas ćwiczył kartami, przesuwając się z sykiem niczym rozszoszczony wąs. Króle i walety, królowe i dSokery, blotki i figury spływały rzeką na aksamitne sukno stołu, po czym zaprzeczając pozornie prawom grawitacji, wracały w jego mocne dłonie i znikwały, jakby ich nigdy nie było. Gdyby ktoś obserwował to improwizowane przedstawienie, zapewne potrząsnąłby głową z niedowierzaniem niemal całkowicie przekonany, że ten tu człowiek zaprzecza rzeczywistości, że nikt oprócz niego nie jest zdolny tego dokonać.

W rzeczywistości było jednak odwrotnie. Proste sztuczki karciane, które Malerick wykonywał jako zwykłe ćwiczenie, niewiele lub nawet nic nie miały wspólnego z magią, a jeszcze mniej z cudami. Słuchający ćwiczeniu sprawności rąk i wprowadzenia w błąd widzów, a rządziły nimi proste reguły fizyczne.

O tak, szacowni widzowie, to, co widzieliście, i to, co jeszcze zobaczycie, jest bardzo, ale to bardzo rzeczywiste.

Tak rzeczywiste jak ogień palący ciało.

Tak rzeczywiste jak pętla zaciśnięta na szyi dziewczyny.

Tak rzeczywiste jak wskazówki zegara przesuwające się powoli i zatrzymujące na godzinie, o której wystąpi nasza kolejna gwiazda magii.

-Cześć!

Młoda kobieta usiadła przy łóżku mamy. Przez okno widziała wypielęgowany ogród, w którym królował potężny dąb. Pień dębu oplatały macki powoju układające się w kształty, które odczytywała inaczej każdego dnia każdego miesiąca, podczas każdej wizyty. Dziś anemiczne pnącze nie było jednak ani smokiem, ani stadem ptaków, ani żołnierzem, lecz zaledwie rośliną rozpaczliwie próbującą przetrwać w wyjątkowo niesprzyjającym jej środowisku wielkiego miasta.

-
Jak się czujesz, mamusko.

Mówiła tak do mamy od czasu wakacji, które całą rodziną spędzili w Anglii. To wówczas Kara nadała przydomki wszystkim najbliższym: tata został Jego Królewskością, mama Królową Mamus-ką, ona - Królewskim Dzieciakiem.

-
Doskonale, kochanie. A jak Śycie ciebie traktuje?

p - Średnio. Hej, podoba ci się? - Wyciągnęła dłonie, pokazując matce palce o krótkich paznokciach polakierowanych na głęboką Oern koncertowych fortepianów.

-
Świetnie, kochanie. RóŚowy kolor trochę mi się znudził. Jest taki przeraŚajaco konwencjonalny.

Kara wstała. Poprawiła matce poduszkę. Usiadła i napiła się kawy z wielkiego kubka Starbucks. W swym niedługim Śyciu uzaleŚniła się wyłącznie od kawy, ale było to uzaleŚnienie powaŚne, nie wspominając juŚ o tym, Śe raczej kosztowne. Tego ranka piła '(juŚ

trzeci kubek.

Włosy przycięte miała po chłopięcemu. Dziś były rudobrazowe, choć w ciągu jej

kilkuletniego pobytu w Nowym Jorku zmieniały kolor niemal codziennie i ogarnęły już całe

widzialne przez człowieka spektrum. Niektórzy mówili o nich „elfie”, ale tego określenia nie znosiła. Dla niej były po prostu praktyczne. Dzięki tej fryzurze Kara brała prysznic, a po kilku minutach mogła już wyjść z domu, co stanowiło dar losu dla kogoś, kto z zasady nie kładł się spać przed trzecią w nocy i kogo nie sposób było zaliczyć do rannych ptaszków.

Kara miała na sobie elastyczne spodnie i choć mierzyła zaledwie metr pięćdziesiąt - pantofle na płaskich obcasach. Ciemno-fioletowa bluzka z krótkimi rękawami nie kryła mocnych mięśni ramion. Studiowała na uczelni, w której nauki polityczne i humanistyczne uważano za znacznie ważniejsze niż wychowanie fizyczne, ale po zdobyciu dyplomu zapisała się do Gold's Gym i nie tylko biegała po sztucznej bieżni, lecz także dźwigała ciężary. Po

mieszkanie Greenwich Village - dzielnicy cyganerii - z ośmioletnim stażem, która dobiegała trzydziestki, można się było spodziewać barwnych tatuaży i co najmniej kilku kolczyków w różnych miejscach. Ale w ten sposób nie ozdobiła ciała.

Zapamiętaj, mamusku. Jutro występuję. W jednym z tych pomniejszych przedstawień pana Balzaca. Wiesz przecie.

Oczywiście, pamiętam.

Ale tym razem będzie inaczej. Tym razem pozwoli mi wystąpić bez asystenta. To będzie mój występ. Tylko mój.

Doprawdy, kochanie?

Daję słowo.

Przed otwartymi na korytarz drzwiami przeszedł powoli pan Geldter.

-

Dzień dobry - powiedział.

Kara skinęła głową. Pamiętała, że kiedy jej mama pojawiła się w Stuyvesant Manor, jednym z najlepszych w mieście domów dla osób starszych, natychmiast połączono jej nazwisko z nazwiskiem tego wdowca i plotkowano na potęgę.

-
Myślę, że jesteśmy parą - szepnęła teraz jej matka.

A jesteście? - spytała Kara, myśląc o tym, że najwyższy czas, by po pięciu latach wdowieństwa mama znalazła sobie wreszcie przyjaciela.

Oczywiście, że nie - syknęła starsza pani, naprawdę wściekła. - Co ty sugerujesz.

Ta wymiana zdań doskonale definiowała mamę Kary. Odrobina śmiałości wydawała się jej całkiem w porządku, ale istniała - wytyczona najzupełniej arbitralnie - linia, po której przekroczeniu stajesz się Wrogiem przez duże W, choćbyś była ciałem z ciała i krwią z krwi. Dziewczyna pochyliła się. Z zapalem opowiadała, co planuje na jutro. Mówiąc, przyglądała się matce, skórze jej twarzy, przedziwnie gładkiej jak na siedemdziesięcioletkę, różowej niczym u zdrowego niemowlęcia, włosom właściwie siwym, ale z wieloma grubymi, kruczymi pasmami. Zaangażowany przez dom opieki stylistą ułożył je w stylowy kok. W każdym razie na widowni będzie kilku moich przyjaciół i byłoby wspaniale, gdybyś mogła przyjechać.

Spróbuję.

Kara, podniecona własną opowieścią, siedząca na krawędzi fotela, nagle zdała sobie sprawę, że mocno zaciska pięści, a że cała zeszywniała z napięcia. Oddychała płytko, głośno.

Spróbuję.

Zamknęła oczy, do których napłynęły czyste, srebrne łzy. Niech to wszyscy diabli! Spróbuję.

Nie, nie, nie, to nie tak, pomyślała gniewnie. Przecież jej matka nigdy nie powiedziałaaby

„spróbuję”. To do niej zupełnie nie pasowało. Mogła oczywiście powiedzieć: „Będę na

miejscu, słodziutka. W pierwszym rzędzie”, mogła powiedzieć zimno, wręcz odpychająco:

„Nie, jutro nie mogę. Dlaczego nie uprzedziłaś mnie wcześniej?”. Ale starsza pani nigdy nie mówiła „spróbuję”. Kiedy była z tobą, to całym sercem, kiedy przeciwko tobie, należało się strzec.

Tylko że teraz nie była człowiekiem, lecz w najlepszym razie tiemowlęciem, śniącym z otwartymi oczami.

Rozmowa, którą Kara toczyła przed chwilą, odbyła się wyłącznie w jej wyobraźni. Och, oczywiście to, co sama mówiła, było bardzo rzeczywiste. Ale słowa mamy: „Doskonale, kochanie”, „Jak się traktuje ciebie” i „Spróbuję”, Kara wymyśliła od początku do końca.

Nie, mama nie powiedziała dziś ani słowa. Wczoraj tak. I przedwczoraj też. Leżała pod

ocienionym przez bluszcz oknem, śniąc na jawie. Takie dni zdarzały się coraz częściej, ale bywały inne, kiedy ożywiona wygadywała przerażające nonsensy, co dowodziło tylko sukcesów niewidzialnej armii, podbijającej jej mózg, ogniem i mieczem niszczącej resztki

rozsądku. „Ale zdarzały się jeszcze gorsze chwile. Czasami, bardzo rzadko, jej matka

zachowywała się bardzo przytomnie i choć na ogół trwało to krótko, budziło wielkie nadzieje.

Gdy Kara godziła się z rzeczywistością, przygotowywała na najgorsze, akceptowała fakt, że

matka, jaką знаła, odeszła na zawsze, mama jakimś cudem wracała, jakby nigdy nie doznała

wylewu krwi do mózgu. I nadzieja, którą Kara tak troskliwie pielęgnowała, pryskała jak

bańka mydlana. Czuła się niczym maltretowana Sona, której brutalny mąż okazuje czasem

odrobinę czułości. W takich chwilach powtarzała sobie, że stan mamy z pewnością się

poprawia.

Lekarze twierdzili, że nie ma najmniejszej szansy na poprawę. Ale... lekarzy nie było przecież

przy łóżku jej matki, gdy przed kilkoma miesiącami obudziła się i powiedziała do córki:

- Cześć, słodziutka. Zjadłam ciasteczka, które mi wczoraj przyniosłaś. Dodałaś do nich

orzeszków hikory, tak jak lubię. Niech diabli wezmą kalorie. - Roześmiała się jak nastolatka.

1

- Jak się cieszę, że przyszedłaś. Zaraz opowiem ci, co wczoraj wieczorem pani Brandon wyczyniała z pilotem telewizora.

Zdumiona Kara patrzyła na nią, mrugając oczami. Niech to diabli, ale przecież wczoraj naprawdę przyniosła matce ciasteczka z orzechami i naprawdę dodała do nich orzeszki

hikory, i tak, szalona pani Brandon z czwartego piętra ukradła pilota i wykorzystując odbicie od okien sąsiedniej sali, wysyłała sygnały do pokoju pielęgniarek, przez dobre pół godziny zmieniając kanały i poziom dźwięku, aż wszyscy uznali, że w budynku zagnieździł się złośliwy duch. I proszę! Ktoś by nie uwierzył, że jej prawdziwa mama, wesoła i energiczna, żyje gdzieś, uwięziona w pułapce chorego ciała, tu, w pokoju 492... i zapewne wydostanie się kiedyś z pułapki!

Lecz nazajutrz ta sama kobieta przyglądała się jej podejrzliwie i pytała ją jak nieznajomą: „Co pani tu robi i czego chce?”. Gdyby nie chodziło o matkę, lecz rachunek za elektryczność na dwadzieścia dwa dolary i piętnaście centów, miałyby przynajmniej czek na dowód, że taki rachunek przyszedł i że go zapłaciła. Ale na tę niezwykłą chwilę przytomności mamy nie

miała żadnego dowodu.

Dotknęła ramienia matki: gładkiego, różowego, ciepłego. Poczowała to, co czuła zawsze: trzy

wzajemnie sprzeczne życzenia - by ta kobieta wyświadczyła jej przysługę i wreszcie umarła, by wyzdrowiała i znów była taka jak niegdyś albo by ją samą coś uwolniło od strasznego ciężaru tych dwóch sprzecznych pragnień.

Zerknęła na zegarek. Spóźni się do pracy, jak zawsze. Pana Balzaca z pewnością to nie uszczęśliwi. Dopiła kawę, wyrzuciła kubek i wyszła na korytarz.

Gruba Murzynka w białym stroju pielęgniarki powitała ją, unosząc dłoń.

Kara! Jak długo tu jesteś? - spytała z szerokim uśmiechem

na szerokiej twarzy.

Jakieś dwadzieścia minut.

Gdybym wiedziała, tobym do was wpadła - Jaynene wes

tchnęła. - Jest przytomna?

Nie. Przez cały czas spała.

Tak mi przykro.

Czy wcześniej coś mówiła?

Owszem. Takie tam... nie potrafię powiedzieć, czy miała kontakt z rzeczywistością, czy nie.

Chyba miała... piękną mamy pogodę, prawda? Jeśli się obudzi, weźmiemy ją z Sephie na spacer.

Lubi spacerować. Potem zawsze się lepiej czuje.

Muszę wracać do pracy. - Kara znów zerknęła na zegarek.

-Aha, słuchaj, jutro mam przedstawienie. W sklepie. Pamiętasz, gdzie to jest?

Jasne, Œe pamiętam. O której?

Czwartej. Wpadniesz?

Kończę wcześniej. Będę, nie martw się. A potem wypijemy trochę tych brzoskwiniowych margerit. Jak ostatnim razem.

-

Masz to jak w banku. Pete przyjdzie?

Czarnoskóra pielęgniarka spojrzała na nią spod oka.

-

Dziewczyno, to nic osobistego, ale ten facet oglądałby cię
w niedzielę wyłącznie wtedy, gdybyś występowała w przerwie
meczu Jetów albo Steelerów i pokazywałaś to kablówka.

Kara uśmiechnęła się.

-

Bóg cię wysłucha - powiedziała z nadzieją.

5

sto lat temu finansista, który odniósł skromny sukces, mógłby nazwać to miejsce domem.

Albo właściciel małego sklepu z artykułami męskimi, ulokowanego w luksusowym punkcie,
na przykład w pobliżu Czternastej Ulicy. Albo polityk związany z Tammany Hall*, biegły w
starożytniej sztuce bogacenia się na urządach państwowych.

Obecny właściciel domu na Central Park West nie miał pojęcia, z czym kojarzy się taka
posiadłość, ani się tym nie przejmował. Wiktoriańskie meble i pomniejsze dzieła

dekadenckiej sztuki przełomu wieków, które dekorowały kiedyś to wnętrze, w

najmniejszym nawet stopniu nie przemawiały do Lincolna Rhyme'a. Podobało mu się to, co

widział teraz: proste, ale mocne stoły, komputery, przeróżne urządzenia, w tym miernik

gradientu gęstości, gazowy chromatograf sprzężony ze spektrometrem masowym, mikroskopy,

plastikowe pudełka we wszystkich możliwych kolorach, pojemniki, próbówki, dzbanki, termometry, butle gazowe, gogle, zamknięte szczelnie pudła o dziwnych kształtach wyglądające tak, jakby schowano w nich dziwne i nietypowe instrumenty muzyczne.

No i oczywiście wszędzie pełno było kabli. Przewody i kable dosłownie rządziły bardzo ograniczoną przestrzenią pokoju, niektóre zebrane w wiązki i podłączone do odpowiednich urządzeń, lecz w większości znikające w otworach,

* Organizacja demokratów założona w 1789 roku jako bractwo, powszechnie kojarzona z lobbieniem i korumpowaniem urzędników państwowych.

bezwzględnie wywierconych w utwardzonych przez lata gipsowych ścianach budynku.

Lincoln Rhyme obywatel się w zasadzie bez kabli i przewodów. Postępy techniki, wykorzystującej podczerwień i fale radiowe, umożliwiły podłączenie mikrofonu przy jego wózku - i przy łóżku na wyższym piętrze - do urządzeń kontroli środowiska i komputerów.

Swój inwalidzki wózek, Storm Arrow, prowadził lewym serdecznym palcem operującym touchpadem MKTV, lecz wszystkie inne polecenia, od odbierania połączeń telefonicznych, przez pocztę elektroniczną, do wyświetlania obrazów z mikroskopu na monitorach komputerów, mógł wydawać, używając wyłącznie głosu.

W ten sam sposób kontrolował nowy odbiornik Harmon Kar-don 8000, dzięki któremu słuchał właśnie pięknego jazzowego solo na trąbce.

Muzyka nagle umilkła. Zastąpił ją łomot kroków na schodach I w przedpokoju. Wśród gości była Amelia Sachs, jej się spodziewał; jak na tak wysoką dziewczynę stąpała zdumiewająco lekko. Rozpoznał także niezmiennie platfusowaty, ciężki krok Lona Sellitto.

Sachs - burknął, kiedy oboje weszli do jego pokoju. - Czy

miejsce zbrodni było duże? Wielkie?

-

Nie. - Amelia zmarszczyła brwi. - Dlaczego pytasz?

Rhyme przyglądał się szarym kontenerom na butelki mleka,

w których umieszczono ślady zebrane przez nią i wielu innych policjantów.

- Tak się właśnie zastanawiałem. Bo przeszukanie tego szczególnego miejsca przestępstwa
zabrało ci sporo czasu. Nie mam pretensji, w porządku, możesz używać koguta w prywatnym
samochodzie. Po to je robią, wiesz? Syren takśe nikt jeszcze nie zakazał.

Kiedy Rhyme'owi groziła nuda, robił się złośliwy. Nuda była jednym z jego najgorszych
wrogów.

Amelia Sachs uodporniła się jednak na humory kryminalistyka. Wydawało się wręcz, że jest
w wyjątkowo dobrym nastroju.

- Mamy tu całkiem niezłą tajemnicę, Rhyme - powiedziała Jill Wesolo. - Albo i kilka tajemnic.

Lincoln Rhyme pamiętał, że Sellitto, opisując morderstwo, użył słowa „dziwaczne”.

- Mogłabyś opowiedzieć mi, co się stało? Zrelacjonowała mu krótko prawdopodobny
przebieg wydarzenia, łącznie z tajemniczą ucieczką przestępcy z miejsca zbrodni.

- Odpowiadające na wezwanie funkcjonariuszki usłyszały dobiegający z sali koncertowej huk
strzału i zdecydowały się wejść do środka. Dokonały tego jednocześnie przez dwoje drzwi,
tylko przez nie można było wejść do sali. Ale sprawca znikł. Sellitto przerzucił kartki

notatnika.

- Policjantki z patrolu twierdzą, że ma około pięćdziesiątki, jest średniego wzrostu, średniej budowy ciała, brak znaków szczególnych z wyjątkiem brody, włosy brązowe. W korytarzyku przy drzwiach przeciwpożarowych był dozorca. Twierdzi, że nikt nie wchodził do sali ani z

niej nie wychodził, ale mógł cierpieć na „amnezję świadków”. Szkoła ma nam dać jego adres i numer telefonu. Przesłucham go i spróbuję odświeżyć mu pamięć.

A ofiara? Mamy motyw?

Nie była napastowana seksualnie. Nie została okradziona

- powiedziała Sachs.

-

Dosłownie przed chwilą rozmawiałem z „bliźniakami” - do

dał Sellitto. - Nie miała chłopaka, ani przedtem, ani teraz. Brak

kogoś, kto mógłby mieć do niej jakieś pretensje.

Czy tylko studiowała? - spytał Rhyme. - Czy może studiowa

ła i pracowała jednocześnie?

Zdaje się, że zarabiała na boku graniem. Szkoła spróbuje

dowiedzieć się gdzie.

Lincoln Rhyme poprosił swego pomocnika, Thoma, by pełnił funkcję jego sekretarza. Swym

jakże eleganckim charakterem pisma Thom notował informacje grubym pisakiem na jednej ze

znajdujących się w laboratorium wielkich białych tablic. Przerwało mu jednak pukanie do

drzwi. Thom bezszelestnie znikł z laboratorium.

-

Mamy gościa - oznajmił po chwili.

-

Gościa? - zirytował się Rhyme. Nie miał ochoty na towarzyskie pogawędki. Na szczęście okazało się, że to tylko Sart. Do pokoju wszedł Mel Cooper, szczupły, łysiejący technik, którego Rhyme, wówczas szef laboratorium kryminalistyki nowojorskiej policji miejskiej, spotkał przed laty na północy stanu, gdzie razem pracowali nad sprawą kradzieży z włamaniem, połączonej z porwaniem. Cooper nie zgodził się wówczas z jego analizą pewnej szczególnej odmiany ziemi i, jak się okazało, miał rację. Zaimponował tym Rhyme'owi, który po cichu sprawdził jego wykształcenie i kompetencje. Okazało się, że tak jak on, Cooper jest członkiem elitarnego Międzynarodowego Towarzystwa Identyfikacyjnego, gromadzącego ekspertów w identyfikacji ludzi po mikrośladach, analizie DNA, badaniu miejsca przestępstwa i badaniach zębów. Mając tytuły naukowe z matematyki, fizyki i chemii organicznej, Mel Cooper był także ekspertem w dziedzinie analizy dowodów fizycznych. Dowiedziawszy się tego wszystkiego, Rhyme zaczął na niego naciskać, proponując mu przenosiny do wielkiego miasta, i oczywiście odniósł sukces. Bardzo cichy i spokojny technik kryminalistyki, będący jednocześnie mistrzem tańca towarzyskiego, pracował w laboratorium nowojorskiej policji w Queens, ale często współpracował z Rhyme'em, gdy był on konsultantem toczącego

się śledztwa.

Mel Cooper przywitał się z obecnymi, po czym nasadził na czubek nosa grube okulary a la Harry Potter i przyjrzał się krytycznie zgromadzonemu w skrzynkach na mleko materiałowi. Przypominał szachistę zasiadającego do pojedynku z trudnym przeciwnikiem.

Co my tu mamy? - powiedział cicho, jakby do siebie.

Tajemnice - odparł Rhyme. - Jeśli wierzyć Sachs, same tajemnice.

No to sprawdźmy, czy uda się nam uczynić je nieco mniej tajemniczymi.

Sellitto jeszcze raz streścił przebieg zdarzeń. Cooper naciągnął gumowe rękawiczki i zaczął przyglądać się przeróżnym torbom oraz słojom. Rhyme zatrzymał swój wózek tuż obok niego.

A to? - spytał nagle. - Co to takiego? - Patrzył na zielony układ scalony z dołączonym do niego głośnikiem.

Znalazłam go w sali koncertowej - wyjaśniła Sachs. - Nie mam pojęcia, co to takiego, ale zostawił go podejrzany. Dowodzą tego ślady jego butów.

Układ wyglądał jak część komputera, co wcale nie zdziwiło Rhyme'a. Przestępcy z upodobaniem wykorzystywali najnowsze zdobycze techniki. Rabusie bankowi uzbroili się w słynnego powtarzalnego colta .45 z 1911 roku niemal nazajutrz po tym, jak pojawił się na rynku, chociaż przeznaczony był wyłącznie dla wojska, a posiadanie go przez cywilów uznano za nielegalne. Radia, telefony szyfrujące, broń maszynowa, celowniki laserowe, systemy GPS, technologia komórkowa, sprzęt do inwigilacji oraz dekodery komputerowe trafiały w ręce przestępców na ogół wcześniej niż do funkcjonariuszy sił prawa i porządku. Rhyme pierwszy zgodziłby się z opinią, że są zagadnienia, na których najzwyczajniej w

świecie się nie zna. Ślady w postaci elementów komputera, telefonów komórkowych i różnych dziwnych urządzeń, produktów zaawansowanej technologii, które nazywał „dowodami NASDAQ”, natychmiast przekazywał ekspertom.

Zwieźcie to Gellerowi do śródmieścia - polecił.

W swym Biurze Przepływów Komputerowych FBI zatrudniało utalentowanego młodego człowieka, który kilkakrotnie udzielił im nieocenionej pomocy. Rhyme wiedział, że jeśli ktokolwiek potrafi powiedzieć, czym jest zielona płytkę, skąd pochodzi i do czego służy, to tym kimś jest właśnie Geller.

Amelia Sachs podała torebkę Sellitcie, a ten natychmiast przekazał ją funkcjonariuszowi w mundurze, który miał być posłańcem. Ale kandydatka na sierżanta nowojorskiej policji zatrzymała chłopaka. Dopilnowała, by prawidłowo wypełnił formularz łańcucha dowodów, dokumentującego drogę potencjalnego dowodu od miejsca przestępstwa na salę sądową. Sprawdziła wpis i wysłała młodego człowieka w drogę.

Jak ci poszedł egzamin praktyczny? - przypomniał sobie po niewczasie Rhyme.

Dobrze. - Amelia zawahała się, a potem dodała: - Zdaje się, że dałam im popalić.

Udało jej się zaskoczyć Rhyme'a. Jego najbliższa współpracowniczka na ogół niechętnie przyjmowała pochwały innych i jeszcze nigdy w jego obecności nie chwaliła się sama.

Ani przez chwilę nie wątpiłem, że sobie poradzisz - powiedział.

SierSant Sachs. - Lon Sellitto uśmiechał się szeroko. - Brzmi

nieźle.

Teraz przyszedł czas na badanie znalezionych w szkole urządzeń pirotechnicznych:

zapalników i petardy. Amelia domyśliła się przynajmniej jednego. Wyjaśniła, że jej zdaniem zabójca ustawił krzesła na dwóch tylnych nogach, utrzymując je w tej pozycji za pomocą cienkich bawełnianych nici. Do nici tych przywiązał zapalniki, od których zajęły się ogniem.

Mniej więcej po minucie pojawiał się płomień, przepalał nic i krzesła przewracały się na podłogę z hałasem, który wezwane policjantki wzięły za dowód jego obecności w sali koncertowej. Zapalnik takŜe zdetonował petardę, której wybuch uznały za odgłos wystrzału.

Da się prześledzić coś z tych rzeczy? - spytał Sellitto.

Zapalniki są typowe, nie da się dzięki nim dotrzeć do produ

centa. Petarda została oczywiście zniszczona. Nic nam to nie da. -

50

Cooper tylko potrząsnął głową. Rzeczywiście, ze swojego miejsca Rhyme doskonale widział to, czym dysponowali: małeńkie skrawki papieru i kawałek spieczonego metalu zapalnika.

Cienkie, w stu procentach bawełniane nici takŜe okazały się nie do wyśledzenia.

Nie zapominajmy o błysku - przypomniała im Sachs, prze

glądając notatki. - Kiedy te dwie policjantki zobaczyły mordercę

nad ciałem ofiary, kazały mu podnieść ręce i w jednej jego dłoni

coś błysnęło. Jak flara. Światło było tak jaskrawe, że oślepiło

obie policjantki.

Jakieś ślady?

Nic nie znalazłam. Dziewczyny powiedziały mi, że po prostu

rozpłynął się w powietrzu.

No to idziemy dalej. Ślady stóp?

Cooper wywołał bazę danych nowojorskiej policji, którą w wersji nieelektronicznej stworzył sam Lincoln Rhyme w czasach, gdy kierował wydziałem kryminalistyki. Przez kilka minut wpatrywał się w monitor, po czym powiedział:

Wsuwane półbuty Ecco. Rozmiar, zdaje się, dziesięć.

Mikroślady? - spytał Rhyme.

Amelia podała technikowi kilka torebek. Były w nich strzępy taśmy oklejającej wałek, którym przejechała po miejscu przestępstwa.

-

Były przy śladach jego stóp i przy ciele - wyjaśniła.

Cooper wziął torebki i ostrożnie, jeden po drugim, rozłożył

kwadratowe kawałki taśmy na oddzielne szkiełka, tak by próbki nie zanieczyściły się

wzajemnie. Ślady na większości odpowiadały wziętej przez Amelię próbce kontrolnej, co

oznaczało, że nie pozostawił ich ani sprawca, ani ofiara, lecz po prostu naturalnie pojawiały się na miejscu. Ale znalazły się też włókna tkaniny obecne tylko tam, gdzie sprawca przeszedł, i na przedmiotach, których dotknął.

-

Obejrzymy je pod mikroskopem.

Cooper przeniósł je szczypcami na szkiełka podstawowe, które wsunął do mikroskopu

binokularnego, standardowo używanego do badania włókien, po czym wcisnął przycisk.

Obraz, który widział bezpośrednio, pojawił się jednocześnie na wielkim, płaskim monitorze komputera, na którym mogli go obserwować wszyscy obecni.

Na ekranie widzieli grube szare zwoje.

Włókna są w kryminalistyce dowodami szczególnej wagi. Zrzedł wszystkim dlatego, że stosuje się je powszechnie, że przenoszą się z osoby na osobę i że łatwo je sklasyfikować.

Ogólnie dzielą się na dwie kategorie: naturalne i wyprodukowane przez człowieka. Rhyne natychmiast się zorientował, że te nie są pochodnymi wiskozy i nie bazują na polimerach, a więc muszą być naturalne.

Są naturalne - potwierdził Mel Cooper - ale jakiego rodzaju?

Przyjrzyj się bliżej strukturze komórek. Założę się o wszystko, że są ekskrementalne.

Exskrementalne? - zdumiał się Sellitto. - To od ekskrementów. Mówiąc po prostu, gówna?

Od ekskrementów jak jedwab na przykład. Substancji wydalanej przez jedwabniki, czyli po twojemu: robaki. Ufarbowanej na szaro. Matowej. Co masz na innych szkiełkach, Mel?

Substancja na innych szkiełkach była identyczna z tą, którą już obejrzel.

Sprawca ubrany był na szaro?

Nie - odpowiedział Sellitto.

-

Ofiara też nie - uzupełniła Amelia.

Kolejna tajemnica.

-

Aha! - Cooper ani na chwilę nie odrywał wzroku od okularu mikroskopu. - Możliwe, że mamy tu włos.

Na monitorze pojawiło się brązowe pasmo, nabrało ostrości.

Ludzki. - Rhyme bezbłędnie wyłapał setki łusek. We włosie zwierzęcym byłyby ich najwyżej dziesiątki. - Ale fałszywy.

Fałszywy? - zdumiał się Sellitto.

No przecież - odparł niecierpliwie Rhyme. - To, co widzisz, to nie korzeń, ale klej. Z całą pewnością nie jest to włos sprawcy, ale pewnie warto byłoby umieścić go w naszej bazie danych?

A więc nie ma brązowych włosów? - spytał Thom.

Interesują nas fakty i tylko fakty - odparł Rhyme. - Zapisz,

że podejrzany nosi najprawdopodobniej brązową perukę.

Tak jest, bwana.

Cooper kontynuował sprawdzanie. Okazało się, że w dwóch próbkach znajdują się drobiny ziemi i jakiś materiał roślinny.

-

Sprawdźmy najpierw te rośliny, Mel - poprosił Rhyme.

Podczas swej pracy w Nowym Jorku Lincoln Rhyme przywiązywał niezmierną wagę do dowodów pochodzenia geologicznego, roślinnego i zwierzęcego. Tylko jedna ósma miasta znajdowała się przecieŜ na kontynencie północnoamerykańskim, siedem ósmych połoŜone było na wyspach. Oznaczało to, Ŝe minerały, flora i fauna sã specyficzne dla poszczególnych dzielnic, a czasami nawet ulic, i łatwo przypisać poszczególne substancje do określonych miejsc.

Chwilę później na monitorze pojawiła się czerwonawa gałąź i fragment liścia.

O, doskonale - powiedział Rhyme.

Co w tym takiego doskonałego? - zdziwił się Thom.

Doskonale się składa, bo to jest rzadka roślina. Czerwona hikora. Bardzo trudno spotkać ją w mieście. W tej chwili do gło wy przychodzą mi zaledwie dwa miejsca - parki Riverside i Central. I... no proszę! Widzicie tą małą niebieskozieloną masę?

Gdzie? - spytała Amelia.

Musisz pytać? PrzecieŜ kaŜdy by ją zauwaŜył. - Rhyme cierpiał strasznie, tak bardzo chciałby podbiec, stuknąć palcem w monitor. - Na dole po prawej.

A tak, widzę.

I co o tym myślisz, Mel? Porosty, prawda? ZałoŜyłbym się, Ŝe to tarczownica, konkretnie *Parmelia conspersa*.

Niewykluczone. - Mel Cooper formułował swe opinie znacznie rozwaŜniej. - Ale istnieje wiele gatunków porostów.

Ale niewiele niebieskozielonych i szarych - odparł sucho

Rhyme. - Bardzo niewiele. A ten powszechnie spotyka się w Central Parku. JuŜ dwa ślady łączą się z parkiem, bardzo dobrze.

A teraz przyjrzyjmy się ziemi.

Cooper wsunął kolejne szkiełko. Obraz, który oglądał przez okular i który jednocześnie pojawił się na monitorze: ziarna ziemi wielkie jak asteroidy, niczego nie wyjaśnił.

-
Przepuść próbkę przez CG/SM - polecił Rhyme.

Chromatograf gazowy sprzężony ze spektrometrem masowym

służy do analizy chemicznej. Pierwszy rozkłada badaną próbkę na składniki, drugi określa charakter każdego z nich. Na przykład biały proszek, sprawiający pozornie wrażenie

jednolitego, można rozdzielić na wiele substancji chemicznych, na przykład sodę

oczyszczoną, arsenik, puder dla dzieci, fenol i kokainę. Działanie chromatografu porównuje się czasem do wyścigów końskich: substancje startują w urządzeniu wspólnie, lecz ponieważ

przesuwają się z różną szybkością, zaczynają się rozdzielać. U wylotu spektrometr porównuje każdą substancję z innymi zgromadzonymi w wielkiej bazie i w ten sposób identyfikuje.

Analiza Coopera wykazała, że zebrana przez Amelię ziemia utwardzona jest olejem. Z bazy danych dostali informację, że

jest to olej mineralny, nie roślinny ani zwierzęcy, i to wszystko. Brak szczegółowych danych.

-

Wyślijcie to do FBI - polecił Rhyme. - MoŜe ich ludzie wi
dzieli przedtem coŝ takiego. - Zajrzał do następanej torebki,
zmarszczył brwi. - To jest ta czarna tkanina, o której wspomnia
łaś?

Amelia Sachs skinęła głową.

W rogu korytarza - powiedziała. - Tam gdzie udusił dziew
czynę.

Ciekawe, czy naleŜała do niej? - zastanawiał się na głos Cooper.

-

MoŜe - odparł Rhyme. -Ale załóŜmy, Ŝe przyniósł ją morderca.

Technik ostroŜnie rozwinął materiał i przyjrzał mu się uwaŜ
nie.

-

Jedwab - orzekł. - Obrębiony ręcznie.

Rhyme przyglądał mu się ciekawie. Płachta materiału dawała się zwinąć w małą kulkę, a jednak wcale nie była taka mała, miała mniej więcej metr osiemdziesiąt na metr dwadzieścia.

-

Z analizy przebiegu czasu wynika, że musiał czekać na nią w tym korytarzu - powiedział. - Założył się, że stanął w kącie i przykrył się tą płachtą. Był dosłownie niewidzialny. Pewnie za brałby ją ze sobą, ale pojawiły się policjantki, więc musiał błyskawicznie uciekać.

Co musiała czuć ta biedna dziewczyna, kiedy zabójca pojawił się przed nią znikąd, jakby dzięki magii, i zarzucił jej pętlę na szyję?

Cooper znalazł kilka małych plamek na obrazie, coś przykleiło się do tkaniny. Umieścił je pod mikroskopem i obraz niemal natychmiast ukazał się na monitorze. Powiększone, przypominały porwane kawałki sałaty w kolorze ciała. Dotknął jednego cienkim manipulatorem. Materiał okazał się sprężysty.

Co to jest, do jasnej cholery - zirytował się Sellitto.

Jakiś rodzaj gumy - powiedział pewnie Lincoln Rhyme. -

Strzęp balonu? Nie, na to jest za gruba. Popatrz tylko na ten slajd, Mel. Coś na niej rozsmarowano. Także w kolorze ciała.

Przepuść to przez chromatograf, dobrze?

Podczas gdy czekali na wyniki badania, zadzwonił dzwonek do drzwi wejściowych. Thom

poszedł wpuścić gościa i po chwili wrócił z kopertą w ręku.

Daktyloskopia - oznajmił.

Ach, świetnie! - ucieszył się Rhyme. - Mamy odciski palców.

Przepuść je przez AFIS, Mel, dobrze?

54

PotęŜny, obsługiwany przez FBI serwer automatycznego systemu identyfikacji odcisków palców, ulokowany w Wirginii Zachodniej, przeszukiwał cyfrowe obrazy odcisków palców w całym kraju, korzystając z federalnych i stanowych baz danych. Rezultaty poszukiwań otrzymywało się najpóźniej po kilku godzinach, a często po kilku minutach, jeśli udało się uzyskać odciski czyste i wyraźne.

-

Jak wyglądają? - spytał Rhyme.

-

Wydają się całkiem czyste. - Amelia podała mu zdjęcia. Na większości widać było zaledwie odciski częściowe, ale znalazł się wśród nich takŜe dobry, pełny odcisk całej lewej dłoni. Rhyme od razu zauwaŜył, Ŝe zabójca miał zdeformowaną lewą rękę: palce mały i serdeczny były zrośnięte i pokryte gładką skórą, bez odcisków. Lincoln Rhyme wiedział to i owo z patologii, lecz nie potra

fił powiedzieć, czy jest to wada wrodzona, czy teŜ skutek rany.

Co za ironia, pomyślał. Morderca ma uszkodzony lewy serdeczny palec, a ja - poniŜej szyi - tylko nim mogę poruszać. Nagle zmarszczył brwi.

-

Powstrzymaj się z badaniem na minutkę, Mel. Chodź, Sachs.

Chcę przyrzeć się im bliŜej.

Amelia podeszła do niego. Oboje z napięciem wpatrywali się w fotografie.

ZauwaŜyłaś moŜe coś niezwykłego? - spytał Rhyme.

Nie. Właściwie nie, ale... zaraz, chwileczkę. - Amelia roze

śmiała się. - Są identyczne! - Szybko przejrzała przyniesione

zdjęcia. - Wszystkie jego palce są identyczne! Ta mała blizna

wszędzie jest w tej samej pozycji!

Musiał włoŜyć coś w rodzaju rękawiczek - powiedział Co

per. - Z naniesionymi na nie odciskami palców. Nigdy czegoś ta

kiego nie widziałem... chyba Őe w telewizji.

Kim do cholery był sprawca?

Na monitorze komputera pojawiły się rezultaty badań chromatografu i spektrometru.

-

W porządku, mamy czysty lateks... a to co? - Chwila milczenia. - Komputer

identyfikuje to jako alginian. Nigdy nie słyszałem...

- Zęby.

- Co? - zdziwił się Cooper.

-

Proszek mieszany z wodą. Dentyści robią z niego formy. Koronki i tak dalej. Może nasz sprawca był niedawno u dentysty?

Technik uważnie wpatrywał się w monitor.

Mamy też bardzo drobne ślady oleju rycynowego, glikolu

propylenowego, alkoholu cetylowego, miki, tlenku żelaza, dwutlenku tytanu, smoły węglowej i neutralnych barwników.

Niektóre z tych substancji można znaleźć w zestawach do

makijażu - powiedział Rhyme. Pamięta! sprawę, w której udało

mu się powiązać zabójcę z miejscem zbrodni dzięki temu, że zapi

sał on na lustrze obsceniczny tekst szminką do ust, po której śla

dy znaleziono na jego rękawie. Przy tej okazji Rhyme mocno

podszkolił się w kosmetykach.

Ofiary? - Cooper zwrócił się do Amelii Sachs.

Nie. Sprawdziłam. Nie używała kosmetyków.

Dobra, zapiszmy na tablicy. Zobaczymy, czy ma to jakieś znaczenie.

Zgarbiony nad stołem Mel Cooper przyglądał się tymczasem sznurowi - narzędziu zbrodni,

leŚącemu na porcelanowej powierzchni stołu laboratoryjnego.

Czarny rdzeń owinięty splecioną białą tkaniną. Tu i tu widzę sploty. Jedwab, lekki i cienki, więc chociaŚ są to w istocie dwie liny, mają grubość jednej.

Po co takie sztuczki? - zdziwił się Rhyme. - Czy dzięki splotowi ta lina jest mocniejsza? Łatwiejsza do rozwiązania? Trudniejsza do rozwiązania? O co tu chodzi?

Nie mam pojęcia.

Coraz więcej tajemnic - szepnęła teatralnie Amelia Sachs.

Rhyme najchętniej rozzłościłby się na tę uwagę... ale, niestety, musiał się z nią zgodzić.

Owszem - przytaknął, wytrącony z równowagi. - To dla mnie coś nowego. No dobra, do roboty. Chcę zobaczyć dla odmiany coś zwykłego, normalnego, coś, czego będziemy mogli uŚyc.

Węzeł?

Zadzierzgnięty przez eksperta, ale nie rozpoznaję go - powiedział Cooper.

Wyślijcie zdjęcie do FBI. Aha... mamy kogoś w Muzeum Marynarki? Parę razy pomogli nam z węzłami - przypomniała mu Amelia. - Im teŚ wyślę to zdjęcie. E-mailem.

W tym momencie zadzwonił Tobe Geller, specjalista od przestępstw komputerowych z centrali FBI w Nowym Jorku.

Dostarczyłeś mi niezłej rozrywki, Lincoln - rzekł bez wstępów.

Wyobraź sobie, jak mnie to cieszy. MoŚe masz do powiedzenia coś, co przydałoby się nam, nie tobie?

Geller, młody chłopak o kręconych włosach, nie przejmował się ironicznymi uwagami. Nie wtedy, gdy miał do czynienia z czymś, co choćby z daleka przypominało komputer.

To w gruncie rzeczy urządzenie do cyfrowego zapisu audio.

Fascynujący drobiazg. Twój sprawca nagrał coś, zachował nagranie na twardym dysku, po czym zaprogramował odtworzenie go z określonym opóźnieniem. Nie wiemy, co to było. Napisał program, który wymazał wszystkie dane.

To był jego głos - burknął Rhyme. - Kiedy policjantki usłyszały, jak mówi, że ma zakładniczkę, słyszały nagranie. Usłyszy te krzesła, żeby myślały, że nadal jest w środku.

Dla mnie trzyma się to kupy - przyznał Geller. - W układzie był głośnik, mały, ale świetnie przenoszący niskie i średnie tony. Ludzki głos mógł naśladować bez problemu.

Na dysku nic nie zostało?

Niestety. Nic a nic.

Niech to diabli! Chciałbym mieć próbkę głosu.

Przykro mi, ale tego się nie da zrobić.

Wściekły Rhyme tylko westchnął i umilkł. Na Amelię Sachs spadł ciężar podziękowania Tobemu Gellerowi za jego pomoc i zakończenia rozmowy.

Zespół zabrał się następnie do badania zegarka ofiary, zmieszanego z powodów, których

śladne z nich nie potrafiło dociec. Nie znaleźli niczego przydatnego, stwierdzili tylko, że zatrzymał się mniej więcej w godzinie śmierci ofiary. Zdarzało się, że sprawcy uszkadzali zegarki lub zegary na miejscu przestępstwa, przestawiając je przedtem, by zmylić ekipy

dochodzeniowe, ale nie w tym wypadku. Kolejna zagadka.

Coraz bardziej tajemnicze to wszystko.

Thom zapisywał ich uwagi na białej tablicy. Tymczasem Rhyme nie mógł oderwać wzroku od księżki wejść.

-
Brak nazwiska - mówił sam do siebie. Podpisało się dziewięć osób, ale mamy tylko osiem nazwisk. Potrzebny nam ekspert. - Umilkł na chwilę, a następnie zwrócił się do swego komputera. - Polecenie, telefon - powiedział do mikrofonu. - Zadzwoń Kincaid, przecinek, Parker.

na monitorze pojawił się kod 703, oznaczający Wirginię, po czym rozległ się charakterystyczny dźwięk wybieranego numeru.

Dzwonek. I dziecinny głos dziewczynki.

Rezydencja Kincaidów?

Ach, no tak. Czy Parker jest w domu.

Przepraszam, a kto dzwoni?

Lincoln Rhyme. Z Nowego Jorku.

Proszę poczekać.

Chwilę później odezwał się głos jednego z najslawniejszych w kraju specjalistów od dokumentów pisanych.

Cześć, Lincoln. Nie odzywałeś się przez miesiąc czy dwa, jeśli dobrze pamiętam.

Mnóstwo roboty. A ty czym się zajmujesz, Parker?

Och, jak zwykle wpadam w kłopoty. Omal nie spowodowałem międzynarodowego skandalu dyplomatycznego. Brytyjski Instytut Kultury w Waszyngtonie poprosił mnie o potwierdzenie

autentyczności notatnika króla Edwarda, który kupili od prywatnego kolekcjonera. Mam nadzieję, że usłyszałeś mnie dobrze: kupili. Rozumiesz, co to znaczy, prawda, Lincoln? Rozumiem. To znaczy, że równieś zapłacili.

Sześćset tysięcy.

Całkiem okrągła sumka. Aż tak im na nim zależało?

Och, były tam naprawdę smakowite wzmianki o Churchillu i Chamberlainie. Oczywiście nie takie, jak myślisz.

Oczywiście. - Rhymer zawsze okazywał wyjątkową cierpliwość do tych, którzy mogli mu pomóc i nie wystawiali za to rachunku.

-

Obejrzałem go, no i co mogłem zrobić? Zakwestionowałem jego autentyczność.

Łagodne określenie, biorąc pod uwagę, że wyszło z ust najwybitniejszego w kraju eksperta od badań dokumentów pisanych. W rzeczywistości oznaczało po prostu fałszerstwo.

-

Och - mówił dalej Kincaid. - Jakoś to prześyją, choć o ile sobie przypominam, nie zapłacili mi jeszcze za ekspertyzę... Nie, kochanie, nie dekorujemy ciasta, kiedy jeszcze jest ciepłe. Czemu...? Bo ja tak powiedziałem. Samotny ojciec, Kincaid, stał kiedyś na czele wydziału badania dokumentów pisanych w

centrali FBI w Nowym Jorku. Odszedł ze służby i założył własną firmę. Chciał mieć czas dla dzieci;

-Jak tam Margaret? - powiedziała do mikrofonu Amelia Sach.

To ty, Amelio?

Nikt inny. Wszystko w porządku. Od paru dni jej nie widziałem. W środę zabraliśmy

Robbiego i Stephanie do Planet Play i właśnie

miałem pobić ją w laserowego berka, kiedy odezwał się pager.

Musiała wykopać komuś drzwi i dokonać aresztowania, w Panamie czy Ekwadorze. No

dobrze, mówcie, o co chodzi.

Prowadzimy sprawę i oczywiście potrzebujemy pomocy.

W największym skrócie wygląda to tak: na wideo mamy nagrane,

jak facet podpisuje się w księdze wejść u ochrony. W porządku?

Jasne. Chcecie, żebym zanalizował wam charakter pisma? tym problem. Nie ma czego

analizować. Nie mamy pisma, pis znikł? No właśnie.

A jesteście pewni, że ten wasz sprawca nie udawał tylko, że

się podpisuje?

Jesteśmy. Ochroniarz widział, jak pióro zostawia ślad na pa

pierze.

Pozostały jakieś ślady?

Nie.

incaid roześmiał się, ale dość ponuro.

Sprytne. Nie zostawił dowodu, że w ogóle wszedł do budynku, a potem ktoś inny wpisał się w tym samym miejscu i straciliście szansę na zdobycie jakichkolwiek śladów.

Zostało coś na karcie leżącej bezpośrednio pod tą, na której się podpisywał?

Rhyme zerknął na Coopera. Technik podświetlił spodnią kartę silnym, skośnym światłem - ta

metoda sprawdzała się lepiej niż posypywanie strony grafitowym proszkiem i była już w powszechnym użyciu - po czym potrząsnął głową. Nic.

Nic - powiedział do telefonu Lincoln Rhyme. - Więc... jak on to zrobił?

Proste. Użył po prostu, jak to nazywam fachowo, ex-laxu.

Znikającego atramentu. Znikający atrament z fenoloftaleiną.

Był powszechnie dostępny, nim jego produkcji zakazał Urząd do spraw Świdy i Leków. Pigułka rozpuszczona w alkoholu tworzy niebieski atrament. Ma zasadowe pH. Piszesz coś tym atramentem, lecz tekst wystawiony na działanie powietrza znika.

Przestaje być niebieski.

Jasne. - Rhyme nieźle znał podstawowe zasady chemii. -

Dwutlenek węgla zmienia odczyn na kwasowy i po sprawie.

Właśnie. Po prostu nie ma już fenoloftaleiny. To samo można zresztą zrobić z tymoloftaleiną, z wodorotlenkiem sodu.

Czy takie rzeczy kupuje się w jakimś specjalnym miejscu.

Hmm... niech się zastanowię... Skarbie, chwileczkę, tatuś rozmawia przez telefon... nie, w porządku, cisteczka w piecyku zawsze wyglądają tak, jakby piekły się mocniej z jednej strony.

Zaraz przyjdę... Lincoln? No więc chciałem ci powiedzieć, że teoretycznie ten znikający atrament to wspaniały sposób, ale kiedy jeszcze pracowałem w Biurze, nigdy nie zetknąłem się z przestępcą albo nawet szpiegiem, który posługiwałby się znikającym atramentem. To tylko taka sztuczka. Można słyszeć co najwyżej za

bawianiu ludzi.

Zabawianiu ludzi, pomyślał ponuro Rhyme, patrząc na tablicę, do której przypięto fotografie zwłok nieszczęsnej Swietłany Rasnikow.

Gdzie ktoś może znaleźć coś takiego? - powtórzył pytanie.

Najpewniej w sklepach z zabawkami lub specjalistycznych, dla prestidigitatorów.

Interesujące.

W porządku, dziękuję. Pomogłeś nam, Parker. Naprawdę.

Wpadnij w odwiedziny! - krzyknęła Amelia Sachs.

- I przyprowadź ze sobą dzieciaki.

Rhyme skrzywił się przeraźliwie.

-

Może jeszcze zaprosisz ich przyjaciółki i przyjaciół. Najlepiej całą szkołę...

Amelia uciszyła go ze śmiechem.

Rozmowę telefoniczną zakończono. Lincoln Rhyme był po niej w jeszcze gorszym humorze niż wcześniej.

-

Im więcej się dowiadujemy, tym mniej wiemy - burknął pod nosem.

Bedding i Saul zadzwonili z informacją, że w szkole Świetlana była bardzo lubiana i najwyraźniej nie miała wrogów. Jej praca tak że nie powinna nikogo do niej zrazić: wynajmowano ją, by śpiewała z dziećmi na ich przyjęciach urodzinowych.

Z biura patologa przyszła paczka: plastikowa torba na dowody rzeczowe ze starymi kajdankami, które sprawca założył na dłonie ofiary. Zgodnie z poleceniem Rhyme'a pozostały nieotwarte; by je zdjąć, zmiażdżono przeguby dziewczyny. Patolog został zawnieszczonego poinformowany, że wiercenie w zamku mogłoby zniszczyć istotne dla sprawy dowody.

-
Nigdy nie widziałem czegoś takiego - powiedział z zastanowieniem Cooper. - Chyba że w filmach.

Rhyme skinął głową. Kajdanki były prawdziwym antykiem, ciężkim, zrobionym z nierówno obrobionego żelaza.

Technik zbadał zamek; próbował wszystkiego, ale nie znalazł żadnych śladów. Na ich korzyść działał jednak fakt, że kajdanki są takie stare, ponieważ ograniczało to źródła, z których mogły pochodzić. Rhyme polecił Cooperowi sfotografować je i wydrukować zdjęcia, które mogliby pokazać handlarzom.

Sellitto przyjął kolejne zgłoszenie. Słuchał przez chwilę, sprawiając wrażenie zdumionego.

Nie możliwe... Jesteście pewni?... Tak, oczywiście. - Przerwał rozmowę, spojrzał na gospodarza.

Nie wierzę własnym uszom - przyznał. - To niemożliwe.

Ale co? - Rhyme nie miał ochoty na kolejne tajemnice.

Dzwonił administrator szkoły. Nie zatrudniają woźnego.-

Ale policjantki z patrolu widziały go na własne oczy - zaprotestowała Amelia Sachs.

Wynajmują ludzi do sprzątanía. Nikt z nich nie pracuje w weekendy, tylko w dni powszednie, wieczorem. I nikt nie przypomina woźnego, którego widziały te dziewczyny.

Nie było woźnego?

Sellitto gorączkowo przeglądał notatki.

Stał tuś pod tymi drugimi drzwiami. Zamiatął...

O, do diabła! - przerwał mu Rhyme. - To on! - Spojrzał na detektywa. - Ale wyglądał zupełnie inaczej niż sprawca, prawda?

Sellitto znów zajrzał do notesu.

61

Około sześćdziesiątki, łysy, ubrany w szary kombinezon.

Szary!

Nooo... tak.

Stąd włókno! Jedwabne włókno. WłóŚył kostium!

O czym ty mówisz? - zdumiał się Cooper.

Nasz facet zabił dziewczynę. Zaskoczyła go interwencja policjantek, toteś oślepił je i wbiegł do sali koncertowej. ZałoŚył za

palniki, włączył magnetofon cyfrowy... wszystko po to, Őeby my ślały, Őe nadal jest w środku. Przebrał się w kombinezon woźnego i wybiegł drugimi drzwiami.

Ale nie zrzucił przecieŜ przepeconej bluzy jak jakiś magik
zrzucający łańcuchy - zauwaŜył tęgi detektyw. - Jakim cudem
udało mu się tego dokonać? Znikł z pola widzenia na... ile? Co
najwyŜej minutę.

Doskonale. Jeśli masz jakieś inne wyjaśnienie, chętnie wy
słucham. Byle nie zakładało boskiej interwencji.

Daj spokój. Do jasnej cholery, przecieŜ tego się nie da zro
bić!

Nie da, nie da! - Rhyme uśmiechnął się cynicznie. Podjechał
wózkiem bliŜej białej tablicy, na której Thom powiesił wydruki
zdjęć cyfrowych, zrobionych przez Amelię na miejscu zbrodni.

Fotografię śladów stóp. - To moŜe porozmawiamy o dowodach! -

Przyjrzał się dokładnie śladom butów sprawcy, a potem tym zdję
ciem w korytarzu, w miejscu, gdzie policjantki zauwaŜyły woźne
go. - Buty! - powiedział głośno.

-

Takie same? - spytał detektyw.

Amelia takŜe podeszła do tablicy.

Ano, takie same - przytaknęła. - I rozmiar ten sam. Dziesiątka.

Chryste! - Sellitto znów zaczął masować się po brzuchu.

No dobra, co tu mamy? - spytał retorycznie Lincoln Rhyme. -

Sprawca ma czterdzieści parę do pięćdziesięciu paru lat. Średniej budowy ciała, średniego wzrostu, gładko ogolony, dwa zdeformowane palce, prawdopodobnie notowany, bo ukrywa odciski palców.

Tylko tyle! - Nagle przerwał, zamyślił się. - Nie, nie tylko tyle. Wiemy więcej. Miał ze sobą ubranie na zmianę. Miał zabójczą broń...

jest doskonale zorganizowany. Zechce powtórzyć swój wyczyn.

Amelia Sachs skinęła głową. Tymczasem Rhyme przyglądał się schludnym, czytelnym notatkom swego opiekuna i próbował znaleźć odpowiedź na jedno najważniejsze pytanie: co właściwie łączy wszystkie te fakty.

62

Czarny jedwab. Makijaż. Zmiana kostiumów. Przebrania. Błysk jaskrawego światła.

Pirotechnika.

Znikający atrament.

. Sądzę, że nasz chłopak jest niezłym iluzjonistą - powiedział powoli.

Amelia skinęła głową. m* To ma sens - przyznała. Sellitto zgodził się z nią natychmiast.

Dobra. MoŜe? To co teraz robimy?

To akurat wydaje mi się oczywiste - prychnął Rhyme. -

Znajdujemy własnego.

-

Kogo? - zdziwił się detektyw.

pfe-Iluzjonistę, oczywiście.

-
Powtórz.

Przecież zrobiła to osiem razy! J!fc Znowu?

MęŜczyzna tylko skinął głową.

„Trzy chustki”, sztuczka wymyślona i doprowadzona do perfekcji przez słynnego iluzjonistę i nauczyciela, Harlana Tarbella, bawi widownię aŜ do dziś. Polega na rozdzieleniu trzech róŝnokolorowych i pozornie beznadziejnie splątanych chusteczek. Tę szczególną sztuczkę

trudno jest wykonać idealnie, lecz Kara czuła, Őe do tej pory szło jej całkiem niezle.

David Balzac chyba był jednak innego zdania. |p» Monety brzęczały - powiedział z westchnieniem. Była to bardzo ostra krytyka; oznaczała, Őe sztuczka wykonana została niezdarnie i widzowie nie daliby się na nią nabrać.

Starszy, tęgawy męŜczyzna o gęstych siwych włosach, z kozią bródką poŐólką od tytoniu, westchnął rozpaczliwie i potrząsnął głową.

-
A ja sądziłam, Őe poszło dobrze, gładko. Tak mi się wydawało.
-

Bo nie jesteś widzem. Ja nim jestem. Próbuj jeszcze raz.

Znajdowali się na małej estradzie, na zapleczu sklepu „Dym

i Lustra”, który Balzac kupił po tym, jak dziesięć lat temu zakończył karierę iluzjonisty światowej sławy. W swoim ponurym lokalu, gdzie wiecznie panował bałagan, sprzedawał

magiczne akcesoria, wynajmował kostiumy i rekwizyty. Co tydzień organizowano f takŜe

darmowe występy iluzjonistów amatorów dla klientów i sąsiadów. Półtora roku temu Kara,

robiąca na zlecenie korekty dla magazynu „Self”, zebrała się wreszcie na odwagę i

postanowiła spróbować swych sił na scenie; tak późno, bo reputacja pana Balzaca po prostu ją przerażała. Starzejący się mistrz obejrzał jej występ. Zaprosił ją do biura. Niskim, nieco ochryłym, lecz w gruncie rzeczy przyjemnym głosem oznajmił zaskoczonej dziewczynie, że ma potencjał. że może zostać wielką iluzjonistką... pod warunkiem że będzie miała dobrego nauczyciela. Zaproponował jej, by zaczęła pracować w jego sklepie. Wówczas on zostanie jej nauczycielem i mentorem.

Kara przed wieloma laty przeniosła się ze Środkowego Zachodu do Nowego Jorku. Poznała miasto wystarczająco dobrze, by zrozumieć, co może oznaczać słowo „mentor”... zwłaszcza gdy mentorem atrakcyjnej dziewczyny ma zostać czterokrotny rozwodnik, czterdzieści lat od niej starszy. Ale z drugiej strony, Balzac był wybitnym iluzjonistą, występował regularnie u John-ny'ego Carsona, przez lata prowadził własny show w Las Vegas. Objechał świat kilkanaście razy, znał dosłownie wszystkich wybitniejszych kolegów po fachu. Magia

stanowiła życiową pasję Kary, a to była jej życiowa szansa. Toteż w końcu się zgodziła.

Podczas pierwszej próby była czujna, gotowa ostro zareagować na wszelkie aluzje o damsko—męskim podtekście. I lekcja okazała się dla niej nieznośna... choć z zupełnie innych powodów.

Można powiedzieć, że Balzac rozerwał ją po prostu na strzępy. Po godzinie krytykowania dosłownie każdego elementu przedstawienia spojrzął na bladą, zalaną łzami twarz dziewczyny.

- Powiedziałem, że masz potencjał! - warknął. - Nie powiedziałem, że jesteś dobra. Jeśli szukasz kogoś, kto prawilby ci komplementy, znalazłaś się w złym miejscu. I co teraz?

Uciekasz z płaczem do mamusi czy próbujemy jeszcze raz?

Spróbowali jeszcze raz.

Tak rozpoczął się dwuipółletni związek mistrza i ucznia, w którym miłość przeplatała się z nienawiścią. Kara ćwiczyła codziennie, aż do wczesnych godzin rannych.

Przyjaciele pytali ją często, skąd wzięła się u niej miłość do magii iluzjonistycznej, wręcz przechodząca w obsesję. Prawdopodobnie spodziewali się jakiejś wersji żywcem wyjętej z telewizyjnego filmu tygodnia: nieszczęśliwe dzieciństwo, znęcający się nad dzieckiem

rodzice, tępi nauczyciele, a w najgorszym razie opowieści o cichej szarej myszce, uciekającej w krainę fantazji przed strasznym światem i okrutnymi koleśkami. Dostawali jednak historię normalnej, szczęśliwej dziewczyny: skautki zbierającej w szkole najlepsze oceny,

gimnastyczki potrafiącej piec doskonale ciasteczka, gwiazdy szkolnego chóru. Na ścieżkę magii Kara wkroczyła cicho i niewinnie: podczas pobytu u dziadków w Cleveland poszła na występy Penna i Tellera. Miesiąc później raczej niespodziewanie całą rodziną pojechali do Las Vegas na zjazd projektantów i wytwórców turbin, na który ojciec dostał zaproszenie. Tam zobaczyła latające tygrysy i buchające płomienie. Wystarczyło.

W drugiej klasie gimnazjum imienia JFK założyła Klub Magii. Wszystkie pieniądze zarobione pilnowaniem dzieci wydawała na poświęcone tej sztuce magazyny, objaśniające jej tajemnice kasety wideo oraz gotowe zestawy do interesujących sztuczek. Wkrótce sprzątała ogródki i odgarniała śnieg w zamian za wizyty w cyrku Big Apple i Cirque du Soleil, jeśli tylko pojawiły się w promieniu stu kilometrów.

Co nie oznacza, że nic nie motywowało jej do marszu tą trudną drogą. Nie. Miała motywacje: zaskoczone i zachwycone twarze widzów, choćby byli to tylko krewni, zgromadzeni na obiedzie w Święto Dziękczynienia (w tym przedstawieniu nie zabrakło ani błyskawicznych zmian kostiumów, ani nawet lewitującego kota, choć bez zamaskowanej dziury w podłodze; ojciec nie zgodził się na cięcie parkietu w dużym pokoju), lub koledzy na szkolnym przedstawieniu, którzy zmusili ją do dwóch bisów, a na zakończenie urządzili jej owację na stojąco.

Ale David Balzac... ooo, praca z nim była czymś zupełnie, ale to zupełnie innym. W ciągu ostatniego półtora roku były chwile, kiedy wierzyła, że bezpowrotnie utraciła talent, jeśli w ogóle kiedyś go miała! Lecz gdy już zamierzała zrezygnować, Balzac uśmiechał się powściągliwie, kiwał głową, a czasami zdarzało mu się nawet powiedzieć: „To było dobre”.

W takich chwilach jej świat znów stawał się piękny.

A tymczasem jej spokojny niegdyś i uporządkowany świat rozpadał się jak domek z kart.

Coraz więcej czasu spędzała w sklepie. Katalogowała książki, inwentaryzowała towar, prowadziła księgowość, była webmasterem strony www.smokeandmirrors.com. Balzac płacił mało, Kara potrzebowała pieniędzy, przyjmowała więc te prace, do których jej magisterium z

filologii angielskiej mogło być choć odrobinę przydatne. Najczęściej Przygotowywała treści dla stron www poświęconych magii i teatrowi. Mniej więcej rok temu stan jej matki bardzo się pogorszył. Niemająca rodzeństwa Kara wszystkie wolne chwile spędzała przy jej łóżku.

65

Prowadziła bardzo wyczerpujący tryb życia.

Na razie jednak jakoś sobie radziła. Jeszcze kilka lat i pan Balzac z pewnością pozwoli jej występować. Pobłogosławi ją na drogę, wspomocze swymi rozległymi kontaktami i wszystko będzie dobrze.

Trzymaj się, dziewczyno, jak powiedziałaaby Jaynene, a dojedziesz na grzbiecie galopującego konia, dokąd zapragniesz.

Jeszcze raz wykonała numer Tarbella z trzema chusteczkami. David Balzac strzepnął popiół z papierosa wprost na podłogę. Marszczył czoło.

Lewy palec wskazujący trochę wyżej.

Widział pan węzeł?

Gdybym nie widział - warknął Balzac - to z jakiego powodu

kazałbym ci unieść palec. Jeszcze raz.

Jeszcze raz. I pieprzony palec wskazujący pieprzonej lewej ręki wyżej. Odrobinę.

Kolorowe chustki rozdzieliły się i wleciały w powietrze jak flagi.

-Aha.

Nie była to dokładnie pochwała, ale Kara nauczyła się cieszyć nawet z takiego „Aha”.

Zeszła ze sceny. Stała za ladą w zastawionej towarem części sklepowej. Pora

zinwentaryzować dostawę z piątkowego popołudnia. Balzac tymczasem wrócił do komputera.

Na swą stronę pisał artykuł o Jasperze Maskelynie, brytyjskim iluzjoniście, który podczas

drugiej wojny światowej stworzył specjalny oddział, walczący z Niemcami w Afryce

Północnej i używający technik iluzjonistycznych. Pisał z pamięci, bez notatek, bez książek.

Davidowi Balzacowi trzeba było przyznać jedno: jego znajomość magii była tak szeroka, jak

cierpliwość krótka.

-

Słyszał pan, Œe w mieŒcie jest Cirque Fantastique? - krzyknęła. - Pierwsze przedstawienie dziŒ wieczorem.

Stary iluzjonista prychnął cicho.

-

Wybiera się pan? Sądę, Œe powinniŒmy pójŒć.

Cirque Fantastique, groźny konkurent starszego i większego Cirque du Soleil, naleŜał do nowej generacji cyrków. Łączył tradycyjne numery z wiekową tradycją commedia dell'arte, współczesną muzyką i tańcem, teatrem awangardowym i magią uliczną. David Balzac naleŜał jednak do starej szkoły: Vegas, Atlantic City, „The Late Show”.

-

Dlaczego trzeba poprawiać coŒ, co działa doskonale? -
prychnął.

Kara kochała jednak Cirque Fantastique i była zdecydowana wyciągnąć mistrza na

przedstawienie. Nim jednak zdołała przemyśleć sobie argumenty, które skłoniłyby go do

towarzyszenia jej wieczorem, otworzyły się drzwi. Do sklepu weszła ładna, ruda policjantka, spytała o właściciela.

To ja. Nazywam się David Balzac. W czym mogę pomóc?

Prowadzę sprawę, w której podejrzany jest ktoś o umiejętnościach iluzjonisty. Rozmawiamy z właścicielami sklepów handlujących magicznymi akcesoriami, w nadziei że uzyskamy pomoc.

Chodzi pani o jakieś oszustwo, prawda? - spytał Balzac.

W jego głosie słychać było urazę i Kara podzielała to uczucie.

W przeszłości magię często wiązano z oszustami: zręcznymi dłońmi kieszonkowców czy gładkimi szarlatanami taką czy inną

sztuczką przekonującymi zrozpaczone rodziny, że mogą nawiązać

kontakty z duchami ukochanych zmarłych.

Okazało się jednak, że policjantka przyszła w sprawie innego przestępstwa. Spojrzała najpierw na Karę, a następnie na Balzaca.

-

Nie - odparła. - Chodzi mi o morderstwo.

Mam listę części przedmiotów, których ślady odkryliśmy na miejscu zbrodni - powiedziała

Amelia. - Zastanawiam się, czy to pan je sprzedał.

Balzac wziął od niej kartkę papieru i zaczął czytać, a policjantka rozejrzała się dookoła. Sklep „Dym i Lustra” był pomalowaną na czarno jaskinią w okolicy manhattańskiego Chelsea, w dzielnicy fotografów. Pachniał stęchlizną i chemikaliami, także plastikiem; petrochemicznym odorem wydzielanym przez setki kostiumów, ciasno wiszących na wieszakach. Brudne szklane szafki, co najmniej w połowie popękane i sklezione taśmą, kryły talie kart, magiczne różdżki, fałszywe monety i zakurzone pudełka z zestawami do prostych sztuczek. W kącie stała pełnowymiarowa kopia potwora z filmu „Obcy - ósmy pasażer Nostromo”, a obok niego maska i kostium Diany („Bądź Księżniczką

Przyjęcia"; zupełnie jakby nikt tu nie wiedział, że księżniczka Diana nie żyje!). Właściciel postukał palcem w listę, a potem wskazał na półki.

-

Nie sądzę, że bym mógł pani pomóc. Niektóre z tych rzeczy sprzedajemy, to fakt. Podobnie jak wszystkie sklepy z magicznymi akcesoriami w mieście. A także sporo sklepów z zabawkami.

Uwagi Amelii nie umknął istotny fakt: Balzac poświęcił liście zaledwie kilka sekund.

-

Co pan powie o tym? -Wskazała mu wydruk zdjęcia staroświeckich kajdanek.

Męczyzna zerknął na nie bez zainteresowania.

-

Bardzo mi przykro, ale nie wiem nic o eskapologii, sztuce uwalniania się z więzów.

Co to za odpowiedź ?!

-
Czy chce mi pan mówić, że ich pan nie rozpoznaje?

- Właśnie.

* Ale to bardzo ważne. - Amelia próbowała go trochę przycisnąć-

Młoda kobieta o uderzająco niebieskich oczach, z pomalowanymi na czarno paznokciami, przyjrzała się zdjęciu znacznie uważniej.

Łódź - powiedziała. Jej szef obrzucił ją chłodnym spojrzeniem. Umilkła, ale tylko na chwilę. - Regulaminowe kajdanki Scotland Yardu z dziewiętnastego wieku. Używają ich specjaliści od uwalniania się z więzów. Były ulubionymi kajdankami Houdiniego.

- Wie pani, gdzie je można dostać?

Mężczyzna zakłosał się niecierpliwie na swym biurowym

krześle. i' — Skąd mielibyśmy wiedzieć? Przecież powiedziałem już pani,

że w tej dziedzinie nie mamy żadnego doświadczenia.

Dziewczyna przytaknęła skinieniem głowy. p-Z pewnością znajdziecie gdzieś muzeum eskapologii, tam mogliby wam powiedzieć - podsunęła uprzejmie.

-

Kiedy zrobisz inwentaryzację - właściciel zwrócił się do swej pracownicy niezbyt uprzejmym tonem

- chcę, żebyś wypełniła zamówienia. Wczoraj wieczorem, po twoim wyjściu, przyszło ich kilkanaście.

Amelia po raz drugi podała mu listę.

-

Powiedział pan, że sprzedajecie niektóre z tych produktów.

Macie listę klientów.

-

Mówiłem o podobnych produktach. Nie, nie prowadzimy list klientów.

Po jeszcze paru pytaniach pan Balzac w końcu przyznał, że mają listy z kilku ostatnich dni: zamówienia pocztowe i ze sprzedaży internetowej. Dziewczyna sprawdziła je i okazało się, że ostatnio nikt nie kupił niczego z listy.

- Bardzo mi przykro - powiedział Balzac. - żałuję, że nie mogliśmy pani pomóc.

- Wie pan, ja też bardzo żałuję. - Amelia pochyliła się i spojrzała mu w oczy. - Bo, rozumie pan, ten facet zabił kobietę i uciekł, używając magicznych sztuczek. Obawiamy się, że spróbuje ponownie. Pan Balzac skrzywił się, udając, że strasznie go to poruszyło. - Okropne -

przyznał. - Wie pani, radzę spróbować w „Magii eatrze” na East Side. To znacznie większy sklep niż nasz.

-

Jeden z naszych policjantów jest tam w tej chwili.

-

Ach, więc to tak!

Amelia milczała przez długą chwilę; bardzo jej zależało, by to milczenie wydało się obojgu znaczące.

No cóż - rzekła w końcu - jeśli komuś z państwa coś się przy
pomni, byłabym wdzięczna za telefon. - Na jej twarzy pojawił
się słodki uśmiech, uśmiech sieroty („Pamiętajcie, stosunki
ze społecznością są równie ważne jak śledztwa kryminalne”).

Życzę szczęścia, pani władzo - poświecił ją Balzac.

Dziękuję.

Dziękuję, ty apatyczny sukinsynu.

Skinęła dziewczynie na pożegnanie, zauważyła w jej dłoniach kartonowy kubek.

Zna pani jakieś miejsce w okolicy, gdzie można się napić
dobrej kawy?

Róg Piątej i Dziewięćdziesiątej - usłyszała w odpowiedzi.

Mają te doskonałe bajgle - dodał Balzac. Zrobił się jakby
uprzejmiejszy teraz, gdy już nic nie ryzykował i nie musiał się
szczególnie wysilać.

Amelia Sachs wyszła ze sklepu, skręciła w stronę Piątej Alei, znalazła kawiarnię, weszła,
zamówiła cappuccino. Oparła się o wąski bar mahoniowy, zapatrzyła na ulicę za popstrzoną

przez muchy szybą. Ulicą przechodzili typowi mieszkańcy Chelsea: sprzedawcy ze sklepów z ubraniami, fotografowie z asystentkami, bogaci yuppie, którzy kupili tu sobie wielkie strychy w starych domach, młodzi kochankowie, starzy kochankowie; w kawiarni paru dziwaków stukało w klawisze notebooków.

W drzwiach kawiarni pojawiła się takŜe sprzedawczyni ze sklepu z akcesoriami magicznymi.

-

Cześć - powiedziała. Włosy miała ciemnokasztanowate, przez ramię przerzuciła mocno zniszczoną torbę ze sztucznej skóry zebry. Zamówiła duŜą kawę, dopełniła kubek cukrem i przysiadła się do policjantki.

Tam, jeszcze w sklepie, Amelia zapytała o kawę tylko dlatego, Őe w pewnym momencie dziewczyna spojrzała na nią błagalnie. Wydawało się, Őe ma coś do powiedzenia... ale nie chciała, by słucał tego szef.

Kara wypięła wielki łyk kawy.

-

Z Davidem jest taka sprawa, Őe...

-

Nie lubi pomagać?

Zmarszczyła brwi.

- No, tak. To dobre określenie. Nie ufa niczemu, co istnieje poza jego światem i nie chce mieć z tym nic wspólnego. Bał się, że zostaniemy świadkami czy coś takiego. A tymczasem ja nie powinnam się odrywać...

_ Od czego?

Nauki zawodu.

Bp-Magii?

Właśnie. On jest bardziej moim mentorem niż szefem.

Jak pani na imię?

-

Kara. To pseudonim sceniczny, nie prawdziwe imię - słowom tym towarzyszył bolesny uśmiech - ale jest lepszy niż imię wybrane przez rodziców.

Amelia uniosła brwi w niemym pytaniu.

- Lepiej, żeby to pozostało tajemnicą.

- Niech będzie. Dlaczego tam, w sklepie, tak na mnie spojrzałaś?

David miał rację w sprawie listy. Większość tych rzeczy można kupić w dziesiątkach sklepów i setkach miejsc w Internecie.

Ale kajdanki Darbys? One są naprawdę rzadkie. Warto byłoby

skontaktować się z Muzeum Houdiniego i Eskapologii w Nowym Orleanie. Jest najlepsze na świecie. Wyzwalanie się z więzów to

jedna z moich specjalności. Ale jemu o tym nie mówię. - To „jemu” wypowiedziane było z autentycznym szacunkiem. - David...

on zawsze ma swoje zdanie. Proszę mi opowiedzieć o tym morderstwie.

W normalnych warunkach Amelia Sachs z przesadną wręcz ostrością przekazywała osobom postronnym informacje dotyczące toczącego się śledztwa. Ale potrzebowała pomocy tej dziewczyny, więc powiedziała jej w skrócie wszystko, co wiedziała o samym morderstwie i o ucieczce sprawcy

-

Jakie to straszne - szepnęła Kara.

Bp Owszem, potworne.

- A jeśli chodzi o to, jak znikł, to powinna pani coś wiedzieć. Zaraz... jak mam się do pani zwracać? Pani władzo? A może detektywie czy jakoś tak.

- Amelia wystarczy. - Przypomniał jej się egzamin praktyczny- Pif, paf. To było miłe wspomnienie.

Kara wypła kolejny łyk kawy, uznała, że nie jest wystarczająco słodka, przekreśliła wieczko pojemnika z cukrem i wsypała do kubka całkiem sporą porcję. Amelia obserwowała jej zręczne dłonie, a potem spojrzała na swe paznokcie, z których dwa były obgryzione i

otoczone obwódka krwi. Tymczasem paznokcie Kary były elegancko wymanikiurowane i

polakierowane; odbijały się w nich, w miniaturze, wiszące nad ich głowami lampy. Serce jej drgnęło - tak doskonały manikiur, tak doskonała samokontrola - ale Amelia Sachs szybko je uspokoiła.

Wiesz, kto to taki iluzjoniści? - spytała Kara.

David Copperfield. -Amelia wzruszyła ramionami. - Houdini.

Copperfield tak, Houdini nie. Houdini specjalizował się

w eskapologii. Jakby to powiedzieć... iluzjoniści różnią się od magików uprawiających sztuczki, małą magię, jak my ją nazywamy.

To jest jak... - Położyła na dłoni ćwierćdolarówkę, resztę za kawę.

Zamknęła dłoń, a kiedy ją otworzyła, monety nie było.

Amelia patrzyła na nią z uśmiechem. Gdzie znikła ta ćwiartka, do diabła?

To jest właśnie sztuczka. Iluzjonista wykorzystuje duże przedmioty, ludzi, zwierzęta. To, co zrobił morderca, to klasyczny numer, który nazywamy „Znikającym człowiekiem”.

Mów dalej.

Na ogół iluzjonista znika z zamkniętego pokoju. Widzowie widzą, jak wchodzi do środka, taki pokój stawia się na scenie, tylną ścianę widzą dzięki stojącym za nią wielkim lustrom. Słyszą, jak uderza w ściany. Asystent przewraca ściany, a iluzjonisty niema. A potem jeden z asystentów odwraca się i wszyscy widzą, że to właśnie on.

Jak to się robi?

W tylnej ścianie pokoju są drzwi. Iluzjonista okrywa się dużym kawałkiem czarnego jedwabiu, żeby nie było go widać w lustrze i wychodzi przez nie zaraz po tym, jak wszedł do środka.

W jedną ze ścian wbudowany jest głośnik, dzięki któremu widzowie wierzą, że on nadal jest w środku, no i urządzenie imitujące

uderzenia w ściany. Kiedy iluzjonista wydostanie się z pokoju, pod jedwabiem przebiera się w kostium asystenta.

Amelia skinęła głową.

-

O, właśnie. Było dokładnie tak. Dasz nam krótką listę ludzi, którzy znają ten numer.

-

Bardzo mi przykro, ale naleŜy on do tych prostszych.

Znikający człowiek.

Amelia Sachs przypomniała sobie, jak szybko zabójca zmienił kostium, jak błyskawicznie udało mu się stać starszym człowiekiem. No i pamiętała oczywiście wyraźną niechęć Davida Balzaca i zimny, niemal sadystyczny błysk w jego oczach, gdy zwracał się do asystentki.

Muszę cię o to spytać, Karo. Gdzie on był dziś rano?

Kto?

Twój szef.

Tu. To znaczy tam, gdzie ma sklep. Mieszka piętro wyŜej...

zaczeka]! Chyba nie myślisz, Őe miał z tym coś wspólnego?

Takie pytania po prostu musimy zadawać - powiedziała wy

mijająco Amelia. Ale Karę jej pytanie raczej rozbawiło, niŜ poru
szyło. Roześmiała się całkiem szczerze.

Słuchaj, wiem, Őe nie jest przesadnie sympatyczny i ma...

charakterek. No wiesz, temperament. Ale nigdy nikogo nie
skrzywdził.

Policjantka skinęła głową. Nieobowiązująco.

Ale wiesz, gdzie był o ósmej rano?

Oczywiście. W sklepie. Wstał wcześniej, bo w mieście jest któryś z jego przyjaciół, przygotowuje przedstawienie i chciał coś poŚyczyć. Dzwoniłam powiedzieć, Őe się spóźnię.

No tak. Jeszcze jedno pytanie.

MoŜesz zwolnić się z pracy? Na krótko.

Ja? AleŜ skąd, niemoŜliwe. - Dziewczyna roześmiała się

krótko, zawstydzona. - Miałam szczęście, Őe udało mi się wyślizgnąć ze sklepu na tę

rozmowę. JuŜ nie mówię, Őe w sklepie jest do

zrobienia z tysiąc róŜnych rzeczy, ale potem czekają mnie

trzy-cztery godziny prób z Davidem. Jutro mam pokaz. Nie pozwoli mi odpoczywać w dzień przed pokazem.

Amelia spojrzała prosto w jej czyste, niebieskie oczy.

-

My naprawdę się boimy, Őe ten człowiek będzie dalej zabi jał.

Kara spuściła wzrok na lepki bar, przy którym siedziały.

Nie pozwoli mi. Nie znasz Davida.

Wiem tylko jedno: nie pozwolę, by ktoś został skrzywdzony,, jeśli mogę temu zapobiec.

Dziewczyna dopiła kawę. Obracała kubek w palcach.

-
Uśywa naszych sztuczek, Őeby zabijać ludzi - szepnęła.

Amelia Sachs nie odezwała się. Uznała, Őe milczenie jest jej najlepszym sprzymierzeńcem. Decyzja wreszcie zapadła.

Moja mama jest w domu opieki. Czasami biorą ją do szpitala, czasami wypuszczają. Pan Balzac o tym wie. Chyba mogę mu powiedzieć, Őe muszę sprawdzić, jak się czuje.

Twoja pomoc naprawdę się nam przyda.

Niech będzie. - Kara tylko machnęła ręką. - Őeby chora matka słuŐyła za wymówkę, by wyrwać się z pracy... Bóg mnie za to nie pokocha.

W tym momencie Amelia spojrzała na doskonale wypielęgnowane paznokcie.

-
To juŐ będzie ostatnie pytanie - obiecała. - Co się stało z tą ćwiartką?

Zajrzyj pod swój kubek.

NiemoŐliwe!

Nie! Nie ma mowy!

A jednak podniosła kubek. I dostrzegła leŐącą pod nim monetę.

-
Jak to zrobiłaś? - spytała zdumiona.

Kara uśmiechnęła się enigmatycznie. Gestem głowy wskazała ekspresy.

Weźmy sobie po jednej na drogę. - Wzięła monetę. - Orzeł:

ty płacisz, reszka - ja. Trzy próby. Zgoda? - Rzuciła monetę, zła pała ją.

Jasne.

Dziewczyna otworzyła dłoń i przyjrzała jej się z zaciekawieniem.

Wystarczą dwie z trzech?

Oczywiście.

Wyciągnęła dłoń, podstawiała ją Amelii pod nos. Leżały na niej trzy monety, dwie dziesiątki i piątka. Po ćwierćdolarówce nie pozostał ślad, nawet najmniejszy ślad. I wszystkie orłem do góry.

-
Wygląda na to, że ty stawiasz.

L incolnie, poznaj Karę.

Rhyme od razu dostrzegł, że dziewczyna została uprzedzona, ale mimo to najpierw zamrugła ze zdumienia, a potem posłała mu Spojrzenie. Znał je równie dobrze jak towarzyszący mu

Uśmiech. Spojrzenie mówiło: „Tylko nie gap się na jego ciało”, Uśmiech zaś: „Och, pan jest

sparliŝowany, wcale tego nie zauwaŝyłam".

Widziaŝ, ŝe dziewczyna będzie liczyć sekundy dzielące ją do chwili, gdy uwolni się od jego obecności.

Kara zrobiła kilka energicznych kroków w gŝb pokoju - laboratorium miejskiego domu

Lincolna Rhyme'a.

- Czeŝć. Amelia poprosiła, ŝeby pomogła wam w tej waszej sprawie, ŝledztwie, czy jak to nazywacie. Miŝo was poznać.

Ale nadal wpatrywała się w oczy Rhyme'a. Jedno moŝna było jej jednak przyznać - nie pochyliła się lekko do przodu, co sygnalizowało zbyt pŝźno powstrzymaną ochotę na podanie mu dŝoni... i przeraŝenie tak strasznym faux pas.

W porządku, Kara, nie martw się. Moŝesz powiedzieć kalece, co myŝlisz, i wynieŝć się stąd w diabŝy.

Uŝmiechnął się do niej dokŝadnie tak, jak ona uŝmiechała się do niego: samymi ustami, i oŝwiadczył uprzejmie, ŝe bardzo się cieszy, mogąc ją poznać.

Twierdzenie to wcale nie było nieszczerze, przynajmniej pod wzgŝdem zawodowym. Jak się okazaŝo, Kara była jedynym iluzjonistą, który wpadł w ich sieć. Nikt z pracowników sklepów tej branŝy w mieŝcie nie udzielił im ŝadnych przydatnych informacji, wszyscy mieli alibi na czas zbrodni.

Przedstawiono jej Łona Sellitta i Mela Coopera. Thom zrobił to, co robił zawsze w podobnej sytuacji, czy gospodarzowi się podobaŝo, czy nie. Zaoferowaŝ poczęstunek.

-

To nie jest koŝcielne spotkanie po naboŝeństwie - burknął pod nosem Rhyme.

Kara odparła „dziękuje", ale Thom nalegał.

-
Dostanę kawę? - spytała w końcu dziewczyna.

-
JuŜ się robi.

Czarną. Z cukrem. DuŜo cukru, jeśli to moŜliwe.

Doprawdy... - zaprotestował Rhyme.

Zrobię dla wszystkich - oznajmił Thom. - Zaparzę dzbanek.

Mam teŜ bajgle.

Bajgle? - oŜywił się natychmiast Sellitto.

W wolnym czasie mógłbyś otworzyć restaurację - warknął

Rhyme. - Tam dopiero zaopiekowałbyś się gośćmi!

Jakim wolnym czasie? - odciął się Thom zza kuchennych
drzwi.

Rhyme zwrócił się do Kary:

Sachs powiedziała mi przed chwilą, Œe dysponujesz informacjami, które mogłyby nam
pomóc.

Chyba tak, chociaŜ nie jestem pewna.

- I znów to spojrzenie

na jego twarz. Znów Spojrzenie. Tym razem znacznie uważniejsze. Och, na litość boską,

powiedz coś. Zapytaj, jak to się stało?

Czy boli? Jak to jest sikać w rurkę?

Hej, jak go nazwiemy? - spytał Sellitto, stukając w białą ta

blicę. Póki nie ustalono tożsamości „nieznanego sprawcy”, poli

cjanci chętnie nadawali mu przydomki. - Może „Czarodziej”?

Nie, to zbyt łagodne określenie. - Rhyme spojrział na zdjęcia

ofiary. - Lepiej będzie „Mag”. - Zaskoczył sam siebie, że słowami

nigdy przecież nie szło mu najlepiej.

-

Niech będzie. - Sellitto zapisał to słowo dość niechlujnie.

Mag.

Dobrze, a teraz spróbujmy tak go zaczarować, by się przed

nami pojawił.

Opowiedz im o „Znikającym człowieku”.

Dziewczyna przecesała dłonią przycięte po chłopięcemu włosy. Opowiedziała o

iluzjonistycznej sztuczce do złudzenia przypominającej to, czego dokonał ich Mag w szkole

muzycznej. Dodała także wypowiedzianą już wcześniej, a bardzo dla nich nieprzyjemną myśl:

Ten numer znają prawie wszyscy, którzy liczą się w branży.

- Pokaż nam jakoś, jak robi się takie rzeczy - poprosił Rhyme. chodzi mi o technikę

iluzjonistów. żebyśmy wiedzieli, czego oczekiwać, gdyby namierzył kogoś jeszcze. Pan chce, żebyśmy puściła farbę?

Co puściła?

HijaFarbę - powtórzyła Kara, a potem wyjaśniła: - Każda magiczna sztuczka składa się z efektu i metody. Efekt widzi widownia. No, rozumie pan: lewitująca dziewczyna, monety spadające przez gruby blat stołu. Metoda to mechanizm, którym posługują się magicy, by osiągnąć efekt: struny podtrzymujące dziewczynę, zgarńnięcie monet i w tej samej chwili wyrzucenie identycznych z ukrytej szuflady pod blatem.

Efekt i metoda, pomyślał Rhyme. Podobnie przecieŜ sam postępuję. Efektem jest złapanie sprawcy, kiedy wydaje się to niemoŜliwe. Metoda to nauka i logika, które nam to umoŜliwiają. Kara mówiła dalej:

- Puszczanie farby oznacza w naszym języku zdradzenie metody. Właśnie to robiłam, wyjaśniając wam, jak się wykonuje ten numer. To dość powaŜna sprawa. Pan Balzac, mój mentor, dosłownie poluje na magików puszczających publicznie farbę i zdradzających metody innych.

Thom wtoczył do pokoju tacę. Nalał kawy tym, którzy chcieli. Kara osłodziła swoją i piła ją szybko, choć Rhymowi kawa wydawała się tak gorąca, Ŝe wręcz nienadająca się do picia.

Zerknął na butelkę osiemnastoletniego macallana stojącą na półce regału na ksiąŜki po przeciwnej stronie pokoju. Thom dostrzegł jego spojrzenie.

- Przed południem? Nawet o tym nie marz - powiedział twardo.

Sellitto podobnym, pełnym poŜądania spojrzeniem obrzucił bajgle. Ale zjadł tylko połówkę.

Bez sera śmietankowego. Widać było, Ŝe z każdym kęsem cierpi coraz bardziej.

Wraz z Karą przejrzeni całą sporządzoną przez Amelię listę. Wiadomości nie były najlepsze: większość tych rzeczy moŜna było kupić w dosłownie setkach róŜnych miejsc. Sznur słuŜył do numeru ze zmieniającą kolor liną, sprzedawał go FAO Schwarz oraz sklepy z akcesoriami magicznymi w całym kraju. Węzeł był wynalazkiem Houdiniego, stosowanym przez niego, gdy zamierzał Przeciąć sznur; skrępowani nim nie mogli się wyswobodzić. BP'l bez

kajdanków ta dziewczyna nie miała Śadnej szansy ~ powiedziała cicho Kara.

s

Czy jest czymś wyjątkowym? Ten węzeł? Nie - odparła natychmiast. - Zna go kaŚdy, kto choćby pobieŚnie zapoznał się z karierą Houdiniego.

Olej rycynowy w makijaŚu, mówiła dalej, oznacza, Śe sprawca uŚywał bardzo dobrych i trwałych profesjonalnych kosmetyków teatralnych, a lateks pochodził, czego Rhyme domyŚlił się wcześniej, najprawdopodobniej z gumowych nakładek na palce, zresztą bardzo

popularnych wśród prestidigitatorów. Alginian - jej zdaniem - nie miał nic wspólnego z

gabinetem dentystycznym, lecz raczej słuŚył jako forma do lateksu, moŚe nakładek na palce, a moŚe łysiny, której potrzebował do wcielenia się w woźnego. Znikający atrament naleŚało uznać za ciekawostkę, choć bywał jeszcze uŚywany przez iluzjonistów, przynajmniej od

czasu do czasu.

Tylko kilka spraw było tu naprawdę interesujących - tłumaczyła Kara. Na przykład układ scalony (który nazwała sztuczką, rekwizytem ukrytym przed widownią). Ale ten układ sprawca sporządził własnoręcznie. Kajdanki Darbys takŚe naleŚały do rzadkości. Rhyme natychmiast polecił, by ktoś skontaktował się z muzeum, o którym wspomniała dziewczyna.

Amelia zasugerowała, by wciągnąć w sprawę dwie młode policjantki, Franciscovich i Ausonio, które pierwsze znalazły się na miejscu zbrodni i juŚ zgłosiły się do pomocy. To zadanie wydawało się wręcz wymarzone dla pełnych entuzjazmu nowicjuszek. Lincoln Rhyme się zgodził, a Sellitto załatwił formalności z szefem patrolu.

A jak wygląda ta sprawa z jego ucieczką? - spytał Sellitto.

- Jakim cudem udało mu się tak szybko przebrać za woźnego?

Nazywamy to magią proteańską - wyjaśniła Kara. - Szybka zmiana wyglądu. To jedna z tych rzeczy, które studiuję od lat. Sto suję jej elementy w moich przedstawieniach, ale są tacy, którzy

zajmują się tylko tym. Rezultaty bywają doprawdy zdumiewające. Kilka lat temu widziałam Arthura Brachettiego. Wykonywał trzydzieści-czterdzieści zmian w ciągu jednego przedstawienia, a niektóre z nich zajmowały mu mniej niż trzy sekundy.

Trzy sekundy?

Tak, właśnie tak. Ale powiedzmy sobie, że ci ludzie nie tylko szybko zmieniają kostiumy, lecz są także aktorami. Po każdym przebraniu chodzą inaczej, inaczej się trzymają, inaczej mówią. Przygotowują się ze sporym wyprzedzeniem. Kostiumy mogą z siebie zdzierać, bo one trzymają się na zatrzaski albo rzepy. Większość z szybkich zmian polega właściwie na tym, żeby się szybko rozebrać. A kostiumy robione są przeważnie z jedwabiu albo nylonu, bardzo cienkie, więc można wkładać jeden na drugi, ja sama pod scenicznym strojem noszę do pięciu warstw.

-

Jedwab? - zdziwił się Rhyme. - Znaleźliśmy włókna szarego jedwabiu. Policjantki, które pierwsze pojawiły się na miejscu, poinformowały nas, że woźny miał na sobie szary kombinezon. Stary, zniszczony, taki jakby... matowy.

Kara skinęła głową.

-

Miał wyglądać jak bawełna lub len. Nie błyszczyć. Mamy składane kapelusze, pokrowce na bury, teleskopowe parasolki, specjalne torby sklepowe, mnóstwo rekwizytów, które można ukryć na ciele. No i oczywiście peruki.

Najważniejsze w odmienianiu twarzy - mówiła dalej - są brwi. Zmienić je i twarz odmieniona jest w sześćdziesięciu, siedemdziesięciu procentach. Potem dodajemy „protezy”, nazywane także „dodatkami”: paski z lateksu, podkładki przyklepane klejem charakteryzatorskim i tak dalej. Jeśli zajmujesz się takimi szybkimi zmianami, musisz bardzo dokładnie studiować budowę twarzy różnych ras i płci. Prawdziwy artysta szybkiej zmiany doskonale wie, jakie

proporcje ma twarz kobieca, a jakie męska, i potrafi zmienić płeć w ciągu kilku sekund.

Badamy także psychologiczne reakcje na twarze i mowę ciała, więc możemy być piękni, obrzydliwi, przerażający, sympatyczni, bezradni w zależności od tego, czego potrzebujemy akurat w tej chwili.

Ten wykład magii był jak dotąd bardzo interesujący, ale Rhyme miał pewne wątpliwości.

-

Potrafisz wskazać nam coś, co ułatwiłoby jego złapanie?

Kara potrząsnęła głową.

Nie umiem znaleźć niczego, co naprowadziłoby was na jakiś szczególny sklep albo osobę. Ale mam pewne ogólne sugestie.

Więc podziel się nimi.

Według mnie wygląda to tak. Fakt, że uśmiech zmieniającej kolor

liny i nakładek na palce, świadczy, że zna magię zręcznej ręki. To

z kolei oznacza, że jest sprawnym kieszonkowcem, że potrafi ukryć

przy ciele pistolety, noże, tego rodzaju rzeczy. Potrafi doskonale

kraść ludziom kluczyki do samochodu, portfele, no, rozumiecie.

Potrafi także błyskawicznie zmieniać wygląd; nie trzeba chyba tłumaczyć, jak wielkie ma to dla was znaczenie. Ale najważniejsze jest coś innego; „Znikający człowiek”, zapalniki i fajerwerki, znikający atrament, czarny jedwab, ten błysk światła świadczy o tym, że jest to iluzjonista wyćwiczony w magii klasycznej.

W tym momencie wyjaśniła różnice między małą magią zręcznej ręki a iluzjonistami posługującymi się dużymi przedmiotami.

-

Dlaczego ma to być dla nas ważne?

Kara skinęła głową.

Ponieważ iluzja to coś więcej niż techniki fizyczne. Iluzjonista studiuje psychologię widowni i tworzy swe przedstawienie tak, by ją oszukać. Nie tylko oczy, także umysły. Najważniejsze jest nie to, by widzowie śmiali się, ponieważ znikła ćwierćdola-rówka, lecz to, by wierzyli w głębi serca w coś, podczas gdy prawdziwe jest coś zupełnie innego. O tym musicie pamiętać.

Cały czas, w każdej chwili.

O czym właściwie? - zdziwił się Rhyme.

Zbijanie z tropu. Pan Balzac twierdzi, że to serce i dusza magii iluzjonistycznej. Słyszeliście może powiedzenie, że ręka jest szybsza niż oko? No więc to nieprawda. Oko zawsze jest szybsze.

Iluzjonista oszukuje oko tak, by nie widziało, co robi dłoń.

Chodzi o zmylenie, odwrócenie uwagi, tak? - spytał Sellitto.

Po części tak. Odwrócenie uwagi polega na tym, by widzowie widzieli to, co chcesz, a nie widzieli tego, czego nie powinni.

Jest mnóstwo zasad, które pan Balzac wbijał mi do głowy. Na

przykład taka, że widzowie nie widzą tego, co jest dla nich wiadome, za to zwrócą uwagę na wszystko, co nowe. Nie zwrócą uwagi na serię podobnych ruchów, ale natychmiast zauważą, jeśli któryś się od nich różni. Nie przyciąga ich uwagi to, co nieruchome, ale natychmiast zwrócą uwagę na ruch. Chcesz uczynić coś niewidzialnym? Pokaż to parę razy, a widzowie znudzą się i chętnie zajmą czymś innym. Mogą patrzeć ci na ręce i nie widzieć, co na

prawdę robisz. I wtedy się ich oszukuje.

Ale do rzeczy. Ten człowiek będzie was mylił na dwa sposoby. Po pierwsze, fizycznie. - Kara podeszła do Amelii. Spojrzała na swą prawą rękę. Podniosła ją i wskazała ścianę. Zmrużyła oczy. Po czym nagle opuściła rękę. - No i widzicie? Patrzyliście na rękę i miejsce, które wam wskazałam. To bardzo naturalna reakcja. Więc prawdopodobnie nikt nie zauważył, co trzymam w drugiej dłoni.

Amelia Sachs drgnęła. Opuściła wzrok i oczywiście Kara zdążyła wyciągnąć jej glocka z kabury.

Z tym ostrożnie - ostrzegła, doprowadzając się do porządku.

A teraz spójrzcie tam, w róg - poleciała dziewczyna, wskazując właściwe miejsce prawą ręką.

Ale tym razem wszyscy obecni,

łącznie z Rhymem, uważnie obserwowali jej lewą dłoń.

Złapaliście mnie, co? - Kara roześmiała się wesoło. - Tylko

nie zauważyliście, że stopą przesuwam to coś białego, co stoi za stołem.

Nocnik - wyjaśnił uprzejmie Rhyme. Nie spodobało mu się,

że znów został oszukany, ale miał wrażenie, że zdobył co naj

mniej punkt lub dwa, wymieniając nazwę tego szczególnego na czynia.

Naprawdę? - Kara nie sprawiała wrażenia zszokowanej. -

Niech będzie, ale to nie był tylko nocnik, lecz przede wszystkim odwrócenie uwagi. Kiedy tak się w niego wpatrywaliście, robi

łam coś drugą ręką. Czy to ważne? - spytała Amelię, wręczając jej pojemnik z gazem łzawiącym.

Amelia Sachs skrzywiła się i spojrzała na swój policyjny pas, sprawdzając, czego w nim brakuje, po czym umieściła pojemnik we właściwym miejscu.

-

Więc wiecie już, jak wygląda fizyczne odwrócenie uwagi. Jest całkiem łatwe. Z psychiką to już zupełnie inna sprawa. Widzowie nie są przecież głupi. Wiedzą, że zamierzamy ich oszukać. W końcu przyszli na przedstawienie właśnie po to, żeby ich oszukiwano.

Więc próbujemy wyeliminować albo przynajmniej zredukować podejrzania widowni. Najważniejsze w psychicznym odwróceniu uwagi jest to, by zachowywać się możliwie najnaturalniej. Zachowujesz się tak, jak spodziewają się tego widzowie, i mówisz to, co spodziewają się usłyszeć. Ale pod tą maską możesz nawet popełnić... - zamilkła, nagle zdając sobie sprawę, że omal nie wypowiedziała słowa, doskonale opisującego to, co dziś rano spotkało młodą studentkę szkoły muzycznej. - W każdym razie - kontynuowała - jeśli zrobisz coś nienaturalnego, widzowie rzucą się na ciebie jak sfora wygłodzonych psów. Na przykład: zapowiem, że mam zamiar czytać ci w myślach. - Kara przyłożyła dłonie do skroni Amelii Sachs i na chwilę przymknęła oczy. Następnie odstąpiła o krok

i podała policjantce kolczyk, który wyciągnęła z jej lewego ucha.

Przecież nic nie poczułam!

Ale widzowie od razu się zorientują, jak to zrobiłam, ponieważ dotyk przy czytaniu w myślach, w które i tak praktycznie nikt nie wierzy, nie jest czymś naturalnym. Ale jeśli powiem, że częścią sztuczki jest wypowiedzenie na ucho słowa, którego nikt nie może usłyszeć - pochyliła się i szepnęła coś do ucha Amelii ~ to ten ruch jest zupełnie naturalny.

Ale nadal mam kolczyk! - Na wszelki wypadek osłoniła ucho dłonią.

-

Bo zniknął ci nie kolczyk, tylko naszyjnik. Jeśli mi nie wierzysz, to sprawdź.

Nawet Lincoln Rhyme był pod wrażeniem talentu dziewczyny... a poza tym bawiła go speszona mina Amelii, która ciągle traciła osobiste dobra. Sellitto śmiał się radośnie jak dziecko, a Mel Cooper nawet nie udawał, że zajmuje się dowodami. Policjantka rozglądała się dookoła bezradnie. Spojrzała na Karę. Dziewczyna pokazała jej pustą prawą rękę.

-

Zniknął ci naszyjnik - powtórzyła.

Rhyme nie miał zamiaru dać się wywieść w pole.

A ja zauważyłem coś dziwnego. Lewą dłoń zaciskasz w pięść i przesuwasz za nogę, co nawiasem mówiąc, nie jest wcale takie naturalne. Zakładam więc, że naszyjnik trzymasz w lewej dłoni. Och, pan jest naprawdę dobry - powiedziała Kara i nagle roześmiała się wesoło. - Ale nie w śledzeniu ruchu. - Otworzyła lewą dłoń, równieś pustą.

Rhyme się skrzywił.

-

Trzymałam lewą pięść za nogą dlatego, że była to najważniejsza zmyłka. Wiedziałam, że pan to zauważy i na niej skupi uwagę. Nazywamy to „zmuszaniem”. Zmusiłam pana, by pan uznał, że rozszyfrował moją metodę. Gdy tylko nabrał pan pewności, że się udało, pański umysł zamknął się na wszystkie inne możliwe wyjaśnienia tego, co się stało. Sprawiałam, że patrzyliście na moją lewą rękę i dzięki temu miałam okazję wsunąć naszyjnik do kieszeni munduru właścicielki.

Amelia Sachs posłusznie wyjęła go z kieszeni na piersi kurtki mundurowej.

Cooper zaczął bić brawo. Lincoln Rhyme chrząknął tylko, ale była to niewątpliwa pochwała.

Kara skinęła głową w stronę tablicy.

-

Morderca postąpi właśnie tak. Zmyłka za zmyłką. Będziecie pewni, że wiecie, o co mu chodzi, ale to tylko część jego planu. Użyje przeciw wam wszystkich waszych podejrzeń i całej waszej inteligencji dokładnie tak, jak ja to zrobiłam. W rzeczywistości jest jeszcze gorzej: żeby jego sztuczki działały, musi mieć wasze podejrzania i waszą inteligencję. Pan Balzac powtórza, że najlepsi iluzjoniści przygotowują sztukę tak perfekcyjnie, że w rzeczywistości wskazują na metodę, na to, co i jak chcą osiągnąć, ale my im nie wierzymy. Patrzymy w innym kierunku. Kiedy to się zdarzy, to koniec. Wy przegraliście, on wygrał.

Wzmianka o Davidzie Balzacu, czyli mentorze, najwyraźniej wstrząsnęła Karą. Dziewczyna zerknęła na wiszący na ścianie zegar i skrzywiła się lekko.

-

Muszę wracać. Za długo nie ma mnie w sklepie.

Amelia podziękowała jej szczerze, a Sellitto podjął się znaleźć samochód, którym odwiózłby ją do pracy.

Nie chcę, żeby zatrzymał się pod sklepem. Nie chcę, żeby

David wiedział, gdzie byłam. Aha! Jest jedna rzecz, którą mogli byście zrobić. Do miasta przyjechał cyrk. Cirque Fantastique.

Wiem, że mają w programie szybkie zmiany. Obejrzyjcie sobie, jak to działa.

Rozstawili namiot dosłownie po przeciwnej stronie ulicy,

w Central Parku - wtrąciła Amelia.

Wiosną i latem w parku organizowano wiele dużych imprez na otwartym powietrzu. Lincoln

Rhyme i Amelia Sachs „uczestniczyli” kiedyś w koncercie Paula Simona, po prostu siedząc w otwartym oknie sypialni Rhyme'a.

Ach, to oni przez całą noc grali tę straszną muzykę!

Nie lubisz cyrku, Lincolnie? - zdziwił się Sellitto.

Oczywiście, że nie lubię cyrku! A kto lubi? Fatalne śmiecie,

klauni i akrobaci ryzykujący śmiecie na oczach dzieci... Ale... -

Spojrzał na Karę. - To bardzo konstruktywny pomysł. Dziękuję

ci. Ktoś z nas powinien wcześniej na to wpaść - zakończył sucho,

obrzucając współpracowników oskarżycielskim spojrzeniem.

Patrzył, jak dziewczyna zarzuca na ramię okropną czarno--białą torbę. Ucieka przed nim,

ucieka w świat bez kalek, zabiera ze sobą Spojrzenie i Uśmiech...

Zaczekaj - powiedział, zaskakując sam siebie.

Kara odwróciła się zdumiona.

Chciałbym, żebyś z nami została.

-Co?

żebyś pracowała z nami przy tej sprawie. Przynajmniej dziś.

Mogłabyś towarzyszyć Lonowi lub Amelii, kiedy będą rozmawia

li z ludźmi z cyrku. A poza tym znajdziemy pewnie kolejne ma

giczne tropy.

Och, nie. Naprawdę nie mogę. Już i tak z trudem wyrwałam

się ze sklepu. Nie mogę poświęcić wam więcej czasu.

jl - Twoja pomoc bardzo by się nam przydała - nalegał Rhyme. - O sprawcy niemal nic nie

wiemy. Mamy same powierzchowne informacje.

-

Poznałaś pana Balzaca - Kara zwróciła się wprost do Amelii.

In nomine Patri...

Wiesz, Linc... - Lon Sellitto zawahał się - lepiej nie angażować cywilów do współpracy w toczącym się śledztwie. Są na to nawet odpowiednie paragrafy.

A czy przypadkiem nie zdarzyło ci się kiedyś zaangażować wróski? - spytał sucho Rhyme.

Odczep się! Zrobił to ktoś z szefostwa.

Potem był ten twój tropiący pies i...

Nie „ja” i nie „mój”, przyjmij to wreszcie do wiadomości.

Nie, ja nie angażuję cywilów... wyjąwszy ciebie. Przez co natychmiast wpadam w gówno.

W policyjnej robocie nie da się uniknąć gówna. - Rhyme

spojrzał na Karę. - Proszę. To bardzo ważne. Naprawdę.

Dziewczyna zawahała się.

-

Naprawdę sądzicie, że dalej będzie zabijał?

-
Nie mamy wątpliwości.

Kara skinęła głową.

-
Wylecę z pracy, ale przynajmniej przysłuŜę się dobrej sprawie - rzekła filozoficznie. I nagle roześmiała się wesoło. -Wiecie,

Ŝe Robert-Houdin zrobił kiedyś coś bardzo podobnego?

-Kto?

Słynny francuski iluzjonista i magik. On teŜ pomagał policji, a ściśle mówiąc, francuskiej armii. Kiedyś, nie pamiętam kiedy, w kaŜdym razie w dziewiętnastym wieku, byli tacy algierscy

ekstremiści, marabuci. Próbowali skłonić miejscowe plemiona do

walki przeciw Francuzom. Twierdzili, Ŝe dysponują nadnaturalnymi mocami. Rząd Francji

wysłał go do Algierii na coś w rodzaju

magicznego pojedynku, Ŝeby udowodnił tubylcom, Ŝe Francuzi

mają lepszą magię, no wiecie, większą moc. I udało mu się. Wypadł lepiej niŜ marabuci. -

Zawahała się chwilę. - Ale zdaje się,

Ŝe omal przy tym nie zginął.

Nie obawiaj się - pocieszyła ją Amelia. - JuŜ ja dopilnuję,

Ŝeby nic ci się nie stało.

Kara przyjrzała się tablicy.

Robicie tak przy kaŹdej sprawie? To znaczy zapisujecie, ja

kie macie dowody i czego siê dowiedzieliŹcie?

OczywiŹcie - potwierdziła Amelia.

Mam pewien pomysł. WiêkszoŹ magików specjalizuje siê

w jakiejŹ określonej dziedzinie. A wasz Mag juŹ połączył szybko

zmianę z iluzją w wielkiej skali. To niezwykle. Zapiszmy sobie jego techniki. To pomoŹe zmniejszyc liczbę podejrzanych.

-

Jasne - ucieszył siê Sellitto. - Profil sprawcy. Doskonały pomysł.

Kara znów siê skrzywiła.

Tylko potrzebujemy kogoŹ, kto zastąpiłby mnie w sklepie.

Pan Balzac musi wyjŹc z tym swoim przyjacielem... o BoŹe, to musiê nie spodoba. -

Rozejrzała siê dookoła. - Czy jest tu jakiś tele

fon, z którego mogłabym skorzystać? Taki specjalny?

Jak to specjalny? - spytał Thom.

Prywatny. Źeby nikt nie słyŹał, jak kłamię szefowi.

Ach, taki? - Opiekun Rhyme'a objął ją i poprowadził do

drzwi. - Do tego celu uŹywam telefonu w korytarzu.

MAG

Miejsce zbrodni w szkole muzycznej

Opis sprawcy: brązowe włosy, fałszywa broda, brak cech szczególnych, wiek - około pięćdziesięciu lat, budowa ciała średnia, wzrost średni. Mały i serdeczny palec lewej ręki złączone. Błyskawicznie zmienił kostium, by upodobnić się do starego, łysego woźnego.

Motyw: nieznany.

Ofiara: Świetlana Rasnikow.

Studiaienne.

Sprawdzić rodzinę, przyjaciół, studentów, pracowników pod kątem ewentualnego motywu.

Nie miała chłopaka ani znanych wrogów. Występowała na urodzinowych przyjęciach dziecięcych.

-

Układ scalony z podłączonym głośnikiem.

Wysłany do FBI do badania.

Magnetofon cyfrowy, prawdopodobnie z nagraniem głosem sprawcy. Wszystkie dane zniszczone.

Magnetofon jest „sztuczką”. Produkcja robota.

Użył staroświeckich żelaznych kajdanek do skrupowania ofiary.

Kajdanki firmy Darbys, stare, produkcji brytyjskiej. Sprawdzić w Muzeum Houdiniego w Nowym Orleanie.

Zegarek ofiary zniszczony. Zatrzymał się dokładnie o ósmej rano.

Bawełniane nici łączące krzesła. Brak nazwy firmy. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Petarda imitująca strzał. Zniszczona.

Zbyt popularna, by wysledzić źródło.

Zapalniki: brak nazwy firmy. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Funkcjonariuszki wezwane na miejsce mówią o silnym błysku. Nie znaleziono mikrośladów.

Prawdopodobnie pochodził z pirowaty lub piropapieru. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Buty sprawcy: Ecco numer 10.

Włókna jedwabiu ufarbowanego na szaro, zmatowionego.

Z kostiumu woźnego, szybka zmiana.

-

Sprawca prawdopodobnie nosi brązową perukę.

Czerwona hikora i porost *Parmelia conspersa* pochodzą najprawdopodobniej z Central Parku.

Ziemia nasycona rzadko występującym olejem mineralnym.

Wysłana do FBI do analizy.

Czarny jedwab, 1,80m x 1,20m. Używany jako kamuflaż. Źródło nie do wyśledzenia.

Często używany przez iluzjonistów.

-

Używa nakładek na palce maskujących odciski.

Nakładki na palec.

Ślady lateksu, oleju rycynowego, makijażu. Używane przy makijażu teatralnym

Ślady alginianu.

Używany jako forma do lateksowych „dodatków”.

-

Narzędzie zbrodni: biały sznur z plecionego jedwabiu z czarnym jedwabnym środkiem.

Sznur należy do akcesoriów magicznych. Zmienia kolor. Źródło nie do wyśledzenia.

-

Niezwykły węzeł.

Wysłany do FBI i Muzeum Marynarki. Brak informacji. Węzeł stosowany przez Houdiniego podczas występów. Nie do rozwiązania.

Użył znikającego atramentu, wpisując się w księgę wejść.

Sprawca będzie używał „zmyłek” przeciwko ofiarom i policji.

Fizycznych (odwrócenie uwagi).

Psychologicznych (odsunięcie podejrzeń).

Ucieczka ze szkoły muzycznej przypominała numer „Znikający człowiek”. Zbyt popularny, by go wyśledzić.

Sprawca jest przede wszystkim iluzjonistą.

Utalentowany w magii zręcznej ręki.

Zna także magię proteańska (szybkiej zmiany). Będzie używał

różnych kostiumów, nylonu i jedwabiu, nakładek imitujących łysinę, nakładek na palce i innych akcesoriów lateksowych. Może być w dowolnym wieku, każdej płci i rasy.

Idąc, wyczuwały wiele zapachów: bez, dym z wózków handlarzy preclami i grillów, na których rodziny smażyły kurze udka i Šeberka, olejek do opalania.

Amelia Sachs i Kara z każdym krokiem zbliżały się do białego namiotu Cirque Fantastique, beztrąsko deptając wilgotną trawę Central Parku.

Na jednej z ławek Kara zauważyła całującą się parę.

Jest więcej niż twoim szefem? - spytała.

Lincoln? Tak, więcej.

To widać. Jak się spotkaliście?

Była taka sprawa... seryjny porywacz. Kilka lat temu.

To chyba trudne. Bo jest...

Nie, nietrudne - przerwała jej Amelia. Odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Lekarze nic nie mogą dla niego zrobić?

Istnieje możliwość operacji. Ciągłe się zastanawia. Ale ryzyko jest duże, a prawdopodobieństwo sukcesu minimalne. W zeszłym roku zdecydował, że jednak nie spróbuje i na razie jest bardzo zadowolony. Można powiedzieć, że wstrzymaliśmy pro

jekt. MoŜe kiedyś zmieni zdanie? Zobaczymy.

Mam wraŜenie, Ŝe niezbyt podoba ci się ten pomysł.

Nie podoba. DuŜe ryzyko, mały zysk. Ja na co dzień operuję pojęciem kalkulacji ryzyka. Powiedzmy, Ŝe bardzo chcesz złapać Sprawcę, masz na niego papiery. To znaczy nakazy. Wiesz, gdzie mieszka. Czy wykopujesz drzwi, nie wiedząc, czy śpi albo czy są z nim przyjaciele z parą MP5 wcelowanych w drzwi? Czy czekasz na wsparcie, choć wiesz, Ŝe moŜe uciec? Czasami warto skorzy

stać z okazji, a czasami nie. Po prostu nie jestem pewna, czy warto. Ale jeśli on się zdecyduje, będę z nim. W ten sposób współpracujemy.

Potem opowiedziała Karze, Ŝe Rhyme jest w trakcie leczenia, polegającego na elektronicznej stymulacji mięśni oraz intensywnej fizykoterapii. U niektórych pacjentów taka kuracja działała cuda, poza tym jest nieinwazyjna, co minimalizuje ryzyko. W odróŜnieniu od operacji.

Po paru latach moŜe dojść do znaczącej poprawy. Kiedy on się do czegoś przykłada, to na sto dziesięć procent. - Amelia przerwała. Rzadko rozmawiała o Lincolnie z obcymi. Ale z Karą coś ją jednak łączyło, więc dodała: - Nie lubi, kiedy o tym mówię, ale czasami nic nie robi, tylko ćwiczy. Znika. Nie kontaktuje się ze mną dzień, nawet dwa.

Inny rodzaj „Znikającego człowieka”.

No właśnie. - Policjantka uśmiechnęła się. Milczały przez chwilę. Amelia zastanawiała się, czy Kara nie oczekuje od niej czegoś więcej. MoŜe opowieści o przewycięŜaniu trudności, jakichś szczegółów o Ŝyciu paralytyka. O reakcjach ludzi, kiedy pojawiał się publicznie. MoŜe nawet wzmianki o sytuacjach intym

nych? Ale jeśli dziewczyna interesowała się szczegółami, nie poruszyła tego tematu. Amelia wyczuwała w jej zachowaniu nie ciekawość, lecz raczej zazdrość.

W tych sprawach nie miałam ostatnio wiele szczęścia.

Z nikim się nie spotykasz?

Nie jestem pewna - odparła po namyśle Kara. - Nasze ostatnie spotkanie było takie romantyczne: francuskie grzanki i mi mozy. U mnie. Drugie śniadanie w łóŜku. Obiecał, Őe jutro do mnie zadzwoni.

I nie zadzwonił?

Nie zadzwonił. Och, i moŜe powinnam dodać, Őe to śniadanie jedliśmy trzy tygodnie temu.

A ty... zadzwoniłaś do niego?

Mowy nie ma. Piłka jest po jego stronie kortu.

Bardzo dobrze. - Duma i siła to bliźnięta syjamskie. Amelia

Sachs wiedziała o tym z własnego doświadczenia.

Kara roześmiała się nagle.

-

Jest taka stara sztuczka Williama Elswortha Robinsona. Szalenie popularna. Nazwał ją „Jak pozbyć się Őony albo maszyna rozwodowa". Bardzo to do mnie pasuje. Wręcz idealnie. Powodu

ję, Œe chłopaki znikają szybciej niŜ ktokolwiek. - Wiesz, oni do

skonale potrafią znikać sami z siebie.

- WiêkszoŒć facetów, których spotykam, pracujac w piŒmie i w sklepie, interesujac dwie rzeczy. Pierwsza to noc na sianie. Druga to coŒ wrêcz przeciwnego: maŒŒeństwo i domek na przedmieŒciu. KtoŒ ci siê kiedyŒ oŒwiadczył?

-

Jasne. Bywa strasznie, choê oczywiŒcie wszystko zaleŜy od tego kto.

-

Dobrze mówisz, siostrze. Nocka na sianie albo Œlub i domek na przedmieŒciu... jedno i drugie jest dla mnie mniej wiêcej takim samym problemem. Nie chcê ani tego, ani tego. Z dwojga zêgo wolê juŜ raczej tê nockê, od czasu do czasu. W koŒcu Œyjemy w prawdziwym Œwiecie.

A co z męŒczyznami w twoim zawodzie?

Nie biorê ich pod uwagê. Magicy... nie, wykluczone. Konflikt interesów, rozumiesz? Twierdzac, Œe lubiac silne kobiety, ale szczerze mówiac, nie znoszac kobiet w tym interesie. Stosunek kobiet

do mężczyzn w zawodzie jest jak jeden do stu. Chociaż ostatnio

to się jakby zmieniało na lepsze. Zdarzają się słynne kobiety -

iluzjonistki. Księżniczka Tenko, Japonka, ona jest po prostu

wspaniała. Ale to święta sprawa. Dwadzieścia, trzydzieści lat te

mu dziewczyna mogła być co najwyżej asystentką. - Zerknęła

spod oka na Amelię. - Trochę tak jak w policji, prawda?

- Nie jest tak źle jak niegdyś. Przynajmniej nie w moim pokoleniu. Lata sześćdziesiąte,

siedemdziesiąte... to wtedy kobiety przełamywały lody. Wtedy było najgorzej. Ale ja też

brałam baty... Nim przeniesiono mnie do badania miejsca zbrodni, byłam w patrolu...

Jak to?

Patrol to po prostu łaśnienie po ulicach. Kiedy wypadało nam

HelTs Kitchen, kobietę przydzielano do jakiegoś doświadczonego

gliniarza - mężczyzny. Czasami trafiałam na tępego twardziela, któ

ry nie znosił towarzystwa kobiet. Po prostu go nienawdził. Przez ca

łą zmianę nie odzywał się do mnie ani słowem. Osiem godzin razem

na ulicy i ani słowa. Odmeldowujemy się na lunch, siedzę w barze,

przyglądam się klientom. Gość siedzi pół metra ode mnie, czyta

dział sportowy w gazecie i wzdycha, bo musi tracić czas z kobietą.

- Wróciły wspomnienia. - Pracowałam z Siedem-Pięć...

-Co?

- Siedemdziesiąty Piąty komisariat. Ale gliniarze nie mówią po prostu Siedemdziesiąty Piąty.

Jeśli chodzi o liczby, to prawie zawsze jest Siedem-Pięć albo Siedemdziesiąt Pięć. To jak

Macy. Jest na ulicy trzy-cztery.

Jasne.

W każdym razie szefa zmiany akurat nie było, zastępował go sierżant ze starej szkoły. Więc właściwie zaczynam służbę na Siedem-Pięć i na tej zmianie jestem jedyną kobietą. Idę na odprawę i co widzę? Podpaski, chyba z tuzin, przyklepione do katedry.

Nie!

Właśnie, że tak. Szef normalnie nie pozwoliłby na taki dowcip, ale gliniarze pod wieloma względami są jak dzieci. Rozrabia ją, póki dorośli nie każą im przestać

Na filmach się tego nie widzi.

Filmy produkuje Hollywood, nie komisariat Siedem-Pięć.

Co zrobiłaś z tymi podpaskami?

Poszłam do pierwszego rzędu. Poprosiłam faceta, siedzącego naprzeciw katedry, żeby ustąpił mi miejsca. Bo, tak przy okazji, to było moje miejsce. Och, wszyscy śmieli się tak głośno, a cud, że niektórzy nie popuścili w gacie. Usiadłam spokojnie i notowałam to, co mówił sierżant, rozumiesz: nakazy, stosunki ze społecznością, miejsca, w których najłatwiej spotkać dilerów.

Po kilku minutach śmiech ucichł, Zawstydzili się. Nie ja, tylko oni.

Wiedziałaś, kto to zrobił?

Oczywiście.

Doniosłaś na niego?

Nie. Rozumiesz, to właśnie jest najgorsze, gdy jesteś gliniarzem kobietą. Trzeba przecieś pracować z tymi ludźmi. Trzeba czuć, że są, że cię osłonią, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie można

z nimi walczyć cios za cios. Jeśli do tego doszło, to przegrałaś.

Mieć jaja, żeby walczyć... nie, to wcale nie jest najważniejsze.

Przede wszystkim trzeba wiedzieć, kiedy walczyć i jak.

Duma i potęga.

-

To chyba trochę jak z nami - powiedziała Kara z namysłem.

- W moim zawodzie. Ale jeśli jesteś dobra, jeśli przyciągasz widzów, to w końcu dostaniesz angaż. Tylko... obowiązuje paragraf

22. Nie udowodnisz, że jesteś dobra, jeśli cię nie zaangażują.

a nie udowodnisz, że ludzie zapłacą, by cię zobaczyć, jeśli nie masz angażu.

Były już blisko wielkiego lśniącego namiotu. Amelia widziała, jak oczy dziewczyny rozbłysły.

Chciałabyś pracować w takim cyrku, prawda?

O Boże, pewnie. Dla mnie to jest jak niebo. Cirque Fantastique, występy w NBC i HBO. -

Zamilkła, rozejrzała się dookoła

i westchnęła. - Pan Balzac uczy mnie wszystkich starych sztuczek

- to jest bardzo ważne. Trzeba je znać na pamięć. Ale - ruchem głowy wskazała namiot -

magia zmierza w tym kierunku. David Copperfield, David Blaine, aktorstwo, magia uliczna...

to takie seksowne.

Powinnaś starać się o przesłuchanie.

Ja? Chyba Źartujesz. Nie jestem gotowa i jeszcze dŹugo nie będe. Trzeba byc najlepszym.

Chodzi ci o to, Źe musisz byc lepsza od męŹczyzn?

Nie. Muszę byc lepsza od wszystkich, męŹczyzn i kobiet.

Dlaczego?

Dla widzów. Pan Balzac powtarza jak zarysowana płyta; „Je steśmy to winni widzom”; „KaŹdy oddech, który bierzesz na scenie, jest dŹugiem spŹacany widzom”; „Iluzja nie moŹe byc po prostu w porzŹadku, musi wstrzŹsnŹc”; „JeŹli choĹby jedna osoba na widowni zorientuje sie, jak to zrobiŹas, poniosŹas klęskę”; „JeŹli wahaŹas się o uŹamek sekundy za dŹugo, zepsuŹas efekt i poniosŹas klęskę”; „JeŹli choĹ jedna osoba ziewnie podczas two go występu lub zerknie na zegarek, poniosŹas klęskę”.

PrzecieŹ nikt nie moŹe byc doskonaŹy przez caŹy czas.

Musi - oŹwiadczyŹa Kara zdziwiona, Źe ktoŹ moŹe byc innego zdania.

StaŹy tuŹ przy wejŹciu do Cirque Fantastigue. W lŹniŹcym oŹlepiajŹcŹ bielŹ namiocie odbywaŹy się próby przed wieczornym przedstawieniem. Wszędzie widaĹ byŹo artystów; niektórzy mieli na sobie kostiumy, inni dŹinsy i podkoszulki.

-

Ojejejej... - westchnęŹa Kara. - RozglŹdaŹa się dookoŹa sze

roko otwartymi oczami dziecka.

Amelia drgnęła; nad nią i nieco z tyłu rozległ się donośny trzask, do złudzenia przypominający wystrzał. Podniosła wzrok na powiewające na wietrze wielkie dziesięcio-, a może nawet dwunastometrowe flagi. Na jednej wypisana była nazwa cyrku, na drugiej wymalowano postać w kraciastym kostiumie, wyciągającą dłonie, zapraszającą do wejścia.

Twarz miała zasłoniętą Półmaską, czarną, o nosie jak kartofel i groteskowych rysach. Nie był to przyjemny obraz, natychmiast nasuwał skojarzenia z Magiem, który także krył się pod kostiumami, za maskami.

Jego plany i motywy także są nieznane.

Kara zerknęła na Amelię i zorientowała się, na co patrzy.

Arlecchino. Arlekin. Wiesz coś o komedii dell'arte?

. -Nie.

To włoski teatr. Narodził się gdzieś chyba w szesnastym wieku i przetrwał kilka stuleci.

Cirque Fantastique wykorzystuje jego elementy. -Wskazała mniejsze flagi, na których wyobrażono inne postaci w maskach. Haczykowate nosy, przesadnie wygięte brwi, wysokie kości policzkowe... wyglądało to trochę niesamowicie i niezbyt przyjemnie. -W komedii

dell'arte występowały ściśle zdefiniowane postacie. Aktorzy nosili maski wskazujące, który gra którą postać.

To były komedie? - Amelia wysoko uniosła brwi na widok

jednej szczególnie demonicznej maski.

My nazwalibyśmy to chyba czarną komedią. Arlekin na przykład wcale nie był taką świetlaną postacią. Nie wiedział, co to moralność, obchodziło go tylko jedzenie i kobiety. Pojawiał się i znikał, skradał i zaskakiwał. A Pulcinella? Prawdziwy sadysta.

Robił naprawdę wstrętne dowcipy wszystkim, nawet swoim kolegom. Był też lekarz, który truł ludzi. Głos rozsądku reprezen

towała kobieta, Kolumbina. - Kara westchnęła. - W komedii

dell'arte podoba mi się takŜe to, Ŝe tę rolę grała właśnie kobieta.

Nie jak w Anglii, gdzie kobietom nie wolno było występować
w teatrze.

Flaga znów strzeliła ostro. Arlekin wydawał się wpatrywać nad ramieniem Amelii w coś
dalekiego i dla niej niewidocznego. Zupełnie jakby widział zbliŜającego się Maga;
przywoływało to niepokojące doświadczenie z przeszukiwania miejsca zbrodni w szkole.

Nie, nie mamy pojęcia, kim jest i gdzie moŜe być.

Odwróciła się w samą porę, by dostrzec podchodzącego do nich straŜnika, który zwrócił
uwagę na policyjny mundur.

-

Mogę w czymś pomóc, pani władzo?

Amelia prosiła o rozmowę z dyrektorem. StraŜnik wyjaśnił, Ŝe dyrektora nie ma, moŜe więc
zechce porozmawiać z jego asystentką. Chwilę później podeszła do nich kobieta, niska,
drobna, czarnowłosa, przypominająca Cygankę i najwyraźniej zaafierowana.

-

W czym mogę pomóc? - spytała uprzejmie z akcentem, któ
rego nie potrafiły rozpoznać.

Amelia Sachs przedstawiła się i wyjaśniła:

-

Prowadzimy śledztwo w sprawie popełnionych w tej okolicy morderstw. Chciałam spytać, czy wśród waszych artystów są specjalści od szybkich zmian i iluzjoniści?

Kobieta wyraźnie się zaniepokoiła.

-

Oczywiście - odparła natychmiast. - Irina i Wład Kłodo ja.

_ proszę to przeliterować.

Kiedy zapisywała imiona i nazwisko, Kara skinęła głową.

Jasne, słyszałam o nich. Kilka lat temu występowali w Cyrku Moskiewskim.

Ma pani rację - potwierdziła kobieta.

Byli tu cały ranek?

Tak. Skończyli próbę jakieś dwadzieścia minut temu. Potem poszli na zakupy.

Jest pani pewna, że przez cały czas byli na miejscu?

Tak. Osobiście nadzoruję próby.

A może wie pani o kimś, kto ma wprawę w iluzji i magii proteańskiej, choć nie występuje na scenie?

Nie, nie znam nikogo takiego.

Dobrze. Oto co zrobimy. Przed cyrkiem ustawimy kilku na sztych funkcjonariuszy. Będą tu za jakieś piętnaście minut. Jeśli dowiedzie się pani o kimś, kto nagabuje waszych artystów lub widzów, lub choćby zachowuje się podejrzanie, proszę natychmiast im to zgłosić. - Na ten pomysł wpadł Rhyme.

Uprzedzę wszystkich, oczywiście. Czy może mi pani powiedzieć, o co właściwie chodzi?

Mężczyzna mający pewne umiejętności iluzjonisty popełnił dziś rano morderstwo. Z tego, co wiemy, nie ma to żadnego związku z waszym przedstawieniem, ale wolimy się zabezpieczyć.

Asystentka dyrektora jeszcze raz zapewniła, że udzieli im wszelkiej pomocy, i odeszła, wyraźnie wytrącona z równowagi. Zapewne słała swego ostatniego pytania.

Wiesz coś o tych ludziach? - spytała Amelia, gdy wychodziły z cyrku.

Ukraińcach?

Tak. Możemy im ufać?

Są małżeństwem. Mają dzieci, które podróżują wraz z nimi.

Należą do najlepszych w świecie specjalistów od szybkich zmian.

Nie wyobrażam sobie, by mieli coś wspólnego z morderstwem.

Amelia zadzwoniła do Rhyme'a. Telefon odebrał Thom. Podała mu imiona i nazwisko Ukraińców oraz przekazała wszystko, czego się dowiedziała.

Niech Mel albo ktoś sprawdzi ich w urzędzie imigracyjnym

i w Departamencie Stanu.

Zrobione - odparł krótko Thom.

Rozłączyła się. Wyszły z parku i ruszyły na zachód. Przed oczami miały sinobiałe chmury, na czystym niebie wyglądające niczym siniec. Flaga znów trzasnęła ostro; rozbawiony Arlekin wabił ludzi, zapraszał do swego niesamowitego świata.

OdpręŜyliście się, szacowni widzowie?

Odpoczęliście? To dobrze, ponieważŜ nadszedł czas drugiego występu. Być moŜe nie

słyszeliście nigdy o P. T. Selbicie, ale jeśli byliście kiedyś w cyrku lub wdzieliście iluzjonistę na Œywo, lub chociaŜ w telewizji, znacie prawdopodobnie część ze sztuczek, które ten Anglik upowszechnił na początku dwudziestego wieku.

Początkowo Selbit występował pod swym prawdziwym nazwiskiem: Percy Thomas Tibbles, szybko jednak się zorientował, Œe miano tak przyziemne nie pasuje do artysty, którego największym atutem są nie karciane sztuczki, znikające gołębie i lewitujące dzieci, lecz sadomasochistyczne przedstawienia, szokujące - a więc i przyciągające - widzów na całym świecie.

Selbit - tak, jego sceniczny pseudonim pochodził od nazwiska czytanego wspak - wymyślił

słynną „Poduszkę do igieł”: pokazywał ludziom dziewczynę przeszywaną osiemdziesięcioma czterema ostrymi szpikulcami. Inny stworzony przez niego numer to „Czwarty wymiar”: ku przeraŜeniu widzów przygniatał dziewczynę cięŜką skrzynią. Jedną z mych ulubionych jest sztuczka Selbita z 1922 roku. Jej nazwa, szacowni widzowie, mówi wszystko: „BoŜek krwi, czyli miaŜdŜenie dziewczyny”.

Dziś mam zamiar przedstawić państwu zmodernizowaną wersję najszynniejszego chyba numeru Selbita, przedstawianego na całym świecie. Poproszono go nawet o pokazanie go podczas pokazowych manewrów Gwardii Królewskiej na londyńskim hipodromie. Znanego pod nazwą...

Nie, nie...

Nie, szacowni widzowie. Nie zaspokoję waszej ciekawości, na razie nie zdradzę nazwy tej sztuczki. Ale coś wam powiem: kiedy Selbit miał ją w programie, kazał asystentom wylewać

falszywą krew do rynsztoka przed namiotem. By zainteresować potencjalnych widzów.

Strategia ta okazała się bardzo skuteczna.

śyczę wam dobrej zabawy.

Mam nadzieję, Œe będzie dobra.

Ale znam jedną osobę, której z pewnością się nie spodoba.

Jak długo spałem, spytał sam siebie młody człowiek. Przedstawienie skończyło się o północy, potem pili w „White Horse” Bóg wie jak długo, do domu wrócił o trzeciej, przez czterdzieści minut... nie, raczej godzinę... rozmawiał z Braggiem. A kanalizacja zaczęła cholernie dudnić mniej więcej o wpół do dziewiątej.

Więc... jak długo spałem?

Matematyka nie była mocną stroną Tony'ego Calverta. Uznał, Œe to nawet lepiej. Kto chciałby wiedzieć, jak bardzo jest zmęczony? Dobrze chociaż, Œe pracował na Broadwayu, a nie przy reklamówkach, bo wtedy wstawało się czasem i o szóstej rano. Popołudniowy angaŒ w

Teatrze Gielguda był dobrą rekompensatą za to, Œe musi pracować w soboty i niedziele.

Przyjrzał się narzędziom swego fachu i uznał, Œe przyda mu się więcej maści maskującej

tatuaŒe. Dziś miał twardego chłopaka o kamiennej szczęce, a damy z Teaneck i Garden City

mogłyby mieć pewne wątpliwości co do szczerości uczuć przystojniaka do modnej

gwiazdeczki, gdyby na jego potężnym bicepsie odczytały: KOCHAM CIĘ NA WIEKI,

ROBERCIE.

Calvert zamknął sporą Œóltą walizeczkę na kosmetyki, podszedł do drzwi i zerknął w wiszące przy nich lustro. Musiał przyznać, Œe wygląda znacznie lepiej, niŒ się czuje. Na twarzy nadal miał resztki opalenizny ze wspaniałej lutowej wyprawy do St Thomas. Smukłe, muskularne ciało nie zdradzało, Œe w Œóładku przelewały się litry piwa (na miłość boską, przyhamuj po czwartym piwie. Halo, czy ktoś mnie słyszy? Czy to dla ciebie nie za trudne?). Zdradzały go tylko mocno przekrwione oczy, no

ale to można poprawić bez większych problemów.

Charakteryzator zna

95

tysiąc sposobów na sprawienie, by stary wyglądał jak młody, brzydał jak grecki bóg, a człowiek śmiertelnie zmęczony jak ktoś, kto właśnie obudził się po długim, orzeźwiającym śnie. Jemu wystarczyły krople do oczu, a po nich odrobina pudru pod oczami.

Nałożył skórzaną kurtkę, zamknął drzwi swego mieszkania w East Village i zaczął schodzić po schodach. Teraz, kilka minut przed południem, w budynku panowała cisza. Większość ludzi, jak sądził, poszła na spacer, ciesząc się pierwszym w tym roku prawdziwie pięknym wiosennym weekendem, albo nadal odsypiała wczorajsze szaleństwa.

Jak zawsze wyszedł tylnym wyjściem, prowadzącym na alejkę między dwoma budynkami.

Ruszył w stronę odległego o kilkanaście metrów chodnika, gdy nagle w jednym z odchodzących z alejki, kończących się ślepo korytarzy dostrzegł jakiś ruch.

Zatrzymał się, zerknął w mrok, zmrużył oczy. Zwierzę. O Boże, czy to szczur?

Nie, to nie był szczur, lecz kot, najwyraźniej ranny. Calvert gorączkowo rozejrzał się dookoła, ale alejka była pusta.

Biedny kotek.

Tony Calvert nie był miłośnikiem zwierząt domowych, ale zeszłego roku opiekował się terierem sąsiadów i pamiętał, jak właściciel powiedział mu, oczywiście na wszelki wypadek, że weterynarz Bilba ma gabinet tuż za rogiem, na St Marks. Mogłoby odnieść tam kota po drodze do metra. Może wzięłaby go siostra? Adoptowała dzieci, więc mogłaby i kota.

Stanie w alejce nie było najlepszym wyjściem, zwłaszcza w tej okolicy, ale Calvert nie miał wątpliwości, że jest tu zupełnie sam. Szedł po bruku tak cicho, jak tylko potrafił, nie chcąc przestraszyć zwierzęcia. Kot leżał na boku, miaucząc rozpaczliwie.

Czy może wziąć go na ręce? Czy nie zostanie podrapany? Pamiętał z wykładów, że koty mogą przenosić choroby. Ale ten wyglądał na zbyt słabego, by zrobić mu krzywdę.

- Co ci się stało, biedaku? - spytał cichym, kojącym głosem. - Ktoś cię skrzywdził?

Kucnął powoli, postawił walizczkę z kosmetykami na bruku, ostrożnie wyciągnął rękę, obawiając się, że kot może zaatakować. Dotknął go i natychmiast cofnął dłoń. Zwierzę było wynędzniałe do ostatnich granic - czuł kości tuż pod skórą - i zimne jak lód. Czyżby zdechło?

Nie! Przecież nadal poruszało łapą i nawet znowu miauknęło!

Zebrał się na odwagę i dotknął go jeszcze raz. Hej, zaraz, przecież to coś pod skórą to wcale nie były kości, tylko jakieś pręty, wyczuł nawet metalowe pudełko.

Co jest, do kurwy nędzy? Występował w „Ukrytej kamerze”? A może jakiś kretyń robi sobie głupie dowcipy?

Podniósł wzrok i trzy metry dalej zobaczył kogoś, faceta czającego się jak do skoku.

Westchnął ze zdumienia, cofnął się...

Ale nie! To on był tym facetem. Oglądał samego siebie w lustrze umieszczonym w rogu, przy końcu mrocznego korytarzyka. Wyraźnie widział swą zdumioną twarz, szeroko rozwarte, nieruchome oczy. Rozluźnił się i nawet roześmiał, lecz nagle zmarszczył brwi.

Wydawało mu się, że przewraca się, pada, lecz to tylko lustro pochyliło się, obróciło i roztrzaskało, padając na bruk.

A zza lustra zaatakował go brodaty mężczyzna w średnim wieku, trzymający w ręku kawałek metalowej rury.

-

Nie! Pomocy! - krzyknął, cofając się. - O Boże! Boże!

Rura zatoczyła łuk. Mierzyła wprost w jego głowę.

Lecz Calvert zdążył chwycić walizczkę. Cisnął nią w napastnika, parując cios. Poderwał się na nogi i pobiegł. Facet próbował go ścigać, ale poślizgnął się na bruku, upadł ciężko na jedno kolano.

-

Masz forszę! Bierz! - krzyknął Calvert, wyjmując portmonet
kę z kieszeni i ciskając ją za siebie. MęŜczyzna zignorował ten
prezent. Wstał. Blokował mu drogę prowadzącą na ulicę, jedyną
szansą była ucieczka do mieszkania.

O Jezu! O Panie!...

-

Ratunku! Pomocy! Niech mi ktoś pomoŜe!

Klucze! - pomyślał. Wyjmij klucze. Wyciągnął je z kieszeni, jednocześnie oglądając się przez ramię.
Miał zaledwie dziesięć metrów przewagi. Jeśli nie otworzy drzwi za pierwszym razem, zginie.

Nawet mu do głowy nie przyszło, by zwolnić. W pełnym pędzie uderzył w metalowe drzwi i
cudem trafił kluczem w zamek za pierwszym razem. Obrócił go błyskawicznie. Wskoczył do
środku, wrywając klucz z zamka i zatrzasnął drzwi; zamek zaskoczył automatycznie.

Serce biło mu mocno, oddychał ciężko, był przeraŜony, ale nie tracił panowania nad sobą. Z
kim miał do czynienia. Bandytą? Kimś nienawidzącym gejów? Narkomanem? Przecież to nie
ma znaczenia! Nie pozwolę, by coś takiego uszło temu fiutowi na sucho. Pobiegnął korytarzem
do swego mieszkania. I znów udało mu się błyskawicznie otworzyć drzwi. Zamknął je za sobą
na zamek. Popędził do kuchni, złapał słuchawkę, wykręcił 911. Natychmiast usłyszał kobiecy głos.
Pogotowie policji i straŜy poŜarnej.

MęŒczyzna! WłaŒnie zaatakował mnie męŒczyzna. Jest... jest

gdzieŒ tam!

Czy jest pan ranny?

Nie, ale przyŒlijcie policjê. Natychmiast.

Czy on jest z panem?

Nie, zamknąłem siê w mieszkaniu. Ale nadal moŒe byç

w alejce. Musicie siê poŒpieszyç!

Co siê stało? Skąd ten powiew, który poczuł na twarzy? PrzecieŒ wie! Przeciąg! KtoŒ otworzył drzwi jego mieszkania!

-

Proszê pana, czy jest pan na linii? Czy...

Calvert obrócił siê i wrzasnął głoŒno. Brodaty męŒczyzna stał moŒe metr od niego. Spokojnie wyrywał z gniazdka sznur telefonu. Drzwi! Jakim cudem udało mu siê otworzyç drzwi?

Calvert cofnął siê, jak mógł najdalej, do lodówki. Nie miał dokąd uciec.

- Czego...? - spytał. Napastnik miał blizny na szyi i zdeformowanà lewà dłoń. - Czego pan ode mnie chce?

MęŒczyzna nie odpowiedział. Niespiesznie rozejrzał siê dookoła, zatrzymał wzrok na

kuchennym stole, potem na duŜym drewnianym stoliku do kawy, stojącym w pokoju gościnnym. Najwyraźniej znalazł to, czego szukał. Obrócił się uśmiechnięty i kiedy uderzył kawałkiem rury, zrobił to jakby mimochodem.

Podjechali z wyłączonymi syrenami. Dwa radiowozy, po dwóch policjantów w kaŜdym.

SierŜant wyskoczył z pierwszego z nich, nim samochód zdąŜył zahamować. Od odebrania rozmowy na numer 911 minęło zaledwie sześć minut. Mimo Őe została przerwana, centrala wiedziała, z którego budynku i mieszkania wzywano pomocy. Dzwoniący miał zainstalowany identyfikator numeru.

Sześć minut. Przy odrobinie szczęścia zastaną ofiarę Őywą i w dobrym zdrowiu. Jeśli nie dopisze im szczęście, przynajmniej sprawca będzie w mieszkaniu szukał czegoś, co warto by ukraść.

Uruchomił motorolę.

- SierŜant cztery-pięć-trzy-jeden do centrali. Jestem dziesięć--osiemdziesiąt-cztery na miejscu napadu na Dziewiątej Ulicy.

98

Przyjęte, cztery-pięć-trzy-jeden. Zespół medyczny jedzie na miejsce. Ranni?

Jeszcze nie wiem. Wyłączam się.

Potwierdzam, cztery-pięć. Bez odbioru.

Wysłał jednego z ludzi na tyły budynku, by krył wyjście przeciwpoŜarowe oraz wychodzące

na tę stronę okna. Drugi pozostał przy drzwiach frontowych. Trzeci wraz z sierŚantem wszedł do środka.

Jeśli wszystko dobrze się ułoŚy, sprawca wyskoczy przez okno i złamie nogę w kostce.

SierŚant nie miał ochoty ścigać dupków i przewracać ich na ziemię, nie w ten piękny letni dzień.

Byli w Alfabetycznym Mieście, zawdzięczającym swą nazwę biegnącym z północy na południe alejom A, B i C. Tu liczyło się, jak szybko zdobędziesz heroinę i kiedy weźmiesz szprycę. Jasne, sytuacja się poprawiała, ale ciągle jeszcze było to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na Manhattanie. Obaj gliniarze, podchodząc do drzwi wejściowych, wyciągnęli broń.

I znów: jeśli dopisze im szczęście, sprawca będzie uzbrojony wyłącznie w nóŚ. Albo, jak to się sierŚantowi zdarzyło w zeszłym tygodniu, kiedy starł się z narkomanem naćpanym crackiem, w chińskie pałeczki i pokrywkę kosza na śmieci jako tarczę.

No i los rzeczywiście się do nich uśmiechnął. Nie musieli szukać kogoś, kto wpuściłby ich do kamienicy. Na ulicę wychodziła właśnie starsza pani, uginająca się pod cięższarem torby z zakupami, z której wyglądał ogromny ananas. Uprzejmie przytrzymała drzwi policjantom,

choć widać było, Śe jest bardzo zdziwiona. Wbiegli do środka, odpowiadając na jej gorączkowe pytania typowym policyjnym: „Nie ma się czym przejmować, proszę pani”.

Teraz, jeśli szczęście dopisze...

Mieszkanie 1J znajdowało się na parterze, z tyłu. SierŚant stanął po lewej stronie drzwi, jego partner po prawej. Uniósł pistolet, skinął głową. SierŚant uderzył w drzwi wielką pięścią.

Otwierać! Policja!

śadnej odpowiedzi.

Policja!

Nic.

Chwycił za klamkę. A jednak mieli szczęście! Drzwi nie były zamknięte na zamek. Otworzył

je, ale obaj z partnerem czekali chwilę, przytuleni do ściany. Wreszcie sierŜant uznał, Őe moŐe bezpiecznie zajrzeć do Őrodka.

99

- O Chryste Wszechmogący - szepnął na widok tego, co zobaczył poŐrodku duŐego pokoju.

Zupełnie zapomniał, co znaczy słowo „szczęŐcie”.

Sekretem magii proteańskiej, czyli szybkiej zmiany, jest sztuka odmienienia swego wyglądu dzięki kilku prostym zabiegom przy jednoczesnym odwróceniu uwagi publiczności.

A Őadna zmiana nie mogła być bardziej radykalna niŐ przekształcenie się w siedemdziesięcioletnią starowinkę.

Malerick wiedział, Őe policja pojawi się błyskawicznie. ToteŐ po krótkim przedstawieniu w mieszkaniu Calverta przywdział jeden z kostiumów przewidzianych do ucieczki: niebieską sukienkę z wysokim kołnierzem i siwą perukę. Podciągnął specjalne, elastyczne dŐinsy, rozwinął halkę. Zerwał brodę, na policzki nałóŐył grubo róŐ. Pokreślił brwi. Kilka muŐnięć cienkim pędzlem zanurzonym w sjenie stworzyło na policzkach zmarszczki siedemdziesięcioletki. No i oczywiŐcie zmiana butów.

A skoro mowa o zmyłce - znalazł plastikową torbę. Jej dno wyłóŐył gazetami, wsadził do niej kawałek metalowej rury wraz z bronią potrzebną w tym numerze, a na wierzchu połóŐył wielki, ŐwieŐy ananas, który wziął z kuchni Calverta. Gdyby spotkał kogoŐ, wychodząc z budynku, ten ktoŐ zapewne spojrzełby na niego, ale zapamiętałby przed wszystkim właŐnie ananasa.

Teraz, z odległoci jakichŐ czterystu metrów, nadal ubrany w kobiecey strój przystanął i oparł się o Őcianę domu, jakby chciał tylko odpocząć, zaczerpnąć oddechu. Następnie znikł w

ciemnej alejce. Jednym pociągnięciem zerwał z siebie sukienkę zapinaną na cienkie rzepy.

Wraz z peruką trafiła pod szeroką na trzydzieści centymetrów taśmę otaczającą mu brzuch, ściskającą rekwizyty i czyniącą je praktycznie niewidzialnymi pod koszulą.

Spuścił nogawki dżinsów, z torby, którą miał w kieszeni, wyjął zmywacz i usunął nim makijaż: róż, brwi i zmarszczki. Rezultat tych zabiegów sprawdził w lusterku kieszonkowym.

Waciki ze zmywaczem włożył do torby z ananasem. Rozejrzał się, zobaczył zaparkowany pod zakazem zatrzymywania się samochód. Otworzył bagażnik, wrzucił do niego torbę.

Policja nigdy nie przeszukuje bagażników zaparkowanych samochodów, a ten pewnie odholują przed powrotem właściciela.

Wrócił na ulicę, poszedł do jednej ze stacji linii metra West Side.

/ co sądzicie o tym tajemnym przedstawieniu, szacowni widzowie?

Sam musiał uznać je za sukces, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że poślizgnął się na tym cholernym bruku i asystent zdołał odgrodzić się od niego parą zamkniętych drzwi.

Ale kiedy dotarł do tylnych drzwi kamienicy, w której mieszkał Calvert, miał już w ręku odpowiednie wytrychy.

Przez lata studiował szlachetną sztukę pokonywania zamków. Była wśród pierwszych, których nauczył go jego mentor. Włamywacz używa dwóch narzędzi: klucza dynamometrycznego, wsuwanego w zamek i utrzymującego napięcie na znajdujących się w nim zawleczkach, i właściwego wytrycha, wysuwającego zawleczki z zamka i umożliwiającego jego otwarcie.

Odsuwanie ich, jednej po drugiej, jest jednak procesem czasochłonnym, Malerick opanował więc w mistrzowskim stopniu technikę nazywaną „skrobaniem”. Polega ona na szybkim poruszaniu wytrychem tam i z powrotem. Skrobanie jest skuteczne wyłącznie wówczas, gdy włamywacz doskonale wyczuwa właściwą kombinację zapadek cylindra i wywierany na nie

nacisk. Używając narzędzi długości zaledwie kilku centymetrów, w niespełna trzydzieści sekund Malerick otworzył dwa zamki: do drzwi wejściowych domu i do drzwi mieszkania Calverta.

Czy to wydaje się wam niemożliwe, szacowni widzowie.

Przecież na tym polega praca iluzjonisty: czynić niemożliwe możliwym.

Przed wejściem do metra kupił „New York Timesa”. Przerzucając kartki, rozglądał się dyskretnie, sprawdzając, czy ktoś go nie śledzi. Jak poprzednio, nikt go śledził. Zbiegł po schodach na stację. Prawdziwie ostrożny artysta może odczekałby nieco dłużej, dla pewności, lecz on musiał złapać najbliższy pociąg. Nie miał czasu. Następny numer należał do naprawdę trudnych - Malerick zawsze stawiał sobie bardzo wysokie wymagania - dlatego musiał dobrze się do niego przygotować.

Nie ośmieliłby się rozczarować publiczności.

Wygląda to bardzo źle, Rhyme - powiedziała do mikrofonu Amelia, stojąc w drzwiach prowadzących do mieszkania 1J. om stał w sercu Alfabetycznego Miasta.

Zaraz po wyjściu Kary Lon Sellitto polecił wszystkim telefoniściom z centrali, by natychmiast informowali go o każdym popełnionym w Nowym Jorku morderstwie. Kiedy poznał pewne szczegóły tej sprawy, uznał, że mają do czynienia z dziełem Maga. ednym z tropów był

tajemniczy sposób, w jaki sprawca dostał się do mieszkania ofiary, drugim, znacznie

ważniejszym, zegarek zgnieciony identycznie jak u nieszczęsnej dziewczyny ze szkoły

Iluzyczne j.

Inna była przyczyna śmierci i właśnie do niej odnosiły się Iowa Amelia Sachs. Podczas gdy Sellitto komenderował detektywami i policjantami patrolu, zgromadzonymi w korytarzu, ona przyglądała się nieszczęsnej ofierze, Anthony'emu Calvertowi. Leżał na wznak na okazałym stoliku do kawy, stojącym w środku dużego pokoju. Rozłożone ręce i nogi przywiązane do nóg stołu. Przecięto go na pół przez środek, a do kręgosłupa.

Opisała tę ranę Rhymowi.

To się zgadza - powiedział Lincoln Rhyme głosem wypranym z wszelkich emocji.

Z czym zgadza?

Zgadza się z magicznymi metodami. Najpierw liny, teraz wcięcie na dwoje. - Usłyszała, jak krzyczy głośno do kogoś, prawdopodobnie do Kary: -To jest magiczna sztuczka, prawda? Przepiłowywanie kogoś na połowy? - Po chwili powiedział do niej: - Mówi, że to klasyczny trik iluzjonisty.

102

Dopiero teraz Amelia zdała sobie z tego sprawę. Widok zwłok wstrząsnął ją tak, że początkowo się nie zorientowała.

Klasyczny trik iluzjonisty.

Ale siowo „okaleczenie” znacznie lepiej opisywało to, co miała przed oczami.

Nie wolno ci się angażować, powiedziała sobie. Sierżant musi patrzeć na wszystko chłodnym okiem.

Nagle przez głowę przeleciała jej pewna myśl i nie było to nic przyjemnego.

Rhyme, czy sądzisz...

-Co?

Czy sądzisz, że był, kiedy sprawca zaczął go ciąć? Ręce ma przywiązane do nóg stołu. Leży na wznak.

Ach! Myślisz o tym, że może coś dla nas zostawił? Jakiś trop pomocny w ustaleniu tożsamości sprawcy? Niezły pomysł.

Nie. Myślę o bólu.

O tym? Aha.

O tym. Aha.

Analiza krwi to wykaże.

W tym momencie Amelia Sachs zauważyła na skroni Calverta ślad po uderzeniu tępym narzędziem. Rana ta nie krwawiła, co sugerowało, że serce przestało bić wkrótce potem, gdy uszkodzona została czaszka.

-

Nie, Rhyme. Jestem prawie pewna, że cięcie wykonane zostało post mortem.

Usłyszała w słuchawce głos Lincolna przekazujący Thomowi, co ma zapisać na tablicy. Mówił coś jeszcze, ale na to nie zwracała już uwagi. Widok zwłok bardzo ją poruszył, spowodował wstrząs, którego skutki trwały nadal. Ale przecież sama chciała wykonywać tę pracę. Owszem, potrafi nie przejmować się trupami, muszą się tego nauczyć wszyscy gliniarze badający miejsca zbrodni, i wkrótce przestanie się przejmować i tym. Ale nadal sądziła, że tam, gdzie przeszła śmierć, moment skupienia i ciszy jest więcej niż odpowiedni. Nie, nie motywowała jej śadna forma duchowości, po prostu nie chciała, by jej serce stwardniało na kamień, co w tym zawodzie zdarza się aż za często.

Rhyme coś do niej mówił.

Co? - spytała odruchowo.

Pytałem, czy widzisz broń.

Nie. Ale nie rozpoczęłam jeszcze przeszukania.

103

Do stojącego w drzwiach Sellitta dołączyli sierżant i funkcjonariusz w mundurze.

- Rozmawiałem z sąsiadami - powiedział policjant. Wskazał na ciało i zachłysnął się.

Zapewne nigdy nie był w jatce. - Opisywali ofiarę jako miłego, spokojnego sąsiada. Wszyscy go lubili. Gej, ale nie mieszał się w śadne rozróby. Ostatnio nie miał partnera.

Sachs skinęła głową.

Wygląda na to, że nie znał zabójcy - powiedziała.

Uznaliśmy to przecież za skrajnie nieprawdopodobne - usłyszała w odpowiedzi.

- Mag organizuje to sobie zupełnie inaczej.

Diabli wiedzą jak.

Jak zarabiał na życie?

Charakteryzator i stylistka jednego z teatrów na Broadwayu.

W alejce znaleźliśmy walizeczkę. No, wie pani: spreje do włosów,

zestawy do makijażu, pędzelki. Wychodził do pracy.

Amelia Sachs zastanawiała się przez chwilę, czy ten nieszczęsny młody człowiek nie

pracował także dla agencji fotograficznych, a jeśli tak, to czy zetknęła się z nim, gdy była modelką agencji Chantelle z Madison Avenue. W odróżnieniu od większości zawodowych fotografów i księgowych wielkich agencji charakterystycznie traktowali modelki jak ludzi.

Księgowy mówił na przykład: „No dobrze, pomalujmy ją, zobaczymy, jak będzie wyglądała”, a charakterystycznie potrafił na to odpowiedzieć: „Przepraszam, nie wiedziałem, że to sztacheta”.

Detektyw pochodzenia azjatyckiego z piątego posterunku, który zajmował się tą częścią miasta, pojawił się w drzwiach. Trzymał w ręku telefon komórkowy.

Jak się wam podoba? - spytał pogodnie.

Co ma się podobać - prychnął Sellitto. - Może wiecie, jakim

cudem udało mu się uciec? Ofiara zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście. Wasz patrol musiał być na miejscu w dziesięć minut.

Sześć - poprawił go detektyw.

Podjechaliśmy bez sygnału i przede wszystkim obstawiliśmy

wszystkie wyjścia - dodał Sellitto. - Kiedy weszliśmy do środka,

ciało było jeszcze ciepłe. Trzydzieści sześć i pół stopnia. Zorganizowaliśmy przeszukanie od drzwi do drzwi, ale nie natrafiliśmy

na ślad sprawcy.

Ślad?

Świadczenie?

Sellitto skinął głową.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, w holu była jedna osoba, staruszka. Wpuściła nas do środka.

Porozmawiamy z nią, kiedy wróci. yioŚe coś widziała.

_ Wyszła? - spytał Sellitto.

-Tak.

A niech to diabli! - warknęła Sachs.

PrzecieŚ nic się nie stało - zdziwił się policjant. - Przy kaŚ
dych drzwiach zostawialiśmy wizytówkę. Któraś z nich z pewno
ścią do niej trafi. Zadzwoni do nas, nie ma obaw.

Nie zadzwoni - westchnęła Sach. - Bo to był sprawca.

Ona? - spytał sierŚant piskliwym, drŚącym głosem. Śmiał się.

Nie „ona” - poprawiła go Amelia. - Sprawca tylko wyglądał
jak bezbronna starsza pani.

-

Hej, funkcjonariuszko - wtrącił Lon Sellitto. - Nie popadajmy w paranoję. Facet nie
zdąŚyłby przecieŚ przeprowadzić operacji zmiany płci.

-

Ale zdążyłby cię o tym przekonać. Pamiętaj, co mówiła Kara. Poruczniku, to był on...

a może ona? Chce się pan założyć?

W słuchawce usłyszała głos Rhyme'a.

-

O to nie mam zamiaru się zakładać, Sachs.

Sierżant sprawiał wrażenie oburzonego.

-

Przecież miała z siedemdziesiątkę albo coś koło tego! - za

protestował. - Niosła torbę z zakupami. Na wierzchu był wielki

ananas.

-

Proszę spojrzeć - powiedziała Amelia, wskazując na ku

chenny blat, na którym leżały dwa duże, ostro zakończone liście,

a obok nich karteczka na gumce ze znakiem Dole i przepisami na dania ze świeżymi ananasami.

O, cholera. Mieli go! Prawie się o nich otarli

-

W torbie z zakupami miał prawdopodobnie narzędzie zbrodni - usłyszała w słuchawce głos Rhyme'a.

Powtórzyła to coraz bardziej ponuremu detektywowi z piątki.

-

Nie przyjrzał się pan twarzy tej kobiety, prawda? - spytała sierśta.

-

Prawdę mówiąc, nie. Po prostu na nią zerknąłem. Wyglądała na, jak to się mówi? Zrobioną? Pokrytą tym... moja babcia tego używała, ale nie pamiętam...?

Rósem - podsunęła mu Sachs.

Właśnie. I miała namalowane brwi. W każdym razie szybko

ją... szybko go znajdziemy. Z pewnością nie jest daleko.

I - Znow zmieniał wygląd - odezwał się głos Rhyma'a. - Stare ubranie wyrzucił
prawdopodobnie gdzieś niedaleko.

105

Sachs zwróciła się od Azjaty.

- Przebrał się - wyjaśniła krótko. - Obecny tu sierżant może dać panu opis stroju staruszki.

Powinniście jak najszybciej sprawdzić pojemniki na śmieci, boczne alejki i tak dalej.

Pozbądźcie się niepotrzebnego już kostiumu najszybciej, jak będzie mógł.

Detektyw obejrzał ją od stóp do głów. Wzrok miał co najmniej chłodny. Co gorsza Sellitto

spojrzał na nią ostrzegawczo. Uświadomiło jej to, że ważną częścią procesu stawania się

sierżantem jest nieudawanie, że jest się sierżantem, gdy się nim jeszcze nie zostało. Ale Lon
autoryzował przeszukanie i detektyw wydał odpowiednie polecenia przez krótkofalówkę.

Następnie Amelia włożyła swój kombinezon Tyveka i zbadła miejsce zbrodni: mieszkanie,

korytarz i alejkę (tam znalazła najdziwniejszy ślad, jaki zdarzyło jej się dotychczas spotkać; czarnego
elektrycznego kota - zabawkę). Na końcu zajęła się najgorszą częścią swej pracy: ciałem ofiary.

Wreszcie skończyła. Sellitto zatrzymał ją, gdy szła do samochodu. - Poczekaj chwilę - powiedział,
odwieszając telefon. Najwyraźniej właśnie skończył jakąś rozmowę.

Sądząc z jego miny, nie była to rozmowa przyjemna. - Mam spotkanie z kapitanem i szefem

departamentu w sprawie naszego Maga. Chciałem cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Dodają nam kogoś do zespołu. Podjedź po niego, dobrze?

Jasne. Ale dlaczego mamy powiększać drużynę?

Ponieważ mamy dwa trupy w cztery godziny i Sadnego pie
przonego podejrzanego - warknął Sellitto. - A to oznacza, że szar
że nie są szczęśliwe. Oto pierwsza lekcja sieranta, wbij ją sobie
do głowy: kiedy szar że nie są szczęśliwe, ty nie jesteś szczęśliwa.

Most Westchnień.

Tak nazywano pieszce przejście, łączące sądy kryminalne z Centralnym Aresztem Miejskim,
znajdującym się przy Centre Street w śródmieściu Manhattanu.

Most Westchnień... szli nim wielcy mafiosi, wynajmujący morderców i mający na sumieniu
setki zabójstw, choć sami nigdy nikogo nie skrzywdzili. Szli nim przerażeni młodzi chłopcy, których
jedyną winą było przywalenie kijem bejsbolowym dupkom, którzy krzywdzili ich siostry czy kuzynki.
Szli nim roztrzęsieni narkomani, mordujący turystów dla czterdziestu

dwóch dolców, bo, człowieku, potrzebowałem cracku, potrzebowałem hery, nie rozumiesz,
człowieku, naprawdę potrzebowałem...

106

po tym samym moście szła teraz Amelia Sachs. Jej celem był areszt, który nieformalnie nadal
nazywano Grobowcami; odziedziczył on tę nazwę po starym więzieniu miejskim, które znajdowało
się kiedyś po drugiej stronie ulicy. Tu, wysoko nad najwyższym centrum

miejskiej władzy podała nazwisko, oddała w depozyt glocka (swą nieoficjalną broń,
sprężynowiec przezornie zostawiła w samochodzie) i weszła do zabezpieczonej poczekalni.

Hałaśliwe drzwi elektryczne zamknęły się za nią z trzaskiem.

Kilka minut później z sąsiedniego pokoju przesłuchań wyszedł mężczyzna, na którego
czekała. Dobiegał czterdziestki, był szczupły i wysportowany, o lekko przeredzonych
kasztanowatych włosach. Miał szczerą twarz, do której doskonale pasował beztroski
uśmiezek. Ubrany był w niebieską koszulę, dżinsy i czarną sportową kurtkę.

Cześć, Amelio - przywitał się. - Więc to ty zawieziesz mnie do Lincolna?

-

Cześć, Roi.

Detektyw Roland Bell rozpiął kurtkę. Dostrzegła jego słuŝbowy pas. On takŝe, zgodnie z zasadami, zdeponował broń, ale przy pasie miał dwie puste kabury. Pamiętała, ŝe kiedy pracowali wspólnie, często wymieniali się opowieściami o „wbijaniu gwoździ” (tak na południu określano strzelanie). Dla niego było to hobby, dla niej sport wyczynowy.

Dołączyli do nich dwaj męŝczyźni, którzy jeszcze przed chwilą znajdowali się w sali przesłuchań. Pierwszy z nich ubrany był w garnitur. Znała tego detektywa, Luisa Martineza, cichego, spokojnego człowieka o bardzo uważnym spojrzeniu. Drugi miał na sobie typowy strój sobotni: luźne spodnie khaki, czarną koszulkę Izod i spłowiałą wiatrówkę.

Przedstawiono go Amelii jako Charlesa Grady'ego, ale oczywiście znała go, choć tylko z widzenia. Ten zastępca prokuratora generalnego był sławą w nowojorskim środowisku prawniczym. Szczupły, w średnim wieku, z dyplomem Harvardu, pozostał w biurze prokuratora na długo po tym, gdy jego rówieśnicy umknęli na lepsze pastwiska. „Pitbull” i „twardziel” były standardowymi określeniami, którymi opisywała go prasa. Cieszył się

względami Rudolpha Giulianiego, a jednak -w odróŝnieniu od byłego burmistrza - nie miał ambicji politycznych. Wystarczało mu, ŝe jako zastępca prokuratora moŝe poświęcić się swej największej pasji, którą sam określał jako „pakowanie za kratki złych facetów”.

I był w tym dobry. Cholernie dobry. Jego procent wygranych spraw naleŝał do najlepszych w

historii miasta.

Bell był na miejscu ze względu na bieżącą sprawę Grady'ego. Stan wystąpił przeciw czterdziestopięcioletniemu agentowi ubezpieczeniowemu, mieszkającemu w małym miasteczku na północ od Nowego Jorku. Andrew Constable mniej znany był z wypisywania polis właścicielom domów, a bardziej z tego, że dowodził lokalną grupą fanatyków, nazywającą się Zgromadzeniem Patriotów. Oskarżano go o spiskowanie w celu popełnienia morderstwa oraz przestępstwa wynikające z uprzedzeń rasowych, a jego sprawę przesunięto tu z powodu wniosku o zmianę miejsca rozprawy.

W miarę jak zbliżała się jej data, Grady zaczął odbierać pogroźki. Groźono mu nawet śmiercią. Kilka dni temu zadzwoniono do niego z biura Freda Dellraya, agenta FBI, który często współpracował z Rhyme'em i Sellitem. Gdzie teraz podziewał się Dellray, nie wiedział nikt, dostał jakąś tajną, antyterrorystyczną misję, ale jego przyjaciele dowiedzieli się, że przygotowany jest zamach na Sycie Grady'ego. W nocy z czwartku na piątek lub w piątek rano włamano się do jego biura. W tym momencie zapadła decyzja o wciągnięciu w sprawę Rolanda Bella.

Bell był cichym, spokojnym mężczyzną pochodzącym z Karoliny Północnej. Oficjalnie współpracował z Lonem Sellitto w sprawach zabójstw i innych poważnych przestępstw. Ale... dowodził także nieoficjalną grupą nowojorskich detektywów znaną jako SWAT. Nie miała on jednak nic wspólnego z oddziałem, o którym wiedzą wszyscy oglądający telewizję; w tym wypadku skrót oznaczał po prostu Saving the Witness Ass Team*. Bell mówił sam o sobie: „Mam swego rodzaju talent do trzymania przy życiu ludzi, których inni ludzie chcą widzieć martwych”. Oznaczało to pracę na dwa etaty: oprócz normalnych spraw, którymi zajmował się z Sellitem, Bell zajmował się także szczegółami ochrony tych, którzy jej potrzebowali. Lecz teraz, gdy Grady otrzymał ochronę, a śródmiejskie szarże -nieszczęśliwe śródmiejskie szarże - zdecydowały, że grupę zajmującą się Magiem należy wzmocnić przyzwoitym

napastnikiem, logicznym posunięciem było wyznaczenie do tej roli właśnie Bella. - A więc tak wygląda Andrew Constable - powiedział z namysłem Grady, zwracając się do Bella i ruchem głowy wskazując

Dosłownie: Grupa Ratująca Świadkom Tyłki.

108

brudne okienko do pokoju przesłuchań. Sachs podeszła do szyby, zajrzała do środka i zobaczyła chudego, bardzo dystyngowanego dSentelmena w pomarańczowym kombinezonie, siedzącego przy stole z opuszczoną głową i kiwającego nią od czasu do czasu. _

Spodziewałeś się kogoś takiego? - pytał dalej Grady.

-

Raczej nie - odparł Bell ze swym charakterystycznym, połu
dniowym akcentem. - Myślałem, Őe będzie bardziej prowincjo
nalny, chłopski, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A ten gość ma
doskonałe maniery. Muszę ci szczerze powiedzieć, Charles, Őe nie
sprawia wraŜenia winnego.

-

Pewnie, Őe nie. - Grady skrzywił się. - CięŜko będzie uzy
skać skazanie. - Rozeŝmiał się, lecz bez wesołości. - Ale za to mi

przecież płacą te wielkie pieniądze.

Grady zarabiał mniej niż młody prawnik na stażu w firmie na Wall Street.

-

Są jakieś nowe informacje w sprawie włamania do twojego biura? - spytał Bell. - Masz może wstępny raport z oględzin miejsca zbrodni? Chciałbym go przejrzeć.

-

Będzie gotowy lada chwila. Dopilnuję, żeby ci go przysłało.

Wynikło jeszcze coś i muszę się tym zająć. Ale zostawiam me dziewczęta i chłopców z tobą i twoją rodziną. Nie martw się.

Wystarczy, żeby zadzwonisz.

Dziękuję, detektywie - powiedział Grady i dodał: - Córka kazała cię pozdrowić. Dobrze by było, żeby spotkała się z twoimi chłopcami. A my chętnie poznalibyśmy twoją przyjaciółkę. Przy pomnij mi, gdzie mieszka.

Lucy? W Karolinie Północnej.

I też pracuje w policji, nie myłę się?

-
Tak. Pełni obowiązki szefa w metropolii Tanner's Corner.

Luis zauważył, że Grady robi krok w kierunku drzwi i natychmiast znalazł się przy jego boku.

-
Zaczekaj sekundkę, bardzo cię proszę, Charles. - Wyszedł z zabezpieczonego terenu, odebrał broń od strażnika zajmującego się depozytami, dokładnie przyjrzał się korytarzowi i przejściu.

W tej chwili Amelia usłyszała dobiegający z za jej pleców cichy głos.

-
Proszę pani...

Była w tym głosie szczególna intonacja, wykształcona przez pokolenia wykorzystywania niewolniczej pracy i służby publicznej. Obróciła się i zobaczyła Andrew Constable'a, stojącego obok

wielkiego strażnika. Constable był wysokim mężczyzną, trzymającym się bardzo prosto. Miał szpakowate, gęste, wijące się włosy. Obok niego stał także jego niski, krępy prawnik.

Czy należą pani do zespołu opiekującego się panem Gradyem?

Andrew - ostrzegł go prawnik.

Więzień skinął głową. Przyglądał się Amelii, ironicznie unosząc brew.

To nie moja sprawa - odparła lekceważąco Sachs.

Doprawdy? Pragnę powiedzieć pani to, co powiedziałem de tekturze Bellowi. Mówię szczerze: nic nie wiedziałem o groźbach pod adresem pana Grady'ego. - Popatrzył na Bella, który obrzucił go beznamiętnym spojrzeniem. Pozujący na prowincjonalnego gliniarza lubił czasami sprawiać wrażenie twardziela, a czasami faceta pełnego rezerwy, ale nigdy w konfrontacji z podejrzanym. Zimne spojrzenie powinno wystarczyć, jak teraz.

Musicie wykonywać swoją pracę, doskonale to rozumiem.

Proszę jednak, by uwierzyła pani, że za nic nie skrzywdziłbym pana Grady'ego. Jednym z fundamentów, na których opiera się nasz kraj, jest gra fair. - Zaśmiał się. - Przeciwników pobiję w sądzie. Bez wątplenia dzięki obecnemu tu mojemu błyskotliwemu przyjacielowi. - Gestem głowy wskazał prawnika i od razu spojrział na Bella. - Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy, de tekturze. Zastanawiałem się... czy ciekawi pana, co moi patrioci robili w Canton Falls?

Mnie?

Och, nie chodzi mi przecie o wszystkie te bzdury z domnie

maną konspiracją. Chcę pana zainteresować naszą prawdziwą działalnością.

Daj spokój, Andrew - zaniepokoił się prawnik. - Zawsze lepiej trzymać język za zębami.

Przecież tak sobie po prostu rozmawiamy, Joe. No to jak, detektywie?

O co panu właściwie chodzi, proszę pana? - spytał sztywno

Bell.

Jeśli spodziewał się aluzji do swego południowego akcentu i jakichś rasistowskich sugestii, natychmiast się rozczarował. W odpowiedzi usłyszał: -

O prawa stanów, prawa pracownicze, uprawnienia rządów stanowych przeciw uprawnieniom rządu federalnego. Powinien pan obejrzeć sobie naszą stronę w Internecie, detektywie. -

110

Znów zabrzmiał ten irytujący śmiech. - Ludzie spodziewają się swastyk, dostają Thomasa Jeffersona i George'a Masona.

Bell nie odpowiedział. Zapadła cisza, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej krępująca. Nagle Constable potrząsnął głową i uśmiechnął się z zaśmianiem.

Wybacz mi, Panie... czasami nie potrafię się powstrzymać.

Idiotyczne kazanie. Wystarczy parę osób i zobaczą, co się dzieje. Gadam dłużej, niż ludzie mogą znieść.

Idziemy - powiedział strażnik.

Skoro trzeba - odparł więzień. Skinieniem poświecił się

z Amelią i Bellem. Odszedł korytarzem, pobrzękując kajdanami,

które założył mu na nogi. Adwokat poświecił się z prokuratorem

- dwaj przeciwnicy, którzy mogą się jednak szanować - i opuścił

zabezpieczone pomieszczenie. Po chwili w jego ślady poszli Amelia Sachs, Bell i Grady.

Nie sprawił na mnie wrażeń potwora - powiedziała Amelia. - O co go właściwie oskarżono?

Tajni agenci jednostki antyterrorystycznej, rozpracowujący

handel bronią na północy stanu, trafili na coś, za czym, przynajmniej ich zdaniem, stoi

Constable. Jego ludzie zamierzali podob

no ściągać policję stanową w odległe zakątki okręgu fałszywymi

telefonami pod dziewięćset jedenaście. Jeśli trafiliby na czarne

go, mieli go porwać, rozebrać do naga i zlinczować. Mówiło się też

coś o kastracji.

Amelia, która w trakcie swej długiej i trudnej kariery w siłach prawa i porządku spotkała się z wieloma przestępstwami sprawiającymi wrażenie groteskowych, spojrzała na niego, zdumiona tą wstrząsającą informacją.

-

Mówisz poważnie?

Grady skinął głową.

A to tylko tak na dobry początek. Lincze były, zdaje się, czę

ścią ich wielkiego planu. Mieli nadzieję, że jeśli zamordują w ten

sposób wystarczająco wielu gliniarzy i ściągną na siebie uwagę

mediów, Murzyni wzniecą coś w rodzaju buntu. Co skłoni białych

do zemsty i wymazania czarnych z powierzchni ziemi. Mieli na

dzieję, że Latynosi i Azjaci dołączą do czarnych i oni również zo

staną zmiećeni przez białą rewolucję.

Teraz? W naszych czasach?

A tak. Niezłe, co?

Bell skinął głową Luisowi.

-

Jest teraz pod twoją opieką. Uważaj.

111

- Możesz spać spokojnie - powiedział detektyw.

Grady i jego potężny ochroniarz opuścili strzeżony korytarz. Sachs i Bell odebrali broń z depozytu. Kiedy szli mostem Westchnień w stronę gmachu sądów karnych, Amelia w skrócie opowiedziała Bellowi o Magu i jego ofiarach.

Bell skrzywił się na wzmiankę o potwornych szczegółach śmierci Anthony'ego CaWerta.

Motyw? - spytał.

Nieznany.

Wzór?

Jak wyśej.

Jak wygląda sprawca? - spytał Bell.

To raczej delikatna sprawa.

Naprawdę nic nie wiecie?

-

Naszym zdaniem to mężczyzna, biały, średniego wzrostu i średniej budowy ciała.

Nikt mu się bliżej nie przyjrzał, co?

Wręcz przeciwnie. Całkiem sporo ludzi widziało go z bliska.

Tylko... za pierwszym razem był ciemnowłosym brodatym facetem około pięćdziesiątki, potem łysym woźnym pod sześćdziesiątkę, a potem starszą panią po siedemdziesiątce.

Bell czekał, a Amelia się roześmieje, pewien, że to po prostu Sart. Ale nie usłyszał śmiechu.

Nie bujasz? - upewnił się.

Obawiam się, że nie, Rolandzie.

Jestem dobry - powiedział Bell, potrząsając głową i postu

kując w pistolet, wiszący w kaburze na prawym biodrze. - Ale po
trzebuję celu.

To się o niego pomódl, pomyślała Amelia.

Ślady z miejsca drugiej zbrodni dotarły wreszcie na miejsce.

Mel Cooper rozkładał torebki i próbówki na stołach laboratorium w domu Rhyme'a.

Sellitto powrócił właśnie z burzliwego spotkania w sprawie Maga. Zastępca komisarza i burmistrz domagali się od niego szczegółowych informacji o postępach w sprawie, ale
postępów

Sadnych nie było.

Cirque Fantastique przekazał informacje o ukraińskich iluzjonistach, tyle że nic z nich nie wynikało. Dwaj przydzieleni do cyrku policjanci weszli tu i tam, ale nie dostrzegli niczego podejrzanego.

Sachs wkroczyła do pokoju w towarzystwie jak zwykle zrównoważonego i spokojnego Rolanda Bella. Kiedy Lonowi Sellitcie nakazano dołączenie do zespołu jeszcze jednego detektywa, Lincoln Rhyme natychmiast zaproponował właśnie Bella. Podobał mu się pomysł współpracy z dobrym gliniarzem znającym ulice i doskonale strzelającym. Ron świetnie potrafił wesprzeć Amelię w polu.

Wszyscy się przywitali, tych, którzy się nie znali, przedstawiono sobie. Bellowi nie wspomniano o Karze, która widząc jego pytające spojrzenie, powiedziała:

-

Jestem jak on. - Wskazała głową Rhyme'a. - Kimś w rodzaju konsultanta. Konsultantki.

-

Miło panią poznać - odparł uprzejmie Bell i zrobił wielkie Oczy, widząc, jak dziewczyna przesuwając między palcami trzy mo-
tety jednocześnie.

Sachs i Mel Cooper natychmiast zabrali się do pracy nad dowodami, a Rhyme spytał:

Kim był ten facet? No, ofiara.

Anthony Calvert. Trzydzieści dwa lata. Nie Sonaty... a raczej bez stałego partnera.

Jakieś związki z dziewczyną ze szkoły muzycznej?

Nic na to nie wskazuje - odparł Sellitto. - W każdym razie

Bedding i Saul nic nie znaleźli.

Czym się zajmował? - spytał Cooper.

-

Był charakterizatorem na Broadwayu.

A pierwszą ofiarą była studentka szkoły muzycznej, pomyślał Rhyme. Dziewczyna i mężczyzna o orientacji homoseksualnej. Mieszkali gdzie indziej, obracali się w zupełnie innych środowiskach. Co może wiązać te morderstwa?

-

Jakieś podteksty seksualne? - spytał.

Ponieważ w pierwszym morderstwie niczego takiego nie znaleziono, odpowiedź go nie zdziwiła.

-
Nie - odparła stanowczo Sachs. - Chyba Œe sprawca zabiera ze sob¹ do łóŒka wspomnienia. I podnieca go coŒ takiego. - Podesz³a do tablicy i przyklei³a na niej cyfrowe zdjecia zw³ok.

Rhyme podjecha³ bliŒej. Bez emocji przygl¹da³ siê temu straszemu obrazowi.

Chory popapraniec. - G³os Sellitta równieŒ nie zdradza³ Œadnych uczuó.

A broń? - spyta³ Bell.

Wygl¹da na pi³e - odpar³ Cooper, który od jakiegoŒ czasu studiowa³ zbliŒenia ran.

Bell, który i w Karolinie, i w Nowym Jorku widzia³ niejedno, potrząsn¹³ g³ow¹.

- Twardy facet - powiedzia³ tylko.

Rhyme, który ci¹gle przygl¹da³ siê zdjeciom, uŒwiadomi³ sobie nagle, Œe s³yszy dobiegaj¹cy z ty³u dziwny dŒwiêk, coŒ jakby przerywany Œwist. Odwróci³ g³ow¹. Za nim sta³a Kara, oddychaj¹c ciêŒko. Ona teŒ przygl¹da³a siê zdjeciom zw³ok Calverta. Sta³a nieruchomo, raz

po raz nerwowo przeczesywa³a d³oni¹ krótko przyciête w³osy, przeraŒonego wzroku nie mog³a oderwaó od okropnych zdjecó. W oczach mia³a łzy. Wargi jej drŒ¹³y. Nagle odwróci³a siê od tablicy.

- Czy...? - spyta³a Amelia, ale dziewczyna tylko podnios³a r¹k¹, uciszaj¹c j¹ tym gestem.

Oddycha³a g³ęboko.

Widz¹c maluj¹cy siê na jej twarzy ból, Rhyme by³ pewien, Œe siêgn¹³a kresu, nie wytrzyma,

Se to już koniec. Jego Syciu i pracy przy badaniu miejsca zbrodni nieodłącznie towarzyszyły tego rodzaju przerażające widoki, jej nie. Ryzyko i niebezpieczeństwa zawodu iluzjonisty były czysto iluzoryczne. Od cywilów nie można wymagać, by dobrowolnie narażali się na

coś tak potwornego. Szkoda, wielka szkoda. Rozpaczliwie potrzebowali pomocy tej dziewczyny. Ale ten wyraz panicznego strachu na jej twarzy; nie, nie wolno narażać jej na kolejne próby. Przez głowę przeleciała mu nawet myśl, że Kara może wymiotować.

Amelia zrobiła krok w jej stronę, ale Lincoln Rhyme potrząsnął głową. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że tracą ją... i że muszą pozwolić jej odejść.

Nie wiedział nawet, jak bardzo się myli.

Kara odetchnęła po raz ostatni, niczym nurek tuż przed wskoczeniem do wody... i spojrzała na tablicę, gotowa stawić czoło strachowi. Nie, nie traciła panowania nad sobą, po prostu dostosowywała się do nowej rzeczywistości.

Tym razem obejrzała zdjęcia bardzo dokładnie.

P.T. Selbit - powiedziała, ocierając oczy.

To nazwisko? - upewniła się Amelia.

Dziewczyna skinęła głową.

-

Pan Balzac wykonywał niektóre z jego numerów. Był to iluzjonista z początku dwudziestego wieku. Pokazywał właśnie to, co widać na zdjęciach. „Przepełnianie dziewczyny”. Kładł asystentkę na wznak, krępował rozłożone ręce i nogi. I piłował. Jedyne różnica polega na tym, że w tym wypadku asystentem był

męŒczyzna. - Zawahała się i poprawiła, zmieszana. -To znaczy, za
miast dziewczyny wziął męŒczyznę i zamordował - poprawiła się
niezręcznie.

Czy to jest sztuczka dla wtajemniczonych? - spytał Rhyme.

Nie. Wręcz przeciwnie. Jest nawet bardziej znana niŜ „Zni
kający człowiek”. Zna ją kaŒdy, kto ma jakieŒ pojęcie o historii
magii.

Spodziewał się tak rozczarowującej odpowiedzi, mimo to polecił: „Thom, umieŒć to w profilu
sprawcy”, po czym zwrócił się do Amelii Sachs:

-

A teraz powiedz nam, co właściwie przydarzyło się temu
Calvertowi.

-

Wygląda na to, Œe opuŒcił budynek tylnymi drzwiami. Zda
niem sąsiadów zawsze tamtędy wychodził do pracy. Mijał Œlepą
alejkę, kiedy zobaczył to. - Wskazała czarnego kota w plastik
wej torebce. - Zabawkę.

Kara obejrzała go sobie dokładnie.

- Automat - orzekła. - Robot. CoŒ takiego nazywamy „udawanym”.

-Jak?

- Udawanym. To rekwizyt, ale widzowie mają myśleć, że jest prawdziwy. Jak nóż z chowanym ostrzem albo kubek z podwójnym dnem.

Przycisnęła guzik i kot nagle się poruszył, a potem bardzo przekonująco zamiauczał. Głos znów zabrała Amelia.

Ofiara musiała zobaczyć w alejce kota. Podeszła do niego, sądząc zapewne, że jest ranny. Mag miał ją teraz w ślepym za ułku.

Skąd pochodzi ten kot? - spytał Rhyme.

-

Sing-Lu Manufacturing w Hongkongu. Sprawdziłem ich stronę. Można kupić go w setkach sklepów w kraju.

Lincoln Rhyme westchnął. Sformułowanie „zbyt popularny, by wysledzić źródło” wydały mu się nagle tematem przewodnim tej sprawy.

Calvert podszedł do kota i przykucnął, by sprawdzić, co mu się stało - kontynuowała Amelia. - Sprawca ukrywał się gdzieś i...

Lustro - przerwał jej Rhyme, patrząc na Karę, która energicznie skinęła głową. - Wystarczy dobrze ustawić lustro i ktoś, kto jest za nim, może całkowicie zniknąć.

Oczywiście. Sklep, w którym pracowała Kara, nazywał się przecieś „Dym i Lustra”.

- Coś jednak poszło nie tak - głos zabrał Lon Sellitto. - Ofierze udało się uciec. I tu

dochodzimy do czegoś niesamowitego. Mam nagranie z taśmy telefonu 911. Calvert dostał się nie tylko do domu, ale nawet do swojego mieszkania i zadzwonił pod numer alarmowy. Powiedział, że zgubił napastnika przed domem i że drzwi są zamknięte. W tym momencie rozmowa została przerwana. Mag jakimś cudem zdołał dostać się do środka.

Może okno? Sachs, sprawdziłaś wyjście przeciwpożarowe?

Sprawdziłam. Okno było zamknięte od środka.

Ale i tak powinnaś je przebadać.

"- Nie dostał się do środka w ten sposób. Nie miał czasu.

Czyli musiał dysponować kluczami ofiary - podsumował autorytatywnie kryminalistyk.

Nie było na nich żadnych śladów, choćby ukrytych - odparła

Amelia. - Znalazłam tylko te, które zostawiła ofiara.

-

Musiał - powtórzył z uporem Rhyme

_ Wcale nie musiał - wtrąciła nieoczekiwanie Kara. - Usłyszał wytrychów.

_ Niemożliwe! - zaprotestował Rhyme. - Może był tam wcześniej, zrobił odcisk zamka...

Sachs, powinnaś wrócić, sprawdzić,

czy-

-

Usłyszał wytrychów - powtórzyła dziewczyna. Jej głos brzmiał
bardzo pewnie. - Gwarantuję.

Rhyme potrząsnął głową.

-

Przeszedł przez dwoje drzwi w sześćdziesiąt sekund? Nie
ma mowy.

Kara westchnęła ciężko.

Bardzo przepraszam, ale tak, przeszedł przez dwoje drzwi
w sześćdziesiąt sekund. A może zabrało mu to mniej niż minutę?

Załóżmy, że nie. - Gdyby mógł, Rhyme machnąłby ręką. -

A teraz...

-

A może założymy, że mógł?! - Dziewczyna najwyraźniej straciła
cierpliwość. - Słuchajcie, nie możemy tak po prostu przejść
nad tym do porządku dziennego. To bardzo ważna sprawa. Coś
nam o nim mówi. Zamknięte drzwi nie są dla niego łatwą przeszkodą.

Rhyme spojrzał na Lona Sellitto.

-Pracowałem w wydziale do spraw kradzieży i w swojej karierze złapałem paru włamywaczy.

śaden z nich nie przeszedłby przez te zamki tak szybko.

-Pan Balzac kazał mi pracować nad włamaniami dziesięć godzin w tygodniu - zaprotestowała

Kara. - Nie mam ze sobą narzędzi, ale gdybym je miała, weszłabym tu z ulicy w trzydzieści sekund, a jeśli mają blokadę, to w sześćdziesiąt. A nie umiem przecieś skrobać zamka.

Gdybym umiała, ten czas można by skrócić o połowę. Dobra, rozumiem, kochacie te swoje

wykresy i dowody, ale szkoda czasu Amelii. Po co ma szukać czegoś, czego nie ma? Wm

Jesteś pewna? - spytał Sellitto.

-

Na sto procent.

Amelia Sachs spojrzała na Rhyme'a, Zgodził się z opinią dziewczyny niechętnie, choć prywatnie sprawiło mu wielką przyjemność, Śe okazała ducha walki, zadośćuczyniło to zarówno Spojrzeniu, jak i Uśmiechowi. Skinął głową i polecił Thomowi:

-

Wpisz na tablicy, Śe nasz sprawca jest mistrzem włamywaczy.

-

Nie sposób powiedzieć, czym sprawca uderzył ofiarę. Ślad

Wskazuje na tępe narzędzie. Może kawałek rury? W każdym razie

Narzędzie zabrał ze sobą.

Przyszedł raport z daktyloskopii. Z miejsc, których Mag mógł dotknąć, i z bezpośredniego otoczenia ciała zdjęto osiemdziesiąt dziewięć oddzielnych śladów. Rhyme natychmiast dostrzegł, że niektóre z nich wyglądają dziwnie. Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że pochodzą z nakładek na palce. Innych już nie oglądał.

W substancjach, które Sachs znalazła na miejscu zbrodni, odkryto mikroślady tego samego oleju mineralnego, który pojawił się w szkole muzycznej, oraz lateksu, makijażu i algininu.

Detektyw Kaun z posterunku piątego zatelefonował z informacją, że poszukiwania stroju, w którym sprawca zbiegł z miejsca zbrodni, nie przyniosły żadnych rezultatów. Rhyme podziękował mu i poprosił o kontynuowanie poszukiwań. Policjant obiecał, że ich nie przerwą, ale powiedział to z tak fałszywym entuzjazmem, że nie było żadnych wątpliwości: już je przerwano.

Powiedziałaś, że zmienił zegarek ofiary? - spytał Amelię Rhyme'a.

Aha. Dokładnie w południe, parę sekund po.

A pierwszą ofiarę zabił o ósmej. Wygląda na to, że pracuje na czas. Pewnie wybrał już kolejną ofiarę, która ma zginąć o szesnaście następną.

Zostały niespełna trzy godziny.

Z lustrem też nie mieliśmy szczęścia - oznajmił Cooper. -

Nie znamy producenta. Nazwa była zapewne na ramie i została

zatarta. Jest kilka odcisków, ale przykrytych śladami tych nakładek, więc naleŜą pewnie do sprzedawcy albo nawet wytwórcy.

Ale i tak przepuszczę je przez AFIS.

Mam buty - oznajmiła Sachs, wyjmując torbę z kartonowego pudełka.

Sprawcy?

Prawdopodobnie tak. Ecco, jak w szkole. I rozmiar się zgadza. Dziesiątka.

-

Zostawił je. Dlaczego? - zdziwił się Sellitto.

Rhyme pokręcił głową.

Prawdopodobnie domyśla się, że wiemy, jakie buty nosi, i boi się, że policjanci zauważyli je u staruszki.

Mamy kilka dobrych śladów we wgłębieniu na czubkach i pomiędzy podeszwą i butem - oznajmił Mel Cooper. Wskrobał ziemię, burknął „mnóstwo tego” i pochylił się z uwagą.

Nie był to bynajmniej róg obfitości, ale na potrzeby badań kryminalistycznych materiału rzeczywiście nie brakowało. I mógł im dostarczyć nieocenionych informacji.

118

_ Pod mikroskop, Mel - pośpieszył technika Rhyme. -Sprawdźmy, co tu właściwie mamy.

Głównym instrumentem laboratorium kryminalistycznego jest właśnie mikroskop.

Udoskonalano go wielokrotnie, ale w zasadzie nie różni się niczym od małego, mosiężnego urządzenia wynalezioneego przez Holendra, Antoniego van Leeuwenhoek, w XVI wieku.

Oprócz starego skaningowego mikroskopu elektronowego Rhyme miał jeszcze dwa.

Pierwszym z nich był Leitz Orthoplan, starszy model, ale ulubiony Rhyme'a, wyposażony w potrójny okular; przez dwa obserwator oglądał próbkę, w trzecim znajdowała się kamera.

Z kolei drugi właśnie przygotowywał Cooper, był to mikroskop stereoskopowy, którego używał do badania włókien z miejsca popełnienia pierwszego morderstwa. Tego rodzaju mikroskopy dają niewielkie powiększenie, można ich jednak z powodzeniem używać do badania przedmiotów trójwymiarowych, na przykład owadów czy materiału roślinnego.

Obraz spod mikroskopu pojawił się na ekranie komputera.

Badający dowody studenci pierwszego roku kryminalistyki zazwyczaj natychmiast włączają największe powiększenie. W rzeczywistości nie jest to wcale konieczne; w tej dziedzinie najlepsze rezultaty uzyskuje się przy powiększeniach niewielkich. Mel Cooper zaczął od czterokrotnego, poprzestał na trzy-dziesiętkrotnym.

-

Wyostrz, wyostrz - ponaglił go Rhyme.

Technik obrócił delikatnie pokrętko powiększenia. Obraz rozmył się na chwilę, a potem pojawił, ostry i czysty.

-

No dobra, obejrzymy to - powiedział Rhyme.

Cooper minimalnie przesuwał stolik przedmiotowy za pomocą pokręteł regulacyjnych. Przez ekran przesunęły się setki przeróżnych kształtów, niektóre ciemne, inne czerwone lub zielone, jeszcze inne przezroczyste. Jak zawsze, gdy oglądał obraz spod mikroskopu, Rhyme czuł się jak podglądacz. Obserwował przecieś świat, który nie miał pojęcia, że może być obserwowany.

Świat bardzo, ale to bardzo ciekawy.

Włosy - powiedział. - Zwierzęce. - Odróżniał je od ludzkich

Po liczbie łusek.

Jakie to zwierzę? - spytała Sachs.

Powiedziałbym, że pies - odparł Mel. Lincoln Rhyme skinął

głową. Technik połączył się telefonicznie z policyjną bazą zwierzęcych włosów i już po

chwili miał przed sobą rezultaty badań. - Mam dwie rasy. Nie, trzy. Owczarek niemiecki albo coś takiego. I dwie długowłose: seter angielski i briard.

Cooper zatrzymał obraz, przedstawiający brązową masę ziaren, patyczków, rurek.

To dłuższe to co? - spytał Sellitto.

Włókna? - wysunęła przypuszczenie Sachs.

Rhyme zerknął na monitor.

-
Powiedziałbym, że wyschnięta trawa. W każdym razie jakieś rośliny. Sprawdź to, Mel.

Nie musieli czekać długo na wyniki badań chromatograficzno--spektrometrycznych. Na

monitorze pojawił się wykres z rezultatem analizy: barwniki Őłci, stercobilina, urobilina, indolina, azotany, skatol, merkaptany, siarkowodór.

-Ach!

Co „ach!”? Co to znaczy? - dopytywał się Sellitto.

Polecenie, mikroskop jeden.

Na komputerowym monitorze znów rozbłysnął poprzedni obraz.

-

PrzecieŜ to oczywiste. Martwa materia bakteryjna, częŝcio

wo przetrawione włókna i trawy. Gówno. Och, przepraszam za

brzydkie słowo. - Rhyme uŝmiechnął się sarkastycznie. - Psia

kupka. Nasz Mag wdepnął w coŝ, w co nie powinien był wdepnąć.

Była to dobra nowina. Włosy i fekalia stanowiły niezłe dowody i jeŝli znajdą ŝlady podobnej substancji na podejrzanym, w jakimŝ określonym miejscu lub w samochodzie, będzie moŜna wnioskować, ŝe istnieje związek międy nimi a Magiem.

Z systemu AFIS nadzorowanego przez FBI przyszła informacja o znalezionych na lustrze

odciskach palców. „Brak pozytywnej identyfikacji". Nikogo to nie zdziwiło.

-

Mamy coŝ jeszcze? - spytał Rhyme.

-
Nie - odparła natychmiast Amelia. -To wszystko.

Kryminalistyk przyglądał się kartom dowodów, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Thom otworzył i po chwili wrócił w towarzystwie funkcjonariusza w mundurze. Chłopak zatrzymał się w progu, onieśmielony, jak wielu podobnych do niego młodych ludzi wkraczających w królestwo słynnego Lincolna Rhyme'a.

Szukam detektywa Bella - powiedział cicho. - Podobno tu go znajdę.

To ja.

Mam raport z miejsca przestępstwa. Z włamania do biura pana Charlesa Grady.

120

-
Dziękuję, synu. - Bell odebrał kopertę z rąk posłańca. Dzieciak zerknął z zachwytem na Rhyme'a i wyszedł, pośnany przy—

Kaznym skinieniem głowy.

Detektyw przejrzał zawartość koperty. Wzruszył ramionami. _ To nie moja działka. Hej,

Lincoln, a może ty mógłbyś na to ierknąć?

-

Jasne. Wyjmij zszywki i połóŜ to na czytniku. Thom ci pomo-

Ŝe. A o co chodzi? Czy dotyczy to jakoŝ sprawy Constable'a?

Roland Bell przedstawił krótko problem z włamaniem do biu-Grady'ego. Tymczasem Thom

skończył rozkładać kartki na ządzeniu do czytania. Lincoln Rhyme pogrąŜył się w lekturze. -

Polecenie, przewróć stronę - powiedział w pewnym momencie i czytał dalej.

Włamania dokonano w najprostszy moŜliwy sposób: stłuczono szybkę w drzwiach między

korytarzem a sekretariatem, po czym otwarto drzwi od środka. Drzwi między sekretariatem a

gabinetem prokuratora były masywne, drewniane, zaopatrzone w dwa zamki; włamywacz

sobie z nimi nie poradził.

Badający miejsce przestępstwa znaleźli coŝ interesującego: włókna na biurku i wokół niego.

Raport wymieniał tylko ich kolory: większość białych, kilka czarnych, zaledwie jedno

czerwone... i nic więcej. Były takŜe dwa kawałki złotej folii. Stwierdzono teŜ, Ŝe do włamania doszło po zakończeniu pracy przez sprzątaczkę, tak więc prawdopodobieństwo, Ŝe zebrane materiały pochodziły od sekretarki lub kogoŝ, kto miał prawo odwiedzać biuro prokuratora,

było minimalne. Najwyraźniej pozostawił je włamywacz. Kryminalistyk przeczytał raport do

końca. · To wszystko? - spytał zdziwiony. Na to wygląda - odparł Bell. Rhyme chrząknął

znaczaco. Polecenie, telefon. Peretti, przecinek, Vincent. To Lincoln Rhyme zatrudnił go

przed laty jako specjalistę do badania miejsca przestępstwa. Peretti bez wątpienia miał talent, ale

prawdziwym geniuszem błysnął na zupełnie innym polu: w trudniejszej i znacznie bardziej

ezoterycznej sztuce departa-nientalnej polityki, którą, w odróŜnieniu od Rhyme'a, uprawiał z ogromnym zapałem, z jakim nigdy nie podchodził do badań. %ł teraz szefem zespołu do badania

miejsc przestępstw.

Po pokonaniu biurokratycznych przeszkód kryminalistykowi udało się wreszcie porozmawiać

z nim osobiŝcie.

Jak się masz, Lincoln.

Nieźle. Vince, słuchaj...

Badasz sprawę tego Maga, prawda? I co tam?

Niewiele. Vince, słuchaj, dzwonię do ciebie w zupełnie innej sprawie. Jest tu u mnie Roland Bell. Pokazał mi raport z włamań do biura Grady'ego...

Aha, sprawa Constable'a. Pogróżki wobec Grady'ego. Pamiętam. Co mogę dla ciebie zrobić?

Przejrzałem ten raport. Można go uznać co najwyżej za wstępny. Potrzebuję trochę więcej informacji. Na miejscu znaleziono jakieś włókna. Chcę znać skład każdego z nich, długość, przekrój, temperaturę barwową, używane pigmenty, stopień zużycia...

Poczekaj chwilę, wezmę pióro. - Chwila milczenia. - No, mów.

Potrzebuję także elektrostatyki wszystkich odcisków stóp i fotografii wzorów na podłodze. Chcę też wiedzieć, co było na biurku sekretarki, na szafce i na regałach. Co było na każdej powierzchni, każdej półce i każdej ścianie. Wraz z dokładnym umiejscowieniem.

Czyli wszystko, czego dotykał sprawca? W porządku. Zaraz...

Nie, Vince. Chodzi o wszystko, co możecie znaleźć w sekretariacie. Wszystko. Zbadajcie spinacze. Zbadajcie pajęczyny na górnej szufladzie biurka. Zdjęcia dzieci sekretarki. Nie obchodzi mnie, czy on tego dotykał, czy nie!

Dopilnuję, żeby ktoś się tym zajął. - Peretti nagle nabrał rezerwy.

Rhyme nie widział powodu, by Wielki Szef nie miał się tym zająć osobiście. Przecież on sam właśnie tak by postąpił, nawet wtedy, gdy kierował IRD, choćby po to, by dopilnować, że praca jest wykonana szybko i dobrze.

Jako konsultant mógł jednak naciskać tylko do pewnego stopnia.

Bardzo ci dziękuję, Vince.

Drobiazg - odparł Peretti lodowatym tonem i przerwał rozmowę.

Rhyme spojrzał na Bella.

-

Nic więcej nie mogę zrobić, Rolandzie, przynajmniej póki nie dostanę tych informacji - rzekł przepaszająco.

Włókna, jakieś uzbrojone grupy wsioków z zapadłej prowincji... same tajemnice. Ale w tej chwili niech kto inny zajmie się

122

akurat tymi tajemnicami. On miał aż za dużo własnych... i o wiele za mało czasu. Godziny

zapisane na kartach dowodów rzeczowych, te odczytane ze zmiaŝdŝonych zegarków, przypominały mu, ŝe mają niespełna trzy godziny, by zatrzymać Maga, nim dokona następnego morderstwa.

MAG

Miejsce zbrodni: szkoła muzyczna

Opis sprawcy: brązowe włosy, fałszywa broda, brak cech szczególnych, wiek - około pięćdziesięciu lat, budowa ciała średnia, wzrost średni. Mały i serdeczny palec lewej ręki złączone. Błyskawicznie zmienił kostium, by upodobnić się do starego, łysego woźnego.

Motyw: nieznany.

Ofiara: Świetlana Rasnikow.

Studia dzienne.

Sprawdzenie rodziny, przyjaciół, studentów i pracowników w celu zdobycia śladów.

Nie miała chłopaka ani znanych wrogów. Występowała na przyjęciach urodzinowych dla dzieci.

-

Układ scalony z dołączonym głośnikiem.

Wysłany do FBI do badania.

Magnetofon cyfrowy, prawdopodobnie z nagraniem głosem sprawcy. Wszystkie dane zniszczone.

Magnetofon jest „sztuczką”. Produkcja domowa.

UŚył staroświeckich Œelaznych kajdanek do skrępowania ofiary.

Kajdanki firmy Darbys, stare, produkcji brytyjskiej. Sprawdzić w Muzeum Houdiniego w Nowym Orleanie.

Zegarek ofiary zniszczony. Zatrzymał się dokładnie o ósmej rano.

Bawełniane nici wiążące krzesła. Brak nazwy firmy. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Petarda imitująca strzał. Zniszczona.

Zbyt popularna, by wysledzić źródło.

Zapalniki: brak nazwy firmy.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Funkcjonariuszki wezwane na miejsce mówią o silnym błysku. Nie znaleziono mikrośladów.

Prawdopodobnie pochodził z pirowaty lub piropapieru. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Buty sprawcy: Ecco numer 10.

123

Włókna z jedwabiu ufarbowanego na szaro, zmatowionego.

Z kostiumu woźnego, szybka zmiana.

Sprawca prawdopodobnie nosi brązową perukę.

Czerwona hikora i porost *Parmelia conspersa*, pochodzą najprawdopodobniej z Central Parku.

Ziemia nasycona rzadko występującym olejem mineralnym.

Wysłana do FBI do analizy.

Czarny jedwab, 1,80 x 1,20 metra. Użyty jako kamuflaż. Źródło nie do wyśledzenia.

Często używany przez iluzjonistów.

Używa nakładek na palce maskujących odciski.

Nakładki na palce.

Ślady lateksu, oleju rycynowego, makijażu.

Używane przy makijażu teatralnym.

Ślady alginianu.

Używany jako forma do lateksowych „dodatek”.

-

Narzędzie zbrodni: biały sznur z plecionego jedwabiu z czarnym jedwabnym środkiem.

Sznur należy do akcesoriów magicznych. Zmienia kolor. Źródło nie do wyśledzenia.

-

Niezwykły węzeł.

Wysłany do FBI i Muzeum Marynarki. Brak informacji. Węzeł stosowany przez Houdiniego podczas występów. Nie do rozwiązania.

-

UŚył znikającego atramentu, wpisując się w księgę wejść.

Miejsce zbrodni: East Village

-

Ofiara numer dwa: Tony Calvert.

Charakteryzator teatralny.

Wrogowie: nieznani.

śadnych znanych związków z pierwszą ofiarą.

Brak oczywistego motywu.

Przyczyna śmierci:

Uderzenie w głowę tępym narzędziem. Po śmierci ciało przecięte piłą.

-

Sprawca uciekł, upodabniając się do siedemdziesięcioletniej

kobiety. Sprawdzenie okolicy w poszukiwaniu stroju i innych dowo

dów rzeczowych.

Nic nie znaleziono.

-

Zegarek zmiana dokładnie o godzinie dwunastej w południe.

Wzór? Następne morderstwo o szesnastej?

-

Sprawca ukryty za lustrem. Źródło nie do wyśledzenia. Odciski palców wysłane do FBI.

Brak rezultatów.

Użył zabawki przypominającej kota (fałszywki), by zwabić ofiarę w alejkę. Zabawka nie do wyśledzenia.

Znaleziono olej mineralny, taki sam jak za pierwszym razem.

Czekamy na raport FBI.

Znaleziono alginian.

Pozostawił buty Ecco.

Na butach znaleziono włosy psów trzech różnych ras. Także nawóz.

Profil iluzjonisty

-

Będzie uŜywał „zmyłek” przeciwko ofiarom i policji.

Fizycznych (fałszywy trop).

Psychologicznych (odsunięcie podejrzeń).

Ucieczka ze szkoły muzycznej przypominała numer „Znikający człowiek”. Zbyt popularny, by wytropić wykonawcę.

Sprawca jest przede wszystkim iluzjonistą.

Utalentowany w magii zręcznej ręki.

Zna takŜe magię proteańską (szybkiej zmiany). Będzie uŜywał różnych kostiumów, nylonowych i jedwabnych, nakładek imitujących łysinę, nakładek na palce i innych akcesoriów lateksowych.

MoŜe być w dowolnym wieku, kaŜdej płci i kaŜdej rasy.

Śmierć Calverta = numer Selbita „Przepiłowanie dziewczyny”.

Utalentowany włamywacz, zapewne umie „skrobać” zamki.

124

13

U progu XX wieku na Manhattanie Ŝyło ponad sto tysięcy koni. PoniewaŜ juŜ wówczas ziemia na wyspie była cenna, stajnie budowano w „wieŜowcach”, za które uwaŜano wówczas budynki trzy- lub czterokondygnacyjne.

Jedna z takich stajen istnieje nadal: Akademia Jeździecka Hammerstead na Upper West Side.

Od swych narodzin trwa w oryginalnym budynku, postawionym w 1885 roku. PowyŜej

poziomu ziemi znajdują się setki boksów dla koni prywatnych właścicieli i do wynajmowania oraz padoki do pokazów. Tak wielka i ruchliwa stajnia może wydawać się reliktem w XXI wieku na Manhattanie, warto jednak sobie uświadomić, że od dziesięciu kilometrów doskonale utrzymanych ścieżek jeździeckich w Central Parku dzieli ją zaledwie kilka przecznic.

Akademia jeździecka opiekuje się dziewięćdziesięcioma końmi, licząc konie prywatnych właścicieli i wynajmowane do jazd. Jednego z tych wynajmowanych prowadziła właśnie po stromej rampie stajenna, rudowłosa nastolatka. Klientka już na niego czekała.

Na widok wysokiego, kapryśnego konia o łaciatym zadzie ap-paloosy Cheryl Marston poczuła ten sam co każdej soboty dreszcz radości.

Cześć, Donny, dobry konik - przywitała swego ulubieńca imieniem, które sama mu wymyśliła; oficjalnie nazywał się on

Don Juan di Middleburg. „Koń na dziewczyny” - powtarzała często i nie był to tylko żart. Pod męszczyzną Donny boczył się, rżał, nie chciał iść. Wobec Cheryl zachowywał się jednak jak prawdziwy dżentelmen.

Do zobaczenia za godzinę - powiedziała do rudej dziewczyny, wskakując na siodło. Lekko ściągnęła wodze, ścisnęła łydkami boki zwierzęcia, czując grę jego potężnych mięśni.

Posłuszny woli jeźdźca wierzchowiec zrobił krok do przodu. Znaleźli się na Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy, ostrożnym stępem kierowali się w stronę Central Parku. Podkute kopyta stukały głośno po asfalcie, ludzie obracali się, patrząc z podziwem na wysokiego konia i

siedzącą swobodnie w siodle dziewczynę o szczupłej, poważnej twarzy, ubraną w bryczesy, czerwoną jeździecką kamizelkę, z czarnym, krytym aksamitem toczkiem na głowie i

spływającymi spod niego splecionymi, bardzo jasnymi włosami. Kiedy znaleźli się w Central Parku, Cheryl Marston spojrzała na południe. Na horyzoncie majaczyły wysokie budynki

biurowe śródmieścia. W jednym z nich spędzała pięćdziesiąt godzin tygodniowo, praktykując

prawo korporacyjne. Przez głowę mogło przelecieć jej teraz z tysiąc myśli związanych tylko z pracą, pomysłami i projektami, które jeden z jej partnerów wciąż nazywał „najważniejszymi w świecie”.

Ale w tej szczególnej chwili właściwie zapomniała o pracy, która schodziła na dalszy plan, kiedy Cheryl siedziała w siodle, kiedy panowała nad jedną z najcudowniejszych stworzonych przez Boga istot. Na twarzy czuła powiew ciepłego, pachnącego ziemią powietrza. Kłusowała po ciemnych alejkach, przyglądała się kwitnącym wcześniej Śonkilom,

forsycjom i bzm. Pierwszy piękny wiosenny dzień.

Przez pół godziny krążyła wokół zbiornika wodnego, ciesząc się tym, co jest duszą jazdy

konnej: połączeniem dwóch doskonale się uzupełniających istot, z których każda jest silna i inteligentna na swój sposób. Przez chwilę rozkoszowała się krótkim, niespiesznym galopem, po czym, gdy pojawiły się ostrzejsze skrety ścieżki w mniej uczęszczanej, północnej części parku, bliżej Harlemu, przeszła w kłus. Przejażdżka była wspaniała. Póki nie zdarzyło się nieszczęście.

Nie była pewna, jak to się właściwie stało. Zamierzała właśnie przejść do stępa, ponieważ

ścieżka skręcała ostro i zwężyła się między dwiema wielkimi kępami krzaków, kiedy wyleciał

z nich gołąb i uderzył konia w łeb. Donny zarżał gwałtownie i tak gwałtownie stanął, że Cheryl omal nie przekoziółkowała nad jego łbem. Zaraz potem wspiął się i jeźdźcowi zagroził

upadek w tył.

Cheryl puściła wodze. Jedną ręką chwyciła się grzywy, drugą łęku siodła. Od brukowanej

powierzchni ścieżki dzieliło ją dwa i pół metra.

127

Cmoknęła uspokajająco, położyła się na końskiej szyi, poklepała ją łagodnie.

-

Wszystko w porządku, Donny. Uwaga...

Ale przerażony koń nadal próbował stawać dęba. Czyżby ptak zranił mu oczy? Martwiła się o

Donny'ego, lecz nagle poczuła strach. Po bokach ścieżki widziała ostre kamienie. Jeśli koń nadal będzie się wspinał, w każdej chwili może stracić równowagę na nierównym podłożu i przewrócić się, może nawet przygniatając jeźdźca. Jej przyjaciele wielokrotnie spadali z koni; przy zwykłym upadku poważne kontuzje właściwie się nie zdarzały, ale gdy koń walił się na jeźdźca, groziły

poważne obrażenia.

Donny! - zawołała przerażona. Ale koń znów stanął dęba, tańczył na tylnych nogach i powoli, nieuchronnie schodził ze ścieżki.

Jezu! Nie, nie...

Wiedziała już, że sobie nie poradzi. Podkowy stukały o kamienie, czuła drżenie potężnych mięśni; Donny tak się bał, on też czuł, że traci równowagę. Zarżał przeraźliwie.

Lada chwila zwierzę złamie nogę. Być może upadek potrząsa jej łebem...

Już czuła ból. I nie tylko swój, także konia.

Nagle, znikąd, pojawił się mężczyzna w dresie do joggingu. Spojrzał na konia zdumiony.

Zrobił jeden, bardzo szybki krok, zdołał chwycić ogłowie.

-

Cofnij się, człowieku! Nie opanuję go...!

A jeśli Donny kopnie go w głowę?

Ale... działo się tu coś dziwnego.

Niewysoki, bardzo szczupły mężczyzna nie patrzył na nią, lecz wprost w orzechowe oczy wierzchowca. Wymawiał słowa, których nie słyszała. I Donny zaczął się uspokajać. Nie do

wiary! Już się nie wspinał. Stał pewnie. Nadal płoszył się i drżał, podobnie jak jej serce, ale najgorsze chyba minęło. Mężczyzna przyciągnął do siebie wielki łeb, powiedział jeszcze kilka słów, po czym cofnął się o krok i wreszcie na nią spojrział.

-

Nic się pani nie stało? - spytał uprzejmie.

Chyba nic. - Marston wyprostowała się w siodle, odetchnęła głęboko, dotknęła piersi. -Tylko... to się zdarzyło tak szybko.

A co się właściwie stało?

-

Ptak go spłoszył. Uderzył go w pysk. Być może nawet w oczy—

Męszczyzna dokładnie obejrzał konia.

_ Niczego nie widzę. Zapewne dobrze będzie pokazać go weterynarzowi, ale nie ma żadnych widocznych ran.

A pan? Pan mu coś mówił. Czy pan...?

Czy rozmawiam z końmi? - Męszczyzna roześmiał się, ale

wstydliwie spuścił wzrok. Wolał chyba patrzeć raczej w oczy ko

nia niż atrakcyjnej kobiety. - Skądś znowu. Ale sam dużo jeść

i chyba mam dar uspokajania przestraszonych zwierząt.

-

Byłam pewna, że przewróci się lada chwila.

Męszczyzna uśmiechnął się do niej wstydliwie.

Szkoda, że nie znam słów, które uspokoiłyby panią - powie
dział cicho.

Co dobre dla mojego konia, jest dobre i dla mnie. Doprawdy
nie wiem, jak panu dziękować.

Pojawił się kolejny jeździec. Męszczyzna sprowadził Donny'ego ze ścieżki, otwierając drogę
kasztanowatej klaczy. Przy okazji dokładnie przyjrzał się appeloosie.

Jak się nazywa? - spytał.

Don Juan.

Wypożyczony z Hammerstead czy może należy do pani?

Wypożyczam go, ale traktuję jak swojego. Jestem na nim co
sobota.

Ja też czasami biorę stamtąd konia. Jaki on piękny.

Marston uspokoiła się i mogła już dokładnie przyjrzeć się człowiekowi, który ją uratował.

Uznała go za przystojnego pięćdziesięcioletniego. Nosił krótką, wypielęgnowaną brodę i
miał krzaczaste brwi, stykające się nad wydatnym nosem. Na szyi i piersi dostrzegła blizny po
poparzeniu, zauważyła także zdeformowaną lewą rękę. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia.
Liczyło się coś innego i znacznie ważniejszego: lubił konie i najwyraźniej się na nich znał.

Trzydziestoosmioletnia Cheryl Marston, rozwódka od czterech lat, zorientowała się nagle, że oboje
przyglądają się sobie z zainteresowaniem.

Męszczyzna zaśmiał się cicho. Spojrzał w ziemię.

-

Myślałem... - zaczął, ale zamilkł. Zamiast mówić, poklepał

Donny'ego po szyi.

Cheryl spojrzała na niego, unosząc brew.

O czym pan myślał?

No cóŜ, skoro wkrótce odjedzie pani w zachodzące słońce

I pewnie nigdy się nie spotkamy... - męŜczyzna najwyraźniej

zbierał się na odwagę - ...to moŜe nie uzna pani za nietakt, jeśli

zaproszę panią na filiŜankę kawy.

- AleŜ skąd! -Wypadało powiedzieć jednak coŝ więcej, zaznaczyć własne stanowisko. - Ale

mam zamiar dojechać moją godzinę. Zostało mi jeszcze dwadzieścia minut. Wie pan, jak to

jest, jeśli spadniesz, musisz wsiąść i tak dalej. MoŜe pan zaczekać?

Dwadzieścia minut? Doskonale. Zobaczymy się w stajniach.

Świetnie. - Cheryl uśmiechnęła się. - Aha, zapomniałam

spytać. Jeździ pan po angielsku czy w stylu westernowym?

Przyznaję szczerze, Őe na oklep. Nawet zarabiałem w ten

sposób na Őycie.

-

Doprawdy? Gdzie?

MęŜczyzna uśmiechnął się tym swoim charakterystycznym, zawstydzonym uśmiechem.

-

Może pani wierzyć albo nie, ale... w cyrku.

Cichy sygnał komputera Mela Coopera poinformował o nadejściu e-mailu. - Mamy

informacje od naszych przyjaciół z Dziewiątego i z Pensylwanii - powiedział i przystąpił do odszyfrowywania mailu. Zabrało mu to zaledwie chwilę. - To analiza oleju - oznajmił. - Jest dostępny w handlu detalicznym. Nazwa firmowa: Tack--Pure. Używa się go do konserwowania siodeł, ogłowia, skórzanych worków na paszę i innych produktów

związanych z końmi i jazdą konną. Konie...

Rhyme zawrócił wózek i spojrzał na wypisane na tablicy dowody rzeczowe.

Nie, nie, nie...

Co się stało? - zdumiała się Amelia.

- Odchody na butach Maga... - Nie rozumiem? - Nie były psie, lecz końskie! Spójrzcie tylko na te pozostałości roślinne! O czym ja wtedy myślałem, do cholery! Psy są mięsożerne! Nie jedzą trawy i siana! No dobrze, spokojnie, zastanówmy się... Ziemia, porosty oraz inne

dowody wskazują na Central Park. Włosy tak? Znać ten teren? Psi wybieg? Jest częścią

Parku?

- I to niedaleko nas. Znajduje się dosłownie po drugiej stronie ulicy - oznajmił Lon Sellitto. -

Mnóstwo ludzi wyprowadza tam swoje pieski.

Kara! Czy Cirque Fantastique ma konie? pie. Zrezygnowali ze wszystkich numerów ze

zwierzętami. Hpf to przynajmniej nimi nie musimy się martwić. O co mu chodzi? Psi

wybieg... czy nie styka się z nim ścieżka jeździecka? W porządku, wiem, że to nieuprawnione wnioskowanie, ale... czy Mag nie obserwował przypadkiem jeźdźców? Jego celem może być jeden z nich. Być może nie następnym, ale lepiej dmuchać na zimne, załóżmy więc, że tak

jest. Przecież to nasz jedyny pewny trop!

Gdzieś tam są chyba stajnie - powiedział niepewnie Sellitto;

Chyba nawet je widziałam - wtrąciła Sachs. - Zdaje się, że pochodzą z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Sprawdźcie to wszystko - polecił Rhyme. - i wyślijcie tam—
ludzi.

Amelia Sachs spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia pięć druga. Po południu. Westchnęła z ulgą.

No, przynajmniej mamy trochę; czasu. Prawie dwie i pół godziny do następnego zabójstwa.

No i dobrze - ucieszył się Sellitto. - Wyślę do parku zespoły obserwacyjne. Pod stajnie też. Wystarczy, że pojawią się za godzinę. Mamy mnóstwo czasu.

W tym momencie Rhyme zauważył, że Kara marszczy brwi.

O co ci chodzi? - spytał niecierpliwie.

Nie jestem pewna, czy mamy aż tyle czasu - rzekła z namyślną dziewczyna.

Dlaczego?

Przecież mówiłam wam o zmyłkach)

Nie obawiaj się, pamiętam.

Zmyłki mogą dotyczyć czasu. Widownię myli się tak w ten sposób, że każą jej wierzyć, iż coś ma się zdarzyć kiedyś, kiedy zdarza się akurat teraz. Powiedzmy, że iluzjonista powtarza numer w regularnych odstępach czasu. Widzowie podświadomie

oczekują, że cokolwiek ma się stać, stanie się tylko podczas kolejnego interwału. Ale on świadomie skraca ten interwał. Nikt tego nie widzi, no i iluzjonista zaskakuje wszystkich, kiedy wreszcie robi, co zamierzał zrobić. Zmyłka w czasie działa, ponieważ iluzjonista robi wszystko, by interwał dawał się łatwo rozpoznać.

Na przykład miały zegarki ofiar - wtrąciła Amelia.

No właśnie.

-

Więc... nie uważasz, żebyśmy mieli wolne aż do czwartej?

Kara tylko wzruszyła ramionami.

Trudno powiedzieć. Może Mag zabija troje ludzi co cztery godziny, a czwartą ofiarę zamorduje godzinę później? Kto wie?

Czyli nic nie wiemy - oświadczył stanowczo Rhyme. – Powiedz mi. Kara, co przychodzi ci do głowy? Co zrobiłabyś na jego miejscu?

Kara roześmiała się, wyraźnie zakłopotana. Miała wczuć się w rolę mordercy! Zastanawiała się przez chwilę, po czym powiedziała:

On już wie, że znaleźliście zegarki. Wie, że nie jesteście głupi. Nie musi już wbijać wam niczego do głowy. Gdybym była nim, nie czekałabym do czwartej. Wręcz przeciwnie, próbowałabym dopaść ofiarę jak najszybciej.

Mnie to wystarcza - powiedział Rhyme. - Zapomnijmy o eki

pach śledczych i gliniarzach po cywilnemu. Lon, dzwoń po Haumanna. Ekipa medyczna musi być w parku juŜ, natychmiast.

Świecąc i dzwoniąc.

-

MoŜemy go spłoszyć, Lincoln. Prowadzi własną operację ja—
tajniak.

-

Musimy zaryzykować. Grupie ratowniczej powiedz, Ŝe szukamy... a kto do cholery
wie, kogo szukamy? Dajcie im najlepszy
gólny opis, jaki mamy.

Pięćdziesięcioletni zabójca. Sześćdziesięcioletni woźny. Sie-idziesięcioletnia staruszka, lei Cooper
oderwał wzrok od monitora.

-

Mam stajnię - oznajmił. - Akademia Jeździecka Hammer—
ead.

Bell, Sellitto i Sachs jak na komendę ruszyli w stronę drzwi.

Chcę iść z wami - powiedziała Kara.

Nie! - zaprotestował natychmiast Rhyme.

Może być coś, co tylko ja zauważę. Zręczna ręka, może szyb—
i zmiana gdzieś w tłumie. To moja specjalność, rozumiecie?

Nie! To zbyt niebezpieczne. Nie angażujemy cywilów do operacji taktycznych. Takie mamy zasady.

Nic mnie nie obchodzą wasze zasady! - Dziewczyna pochyliła się, spojrzała mu w oczy. - Mogę pomóc!

KtKara...

Uciszyła go jednym spojrzeniem na tablicę dowodów rzeczowych, na zdjęcia Tony'ego

Calverta i Swietłany Rasnikow. Następnie spojrzała Rhyme'owi wprost w oczy. Przypomniała

mu tym chłodnym spojrzeniem, że nie wpraszała się tutaj, lecz on ją zaprosił, on ją wciągnął

w ten ohydny świat, że zmienił ją z niczego nieświadomego przechodnia w kogoś, kto potrafi patrzeć na coś tak potwornego bez zmruczenia oka.

-

W porządku - zgodził się Rhyme i zwracając się do Amelii

Sachs, dodał: - Trzymaj ją przy sobie. I uważaj.

Była ostrośna, zauważył Malerick, co wydawało się naturalne w zachowaniu kobiety, spotykającej na Manhattanie nieznanego mężczyznę. Nawet jeśli ten mężczyzna był najwyraźniej nieśmiały, przyjacielski i wiedział, jak opanować znarowionego konia.

Ale Cheryl Marston powoli się odprężyła. Z wyraźną przyjemnością chłonęła jego opowieści z czasów, gdy jeździł na oklep w cyrku. Zadbaj oczywiście o to, by ozdobić je malowniczymi szczegółami, mającymi zainteresować ją do tego stopnia, by przestała myśleć.

Stajenna i dyżurny weterynarz Hammerstead zbadali Don-ny'ego i orzekli, że nic mu się nie stało. Malerick i jego koleżanka, niczego nieświadoma ofiara poszli spacerkiem do restauracji tuż za rogiem, na Riverside Drive.

Kobieta rozmawiała przyjacielsko z Johnem (to było jego alter ego na tę randkę).

Opowiadała mu o swym syciu w mieście, o tym, jak będąc dzieckiem, zakochała się w koniach, tych, które były niegdyś jej własnością, i tych, które wypożyczała, o planach kupienia letniego domu w Middleburgu w Wirginii. Od czasu do czasu Malerick wtrącał krótkie komentarze dotyczące koni; wiele informacji wyławiał z jej wypowiedzi, resztę czerpał z własnej wiedzy, nabytej podczas pracy w cyrku i nauki. Zwierzęta były zawsze ważnym elementem jego profesji. Usypiano je, powodowano, że znikają, zmieniano jeden gatunek w inny. W dziewiętnastym wieku pewien iluzjonista wymyślił efektowną sztuczkę polegającą na natychmiastowej przemianie kury w gęś. Metoda była tak prosta, że aż prostacka: gęś wkraczała na scenę w kostiumie kury, sporządzonym tak, by umożliwić szybką przemianę. W czasach nieznanego pojęcia „polityczna poprawność” zwierzęta nawet uśmiercano, a potem wskrzeszono, choć rzadko działa się im krzywda; w końcu tylko bardzo kiepski iluzjonista musi zabić zwierzę, by widzowie uwierzyli, że naprawdę nie żyje, a poza tym zawsze pozostaje delikatna kwestia wygórowanych cen.

Swoją sztuczkę z Central Parku, której użył, by zwabić Cheryl Marston, Malerick zapożyczył z repertuaru Howarda Thurstona, popularnego iluzjonisty z początków dwudziestego wieku, specjalizującego się właśnie w numerach ze zwierzętami. Ale jego technika nie spotkałaby się z

aprobatą tego wybitnego artysty, który traktował zwierzęta co najmniej tak jak asystentów - ludzi, a częściej wręcz jak członków rodziny. Mag nie był aż tak ludzki. Gołębia złapał ręką. Następnie położył go na plecach i tak

134

długo głaskał go po szyi i skrzydłach, a udało mu się zahipnotyzować ptaka. Gdy Cheryl Marston zbliżyła się na odpowiednią odległość, cisnął ptakiem w łeb Donny'ego. To, że koń zaczął szajec i stawać dęba z bólu i strachu, nie miało nic wspólnego z gołę-bieni) tylko z małym generatorem dźwięku ustawionym na częstotliwość, której człowiek nie słyszy, a która przeraża konia. Wyskakując z krzaków, by „ocalić” amazonkę, wyłączył generator, a gdy chwycił ogłowie, zwierzę już się uspokajało.

Cheryl czuła się w jego towarzystwie coraz bezpieczniej. I nic dziwnego, cały czas dowiadywała się przecieś, jak wiele mają ze sobą wspólnego.

W każdym razie jej tak się wydawało.

Tę iluzję wywołało użycie technik mentalistycznych. Mentalizm nie był najmocniejszą stroną Malericka, ale i tę umiejętność opanował w stopniu ponadprzeciętnym.

Mentalizm nie ma oczywiście nic wspólnego z telepatycznym odczytywaniem czyichś myśli, jest kombinacją technik fizycznych i psychicznych używanych do rozpoznawania faktów.

Malerick stosował się w tej chwili do zasad szkoły najlepszych mentalistów: czytał z ciała, nie z myśli. Obserwował najdrobniejsze, niemal niezauważalne ruchy towarzyszącej mu kobiety, zmiany wyrazu twarzy i gesty, następujące po jego komentarzach. Dowiadywał się z

nich, kiedy jego towarzyszka jest innego zdania, a kiedy on trafia w dziesiątkę. Wspomnił na przykład o przyjacielu, który niedawno przeżył koszmar rozwodu, i bez trudu się dowiedział, że ona też jest rozwiedziona i mocno przy tym oberwała. Skrzywił się więc i oznajmił, że i on przeszedł piekło rozpadu małżeństwa: Sona znalazła sobie kochankę i porzuciła go. Wpadł w depresję, z której właśnie się wydobywał, powoli i z wielkim wysiłkiem.

- Oddałam łódź - powiedziała przygnębiona Cheryl. - Tylko po to, by pozbyć się wreszcie sukinsyna. Śliczny ośmiometrowy jacht.

Malerick z wielkim powodzeniem używał także „twierdzeń Barnuma”, słuchających mu

doskonale do przekonania kobiety, że mają ze sobą znacznie więcej wspólnego, niż może się

jej wydawać. Klasycznym ich przykładem jest „badanie” widza przez mentalistę, który mówi: „W zasadzie jest pan ekstrawertykiem, ale bywają chwile, kiedy staje się pan nieśmiały”. Na pozór stwierdzenie to wydaje się bardzo głębokie, ale przecież daje się je zastosować do większości ludzi.

Rozmowa, jak tego pragnął, zeszła na temat związków uczuciowych. Zarówno „John”, jak i Cheryl nie mieli dzieci. Oboje kochali koty, ich rodzice się rozwiedli, uwielbiali tenis. Ach, co za podobieństwa!

Już prawie czas, pomyślał Malerick. Ale nie zamierzał się spieszyć. Nawet jeśli policja ma jakieś pojęcie o tym, do czego zmierza, z pewnością oczekuje następnej zbrodni o szesnastej, a w tej chwili było zaledwie parę minut po drugiej. A jednak, z powodów czysto osobistych, bardzo pragnął zaprezentować następną sztukę tak szybko, jak to tylko możliwe.

Możecie sądzić, szacowni widzowie, że świat iluzji i świat rzeczywisty nigdy się nie przenikają, ale to nieprawda.

Nie potrafię zapomnieć Johna Mulhollanda, znanego prestidigitatora i wydawcy poświęconego magii magazynu „Sphinx”. Mulholland zaskoczył wszystkich, informując o wcześniejszym zakończeniu kariery, zarówno cyrkowej jak i edytorskiej. Działo się to w latach pięćdziesiątych XX wieku.

Nikt nie wiedział, jakie były motywy tej nieoczekiwanej decyzji. I wówczas zaczęły krążyć plotki. Plotki, że zaczął pracować dla amerykańskiego wywiadu i uczy szpiegów technik podawania narkotyków w sposób tak subtelny, że nawet najbardziej paranoiczny komunista nie zorientuje się, i że przyjmuje szklaneczkę czegoś znacznie mocniejszego, niż się spodziewał.

Spójrzcie na moje dłonie, szacowni widzowie. Szczególnie dokładnie przyjrzyjcie się palcom. Widzicie coś? Nie. Oczywiście, że nie. Lecz jesteście w błędzie, z czego prawdopodobnie doskonale zdajecie sobie sprawę.

Użył jednej z najlepszych i najtrudniejszych technik. Ujął łyżeczkę lewą ręką, uderzył nią w stół. Cheryl opuściła wzrok na powierzchnię stołu na mniej niż sekundę, ale i ta chwila wystarczyła, by wsypać do jej filiżanki kapsułkę pozbawionego smaku i zapachu proszku.

Ręką, w której trzymał łyżeczkę, sięgał tymczasem po cukierniczkę.

John Mulholland byłby z niego dumny.

Po kilku minutach widać już było wyraźnie, że narkotyk wywołuje pożądaną efekty. Cheryl z trudnością skupiała wzrok, a także chwiała się lekko. Ale nie zdawała sobie sprawy, że dzieje się z nią coś złego. Na tym polegała przewaga flunitrazepanru - czyli słynnego środka oszalamiającego na randki, występującego w nancuu pod nazwą rohypnol - nad jego

konkurentami: ofiara nie miała pojęcia, że go jej podano. Aż do następnego ranka. Cheryl

Marston nie miała jednak doczekać następnego

ranka.

Malerick spojrział na nią i uśmiechnął się szeroko.

„Chcesz zobaczyć coś fajnego? - spytał.

-

Fajnego? - spytała Cheryl niezbyt przytomnie. Poderwała

»adającą głowę i uśmiechnęła się szeroko.

„John" zapłacił rachunek.

Kupiłem łódkę - oznajmił.

Roześmiała się, zachwycona.

Łódkę? Kocham łódki! A jaką?

śaglową. Jacht. Dwunastometrowy. Kiedyś pływaliśmy po
dobnym, razem z Soną - powiedział i posmutniał nagle. - Dostała
ją w ramach ugody rozwodowej.

John, nie, chyba Źartujesz! - Cheryl roześmiała się niezbyt
przytomnie. - Przecież my teŹ mieliśmy jachcik. Z mężem. I mu
siałam mu go oddać, takŹe w ramach ugody!

Naprawdę? - Malerick wstał. - Hej, mam pomysł. Zejdźmy
nad rzekę. PokaŹę ci łódź.

Cała przyjemność po mojej stronie. - Cheryl Marston wsta
ła, zachwiała się...

Podtrzymał ją za ramię, przeprowadził przez drzwi. Miał wrażenie, Źe przygotował właściwą
dawkę. Kobieta chętnie wykonywała jego polecenia, zapominała o tym, co wcześniej mówiła
i co on mówił, ale nie wyglądało na to, by miała stracić przytomność, nim zaprowadzi ją w
krzaki nad rzeką Hudson. Szli w stronę Riverside Park. Mówiłeś coś o łodziach? Mówiłem.

Ja i mój były mieliśmy kiedyś łódź. Wiem. Opowiadałaś mi o tym. Naprawdę? - Cheryl
roześmiała się nieprzytomnie. |r Poczekaj chwilę. Wezmę coś z samochodu. Zatrzymał się
przy kradzionej mazdzie, z tylnego siedzenia Wyjął cięŹką torbę. Gdy ją poruszył, rozległ się brzęk
metal. Cheryl Marston obserwowała go, nawet chciała o coś zapytać, ale natychmiast zapomniała o
co.

- Chodźmy w tę stronę. - Malerick poprowadził ją do końca ulicy. Przeszli kładką dla
pieszych i zeszli na zarośnięty krzakami Pas ziemi nad brzegiem rzeki.

Mag wyrwał ramię z jej uścisku, objął ją mocno. Pod palcami czuł pierś kobiety, poczuł ciężar jej głowy na ramieniu.

Popatrz tylko. - Cheryl Marston wskazała drżąca dłonią na Hudson. Na jej błękitnych wodach kołysały się łodzie żaglowe i motorówki.

Moja też tam jest - powiedział.

Naprawdę? - Cheryl roześmiała się i szepnęła, że to nie prawdopodobne, bo ona i jej były też mieli łódkę. Ale po rozwozie przypadła jemu.

Akademia jeździecka była okruchem Nowego Jorku, przeniesionym z przeszłości w teraźniejszość.

Amelia poczuła przede wszystkim ostry zapach stajni. Zatrzymała się przy wejściu. Przez wielki łuk bramy zajrzała do środka. Dostrzegła konie i siedzących w siodłach jeźdźców, wyglądających bardzo godnie w czarnych bryczesach, czarnych lub czerwonych marynarkach jeździeckich, krytych aksamitem toczkach.

Przy wejściu do stajni stało z pół tuzina policjantów mundurowych z pobliskiego dwudziestego komisariatu. Znacznie więcej funkcjonariuszy pod dowództwem Rona Sellitto rozstawiono wzdłuż tras jeździeckich parku. Wszyscy szukali nieuchwytnego Maga.

Amelia i Bell udali się natychmiast do biura. Detektyw błysnął złotą odznaką przed oczami siedzącej za biurkiem zaskoczonej kobiety. Nad jego ramieniem zobaczyła mundurowych przy wejściu i poczuła się bardzo niepewnie.

Tak, proszę pana? Czy coś się stało?

Czy do siodeł i innych jeździeckich akcesoriów skórzanych

używacie państwo oleju Tack-Pure?

Kobieta spojrzała na asystenta, który energicznie skinął głową.

Oczywiście, proszę pana. W dużych ilościach.

Jego ślady wraz ze śladami końskiego nawozu znaleźliśmy

dziś na miejscu zbrodni - wyjaśnił Roland Bell. - Naszym zda

niem sprawca może śledzić któregoś z waszych pracowników lub

klientów.

Nie możliwe! Kto?

Tego niestety nie jesteśmy pewni. Nie wiemy także, jak wy

gląda, znamy tylko kilka szczegółów. Jest średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Ma

mniej więcej pięćdziesiąt lat. Biały. Być może nosi brodę. Włosy najprawdopodobniej

brązowe, ale to też tylko przypuszczenie. Zdeformowane palce lewej ręki. Bardzo prosimy,

by porozmawiała pani z pracownikami oraz stałymi klientami, jeśli jacyś teraz tu są. Być

może znają kogoś, kto odpowiada temu opisowi. Albo kogoś, kto ich zdaniem może stanowić

jakieś zagrożenie.

-

Oczywiście. -Ale kobieta chyba nadal nie bardzo wiedziała, czego się od niej oczekuje. - Zrobię, co mogę. Naprawdę.

Bell przywołał kilku mundurowych funkcjonariuszy patrolu.

-

Rozejrzymy się! - krzyknął i znikł w przepastnym, pachnącym trocinami wnętrzu ujeżdżalni.

Sachs skinęła głową. Wyjrzała przez okno, sprawdzając, co robi Kara. Siedziała sama w nieoznaczonym samochodzie Rona Sellitto, zaparkowanym tuż za jej camaro. Jedną sprawę Amelia postawiła twardo: nie miała zamiaru dopuścić, by dziewczynie stała się krzywda. Robert-Houdin pokazał lepsze sztuczki niż marabuci. Choć, o ile pamiętam, omal go nie zabili.

Nie martw się. Dopilnujemy, by nic takiego się tobie nie przytrafiło.

Spojrzała na zegarek. Czternasta. Wezwała centralę, poprosiła o połączenie z Rhyme'em.

Niemal natychmiast usłyszała głos kryminalistyka.

Sachs, zespół Łona nie znalazł w Central Parku nic podejrzanego. A ty?

Szefostwo rozmawia z pracownikami i jeźdźcami tu, w akademii. Roland i jego zespół przeszukują stajnie.

W tym momencie dostrzegła kobietę, z którą rozmawiała, otoczoną grupą pracowników, niespokojnych i jakby zmieszanych. Młoda dziewczyna o okrągłej buzi i płomiennorudych włosach nagle podniosła dłoń do ust. Energicznie skinęła głową.

-
Rhyme, zaczekaj chwilę. Zdaje się, że coś tu mam.

Kobieta skinęła na policjantkę. Amelia podeszła i ruda dziewczyna powiedziała:

Nie wiem, czy to ważne, ale chyba mogę wam pomóc.

Jak ci na imię.

Tracey? - przedstawiła się tak, jakby zadawała pytanie.

- Jestem tu stajenną.

Mów, proszę.

No, dobrze. Więc... co sobota jeździ tu jedna pani. Cheryl

Marston.

słuchawce krótkofalówki Amelii Sachs rozległ się krzyk

_ Czy zawsze o tej samej porze? Spytaj, czy ona jeździ zawsze o tej samej porze?!

Amelia przekazała jego pytanie.

Och tak, oczywiście - przytaknęła Tracey. - Pani Marston

jest lepsza niż szwajcarski zegarek. I jeździ u nas od lat.

Ludzie o uregulowanym trybie życia są najłatwiejszym celem

- rozległ się w słuchawkach głos Rhyme'a. - Niech mówi dalej.

Wiesz o niej coś więcej, Tracey.

Wróciła dziś z jazdy... bo ja wiem, pół godziny temu? Podała

mi wodze Don Juana, to jej ukochany koń. Poprosiła o weteryna

rza, chciała, żeby go obejrzał, bo jakiś ptak uderzył go w łeb, przestraszył i w ogóle. Kiedy tak oglądałyśmy konia, powiedziała, że z krzaków wyskoczył facet, uspokoił go i w ogóle uratował jej życie. Don był w porządku, ale ta pani Marston cały czas opowiadała o tym facecie, że taki interesujący i w ogóle, że zna się na koniach, właściwie to z nimi rozmawia i zaprosił ją na kawę. Rozumie pani? Widziałam go przy wejściu, jak na nią czekał. I tu właśnie jest coś dziwnego. Widziałam go. Pomyślałam sobie: Co jest nie tak z jego lewą ręką? Tak jakos ją ukrywał, rozumie pani? Ale widziałam ją i dla mnie to wyglądało tak, jakby miał tylko trzy palce.

To on! - Amelia niemal krzyknęła. - Wiesz może, dokąd wybierali się na tę kawę?

Dziewczyna wskazała na zachód, w stronę przeciwną do parku.

Zdaje się, że gdzieś tam - powiedziała nieśmiało.

Opis. Weź jego opis! - krzyknął w słuchawce podniecony głos Rhyme'a.

Tracey nie potrafiła podać dobrego opisu. Broda i takie dziwne brwi. „Jakby zrośnięte” - powiedziała.

Jeśli chcesz zmienić twarz, najważniejsze są brwi. Zmień brwi i twarz zmienia się w sześćdziesięciu procentach.

Ubranie? - spytała Amelia.

Wiatrówka, adidas. Aha, miał spodnie do joggingu.

Kolor?

Wiatrówka i spodnie ciemne. Granatowe, moŜe czarne.

Wrócił Bell na czele mundurowych.

-

Nie znaleźliśmy nawet psa z kulawą nogą - burknął, zniechęcony.

Za to ja coś mam - oznajmiła Sachs. Opowiedziała pokrótce o amazonce i brodatym mężczyźnie pod pięćdziesiątkę. - Spojrzała na dziewczynę.

Jesteś pewna, Ŝe przedtem nie znała tego faceta?

Nie ma mowy. Z panią Marston znamy się kawał czasu. Ciąg-

le powtarzała, Ŝe nie ma zamiaru spotykać się z mężczyznami.

Nie ufała im. Jej były rzucił ją i przy rozwodzie zabrał Ŝaglówkę.

Przyjaciele, najlepsi iluzjoniści stosują sztuczkę nazywaną „rutynowaniem”. Innymi słowy przygotowują występ perfekcyjnie, zwłaszcza pod względem tempa, w ten sposób budują napięcie.

Trzeci numer. Najpierw iluzja z udziałem zwierząt, w tym naszego wspaniałego Donny'ego, przeprowadzona w Central Parku. Potem zwolniliśmy tempo, uŜywając klasycznych zręcznych rąk, przy czym wspomogliśmy się mentalizmem.

Pora na sztukę wyzwiania się z więzów.

Za chwilę zobaczycie sztukę z repertuaru Harry'ego Houdiniego, zapewne najsłynniejszą.

On ją wymyślił. Skrępowanego i zaczepionego za stopy, zanurzano go w wąskim zbiorniku

wypełnionym wodą. Musiał zgiąć się w pasie, uwolnić kostki i otworzyć zbiornik, mając na to zaledwie chwilę. Gdyby mu się nie udało, musiałby utonąć.

Zbiornik był, rzecz jasna, specjalnie przygotowany. Pręty, które pozornie miały wzmocnić

szkło i zabezpieczyć przed pęknięciem, wyposażone były w uchwyty ułatwiające sięgnięcie kostek. Zamki łańcuchów na kostkach i pokrywy zbiornika wyposażone były w odblokowujące je natychmiast przyciski.

Nasze odtworzenie tego fenomenalnego numeru nie uwzględnia zabezpieczeń, o czym nie muszę chyba nikogo upewniać. Nasz artysta zdany jest tylko na siebie. No i uwzględniłem jeszcze kilka pikantnych szczegółów. Oczywiście, mając na uwadze waszą rozrywkę.

A teraz, z całym szacunkiem dla wielkiego Houdiniego, „Tortura wodna”!

Malerick, gładko ogolony, ubrany w kombinezon khaki naciągnięty na biały podkoszulek, obwiązywał łańcuchami bezwładne ciało Cheryl Marston. Najpierw skrępował jej kostki, potem pierś i ramiona.

Przerwał na chwilę, rozejrzał się dookoła. Gęste krzaki ogradzały ich zarówno od drogi, jak i od rzeki. W pobliżu nikogo nie dostrzegł.

Znajdowali się w tej chwili nad brzegiem rzeki Hudson, tuż obok małego jeziora, które kiedyś było zapewne zatoczką dla niewielkich łodzi. Osunięcie ziemi w połączeniu z nagromadzeniem kmięci odcięło zatoczkę od głównego nurtu bardzo dawno temu, tworząc

śmierdzący stawek, mający najwyżej trzy metry średnicy. Przy jego brzegu pozostało gnijące molo z zardzewiałym dźwigiem, służącym kiedyś do wyciągania łodzi na brzeg. Malerick zarzucił linę na blok, złapał jej koniec i obwiązał nim łańcuchy krępujące stopy Cheryl

Marston.

Specjaliści od wyzwalania się z więzów po prostu kochają łańcuchy. Łańcuchy wyglądają imponująco, cudownie kojarzą się z przemocą, sprawiają wrażenie znacznie solidniejszych niż liny i jedwabne sznury. No i są ciężkie, dzięki czemu przytrzymują pod wodą występującego artystę.

-

Nie, nie, nieeee... - szepnęła oszołomiona kobieta.

Głaszcząc ją po głowie, Malerick sprawdził łańcuchy. Założył

je prawidłowo. Houdini napisał kiedyś: „Być może zabrzmi to dziwnie, ale odkryłem, iż im bardziej imponująco wyglądają więzy w oczach widowni, tym łatwiej, jak się okazuje, można się z nich wyzwolić”.

Wielki Houdini napisał prawdę, Malerick wiedział to z własnego doświadczenia. Ciężkie łańcuchy, grube liny oplatające ciało nieszczęsnego iluzjonisty nie stanowiły dla niego żadnego zagrożenia, chociaż zwiększały dramatyzm sytuacji. Zabezpieczenia pozornie słabsze, węzły jakby prostsze, były de facto znacznie trudniejsze. Jak na przykład te.

-

Nieeee... - szepnęła oszołomiona Cheryl. - Boli... Proszę... Co

ty...

Malerick zakleił jej usta taśmą samoprzylepną. Następnie rozstawił nogi, mocno chwycił linę i ciało jęczącej cicho prawniczki, ciągnięte za stopy, powoli zbliżało się do brudnej wody.

Tego pięknego wiosennego popołudnia na centralnym dziedzińcu West Side College, położonym pomiędzy Siedemdziesiątą Dziewiątą a Osiemdziesiątą Ulicą, odbywał się festyn i targi rzemiosła artystycznego. Wokół kłębiły się tłumy, wytropienie mordercy i jego ofiary z góry skazane było na niepowodzenie.

Tego pięknego wiosennego popołudnia klienci wypełniali dziesiątki pobliskich restauracji i kawiarni, a w każdej z nich, w tej właśnie chwili, Mag mógł sugerować Cheryl Marston, żeby gdzieś z nim pojechała albo żeby razem pojechali do niej.

Tego pięknego wiosennego popołudnia w pięćdziesięciu alejkach przecinających przecznice znalazłyby się setki mrocznych pustych miejsc, doskonałych do popełnienia zbrodni.

Sachs, Bell i Kara krążyli po ulicach, przyglądali się tłumom na targach i ulicom, zaglądali w mroczne alejki. I w ogóle wszędzie, gdzie - ich zdaniem - mogliby coś znaleźć.

Ale nie znaleźli niczego.

Lecz po kilku pełnych rozpaczy minutach później nastąpił przełom.

Dwójka policjantów oraz Kara weszli do kawiarni „Ely's” i oczywiście natychmiast rozejrzeli się dookoła. Nagle Amelia mocno chwyciła Rolanda za ramię. Wskazała kasę i leżący obok niego toczek oraz poplamiony skórzany palcat.

Amelia Sachs podbiegła do kasjera, śniadego mężczyzny, przypuszczalnie z południa Europy.

Czy te przedmioty pozostawiła tu kobieta?

No... tak, owszem. Jakies dziesięć minut temu.

Była z mężczyzną?

Tak.

Mężczyzna miał brodę i ubrany był w dres do joggingu?

Tak, to on. Kobieta zostawiła toczek i ten bat pod stołem.

Wie pan, dokąd poszli? - spytał Bell.

Co się dzieje? Czy to...

Gdzie! - Amelia Sachs niemal krzyczała.

No dobrze już, dobrze, słyszałem, że chce pokazać jej łódź.

Ale mam nadzieję, że raczej zabrał ją do domu.

Co ma pan na myśli? - spytała Amelia.

Ta kobieta sprawiała wrażenie chorej. Pewnie dlatego zapomniała kasku i bacika.

Jak to „chora”?

Z trudem trzymała się na nogach, pan to rozumie, prawda?

Może była pijana? Ale u mnie zamówili wyłącznie kawę. Kiedy wchodziła, nic jej nie dolegało.

Podał jej narkotyki - powiedziała Amelia, zwracając się do

Bella.

Narkotyki? - zdumiał się mężczyzna. - Hej, o co tu chodzi?

Przy którym stoliku siedzieli?

Wskazał im stolik, zajęty w tej chwili przez cztery kobiety, posilające się i rozmawiające, co czyniły dość głośno.

-

Przepraszam panie - powiedziała bez wstępów Amelia

Sachs i szybko przyjrzała się zarówno stolikowi, jak i podłodze wokół mego. Nie znalazła

żadnych widocznych śladów.

-

Musimy ją odnaleźć - rzekła do Bella

-Jeśli rzeczywiście wspomniał łódź, chodźmy na zachód Nad Hudson.

Sachs skinęła głową, wskazując stolik, przy którym siedział Mag i jego kolejna ofiara.

-

To miejsce przestępstwa - poinformowała. - Nie przemywaj—

cie stołu, me zamiatajcie podłogi. Gości proszę przenieść do innego stolika - poleciła szefowi kawiarni, wskazując cztery przestraszone panie, które udało się jej skutecznie uciszyć Wybiegła na ulicę, wprost w promienie ciepłego słońca

Zobaczyła, że jej mąż płacze. ślaował, że musi zakończyć małżeństwo. Zakończyć małżeństwo tak, jak wynosi się śmiecie. Zakończył małżeństwo tak, jak wyprowadza się psa. Przecież to było pieprzone małżeństwo. Nasze małżeństwo. Nie coś, co można zakończyć ot, tak sobie.

Ale Roy pojmował to zupełnie inaczej. Nabita asystentka analityka ryzyka ubezpieczeniowego spodobała mu się bardziej od Sony.

Do nosa znów napłynęła jej obrzydliwa, brudna woda. Cheryl zaczęła się dławić.

Powietrza! Powietrza! Potrzebuję powietrza! Cheryl Marston zobaczyła ojca i matkę sprzed wielu lat. Pod-toczyli pod choinkę rowerek, prezent od świętego Mikołaja wprost z bieguna północnego. Popatrz, kochanie, święty Mikołaj przygotował nawet różowy kask, specjalnie dla ciebie. Ochroni twą śliczną małą główkę.

Ach...

Obwiązana łańcuchami, Cheryl kaszłała i krztusiła się. Zwisiała głową w dół i wynurzyła się z brudnej, ohydnej kałuży. Powoli obracała się dookoła. Lina, krępująca jej kostki, przerzucona była przez ramię starego dźwigu.

Ból głowy narastał w miarę, jak krew spływała pod czaszkę. Przestań, przestań, przestań! -

krzyczała w myślach. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Pamiętała, jak Donny staje dęba, jak ktoś jej pomaga, taki miły mężczyzna, potem pili kawę w greckiej restauracji, rozmawiali, zdaje się, o łodziach, a potem świat się zamazał i pozostał już tylko niemądry śmiech.

I łańcuchy. I ta straszna woda.

Sympatyczny mężczyzna patrzy na nią z sympatycznym zainteresowaniem. Obserwuje jej śmierć.

Nie pojmowała, jak mógł być taki wstrętny. Jak ktoś tak wielkodusznie traktujący konie może tak okrutnie postępować z nią. Tego nie da się po prostu zrozumieć. Przecież wiemy o sobie wszystko. Rozwiedzeni, bezdzietni, konie, koty, łodzie... prawdziwa duchowa wspólnota. A teraz zataczała kręgi nad brudną wodą; obróciła się i nie mógł już widzieć jej błagalnego

spojrzenia, ona zaś patrzyła na zamglony, daleki drugi brzeg Hudsonu, brzeg

New Jersey.

Obróciła się powoli, przed oczami znów miała jeźdźcy i bzy.

I jego.

Popatrzył na nią z góry, skinął głową i zwolnił linę. Głowa Cheryl zbliżyła się do tafli ohydneho stawku. Kobieta zgięła się w pasie, jakby próbowała uniknąć zanurzenia we wrzątku. Ale jej własny ciężar wraz z ciężarem łańcuchów nieuchronnie ściągał ją w dół.

Szarpała się, potrząsała głową, na próżno próbowała wyzwolić się z okrutnych więzów.

Widziała zielonobrazową wodę odbijającą promienie słońca i uciekające w panice owady.

Nagle przed jej oczami pojawił się były mąż, Roy. Tłumaczył jej, tłumaczył i tłumaczył,

dlatego rozwód jest najlepszą z rzeczy, jakie mogły się jej przytrafić. Patrzył na nią,

wycierał krokodylczy łzy i powtarzał, że tak jest lepiej, że teraz będzie szczęśliwsza. Posłuchaj, mówił, mam coś dla ciebie. Otworzył drzwi, za którymi stał nowiutki rowerek Schwinn z kółkami przy tylnym kole i ozdobną kierownicą, na której wisiał różowy kask, mający

chronić jej śliczną główkę.

Cheryl poddała się. Wygrałeś, pomyślała. Wygrałeś. Idź sobie z tą swoją cholerną

dziewczyną, zabierz tę swoją cholerną łódź. Tylko puść mnie, pozwól mi odejść w spokoju.

Odetchnęła przez nos. W jej płuca wpłynęła łagodna śmierć.

- Tam! - krzyknęła Amelia Sachs. Wraz z Rolandem Bellem biegli mostkiem dla pieszych w stronę gęstego zagajnika na brzegu Hudsonu. Na rozpadającym się moło, które przed laty służyło zapewne do cumowania łodzi, a później oddzielone zostało pasem ziemi od głównego nurtu, stał męszczyzna. Mnóstwo było tu zarośli i drzew, a także śmieci. Woda strasznie cuchnęła.

147

Męszczyzna w białej koszuli i spodniach khaki trzymał linę przerzuconą przez blok przytwierdzony do ramienia zardzewiałego dźwigu. Nie widzieli, co znajduje się na drugim końcu liny, zanurzonym w wodzie.

-

Hej, ty! - krzyknął Bell.

Męszczyzna miał brązowe włosy, ale ubrany był inaczej, niż wynikało to z opisu, nie nosił brody i nie miał gęstych, zrosniętych brwi. Amelia Sachs nie widziała, czy ma zniekształconą lewą dłoń.

Czy miało to jakieś znaczenie?

Mag potrafił być męszczyzną. Mag potrafił być kobietą. (Mag potrafił być niewidzialny.

Podbiegli bliżej. Męszczyzna spojrzał na nich z ulgą.

- Tutaj! - krzyknął. - Ratunku! W wodzie jest kobieta. Bell i Sachs zostawili Karę na estakadzie i ruszyli pełnym biegiem, omijając krzaki.

- Nie ufaj mu - krzyknęła Amelia do partnera. - To jasne - odkrzyknął Roland Bell.

MęŜczyzna ciągnął z wysiłkiem. Nad powierzchnią wody pojawiły się stopy, a za chwilę nogi w ciemnych spodniach. Stopy, nogi i ciało nieprzytomnej kobiety, owinięte łańcuchami. O BoŜe!

pomyślała Amelia. Topił ją! Oby biedaczka jeszcze Ŝyła.

Biegli szybko; Roland Bell wzywał przez radio wsparcie i karetkę. Ludzie po wschodniej stronie przejścia zatrzymywali się i z niepokojem przyglądali wydarzeniom.

- PomóŜcie mi! - krzyknął męŜczyzna. - Sam nie dam rady jej wyciągnąć. - Oddychał cięŜko, widać było, Ŝe zaczyna brakować mu sił. - Chciał ją zabić. Okręcił łańcuchem i wepchnął pod wodę. Och!

Amelia Sachs wyciągnęła broń i wymierzyła mu w pierś. - O co chodzi? - spytał męŜczyzna wstrząśnięty. - PrzecieŜ próbuję jej pomóc! - Spojrzał w dół, na telefon komórkowy w pokrowcu przy pasie. - To ja zadzwoniłem pod dziewięćset jedenście. Nadal nie widział jego lewej ręki, ukrytej pod prawą.

Ręce - powiedziała krótko. - Niech pan nie puszcza liny.

Chcę widzieć je przez cały czas.

PrzecieŜ nic nie zrobiłem. - MęŜczyzna dyszał cięŜko

i brzmiało to raczej dziwnie. Chyba nie ze zmęczenia. MoŜe cho

rował na astmę?

Bell ominął ją, uwaŜając, by nie stanąć na linii strzału, chwycił ramię dźwigu i obrócił je w kierunku brzegu. Wziął skrzepowaną kobietę w ramiona, a na brzegu męŜczyzna powoli popuszczał linę, a Ŝ ciało spoczęło na błotnistym brzegu. LeŜało tam, bezwładne i sine.

Detektyw zerwał taśmę zaklejającą usta ofiary uwolnił ją z łańcuchów, zastosował sztuczne oddychanie i masaż serca.

- Proszę się nie zbliżać - powiedziała Amelia, zwracając się do rosnącej grupki ludzi, zainteresowanych zamieszaniem. - Czy jest tu lekarz?

Nikt nie odpowiedział. Spojrzała na ofiarę, dostrzegła, że porusza się, usłyszała jęk. Tak! Znaleźli ją w samą porę! Lada chwila odzyska przytomność, zidentyfikuje napastnika.

Rozejrzała się i coś zwróciło jej uwagę. Nieco z boku leżała sterta lśniącego, granatowego materiału. Dostrzegła rękaw, zamek błyskawiczny. To mogła być kurtka dresu, przygotowana do szybkiej zmiany.

Męszczyzna powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. Jak zareagował? Skrzywił się lekko? Chyba tak, ale wcale nie była tego taka pewna.

-

Proszę pana - powiedziała stanowczo - póki nie dowiemy się, co tu się naprawdę wydarzyło, jestem zmuszona nałożyć panu kajdanki. Proszę wyciągnąć ręce...

Nagle rozległ się przeraźliwy męski głos:

-

Hej tam, z tej strony! Gość, dresy, strzeli!

Ludzie krzyknęli, rzucili się na ziemię. Amelia przykucnęła, obróciła się w prawo. Szukała celu.

-

Rolandzie, uwaga!

Bell padł na ziemię. W wyciągniętej dłoni trzymał SIG-a. Ale... nigdzie nie widzieli mężczyzny w dresie do joggingu.

Być może...

O, nie! - pomyślała Amelia. Tylko nie to! Ale była na siebie wściekła! Zrozumiała, że dała się nabrać. Na prostą cyrkową sztuczkę: bruchomówstwo!

Odwróciła się błyskawicznie... akurat by oślepiła ją wisząca przez chwilę w powietrzu ognista kula, wybuchająca w dłoni mężczyzny, który z takim zapalem ratował Cheryl Marston.

Amelio! - krzyknął Bell. - Nic nie widzę. Gdzie on jest?

Nie wiem...!

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Mag, rozległo się kilka szybkich strzałów. Gapie rozbiegli się w panice, a policjanci skierowali broń w stronę, skąd padły strzały. Jednak gdy odzyskali wzrok, okazało się, że zabójca znikł. Pozostała po nim tylko rozwiewająca się chmura dymu, oczywiście z petard.

Nagle Sachs dostrzegła Maga: przeszedł przez mostek dla pieszych i znajdował się już po jego drugiej stronie. Ruszył środkiem ulicy, ale dostrzegł pędzący w jego stronę migający światłami radiowóz na sygnale. Wbiegł po schodach prowadzących do gmachu szkoły i znikł w tłumie odwiedzających targi rzemiosła z szybkością i zręcznością jadowitej śmi, uciekającej w wysoką trawę.

Byli wszędzie. Policjanci. Dziesiątki policjantów.

Szukali go.

Po biegu oddychał ciężko, bolała go klatka piersiowa. Oparł się o zimny wapień ściany jednego z budynków uczelni.

Przed sobą miał teren targów: duży plac, na którym kłębił się tłum ludzi. Spojrzał przez ramię, na zachód, w kierunku, z którego przybiegł. Tędy nie ucieknie, za dużo policji. Po południowej i północnej stronie wznosiły się betonowe budynki. Okna były zamknięte, nie widział żadnych drzwi. Wolna pozostała wyłącznie droga na wschód, przez wielki jak boisko futbolowy dziedziniec, wypełniony stoiskami i tłumem odwiedzających.

Ruszył w tę stronę. Nie ośmielił się biec.

Iluzjoniści doskonale wiedzą, że szybki ruch przyciąga uwagę.

Natomiast ten, kto umie poruszać się wolno, jest niewidzialny.

Spojrzał na wystawione na sprzedaż towary, przychylnie skinął głową niezłemu gitarzyście, roześmiał się z wygłupów obwieszonego balonikami klauna. Robił to, co wszyscy.

Ci, którzy się wyróżniają, przyciągają uwagę.

Ci, którzy wtopią się w otoczenie, stają się niewidzialni.

Ruszył na wschód. Jakim cudem zdołali mnie znaleźć? - pytał sam siebie. Oczywiście

spodziewał się, że w ciągu dzisiejszego dnia policja odkryje ciało martwej, utopionej kobiety, lecz okazało się, że gliniarze potrafili działać zdumiewająco szybko. Zupełnie jakby przewidzieli, co zrobi, jakby skądś wiedzieli, że dokona porwania w tej części miasta, może nawet w samej akademii jeździeckiej.

Jakim cudem?

i Jeszcze kilka kroków.

Mijał stoiska, minął budkę ze słodyczami i pokrytą czerwono--biało-niebieskim płótnem

scenę, na której występował zespół di-xielandowy. Już widział wyjście: schody prowadzące z placu na Broadway. Od wolności dzieliło go najwyżej piętnaście metrów.

Dziesięć...

I wówczas dostrzegł migające światła. Wydawały się tak jasne jak błysk pirowaty, który umożliwił mu ucieczkę przed rudowłosą policjantką. Pod wyjście podjechały cztery radiowozy, hamując z piskiem opon. Wskoczyło z nich kilku umundurowanych funkcjonariuszy. Dokładnie obejrżeli schody, ale pozostali przy samochodach. Jednocześnie przybywali policjanci po cywilnemu. Na jego oczach wchodzili po schodach, dołączali do odwiedzających targi tłumów.

Malerick wiedział już, że jest otoczony. Odwrócił się spokojnie i ruszył w kierunku środka placu. Tajniacy powoli przesuwali się na zachód. Legitymowali mężczyzn około pięćdziesiątki, gładko ogolonych, noszących lekkie koszule i luźne spodnie. Czyli tych, którzy wyglądali dokładnie tak jak on w tej chwili. Ale... także pięćdziesięciolatków brodatych i inaczej ubranych. Co oznaczało, że policjanci wiedzą o stosowanych przez niego technikach szybkiej zmiany. Nagle dostrzegł coś, czego bał się najbardziej. Policjantka o stalowym wzroku i płomiennorudych włosach, która próbowała aresztować go przy dźwigu, pojawiła się przy zachodnim wejściu na plac. Bez wahania weszła w tłum.

Malerick obrócił się, opuścił głowę. Bardzo dokładnie studiował wystawione na stoisku obok tandetne ceramiczne rzeźby. Co mam zrobić? - zastanawiał się w panice. Pod ubraniem, które miał na sobie, pozostał jeszcze tylko jeden kostium do szybkiej zmiany. Tylko jeden.

Ruda policjantka dostrzegła kogoś podobnie jak on zbudowanego i ubranego. Podeszła do tego mężczyzny, obejrzała go dokładnie, po czym odwróciła się i znów wbiła wzrok w tłum.

Dołączył do niej szczupły, brązowowłosy glina, który udzielił Cheryl Marston pierwszej pomocy. Rozmawiali przez chwilę. Była z nim dziewczyna, ale nie sprawiała wrażenia policjantki. Miała krótkie, rudofioletowe włosy i wydawała się raczej szczupłą. Ona także przyglądała się tłumowi. Szepnęła coś policjantce, która odeszła w innym kierunku.

Dziewczyna trzymała się drobnego gliny; oboje zaczęli przeczesywać tłum.

Malerick nie miał wątpliwości, że prędzej czy później go znajdą. Wiedział, że musi uciec z terenu targów, nim na miejscu zjawi się jeszcze więcej policjantów. Dostrzegł rząd plastikowych toalet; wszedł do jednej z nich i w trzydzieści sekund dokonał zmiany.

Wychodząc, uprzejmie przytrzymał drzwi starszej pani, ale ta odwróciła się i uciekła w

poszukiwaniu toalety, z której nie korzystał przed nią motocyklista z kucykiem i wielkim od piwa brzuchem, w czapce Pennzoil na głowie, ubrany w wytłuszczoną koszulę Harleya-Davidsona z długimi rękawami i brudne czarne dżinsy. Podniósł leżącą na ziemi gazetę, zwinął ją i wziął w lewą rękę, by ukryć w ten sposób zdeformowane palce. Poszedł w stronę

wschodniej części placu. Oglądał naczynia z barwionego szkła, kubki i misy, ręcznie robione zabawki, kryształy, płyty CD. Jeden z policjantów przyglądał mu się przez chwilę, ale zaraz poszedł swoją drogą.

Malerick był coraz bliżej wschodnich schodów.

Schody prowadzące na Broadway miały może trzydzieści metrów szerokości. Policji udało

się je zablokować praktycznie całe. Gliniarze zatrzymywali wszystkich dorosłych, zarówno

mężczyzn jak i kobiety, i sprawdzali dokumenty. Szczupły policjant i ruda dziewczyna

wyraznie się do niego zbliżali. Podeszli właśnie do stoiska ze słodyczami. Kobieta szeptała coś do ucha mężczyzny.

Czyby już go zauważyli?

Nagle poczuł wściekłość... ledwo nad nią zapanował. Przecież tak dokładnie zaplanował

przedstawienie! Każdy najmniejszy ruch, każdy najdrobniejszy gest miał służyć jutrzejszemu finałowi! W ten weekend miał dokonać najwspanialszego iluzjonistycznego przedstawienia w historii. I nagle świat wokół niego zaczął się walić. Pomyślał o tym, jak bardzo

rozczarowany będzie jego mentor. Pomyślał, że zawiódł swych szacownych widzów. I nagle

zorientował się, że drży mu dłoń, w której trzymał mały olejny obrazek Statuy Wolności.

To niedopuszczalne - odpowiedział mu gniew.

Odłożył obraz, odwrócił się, znieruchomiał i... aż westchnął ze

zdumienia.

Rudowłosa policjantkę dzielił od niego zaledwie krok. Na szczęście patrzyła w inną stronę. Natychmiast skupił uwagę na sprzedawcy i z wyraźnym brooklyńskim akcentem zaczął dopytywać się o parę tanich kolczyków. Kątem oka obserwował dziewczynę i widział, jak rzuciła na niego okiem, a potem obróciła się i powiedziała do mikrofonu radiostacji:

153

152

A

-

Pięć-osiem, osiem-pięć. Proszę o połączenie telefoniczne z Lincolnem Rhyme'em. - Słuchała przez chwilę, po czym znów rozległ się jej głos: - Jesteśmy na targach. Tak, musi tu być. Nie mógł się wydostać przed zamknięciem terenu. Znajdziemy go. Jeśli będziemy zmuszeni, sprawdzimy wszystkich, ale z pewnością go znajdziemy.

Malerick odszedł powoli. W tej chwili wątpił, czy znajdzie jakieś wyjście z tej sytuacji. Odwrócenie uwagi. Tak, chyba tylko to mu pozostało. Wystarczyło odwrócić uwagę policji

na pięć sekund, tylko tyle czasu potrzebował, by przerwać kordon i spokojnie zniknąć w tłumie na Broadwayu.

Tylko... co właściwie może zrobić? Nie ma już petard imitujących strzały z broni palnej. Podpalić jedno ze stanowisk targowych? Nie, w ten sposób nie uda mu się wszcząć paniki, przynajmniej na tę skalę, jakiej potrzebował.

Znow poczuł gniew... i strach.

I nagle usłyszał głos swego mentora sprzed lat. Był jeszcze chłopcem, gdy jako asystent popełnił na scenie błąd, omal nie psując numeru. Po występie iluzjonista wziął go na stronę. Malerick pamiętał, że miał łzy w oczach. Stał zawstydzony, ze wzrokiem wbitym w podłogę. I wtedy mentor zapytał go:

Co to jest iluzja?

Iluzja to nauka i logika - odparł natychmiast, tak jak go nauczono. Równie automatycznie potrafił odpowiedzieć na setki pytań.

Tak. Nauka i logika. I jeśli coś się zdarzy, jeśli spaprzesz coś sam, spaprze twój asystent albo choćby i Bóg Wszechmogący, musisz natychmiast opanować sytuację. Pomiędzy wystąpieniem trudności a reakcją na nie nie może upłynąć choćby sekunda.

Nie wpadaj w panikę. Obserwuj widownię. Zmień nieszczęście w triumf.

Te słowa sprzed lat natychmiast go uspokoiły. Potrząsnął głową, układając kucyk i rozejrzał się dookoła. Wiedział, że znajdzie drogę ucieczki.

Nie wpadaj w panikę. Obserwuj widownię.

Zmień nieszczęście w triumf.

Amelia Sachs zerknęła na stojących obok niej ludzi: ojca i matkę z dwójką znudzonych dzieci, motocyklistę w koszuli Harleya, dwie Europejki targujące się o biŜuterię. ZauwaŜyła takŜe Bella, stojącego po drugiej stronie placu, przy bufetach. Ale... gdzie znikła Kara? PrzecieŜ

miała się trzymać blisko któregoś z nich. juŜ chciała pomachać do detektywa, gdy obok

przeszło kilka osób, zasłoniło jej widok i straciła go z oczu. Natychmiast ruszyła w tamtym kierunku, rozglądając się dookoła. Uświadomiła sobie, Ŝe nagle ogarnął ją nieokreślony niepokój. Zupełnie jak w szkole muzycznej, choć przecieŜ dzień był piękny, słoneczny, a

wokół kręciły się tłumy ludzi; sceneria w niczym nie przypominała mrocznej, ponurej, pustej szkoły.

Trochę tu strasznie.

Wiedziała, na czym polega problem. Policjanci patrolu albo „mają czucie”, albo go nie mają.

W policyjnym Ŝargonie „mieć czucie” oznaczało związek z patrolowanym terenem,

rozumienie go. Nie wystarczyło znać ludzi i wiedzieć, gdzie znajduje się kaŜda, choćby

najciemniejsza alejka; „czucie” oznaczało rozumienie rytmu i języka ulicy, instynktowną orientację w tym, jakich przestępców moŜna spotkać i gdzie, jak działają, co moŜna zrobić, by ochronić upatrzoną ofiarę, którą moŜesz przecieŜ być ty.

Jeśli policjant nie czuł swojego rewiru, nie powinien go patrolować i tyle.

Amelia Sachs zrozumiała w tej chwili, Ŝe po prostu nie czuje Maga. Być moŜe siedzi w

wagonie metra linii numer dziewięć i bezpiecznie jedzie do śródmieścia, być moŜe stoi tuŜ

obok. Nie potrafiła tego wyczuć. Nie wiedziała.

W tej właŝnie chwili ktoś przeszedł bardzo blisko, tuŜ za jej plecami. Poczwała na karku jego oddech czy moŜe muŝnięcie cienkiego materiału. Obróciła się szybko, bardzo przestraszona, trzymając dłoń na rękojeści pistoletu. Doskonale pamiętała, z jaką łatwością Kara najpierw odwróciła jej uwagę, a potem pozbawiła ją broni.

Kilka osób znajdowało się wprawdzie doŝć blisko, ale to chyba Ŝadna z nich nie minęła jej przed chwilą.

A moŜe jednak?

Od grupy oddalał się kulejący męŝczyzna. Nie mógł przecieŜ być Magiem.

A moŜe?

Pamiętaj, że Mag może całkowicie odmienić swój wygląd w ciągu kilku sekund.

Obok niej stali: starsze małżeństwo, motocyklista z kucykiem, trójka nastolatków i wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna 155

w uniformie ConEd. Nie wiedziała nic, była całkowicie zagubiona, bała się o siebie i wszystkich dookoła.

Nie czuła...

I nagle rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk. A potem głos:

-

Ratunku! Ludzie! Tutaj! O Boże, ktoś jest ranny.

Amelia wyciągnęła pistolet z kabury i ruszyła w stronę szybko rosnącej grupki ludzi.

Wezwijcie doktora!

Co się stało?

Boże! Nie patrz, kochanie, nie patrz!

Po wschodniej stronie placu, niedaleko stoiska ze słodyczami, zebrał się tymczasem prawdziwy tłum. Ludzie z przerażeniem patrzyli na kogoś leżącego u ich stóp. Amelia przywołała przez radio karetkę. Przepychała się pomiędzy ludźmi.

-
Proszę mnie przepuścić...

Dotarła do leżącego bezwładnie ciała i stanęła, jakby wrosła w ziemię.

-
O Boże, nie... - szepnęła.

Patrzyła na najnowszą ofiarę Maga. Kara leżała w kałuży krwi, pokrywającej jej fioletową bluzkę i bruk. Głowę miała odchyloną, niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w błękitne niebo.

Otępiła Amelia uniosła policyjne radio do ust. O Boże, nie...

Wypadł lepiej niż marabuci. Ale zdaje się, że omal przy tym nie zginął.

Nie martw się. Już ja dopilnuję, by nie spotkało cię nic podobnego.

Nie dopilnowała. Tak bardzo przejęła się Magiem, że zupełnie zapomniała o dziewczynie.

Nie, nie, Rhyme, trafia się śmierć, z którą nie sposób się pogodzić. O tej tragedii miała już zawsze pamiętać.

A potem, nagle, pomyślała: na Szałobę po Karze przyjdzie jeszcze czas. Przyjdzie czas na

wyrzuty, przyjdzie czas na konsekwencje popełnionych błędów. Teraz musi zacząć kombinować. Musi na powrót stać się gliniarzem. Mag jest gdzieś blisko. I Mag nie ucieknie. Jesteś na miejscu przestępstwa, powiedziała sobie, i wiesz, co masz robić.

Po pierwsze: odciąć wszystkie drogi ucieczki.

Po drugie: zamknąć miejsce przestępstwa.

Po trzecie: zidentyfikować, ochronić i przesłuchać świadków/

Obróciła się, spojrzała na policjantów; chciała przekazać im polecenia, ale nim zdążyła powiedzieć choć słowo, rozległ się głos w policyjnym radiu: „Radiowóz cztery-siedem do wszystkich funkcjonariuszy z wezwania dziesięć-dwadzieścia-cztery nad rzeką. Podejrzany opuścił teren po wschodniej stronie targów. W tej chwili jest na West Endzie, dochodzi do ulicy siedem-osiem, idzie na północ, piechotą. Ubrany w ciemny dżins, niebieską dżinsową koszulkę z logo Harleya-Davidsona, ciemne włosy, kucyk, czarna czapka

basebolówka. Nie widzę broni... znika mi w tłumie... wzywam wsparcia patrolu i dostępnych radiowozów.

Motocyklista! Zrzucił strój biznesmena i dokonał szybkiej zmiany. Zabił Karę, by

wprowadzić ich w błąd, a potem prześlizgnął się przez oka sieci, gdy policjanci rzucili się na pomoc ofierze.

Stałam niespełna metr od Maga!

Policjanci zgłaszali się na wezwanie, podejmowali pościg za podejrzanym, który, jak się wydawało, zyskał sporo czasu. Amelia dostrzegła Rolanda Bella: patrzył na ciało Kary, marszczył brwi, podniósł do ucha motorolę i słuchał komunikatów, które i ona mogła słyszeć.

Wymienili spojrzenia i oboje jednocześnie wykonali głowami ruch w stronę, w którą miał ruszyć pościg. Sachs stanowczo poleciła najbliższemu policjantowi patrolu zabezpieczyć miejsce przestępstwa, którego ofiarą padła Kara, wezwać patologa i znaleźć świadków.

Ale... - zaprotestował młody, choć już łysiejący mężczyzna,

najwyraźniej niezbyt szczęśliwy, że wydaje mu rozkazy funkcjonariusz z tym samym stopniem.

śladne ale.. - przerwała mu, nie mając ochoty na dyskusje

o stopniach, nie w tej chwili. - Potem możesz poskarżyć się swojemu sierżantowi.

Jeśli facet powiedział coś jeszcze, to go nie słyszała. Ignorując przenikliwy, artretyczny ból, zbiegła schodami po dwa stopnie, za pędzącym przed nią ile sił w nogach Rolandem Bellem.

Tak zaczął się pościg za zabójcą Kary.

Jest szybki.

Ale ja jestem szybszy.

Weteran patrolu z sześcioletnim stażem, Lawrence Burkę, wybiegł z Riverside Park na West End Avenue, zaledwie pięć metrów za uciekającym podejrzanym, głupim dupkiem w koszuli z naszytym emblematem Harleya-Davidsona.

Omiął przechodniów, przedzierał się przez osłonę... tak jak w szkolnej reprezentacji, ścigając napastnika, któremu udało się przejąć podanie.

No i tak jak wówczas, Długonogi Larry zbliżył się do niego nieubłaganie.

Dostał wezwanie nad Hudsonem, dziesięć-dwadzieścia cztery, przestępstwo z użyciem broni, i był w drodze na miejsce, kiedy odebrał informację o pościgu za podejrzanym. Wykonał w tył zwrot i okazało się, że patrzy mu w oczy.

158

Kolejny cholerny motocyklista. _ Hej, ty! Stój!

Ale motocyklista nie zamierzał się zatrzymywać. Ominął go zerabnym zwodem i popędził na północ. Wyglądało to na powtórkę meczu z Liceum Woodrowa Wilsona z okazji rocznicy

szkoły, siedemdziesięciometrowy pościg za Chrisem Broderickiem i rozpaczliwy rzut, który zatrzymał go o nędzne pół metra przed linią przyłożenia. Teraz też Larry włączył czwarty bieg i ruszył za podejrzanym. Burkę nie wyciągnął z kabury pistoletu służbowego. Broni

wolno uŚyć tylko wobec sprawcy uzbrojonego, stanowiącego zagrożenie dla policjanta lub przypadkowych przechodniów. Wówczas można go powstrzymać wszelkimi środkami, ale strzelenie komuś w plecy fatalnie wygląda podczas przesłuchania, bez którego nie obywateli po uŚyciu broni, by już nie wspomnieć o rozmowach kwalifikacyjnych do awansu.

- Hej, i tak przegrałeś, sukinsynu - sapnął funkcjonariusz Burke.

Motocyklista skręcił w przecznicę prowadzącą na wschód. Obejrzał się przez ramię w panice.

Długonogi gliniarz nieuchronnie skracał dystans.

Facet skręcił w lewo, w alejkę. Larry pokonał łuk znacznie zgrabniej od pana Harleya. I ciągle się go trzymał.

Gdzieś policjanci otrzymywali sieci lub paralizatory, lecz nowojorska policja nie była aż tak zaawansowana technologicznie. Zresztą w tym wypadku nie miało to żadnego znaczenia. Larry Burke był sprawnym futbolistą. Umiał nie tylko biegać, lecz także

zatrzymywać napastnika. Gdy dzielił go od niego co najwyżej metr, rzucił się do przodu.

Pamiętał nawet, że trzeba mierzyć wysoko i że to ciało gracza przeciwnej drużyny ma służyć za materac przy lądowaniu.

Jezu Przenajświętszy - sapnął harleyowiec. Poślizgnęli się po asfalcie i obaj wylądowali w górze śmieci.

Niech to szlag! - sapnął Burke, który przejechał po asfalcie, zdzierając skórę z łokci. - Och, ty skurwielu!

Nic nie zrobiłem! Dlaczego mnie gonisz?

Zamknij się.

Funkcjonariusz Burke założył podejrzanemu kajdanki, a ponieważ facet wydawał się dziwny i kompletnie popieprzony, specjalną plastikową linką spętał mu także nogi w kostkach.

Zgodnie z regulaminem i mocno. Potem przyjrzał się otartym, krwawiącym łokciom.

-
O ŚeŚ ty - syknął przez zęby. - Straciłem przez ciebie metry
skóry. Boli jak cholera, skurwysynu.

-
PrzecieŚ nie zrobiłem nic złego. Poszedłem na targi i tylko...
Burkę splunął na bruk. Kilka razy odetchnął szybko i głęboko.

-
Czego nie zrozumiałeś? - spytał wkurzony. - „Zamknij się”. - Nie mam zamiaru
powtarzać... o cholera, jak piecze.

Przeszukał zatrzymanego, znalazł portfel i przejrzał jego zawartość. Nie znalazł ani prawa jazdy, ani
kart kredytowych, niczego, co umoŚliwiłoby identyfikację. Tylko gotówkę.

Dziwne. Ani śladu broni, ani śladu narkotyków; co z niego za motocyklista?

-
MoŚe mnie pan straszyć, proszę bardzo. Chcę adwokata. Po

dam pana do sądu! Człowieku, jeśli sądzisz, że zrobiłem coś złe

go, to bardzo się mylisz.

Młody policjant nie przejął się tą przemową. Podwinął podkoszulek zatrzymanego i dopiero teraz naprawdę się zdziwił. Pierś i brzuch motocyklisty pokrywały blizny po jakiejś bardzo poważnej ranie. Wyglądały strasznie. Zaskoczył go taki pas, do którego można było wiele schować; takie z sobą nosili w czasie wakacji w Europie. Spodziewał się, że znajdzie w nim trawkę, ale się rozczarował. Męszczyzna ukrył tam spodnie od dresu do joggingu, sweter z golfem, luźne spodnie, białą koszulę i telefon komórkowy. Oraz - co wyglądało szczególnie dziwnie - zestaw do makijażu. A wszystko to zwinięte luźno, jakby zależało mu na tym, by udawać grubasa.

Bardzo dziwne...

Burkę raz jeszcze odetchnął głęboko, wciągając w płuca ohydny mieszanek zapachów - moczu i śmieci. Wcisnął przycisk motoroli.

Patrol pięć-dwa-jeden-dwa do centrali, ująłem podejrzanego z wezwania dziesięć-dwa-cztery.

Ranni?

Brak.

Tylko łokieć cholernie mnie piecze.

Lokalizacja.

Półtorej przecznicy na wschód od West Endu. Czekaście.

Sprawdzę najbliższą przecznicę.

Wyszedł z alejki, podał nazwę ulicy. Pozostało mu tylko czekać, aż pojawią się jego koledzy po fachu. Dopiero teraz zaczął się uspokajać, a jednocześnie zrozumiał, jak świetnie mu poszło. Nie musiał uścisnąć broni. Facet leży i kwiczy. Panu Bogu dzięki i---rany, ale to

wspaniałe uczucie! Podobnie czuł się tylko wtedy,

160

kiedy udało mu się zatrzymać Chrisa Brodericka, który padając na brzuch na linii pierwszego jardu, pisnął cienko jak dziewczyna. Przeleciał całe boisko, nie mając zielonego pojęcia, że Długonogi

Larry goni za nim i Śe go dogoni, choć w ostatniej chwili.

-

Słuchaj... dobrze się czujesz? - Bell delikatnie dotknął ramienia Amelii. Ale śmierć Kary wstrząsnęła policjantką do tego stopnia, Śe nie mogła wydobyć z siebie głosu. Tylko skinęła głową.

Ignorując ból kolan, spowodowany poprzednim wysiłkiem, wraz z Rolandem Bellem pobiegła do miejsca, gdzie zgodnie ze swym meldunkiem radiowym policjant patrolu Bell zatrzymał mordercę.

Czy Kara miała przyjaciela? - pomyślała. Rodzeństwo? O BoŚe, będą musieli zawiadomić rodziców!

Nie, nie my!

Ja będę musiała to zrobić, zdecydowała. To mój błąd. To ja poprosiłam ją o pomoc.

Zrozpaczona do tego stopnia, Śe aŚ zrobiło jej się niedobrze, biegła w stronę alejki. Bell zerknął na nią, odetchnął głęboko. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

CóŚ... przynajmniej udało im się złapać Maga.

W głębi serca Śałowała jednak, Śe to nie ona go aresztowała. śałowała, Śe to nie ona stanęła z nim twarzą w twarz, trzymając w dłoni broń. Być moŚe uŚyłaby glocka przed radiotelefonem; w końcu wystarczyłoby postrzelić go w ramię. W filmach rana ramienia to tylko drobne

utrudnienie, ugryzienie komara; w najgorszym razie bohater przez kilka dni nosi rękę na temblaku. W rzeczywistości rana ramienia, nawet z broni małego kalibru, zmienia Śycie człowieka na długo. Czasami na zawsze.

Ale... zabójcę złapano. Będzie oskarŚony o wielokrotne morderstwo. Musiała się tym zadowolić.

Nie martw się, nie martw, nie martw...

Kara...

Amelia Sachs uświadomiła sobie, że nie zna nawet jej prawdziwego imienia.

To mój sceniczny pseudonim, ale jego głównie używam. Jest lepszy niż imię, które byli łaskawi nadać mi rodzice.

Takie drobne, nieważne wspomnienie spowodowało, że łzy napłynęły jej do oczu.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że Bell coś do niej mówi.

-

Amelio... hmm... jesteś z nami?

161

Odpowiedziała mu krótkim skinieniem głowy.

Skręcili za rogiem Osiemdziesiątej Ósmej, przy której policjant patrolu złapał Maga. Oba końce ulicy zostały zablokowane przez policyjne radiowozy. Bell dokładnie przyjrzał się ulicy, po czym zerknął w mroczną alejkę.

To tu - powiedział, wyciągając rękę. Gestem nakazał kilku policjantom, zarówno umundurowanym, z patrolu, jak i detektywom po cywilnemu, by poszli z nimi.

Dobra, bierzmy go - poleciła cicho Sachs. - Bo że, mam nadzieję, że nic się nie stanie.

Zatrzymali się u wylotu mrocznej alejki. Zajrzeli do środka i zatrzymali się, zdumieni. Nie dostrzegli nikogo.

Przecież to ta ulica - powiedział z wahaniem Bell.

Powiedział: Osiemdziesiąta Ósma, prawda? - spytała Ame

lia. - Przekręca na wschód od West Endu. Jestem pewna, że to właśnie powiedział.

Pamiętam - przytaknął detektyw.

No to jesteśmy na miejscu. - Sachs spojrzała w górę i w dół

ulicy. - Nie ma tu żadnej innej alejki.

Nadbiegli jeszcze trzech policjanci.

-

Zabłądziliśmy czy co? - spytał jeden z nich, rozglądając się

dookoła. - Przecież to nie może być tu.

Bell podniósł radio do ust.

-

Patrol pięć-dwa-jeden-dwa, zgłoś się.

Brak odpowiedzi.

-

Patrol pięć-dwa, na której jesteś ulicy. Potwierdź Osiemdziesiątą Ósmą.

Amelia Sachs weszła w alejkę. I poczuła na sercu wielki ciężar.

-

Och, tylko nie to - szepnęła.

Obok rozgrzebanych śmieci znalazła leżące na bruku otwarte kajdanki, a obok nich przecięte plastikowe więzy.

Otworzył kajdanki i zdołał się jakoś uwolnić! - krzyknęła, rozglądając się dookoła.

Znikli gdzieś czy co? - zdumiał się jeden z policjantów.

Gdzie Larry? - krzyknął drugi.

Może ściga uciekiniera? - spytał ktoś, raczej niepewnie.

- I może jest poza zasięgiem?

Może? - powtórzył Bell, wyraźnie zaniepokojony. Motorole psuły się niezwykle rzadko, a odbiór radiotelefonów w mieście był na ogół lepszy niż większości telefonów komórkowych.

Bell zgłosił wezwanie, dziesięć-trzydzieści dziewięć, uciekający podejrzany, policjant zaginiony lub w pościgu. Spytał centralę, czy mieli jakieś informacje od Burke'a i okazało się, że nie dostali śladnych. I nikt nie informował o strzałach w okolicy.

Amelia Sachs spenetrowała wstępnie alejkę, szukając tropów mogących wskazać, w którym kierunku zbiegł morderca i co mógł zrobić z ciałem funkcjonariusza Burke'a, jeśli jakimś cudem udało mu się odebrać policjantowi broń i go zabić. Ale ani ona, ani Bell nic nie

znaleźli, dosłownie nic. W końcu dołączyli do grupy policjantów stojących u wylotu alejki.

Co za straszny dzień. Dwie ofiary, a jeszcze nie minął ranek. No i Kara, oczywiście.

A teraz jeszcze zaginął funkcjonariusz policji.

Zdjęła z ramienia mikrofon radiotelefonu SP-50. Czas połączyć się z Rhyme'em. O, BoŜe, nie chcę o tym rozmawiać. Wywołała centralę i poprosiła o przekierowanie rozmowy. Kiedy czekała na połączenie, ktoś ją pociągnął za rękaw.

Obróciła się. Westchnęła zaskoczona, puściła mikrofon, który bezwładnie kołysał się przy jej boku.

Przed nią stały dwie osoby. Jedną z nich był łysiejący policjant, któremu zaledwie dziesięć minut temu wydawała rozkazy. Drugą była... Kara! Kara w policyjnej kurtce!

Dziewczyna przyjrzała się alejce i spytała: No i gdzie się podział?

162

Nic ci nie jest? - spytała Amelia niepewnym, drŜącym głosem. - Co... co się właściwie stało?

-

Stało? - Kara wyraźnie się zdziwiła, widząc jej zdumione

spojrzenie. - Oczywiście, nic mi nie jest. - Czy... czy ty naprawdę

o niczym nie wiedziałaś?

Łysiejący glina spojrzał na Sachs, jakby chciał się usprawiedliwić.

-

Przecież próbowałem wyjaśnić, o co chodzi - tłumaczył.

-

Ale pani uciekła, nim zdążyłem otworzyć usta.

-

Co wy...? - Głos zawiódł Amelię Sachs. Była tak zaskoczona

-

i czuła tak wielką ulgę - że przez chwilę nawet nie oddychała.

-

Byłaś pewna, że naprawdę mnie zabił - szepnęła Kara.

O BoŜe!

Podszedł do nich Bell. Kara kiwnęła głową, wskazując Amelię.

Ona nic nie wiedziała.

O czym?

O naszym planie. Czyli o mojej fałszywej śmierci.

Twarz Bella wykrzywił grymas zdumienia.

O BoŜe! Więc sądziłaś, Őe ona naprawdę nie Őyje?!

Łysiejący policjant z patrolu znów spróbował włączyć się w rozmowę.

Chciałem jej wszystko powiedzieć - tłumaczył. - Ale najpierw gdzieś znikła, a kiedy juŜ ją znalazłem, kazała mi zabezpieczyć miejsce zbrodni, wezwać lekarza i uciekła.

Rozmawiałam z Rolandem. - Kara uznała, Őe pora na wyjaśnienia. - Wyszło nam, Őe Mag moŜe zrobić coś naprawdę złego, podpalenie albo nawet kogoś zabić. No wiesz, po to, Őeby nas zmylić i uciec. Postanowiliśmy wykonać własną zmyłkę.

-

Chodziło o to, żeby wykurzyć go z tłumu - dodał Bell. - Kupiliśmy trochę keczupu, Kara wylała go na siebie i zaczęła wrzeszczeć.

Dziewczyna rozchyliła policyjną kurtkę. Miała pod nią bluzkę na ramiączkach, zaplamioną na czerwono.

-

Martwiłem się trochę, że kilka osób na targach mocno się przestraszy... - ciągnął detektyw.

Rzeczywiście.

...ale uznaliśmy, że to i tak lepiej, niż gdyby Mag miał do kogoś strzelić albo zakłuć nożem. - Bell dodał dumnie: - To był jej pomysł. Powiedziałbym, że doskonały.

Zaczynam go wyczuwać - dodała jeszcze Kara.

Jezu! - Amelia trzęsa się na całym ciele. - To było takie rzeczywiście.

-

Ma talent dziewczyna. - Bell pokiwał głową z uznaniem.

Amelia przytuliła ją, następnie odsunęła się i powiedziała su

rowo:

-

Od tej pory masz trzymać się blisko mnie. Albo przynajmniej informować o swoich pomysłach. Ciągle jeszcze za młoda jestem na atak serca.

Czekali jakiś czas, ale nie dostali żadnej informacji o tym, by podejrzanego zauważono w okolicy. Roland Bell podjął wreszcie decyzję.

-

Amelio, zostań i przeszukaj teren. Ja przesłucham ofiarę.

Może dowiemy się od niej czegoś interesującego? Spotkamy się na targach.

Samochód do badania miejsc przestępstw stał przy Osiemdziesiątej Ósmej ulicy. Podeszła do niego, zaczęła wyjmować konieczny sprzęt. Zaskoczył ją głos z wiszącej przy pasie słuchawki. Włożyła ją do ucha, poprawiła mikrofon.

Pięć-osiem-osiem-pięć. Powtórz.

Sachs, co się dzieje, do cholery? Słyszałem, że go macie,

a potem zniknął.

Pokrótkie nakreśliła Rhyme'owi sytuację i wyjaśniła, jak zawierzano wykurzyć Maga z zatłoczonego placu.

Pomysł Kary? Udawała martwą? Hmmm... - Takie chrząknięcie było jednym z największych komplementów, jaki padał

z ust Lincolna Rhyme'a.

Ale sprawca znikł - kontynuowała Amelia. - I nie możemy znaleźć funkcjonariusza, który go aresztował. Może go ściga, ale nie mamy z nim łączności. Roland przesłuchuje uratowaną przez kobietę. Mamy nadzieję, że się od niej czegoś dowiemy?

165

W porządku. Rozejrzyj się na miejscu, dobrze?

Miejscach - poprawiła go Amelia. - Kawiarnia, teren wokół stawu i alejka, gdzie w tej chwili jestem. Za dużo tego, do cholery!

Im więcej, tym lepiej - odparł Rhyme. - Zwiększa to szansę znalezienia czegoś użytecznego.

Rhyme miał oczywiście rację.

Trzy miejsca przestępstwa dostarczyły wartościowych dowodów. Choć... Amelii trudno było je zbadać i to z raczej niezwykłego powodu. Otóż w każdym z nich czuć było obecność Maga, przynajmniej jako upiora. Upiora stale obecnego, czającego się gdzieś blisko.

Nieruchomią co chwila, szukała dłonią kolby glocka, a nawet odwracała się, sprawdzając,

czy morderca nie czai się za jej plecami.

Szukaj starannie, ale oglądaj się przez ramię.

Tak naprawdę nikogo nie zauważyła. Tylko, że... Świetlana Rasnikow też nie widziała mordercy, zrzucającego czarną tkaninę i skradającego się ku niej w cieniu.

Terry Calvert nie widział go, kiedy wszedł w alejkę zwabiony miauczeniem zabawki udającej kota, gdyż zabójca ukrywał się za fałszywym lustrem.

Nawet Cheryl Marston nie widziała Maga, choć przecież patrzyła wprost na niego. Dla niej był sympatycznym, atrakcyjnym mężczyzną; ani jej w głowie powstało, że szykuje dla niej tak straszną śmierć.

Sachs przeszła po siatce we wszystkich trzech miejscach, zrobiła zdjęcia cyfrowe i oddała pole ekipie medycznej oraz fotografom. Następnie wróciła na teren targów, gdzie spotkała się z Rolandem Bellem. Detektyw zdołał porozmawiać z kobietą, nim odwieziono ją do szpitala.

Nie mogli oczywiście polegać na tym, co Mag jej mówił („Kupa śmierdzących łgarstw” - określiła to dobitnie Cheryl), ale przynajmniej mieli teraz dobry opis sprawcy, w tym charakterystycznych blizn. Marston pamiętała także, że zatrzymał się przy samochodzie, rozpoznała markę, pamiętała także kilka pierwszych znaków numeru rejestracyjnego. To była dobra wiadomość. Istnieją setki sposobów, by skojarzyć samochód ze sprawcą lub ze świadkiem. Lincon Rhyne nazywał samochody „generatorami dowodów”.

Wydział Komunikacji poinformował, że odpowiadająca opisowi ciemna mazda 626 przed tygodniem skradziona została z lotniska w White Plains. Sellitto natychmiast skontaktował się ze wszystkimi agendami policyjnymi z prośbą, by rozpoczęły poszukiwania tego właśnie wozu, a jednocześnie wysłał patrol na poszukiwania wokół miejsca przestępstwa, choć nikt się nie łudził, by udało się znaleźć Maga w tak prosty sposób.

Bell kończył opowieść o cięskich prześyciach Cheryl Marston, kiedy przerwał mu funkcjonariusz patrolu, przyjmujący zgłoszenie centrali.

Detektyw Bell? Proszę mi przypomnieć, co to był za samo

chód. Ten, który miał prowadzić morderca.

Ciemna mazda. FET dwa-trzy-siedem.

To ta! - powiedział policjant do mikrofonu, a potem na u

tek Bella i Sachs dodał: - Właśnie dostałem wiadomość. Nasz ra

diowóz dostrzegł ją na Central Park West. Pojechali za nim i wie

pan co? Przeskoczył krawężnik i wjechał do parku! Nasi próbo

wali powtórzyć tę sztuczkę, ale zawiesili się na nasypie i musieli

przerwać pościg.

CPW i co dalej? - spytała natychmiast Sachs.

Chyba Dziewięćdziesiąta Druga.

Prawdopodobnie ucieka teraz pieszo - powiedział Bell.

Będzie uciekał pieszo - poprawiła go Amelia. - Ale najpierw

zechce odskoczyć od pościgu. - Wskazała skrzynki z zebranymi

przez siebie dowodami. - Zabierz je do Rhyme'a - krzyknęła

i dziesięć sekund później siedziała już za kierownicą camaro, słu

chając basowego pomruku potężnego silnika. Założyła rajdowe

szelki, mocno docisnęła parciane pasy.

- Amelio, czekaj! - krzyknął Bell. - Pomoc jest już w drodze. W odpowiedzi usłyszał tylko

przeraźliwy pisk opon. W powietrze wzbijała się chmura niebieskiego dymu z bezlitośnie

palonych goodyearów.

Camaro wyjechał na Central Park West poślizgiem. Pomknął na północ. Amelia skupiła się

wyłącznie na uniknięciu zderzenia z przechodniami, poruszającymi się w ślimaczym tempie

kompaktowymi samochodzikami i rolkarzami.

I jeszcze te matki z dziećmi w wózkach. Były dosłownie wszędzie! Boże, czy te dzieciaki nie powinny siedzieć w domach i spać?!

Wystawiła na dach policyjnego koguta, którego podłączyła do gniazda zapalniczki. Docisnęła gaz, prawą ręką uderzając w klakson w rytm migającego niebieskiego światła.

Nagle zobaczyła przed sobą szarą smugę.

167

O, cholera! Wcisnęła hamulec, unikając zderzenia z facetem który w tej właśnie chwili zdecydował się zawrócić. Camaro zatrzymał się kilka centymetrów od samochodu, który pewnie mogłaby sobie kupić... ale za dwuletnią pensję.

Znów przyspieszyła. Wspaniały, stary produkt General Motors odpowiedział chętnie i błyskawicznie. Udało się jej jakoś utrzymać prędkość poniżej osiemdziesiątki do chwili, gdy na ulicy, gdzieś w okolicach Dziewięćdziesiątej zrobiło się jakby luźniej. I wówczas w zaledwie kilka sekund przyspieszyła do stu piętnastu.

W słuchawce motoroli, leżącej na siedzeniu pasażera, rozległy się jakieś szумы i trzaski.

Jedną ręką założyła ją na głowę.

Co jest? - krzyknęła do mikrofonu, nie próbując już nawet udawać, że stosuje przyjęte w policji standardy komunikacji.

Amelia? Tu Roland. - Bell także zarzucił procedury.

Mów.

Posłaliśmy za tobą nasze samochody.

A on, gdzie jest? - spytała, przekrzykując ryk silnika.

Chwileczkę... aha, wyjechał z parku na Central Park North.

Otarł się o cięsarówkę i ucieka dalej.

W którą stronę?

To było... zaraz! Niespełna minutę temu. Jedzie na północ.

Rozumiem.

Ucieka do Harlemu? - zdziwiła się Amelia. Z tej części miasta można było wyjechać kilkoma drogami, wątpiła jednak, by Mag wybrał którąś z nich, ponieważ prowadziły na mosty, a

przejazd przez większość był płatny. Przy bramce łatwo byłoby go złapać.

Najprawdopodobniej porzuci samochód w jakimś spokojnym miejscu i ukradnie następny.

W słuchawkach rozległ się inny głos.

Sachs, mamy go!

Gdzie, Rhyme?

Skręcił na zachód w Sto Dwudziestą Piątą. ZbliŹsa się do Piątej Alei.

Jestem przy Jeden-Dwa-Pięć, skrzyŹowanie z Adam Clayton

Powell. Spróbuję go zablokować. Potrzebuję wsparcia!

Pracujemy nad tym. Jak szybko jedziesz?

Szczerze mówiąc, nie patrzę na prędkościomierz.

Szczerze mówiąc, dobrze robisz. Nie odrywaj wzroku od drogi—

Migając światłami, z dłonią na klaksonie, Amelia przejechała

ruchliwe skrzyŹowanie na Sto Dwudziestej Piątej. Obróciła camaro w miejscu o

dziewięćdziesiąt stopni, blokując dwa prowadzące na zachód pasy. Wskoczyła na drogę z

pistoletem w dłoni. Kilka samochodów zatrzymało się na pasach prowadzących na wschód.

Amelia krzyczała do kierowców: „Uciekajcie! Akcja policji. Opuśćcie samochody. Kryjcie

się!“. Kierowcy, kurierzy w mundurkach McDonalda, bez wahania dostosowali się do jej

poleceń.

W ten sposób zablokowane zostały wszystkie pasy Sto Dwudziestej Piątej.

Do wszystkich! Kryjcie się!

O, kurwa!

Dobrze powiedziane!

Spojrzała w prawo. Czterech chłopaków z jakiegoś młodzieŝowego gangu, wiszących na

poręczy z łańcucha, najwyraźniej zainteresowało się austriackim pistoletem oraz antykiem z Detroit i ładną rudą babką. Większość przypadkowych gapiów skorzystała z rady Amelii i znalazła sobie jakąś osłonę, ale ta czwórka została na miejscu i najwyraźniej świetnie się bawiła. Pewnie myśleli, ŝe na ich oczach kręą film z Wesleyem Snipesem.

Pojawiła się mazda, przeskakująca z pasa na pas, pędząca na zachód, na zaimprovizowaną blokadę. Mag nie zauwaŝył, ŝe ją załoŝono, i minął jedyną ewentualną drogę ucieczki w bok.

Wcisnął hamulce, samochód zarzucił, ale kierowca zdołał go zatrzymać. Za sobą miał

ŝmieciarke, odcinającą mu drogę odwrotu. Ŝmieciarze błyskawicznie zorientowali się, co się dzieje, i zwiali, zostawiając blokujący drogę samochód.

Amelia spojrzała na nastolatków.

- Padnij! - krzyknęła.

Uŝmiechnęli się kpiąco i zupełnie ją zignorowali.

Wzruszyła ramionami, oparła ręce na dachu camaro, zgrała muszkę i szczerbinke, mierząc w przednią szybę nadjeŝdŝającego samochodu.

A więc miała go wreszcie jak na widelcu. Miała Maga. Widziała go; jego twarz i niebieską koszulę harleyowca. Fałszywy kucyk Pod czarną czapką powiewał w lewo i w prawo. Mag rozpaczliwie szukał drogi ucieczki.

Ale nie miał gdzie uciekać.

-

Hej, ty! Kierowco mazdy! Wsiądź z samochodu i połóŜ się
na ziemi!
śadnej odpowiedzi.

-
Sachs - odezwał się w słuchawce głos Rhyme'a. - Czy mo
Ŝesz...

169

Amelia zdarła słuchawki z głowy. Cały czas mierzyła w głowę kierowcy.

Masz broń, więc równie dobrze moŜesz jej uŜyc.

Tak, słyszała w głowie słowa Mary Shanley. Odetchnęła głęboko i natychmiast się uspokoiła.

Broń trzymała wymierzoną wprost w głowę podejrzanego, nieco wyŜej, nieco w lewo; po—
prawka na siłę ciąŜenia i lekki wiosenny wiatr.

Kiedy strzelasz, istniejesz tylko ty i cel. WiąŜą was niewidzialne więzy, niewidzialna energia światła. Zdolność trafienia w cel zaleŜy wyłącznie od tego, skąd ta energia pochodzi. Jeśli biegnie z głowy, moŜesz trafić w to, w co mierzysz, lecz jeśli biegnie z serca, prawie zawsze trafiasz. Ofiary Maga: Tony Calvert, Świetlana Rasnikow, Cheryl Marston, policjant Larry Burke, udzieliły jej swej energii. Wiedziała, Ŝe nie moŜe chybić.

No... - pomyślała. No juŜ, ty sukinsynu. Jedź. Spróbuj, czy ci się uda.

Dawaj...!

Potrzebuję powodu, choćby najdrobniejszego...!

Samochód ruszył, bardzo powoli. Palec policjantki dotknął nie osłony, lecz samego spustu.

Mag jakby to wyczuł. Zahamował natychmiast.

-

Jedź... jedź... - szepnęła Amelia Sachs.

Doskonale wiedziała, co zrobić w tej sytuacji. Jeśli spróbuje tylko przejechać obok niej,

przestrzeli koło lub uszkodzi chłodnicę z wiatraczkiem i będzie próbowała wziąć go Śywcem, ale jeśli ruszy na nią lub będzie chciał przejechać przez krawęŚnik, naraŚajac na niebezpieczeństwo niewinnych ludzi, zabije go bez wahania.

Hej, babka! - krzyknął jeden ze stojących na chodniku na

stolatków.

Załatw sukinsyna! - wrzasnął drugi.

Daj mu popalić.

Nie musicie mnie namawiać, chłopcy. Jestem gotowa, mam ochotę i mogę...

Uznała, Śe jeśli zbliŚy się do niej jeszcze o trzy metry, zacznie strzelać, niezaleŚnie od szybkości, z jaką będzie jechał. Silnik beŚowej mazdy ryknął i ucichł. Dostrzegła, choć moŚe tylko tak jej się wydawało - Śe samochód drgnął.

Trzy metry. Proszę. To tak niewiele.

Silnik znów ryknął... i ucichł.

Zrób to! - pomyślała Amelia. Błagalnie.

170

I nagle dostrzegła, jak za mazdą przystaje wielki Śólty autobus. Wypełniony dziećmi.

Odjeżdżał od krawężnika, próbował łączyć się do ruchu; kierowca nie podejrzewał nawet, co tu się dzieje. Autobus zatrzymał się ukosem pomiędzy mazdą a śmieciarką.

Nie...

Nawet celny strzał niósł poważne niebezpieczeństwo; po trafieniu w cel pocisk mógł przecieś rykoszetować, trafić niewinnych ludzi.

Amelia Sachs zdjęła palec ze spustu, uniosła broń, kierując lufę w powietrze. Przez przednią szybę obserwowała kierowcę. Widziała, jak porusza głową: zerknął w górę, zerknął w prawo.

Obserwował autobus w lusterku wstecznym. A potem doznała wrażenia, że Mag patrzy wprost na nią. I że uśmiecha się, wie, że nie będzie strzelała.

Opony mazdy zapiszczały głośno; przeraźliwy dźwięk poniósł się ulicą. Samochód popędził przed siebie, nabierając prędkości, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt... aż do dobrych osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Mag pędził wprost na policjantkę i na jej camaro, o wiele jaskrawsze i bardziej silne niż szkolny autobus, samą swą obecnością dający przestępcy osłonę.

W chwili gdy Mag zdecydował się ruszyć, Amelia Sachs wskoczyła na chodnik. Postanowiła spróbować strzału pod kątem. Uniosła broń, wymierzyła w jego głowę z wyprzedzeniem około półtora metra. Niestety, w tle miała dziesiątki witryn sklepowych, mieszkania, ludzi na chodniku. Ryzyko oddania choćby jednego strzału było nie do przyjęcia.

Ale kibice nie zamierzali odpuścić.

Hej, suko, załatw skurwiela!

Na co czekasz?

Amelia opuściła broń. Przygarbiona, rozczarowana, patrzyła,

jak mazda zbliŝa siê do jej camaro.

Nie! Nie! Tylko nie to!

Pamiêtała, jak ojciec kupił jej ten wspaniały sportowy samochód z 1966 roku. Wówczas był to wrak, kupa złomu. Wspólnymi siłami zrekonstruowali silnik i zawieszenie, wymienili skrzyniê biegów oraz odchudzili go, dziêki czemu jego osiãgi stały siê wrêcz niebotyczne.

Tylko camaro i miłość do pracy w policji były tym, co ojciec przekazał jej na zawsze.

Dziesiê metrów przed camaro Mag obrócił kierownicê ostro w lewo, kierujãc siê wprost na klêczãcã Ameliê, a gdy odskoczyła, skontrował i znów ruszył wprost na jej wóz. Wpadł w poślizg, samochód niebezpiecznie zbliŝył siê do krawêŝnika. Pod ostrym kãtem uderzył camaro w drzwi po stronie pasaŝera i prawy błotnik, obracajãc je i popychajãc w kierunku przeciwnego chodnika-Entuzjastycznie nastawieni chłopcy rozbiegali siê w panice.

Amelia rzuciła siê w bok. Wylãdowała na betonie, na czworakach; artretyczny ból omal nie pozbawił jej przytomnoœci. Camaro stał tuŝ obok, maskê opuszczonã miał ku ziemi, tył wzniesiony,

172

oparty na starym blaszanym pomarańczowym koszu na śmieci, który wtoczył mu siê pod podwozie.

Mazda w dzikich poślizgach dobiła do chodnika po drugiej stronie ulicy. Amelia poderwała siê na równe nogi, ale nie pofatygowała siê nawet, by wymierzyç w uciekajãcy samochód. Spojrzała na swojego camaro. Prawa strona była mocno zgnieciona, pas przedni takŝe, ale

oderwany błotnik nie blokował koła. Tak, prawdopodobnie mogła jeszcze złapać Maga.

Wskoczyła za kierownicę, przekręciła kluczyk w stacyjce, wrzuciła pierwszy bieg. Ryknął silnik, obrotomierz skoczył na pięć tysięcy, ale samochód stał jak wmurowany w ziemię. Co się stało. CzyŜby skrzynia...?

Wychyliła się przez okno. No tak, jej antyk miał napęd na tylne koła, które teraz obracały się w powietrzu. Camaro wisiał na tym nieszczęsnym koszu! Sachs westchnęła, uderzyła pięściami w kierownicę. Niech to diabli. Mazda dojeŜdŜała juŜ do trzeciej przecznicy. Mag

nie uciekał za szybko, jego samochód teŜ ucierpiał. Nadal miała szansę go dorwać.

Tylko Őe do tego jej cholerny samochód musi stanąć na kołach!

Powinna...

Nagle stary camaro drgnął i zaczął przesuwać się to w przód,

to w tył.

Jedno spojrzenie w lusterko wsteczne wyjaśniło sprawę. Trzej jej młodociani wielbiciele zrzucili kurtki mundurowe z demobilu i usiłowali teraz zepchnąć samochód z przeszkody.

Czwarty, najwyŜszy i najmocniej zbudowany, powoli podszedł do okna od strony kierowcy.

Pochylił się i uśmiechnął szeroko, błyskając złotym zębem, wyraźnie rzucającym się w oczy na tle ciemnej twarzy.

-

Cześć!

Amelia skinęła głową i spojrzała mu wprost w oczy.

Chłopak obejrzał się na kumpli.

-
Hej wy, czarnuchy, pchnijcie pieprzoną brykę. Bo na razie to tylko bijecie konia.

-
Odpiędol się - padła elegancka odpowiedź, najwyraźniej nieurządząca nikogo z obecnych.

-
Słuchaj, dziewczyno, zepchniemy cię, nie ma strachu. Czym chciałaś załatwić tego skurwiela?

~ Glockiem. Czterdziestką. Chłopak zerknął na jej kaburę. ~ Cudo. Dwudziestkatrójka? C?

173

Nie. Pełnowymiarowy.

Kapitałna zabawka. Ja mam smithiego. - Odchylił bluzę wyglądającą tak, jakby wyciągnął ją ze śmietnika. Trochę przekornie, ale bardziej z dumą pokazał obtartą metalową rękojeść samopowtarzalnego smith&wesson. - Ale kiedyś zdobędę takie

go glocka jak ten twój.

Co my tu mamy, pomyślała Amelia. Uzbrojony nastolatek. Ciekawe, co w tej sytuacji zrobiłby prawdziwy sierŜant?

Tył samochodu spadł z kosza. Koła stały pewnie na asfalcie. MoŜna jechać. Niech i tak będzie. Cokolwiek powinien zrobić w tych okolicznościach prawdziwy sierŜant, nie miało juŜ dla niej znaczenia. WaŜne jest „czucie”.

-

Dzięki, panowie - powiedziała i dodała groźnie: - A ty uważaj. Jeśli kogoś tym skrzywdzisz, ja cię poszukam. Rozumiesz?

Chłopak poŝegnał ją wesołym błyskiem złotego zęba. Sprzęgło, pierwszy bieg, ryk silnika, czarny ślad spalonej gumy na asfalcie. Setka w osiem sekund.

-

Szybciej, szybciej, szybciej! - szeptała do siebie Amelia, wpatrzona w niemal niewidoczny błysk jasnego brązu. Chevrolet kołysał się niebezpiecznie i drŜał, jednak jechał mniej więcej prosto. Udało jej się nawet nałożyć na głowę słuchawki z mikrofonem na pająku, wywołać centralę, zameldować o pościgu za sprawcą i zaŜądać wsparcia.

Błyskawiczne przyspieszenia, gwałtowne hamowania - zatłoczonych uliczek Harlemu nie projektowano z myślą o szybkich policyjnych pościgach. Ale Mag napotykał przecieŜ po drodze te same przeszkody, a nie był ani w połowie tak dobrym kierowcą. Odległość między samochodami zmniejszała się, choć powoli. I nagle Mag skręcił na szkolne podwórko, na którym kilka dzieciaków grało w koszykówkę do jednego kosza, a kilka innych obijało o mur piłki do softballu. Tłoku tu nie było; na bramie wisiała kłódka i ci, którzy pragnęli sportowych rozrywek, musieli przeciskać się przez dziury w ogrodzeniu z wciągniętymi brzuchami, przybierając najbardziej nieprawdopodobne pozy, albo ryzykować wspinaczkę na siatkę sześciometrowej wysokości.

Takie ogrodzenie nie mogło jednak zatrzymać samochodu. Wystarczyło lekko przycisnąć pedał. Zerwany łańcuch wyleciał w powietrze, brama otworzyła się z trzaskiem, dzieciaki uciekały spod kół, niektóre w ostatniej chwili. Mazda popędziła w kierunku ogrodzenia po przeciwnej stronie.

174

Amelia Sachs wahała się przez ułamek sekundy, ale nie zdecydowała się powtórzyć tego wyczynu; nie w samochodzie po wypadku i wśród dzieciaków. OkrąŜyła przecznicę, modląc się, by złapać mazdę po przeciwnej stronie szkolnego boiska. Weszła w zakręt poślizgiem i z całej siły wcisnęła hamulce.

Ani śladu jasnobrązowej mazdy. Ani śladu Maga.

PrzecieŜ nie mógł uciec! Zniknął jej z oczu na jakieś dziesięć sekund, kiedy objeŜdŜała podwórko i budynek szkoły. Jediną drogą ucieczki była krótka, ślepa alejka, kończąca się gęstwiną krzaków i młodych drzewek. Dalej, po wysokim nasypie, biegła Harlem River Drive, a za nią znajdowało się brudne, zaśmiecone, błotniste zejście do rzeki.

A więc udało mu się zwiać... a ona za jedyne dowód pościgu miała samochód, którego blacharka będzie kosztowała pięć tysięcy dolców. Jak dobrze pójdzie.

Zatrzeszczało policyjne radio.

-

Do wszystkich jednostek w sąsiedztwie Adam Clayton Powell i Jeden-Pięć-Trzy. Informuję: mamy dziesięć-pięć-cztery.

Wypadek samochodowy, prawdopodobnie ranni.

-

Informuję, że pojazd wpadł do rzeki Harlem. Powtarzam, pojazd wpadł do rzeki Harlem.

A może to on ?

Zgłaszam się do zbadania miejsca przestępstwa, pięć-osiem-osiem-pięć. Dotyczy dziesięć-pięć-cztery. Znać markę pojazdu?

Mazda albo toyota, nowy model, bez koloru.

W porządku. Centrala, moim zdaniem to pojazd podejrzane go z pościgu w Central Parku. Jestem dziesięć-osiem-cztery na scenie. Koniec.

Potwierdzam, pięć-osiem-osiem-pięć, bez odbioru.

Sachs podjechała do końca ślepej alejki i zaparkowała na chodniku. Wsiadała z samochodu, gdy obok pojawiła się karetka pogotowia i furgonetka jednostki ratowniczej. Obie przetoczyły się powoli przez krzaki, po śladzie zostawionym przez mazdę. Poszła za nimi, starając się omijać gruz i śmieci.

Gdy znaleźli się na drodze, Amelia dostrzegła przede wszystkim szopy i szalasy bezdomnych,

głównie męŹczyzn. We wszechobecnym błocie wiêcej było Źmieci, resztek urzãdzeñ domowych i rdzewiejãcych szkieletów samochodów niŹ krzaków.

Na pierwszy rzut oka wydawało siê, iŹ Mag spodziewał siê zna-k¿c za krzakami drogê, dlatego wjechał w nie z duŹã szybkoŹciã. Siady opon wskazywały na ostre hamowanie, które we wszech—

175

obecnym błocie spowodowało niekontrolowany poŹlizg. Samochód rozbił kilka szałasów, by wreszcie spaść do wody ze zrujnowanego pomostu.

Dwóch policjantów pomagało mieszkańcom zniszczonych szałasów wydostać siê ze

szczãtków domostw - na szczêcie nikt nie został ranny - reszta obserwowala rzekê w nadziei znalezienia kierowcy. Amelia porozumiała siê Rhyme'em i Sellittem. Detektywa poprosiła, by zgłosił Źądanie priorytetu i jak najszybciej przysłał jej ruchome laboratorium badania miejsca przestêpstwa.

-

Dorwali go, prawda, Amelio? Powiedz mi, Źe go dorwali

- błagał Sellitto.

Sachs spojrzała na pokrytã tłustymi plamami oleju i błyszczãcã warstewkã benzyny, marszczãcã siê na lekko falujãcej powierzchni rzeki.

-

Przepadł bez Źladu - powiedziała krótko.

Zakoñczyła rozmowê, podeszła do grupki rozmawiajãcej z oŹywieniem po hiszpañsku,

mijając po drodze strzaskaną toaletę i cuchnące torby ze śmieciami. MęŜczyźni trzymali wędki; w tym miejscu często łowiono na dżdŝownice okonie i lufary. Było oczywiste, Ŝe wędkarze pili, ale najwyraźniej z umiarem, bo wypowiedali się dość zrozumiale. Samochód szybko pokonał krzaki, po czym wpadł do rzeki. Wszyscy widzieli za kierownicą męŜczyznę w czapce i byli pewni, Ŝe nie wyskoczył.

Sachs porozmawiała takŜe z Carlosem i jego przyjacielem, mieszkańcami zdemolowanego przez mazdę szałas. Obaj byli dość pijani, a poza tym podczas wypadku siedzieli „w domu” i nic nie widzieli. Carlos popadł nawet w wojowniczy nastrój i twierdził, Ŝe miasto jest mu coŝ winne za zniszczoną „włas noŝ”. Dwaj inni Ŝwiadkowie, którzy podczas wypadku grzebał w plastikowych torbach w poszukiwaniu puszek i butelek, po twierdzili opowieŝ wędkarzy.

Podjeŝdŝały kolejne samochody policyjne. Pojawiła się nawet telewizja z wycelowanymi obiektywami kamer w zrujnowany szałas i policyjną motorówkę, z której zeskakiwali do wody dwaj pletwonurkowie.

Teraz, kiedy działania ratunkowe przeniosły się na rzekę, Amelia Sachs mogła zająć się brzegiem. W camaro nie miała wprawdzie odpowiedniego sprzętu, ale zawsze wozila ze sobą Ŝóltą taŝmę i odgrodziła teren, który zamierzała zbadać. Kiedy kończyła, nadjechało ruchome laboratorium do badania miejsc zbrodni. Amelia wezwała centralę, która z kolei połączyła ją z Rhyme'em.

Słuchaliŝmy komunikatów. Nurkowie nic nie znaleźli?

Nie sãdzę.

A więc udało mu się uciec?

Ŝwiadkowie twierdzą, Ŝe nie. Zamierzam przyjrzeć się bliŝej

brzegowi. By nie zapeszyć.

Nie zapeszyć? - zdziwił się Rhyme.

Jasne. Cięŝko się napracuję, a nurkowie z pewnością znajdã

ciało i okaŝe się, Ŝe tylko traciłam czas.

Przecieŝ i tak odbędzie się dochodzenie...

Rhyme, to był Sart!

Jasne, oczywiście, ale ten facet nie nastraja mnie do śmie

chu. Zaczynij siatkę.

Amelia posłusznie zniosła jedną z walizek ze sprzętem pod taśmę i otwierała ją, kiedy usłyszała zaniepokojony głos:

-

Mój Boże, co tu się dzieje! Czy nikomu nic się nie stało?

Przez tłumek zebrany wokół ekipy telewizyjnej przedarł się

Latynos o imponująco bujnej czuprynie, w dżinsach i sportowej marynarce. Z wielkim niepokojem spojrzał na zrujnowany szalasa, a następnie, całkiem nieoczekiwanie, pobiegł w jego kierunku.

-

Hej! - krzyknęła Amelia, ale mężczyzna jej nie usłyszał. Zanurkował pod ścianą taśmą i pobiegł w kierunku szalasu po śladach mazdy, zapewne zdeptując i niszcząc wszystkie pozostałości po tym, co Mag mógł wyrzucić z samochodu lub co mogło

wypaść podczas wypadku. A nawet ewentualne odciski stóp mordercy, jeśli udało mu się wyskoczyć z samochodu, czego nie potwierdzali świadkowie.

Nauczyła się już podejrzewać wszystkich, więc od razu spojrzała na lewą rękę faceta. Nie, nie miał zrośniętych palców, więc Magiem być nie mógł. Lecz kim w takim razie był? I co do cholery robił na

jej miejscu przestępstwa?

Tymczasem mężczyzna rozrzucał na boki resztki szalasu, szperał wśród potrzaskanych desek, dykty, kawałków blachy falistej, ciskając nimi przez ramię.

Hej, ty, wynoś się stąd! - krzyknęła.

Przecież ktoś tu może być!

Jest pan na miejscu przestępstwa! - Amelia była już naprawdę wściekła. - To zabronione!

~ Przecież ktoś tu może być! - powtórzył mężczyzna.

177

-

Nie, nie, nie! Sprawdziliśmy. Nie ma nikogo. Nikomu nic się nie stało! Hej, człowieku, słyszysz, co do ciebie mówię? Czy ty mnie słyszysz?

Może ją słyszał, może nie, w każdym razie dla niego nie miało to żadnego znaczenia. Nadal energicznie grzebał w szczątkach szalasu. Po co on to robił? Ubrany był dobrze, miał złotego role-xa; pijany Carlos z pewnością nie był jego krewnym.

Przypomniała sobie jedną z najśłynniejszych modlitw gliniarza: „Boże, chroń mnie przed zatroskanymi obywatelami”. Skinęła na dwóch stojących najbliżej policjantów patrolu.

-

Zabierzcie go! - rozkazała.

Latynos nie stracił nic z rozpierającej go energii.

-
Sanitariusze! Potrzebni są sanitariusze! - krzyczał. - Tam

mogą być dzieci!

Amelia z obrzydzeniem przyglądała się interweniującym mundurowym, radośnie

zadeptującym to, co pozostało z miejsca przestępstwa. Złapali intruza pod pachy, poderwali go na równe nogi. Próbował się wyrwać, zawołał do Amelii: Pani władzo, nazywam się Victor Ramos! Ja tu jestem u siebie, a ty nie! MoŜe nic to pani nie obchodzi, ale...!

Skujcie go. I usuńcie. -Troska o kontakty ze społecznościa

mi lokalnymi musi kiedyś ustąpić wymaganiom śledztwa krymi

nalnego. Zwłaszcza w takim wypadku.

Policjanci postąpili według rozkazu. Wyprawdzili wściekłego, czerwonego na twarzy i

przeklinającego faceta z ogrodzonego taśmą terenu.

Mamy go aresztować? - spytał jeden z nich.

Nie. Po prostu trzymajcie go z dala ode mnie - odparła

Sachs. Ta odpowiedź wywołała wśród gapiów wesołość i wybuchy

śmiechu.

Widziała, jak męŜczyzna zostaje doprowadzony do jednego z radiowozów i usadzony na

tylnym siedzeniu. Był kolejną przeszkodą na trudnej drodze mającej doprowadzić do

znalezienia mordercy-kameleona.

Następnie przebrała się w kombinezon i uzbrojona w cyfrowy aparat, torebki na dowody, w

butach podklejonych gumowymi1 paskami, wkroczyła na siatkę, zaczynając od zrujnowanej

„posiadłości" Carlosa. Nie spieszyła się, pracowała bardzo uważnie. Po tak ciężkim dniu, po wyczerpującym psychicznie pościgu samochodowym, niczego nie przyjmowała już na wiarę.

Rzecz jasna Mag mógł pływać piętnaście metrów pod powierzchnią brudnej wody. Ale równie dobrze mógł w tej chwili bezpiecznie wychodzić na przeciwległy brzeg rzeki.

Nie zdziwiłoby jej nawet, gdyby okazało się, że jest już daleko, daleko stąd i tropi kolejną ofiarę.

Wielebny Ralph Swensen przebywał w mieście od kilku dni. Była to jego pierwsza wizyta w Nowym Jorku; w tej chwili nie miał żadnych wątpliwości: nigdy nie przyzwyczaił się do tego miasta.

Wielebny był mężczyzną chudym, łysiejącym, nieco nieśmiałym. Miał pod opieką kongregację z miasteczka odległego o setki kilometrów, tysiąc razy mniejszego od Manhattanu i w porównaniu z nim zacofanego. Wyglądając przez okno swego domu, widział hektary kołyszących się na wietrze łąk, na których pasło się dorodne bydło. Tu przez zakratowane okno taniego hoteliku, leżącego na granicy Chinatown, dostrzegał tylko ceglana ścianę, na której szarym sprajem mazano na ogół nieprzyzwoite wyrazy.

Kiedy w swym miasteczku szedł ulicą, ludzie mówili: „Dzień dobry, wielebny" albo „Doskonałe kazanie, Ralph". Tu słyszał: „Daj dolca", „Mam AIDS" albo po prostu „Zrób mi loda".

Ostatnie kilka godzin zmarnował, próbując czytać starą Biblię, której egzemplarze znajdowały się w każdym pokoju nędznego hoteliku. W końcu poddał się. Zrezygnował.

Ewangelia według św. Mateusza, choć niezwykle zajmująca nawet jako opowieść, nie umywała się do dźwięków, które wydawali pod jego oknem mężczyzna prostytutka i jej, czy też jego, partner wyjący z bólu lub rozkoszy, lub - najprawdopodobniej - z obydwu powodów.

Wielebny doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że powinien traktować jako zaszczyt to, iż wysłano go na misję do Nowego Jorku, lecz czuł się jak święty Paweł, wykpiwany i wyśmiewany przez niewiernych Greków i mieszkańców Azji Mniejszej. - Ach, ach, ach, tak, tu, tu... O tak, tak, mocniej, mocniej... Niech i tak będzie. To już koniec. Nawet święty Paweł

nie miał do czynienia z takim zepsuciem. Recital miał zacząć się za kilka godzin, ale wielbny Swensen postanowił wyjść z hotelu wcześniej. Przyczesał włosy, znalazł okulary, do teczki wrzucił Pismo Święte, brudnopis kazania, nad którym pracował, i plan miasta. Uszedł do recepcji. Na kanapie siedziała kolejna prostytutka. Kometa... w każdym razie tak mu się wydawało. »Ojcze nasz, któryś jest w niebie...".

Wielbny poczuł, jak ściska mu się Œoładek. Potruchtał w kierunku drzwi, wpatrzony w podłogę, przeraŒony i lada chwila oczekujący oferty. Ale prostytutka, męŒczyzna czy kobieta, uŒmiechnęła się do niego i powiedziała: -

Piękny wieczór, prawda, ojcze?

Zdumiała go tak, Œe po prostu musiał odpowiedzieć jej uŒmiechem.

-
Tak, bardzo piękny - odparł, w ostatniej chwili powstrzymując się od dodania „moje dziecko”; a przecieŒ w ciągu całej swej kariery duchownego nigdy nie zwracał się tak do nikogo. - Œyczę miłego dnia - zakończył niezręcznie.

PoŒpiesznie wyszedł na ulicę nowojorską Lower East Side. Przystanął na chodniku. Taksówki przemykały przed hotelem w jedną i w drugą stronę, młodzi Azjaci i Latynosi potracali się na chodniku, z rur wydechowych autobusów tryskały chmury gorącego, gryzącego dymu o metalicznym posmaku, chińscy dostawcy na poobijanych rowerach lawirowali wśród tłumów z nadludzką zręcznością, a wszystko to było tak strasznie męczące! Zdenerwowany duchowny postanowił, Œe do kościoła, w którym ma się odbyć koncert, pójdzie pieszo. ZdaŒył przejrzeć plan miasta i wiedział, Œe to daleko, ale długi marsz z pewnością pozwoli opanować trawiący go niepokój. A przy okazji pogapi się na wystawy, zje

obiad, popracuje nad kazaniem.

Próbował zorientować się, w którą stronę powinien ruszyć, gdy nagle poczuł, że ktoś go obserwuje. Zerknął w lewo, w przylegającą do budynku hotelu alejkę. Stał w niej szczupły

męszczyzna o brązowych włosach, ubrany w kombinezon, na pół ukryty za pojemnikiem na śmiecie; w ręku trzymał coś, co wydawało się niedużą skrzynką z narzędziami. Przyglądał mu się uważnie, chyba nieprzypadkowo. Nagle wycofał się w cień, jakby zaniepokoiło go, że został dostrzeżony.

Wielebny Swensen zacisnął dłoń na uchwycie teczki. Czy nie popełnił błędu, opuszczając za wcześnie bezpieczne schronienie hotelu, choćby tak ohydny? Roześmiał się cicho.

Spokojnie powiedział sam do siebie. Ten człowiek był pewnie straszem, może nawet pracował dla hotelu? Pewnie zaskoczył go widok gościa w duchownej sukni. Nic dziwnego, w takim miejscu?

A poza tym, pomyślał jeszcze wielebny, jestem duchownym i wcale tego nie ukrywam. A duchowni po prostu muszą się cieszyć choćby odrobiną szacunku, nawet w tej współczesnej Sodomie.

W jednej sekundzie jest tu, w następnej znika. Przecież szkarłatna piłeczka w śladem sposobu nie mogła wyparować z wyprostowanej prawej ręki Kary, by znaleźć się za jej uchem.

A jednak.

Teraz dziewczyna wyrzuciła ją w powietrze. Przecież z całą pewnością nie mogła zniknąć w locie... i odnaleźć się pod jej lewym łokciem.

A jednak i to okazało się możliwe.

Jakim cudem? - spytał sam siebie Rhyme.

Kara i Lincoln Rhyme znajdowali się w tej chwili na parterze domu kryminalistyka, w pokoju pełniącym funkcję laboratorium. Czekali na Amelię i Rolanda Bella. Mel Cooper ustawiał

dowody na stołach laboratoryjnych, z głośników płynęły dźwięki jazzowego fortepianu, a

Kara zaimprovizowała dla gospodarza własny minipokaz sztuczek zręcznościowych.

Dziewczyna stała przy oknie, ubrana w jeden z czarnych podkoszulków Amelii,

przechowywanych na wszelki wypadek w szafce na piętrze. Thom spierał plamy krwi grupy

Heinz 57 z jej koszulki na ramiączkach; pozostałości po numerze iluzjonistycznym z targów

rzemiosła.

-

Skąd je wzięłaś? - spytał Lincoln Rhyme, gestem głowy

wskazując piłeczki. Nie widział, by wyjmowała je z torebki lub

choćby kieszeni.

Odpowiedziała mu uśmiechem, Œe je „zmaterializowała". Był to> zdaniem Rhyme'a, kolejny trik, w którym lubowali się magicy; przekształcanie strony biernej w czynną.

-

Gdzie mieszkasz? - spytał.

-

W Village.

Rhyme skinął głową. Ta nazwa budziła wspomnienia.

-

Kiedy jeszcze byłem Sonaty, większość naszych przyjaciół
mieszkała w Village. I na SoHo, TriBeCa.

-

Nieczęsto przechodzę na północ od Dwudziestej Trzeciej.

Rhyme roześmiał się.

Za moich czasów to Czternasta była granicą strefy zdemili—
taryzowanej.

Wygląda na to, że nasza strona wygrywa - załartowała
dziewczyna. Piłeczki pojawiały się i znikaly, pojawiały się i znika
ły, przelatywały z ręki do ręki, a pokaz magii zamienił się w po
kaz Songlerki.

A twój akcent? - spytał Rhyme.

Mówię z akcentem?

Niech ci będzie. Intonacja. Melodia głosu...

Prawdopodobnie Ohio. Środkowy Zachód.

Ja też - przyznał Rhyme. - Illinois.

Ale ja przeprowadziłam się do miasta, mając osiemnaście

lat. Chodziłam do szkoły w Bronxville.

Sarah Lawrence. Teatrologia.

Filologia angielska.

Spodobało ci się tu i zostałeś?

Szczerze mówiąc, spodobało mi się tu, kiedy wreszcie wydo
stałam się z przedmieść. Potem, kiedy umarł tata, mama przepro
wadziła się do miasta, by być bliżej mnie.

Córka i owdowiała matka... zupełnie jak Sachs. Ciekawe, pomyślał Rhyme, czy Kara miała
podobne problemy z matką. Ostatnio co prawda panie zawarły traktat pokojowy, ale z
dzieciństwa Amelia zapamiętała matkę jako kobietą gwałtowną, ulegającą nastrojom i
nieprzewidywalną. Rosę nie pojmowała, dlaczego jej mąż chciał być gliniarzem i tylko
gliniarzem, i dlaczego córka wolała być kimkolwiek, byle nie kimś, kogo wymarzyła sobie
mama. W ten sposób doprowadziła do sojuszu córki i taty, co tylko pogorszyło sytuację.

Amelia wyznała Rhyme'owi, że kiedy robiło się naprawdę źle, oboje uciekali do garażu -
wszechświata, który był tak cudownie przewidywalny. Jeśli silnik nie odpalał, to tylko
dlatego, że naruszono zasady doskonale zrozumiałego, rzeczywistego świata; albo zapłon był
źle ustawiony, albo po prostu puściła uszczelka.

Silniki, zawieszania i skrzynie biegów nie cierpią na melodramatyczne wahania nastrojów,
nie wygłaszają niezrozumiałych

182

oskarżeń, a jeśli nawet dostają ataków złego humoru, to przynajmniej nie winią nikogo za swe błędy.

Rhyme kilkakrotnie miał okazję spotkać się z Rosą Sachs. W jego opinii była to kobieta

urocza, rozmowna, może nieco ekscentryczna, ale z całą pewnością dumna z córki. Wiedział

Jednak, że przeszłość nigdy nie wróci, dotyczyło to również stosunków między matką i córką.

Czy to dobre? - spytał. - że jesteście tak blisko siebie?

Brzmi to jak scenariusz serialu komediowego napisanego

w piekle, co? Ale nie, nie jest tak źle. Mama jest w porządku. To

po prostu... no, mama. Matki już takie są. Na zawsze.

Gdzie mieszka?

W domu opieki, na Upper East Side.

Choruje?

Nic poważnego. Już jej lepiej. - Nie myśląc nawet o tym, co robi, Kara przetoczyła piłeczkę po wierzchu dłoni, chwyciła w palce, zacisnęła je. - A kiedy wyzdrowieje, wyjedziemy do Anglii.

Tylko ona i ja. Londyn, Stratford, Cotswolds. Byłam tam kiedyś z rodzicami. Spędziłam w Anglii najwspanialsze wakacje w życiu.

I tym razem to ja będę prowadzić po złej stronie drogi i pić ciepłe piwo. Wtedy nie mogłam. Miałam trzynaście lat. Zna pan Anglię?

-

Jasne. Kiedyś często współpracowałem ze Scotland Yardem.

Zapraszali mnie nawet na wykłady. Nie byłem tam od.... no, od wielu lat.

-

Magia i iluzje zawsze popularniejsze były w Anglii niż tutaj.

Mają tak wspaniałą historię! Chciałabym pokazać mamie, gdzie stał Egyptian Hall. Sto lat temu dla nas, zajmujących się magią, było to prawdziwe centrum wszechświata. Potraktowałabym to niemal jak pielgrzymkę. Rozumie mnie pan?

Rhyme skinął głową. Zerknął na drzwi. Ani śladu Thoma.

Zrobiłabyś mi przysługę? - spytał.

Oczywiście.

Potrzebuję lekarstwa.

Kara spojrzała na stojące na półce butelki i buteleczki.

-

Nie. To lekarstwo stoi na półce z książkami.

Ach tak, rozumiem. Które?

To ostatnie. Macallan, osiemnastoletni. I chyba byłoby lepiej, gdybyś przygotowała je jak najciszej - dodał szeptem.

No, to rozmawia pan z właściwą osobą. Robert-Houdin powiedział kiedyś, Œe iluzjonista musi wykazać się trzema cechami: zręcznością, zręcznością i zręcznością.

183

W jednej chwili w szklaneczce znalazła się spora porcja ciemnej, jakby przydymionej whisky, nalana bezgłośnie i nieomal nie widocznie. Choćby Thom stał tu obok Kary, z całą pewnością nje^ zorientowałby się, co się stało.

-

Poczęstuj się - zaproponował kryminalistyk.

Dziewczyna potrząsnęła głową. Wskazała kubek, w którym po.

zostało ju ob bardzo niewiele kawy.

-

To moja trucizna - oświadczyła wesoło.

Rhyme z przyjemnością pociągnął łyk szkockiej. Przytrzymał ją w ustach, czując miłe pieczenie, odchylił głowę i przełknął. Przez cały czas nie spuszczał wzroku z dłoni Kary, wyczyniających tak nieprawdopodobne rzeczy z czerwonymi piłeczkami. Kolejny łyk.

Podoba mi się to.

-Co?

Idea stojąca za iluzjonizmem.

Nie bądź taki cholernie rzewny, upomniał sam siebie Rhyme. Kiedy sobie popijesz, zawsze stajesz się taki cholernie rzewny. Ale te wyrzuty nie powstrzymały go przed trzecim łykiem.

Czasami rzeczywistość bywa trudna do zniesienia, co nie wątpliwie zauważyłaś - wyjaśnił. Nie udało mu się niestety po wstrzymać spojrzenia, którym obrzucił swe kalekie ciało. Pośłał zarówno tego spojrzenia, jak i swych słów, próbował nawet zmienić temat, ale Kara nie miała zamiaru się nad nim uśmalać.

Wie pan, czasami nie jestem nawet pewna istnienia rzeczywistości.

Rhyme zmarszczył brwi. Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

No, bo... czy większość naszego życia nie jest iluzją?

Jak to?

Wszystko, co się zdarzyło w przeszłości, pozostaje we wspomnieniach, prawda?

Prawda.

A wszystko, co czeka nas w przyszłości, to kwestia wyobraźni. I pamięć, i wyobrażenia należą raczej do sfery iluzji niż rzeczywistości; wspomnienia są niewiarygodne, a na temat przyszłości możemy tylko spekulować. Jediną rzeczą całkowicie realną jest krótki moment teraźniejszości, chwila przechodząca z wyobraźni we wspomnienia. I widzi pan? Większość naszego życia jest iluzoryczna.

Na te słowa Rhyme roześmiał się cicho. Był naukowcem przyzwyczajonym do posługiwania się logiką, bardzo pragnął znaleźć

184

jakąś dziurę w tej teorii, ale... nie potrafił. Uznał, że Kara ma rację. On sam spędzał wiele czasu, wspominając życie przed wypadkiem. Wiele myślał także o tym, co zdarzyło się później. No i

oczywiście próbował wyobrazić sobie, co będzie. Czy podda się operacji, o której myślał od wielu lat? Czy kiedyś będzie jeszcze chodzić? A przynajmniej poruszać rękami? Czy odbije się to na jego związku z Amelią.

I jego zawód... pracując nad każdą sprawą, bezustannie przeszukiwał zasoby pamięci, korzystał ze swej wspaniałej wiedzy kryminalistycznej i tego, czego nauczył się przy wcześniejszych sprawach. Jednocześnie musiał się oczywiście uciekać do wyobraźni, oceniając, gdzie może być podejrzany i co może jeszcze zrobić.

Wszystko, co się zdarzyło w przeszłości, pozostaje we wspomnieniach. A wszystko, co czeka nas w przyszłości, to kwestia wyobraźni.

-

Skoro przełamaliśmy lody - powiedziała Kara, słodząc kawę

- muszę ci się do czegoś przyznać. Pora na kolejny łyk whisky.

-Tak?

-

Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, pomyślałam sobie...

Ach tak! Pamiętał doskonale. Spojrzenie. Dobrze znane i popularne Spojrzenie: „Byle dalej od kaleki”. Podawane z Uśmiechem. Od tego gorsza była tylko jedna rzecz: przeproszenie za Spojrzenie i za Uśmiech.

Kara wahała się przez chwilę, zawstydzona. I nagle powiedziała:

-

Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, pomyślałam, że jesteś wspaniałą iluzją.

-

Ja? - Rhyne zdumiał się niewymownie.

Dziewczyna skinęła głową.

-

Zajmujesz się tym, jak cię widzą ludzie. Jak cię widzą w rzeczywistości. Patrzą na ciebie i dostrzegają kalekę... o to chodzi, prawda?

-

Polityczna poprawność kaŜe mówić o takich jak ja „niepełnosprawny”. Osobiście podoba mi się określenie „popieprzony”.

Kara roześmiała się wesoło.

-

Ludzie widzą, Ŝe nie moŜesz się ruszać. Prawdopodobnie sądzą, Ŝe masz kłopoty z głową. Ŝe jesteś upośledzony.

Cała prawda i tylko prawda. Ci, którzy spotykali go po raz Pierwszy, często mówili głoŝniej i wolniej niŜ normalnie, wyjaŝniali takŜe rzeczy oczywiste najprostszymi słowami, jak dziecku.

185

(Thom reagował ze wstrętem, gdy w tym momencie Rhyme udawał debila i nieszczęŝnik w panice uciekał z pokoju).

-

Widzowie natychmiast cię oceniają - mówiła dalej Kara. -

I nabierają przekonania, Ŝe nie mogłeś być sprawcą iluzji, którą przed chwilą widzieli. Połowę z nich obchodzi tylko twój stan

zdrowia, druga połowa nawet cię nie widzi. I wówczas masz ich w garści. W kaŜdym razie

zobaczyłam cię po raz pierwszy w wózku inwalidzkim; nie wyglądałeś najlepiej, najwyraźniej miałeś za sobą cięŜkie chwile. A ja nie okazałam ci sympatii, nie spytałam „Jak leci?” i inne takie. Nie powiedziałam nawet „Bardzo mi przykro”. Myślałam tylko: „O, cholera, Ŝwietnie prezentowałby

się na scenie". Było to raczej chamskie i chyba się zorientowałaś.

Rhyme był po prostu zachwycony.

Wierz mi - powiedział - nie za bardzo podobają mi się wyrazy współczucia i nie lubię być traktowany jak dziecko. Twoje chamstwo cenię sobie znacznie wyżej.

Naprawdę?

Słowo honoru.

Kara uniosła kubek kawy.

Za słynnego iluzjonistę, Człowieka Unieruchomionego!

Miałby kłopoty z magią zręcznej ręki - zakpił Rhyme.

Trzasnęły otwierane drzwi. Usłyszeli głosy zbliżających się

Sachs i Sellitta. Rhyme uniósł brew. Pochylił głowę nad słomką.

Przyglądaj mi się uważnie - szepnął. - To mój najlepszy numer. Nazywa się „Zniknięcie dowodu obciążającego”.

Po pierwsze i najważniejsze... czy uznajemy, że zginął? że śpi sobie z rybkami? - spytał Lon Sellitto.

Sachs i Rhyme wymienili spojrzenia i jednocześnie odpowiedzieli: -Nie.

Wiecie, jak groźna jest ta rzeka? - zdziwił się tęgi detektyw.

- Spróbujcie pójść się w niej wykąpać i nikt już nigdy nie zobaczy was żywych.

Pokaż mi jego zwłoki, a uwierzę - powiedział stanowczo

Rhyme.

Jedną okoliczność uznał za pocieszającą. Choć minęła szesnaśta, czyli od śmierci ostatniej ofiary upłynęły ponad dwie godziny, nie dostali informacji o zniknięciu lub uprowadzeniu.

Wpa**ka, która omal nie zakończyła się schwytaniem mordercy, oraz konieczność pływania

w brudnej rzece zapewne go przestraszyły—

186

Wiedział już, że policja depta mu po piętach; może skłoni go to do zaprzestania ataków. A przynajmniej do przyczajenia się na jakiś czas. Wydatnie zwiększyłoby to szansę Rhyme'a i całego zespołu na odkrycie jego kryjówki.

-

Co z Larrym Burkiem? - spytał Rhyme.

Sellitto potrząsnął głową.

-

Szuka go kilkanaście osób. I ochotnicy: wolni od służby

policjanci i strażacy, wiesz, jak to jest. Duchowny dotrzymuje towarzystwa rodzinie.

Burmistrz wyznaczył nagrodę. Ale muszę powiedzieć, że nie najlepiej to wygląda.

Podejrzewam, że

znajdziemy go w bagażniku tego samochodu, który wylądował

w rzece.

-

Jeszcze go nie wydobyli?

-

Jeszcze go nawet nie znaleźli. Nurek powiedział, że woda jest czarna jak noc, a przy tym prądzie tonący samochód mógł przepłynąć nawet kilometr, nim osiadł na dnie.

Rhyme miał do powiedzenia coś jeszcze.

-

Powinniśmy założyć, że ma broń Burke'a i jego policyjne radio. Lon, musimy zmienić częstotliwość. Nie możemy się dowiedzieć, co mu szykujemy.

Jasne. - Detektyw zadzwonił do centrali i wszystkie połączenia w sprawie Maga przeniesiono na specjalną miejską sieć operacyjną.

No, to wracamy do dowodów. Co właściwie mamy, Sachs?

Z greckiej restauracji nic. - Amelia skrzywiła się z niechęcią.

- Poprosiłam właściciela, by odgrodził miejsce i nikogo tam

nie wpuszczał, ale najwyraźniej mnie nie zrozumiał. Albo nie

chciał zrozumieć. Kiedy wróciliśmy, okazało się, że obsługa

sprzątnęła stół i wymyła podłogę.

Co z jeziorkiem? Z tym, przy którym go dopadłaś?

To i owo znaleźliśmy - przyznała Sachs. - Tak jak przedtem oślepił nas bawełną strzelniczą, następnie odpalił kilka petard.

Najpierw pomyśleliśmy, że strzela.

Cooper przyjrzał się resztkom petard.

Identyczne z poprzednimi. Nie znajdziemy źródła.

Rhyme skinął głową.

Co jeszcze?

Łańcuchy. Dwa kawałki.

Zawiązał je wokół ramion i kostek Cheryl Marston i zapiął na tarabinczyki, takie jak przy psiej smyczy. Cooper i Rhyme obejrze'i to bardzo dokładnie. Nie znaleźli żadnych oznaczeń producenta. Podobnie na sznurze i taśmie samoprzylepnej użytej jako knebel. Sportowa torba, którą morderca zabrał z samochodu i w której prawdopodobnie trzymał łańcuchy i sznur, nie miała nazwy producenta i nic się o niej nie dowiedzieli oprócz tego, że pochodzi z Chin.

Gdyby dostali odpowiednią liczbę ludzi, moglibyśmy przeszukać tanie sklepy i przepytac ulicznych handlarzy; w ten sposób odkrywano czasem pochodzenie tego rodzaju rzeczy. Ale w wypadku taniej torby przeprowadzenie poszukiwań na taką skalę było po prostu niemożliwe.

Cooper odwrócił torbę na lewą stronę, trzymając ją nad porcelanowym blatem stołu laboratoryjnego. Rytmicznie postukiwał w dno, by strząsnac to, co mogło do niego przylgnac. W pewnym momencie w powietrze uniosła się chmurka białego pyłu. Technik przeprowadził jego analizę. Okazało się, że to flunitrazepan.

-
Specjalność tych, którzy gwałcą na pierwszej randce - wyjaśniła Karze Amelia.

W torbie znaleźli także grudki lepkiej substancji. Jej ślady pozostały również na zamku błyskawicznym i uchwytach.

-
Nie wiem, co to takiego - przyznał Cooper.

Z pomocą przyszła im Kara.

Parafina. Używamy jej do przylepiania do siebie przedmiotów czasowo, na scenie. Być może przylepił sobie otwartą kapsułkę do wnętrza dłoni. Sięgnął nad kubkiem z jej kawą czy co tam

piła i wsypał do środka jej zawartość.

A źródło parafiny? - Rhyme uśmiechnął się cynicznie^U

Niech zgadnę. Nie do wyśledzenia?

Bardzo mi przykro. - Kara westchnęła.

W torbie Cooper znalazł takŜe kilka drobin metalu i okrągłą czarną plamę, zupełnie jak ślad po butelce, z której wyciekała na przykład farba. Badania mikroskopowe wykazały, Ŝe metalem był najprawdopodobniej mosiądz o niezwykłym składzie. Lincolnowi Rhyme'owi

nic to nie mówiło.

-

Wyślijcie zdjęcia naszym przyjaciołom z Biura - polecił.

Cooper sfotografował próbki, skompresował zdjęcia i wysłał

kodowaną pocztą elektroniczną do Waszyngtonu.

Czarne plamy okazały się nie farbą, ale tuszem, nie udało się go jednak zidentyfikować w

bazie danych. Nie miał Ŝadnych cech „j szczególnych.

- A to co takiego? - spytał Rhyme, patrząc na torbę, w której znajdował się kłęb jakiegoś granatowego materiału.

W tym wypadku mieliśmy szczęście - przyznała Amelia

Sachs. - To wiatrówka, którą Mag miał na sobie podczas porwania Marston. Zgubił ją podczas ucieczki.

Identyfikacja? - Rhyme miał nadzieję, że znajdą naszywki producenta lub przynajmniej pralni.

Mel Cooper rozpoczął badania. Zabrały mu trochę czasu, ale rezultat okazał się rozczarowujący.

Niemożliwa.

Oto co znaleźliśmy w kieszeniach - powiedziała Amelia.

Na pierwszy ogień poszła przepustka prasowa jednej z wielkich sieci kablowych. Reporter CTN nazywał się Stanley Saferstein, zdjęcie przedstawiało mężczyznę szczupłego, brązowowłosego, brodatego. Sellitto zadzwonił do sieci, poprosił do telefonu szefa ochrony. Okazało się, że Saferstein jest ich starym, cenionym pracownikiem, szefem działu reportaży. Przepustkę skradziono mu w zeszłym tygodniu, podczas konferencji prasowej w śródmieściu lub zaraz po niej. Złodziej przeciął kieszeń tak sprawnie, że dziennikarz nic nie poczuł.

Zdaniem Rhyme'a Mag zaopatrzył się w nią, bo był trochę podobny do mężczyzny na zdjęciu: chudy, pod pięćdziesiątkę, brodaty.

Przepustka została, oczywiście, unieważniona, ale szef ochrony przyznał, że „facet, który by ją pokazał, prawdopodobnie zostałby wpuszczony do środka. Strażnicy i policja znają nasze logo”.

Sprawdź mi go - powiedział do Coopera Rhyme, kiedy skończyła się rozmowa. -WVICAP i NCIC. Saferstein, Stanley.

Jasne. Ale dlaczego?

Bo tak mówię.

Rhyme nie zdziwił się, że przeszukanie baz danych nic nie dało. Nie wierzył, by dziennikarza i Maga coś łączyło, ale przy tym szczególnym sprawcy nie był skłonny do podejmowania nawet najmniejszego ryzyka.

W kieszeni kurtki znaleźli także plastikowy klucz do pokoju hotelowego. To znalezisko szczególnie uszczęśliwiło Rhyme'a, mimo iż na kluczu nie było nazwy hotelu, tylko rysunek normalnego klucza i strzałka wskazująca gościowi, którą stroną ma włożyć kartę w zamek. Kryminalistyk założył, że na pasku magnetycznym zapisano informacje zarówno o hotelu, jak i pokoju.

Cooper znalazł na nim napis: „APC Inc., Akron, Ohio”. Z bazy danych nazw firmowych dowiedział się, że APC oznacza American Plastic Cards i że firma produkuje setki plastikowych kart identyfikacyjnych oraz kluczy. W ciągu paru minut połączyli się telefonicznie z jej dyrektorem, którego Rhyme wyobraził sobie jako młodego człowieka w koszuli z krótkimi rękawami, niemającego nic przeciw pracy w sobotę i odbieraniu telefonów. Kiedy wyjaśniono mu sytuację, opisano klucz i spytano, dla ilu hoteli w Nowym Jorku pracuje jego firma, dyrektor odpowiedział:

Ach, APC-42. Nasz najpopularniejszy model. Robimy je dla wszystkich większych systemów. Ico, Saflok, Tesa, Ving, Sar—gent... i nie tylko.

Mógłby nam pan powiedzieć, na zamówienie jakich hoteli zrobiliście ten egzemplarz?

-.. Obawiam się, że musicie zacząć dzwonić i pytać, kto używa szarych APC-42. Oczywiście mamy gdzieś interesujące was informacje, ale ja po prostu nie wiem, jak się do nich dokopać.

Spróbuję znaleźć szefa działu sprzedaży lub jego asystenta. Zajmie WŁ trochę czasu. Dzień, może nawet dwa?

- Uuuch - westchnął Sellitto. JP

I było to najlepsze podsumowanie sytuacji. Rhyme zdecydował, że nie będzie czekał na wyniki działań APC. Poleciał Sellitcie, by przekazał klucz Beddingowi i Saulowi, którzy zapewne szybciej od firmy dowiedzą się, kto i w jakim celu używał tego popularnego egzemplarza APC-42, po prostu przeczesując Manhattan. Zarówno przepustkę prasową jak i klucz zbadano też pod kątem obecności odcisków palców, ale i tu rezultat był negatywny.

Znaleziono tylko jakieś zamazane smugi i ślady nakładek na opuszki palców.

W bluzie dresu Maga było coś jeszcze. Rachunek z restauracji, Riverside Inn w Bedford

Junction, stan Nowy Jork. Wynikało z niego, że trzeciego kwietnia, czyli dwa tygodnie temu, przy stoliku numer dwanaście zjadły lunch cztery osoby. Menu: indyk kotlet mielony, stek i specjalność dnia. Nikt nie pił alkoholu. Amelia Sachs potrząsnęła głową.

Gdzie do diabła jest Bedford Junction?

Zdaje się, że na samej północy stanu - powiedział Mel Cooper.

-

Na rachunku mamy numer telefonu - zauważył spokojnie

Roland Bell. - Wystarczy do nich zadzwonić. Spytać którąś z kel-

nerek, czy może jakaś czwórka stałych gości zajęła dwunastego

stolik. A jeśli nie, to może któraś pamięta dania, jakie zamawiać-

Nic to pewnie nie da, ale... kto wie?

- Jaki to numer? - spytał Sellitto. Bell mu go przedyktował.

190

Niewiele to dało, bardzo niewiele, czego Rhyme zresztą oczekiwał. Zarówno właściciel, jak i kelnerki nie miały pojęcia, kto odwiedził ich lokal w ową sobotę.

Cieszymy się wielkim powodzeniem - zacytował Sellitto, wznosząc oczy do nieba.

To mi się bardzo nie podoba - powiedziała nagle Amelia

Sachs.

A co takiego?

Dlaczego jadł lunch z trzema osobami?

A tak, to ważne - oświadczył Bell. - Jakaś specjalna okazja?

A może z kimś pracuje?

Bardzo wątpię. - Sellitto wzruszył ramionami. - Seryjni mordercy niemal zawsze są samotnikami.

Nie jestem tego taka pewna - zaprotestowała Kara. - Proste sztuczki, magia uliczna... oni rzeczywiście pracują sami. Ale nie zapominajcie, że Mag jest iluzjonistą. A iluzjoniści potrzebują wsparcia. Wzywają ochotników z widowni. Mają asystentów i ludzie o tym wiedzą. No i nie zapomnijmy o współnikach. Wspólnicy to ci, którzy pracują dla iluzjonisty, ale widzowie nie mają o tym pojęcia. Mogą udawać pomocników, widzów, ochotników. Podczas prawdziwego, dobrego przedstawienia nikt nie wie, kto jest kim.

Chryste! - pomyślał Rhyme. Ten sprawca był cholernie groźny sam w sobie. Szybkie zmiany, wyzwalenie się z więzów, iluzje. Założenie, że współpracuje z asystentami, czyniło go sto

razy groźniejszym.

Zapisz to, Thom - warknął.

Sprawdźmy jeszcze raz to, co znaleźliśmy w alejce, w której aresztował go Burkę.

Pierwszym dowodem były policyjne kajdanki.

-

Uwolnił się z nich w kilka sekund. Musiał mieć kluczyk - po wiedziała Sachs. Ku wściekłości policjantów większość kajdanek dawała się otworzyć typowymi kluczami, które za parę dolarów kaŝdy mógł kupić w policyjnym sklepie.

Rhyme podjechał do stołu laboratoryjnego, by obejrzeć je dokładniej.

-

Obróć... podnieś... tak, mógł uŝyc klucza, ale w zamku widzę ŜwieŜe zadrapania. Powiedziałbym, Ŝe raczej otworzył je wytry-

~ Ale Burkę z pewnością go przeszukał - zaprotestowała Ame-la- - Gdzie schował wytrych?

191

Gdziekolwiek. We włosach, w ustach...

W ustach? - powtórzył Rhyme. - OŜwietl kajdanki ALS, Mel.

Cooper założył gogle i wykonał polecenie.

-

Tak, mam drobne smugi i plamki wokół zamka - potwierdził.

Rhyme wyjaśnił Karze, że w ten sposób można wykryć niewidoczne w normalnym świetle ślady płynów ustrojowych, przede wszystkim śliny.

-

Houdini robił to prawie zawsze - wyjaśniła Kara. - Czasami

pozwaliał komuś z widzów sprawdzić, że nic nie ma w ustach.

Potem, tuż przed numerem, całował się z Soną. Twierdził, że to na szczęście, ale tak naprawdę Sona w ten sposób przekazywała mu wytrych.

-

Ale Mag miał dłonie skute za plecami - zaprotestował Sellitto. - Jak w ten sposób sięgnąć przegubami dłoni do twarzy?

-

Och! - Kara roześmiała się wesoło. - Specjalista od wyzwała
nia się z więzów przeniesie skute ramiona zza pleców do przodu
w trzy, cztery sekundy.

Cooper sprawdził ślady śliny. Do płynów ustrojowych niektórych ludzi przenikają
przeciwciała, co pozwala ustalić między innymi grupę krwi. Niestety, okazało się, że grupy krwi
Maga nie da się określić w ten sposób.

Sachs znalazła także cienkie odłamki ostrego metalu.

A tak, to kolejne z naszych narzędzi - wyjaśniła Kara. - Piła
ostra jak brzytwa. Prawdopodobnie użył jej, by przeciąć te pla
stikowe pętle na kostkach.

Ja także ukrył w ustach? Czy to nie jest zbyt niebezpieczne?

Nie. Wielu z nas chowa w ustach igły albo szpiletki, jeśli nu
mer tego wymaga. Przy odrobinie praktyki niczym to nie grozi.

W resztkę zebranych przez Amelię w alejce śladów były także drobiny lateksu i mikroślady
substancji używanych do makijażu, identycznych z tymi, które znaleźli wcześniej. A także
pozostałości po oleju Tack-Pure.

A nad rzeką? W miejscu, gdzie wpadł do niej samochód?

Znalazłaś coś? - pytał Rhyme.

Ślady opon w błocie. - Przykleiła na tablicy przygotowane
przez Coopera wydruki zdjęć z aparatu cyfrowego. - Pełen do
brych chęci obywatel całkowicie zdeptał miejsce przestępstwa.

Pół godziny lazałam w błocie. Jestem pewna, że nie wyskoczył
z mazdy i niczego z niej nie wyrzucił.

A co z ofiarą? Z tą Marston? Miała coś do powiedzenia-

- zwrócił się Sellitto do Bella.

192

Detektyw streścił pokrótce przebieg przesłuchania.

Prawniczka, pomyślał Rhyme. Dlaczego wybrał właśnie ją? Niech to diabli. Według jakiego wzoru Mag dobierał sobie ofiary? Studentka szkoły muzycznej, charakteryzator, prawniczka?

- Jest rozwiedziona - mówił dalej Bell. - Były mąż mieszka w Kalifornii. Rozwód nie przebiegał w przyjaznej atmosferze, ale nie sądzę, by facet był zamieszany w sprawę.

Poprosiłem policjantów z Los Angeles, żeby wykonali parę telefonów. Ma alibi na dziś i na lunch w Bedford, ten sprzed kilku tygodni. Nie figuruje w bazach NCIC i VICAP.

Cheryl Marston opisała Maga jako mężczyznę szczupłego, silnego, brodatego, z bliznami na szyi i piersi.

-

Aha, potwierdziła tak, że ma zdeformowaną dłoń, tak jak podejrzewaliśmy. „Połączone palce”, tak powiedziała. Nie podał żadnego adresu ani informacji o miejscu, gdzie mieszka. Przedstawił się jako John. Cwaniak, nie.

Czyli wszystko na nic, doszedł do wniosku Rhyme. Następnie Bell wyjaśnił, jak Mag nawiązał znajomość z ofiarą i co się stało później.

-

Coś z tego brzmi znajomo? - zwrócił się kryminalistyk do Kary.

Mógł zahipnotyzować gołębia lub mewę, rzucić ptakiem w konia i zastosować coś, by konia spłoszyć. Kiedy przestało to działać, wierzchowiec się uspokoił. Z pewnością wyglądało to tak, jakby miał na niego jakiś wyjątkowy wpływ.

Ale co to było? - spytał Rhyme. - Mogłabyś skierować nas na jakiś trop, wskazać producenta?

Nie. Prawdopodobnie sam robi swoje gadaniny. Na przykład treserzy używają elektrod albo prętów pod napięciem, by lwy ryczały na śyczenie. I tak dalej. Ale dziś rzecznicy praw zwierząt już do tego nie dopuszczają.

Bell tłumaczył dalej, co się stało, kiedy Marston i Mag poszli na kawę.

Zdziwiła ją jedna rzecz. Twierdzi, że miała wrażenie, jakby czytał w jej myślach. - Następnie dokładnie opowiedział o tym, jak bardzo zdumiała Cheryl wspólnota ich losów.

Mowa ciała - rzekła Kara. - Najpierw coś mówił, a potem obserwował jej reakcję. W ten sposób wiele się o niej dowiedział.

Takie podejście nazywa się „sprzedawaniem lekarstwa”. Na prawdę dobry mentalista wiele dowiadyje się o człowieku ze zwykłej, pozornie niewinnej rozmowy.

A kiedy rozluźniła się w jego towarzystwie, dobrze się poczuła, podał jej narkotyk i zabrał nad staw. Topił ją głową w dół.

To odmiana „Tortury wodnej”. Jeden z najsłynniejszych numerów Houdiniego - wyjaśniła Kara.

Jak udało się Magowi uciec znad stawu? - spytał Amelię Rhyme.

-

Początkowo nie byłam pewna, Œe to on - przyznała Amelia. I
Dokonał szybkiej zmiany. Miał na sobie inne ubranie. I - tu zerk
nęła na Karę - jego brwi wyglądały zupełnie inaczej. Nie widzia
łam dłoni, nie potrafiłam powiedzieć, czy jest zdeformowana.

Potem udało mu się nawet wytrącić mnie z równowagi bruchomówstwem. A przecieŜ patrzyłam mu
wprost w twarz. I niczego
nie zauwaŜyłam.

-

ZałoŜę się, Œe wybrał słowa bez „b”, „m” i „p” - powiedziała
Kara. - Œebyś nie widziała ruchu warg. -l pewnie bez „f” i „w”.

-

Masz rację. Zdaje się, że było to coś takiego: „Hej tam, z tej strony! Gość, dresy, strzeli”. Doskonale naśladował slang czarnych.

-Amelia skrzywiła się. - Obejrzałam się tam, gdzie patrzył... wszyscy się obejrzel. A potem błysk mnie oślepił. Petardy też mnie zmyliły, byłam pewna, że ktoś strzela. Zupełnie mnie zaskoczył.

Rhyme dostrzegł na jej twarzy wyraz obrzydzenia. Amelia winiła przede wszystkim siebie.

Kara znacznie lepiej rozumiała sytuację.

- Nie bierz tego do siebie. Ludzi najłatwiej oszukać przez słuch. Nawet na scenie rzadko tego próbujemy. To po prostu tania sztuczka.

Amelia tylko wzruszyła ramionami. Nie potrzebowała pociechy.

- Oślepił mnie i Rolanda. Potem skorzystał z okazji i uciekł na targi rzemiosła. - Kolejny grymas niesmaku. - Piętnaście minut później znów go zobaczyłam. Jako motocyklistę w koszuli Harleya. Niech to szlag... przecież stał tu obok mnie!

No, nie powiem, monety mu nie brzęczą - Kara pokręciła głową z podziwem.

Jak to? - zdziwił się Rhyme. - Dlaczego pieniądze?

-

Och, to takie nasze powiedzenie. Dokładnie oznacza to, że nie słyhać brzęczenia, kiedy robi sztuczki z monetami. Czyli... jest do bry. O dobrych sztuczках mówimy, że są „ciasne”. — Dziewczyna podeszła do białej tablicy, zarezerwowanej na opis profilu zawodo

wego Maga i dodała informację, komentując ją jednocześnie. -

Wiemy, że zna magię uliczną, mentalizm, jest nawet bruchomówcą. Poza tym robi sztuczki ze zwierzętami, potrafi otwierać zamki -to z drugiego morderstwa - a teraz okazało się, że doskonale się wyswobadza. Czy jest jakiś rodzaj magii, którego nie zna?

Rhyme oparł głowę na zagłówku fotela i przyglądał się zapiskom na tablicy. W tym momencie pojawił się Thom z wielką kopertą.

Do ciebie - powiedział, wręczając ją Bellowi.

A to co takiego? - zdziwił się detektyw. Rozerwał kopertę, wyjął z niej plik kartek, zaczął czytać. Pokiwał głową z zadowoleniem.

Hej, Lincoln, to raport z badania gabinetu Grady'ego. Prosiłeś o to Peretti'ego, prawda? Chcesz przejrzeć?

Na pierwszej kartce znajdowała się krótka notatka: „LR - na ścieżkę - VP”. Rhyme przeczytał raport, kiwając głową, kiedy Thom miał mu przewracać kartki. Technicy sporządzili porządną inwentarz gabinetu sekretarki, zidentyfikowali także i oznaczyli ślady stóp. Po wielokrotnej lekturze kryminalistyk zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie miejsce przestępstwa.

Następnie zapoznał się z całościową analizą znalezionych tam włókien. Większość była biała, z mieszanki sztucznego jedwabiu z poliestrem. Większość miała matową, brudnoszarą barwę.

Niektóre przyklepione były do grubych włókien bawełny, także białych. Włókna czarne pochodziły z wełny.

-

Mel, co sądzisz o tych czarnych? - spytał.

Technik podszedł do wózka. Uważnie przejrzał zdjęcia.

Nie najlepsze - ocenił, a po chwili dodał: - Ciasno tkane.

Splot skośny.

Gabardyna?

Nie mogę powiedzieć bez większej próbki. Bo nie widzę

splotu. Ale być może gabardyna.

Rhyme doczytał stronę. Znalezione na miejscu czerwone włókno okazało się atlasem.

-

No tak, tak... - powiedział do siebie, przymykając oczy.

Podszedł do niego Bell.

Charles Grady ma dzisiaj jakąś rodzinną uroczystość -

oznajmił. - Nim wyjadą, chciałbym sprawdzić ochronę. Znalazłeś

w raporcie coś, o czym powinienem im powiedzieć?

Poczekaj chwileczkę, Rolandzie. Jest jeszcze jedna sprawa,

którą muszę sprawdzić.

W porządku.

Rhyme zwrócił się teraz do Coopera.

195

Scena zbrodni: East Village

-

Ofiara numer dwa: Tony Calvert.

Charakteryzator teatralny, pracuje dla trupy aktorskiej.

Wrogowie: nieznani.

śadnych związków z poprzednią ofiarą.

Brak oczywistego motywu.

Przyczyna śmierci:

Uderzenie w głowę tępym narzędziem. Po śmierci ciało przecięte piłą.

-

Sprawca uciekł, upodabniając się do siedemdziesięcioletniej

kobiety. Sprawdzanie okolicy w poszukiwaniu stroju i innych dowo

dów rzeczowych.

Nic nie znaleziono.

-

Zegarek zmiaŚdŚony dokładnie o godzinie dwunastej w południe.

Wzór? Następne morderstwo o szesnastej?

-
Sprawca ukryty za lustrem. Źródło nie do wyśledzenia. Odciski palców wysłane do FBI.

197

Mel, co wiesz o tkaninach i materiałach?

Raczej niewiele. Ale, by zacytować twe słowa, Lincoln: „Co wiesz?” nie jest ważnym pytaniem. Ważne jest pytanie: „Czy wiesz, gdzie się dowiedzieć?”. A ja wiem.

MAG

Miejsce zbrodni: szkoła muzyczna

Opis sprawcy: brązowe włosy, fałszywa broda, brak cech szczególnych, wiek - około pięćdziesięciu lat, budowa ciała średnia, wzrost średni. Mały i serdeczny palec lewej ręki złączone. Błyskawicznie

zmienił kostium, by upodobnić się do starego, łysego woźnego.

Motyw nieznany.

-

Ofiara: Świetłana Rasnikow.

Studia dzienne.

Sprawdzenie rodziny, przyjaciół, studentów i pracowników w celu zdobycia śladów.

Nie miała chłopaka ani znanych wrogów. Występowała na urodzinowych przyjęciach dla dzieci.

-

Układ scalony z dołączonym głośnikiem.

Wysłany do FBI do badania.

Magnetofon cyfrowy prawdopodobnie z nagraniem głosem sprawcy. Wszystkie dane wymazane.

-

Magnetofon jest „sztuczką”. Produkcja domowa.

-

Użył starożytnych żelaznych kajdanek do skrupowania ofiary.

Kajdanki firmy Darbys, stare, produkcji brytyjskiej. Sprawdzić w Muzeum Houdiniego w Nowym Orleanie.

Zegarek ofiary zniszczony. Zatrzymał się dokładnie o ósmej rano.

Bawełniane nici łączące krzesła. Brak nazwy firmy. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Petarda imitująca strzał. Zniszczona.

Zbyt popularna, by wysledzić źródło.

Zapalniki; brak nazwy firmy.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Funkcjonariuszki wezwane na miejsce mówią o silnym błysku. Nie znaleziono mikrośladów.

Prawdopodobnie pochodził z pirowaty lub piropapieru. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Buty sprawcy: Ecco, numer 10.

-

Włókna jedwabiu ufarbowanego na szaro, zmatowionego.

Z kostiumu woźnego, szybko zmiana.

- Sprawca prawdopodobnie nosi brązową perukę.

Czerwona hikora i porost *Parmelia conspersa* pochodzą najprawdopodobniej z Central Parku.

-

Ziemia nasycona rzadko występującym olejem mineralnym.

Wysłana do FBI do analizy.

Olej Tack-Pure do siodeł i innych artykułów skórzanych.

-

Czarny jedwab, 1,80 x 1,20 metra. Użyty jako kamuflaż. Źródło nie do wyśledzenia.

Często używany przez iluzjonistów.

-

Używa nakładek na palce maskujących odciski.

Nakładki.

Ślady lateksu, oleju rycynowego, makijażu.

Używane przy makijażu teatralnym.

Ślady alginianu.

Używanego jako forma do produkcji przedmiotów lateksowych.

-

Narzędzie zbrodni: biały sznur z plecionego jedwabiu z czarnym jedwabnym środkiem.

Sznur należy do akcesoriów magicznych. Zmienia kolor. Źródło nie do wyśledzenia.

-

Niezwykły węzeł.

Wysłany do FBI i Muzeum Marynarki. Brak informacji.

Węzeł stosowany przez Houdiniego podczas występów. Nie do rozwiązania.

-

Użył znikającego atramentu, wpisując się w księgę wejść.

!

Brak rezultatów.

Użył zabawki przypominającej kota (fałszywki), by zwabić ofiarę w alejkę. Zabawka nie do wyśledzenia.

Znaleziono olej mineralny, taki sam jak za pierwszym razem.

Czekamy na raport FBI.

Olej Tack-Pure do siodeł i innych produktów skórzanych.

Dodatkowy lateks i elementy makijażu na nakładkach na palce.

Dodatkowy alginian.

Pozostawione na miejscu buty Ecco.

Na butach znaleziono włosy psów, trzech różnych ras. Także nawóz.

Nawóz koński, nie psi.

Rzeka Hudson i powiązane z nią miejsca przestępstwa

-

Ofiara: Cheryl Marston.

Prawniczka.

Rozwiedziona. Mąż nie jest podejrzany.

-

Brak motywu.

Sprawca przedstawił się jako John. Blizny na szyi i piersi. Po
twierdzona deformacja dłoni.

Sprawca dokonał szybkiej zmiany w gładko ogolonego biznes
mena w luźnych spodniach khaki i eleganckiej koszuli, a następnie
w motocyklistę w dżinsowej koszuli Harleya.

Samochód w rzece Harlem. Sprawca najprawdopodobniej
zbiegł.

Knebel z taśmy samoprzylepnej. Źródło nie do wyśledzenia.

Petardy, takie jakich używał poprzednio. Źródło nie do wyśle
dzenia.

Łańcuchy i karabińczyki, brak nazwy firmy, źródło nie do wy
śledzenia.

Sznur, brak nazwy firmy, źródło nie do wyśledzenia.

Składniki makijażu, lateks, olej Tack-Pure.

Torba sportowa, produkt chiński, źródło nie do wyśledzenia.

Zawiera:

Ślady flunitrapezanu, środka oszałamiającego podawanego kobietom podczas randki.

Parafinę, przylepną, używaną w sztukach magicznych, źródło nie do wyśledzenia. Wióry
mosiężne (?). Wysłane do FBI. Trwały tusz, czarny.

-

Znaleziona granatowa wiatrówka, brak naszywek firmowych

i naszywek pralni. Zawiera:

Przepustkę prasową sieci kablowej CTN, wystawioną na Stanleya Safersteina (nie jest podejrzany, nie figuruje w bazach danych

NCIC i VICAP).

Plastikową kartę - klucz do pokoju hotelowego. American Plastic Cards, Akron, Ohio. Model APC-42, brak odcisków palców. Prezes firmy ma sprawdzić akta sprzedaży. Detektywi Bedding i Saul sprawdzają hotele. - Rachunek z restauracji Riverside Inn, Bedford Junction, stan Nowy Jork, dowodzący, że dwa tygodnie temu cztery osoby zjadły lunch przy stole numer dwanaście. Zamówiono: indyka, kotlet mielony, stek i specjalność dnia. Nie podano

alkoholu. Obsługa nie potrafi zidentyfikować gości (wspólnicy?). - Alejka, w której

zatrzymano Maga. Otwarcie zamku kajdanek wytrychem. Ślina (wytrych ukryty w ustach).

Nie ustalono grupy krwi. Mała piła umożliwiająca uwolnienie się z więzów.

Miejsce nad rzeką Harlem

śladnych śladów oprócz śladów opon w błocie.

Profil iluzjonisty

-

Będzie używał „zmyłek” przeciw ofiarom i policji.

Fizycznych (fałszywy trop).

Psychologicznych (odsunięcie podejrzeń).

Ucieczka ze szkoły muzycznej przypominała numer „Znikający człowiek”. Zbyt popularny, by wytropić wykonawcę.

Sprawca jest przede wszystkim iluzjonistą.

Utalentowany w magii zręcznej ręki.

Zna także magię proteańską (szybkiej zmiany). Będzie używał różnych kostiumów nylonowych i jedwabnych, nakładek imitujących łysinę, nakładek na palce i innych akcesoriów lateksowych.

Może być w dowolnym wieku, każdej płci i rasy.

Śmierć Calverta = „Przepełnianie dziewczyny” Selbita.

Utalentowany włamywacz, zapewne umie „skrobać zamki”.

Zna techniki uwalniania się z więzów.

Zna techniki iluzji z udziałem zwierząt.

Używa technik mentalistycznych, by zdobyć informacje o ofiarach.

-

Próbował zabić trzecią ofiarę analogicznie do numeru Houdiniego: „Tortura wodna”.

-

Harry Houdini był najślynniejszym specjalistą od uwalniania się z więzów, ale miał przecieś wspaniałych poprzedników i wspaniałych następców. Stał się wielki i sławny, ponieważ swe występy wzbogacił o jeden niesłychanie waśny czynnik: wyzwanie. Zapraszał kogoś z widowni, by zaproponował, z czego iluzjonista ma się uwolnić: mośe z kajdanków miejscowego policjanta czy mośe z celi lokalnego więzienia.

Właśnie te bezpośrednie wyzwania, pojedynki człowieka z człowiekiem, uczyniły Houdiniego wielkim. To był jego śywioł.

I to jest mój śywioł, pomyślał Malerick, wracając do mieszkania po szczęśliwej ucieczce znad rzeki Harlem oraz krótkim rekonesansie. Ale wydarzenia tego popołudnia mocno nim wstrząsnęły. Kiedy jeszcze regularnie występował, przed pośarem, w jego numery wpisany

był element niebezpieczeństwa. Prawdziwego niebezpieczeństwa. Mentor wbijał mu do

głowy, najczęściej boleśnie, bardzo prostą prawdę: jeśli w występie nie ma ryzyka, dlaczego ma się nim interesować widownia. Uwaśał, śe nie ma straszniejszego grzechu niś znudzenie widza. A ten występ stał się całą serią wyzwań... ponieważś policja okazała się znacznie

lepsza, niś przypuszczał. Jak się zorientowali, śe wybrał ofiarę z akademii jeździeckiej i gdzie miał zamiar ją utopić? Na targach niemal złapali go w pułapkę, potem odnaleźli mazdę, ścigali go i tak przycisnęli, śe musiał zatopić samochód w rzece, a sam ledwo uciekł.

Wyzwania to jedno, ale teraz Malerick powoli popadał w paranoję. Dokonał już pewnych przygotowań do następnego numeru i okazało się... Œe wcale nie chce występować.

Postanowił pozostać w mieszkaniu aż do ostatniej chwili.

200

poza tym musiał zrobić coś jeszcze. Tym razem dla siebie, nie dla szacownych widzów.

Najpierw zasłonił wszystkie okna. Na gzymsie, obok inkrustowanego pudełeczka, ustawił świeczkę i zapalił. Następnie usiadł na szorstkim obiciu taniej kanapy. Powoli wciągał powietrze i powoli je wypuszczał. Kontrolował oddech. Powoli... powoli... powoli...

Skoncentrował się na płomyku świecy. Medytował. Od samego początku ich działalności

praktykujący sztuki magiczne dzielili się na dwie szkoły. Do pierwszej naleŒeli mistrzowie zręcznej ręki, prestidigitatorzy, Œonglerzy, iluzjoniści; czyli ci, którzy bawili widownię dzięki zręczności i sprawności fizycznej.

Przedstawiciele drugiej szkoły byli znacznie bardziej kontrowersyjni. Przyznawali, Œe

uprawiają prawdziwą magię. Nawet w naszych czasach nauki i rozsądku niektórzy z nich

twierdzili, Œe dysponują nadnaturalną mocą, umieją czytać w myślach, przesuwać przedmioty siłą umysłu, przepowiadać przyszłość, kontaktować się z duchami.

Przez tysiące lat fałszywi prorocy i fałszywe media bogacili się, twierdząc, Œe potrafią

przywołać duchy zmarłych na zamówienie ich pogrąŒonych w rozpacz krewnych. Nim rządy

i prawo zabrały się do oszustów, to właśnie artyści-magicy chronili łatwowiernych,

demaskując metody, jakimi osiągało się takie „nieziemskie" efekty. Harry Houdini poświęcił

wiele czasu, a nawet pieniędzy na demaskowanie fałszywych mediów. A jednak, co za ironia,

postępował tak dlatego, Œe rozpaczliwie szukał prawdziwego medium, które mogłoby

skontaktować go z duchem matki, gdyŒ tak naprawdę nigdy się nie otrząsnął po jej śmierci.

Malerick patrzył na płomień świecy, nie odrywał od niego oczu. Modlił się o pojawienie się swej duchowej towarzyszki, o to, by znów popieścila Œóły ogień. By ponownie data mu znak.

Do porozumiewania się z nią uŒywał świecy, ponieważŒ świeca to ogień, a właśnie ogień

odebrał mu jego miłość.

Chwileczkę... czyŜby płomień mrugnął? MoŜe tak, a moŜe nie? Nie potrafił powiedzieć.

Malerick wyznawał teorie obu magicznych „szkół”. Jako utalentowany iluzjonista wiedział oczywiście, Ŝe u podstaw jego przedstawień leŜą, umiejętnie uŜyte, fizyka, chemia i psychologia. A jednak gdzieś w głębi duszy odczuwał cień wątpliwości. Być moŜe magia naprawdę istnieje? Być moŜe Bóg jest iluzjonistą: powoduje znikanie naszych słabnących ciał, zręcznie ukrywa dusze tych, których kocha, a potem przemienia je i przywraca Ŝyjącym. Swym smutnym, lecz pełnym nadziei widzom.

PrzecieŜ nie jest to tak zupełnie niewyobraŜalne, powtarzał sobie. Nawet teraz...

I nagle płomień Ŝwiecy zamigotał. Tak! To nie było złudzenie! Przesunął się o milimetr bliŜej inkrustowanego pudełka. Bardzo prawdopodobne, iŜ był to sygnał, Ŝe dusza jego ukochanej znajduje się gdzie blisko, przywołana nie przez siły fizyczne, lecz tę cienką, wiążącą ich nadal nić, którą ujawnić moŜe tylko magia... jeśli potrafi się z nią zestroić.

- Jesteś tam? - szepnął. - Jesteś?

Oddychał bardzo powoli, uwaŜając, by wydechane powietrze nie dotarło do Ŝwiecy, nie poruszyło wątego płomyka. Musiał zyskać pewność, Ŝe nie jest sam.

Ŝwieca wreszcie się wypaliła. Malerick długo jeszcze siedział nieruchomo, medytując, wpatrzony w unoszący się szary dym, który po chwili się rozwiewał.

Zerknął na zegarek. Pora przyszykować się do następnego numeru. Zebrał kostiumy i rekwizyty, przygotował w odpowiedniej kolejności, ubrał się powoli, uwaŜnie. NałoŜył makijaŜ.

Obraz w lustrze przekonał go, Ŝe wszystko jest tak jak naleŜy.

Wyszedł na korytarz. Wyjrzał przez okno. Ulica była pusta.

Piękne wiosenne popołudnie miało być scenerią jego kolejnego numeru. Przyjął wyzwanie znacznie trudniejsze niŜ poprzednio.

Ogień i iluzja są jak brat i siostra.

Błysk pirowaty, świec, płonący gaz, nad którym wisi skrępowany iluzjonista...

Ogień, szacowni widzowie, jest narzędziem diabła, a diabeł i magia zawsze byli sobie bliscy.

Ogień oświecła i ukrywa, niszczy i tworzy.

Ogień zmienia.

I to twierdzenie leży u podstaw naszego następnego numeru, który nazwałem „Zwęglony człowiek”.

Neighborhood School, znajdująca się tuż obok Piątej Alei w Greenwich Village to ładny, staromodny budynek, skromny jak nazwa instytucji, która go zajmuje. A trudno uwierzyć, że czytania, pisanie i podstaw arytmetyki uczą się tu dzieci najbogatszych i najbardziej wpływowych obywateli miasta Nowy Jork.

Szkoła znana była nie tylko jako świetna placówka edukacyjna - jeśli można tak mówić o instytucji szkolnictwa początkowego - lecz także jako poważne centrum kulturalne, przynajmniej w tej części miasta. Słynne były przede wszystkim jej sobotnie recitale, odbywające się zawsze o ósmej wieczorem.

Na jeden z nich wybierał się wielebny Ralph Swensen.

Wielebny przeszedł długi marsz przez Chinatown i Little Italy, nie ponosząc szwanku na ciele i umyśle innego niż całkiem normalne napastowanie przez całkiem normalnych agresywnych żebraków, na co, po prawdzie, zdołał się już niemal całkowicie uodpornić. Po drodze

zatrzymał się w małej włoskiej restauracji, gdzie zamówił spaghetti (spaghetti i ravioli były jedynymi wymienionymi w menu daniami, których nazwę rozpoznał) i - ponieważ nie było z nim Sona - także szklaneczkę czerwonego wina. Jedzenie było pyszne; pozostał w lokalu

dłuższy czas, popijając zakazanego drinka i ciesząc oczy widokiem dzieci, bawiących się na ulicach tego tętniącego życiem, ale przez swą etniczną odrębność zupełnie dla niego obcego miejsca.

Uregulował rachunek, czując wyrzuty sumienia; w końcu kościelnymi pieniędzmi płacił za

alkohol! Ponownie ruszył na północ, do Greenwich Village. Uliczka, którą szedł,

doprowadziła go do placu Waszyngtona. Początkowo wydawał mu się kolejną, tym razem

miniaturową Sodomą, ale gdy wszedł do parku, okazało się, że wprawdzie ludzie tu grzeszą,

ale młodzi tylko tym, że słuchają upiornie głośnej muzyki, a starsi tym, że popijają piwo i wino,

chowając butelki w papierowych torbach. Choć wielebny całym sercem wierzył w system, w którym pewni grzesznicy trafiają wprost do piekła (na przykład hałaśliwe męskie prostytutki, niedające ludziom spać po nocach), ci, których obserwował w tej chwili, nie sprawiali bynajmniej wraŜenia, jakby juŜ wykupili bilet w jedną stronę do wielkiego pieca. A jednak w pewnej chwili poczuł się nieswojo. Przypomni ł mu si  m Źczyzna w kombinezonie, ze skrzynk  na narz dzia w r ku; ten, kt rego widzia  przed hotelem. Wielebny by  pewien, Źe dostrzeŹ go po raz drugi, takŹe niedaleko hotelu, w odbiciu wystawy sklepowej. No i ca y czas mia  wraŜenie, Źe jest Źledzony. Obr ci  si  szybko, spojrze  za siebie. Nie zauwaŹy  Źadnego robotnika, ale... szczup y m Źczyzna w br zowym p aszczu szed  za nim i chyba si  mu przygl da . Rozejrze  si  jednak tylko dooko a i skr ci  w stron  publicznej toalety. Paranoja?

203

Tak, z ca   pewnością. Ten m Źczyzna wcale nie przypomina, robotnika. Ale gdy wielebny wyszed  z parku na Pi t  Aleje gdzie panowa  taki t ok, Źe z najwyŹszym trudem udawa o mu si  nie zderza  z innymi przechodniami, zn w poczu , Źe kt s go obserwuje. Zn w si  obejrza . Tym razem zwr ci  uwag  na blondyna w grubych okularach na nosie, ubranego w podkoszulek i na-rzucon  na niego marynark . Ten m Źczyzna na niego patrzy  przeszed  na drug  stron  ulicy tuŹ po nim.

Teraz biedny Ralph Swensen by  juŜ ca kowicie pewien, Źe popad  w paranoj . Z pewnością nie tropi o go trzech r Źnych m Źczyzn! Uspok j si , powiedzia  do siebie stanowczo, id c w stron  Neighborhood School ulic  pe n  ludzi, cieszcycich si  pi knym, ciepłym wieczorem.

Dotarł na miejsce o siódmej. Za pół godziny goście będą mogli wejść do środka. Postawił teczkę, skrzyżował ręce na piersiach. Nie, pomyślał. Nie wolno mi wypuszczać teczki z dłoni. Chwylił ją mocno i oparł się o ogrodzenie z kutego żelaza, za którym znajdował się ogród szkolny.

Nadal niespokojny, patrzył w kierunku, z którego przyszedł.

Nie dostrzegł nikogo podejrzanego. Ani robotników ze skrzynkami narzędzi, ani mężczyzn w sportowych marynarkach, ani...

-

Przepraszam, ojciec?

Zaskoczony, obejrzał się szybko. Obok niego stał potężnie zbudowany śniady mężczyzna z dwudniowym zarostem.

Tak? O co chodzi?

Ojciec przyszedł na recital? - Mężczyzna skinął głową w kierunku szkoły.

Tak, oczywiście. - Głos Swensena niemal drżał.

O której się zaczyna?

O ósmej. Ale wpuszczają od siódmej trzydzieści.

Dziękuję, ojciec.

Nie ma za co.

Mężczyzna uśmiechnął się i poszedł w stronę szkoły, wielebny zaś został, kurczowo ściskając rączkę teczki i przyglądając się ulicy. Zerknął na zegarek. Piętnaście po siódmej.

Minęło kolejnych pięć minut, długich jak wieczność, nim doczekał się wreszcie swej chwili, ujrzał

coś, dla czego przejechał tak wiele kilometrów: czarnego długiego lincolna z rządowymi numerami rejestracyjnymi. Samochód zatrzymał się o przecznicy od

Neighborhood School. Wielebny zmrużył oczy; mimo zapadającego zmroku udało mu się odczytać numer. Wszystko w porządku, dzięki niech będą Panu!

Z przedniego siedzenia wysiedli dwaj młodzi mężczyźni w czarnych garniturach. Przyjrzeni się ulicy, nawet jemu, i upewnili, że jest bezpieczna. Jeden z nich pochylił się i powiedział coś przez otwarte tylne okno.

Ralph Swensen wiedział, z kim rozmawia: zastępcą prokuratora okręgowego Charlesem Grady, prowadzącym sprawę przeciw Andrew Constable'owi. Grady przyjechał z Soną na koncert, podczas którego wystąpić miała ich córka. I to właśnie on ściągnął wielebnego do tej współczesnej Sodomy. Jak święty Paweł on też wkroczył w świat niewiernych, by wskazać im błędy i sprowadzić ich na drogę prawdy. Ale miał się uciec do metody nieco

gwałtowniejszej od tych, którymi posługiwał się wielki apostoł. Zamierzał zamordować

Grady'ego, strzelając do niego z cięskiego pistoletu, ukrytego w teczce, którą tulił do piersi, jakby była ta sama Arka Przymierza.

Dokładnie obserwował otaczający go świat. Notował w myślach osłony, drogi ucieczki, liczbę przechodniów na chodnikach i samochodów na Piątej Alei. Musiał odnieść sukces, zbyt wiele od tego zależało. Poza tym miał osobiste powody, by ujrzeć Charlesa Grady'ego martwego.

Zeszłego wtorku, około północy, w drzwiach bliźniaka, który służył wielebnemu Ralphowi

Swensenowi zarówno za plebanię, jak i kościół, pojawił się nagle członek lokalnej milicji, Jeddy Barnes. Jak głosiła plotka, po ataku policji stanowej na Zgromadzenie Patriotyczne Andrew Constable'a ukrywał się w lasach, w obozie leżącym gdzieś w okolicy Canton Falls.

- Zaparz kawę - polecił, patrząc na przestraszonego duchownego płonącymi oczami fanatyka.

Krople deszczu stukały głośno w metalowy dach. Barnes, twardy, samym swym wyglądem budzący trwogę samotnik o siwych, przyszytych na jeża włosach, pochylił się i powiedział:

Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, Ralph.

Co takiego?

Gość rozsiadł się, wyciągając nogi. Patrzył na ołtarz, który Swensen zrobił sam, z dykty grubo pokrytej nieudolnie nałożonym lakierem.

-

Jest człowiek, który chce nas dorwać. Który nas prześladowuje.

Jeden z nich.

Wielebny wiedział, o kogo chodzi. Jeden z nich z pewnością należał do niezbyt dobrze zdefiniowanej, za to nader licznej grupy > której członkami byli przedstawiciele rządu

federalnego i stanowego, środków przekazu, ateści i wyznawcy religii niechrześcijańskich, członkowie każdej zorganizowanej partii i intelektualiści 206

tak na początek („my” obejmowało wszystkich ludzi należących do którejś z powyższych kategorii pod warunkiem, że byli biali)- Sam Swensen nie był fanatykiem, a przynajmniej nie takim jak ten facet i jego kumple - których nawiasem mówiąc, strasznie się bał - lecz wierzył, że w głoszonych przez nich poglądach jest sporo prawdy.

Musimy go powstrzymać - rzekł Barnes.

Kto to taki?

_ Prokurator z Nowego Jorku.

Ach, ten prowadzący sprawę Andrew?

Właśnie. Charles Grady.

Co mam zrobić? - Wielebny już formułował w myślach

treść gniewnego listu od zatroskanych obywateli i płomiennego

kazania.

Zabić go - powiedział spokojnie Barnes.

-Co?

Chcę, żebyś pojechał do Nowego Jorku i zabił Grady'ego.

O, Boże! Nie, tego nie mogę zrobić! - Swensen starał się przemawiać stanowczo, choć ręce trzęsły mu się tak, że prawie całą kawę wylał na kazalnicę. - No, bo po pierwsze, co moglibyśmy na tym zyskać? W ten sposób nie pomożemy Andrew. Do diabła, przecieŜ zorientują się, że za tym stoi. Tylko utrudnimy...

Constable nie ma tu nic do rzeczy. Constable się nie liczy.

Chodzi o coś o wiele większego! Musimy dać świadectwo. PrzecieŜ wiesz, co te dupki z Waszyngtonu stale powtarzają na konferencjach prasowych. Musimy wysłać sygnał.

Daj spokój, Jeddy. Zapomnij. Nie potrafię zabijać. PrzecieŜ to szaleństwo.

Och, moim zdaniem doskonale potrafisz.

Jestem duchownym!

W niedzielę polujesz. Jeśli spojrzeć na to nieco inaczej, popełniasz morderstwo. I byłeś w Wietnamie. Jeśli to, co opowiada—

feś, jest prawdą, kolekcjonowałeś skalpy.

To było trzydzieści lat temu! - szepnął nieszczęśliwy Swensen, unikając wzroku gościa. - Nie mam zamiaru nikogo zabijać.

ZałoŜę się, Ŝe Clara Sampson nie miałaby nic przeciwko temu. - Na plebanii zapadła cięŜka, nieznośna cisza. - Powiedziałaś

»A"> Ralph. NajwyŜszy czas, Ŝebyś powiedział „B”.

W zeszłym roku Jeddy Barnes powstrzymał jakoś Wayne'a >ona, który najpierw wpadł na kapłana i swą trzynastolet-córkę kryjących się na przygotowanym za budynkiem kościoła i parafii terenem zabaw dla dzieci, a potem pośpieszył na p^cję. Wygląda na to, pomyślał wielebny, Ŝe Jeddy wyświadczy! mi przysługę tylko po to, by mieć na mnie haka.

Proszę, zrozum...

Clara napisała niepozostawiający wątpliwości list. Tak się składa, Ŝe trafi! w moje ręce. Nie mówiłem ci, Ŝe poprosiłem ją o to jeszcze w zeszłym roku? W kaŜdym razie opisała twe... intymne... części ciała w szczegółach, w które wolałbym się nie zagłębiać.

ZałoŜę się jednak, Ŝe sędziowie przysięgli byliby bardzo za interesowani tą sprawą.

Nie moŜesz mi tego zrobić! Nie, nie...!

Nie przyszedłem tu, Ŝeby się z tobą kłócić, Ralph. Mamy konkretną sytuację. Jeśli się nie zgodzisz, w przyszłym miesiącu będziesz dogadzał czarnuchom, tak jak Clara Sampson dogodziła tobie. Wybieraj.

O, kurwa!

Zakładam, Ŝe właśnie się zgodziłeś. Pozwól, Ŝe wtajemniczę cię w to, co zaplanowaliśmy.

Barnes dal mu broń, adres hotelu i adres biura Grady'ego, po czym wysłał go do Nowego Jorku.

Zaraz po przyjeździe wielebny Swensen poświęcił kilka dni na rozpoznanie terenu. We wtorek późnym popołudniem odwiedził gmach rządu stanowego. Grając wioskowego przyglupa w znoszonej sukni duchownej, chodził, gdzie chciał, i nikomu nie przyszło do głowy go zaczepić. W jednym z odległych korytarzy znalazł szafkę na środki czystości, w której ukrył się aż do północy. Następnie włamał się do gabinetu Grady'ego i dowiedział, że tego samego dnia, wieczorem, prokurator wraz z rodziną uda się na recital w Neighborhood School, ponieważ ma w nim wystąpić jego córka.

Uzbrojony, z nerwami napiętymi jak postronki, wielebny stał teraz przed szkołą i obserwował mężczyzn rozmawiających z prokuratorem, który nadal siedział z tyłu samochodu. Zamierzał zastrzelić Grady'ego i jego ochroniarzy z pistoletu z tłumikiem, a potem paść na ziemię, wrzeszcząc w panice, że ktoś strzelał z przejeżdżającego ulicą samochodu, i uciec, korzystając z wywołanego zamachem zamieszania. Próbował się modlić, lecz choć Grady był niewątpliwie narzędziem szatana, sama myśl o tym, że może prosić Pana o pomoc w zabójstwie nieuzbrojonego białego chrześcijanina, wprawiała go w zakłopotanie. Nie potrafił się modlić, więc tylko w myśli recytował fragmenty Biblii.

208

potem ujrzałem innego anioła - zstępującego z nieba i mającego wielką władzę, a ziemia od chwały jego rozbrzysła..."*.

Wielebny Swensen kołysał się w przód i w tył. Najgorsze to oczekiwanie, myślał. Ja już więcej go nie zniosę. Nerwy... chyba puszczają mi nerwy. Jakże pragnę powrócić do swych owieczek, farm, kościoła, kazań, które wszystkim tak bardzo się podobały--

I do Clary Sampson, kończącej niedługo piętnaście lat, słodkiego owocu tylko czekającego, by ktoś go zerwał...

„I głosem potężnym tak zawołał: «Upadł, upadł Babilon - stolica. I stała się siedliskiem demonów i kryjówką wszelkiego ducha nieczystego.. .»"***.

Zastanawiał się nad rodziną Grady'ego. Żona prokuratora nie zrobiła nic złego. Małżeństwo z grzesznikiem nie oznacza przecież, że współmałżonek grzeszy lub decyduje się współpracować z grzeszącym. Nie. Pani Grady nic nie może się stać. Chyba że zauważy, kto strzela.

A jeśli chodzi o Chrissy, ich córkę, o której wspomniał Barnes... ciekawe, ile ma lat? Jak wygląda? Może spodobałoby jej się życie w Canton Falls.

„Dojrzały owoc, poświadczenie twej duszy, odszedł od ciebie, a przypadły dla ciebie wszystkie rzeczy wyborne i świetne, i już ich nie znajdą"***.

Teraz, pomyślał. Zrób to. Już. Natychmiast.

„I potężny jeden anioł dźwignął kamień jak wielki kamień młyński, i rzucił w morze, mówiąc: «Tak z rozmachem Babilon, wielka stolica, zostanie rzucona i już jej nie będzie można znaleźć»"***.

Wielebny myślał: „Mam głaz kary, Grady. Doskonałej konstrukcji szwajcarski pistolet, a posłańcem nie jest anioł z niebios, lecz przedstawiciel wszystkich rozsądnych, trzeźwo myślących Amerykanów”.

Ruszył przed siebie.

Ochroniarze nie zwracali na niego uwagi.

Wielebny wyjął z teczki atlas Rand McNally i ciężki pistolet. Schował go za planem miasta, powoli zbliżał się do samochodu.

* Apokalipsa św. Jana 18,1 wg Biblii Tysiąclecia. ** Apokalipsa św. Jana 18,2. v ***

Apokalipsa św. Jana 18,14, i **** Apokalipsa św. Jana 18,21.

209

Ochroniarze Grady'ego stali na chodniku, obróceniu do niego plecami. Jeden z nich otworzył furtkę.

Pięć metrów.

Wielebny Swensen pomyślał: Niech Bóg zlituje się nad twoją.

I nagle cięŜka dłoń opadła na jego ramię.

-

Na ziemię, na ziemię... ale juŜ!

MęŜczyźni i kobiety - setka demonów - złapali wielebnego za ramiona i rzucili na chodnik.

-

Nie ruszaj się, nie ruszaj, nie ruszaj...!

Ktoś odebrał mu broń, ktoś wyrwał mu teczkę, ktoś przycisnął głowę duchownego do chodnika z siłą tak wielką, jakby zwały się na niego wszystkie grzechy miasta. Pod

policzkiem poczuł beton chodnika, nadgarstki i ramiona przeszył ból. To policjanci skuli go kajdankami i w tej chwili wywracali mu kieszenie.

Unieruchomiony, wbity w chodnik, wielebny Swensen zobaczył kątem oka, jak otwierają się drzwiczki limuzyny Grady'ego. Wskoczyło z niej trzech policjantów w hełmach i kamizelkach kuloodpornych.

-

Nie podnoś się, głowa w dół...

Jezu nasz Panie w niebie...

Leżąc na chodniku, widział wyłącznie zbliżające się buty. W odróżnieniu od gliniarzy, którzy przyciskali go do betonu i przemawiali donośnymi, obrzydliwymi głosami, policjant, który do niego podszedł, wręcz emanował uprzejmością. Łagodnym głosem z przeciągłym, południowym akcentem powiedział:

-

Za chwilę pomożemy panu wstać, a następnie odczytam przysługujące panu prawa. Proszę poinformować mnie, czy je pan zrozumiał.

Kilku gliniarzy odwróciło go i poderwało na nogi. Wielebny doznał szoku.

Uprzejmy policjant miał na sobie ciemną sportową marynarkę; to jego widział na placu Waszyngtona. Obok niego stał blondyn w grubych okularach, nieco dalej dostrzegł potężnego śniadego mężczyznę, tego, który pytał go o godzinę rozpoczęcia koncertu.

-

Jestem detektyw Bell. Za chwilę odczytam panu pańskie prawa. Jest pan gotów? Tak? Świetnie, zaczynamy.

Roland Bell przeglądał zawartość teczek wielebnego. Znalazł w niej zapasowy magazynek do pistoletu H&K, kilka słotych kartek z bloku zapisanych czymś, co wydało mu się wyjątkowo kiepskim kazaniem, przewodnik „Nowy Jork za pięćdziesiąt dolarów dziennie oraz sponiewierany egzemplarz Biblii Gideona ze stem-plem „Hotel Adelphi, 232 Bowery, Nowy

Jork, stan Nowy Jork".

No cóż, pomyślał, uśmiechając się do siebie. Na listę oskarżeń jenośmy wpisać także kradzież Pisma Świętego.

Niestety, Sąd z łych skarbów nie wiązał próby zamachu na prokuratora Grady'ego z Andrew Constable'em. Rozczarowany, przekazał dowody do rejestracji i wywołał Rhyme'a, by poinformować go, że improwizowana operacja grupy chroniącej świadkom tyłki zakończyła się sukcesem.

Po tym, gdy Rhyme poprosił detektywa, by pozostał przed Szkołą, Bell rozpoczął pracę nad pełnym raportem z miejsca przestępstwa, podczas gdy Mel Cooper badał włókna znalezione w biurze Grady'ego. Kryminalistyk doszedł w końcu do kilku ważnych wniosków.

Analiza śladów stóp dowiodła, że włamywacz stał przez kilka minut w jednym miejscu, obok prawego przedniego rogu biurka sekretarki. Spisany przez policję inwentarz sekretariatu wskazywał na to, że po tej stronie biurka znajdował się prowadzony przez sekretarkę kalendarz. W kalendarzu na ten weekend zapisano tylko występ Chrissy Grady na koncercie w Neighborhood School.

Nie było żadnych wątpliwości: włamywacz z pewnością to zauważył. To Rhyme wystąpił z ryzykowną tezą, że może być przebrany za osobę duchowną - pastora lub księdza. Dzięki bazie danych FBI Mel Cooper znalazł źródło czarnych włókien i barwnika: firmę w Minnesocie, która na swych stronach www reklamowała się jako ekspert w dziedzinie produkcji czarnej gabardyny na potrzeby duchowieństwa. Oczywiście trudno było uznać to za dowód, lecz Rhyme dostrzegł coś jeszcze: białe włókno znalezione na miejscu pochodziło z poliestru połączonego z krochmaloną bawełną. Za- | pewne mieli więc do czynienia z koloratką. Pojedyncze czerwone włókno kojarzyło się wyraźnie z zakładką starej ksiąŜki, podobnie jak odprysk złota. Ze złotymi zdobieniami często wydawano Biblie, Rhyme

przypomniawszy sobie pewną sprawę sprzed lat: wówczas płatny morderca ukrył narkotyki w Biblii, z której wyciął wcześniej część kartek. Podobne ślady znaleziono w sekretariacie.

Bell zalecił prokuratorowi i jego rodzinie, by pozostali w domu. Ich miejsce zajęli policjanci z siłą szybkiego reagowania, którzy podjechali pod szkołę słuŜbowym samochodem Grady'ego.

Jednostki ratownictwa umieszczono na północ od szkoły na Piątej Alei, na przecznicach na zachód od Szóstej Alei, na wschód od University Place i na południe od placu Waszyngtona.

Bell, czekający w parku, bezbłędnie wyłapał zdenerwowanego pastora, zmierzającego w

stronę szkoły. Poszedł za nim, a gdy pastor zauwaŜył, Ŝe jest śledzony, przekazał go

funkcjonariuszowi SWAT, który szedł za podejrzanym aŜ do szkoły. Kolejny policjant

podszedł do niego i zapytał o godzinę rozpoczęcia koncertu. Jego zadaniem było stwierdzić, czy podejrzanym ma broń, lecz to mu się udało i nadal nie było Ŝadnych podstaw ani do przeszukania ani do zatrzymania wielebnego. Mimo to uwaŜnie go obserwowano i gdy tylko

wyjął broń z teczki i podszedł do samochodu, został zatrzymany.

Policjanci spodziewali się fałszywego pastora, toteŜ zdumieni się bardzo, trafiając na

prawdziwego, co potwierdziła zawartość jego portfela, znacznie wymowniejsza niŜ

zawstydzająco kiepskie kazanie.

Bell najpierw wysunął magazynek z H&K, a potem wyrzucił

pocisk, znajdujący się juŜ w komorze.

Wielki gnat jak na księdza - powiedział.

Jestem pastorem.

To właśnie miałem na myśli.

Wyświęconym.

-

Gratuluje. A teraz... wie ojciec, coŝ mnie ciekawi. Moŝe nie chce ojciec skorzystać z

prawa do zachowania milczenia? Bo to

jest tak: jak ojciec przyzna się do tego, co zrobił, to nam będzie

łatwiej ojcu pomóc. Na przykład: kto kazał ojcu zabić pana Grady'ego?

-Bóg.

-

Aha. - Bell wzruszył ramionami. - Bóg, oczywiście. A moŝe

ktoŝ jeszcze?

-

Tylko to mam panu do powiedzenia. Proszę sobie zapamię

tać: Bóg.

-

Jasne. Nie ma sprawy. No to jedziemy do ŝródmieŝcia. Zar

się przekonamy, czy Bóg zechce wpłacić kaucję.

to nazywają muzyką? Salon domu Lincolna Rhyme'a rozbrzmiewał łomotem bębnów, do której przyłączył się po chwili surowy dźwięk instrumentów dętych, najwyraźniej ćwiczących krótkie pasaŒe. Hałas ten dobiegał oczywiście z Cirque Fantastique, który rozbił namioty tuŒ obok domu kryminalistyka, po drugiej stronie ulicy. Rhyme próbował ignorować owe barbarzyńskie dźwięki, przeszkadzające mu w rozmowie z Charlesem Grady, Prokurator zadzwonił specjalnie z podziękowaniami za działania, dzięki którym udało się zapobiec zamachowi na jego Œycie.

Bell przesłuchał przetrzymywanego w areszcie Andrew Constable^ . Constable przyznał, Œe zna Swensena; powiedział takŒe, Œe wyrzucił go ze Stowarzyszenia Patriotycznego, poniewaŒ duchowny zdradzał „niezdrowe zainteresowanie” co młodszymi parafiankami. Potem związał się podobno z grupą lokalnych tępaków nazywających się milicją. Ich drogi musiały się rozejść i on, Constable, nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek zamachem na kogokolwiek.

Mimo to Grady załatwił dostarczenie Rhyme'owi dowodów, zebranych wokół Neighborhood School i w zajmowanym przez wielebneŒo pokoju hotelowym. Kryminalistyk przejrzał je szybko. Nie znalazł nic, co mogłoby Œwiadczyć o powiązaniach zamachowca z Constable'em. Wyjaśnił to prokuratorowi i dodał:

PowinniŒmy dostarczyć to ludziom z... jak się nazywa to mia steczko?

Canton Falls.

Pewnie dadzą radę przeprowadzić analizę porównawczą gleby i mikrośladów. Być może jest coś, co łączy Swensena i Constable'a, ale ja tego nie stwierdzę. Nie mam żadnych materiałów porównawczych.

Dziękuję, że popatrywałeś się sprawdzić to, co dostałeś w Lincoln. Załatwię, żeby ktoś jak najszybciej zawiózł te dowody na miejsce.

Jeśli chcesz, żeby ci napisał raport ekspercki, zrobię to z przyjemnością - powiedział Rhyme. Drugą część zdania musia!

powtórzyć; zagłuszyło je szczególnie głośne solo na rogu. Do diabła, pomyślał, nawet ja potrafiłbym napisać muzykę lepszą niż to.

Thom ogłosił przerwę w zajęciach i zmierzył Rhyme'owi ciśnienie. Uznał, że jest za wysokie.

Wcale mi się to nie podoba - oznajmił.

Jeśli kogoś to w ogóle obchodzi, niech wie, że mnie nie podoba się bardzo wiele rzeczy - powiedział Rhyme, przygnębiony w tej chwili i sfrustrowany brakiem postępów w sprawie Maga.

Technik laboratorium FBI w Waszyngtonie zadzwonił z informacją, że dopiero rano będą mieli analizę opiłków metalu z torby.

Bedding i Saul odwiedzili przeszło pięćdziesiąt hoteli na Manhattanie, ale nie znaleźli żadnego, gdzie jako kluczy do pokoi używano kart APC takich jak ta, którą znaleziono w bluzie od dresu.

Sellitto rozmawiał z policjantami, kręcącymi się wokół Cirque Fantastique; nie zauważyli nic podejrzanego.

Najbardziej niepokojące było jednak to, że do tej pory nikomu nie udało się odnaleźć

Larry'ego Burke'a, zaginionego policjanta z patrolu, który zatrzymał Maga niedaleko targów rzemiosła. West Side przeszukiwały dziesiątki gliniarzy, nikt nie natrafił jednak na żadnego ślad, na żadnego świadka, na nic, co mogłoby doprowadzić ich do Burke'a. Pocieszające wydawało się tylko

to, iŜ jego ciała nie było w zatopionej mazdzie. Jeszcze jej nie wydobyto, ale nurek, który nie przeraził się silnych prądów i znalazł samochód, poinformował, Őe ani w kabinie, ani w bagaŦniku nie ma ciała.

-

Gdzie to Ŧarcie? - spytał Sellitto, wyglądając przez okno.

Sachs i Kara poszły zamówić jedzenie na wynos ze znajdujacej

się niedaleko kubańskiej restauracji; przy czym młoda iluzjonist-kę bardziej niŜ jedzenie

ekscytowała perspektywa wypicia, poraz pierwszy w Ŧyciu, kubańskiej kawy. Zwłaszcza Őe

owo „w pO”

łowię espresso, w połowie skondensowane mleko, w połowie cu

kier” idealnie odpowiadało jej gustom. Taki to niezbyt zgodny

z arytmetyką opis przedstawił Thom.

Tymczasem tęgi detektyw spojrział na Rhyme'a.

214

~ Jadłeś kiedyś kubańskie sandwicze? - spytał. - Mówię ci, są

najlepsze na świecie.

Ale dla Thoma nie jedzenie i kawa były najwaŜniejsze.

Czas do łóŜka - oznajmił.

Za dwadzieścia dwie dziesiąta - oburzył się Rhyme. - Prze

cieŜ to praktycznie popołudnie. Więc nie mów mi, Őe czas... do...

łóŜka...! - Kryminalistyk z trudem nadał swemu śpiewnemu gło

sowi brzmienie zarówno młodzieńcze jak i groźne. - Gdzieś tam

pałęta się morderca, który moŜe nawet sam nie wie, jak często będzie zabijał ludzi: co cztery godziny czy co dwie! - Zerknął na zegarek. - Być moŜe kolejne zaplanował na za dwadzieścia dwie dziesiąta? Rozumiem, Ŝe to ci się moŜe nie podobać, ale mam pełne ręce roboty!

Nie, nie masz. Jeśli nie chcesz spać, nie śpij, ja cię nie zmuszę. Ale idziemy na górę załatwić kilka spraw, a potem połoŜysz się grzecznie i będziesz leŜał. Parę godzin.

Ha! Masz nadzieję, Ŝe zasnę i obudzę się rano, co? No więc nie zasnę. Nie zmruczę oka przez całą noc!

Thom spojrzał w niebo błagalnym wzrokiem.

Lincoln jedzie na górę! - oznajmił głoŝno.

Chcesz stracić pracę?

A ty chcesz doŝyć śmierci jako warzywo? - nie wytrzyma!

Thom.

-

To jest cholerne maltretowanie niepełnosprawnego! - burknął Rhyme, ale widać było, Ŝe się poddaje. Jeśli człowiek sparaliŝowany siedzi zbyt długo w jednej pozycji i krąŜenie krwi w kończynach jest utrudnione, jeśli wreszcie, jak lubił niedelikatnie wspominać Rhyme, zwłaszcza przy obcych, chce mu się sikać lub

srać, a nie robił tego od dłuższego czasu, ryzykuje dysrefleksję, objawiającą się gwałtownym wzrostem ciśnienia krwi mogącym doprowadzić do wylewu, a w konsekwencji do pogłębienia paraliżu lub nawet śmierci. Dysrefleksja zdarza się rzadko, to prawda, ale za to błyskawicznie wysłała chorego do szpitala, a czasem i do grobu. Rhyme zgodził się więc pojechać na górę, załatwić potrzeby fizjologiczne i odpocząć w łóżku. To właśnie za takie chwile, Przymusowe przerwy w „normalnym” życiu, najbardziej nienawidził swego kalectwa. Doprowadzało go do wściekłości i choć się do tego nie przyznawał - tak głębokiej depresji.

W sypialni Rhyme'a, po zakończeniu koniecznych czynności, Ihom powiedział stanowczo:

- W porządku. Dwie godziny odpoczynku. Prześpij się.

21S

-

Godzina - zaprotestował Rhyme.

Asystent zamierzał oponować, ale spojrzał w twarz swego podopiecznego. Dostrzegł w niej gniew i twarde postanowienie: „le. piej dla ciebie, żebyś mi odpuścił, łajzo”, lecz zdarzyło się to nie pierwszy raz i zdążył się uodpornić. W oczach pacjenta dostrzegł jednak tak smutek i troskę o tych, których Mag umieścił na swojej liście i którzy mogli zginąć w każdej chwili.

Dobrze. Godzina. Jeśli się prześpisz.

Zgoda. - I Rhyme dodał z lekką kpina w głosie: - Będę miał

piękne sny. Ale drink bardzo by mi pomógł, chyba zdajesz sobie

z tego sprawę?

Thom poprawił dyskretny, ciemnofioletowy krawat. Oznaczało to, że jego opór słabnie, co

Rhyme wyczuwał tak, jak rekin wyczuwa w wodzie najmniejszą kroplę krwi.

Tylko jeden - powiedział błagalnie.

W porządku.

Thom nalał do szklanki trochę starego macallana, włożył do niej słomkę i postawił ją tak, by Rhyme mógł się napić.

Och, jakie to wspaniałe. - Rhyme spojrzał z Salem na pustą

szklankę. - Może pewnego dnia nauczę cię, jak się nalewa drinki.

Thom nie podjął dyskusji.

Wracam za godzinę - powiedział.

Polecenie, budzik - rzekł stanowczo kryminalistyki. Na pła

skim monitorze komputera pojawił się zegar. Komendy słowne

umożliwiały ustawienie godziny, po której miał zadziałać alarm.

Przecież bym cię obudził - zdziwił się Thom.

Masz tyle obowiązków. Mogłbyś zająć się czymś i zapomnieć

o tym drobiazgu. A teraz z pewnością się obudzę, prawda? - za

kpił Rhyme, choć bez złośliwości.

Asystent wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Lincoln Rhyme spojrzał w okno. Siedzące

na parapecie sokoły wędrownie obserwowały miasto, jakby były jego właścicielami. Obracały

głowy w ten jakże charakterystyczny, szczególny sposób, pozornie niezdarny, lecz przy tym

elegancki. Nagle jeden z nich, samica, lepszy myśliwy, spojrział na niego, mrugając oczami, jakby wyczuł jego zainteresowanie. Przekrzywił głowę. Po chwili wrócił do obserwacji osi, na której kręci się Nowy Jork: Central Parku.

Rhyme zamknął oczy. W myśli ewidencjonował zebrane dowody, próbował poznać motywy Maga, znaczenia znalezionych drobin mosiądzu, karty hotelowej, przepustki prasowej, tuszu. Tajemnice, nic, tylko tajemnice.

Drgnął, spojrział w sufit. Co za bzdura! Przecież nie był zmęczony, wręcz przeciwnie! Chciał tylko jednego: zjechać na dół, wrócić do pracy. Sen? Wolne śarty, nie ma mowy, nie zaśnie. poczuł na policzku chłodny powiew... i wściekł się na Thoma za to, że włączył klimatyzację. Kiedy sparaliżowanemu cieknie z nosa, to lepiej, żeby był w pobliżu ktoś, kto mu ten nos wytrze. Wywołał tablicę kontroli otoczenia, zdążył jeszcze pomyśleć, że powie Thomowi: „byłbym zasnął, gdyby w pokoju nie było za zimno”, ale jeden rzut oka na monitor przekonał go, że klimatyzacja jest wyłączona.

Więc... co właściwie poczuł? Drzwi były przecież zamknięte.

Tak! Kolejny powiew, z całą pewnością powiew, na drugim policzku, prawym. Natychmiast obrócił głowę. Okno? Nie. Okno było zamknięte. No, prawdopodobnie...

Spojrział na drzwi. Jezu! Czuł, jak jego serce powoli przestaje bić. Drzwi do sypialni miały zasuwkę, ale na nią można było je zamknąć wyłącznie od środka. Od zewnątrz, nigdy.

Ktoś je zamknął.

Powiew powietrza na skórze. Tym razem gorącego. Ktoś odetchnął, ktoś stojący bardzo blisko. Tak blisko, że Rhyme słyszał jego oddech.

- Gdzie jesteś - szepnął.

Westchnął nagle. Przed jego oczami pojawiła się dłoń ze zdeformowanymi, zrośniętymi palcami, trzymająca syłatkę. Wymierzoną wprost w jego oczy.

- Jeśli zawołasz o pomoc - powiedział Mag swym charakterystycznym, świszczącym głosem - jeśli spróbujesz dać im znać, co się dzieje, oślepię cię. Rozumiesz? Lincoln Rhyme skinął głową.

Dłoń trzymająca Śyletkę znikła z pola widzenia Rhyme'a, ale Mag Śyletki nie schował, o nie. W jednej chwili trzymał ją w ręce, w następnej znikła.

Jakby jej nigdy nie było.

Jego Mag: brązowowłosy, gładko ogolony, ubrany w mundur policyjny, obszedł spokojnie pokój, oglądając książki, płyty kompaktowe, plakaty. Od czasu do czasu kiwał głową, jakby coś bardzo mu się podobało. Szczególnie zainteresowała go jedna rzecz: mała czerwona świątynia, w której umieszczono podobiznę chińskiego boga wojny i sił policyjnych, Guan Di. Najwyraźniej nie miał nic przeciw niestosowności umieszczenia takiego symbolu w domu eksperta-kryminalistyka.

Podszedł do łóżka Rhyme'a.

No tak - powiedział charakterystycznym, chrapliwym szepem, patrząc na bezwładną postać leżącą na ortopedycznym łóżku. - Inaczej sobie ciebie wyobrażałem.

Samochód? - spytał Rhyme. - Samochód w rzece. Jak...?

Ach, to! - Intruz lekceważąco machnął ręką. - Sztuczka z utopionym samochodem? To proste: mnie w nim nie było. Wy skoczyłem, nim wpadł do wody. Banalna sztuczka. Zamknięte okna, by gapie widzieli odbite od nich światło, czapka na zagłówek na wypadek, by ktoś dostrzegł coś więcej, ale w gruncie rzeczy za kierownicą siedziałem tylko dzięki wyobraźni widzów. Samego Houdiniego nie było przecie w niektórych pułapkach,

z których podobno uciekł.

-

A więc ślady opon nie pochodziły z hamowania, ale z przyśpieszenia! - Rhyme był na siebie wściekły. Jak mógł dać się tak oszukać! - Położyłeś cegłę na pedale gazu!

218

_ Cegła nie wydałaby się naturalna nurkom, którzy znaleźli samochód. W odróżnieniu od kamienia. - Mag przyglądał się kryminalistykowi przez dłuższą chwilę i wreszcie powiedział zdyszczonym szeptem: - Ale ty nie uwierzyłeś, że zginąłem.

_ Jak udało ci się wejść do pokoju? Nic nie słyszałem. - Bo przyszedłem tu przed tobą.

Wszedłem po schodach i dziesięć minut temu. Byłem też na dole, w tej twojej sali sztabowej czy jak tam ją nazywasz. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

- To ty dostarczyłeś dowody! - Rhyme nie pamiętał rysów policjanta, który wwiózł na wózku pudło z dowodami zebranymi w Neighborhood School i w pokoju hotelowym zajmowanym przez wielebnego Swensena.

- Słusznie. Czekałem przed domem. Pojawił się gliniarz z tymi wszystkimi pudłami.

Powiedziałem mu „cześć” i zaproponowałem pomoc. Nikt cię nie zatrzyma, jeśli masz na sobie mundur i zachowujesz się tak, jakbyś wypełniał jakieś ważne zadanie.

Czekałeś tu na mnie przykryty jedwabiem w kolorze ściany?

A więc rozszyfrowałeś tę sztuczkę?

Rhyme przyjrzał się mundurowi Maga. Zmarszczył brwi. Tak, to był oryginalny mundur, nie kostium, lecz - wbrew regulaminowi - na kieszeni nie było plakietki z nazwiskiem

funkcjonariusza. Zrozumiał i poczuł przytłaczający go ciężar. Mag miał na sobie mundur Larry'ego Burke'a, któremu udało się nie tylko zatrzymać go, ale nawet obezwładnić i skuć.

-

Zabiłeś go! Zabiłeś i zabrałeś mundur.

Mag przyjrzał się sobie. Wzruszył ramionami.

-

W odwrotnej kolejności. Najpierw zabrałem mundur - wyjaśnił tym swoim cichym, chrapliwym, pozbawionym intonacji głosem. - Przekonałem go, że jeśli rozbierze się do naga, spokojnie ucieknę, bo nie będzie mógł mnie ścigać. Oszczędził mi wysiłku. Ściąganie ubrania z trupa to prawdziwa mordęga. Dopiero po tym go zastrzeliłem.

Pełen obrzydzenia Rhyme pomyślał, że wprawdzie przewidział niebezpieczeństwo związane z tym, że Mag może dysponować bronią i policyjnym radiem, ale do głowy mu nawet nie przyszło, że może użyć tak munduru policyjnego jako kostiumu do szybkiej zmiany. I korzystając z przebrania, zaatakuje tych, którzy na niego polowali.

Gdzie ciało? - spytał cicho.

Na West Side.

Gdzie na West Side?

Wolałbym zatrzymać tę informację dla siebie. Ktoś je znaj.

dzie, jeśli nie dziś, to jutro. Jest ciepło.

Ty sukinsynu! - warknął Rhyme. Formalnie był cywilem, ow
szem, ale w głębi duszy czuł się gliniarzem, teraz i zawsze. A nie
ma lojalności większej niż ta, która łączy gliniarzy.

Jest ciepło.

A jednak Lincoln Rhyme potrafił zachować spokój.

Jak mnie znalazłeś? - spytał na pozór obojętnie.

Targi rzemiosła. Udało mi się podejść do twojej partnerki.

Tej rudej. Bardzo blisko. Tak blisko, jak teraz do ciebie. Dmucha
łem jej w kark, jak tobie... nie wiem, co sprawiło mi większą
przyjemność. W każdym razie rozmawiała przez radio. Z tobą.

Wymieniła nazwisko. Łatwo cię znaleźć po nazwisku, wystarczy
się trochę postarać. Gazety cię kochają, wiesz? Jesteś sławny.

Sławny? Taki kaleka jak ja?

Najwyraźniej.

Rhyme powoli potrząsnął głową.

-

To już przeszłość. Kiedyś było inaczej. Kiedyś moje polecenie

nie... ale nie, od bardzo dawna nie wolno mi nikomu wydawać poleceń.

Słowo „polecenie” poprzez mikrofon komputerowej konsoli dotarło do programu

rozpoznawania głosu. Na monitorze pojawiło się okno; on je widział, ale Mag - nie. W oknie mrugał napis: „Instrukcje?”.

Polecenie? - zdziwił się intruz. - Co masz na myśli?

Byłem szefem wydziału. Ale młodzi funkcjonariusze już

mnie nie pamiętają, choć jestem dobry i nie ma nic prostszego

niż powiedzieć sobie: „On da radę. Wybierz numer”.

Program rozpoznał dwa ostatnie słowa. Wyświetlił pytanie:

„Czyj numer?”.

Rhyme westchnął rozpaczliwie.

-

Opowiem ci o czymś, co bardzo mnie dotknęło. Za ledwie

wczoraj chciałem skontaktować się z policjantem, pewnym po

ruczniakiem, nazywa się Lon Sellitto...

„Wybieram: Lon Sellitto” - zgłosił program.

-

Powiedziano mi...

Mag skrzywił się nagle. Podeszedł do stolika, obrócił monitor, syknął przez zęby, a następnie wyrwał przewody, w tym te łączące modem z gniazdkiem telefonicznym. Rozległ się cichy trzask.

Pochylił się nad łóŜkiem. Rhyme wcisnął głowę w poduszkę pewny, Œe ostatnią rzeczą, jaką zobaczy w Œyciu będzie lśniące ostrze Œyletki. Lecz Mag cofnął się o krok, oddychając cięŜko, z astmatycznym świstem. Wysiłki bezradnego kaleki wprawiły go raczej w podziw niŜ gniew.

- Wiesz, co wlaŒnie zrobiłeś, prawda? - spytał, uŒmiechając się chłodno. - Dobry z ciebie iluzjonista. Najpierw uŒpiłeś mnie byle gadaniem, a potem zastosowałeś typową słowną zmyłkę. Klasyczny podstęp. Godne podziwu. To, co mówiłeś, brzmiało przekonująco... póki nie wymieniłeś nazwiska przyjaciela. Popsułeś wszystko wlaŒnie dlatego, Œe wskazałeś na konkretną osobę. Bo widzisz... to juŜ nie było naturalne. Wzbudziłeś podejrzenia.

Ale wypadłeś Œwietnie.

Nowa sztuczka: „Unieruchomiony człowiek”. - Ja teŜ jestem niezły. - Mag wyciągnął rękę, w dłoni nic nie trzymał. Przeciagnał nią przed twarzą Rhyme'a, który odruchowo schował głowę w ramiona. Poczul, jak coŒ delikatnie muska mu ucho, a kiedy w chwilę później ponownie dostrzegł dłoń, miêdzy jej palcami tkwiły cztery Œyletki. Iluzjonista zacisnął dłoń w pięść, lecz kiedy ją otworzył, z czterech pozostała jedna. Trzymał ją pomiêdzy kciukiem a palcem wskazującym.

Nie, błagam... bardziej niŜ bólu Lincoln Rhyme bał się utraty kolejnego łączącego go ze Œwiatem zmysłu. A tymczasem morderca przesuwał ostrzem przed jego twarzą, tam i z powrotem,

tam i z powrotem.

Ale Mag uŒmiechnął się i cofnął o krok. Odwrócił głowę. Patrzył w ciemność, za którą kryła się tylko Œciana pokoju.

- A teraz, szacowni widzowie, pozwólcie, Œe rozpoczniemy występ od pokazu prestidigitatora.

PomoŜe mi mój przyjaciel, którego tu widzicie. - Słowa te zabrzmiały dziwnie,

wypowiedziane napuszczonym, teatralnym głosem.

Podniósł rękę, w jego dłoni zabłyŒła Œyletka. Jednym pewnym ruchem Mag odciągnął gumkę

gimnastycznych spodenek i bielizny Rhyme'a i rzucił Śyletką niczym freesbie w jego nagie podbrzusze.

Rhyme próbował skulić się, wydać jak najmniejszym.

- I cóŚ myśli teraz ten człowiek? - Mag zwrócił się do swej wymaginowanej widowni. - Wie, Śe ostrze dotyka jego nagiej skóry, 2e w tej chwili moŚe ciąć jądra, Śyły, arterie. A on przecieŚ nic

nie czuje!

Rhyme wpatrywał się w swe ciało. Lada chwila spodziewał się z°baczyć krew.

A-tymczasem na twarzy Maga pojawił się uśmiech.

221

-

Ale... moŚe nie ma tam Śadnych Śyletek? MoŚe są zupełnie gdzie indziej? MoŚe nawet... tu? - Sięgnął do ust, wyciągnął z nich Śyletkę, uniósł dłoń. Zmarszczył brwi. - Chwileczkę... - 2g pierwszą poszła druga i trzecia, i czwarta. Na jego dłoni leŚały cztery śmiercionośne ostrza. RozłoŚył je jak karty i nagle rzucił w powietrze. Rhyme odetchnął głośno; przecieŚ musiały wbić się w jego ciało. Ale... nie. Po prostu znikły.

Czuł pulsowanie na szyi, w skroniach. Opływał potem. Zerknął na zegarek. Wydawało mu

się, Œe alarm powinien odezwać się całe godziny temu, ale nie. Od wyjŒcia Thoma minęło zaledwie piętnaŒcie minut.

Po co to wszystko? - spytał. - Po co zabięŒ tych wszystkich ludzi? O co ci chodzi?

Nie zabięm „tych wszystkich ludzi”. - W głoŒie mordercy zabrzmiał wyraŒnie słyŒzalny gniew. - ZepsuęŒ mi występ z amazunką nad Hudsonem.

No dobrze. Po co na nich napadaęŒ? Dlaczego?

To nie było nic osobistego. - Mag rozkaszał się nagle.

Nic osobistego? - zdumiał się Rhyme.

Powiedzmy sobie, Œe chodziło raczej o to, co sobą reprezentowali, niŒ to, kim byli.

Co to znaczy „reprezentowali”? Wytłumacz.

Nie - wydyszał Mag. - Nie sãdę, bym miał ochotę to tłumaczyć. - Spojrzał na drzwi. - Kończy się nam czas - szepnął z namysłem. Obszedł łóŒko; oddychał cięŒko, chrapliwie. - Czy ty w ogóle wiesz, o czym myŒlą widzowie? Większość po cichu liczy na to, Œe iluzjonista nie uwolni się z więzów na czas, Œe się utopi, Œe spadnie na ostre pale, Œe spłonie. Jest taki numer, nazywa się „Płonące lustro”. Mój ulubiony. Iluzjonista patrzy w lustro. Chce zobaczyć w nim siebie, ale nie, widzi pięknią dziewczynę. Dziewczyna przywołuje go skinieniem dłoni, a on daje się skusić. Przechodzi przez lustro, na naszych oczach oboje zmieniają się miejscami, przed lustrem stoi teraz dziewczyna, iluzjonista jest w nim

zamknięty. I nagle... w powietrze wznosi się chmura dymu. Dziew

czyna dokonuje szybkiej zmiany, staje się szatanem.

Iluzjonista zostaje uwięziony w piekle, przykuty łańcuchami do podłogi. I z tej podłogi

buchają płomienie, otaczają go kręgiem. Ogień płonie tak blisko przed lustrem, jego jedyną drogą?

ucieczki. Ściana ognia zbliża się nieubłaganie i gdy ma już włożyć się na iluzjonistę, uwalnia się on z łańcuchów, przeskakuje przez ogień odgradzający go od zwierciadła. Jest bezpieczny.

On biegnie w jego stronę, wlatuje w powietrze, znika. Iluzjonista rozbija lustro młotem, po czym przechodzi wzdłuż sceny i pstryka. Błyska światło i on, jak już się pewnie domyśliłeś, zmienia się w diabła. To jest coś, co widzowie po prostu kochają! Ale ja wiem, że każdy z nich gdzieś, w sekrecie, nie przyznając się do tego przed sobą, śyczy sobie, by ogień

zwyciężył, a iluzjonista zginął! - Umilkł na chwilę. - No i oczywiście to się zdarza. Od czasu do czasu.

Kim jesteś? - szepnął Rhyme. Porzucił już wszelką nadzieję.

Ja? - Mag pochylił się ku niemu. Oddychał szybko, ciężko,

hałaśliwie. - Jestem Czarodziejem Północy. Jestem największym

iluzjonistą wszech czasów. Jestem Houdinim. Jestem kimś, kto

potrafi uciec z płonącego lustra. Wyzwolę się z kajdanek, z pęt,

z łańcuchów, zamkniętych pokoi, uwolnię się od wszystkiego... -

spojrzał Rhyme'owi wprost w oczy - ...oprócz ciebie. Bałem się,

że od ciebie nigdy się nie uwolnię. Za dobry jesteś. Muszę cię po

wstrzymać przed jutrzejszym popołudniem.

Dlaczego? Co ma się zdarzyć jutro po południu?

Mag nie odpowiedział. Spojrzał w bok i rozpoczął przemówienie:

-

A teraz, szacowni widzowie, zapraszam na atrakcję wieczoru. Oto „Zwęglony człowiek"! Przypatrzcie się tylko naszemu bohaterowi: nie krępują go łańcuchy ani kajdanki, ani sznury.

A jednak wydaje się, że nie ma szans na ucieczkę. Trudniej by mu było niż pierwszemu na świecie specjalście od uwalniania się z więzów, świętemu Piotrowi. Wrzucony do więziennej jamy, skuty i strzeżony, święty Piotr uciekł. Oczywiście miał bardzo kompetentnego asystenta, samego Pana Boga. Nasz bohater jest jednak zdany tylko na siebie.

W dłoni Maga pojawił się mały, szary przedmiot, on sam pochylił się tak szybko, że Rhyme nie zdążył nawet odwrócić głowy. *· jednej chwili został zakneblowany taśmą samoprzylepną.

Następnie Mag wyłączył wszystkie światła z wyjątkiem małej lampki na nocnym stoliku. Znow podszedł do łóżka, podniósł wskazujący palec, potarł go kciukiem, zapalając niemal dziesięciocentymetrowy płomień. Poruszył nim w jedną, potem w drugą stronę.

~ Pocisz się, jak widzę. - Przysunął płomień do twarzy Rhyme'a - Płomień... jakie to fascynujące. Iluzje nie znają bardziej pokonującego obrazu. Nie sposób wyobrazić sobie wspaniałej zmyłki. Wszyscy na niego patrzą. Widząc go na scenie, nie potrafią oderwać od niego oczu. Drugą ręką mogę zrobić wszystko, a ty tego nawet nie zauważysz. - W dłoni

intruza pojawiła się butelka starej szkockiej. Zabójca pociągnął z niej łyk, podniósł płomień do ust. Rhyme znow wciągnął głowę w ramiona, lecz Mag uśmiechnął się tylko, odwrócił i buchnął płomieniem w stronę sufitu. Cofał się powoli, ogień rozjaśniał głębokie cienie sypialni Rhyme'a.

Kryminalistyk zerknął na ścianę, w rogu sypialni. Intruz zaśmiał się kpiąco.

- Wykrywacz dymu? Załatwiony! Bateria wysiadła. - Mag wydmuchnął w powietrze strumień ognia i odstawił butelkę whisky.

Nagle tuż przed twarzą Rhyme'a pojawiła się biała, śmierdząca benzyną chustka. Ostry zapach sprawił, że jego oczy zaszły łzami, a nos zapiekł go nieprzyjemnie. Intruz zwinął chustkę, rozerwał piśnię ofiary, i zawiązał mu chustkę na szyi. Potem podszedł do drzwi, bezgłośnie odsunął zasuwkę, wyjrzał na zewnątrz.

Rhyme poczuł tę inną woń, gęstą i nieco słodkawą. Co to? Udało mu się zidentyfikować ją niemal natychmiast. Szkocka. Zapewne Mag pozostawił gdzieś obok otwartą butelkę.

Nie, to nie to. Zapach whisky stawał się coraz mocniejszy, wręcz wszechpotężny, przytłumił nawet smród benzyny. Rhyme zrozumiał, co się dzieje, i poczuł rozpacz. Intruz rozlał whisky na podłogę, pomiędzy łóżkiem a drzwiami. Drogi, wspaniały alkohol miał posłużyć jako zapalnik.

Mag pstryknął palcami. Mała kula ognia wyleciała z jego dłoni wprost w kałuś szkockiej.

Błękitny płomyk pomknął po podłogę. Za chwilę zapłonęły stos magazynów i tekturowe pudło stojące obok łóżka. A także bambusowy fotel.

Za chwilę zapłonęła pościel, a potem ogień sięgnął jego ciała. Początkowo niczego oczywiście nie poczuje, ale to się zmieni, gdy płomień sięgnie jego twarzy i głowy. Rhyme odwrócił głowę, ale nikogo nie zobaczył. Mag uciekł. A tymczasem ogień pożerał pudła i książki, topił płyty kompaktowe. Dym drażnił nos i oczy.

Niespełna minutę później błękitnym płomieniem zapłonął koc, którym otulone były stopy Lincolna Rhyme'a.

21

Bardzo przejęty rolą obrońcy prawa i porządku funkcjonariusz Jpolicji nowojorskiej, usłyszawszy zapewne jakiś dziwny dźwięk, wszedł w alejkę między dwoma domami stojącymi na West Side. Piętnaście sekund później z alejki wyszedł mężczyzna ubrany w cienki bordowy golf i obcisłe dżinsy. Na głowie miał

czapeczkę bejsbolową.

Zrezygnowawszy z roli policjanta Larry'ego Burke'a, Malerick wyszedł na Broadway. Szedł

szybkim, zdecydowanym krokiem. Ktoś, kto spojrzałby mu w twarz, zauważyłby z

pewnością, że wesoło rozgląda się na boki, jakby szukał rozrywki, i założyłby się, że szuka on na West Endzie miejsca, gdzie mógłby dowartościować zarówno swe ego, jak i męskość, które u mężczyzn po pięćdziesiątce na ogół bardzo potrzebują dowartościowania.

Przystanął przy mieszczącym się w piwnicy barze, zajrzał do środka. Uznał, że to bezpieczne schronienie, przynajmniej na jakiś czas. Potem miał zamiar wrócić do domu Lincolna Rhyme'a i sprawdzić, jakich zniszczeń dokonał ogień.

Usiadł przy samym końcu baru, niedaleko wejścia do kuchni. Zamówił sprite i kanapkę z

indykiem. Rozejrzał się dookoła. Zobaczył rząd automatów do gry, wydających

charakterystyczne, elektroniczne piski, i zakurzoną szafę grającą. Salę barową czuć było

dymem, potem i środkiem dezynfekcyjnym. Słyszał tylko pijackie śmiechy i szum

bezsensownych rozmów. Atmosfera przypomniała mu świat młodości, którą spędził w

mieście zbudowanym

z Piasku.

Las Vegas to lustro otoczone płomieniem świateł; można w nie patrzeć, jak długo się chce,

lecz każdy wyraźnie zobaczy tylko własną twarz z bliznami po ospie i zmarszczkami - szarą, zmęczoną, niepewną. Las Vegas tonie w kurzu, Las Vegas nic zna współczucia, światła Stripu gasną już przecnicę dalej, nie docierają do właściwego miasta przyczep

kempingowych, zapadających się bungalowów, lokalnych, zawsze zasypanych piaskiem,

centrów handlowych, lombardów sprzedających pierścionki zaręczynowe marynarki, sztuczne

repe... wszystko, co ktoś kiedyś zmienił na ćwiartki i srebrne dolarówki.

I wszędzie, wszędzie bura, niekończąca się pustynia. W takim świecie urodził się Malerick.

Ojciec był krupierem przy stole do blackjacka, matka kelnerką w barze (tyła, więc w końcu

zajęła miejsce za kasą). Byli zaledwie dwójką z armii szarych pracowników Vegas,

traktowanych jak mrówki zarówno przez szefów kasyn, jak i ich klientów. żyli w świecie

pieniędzy, poznali je tak blisko, że czuli zapach tuszu, potu i perfum, którymi przesiąkły, ale nie pozwolono im nawet o nich marzyć. Wiedzieli, że banknoty przejdą przez ich ręce i to wszystko; znikną równie nagle, jak się pojawiły.

Jak wiele dzieci z Vegas, pozostawionych samym sobie przez rodziców pracujących ciężko, długo i w nienormowanym czasie, jak wiele dzieci z nieszczęśliwych rodzin, Malerick szukał miejsca, w którym czułby się bezpiecznie, a przede wszystkim dobrze. Dla niego tym miejscem był Strip.

Szacowni widzowie, mówiłem wam już o zmytce, o tym, jak iluzjonista odwraca waszą uwagę od metody, używając do tego ruchu, barw, światła, dźwięków. No cóż, zmyłka to nie tylko technika iluzjonisty, to jeden z aspektów życia. Wszystkich nas przyciąga to, co jasne i błyszczące, co zaprzecza wszechobecnej nudzie, rutynie, rodzinnym kłótniom, drzemce w upale na granicy pustyni, co pozwala zapomnieć o uśmiechniętych nastolatkach gotowych prześladować cię tylko dlatego, że jesteś mały, chudy i nieśmiały, a kiedy już kogoś dopadną, te dzieciaki biją pięściami twardymi jak skorupy skorpionów...

Dla Malericka ucieczką był Strip.

Zwłaszcza te sklepy, które sprzedawały magiczne akcesoria. Było ich wiele; na całym świecie Las Vegas znane jest w środowisku jako Stolica Magii. Chłopiec szybko się zorientował, że sklepy to nie tylko sklepy, lecz także miejsca spotkań, że tam iluzjoniści i ich uczniowie wymieniają się wiedzą, opowieściami i plotkami.

W jednym z owych sklepików chłopiec dowiedział się o sobie czegoś bardzo ważnego. Był chudy, nieśmiały, nie potrafił szybko biegać, to wszystko prawda... ale los obdarzył go

fenomenalną zręcznością i koordynacją. Ludzie pracujący w tych sklepach, a na ogół pracują w nich młodzi lub emerytowani iluzjoniści, pokazywali mu, jak można coś ukryć, gdzie odnaleźć, jak zmylić widownię, jak odwrócić jej uwagę, a on uczył się tego błyskawicznie.

Jeden ze sprzedawców spojrział na niego, uniósł brew i powiedział o trzynastolatku; „Jest urodzonym prestidigitatorem”.

Chłopiec się zdziwił. Nigdy nie słyszał tego słowa. - Wymyślił je francuski magik w

dziewiętnastym wieku - wyjaśnił sprzedawca. - Presti jak presto, szybko. Digit to z łaciny palec. Prestidigitator, czyli ktoś o szybkich palcach. O zręcznej ręce. Może więc chłopiec był

jednak kimś więcej niż jeszcze jedną gębą do wyśywienia w rodzinie, kimś więcej niż szkolną ofertą, regularnie bitą na boisku.

Codziennie o trzeciej dziesiątej wychodził ze szkoły i szedł prosto do ulubionego sklepu.

Siedział w nim, jak długo się dało, chłonąc szczegóły metody. Właściciel „Jaskini Magii”, jednego z wielu sklepów z magicznymi akcesoriami, wpuszczał go od czasu do czasu na zaplecze, pozwalał mu na krótkie pokazy i występy.

Nadal pamiętał tę wspaniałą chwilę, kiedy po raz pierwszy wszedł na niską scenę. Od tego momentu Młody Houdini - bo taki był jego pierwszy pseudonim - błagał, a kiedy to nie pomagało, rozpychał się łokciami, słowem robi! wszystko, by na nią wrócić. Ile radości dawało mu obserwowanie zauroczonej występem publiczności, zachwyconej tym, jak ją oszukiwał, kupującej wszystkie jego sztuczki! Bojącej się, gdy chciał, żeby się bała! A już najbardziej lubił ją straszyć.

W końcu przyłapano go, co było przecież nieuniknione. Pierwsza zorientowała się matka; zwróciła uwagę na to, że syn coraz rzadziej bywa w domu. Przeszukała jego pokój, by dowiedzieć się dlaczego.

Znalazłam pieniądze - powiedziała pewnego dnia. Chłopiec właśnie stanął w progu kuchni; mama oderwała się od kolacji, Podeszła do niego; wyglądała bardzo groźnie. - Skąd się wzięły?

Z „Abrakadabry”.

A co to takiego?

Sklep przy „Tropicanie”, Mówiłem ci przecież...

Masz się trzymać z dala od Stripu!

Mamusi, przecież to tylko sklep. Sklep z akcesoriami magicznymi!

a—

Gdzie byłeś? Piłeś, co? Czuć od ciebie alkohol?

-
Mamusi, nie! - Przerażała go ta wielka kobieta w koszulce po
plamionej sosem do spaghetti. To jej oddech śmierdzał straszliwie.

-
Jeśli złapią cię w kasynie, mogę stracić pracę. Twój ojciec też.
Byłem w sklepie. Występowałem... takie małe przedstawie
nie. Widzowie czasami dają mi napiwki.
Za dużo tego jak na napiwki. Mnie tyle nie dawali, nawet
kiedy byłem hostessą.

-
Jestem dobry.
Ja też byłem... zaraz! Przedstawienie? Jakie przedstawienie.
Magia. -Jakie to straszne, pomyślał chłopiec, zły i sfrustro
wany. Przecież mówił matce o występach. Mówił kilka tygodni te
mu. - Popatrz - powiedział i pokazał jej prostą sztuczkę karcianą.
Spodobała mi się. -Matka skinęła głową. -Ale kłamałeś, to

teŜ zatrzymuję pieniãdze.

Nie kłamałem!

Nie powiedziałeś mi, co robisz. To to samo co kłamstwo.

Mamo, zarobiłem te pieniãdze.

Kłamiesz, płacisz.

Schowała banknoty do kieszeni dŃinsów z wysiłkiem, bo zasłaniał ją brzuch. Nagle zawahała się.

W porzãdku, dostaniesz dziesiątkę. Jeśli coŃ mi powiesz.

-Ja...?

Tak. Czy widziałeś kiedyŃ ojca z Tiffany Loam?

Nie wiem. A kto to taki?

Wiesz. Nie udawaj. Kelnerka z „Sands”, parę miesięcy temu

była u nas na kolacji. Z męŃsem. Miała Ńóltã bluzkã.

Więc...

Widziałeś ich czy nie? Na przykãlad wczoraj, kiedy wyjeŃdŃali

na pustynię?

Nie, nie widziałem.

Matka przyjrzała mu się uwaŃnie i doszła do wniosku, Ńe mówi prawdã.

-

Jeśli ich zobaczysz, daj mi znać.

Kiedy wracała do swego spaghetti, jej syn ośmielił się powiedzieć.

Pieniądze, mamusiu.

Zamknij się. Przegrałeś dublę*.

* Dubla (Daily Double) - metoda gry na wyścigach konnych (takie psich). Wymaga wytypowania zwycięzcy w dwóch kolejnych wyścigach, najczęściej pierwszym i drugim lub drugim i trzecim.

228

Pewnego dnia, gdy znów występował w „Abakadabrze”, zdumiał się, widząc wchodzącego do sklepu szczupłego, bardzo poważnego mężczyznę. Kiedy szedł w stronę „Jaskini Magików”, wszyscy obecni w sklepie, łącznie ze sprzedawcami, zamilkli. Był to słynny iluzjonista, który pracował z Blackstone'em, Kerskinem i Zdumiewającym Randim. Angażowano go nawet w „Tropicanie”! Słynął ze zmiennych nastrojów i mrocznych, przerażających sztuczek.

Po pokazie mężczyzna przywołał go skinieniem dłoni. Wskazał mu wypisaną ręcznie wizytówkę na scenie.

Nazwał się „Młodym Houdinim”? - spytał.

Tak, proszę pana.

Sądziś, że jesteś wart tego imienia?

Nie wiem. Po prostu mi się spodobało.

Pokaż mi coś jeszcze. - Mężczyzna skinął głową, wskazując gestem przykryty aksamitem stolik.

Chłopiec wykonał kilka sztuczek. Denerwował się, wiedział przecieŜ, Ŝe obserwuje go sława. Skinienie głowy; miał wraŜenie, Ŝe z aprobatą. Czternastolatek doczekał się takiego uznania! Obecni w sklepie fachowcy byli tak zdumieni, Ŝe wręcz odebrało im głos!

-

Chcesz się uczyć?

Malerick tylko kiwnął głową. Był zbyt zaskoczony, by przemówić.

-

Daj mi monety.

Chłopiec wyciągnął dłoń. Słynny iluzjonista spojrział na nią, wyraźnie zdziwiony.

-

Co z nimi zrobiłeś?

Bo dłoń była pusta. Gość roześmiał się chrapliwie, widząc zdumienie na twarzy chłopca. Sam przecieŜ odebrał mu monety i trzymał je teraz w zaciśniętej garści. Zdumiał tym swego młodego kandydata na ucznia, który nic nie poczuł. Zupełnie nic.

-

A teraz zatrzymam tę w powietrzu...

Młody Malerick posłusznie podniósł wzrok, lecz nagle instynkt podpowiedział mu: „Zaciśnij pięść. On przecieŜ włoŜy w nią twoje monety. Zawstydz go przed wszystkimi obecnymi tu fachowcami. Złap go z ręką w cudzej kieszeni!”.

Iluzjonista nadal patrzył mu w twarz. Znieruchomiał i szepnął bardzo cicho:

-

Jesteś pewien, Ŝe chcesz to zrobić?

Chłopiec zawahał się.

Ja...

Radzę ci, pomyśl.

Młody Houdini spojrział na swą dłoń, tę, którą miał zamiar chwycić rękę sławy. Zamarł, przeraŜony. Owszem, coś na niej le-Ŝało, nie monety, lecz pięć Ŝyletek. Gdyby zacisnął pięść, nie oby-łoby się bez kilkunastu szwów.

Muszę obejrzeć twe dłonie - powiedział męŜczyzna, zabiera,

jąc Ŝyletki, które natychmiast zniknęły. Następnie przeciągnął

kciukiem po skórze dzieciaka, a ten odniósł wraŜenie, jakby

przeszył go prąd elektryczny.

Masz ręce geniusza - wyszeptał do ucha chłopca, tak by tylko on go usłyszał. - A takŜe motywację i wiem, Ŝe nie zabraknie

ci okrucieństwa... ale brak ci wizji. Na razie. -W jego dłoni poja

wiała się Sylwetka. Przeciął nią kawałek papieru, który zaczął krwa-
wić. Zmiał go, rozwarł dłoń. Po rozcięciu nie pozostał nawet ślad.

Wręczył kartkę swemu przyszłemu uczniowi; był na niej adres
zapisany czerwonym atramentem.

Zawsze możesz do mnie przyjść. - Jego wargi musnęły ucho

Młodego Houdiniego. - Wiele jeszcze musisz się nauczyć... a ja
wiele cię mogę nauczyć.

Malerick zachował adres, ale brakowało mu odwagi, by pójść na spotkanie z iluzjonistą. Jego życie
zmieniła na zawsze matka, która w dniu piętnastych urodzin syna dostała ataku szału.

Zaczęła wrzeszczeć, po czym cisnęła w męża talerzem fettuccini. Poszło o nieuchwytną panią Loam,
jakby inaczej.

Chłopiec zdecydował, że ma tego dość. Następnego dnia odwiedził iluzjonistę, który zgodził
się zostać jego mentorem.

Trafił na właściwą chwilę. Za dwa dni jego pan i władca miał ruszyć w trasę po całych
Stanach Zjednoczonych. Potrzebował asystenta. Młody Houdini podjął wszystkie pieniądze z
konta bankowego, które założył w tajemnicy przed rodzicami, i poszedł w ślady swego
imiennika. Uciekł z domu, by zająć się magią. Różnica między nimi polegała na tym, że
Harry Houdini usiłował zarobić, by pomóc swej żyjącej w nędzy rodzinie, i wkrótce do niej
powrócił, a młody Malerick ze swoimi rodzicami poświęcił się na zawsze.

-

Cześć. Jak leci?

Wspomnienia przerwał mu gardłowy głos. Przysiadła się do niego kobieta, wyglądająca na

stałą bywalczynię tej knajpy przy Upper West Side. Pięćdziesięciolatka, słabo udająca czterdziestolatkę, wybrała tę knajpę najpewniej z powodu bardzo słabego

230

światła. Usiadła na sąsiednim stołku, pochyliła się ku Malerickowi próbując skusić go głęboko wyciętym dekoltem. Przepraszam, pani coś mówiła? Spytałam, jak leci. Jesteś tu nowy, prawda? Przyjechałem do miasta na kilka dni.

- Aaaach - westchnęła przeciągle. Musiała być nieźle pijana. Wyjęła papierosa i podstawiała mu go irytującym gestem, jakby oczekiwała, że będzie szczęśliwy, mogąc podać jej ogień.

- Słuchaj pani. - Malerick pstryknął zapalniczką. Przynajmniej ten płomień zatańczył szaleńczo; ujęła jego dłoń w swe drżące ręce o palcach chudych jak szpony.

- Dziękuję. - Wydmuchnęła dym w powietrze, a kiedy opuściła głowę, dostrzegła, jak Malerick wsuwa banknot pod talerzyk i wstaje z barowego stołka.

Skrzywiła się.

- Muszę lecieć. Aha, to chyba pani własność. - Tajemniczy mężczyzna podał jej małą metalową zapalniczkę. Spojrzała na nią zdumiona, bo to rzeczywiście była jej zapalniczka.

Wyjął ją z torebki, kiedy się ku niemu pochyliła.

- Pomyślałem, że nawet z tym sobie nie poradzisz - szepnął Malerick z okrutną kpina, zostawiając kobietę samą przy barze. Widząc łzy, ślwiące rowki w grubo nałożonym makijażu, pomyślał o swych sadystycznych numerach; tych, które już wykonał, i tych, które zaplanował na weekend. Krew, cięte na kawałki ciało i ogień... ogień, który zawsze wydawał mu się najpiękniejszy. Wycie syren usłyszała, kiedy od celu dzieliły ją jeszcze dwie

przecznice.

Amelia Sachs musiała po prostu uznać, że to śmieszne. Usłyszała tak dobrze znany, przeciągły jęk i natychmiast wyobraziła sobie, że dobiega od strony miejskiego domu Lincolna Rhyme'a. Przecież to niemożliwe, powiedziała sobie. Coś takiego po prostu nie ma prawa się zdarzyć. Ale czerwone i niebieskie migające światła skupiły się na Central Park West, w tak dobrze jej znanym miejscu.

Bez nerwów, dziewczyno, próbowała się uspokoić. Przecież to tylko twoja wyobraźnia, pobudzona tym niesamowitym wizerunkiem Arlekina na fladze Cirque Fantastique. Maskami iluzjonistów, straszną rzeczywistością morderstw Maga. Popadasz w paranoję.

Trochę tu strasznie...

Daj sobie spokój!

Do drugiej ręki przełożyła torbę, ciężką od pachnącego czosnkiem kubańskiego jedzenia.

Wraz z Karą szły zatłoczonym chodnikiem, rozmawiając o rodzinach, pracy i o Cirque Fantastique. O mężczyznach też.

Pif,paf.

Dziewczyna popijała kubańską kawę. Przyznała, że zakochała się w niej i popadła w nałóg od pierwszego łyku. Kawa nie tylko była o połowę tańsza niż w Starbucks, ale także dwa razy mocniejsza.

-

Z matematyki nie jestem za mocna - przyznała - ale wycho
dzi na to, że jest cztery razy lepsza. Wiesz, Amelio, uwielbiam ta
kie odkrycia. To drobiazgi dodają syciu barwy, nie uważasz?
Ale Amelia Sachs już dawno straciła wątek rozmowy. Obok nich przemknęła kolejna karetka.
W duszy modliła się o to, by minęła dom Rhyme'a.
Nie minęła. Z piskiem opon zatrzymała się na rogu.

-

Nie...

-

O co chodzi? - zdumiała się Kara. - Jakiś wypadek?

Sachs rzuciła torbę z jedzeniem na ziemię i ruszyła biegiem
w kierunku domu Rhyme'a.

-

Och, Lincoln...

Kara popędziła za nią. Gorąca kawa parzyła jej dłonie. Odrzuciła kubek. Dogoniła policjantkę.

-

O co chodzi? - krzyknęła.

Skręciły za rogiem. Przed domem Rhyme'a stało kilka wozów straży pożarnej i pogotowia.

Początkowo Amelia była pewna, że Rhyme dostał ataku dysrefleksji, ale teraz nie miała już wątpliwości, że w jego domu wybuchł pożar. Podniosła wzrok i aż sapnęła z przerażenia. Z okien sypialni Rhyme'a na pierwszym piętrze wydostawał się dym.

Jezu, nie!

Przeszła pod policyjną taśmą. Pobiegnęła do wejścia, w którym stała grupka strażaków, przeskoczyła schody, na chwilę zapominając o artretyzmie. Poślizgnęła się na kamiennej podłodze korytarza na parterze.

Hol i laboratoria wydawały się nietknięte, choć powietrze przesycone było dymem. Widziała go i czuła jego zapach.

Na schodach pojawili się dwaj strażacy. Amelii wydawało się, że widzi na ich twarzach smutek i rezygnację.

-

Lincoln! - krzyknęła.

Zamierzała popędzić wyŚej, ale powstrzymał ją Lon Sellitto.

- Amelio, nie! - krzyknął, pojawiając się w korytarzu.

Obróciła się przeraŚona, pewna, Śe chce jej oszczędzić widoku spalonego ciała. Pomyślała nawet: jeśli Mag zabrał mi Lincolna, nie poŚyje długo. Nic na świecie mnie nie powstrzyma.

-

Lon!

Sellitto przywołał ją do siebie skinieniem, a kiedy podeszła, przytulił mocno.

-

Nie ma go w sypialni - powiedział.

Czy...?

Nie, nie, nic mu się nie stało. Jest cały i zdrowy. Thom zniósł go na dół, do pokoju gościnnego.

-

Dzięki Bogu - westchnęła Kara. Z niedowierzaniem przyglą

dała się kolejnym schodzącym z piętra strażakom: potężnie zbudowanym kobietom i mężczyznom, którzy w mundurach i ze sprzętem wydawali się jeszcze potężniejsi.

Przyłączył się do nich Thom. Twarz miał poważną, wręcz ponurą.

Nic mu nie jest, Amelio. śadnych poparzeń, tyle że trochę nawdychał się dymu. Skoczyło mu ciśnienie, ale już dostał lekarstwa. Wróci do siebie.

Co się stało? - spytała Sachs, zwracając się do Lona Sellitto.

-

Mag - burknął detektyw i westchnął. - Zabił Larry'ego Burke. Ukradł jego mundur. Dostał się do domu i w jakiś sposób wkradł do sypialni Lincolna. Podpalił pokój. Siedzieliśmy na dole, nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Dym zauważył ktoś z ulicy. Zadzwoił pod dziewięć-jeden-jeden. Centrala natychmiast skontaktowała się ze mną. Kiedy przyjechała straż, Thom, Mel i ja zdążyliśmy ugasić pożar.

A Mag? Jak rozumiem, nie udało się go złapać?

Tęgi detektyw roześmiał się gorzko.

A jak myślisz? Zniknął. Jakby rozplynał się w powietrzu.

Po wypadku, który uczynił z niego paralityka, gdy udało mu się już opanować bezsensowny śal, kaśacy spędzać każdą chwilę na modlitwie o to, by nogi znów zaczęły działać, Lincoln

Rhyme Przestał walczyć z losem i skupił całą swą siłę woli na walce o cel znacznie bliższy i łatwiej osiągalny. O samodzielne oddychanie.

Ofiary wypadków, w których złamany zostaje czwarty kręgosłupa, licząc od podstawy czaszki, w skrajnych wypadkach potrzebują sztucznego płuca. Nerwy przewodzące sygnały z mózgu do przepony mogą działać bądź nie. Płuca Rhyme'a nie chciały pracować prawidłowo, przystawiono mu więc maszynę z prowadzącą do piersi rurą. Nienawidził jej, nienawidził jej mechanicznego posapywania i bardzo nieprzyjemnego uczucia, że nie musi oddychać, choć przecież wiedział, że to nie on oddycha. Ale uczucie pozostało.

Maszyna miała także przykry zwyczaj zatrzymywania się co jakiś czas w najmniej odpowiednich momentach.

Lecz nagle jego płuca odzyskały sprawność i mógł już oddychać samodzielnie. Lekarze uznali, że był to po prostu przykład naturalnego stabilizowania się stanu organizmu po ciężkiej traumie, ale Rhyme wiedział, że w tym wypadku się mylą. To on dokonał tego, co uważał za cud, on i tylko on. Siłą woli. Wciągnięcie powietrza w płuca - początkowo płytko, bardzo płytko, ale przynajmniej samodzielnie - było jednym z jego największych życiowych sukcesów. Teraz ćwiczył, by przywrócić czucie w ciele; sądził nawet, że może kiedyś

odzyskać zdolność poruszania kończynami. Ale nawet gdyby mu się udało, wątpił, by duma z tego wyczynu przewyższyła dumę, którą czuł, gdy odłączono go od sztucznego płuca.

W tej chwili Lincoln Rhyme wspominał kłęby dymu, unoszące się z płonącego płótna, papieru i plastiku, otaczające go ze wszystkich stron. Wpadł w panikę, ale, co było dziwne, mniej martwił się tym, że umrze w płomieniach, a bardziej tym, jak ten straszny dym niszczy jego płuca. Oczami duszy widział wbijające się w ich tkankę ostre opiłki metalu, niweczące jedyne zwycięstwo, które odniósł jako kaleka. Było zupełnie tak, jakby Mag bezbłędnie trafił

go w najczulsze miejsce.

Kiedy Thom, Sellitto i Cooper wpadli do jego sypialni, nie pomyślał z wdzięcznością o tym, że ratują mu życie, że obaj policjanci trzymają w rękach gaśnice. Nie. Pragnął krzyknąć: „Ratujcie moje płuca!”.

Thom natychmiast założył mu maskę tlenową. Rhyme głęboko odetchnął słodkim, oświeczającym

gazem. Już na dole przebadał go zarówno lekarz pogotowia, jak i jego doktor specjalista.

Przemyli kilka niegroźnych ran, opatrzyli kilka niegroźnych oparzeń. Siadów po cięciu

Ŝyletką nie znaleźli, Mag nie zostawił teŜ Ŝyletek ukrytych w pościeli lub piŜamie. Lekarz uznał, Ŝe płucom pacjenta nic się nie stało i zalecił tylko, by Thom obracał go częściej niŜ

zwykle, co miało zapobiec ewentualnemu gromadzeniu się płynów.

Dopiero wówczas Rhyme zaczął się uspokajać. Ale o prawdziwym spokoju nie mogło być

mowy. Morderca dokonał dzieła o wiele okrutniejszego niŜ zadanie mu niegroźnych

fizycznych ran. Przypomni ł ofierze, jak bardzo zagrożone jest jego Ŝycie, jak niepewna przyszłość.

Nienawidził go za to. Nie chciał czuć się zagrożony i tak strasznie bezradny.

Lincoln! - Amelia wpadła do pokoju, usiadła na starym łóŜ

ku ortopedycznym, pochyliła się i przytuliła go mocno, a on wtu

lił głowę w jej włosy. Płakała. Od czasu gdy się poznali, łzy w jej

oczach widział raz, moŜe dwa razy.

Tylko nie po imieniu - szepnął. - Pamiętaj, Ŝe to przynosi

pecha. A pecha wystarczy nam na dziś i kilka następnych dni.

Nic ci się nie stało?

Nie, nic - szepnął. Wiedział, Ŝe to nielogiczne, ale ciągle się

bał, Ŝe jeśli przemówi głośnie, cząsteczki dymu przebiją mu płu

ca, zniszczą je. - Ptaki? - spytał. Modlił się o to, by nic złego nie

spotkało jego sokołów. Nie przejąłby się, gdyby zdecydowały, Ŝe

gdzie indziej, w innym domu, będzie im lepiej, nie zniósłby jed

nak, gdyby zostały ranne lub zginęły.

Thom twierdzi, że czują się świetnie. Po prostu przesiadły się na sąsiedni parapet.

Pozostali tak przytuleni, póki w drzwiach nie pojawił się Thom.

-

Muszę obrócić cię na drugi bok - oznajmił.

Amelia uściskała Rhyme'a mocno i wstała. Obserwowała opiekuna, który sprawnie sobie radził z podopiecznym.

-

Przeszukaj miejsce przestępstwa - powiedział Rhyme. - Coś musiał po sobie zostawić. Na przykład chustę, którą zawiązał mi wokół szyi. I nie zapominajmy o Śyłkach!

Sachs wyszła z sypialni. Nie była tu potrzebna. Thom zajął się czyszczeniem płuc pacjenta.

Wróciła po dwudziestu minutach. Zdjęła kombinezon, schowała go do walizki.

-

Niewiele znalazłam - przyznała. - Tę chustkę, o której wspomniałeś, i trochę odcisków palców. Kupił sobie nowe Ecco. Jeśli zostawił coś poza tym, to spłonęło. Aha, znalazłam jeszcze butelkę szkockiej, ale zakładam, że to twoja.

-

No, owszem - szepnął Rhyme. W innej sytuacji zakpiłbyś kogoś, kto używa osiemnastoletniej whisky jako zapalnika.

W tej chwili nie miał jednak ochoty na Sarty.

Wiedział, że nie znajdzie wielu dowodów. Te, które znajduje się przy podpaleniach, zazwyczaj dokumentują tylko to, gdzie i jak podłożono ogień. To wiedział, że z badania miejsca przestępstwa powinien dowiedzieć się więcej.

235

Co z taśmą klejącą? Thom zerwał ją i rzucił na ziemię.

Nic z niej nie zostało. Spłonęła.

Zajrzyj za łóżko. Od strony głowy. Mag stał właśnie tam. Może...

Zajrzałam.

Spróbuj jeszcze raz. Musiałaś coś pominąć. Musiałaś...

Nie - powiedziała krótko Amelia.

-Co?

Zapomnij o miejscu przestępstwa. Mag przerobił je na grzanekę... jeśli wolno mi tak to ująć.

Przecież trzeba jakoś popchnąć tę sprawę!

I popchniemy. Przez przesłuchanie świadka.

Jakiego świadka - prychnął. - Nikt nie wspomniał mi o Śadnym świadku.

Ale jest.

Mówiąc te słowa, Amelia Sachs podeszła do drzwi i zawołała Łona Sellitto. Detektyw wszedł do pokoju obwąchując marynarkę i strasznie marszcząc przy tym nos.

Garnitur za dwieście czterdzieści dolców i co? JuŜ po nim, cholera. O co ci chodzi?

Mam zamiar przesłuchać świadka, poruczniku. Ma pan magnetofon?

Jasne. - Poda! jej magnetofon. - Masz świadka?

Daj sobie spokój ze świadkami - zniecierpliwił się Rhyme.

- Wiesz, Œe na nich nie moŜna polegać. Trzymaj się dowodów.

Nie. Z tego świadka wyciągniemy coś naprawdę dobrego.

Moja w tym głowa.

Kryminalistyk spojrział na drzwi, ale nikogo nie dostrzegł.

Cholera, kto jest tym tajemniczym świadkiem - prychnął.

Ty - odparła Amelia Sachs, przysuwając krzesło bliŜej łóŜka.

J

a? To śmieszne. - Nie. To nie jest śmieszne.

Daj sobie spokój. Przejdź po siatce. Musiałaś coś pominąć.

Za krótko to trwało. Gdybyś była nowa...

Nie jestem nowa. Umiem szybko przeszukać miejsce prze
stępstwa i wiem, kiedy przestać szukać i zabrać się do czegoś
bardziej produktywnego,

Amelia włączyła mały magnetofon Sellitta, sprawdziła, czy w środku jest taśma i zaczęła
dyktować:

-

Nagrania dokonuje funkcjonariuszka patrolu Amelia Sachs,

numer słuŹbowy pięć-osiem-osiem-pięć. Przesłuchuję Lincolna

Rhyme'a, świadka napadu dziesięć-dwadzieścia cztery i podpale

nia dziesięć-dwadzieścia dziewięć na Central Park West trzy-cztery-pięć. Jest sobota, siedemnasty
kwietnia. - Ustawiła magneto

fon na stole obok Rhyme'a.

Rhyme spojrział na niego, jakby zobaczył węŹa.

Zaczniemy od opisu - powiedziała Sachs.

Mówiłem Łonowi...

Powiedz mnie.

Rhyme spojrział w sufit z męczeńskim wyrazem twarzy.

Średniej budowy, męŜczyzna, około pięćdziesięciu-pięćdziesieciu pięciu lat, mundur funkcjonariusza policji. Gładko ogolony tym razem. Na szyi oraz piersi blizny i przebarwienia.

Rozpiął bluzę? Widziałeś jego pierś?

Ach, bardzo przepraszam! - W głosie Rhyme'a zabrzmiała

Wyr'azna kpina. - Blizny na szyi, prawdopodobnie dochodzące do

piersi. Mały i serdeczny palec lewej ręki złączone. Oczy brązowe. Och, to znaczy prawdopodobnie brązowe.

237

-
Bardzo dobrze, Rhyme! Do tej pory nie mieliśmy koloru
oczu.

-
A skąd mamy wiedzieć, czy nie nosi szkieł kontaktowych? -

prychnął Rhyme. Wiedział, Őe właśnie zdobył punkt. - Prawdopodobnie przypomniałbym
sobie więcej, gdybym miał jakąś pomoc. - Zerknął na Thoma.

Pomoc?

Zakładam, że jeśli w tym domu jest jeszcze jakaś niespalo—
na butelka macallana, to gdzieś w kuchni.

-

Później - zaprotestowała Amelia. - Powinniśmy zachować
przytomność umysłu.

-

Ale...

Policjantka podrapała się po głowie.

-

A teraz chciałabym usłyszeć o wszystkim, co tu się wówczas
zdarzyło. Co powiedział?

-

Niewiele pamiętam - odparł niecierpliwie Rhyme. - To był głównie jakiś bełkot szaleńca. A ja nie miałem nastroju do wysłuchiwania bełkotu szaleńca.

-

Być może dla ciebie brzmiało to jak bełkot, ale ja założyłem się, że znajdziemy coś użytecznego.

-

Sachs! - Rhyme nadal kpił. - Czy nie sądzisz, że miałem prawo być lekko zaniepokojony, może nawet trochę poruszony? Byłoby nie powiedzieć „wstrząśnięty”?

Dotknęła lekko jego dłoni.

-

Wiem, że nie ufasz świadkom. Ale oni czasami coś widzą. To moja specjalność, zdajesz sobie sprawę?

Amelia Sachs, policjantka o humanitarnej orientacji.

-

Poprowadzę cię przez to. Dokładnie tak, jak ty prowadzisz mnie po siatce. Znajdziemy coś istotnego. - Podeszła do drzwi i zawołała: „Kara!”.

Owszem, Rhyme nie ufał świadkom, nawet jeśli znajdowali się w dobrej pozycji do obserwacji i nie brali udziału w tym, co się działo. Każdy, kto w jakiś sposób brał udział w przestępstwie, zwłaszcza ofiara użycia siły, jest zupełnie niewiarygodny. Nawet teraz, gdy Rhyme przypominał sobie wizytę mordercy, pojawiała się tylko seria oderwanych obrazów: Mag stojący za nim, stojący obok niego, podpalający pościel. Zapach whisky, widok dymu.

Nawet chronologia tych zdarzeń sprawiała mu kłopoty.

Pamięć, co lubiła powtarzać Kara, jest tylko iluzją.

W tym momencie Kara pojawiła się w drzwiach.

- Wszystko w porządku, Lincoln? - spytała.

238

- - Nic mi nie jest.

Amelia wyjaśniła, czego dziewczyna powinna słuchać szczególnie uważnie. Poinformowała ją, iż spodziewa się, że zabójca jenoł powiedzieć coś, co bardzo by się im przydało. Następnie usiadła, przysunęła krzesło bliżej łóżka i wróciła do przesłuchania.

II - Powiedz nam, co się stało - wróciła do ostatniego pytania. -Na razie wystarczy ogólny opis.

Rhyme z wahaniem popatrzył na magnetofon. Uporządkował myśli i opowiedział o wszystkich wydarzeniach, tak jak je zapamiętał: pojawienie się Maga, Mag przyznaje się do zabójstwa policjanta i kradzieży jego munduru, Mag mówi o jego ciele.

-

Było zupełnie tak, jakby udawał, że występuje, a ja mu po magam - dodał nagle.

Pamiętał głos zabójcy, w głowie nadal słyszał jego bełkot.

Jedną rzecz pamiętam doskonale. Ma astmę. No, w każdym razie dusi się. Oddycha ciężko, szybko. Szepcze.

Świetnie! - ucieszyła się Sachs. - Zupełnie zapomniałam, że mówił w ten sposób nad stawem, tam gdzie napadł na Marston.

Co powiedział?

Rhyme spojrział na ciemny sufit małego pokoju gościnnego. Potrząsnął głową.

-

Nie, to chyba wszystko. Albo groził, że mnie spali, albo groził, że mnie potnie. Aha, czy przy przeszukaniu pokoju znaleźliście Syletki?

-Nie.

No widzisz. O tym właśnie mówię, o dowodach. Wiem, że wrzucił mi Syletkę za bokserki. Lekarze jej nie znaleźli. Musiała wypaść. Widzisz, tego rodzaju dowodów powinnaś szukać.

Prawdopodobnie wcale nie wrzucił Sylwetki - zauważyła Ka

ra. - Znam ten numer. Schował ją w dłoni.

Może powoli się kastrujesz...

W każdym razie chcę powiedzieć, że człowiek nie wsłuchuje się raczej w słowa ludzi, którzy go torturują.

Daj spokój, Rhyme. Wróc pamięcią do wczesnego wieczoru.

My z Karą poszliśmy na kolację. Ty badałeś dowody. Thom za

wiózł cię na górę. Byłeś zmęczony, prawda?

Nie. Nie byłem zmęczony. Ale i tak mnie położył.

Raczej cię to nie uszczęśliwiło?

Nie, nie uszczęśliwiło.

Jesteś w swojej sypialni...

239

Rhyme przypomniał sobie światła, sylwetki ptaków na parapecie. Thom zamyka drzwi.

Jest cicho... - odpowiedziała mu Sachs.

A wcale nie! Zapominasz o tym cholernym cyrku. W każdym razie nastawiłem budzik...

Na którą godzinę?

Nie pamiętam. Co to ma za znaczenie?

Jeden szczegół rodzi dwa następne.

Rhyme skrzywił się przeraźliwie.

Skąd to wzięłaś? Z ciasteczka z wróŜbą?

Amelia uśmiechnęła się lekko.

Sama wymyśliłam. Brzmi dobrze, nie uważasz? Może

umieścić je w nowym wydaniu swojej książki.

Nie piszę książki o świadkach. Tylko o dowodach. - Ta ripo
sta sprawiła kryminalistykowi wielką przyjemność.

Następna sprawa. Skąd wiesz, że wszedł do sypialni przed
tobą? Usłyszałeś coś?

Poczułem przeciąg. Najpierw pomyślałem, że to klimatyzacja,
ale nie. To był on. Dmuchał mi na kark i policzek.

Ale... dlaczego?

Pewnie chciał mnie przestraszyć. I udało mu się. - Rhyme
przymknął oczy. Kiwnął głową, przypominał sobie coraz więcej
faktów.

Próbowałem zadzwonić do Łona. Ale można powiedzieć -

zerknął na Karę - Œe on złapał mnie za rękę. Zagroził, Œe mnie za
bije... nie, tak naprawdę to groził, Œe mnie oślepi, jeśli spróbuję
wezwać pomoc. Byłem pewien, Œe to zrobi, ale... to raczej dziw
ne... miałem wrażenie, Œe zdołałem mu zaimponować. Nazwał to
zmyłką. - Zamilkł. Nie pamiętał, co było dalej.

Jak dostał się do środka?

Wszedł z policjantem, który przyniósł dowody z zamachu na
Grady'ego.

O, cholera! - syknął Sellitto. - Od tej chwili sprawdzamy toŒ
samoŒc wszystkich, którzy przejdą przez ten próg. Wszystkich,
rozumiecie?

Mówił o zmyłce - draŒyła Sachs. - Co jeszcze?

Nie wiem - szepnął Rhyme. - Nic.

Zupełnie nic? - spytała cicho.

Nie wiem! - krzyknął. Był wŒciekły na Amelię za jej upór
w zadawaniu pytań i za to, Œe nie pozwoliła mu się napić, co po
mogłoby stłumić strach.

przede wszystkim był jednak wściekły na siebie. Za to, że ją zawiódł.

Ale... Amelia powinna zrozumieć, jak ciężko było mu cofnąć się do tamtych kilku chwil; płomień i dym, duszący go, grożący jego nieszczęsnym płucem...

Chwileczkę! Dym!

-

Ogień! - powiedział głośno.

-

Ogień?

-

Właśnie. O tym mówił najwięcej. Zupełnie jakby miał jakąś obsesję. Wspomniał pewną iluzję... zaraz... tak! „Płonące lustro”.

Właśnie! Ogień na scenie, jeśli dobrze pamiętam. Iluzjonista musi przed nim uciec. Zamienia się w diabła. W każdym razie ktoś

zamienia się w diabła.

Oboje spojrzeli na Karę. Dziewczyna skinęła głową.

Słyszałam o „Płonącym lustrze”. Wymaga długich przygotowań i jest bardzo niebezpieczne. Większość dyrektorów cyrków nie pozwoliłaby dziś na jego przedstawienie.

Cały czas gadał o ogniu. Źe to jedyna rzecz, której nie da się naśladować na scenie. O tym, że widzowie widzą ogień i w głębi ser— na spodziewają się, że iluzjonista spłonie. I pamiętam coś jeszcze...

Dalej, Rhyme. Dobrze ci idzie.

Nie przerywaj mi. Mówiłem chyba, że zachowywał się tak, jakby był na scenie? I jakby cierpiał na omamy. Patrzył na pustą ścianę i gadał do niej jak do ludzi. Nie pamiętam dokładnie, co mówił, ale to było zachowanie szaleńca.

Wyobrażał sobie, że ma widzów?

-

Właśnie. Chwileczkę... to było coś jak „szanowni widzowie”.

Amelia Sachs spojrzała na Karę.

-

Zawsze przemawiamy do widzów - powiedziała dziewczyna, wznosząc ramiona. - Nazywamy to zagadaniem. Dawniej mówiło się „szanowni państwo” albo „panie i panowie”, ale dziś uchodzi to za pretensjonalne. Zagadanie jest dziś znacznie mniej formalne.

-

Mów dalej, Rhyme.

-

Nie mam nic do powiedzenia, Sachs. To już koniec. Nie pamiętam, wszystko jest jak za mgłą.

-

Założę się, że jest coś jeszcze. To zupełnie jak z dowodem na miejscu zbrodni. Jest mały, zgoda, ale może dzięki niemu rozwiążemy sprawę? żeby go znaleźć, trzeba po prostu myśleć trochę inaczej. - Pochyliła się nad łóżkiem. - Wyobraź sobie, że jesteś w sypialni. Leżysz na łóżku ortopedycznym. Gdzie on stał?

Tam. - Wskazał miejsce ruchem głowy. - U stóp łóŜka, twa
rzą do mnie, po mojej lewej, bliŜej drzwi.

W jakiej pozycji?

Pozycji? No... nie wiem.

Spróbuj.

Chyba twarzą do mnie. Poruszał rękami, gestykulował, jak
by przemawiał publicznie.

Sachs wstała, zajęła miejsce, które jej wskazał.

Tak? - spytała.

BliŜej.

Amelia podeszła bliŜej.

-

Właśnie. Tutaj.

Patrzył na nią i rzeczywiście coś zaczął sobie przypominać.

Jeszcze jedno. Mówił o ofiarach... zabijał je, ale nie było
w tym nic osobistego.

Nic osobistego?

Tak. Zabił... tak, teraz pamiętam. Zabił tych ludzi za to, co
reprezentowali.

Sachs skinęła głową. Pisała szybko, uzupełniając nagranie magnetofonowe notatkami.

Reprezentowali? - zastanawiała się głośno. - Co to moŜe

znaczyć?

Nie mam zielonego pojęcia. Studentka muzyki, prawniczka, charakteryzator. Różny wiek, różne preferencje seksualne, miejsca zamieszkania, brak widocznych związków. Co sobą reprezentowali? Styl życia wyższej klasy średniej? Może chodzi o to, że byli mieszkańcami wielkiego miasta, mieli wyższe wykształcenie... może coś z tych rzeczy jest kluczem do tego, dlaczego ich wybrał. Kto wie?

To mi się nie podoba... -Amelia zmarszczyła brwi.

Co?

W twoich zeznaniach jest jakaś dziwna luka.

A czego się spodziewałaś? Pieprzonych cytatów? Nie miałem pod ręką stenografa.

Nie, nie o to mi chodzi. - Sachs zastanawiała się przez chwilę. Skinęła głową. - Ty interpretujesz, co powiedział. Używasz swoich słów, nie jego. „Mieszkańcy wielkiego miasta”, „wyższe wykształcenie”... A ja chcę jego słów.

Nie pamiętam jego słów. Powiedział, że nie ma nic do ofiar.

że to nic osobistego. Koniec.

Amelia energicznie potrząsnęła głową.

242

-

Nie. ZałóŜę się, Őe tak nie powiedział.

-

A niby czemu?

Morderca nie powie o swojej ofierze „ofiara”. Nigdy. Nawet tak nie pomyŝli. To niemoŝliwe. Nie moŝe myŝleć o nich jako o ludziach. A juŜ z pewnością dotyczy to morderców zabijających we dług wzoru, takich jak nasz Mag.

To sã bzdury z kursów na Akademii Policyjnej, jeden zero jeden, psychologia.

Nie, Rhyme. Tu nie o studia chodzi, lecz o prawdziwy ŝwiat.

My wiemy, Őe to sã ofiary, ale sprawcy zawsze wierzã głęboko, Őe zasłuŝyły sobie na ŝmierć z tego czy innego powodu. Właŝnie o to chodzi, prawda. Więc on nie uŝył słowa „ofiara”, prawda?

A co to za róŝnica?

Powiedział, Őe sã reprezentantami czegoŝ, a my musimy do wiedzieć się czego. Jak o nich mówił?

Nie pamiećtam.

-

Z pewnością nie powiedział „ofiara”. To wiem. Czy mówił

wyraźnie o którejś z nich? Świetlana, Tony... a co z Cheryl Marston? Nazwał ją blondynką? Może prawniczką? A może „babką

o dużych cyckach”? Bo założył się, że nie „mieszkanką wielkiego

miasta”.

Rhyme przytknął oczy. Próbował wrócić w tamto miejsce, tamten czas. Wreszcie potrząsnął

głową.

-

Nie... - I nagle powróciło do niego właściwe słowo. - Ama

zonka!

-Co?

-

Miałaś rację, nie usłyszał słowa „ofiara”. Powiedział o niej amazonka.

-

Wspaniale! - westchnęła Sachs, a Rhyme z jakiegoś niewy

jaśnionego powodu poczuł dumę.

Co z innymi?

Nic. Wymienił tylko ją. - Był tego całkiem pewny.

Więc myśli o ofiarach jako ludziach robiących określone rzeczy. To może być praca albo coś innego - wtrącił Sellitto.

Słusznie - zakpił Rhyme. - Grają na flecie. Robią makijaż.

Jeżeli konno.

Ale co z tym zrobić? - spytał detektyw.

Kiedy Amelia badała miejsce przestępstwa, Rhyme często jej powtarzał słowa, które zapamiętała i przytoczyła teraz:

243

-
Na razie nie wiemy, detektywie. Ale jesteśmy o krok bliżej

Wiedzy.

Następnie przejrzała notatki.

-
W porządku. Pokazał sztuczki z syletkami. Wspomniał „to

nać lustro". Rozmawiał z „szanownymi widzami". Ma obsesję

na punkcie ognia. Wybrał charakteryzatora, studentkę muzyk,
i amazonkę ze względu na to, co reprezentują, czymkolwiek to
coś było. Jest coś jeszcze?

Rhyme znów zamknął oczy. Próbował, bardzo próbował, ale widział tylko Śyłetki i
płomienie, czuł zapach dymu.

-

Nie - powiedział, patrząc na Sachs. - Moim zdaniem to
wszystko.

-

W porządku. Udało ci się, Rhyme.

Usłyszał w tonie głosu Amelii coś, co zrozumiał doskonale. Sam tak mówił. To wcale jeszcze nie
koniec. Podniosła wzrok znad notatek.

-

Wiesz, zawsze cytujesz Locarda.

Rhyme skinął głową. Locard był francuskim ekspertem od badania miejsca przestępstwa.

Sformułował twierdzenie, nazwane później jego imieniem, głoszące, Œe w kaŒdym miejscu

przestępstwa następuje wymiana dowodów między sprawcą, ofiarą i samym terenem, choćby nawet niedostrzegalna.

-

No cóż, sędzę, że można je rozszerzyć na wymianę psychiczną, nie tylko fizyczną.

Rhyme roześmiał się, słysząc tak szalony pomysł. Locard był naukowcem i strasznie by się zdumiał, gdyby ktoś mu powiedział, że jego twierdzenie próbuje zastosować się do czegoś tak mglistego i niepewnego jak ludzka psychika.

Byłeś zakneblowany przez cały czas? - spytała Sachs.

Nie. Dopiero na końcu.

To oznacza, że ty też mu coś powiedziałaś. Komunikowaliście się. Brałeś udział w wymianie.

-Ja?

A co, nie? Nic mu nie powiedziałaś?

Jasne, że tak. I co z tego? To jego słowa są ważne.

Zastanawiam się, czy nie powiedział czegoś w odpowiedzi na twoje słowa.

Kryminalistyk uważnie przyglądał się swej współpracownicy. Brudna plama w kształcie

półksiężyca na policzku, krople potu nad pełną górną wargą. Siedziała wychylona do przodu i choć mówiła spokojnym głosem, widać było, że jest skoncentrowana, napięta. Nie wiedziała o tym, bo i skąd, ale miał wrażliwość, i odczuwa te same emocje, które czuł on, kiedy

prowadził ją P° siatce odległej o kilometry od miejsca, gdzie się znajdował

-
Zastanów się, Rhyme - powiedziała. - Wyobraź sobie, że jest sam na sam z mordercą. Niekoniecznie z Magiem. Z jakimkolwiek mordercą. Co byś mu powiedział? Czego chciałbyś się od niego dowiedzieć?

Westchnął ciężko, dodając do tego westchnienia także nutkę cynizmu. Ale oczywiście to pytanie trąciło jakąś strunę w jego umyśle.

Pamiętam! Zapytałem go, kim jest.

Dobre pytanie. Co powiedział?

„Nie jest czarodziejem... nie, nie po prostu czarodziejem, tylko jakimś specjalnym. - Rhyme zmrużył oczy, znów musiał się cofnąć w czasie, przypomnieć sobie coś, co kryło się w ciemności.

- Czarodziej z Oz? Złą Czarownicą Zachodu? - Zmarszczył brwi. -

A tak, pamiętam! Powiedział, że jest Czarodziejem Północy. Jestem całkiem pewien.

-
Coś ci to mówi? - spytała Sachs, zwracając się do Kary-

-Nie.

Powiedział, że zawsze potrafi uciec. Tylko wątpi, by udało

mu się uciec przed nami. No, szczerze mówiąc, powiedział, że przede mną. Bał się, że go powstrzymam. Dlatego tu przyszedł. Powiedział, że musi unieszkodliwić mnie przed jutrzejszym popołudniem. To wtedy znów zaczniesz zabijać. Nie, chwileczkę! To moja interpretacja. Nie powiedział, co ma zamiar zrobić.

Ale to się trzyma kupy - zauważył Sellitto. - Zabijał co cztery godziny, potem co dwie. A potem nic... tylko Burke. Robi sobie przerwę. A jutro znów weźmie się do roboty.

Też tak sobie pomyślałem, Lon.

Czarodziej Północy. - Sachs zerknęła w notatki. - Jeszcze...

Sądzę, że to już wszystko. - Rhyme westchnął. - Studnia wyschła.

Amelia wyłączyła magnetofon. Pochyliła się i otarła mu pot z czoła chusteczką.

Sama się tego domyśliłam. Właśnie chciałam powiedzieć, że bardzo potrzebuję drinka. Co z tobą?

Tylko jeśli należysz ty albo Kara. Kiedyś, byle nie on - gestem głowy wskazał Thoma.

A co dla ciebie? - spytał Thom, zwracając się do Kary.

Powinna poprosić o kawę po irlandzku - wtrącił kryminalista. - Ciekawe, dlaczego nie sprzedają jej w Starbuck?

V:

Kara poprosiła o maxwell house albo folgera, bez alkoholu Sellitto z kolei o coś do jedzenia; jego kanapka w ogólnym zamieszaniu nie dotarła do domu.

Thom znikł w kuchni. Sachs oddała notatki Karze i poprosiła ją, by dopisała wszystko, co przyjdzie jej do głowy w kwestii charakterystyki Maga. Dziewczyna przeniosła się do laboratorium.

-

Niezła byłaś - powiedział Sellitto. - Dobre przesłuchanie.

Nie znam sierśanta, który poradziłby sobie lepiej.

Amelia poważnie skinęła głową, ale widać było, że ten komplement sprawił jej wielką przyjemność.

Kilka minut później do pokoju wszedł Mel Cooper; i on miał na twarzy ciemne smugi.

Pokazał im plastikową torbę.

-

To wszystkie dowody z mazdy.

W torbie znajdowała się złożona na czworo jedna strona z „New York Timesa”. Jasne było, że nie znalazła jej Sachs podczas przeszukiwania miejsca przestępstwa; wilgotne dowody powinno się zbierać do torebek papierowych lub sporządzonych z plecionego włókna, nigdy

do plastiku, w którym błyskawicznie gniły i niszczały.

-
To wszystko? - zdumiał się Rhyme.

Do tej pory tak. Nie wydobyli jeszcze samochodu. Uznali, że to zbyt niebezpieczne.

Potrafisz odczytać datę? - spytał Rhyme.

Cooper dokładnie przyjrzał się przemoczonej kartce papieru.

Wydanie sprzed dwóch dni - oznajmił.

To własność Maga, bez dwóch zdań - zauważył kryminalistyk.

- Samochód ukradziono wcześniej. Dlaczego ktoś miałby zachować

tylko jedną kartkę zamiast całej wkładki? - Pytanie to, jak wiele

zadawanych przez Rhyme'a, miało charakter czysto retoryczny.

Rhyme nie czekał nawet, by ktoś mu na nie odpowiedział. - Tu jest

jakiś tekst, który gość uznał za ważny. A jeśli tak, to ważny dla nas.

Oczywiście możemy mieć do czynienia ze sprośnym starcem, zain-

teresowanym wyłącznie ogłoszeniami w dziale „Victoria's Secret”,

ale nawet to może być użyteczną informacją. Zdołasz coś odczytać?

Nie ma mowy. I nie chcę rozwijać kolumny, przynajmniej na

razie. Jest zbyt wilgotna.

W porządku. Przekaż to do laboratorium badania dokumentów. Nawet jeśli nie zdołają odczytać całości, dostaniemy przy najmniej nagłówki, odczytane w podczerwieni.

Cooper załatwił przesłanie próbek do laboratorium kryminalnego policji nowojorskiej w Queens. Następnie zadzwonił do domu szefa wydziału badania dokumentów i poprosił go o wyznaczenie laborantów. Później znikł w laboratorium, by przełożyć dokument do bardziej odpowiedniego pojemnika.

Przyszedł Thom, z drinkami i talerzem kanapek, którymi natychmiast zainteresował się Sellitto.

Kilka minut później pojawiła się Kara. Z wdzięcznością przyjęła kubek kawy. Wsypała do niej górę cukru i powiedziała do Amelii:

Wpisywałam na tablicę wszystko, czego się o nim dowiedzieliśmy, i coś przyszło mi do głowy. Zadzwoniłam, popytałam i chyba mam nazwisko.

Czyje? - spytał Rhyme, popijając whisky. Smakowała bosko.

Jak to czyje? Maga, oczywiście.

Cichy brzęk łyżeczki, którą Kara mieszała kawę, był jedynym dźwiękiem, rozlegającym się w pokoju. Poza tym panowała w nim martwa cisza.

Znasz jego nazwisko? - przerwał tę ciszę Lon Sellitto. - No to jak on się nazywa?

Moim zdaniem Erick Weir.

Przeliteruj - polecił Rhyme.

W-E-I-R. - Kara dosypała sobie cukru do kawy. - Iluzjonista,

występował jeszcze parę lat temu. Zadzwoniłam do pana Balzaca, nikt nie zna naszego środowiska tak jak on. Przekazałam mu,

co wiemy, łącznie z tym, co przed chwilą powiedział Lincoln. Pan

Balzac zaczął zachowywać się dziwnie. Wkurzył się. - Zerknęła na

Amelię. - Tak jak dziś rano. Ale potem uspokoił się i powiedział,

Œe to mu wygląda na Weira.

- Dlaczego? - spytała Amelia.

- No... przede wszystkim zgadza się wiek. Niewiele ponad pięćdziesiąt lat. I Weir znany był z niebezpiecznych występów, z Œyletkami, noŒami i tak dalej. NaleŒy teŒ do tych niewielu iluzjonistów, którzy przedstawiali „Płonące lustro”. Pamiętajcie, Œe iluzjoniŒci się

specjalizują. Naprawdę trudno jest znaleźć kogoŒ tak dobrego w tylu rzeczach: iluzje,

uwalnianie się z więzów, magia proteańska, zręczna ręka, a nawet mentalizm i brzuchomówstwo. A Weir to wszystko potrafi. Jest takŒe ekspertem od Houdiniego. Jego zbrodnie z

tego weekendu to albo numery Houdiniego, albo oparte na numerze Houdiniego.

Dowiedziałam się takŒe czegoŒ o tym, jak się przedstawił. Jako Czarodziej Północy. W

dziewiętnastym wieku był taki iluzjonista, John Henry Anderson. WłaŒnie tak siebie nazywał: Czarodziejem Północy. Miał prawdziwy talent, ale strasznego pecha z ogniem- Podczas jego występów kilkakrotnie wybuchały poŒary. A od Da-vida wiem, Œe Weir zosta! cięŒko

poparzony w wypadku w cyrku.

-

Blizny - zauwaŒył Rhyme. - Obsesja ognia.

. _ I być moŒe wcale nie cierpi na astmę - dodała Sachs. - Przypuszczalnie dym uszkodził mu płuca?

A kiedy to było? - zainteresował się Sellitto.

Trzy lata temu. Namiot cyrkowy spłonął, Œona Weira zginęła.

To było zaraz po Œlubie. Poza tym nikomu nic się nie stało.

Trafili na Œwietny trop.

-
Mel! - ryknął Rhyme, zapominając, że powinien się troszczyć o płuca. - Meel!

Cooper wpadł do pokoju.

Rozumiem, że czujesz się lepiej? - powiedział zgryźliwie.

Przeszukaj Lexis/Nexis, VTCAP, NCIC i stanowe bazy danych. Potrzebne mi informacje o Ericku Weirze, W-E-I-R, artysta, iluzjonista i prestidigitator. Może być naszym sprawcą.

Odkryłeś jego nazwisko? - Technik nie ukrywał podziwu.

Nie ja, ona. - Kryminalistyk wskazał Karę ruchem głowy.

No proszę.

Cooper wyszedł i powrócił po kilku minutach z plikiem wydruków. Przeglądał je przez chwilę, po czym zwrócił się do zespołu:

Nie ma tego zbyt wiele - przyznał. - Zupełnie jakby zacierał

po sobie wszystkie ślady. Erick Albert Weir. Urodzony w Las Vegas w październiku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. O je

go dzieciństwie nic nie wiemy. Uczył się u Randolpha Schlegera, występującego pod pseudonimem Satani...

Wszyscy go znają - przerwała mu Kara. - Specjalizował się w mrocznych iluzjach. Z tego, co wiem, to on wymyślił „Płonące lustro”.

Nadal pracuje?

Nie. Zmarł wiele lat temu.

Pracował dla kilku cyrków - mówił dalej technik - a także
kasyn i przedsiębiorstw rozrywkowych. Był asystentem. Potem
usamodzielił się jako iluzjonista i specjalista od szybkiej zmia-
ny. Trzy lata temu poślubił Marie Cosgrove. Zaraz po ślubie wy-
stępował w cyrku Thomasa Hasbro i Braci Keller w Clevelandzie.

Pośar wybuchł w trakcie próby. Spłonął namiot, Weir doznał po-
parzeń trzeciego stopnia, a jego Sona zginęła. Potem nie ma już

0
nim żadnej wzmianki.

-

Prześledźcie rodzinę Weira.

Sellitto obiecał, że sam się tym zajmie. Ponieważ Bedding

1

Saul byli zajęci, zadzwonił do detektywów oddziału specjalnego
Wydziału zabójstw i przekazał im to zadanie.

249

Jest jeszcze kilka drobiazgów. - Cooper przerzucił karty wy-
druku. - Parę lat przed pośarem Weira aresztowano w New Jer-
sey i oskarżono o lekkomyślne narażenie życia. Przesiedział trzy-
dzieści dni. Zdaje się, że ktoś z widzów został poparzony, bo na
scenie coś poszło nie tak. Mam też ślady kilku spraw cywilnych

wytoczonych Weirowi o zniszczenia mienia firmy i uszkodzenie ciała pracowników i kilka wytoczonych przez Weira o niedotrzymanie warunków kontraktu. Podczas jednego z przedstawień właściciel się zorientował, że Weir używa prawdziwej broni i ostrej amunicji. Nie chciał zgodzić się na zmiany, dlatego kontrakt zerwano. - Chwila przerwy, technik wrócił do przewracania kartek. - W jednym z artykułów prasowych znalazłem nazwiska dwóch asystentów, którzy współpracowali z nim mniej więcej w tym czasie, kiedy wybuchł pożar. Jeden jest z Reno, drugi z Las Vegas. Dostałem ich telefony od policji w Nevadzie.

Tam u nich jest dopiero dziewiąta - zauważył Rhyme, zerkając na zegarek. - Podłącz tu system głośno mówiący, Thom. Mowy nie ma. Po tym, co się dziś działo, potrzebujesz odpoczynku.

Zaledwie dwa telefony. A potem do łóżeczka. Obiecuję.

Thom zastanawiał się w milczeniu.

Proszę i bardzo dziękuję.

Opiekun skinął głową i znikł. Po chwili pojawił się z urządzeniem telefonicznym, podłączył je, postawił na stoliku obok łóżka.

Dziesięć minut i wyłączam główny bezpiecznik - powiedział

tak poważnie, że Rhyme natychmiast mu uwierzył.

W porządku.

Sellitto dojadł drugą kanapkę i wybrał numer telefonu. Automatyczna sekretarka, przemawiająca nagrany na taśmę głosem Sony Arthura Loessera poinformowała go, że nikogo nie ma w domu, ale prosi o zostawienie wiadomości. Zostawił i wybrał numer drugiego asystenta.

John Keating podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale. Detektyw wyjaśnił mu, że prowadzi śledztwo i miałby do niego kilka pytań. Po chwili ciszy w małym głośniku rozległ się nerwowy męski głos.

Hmm... a o co właściwie chodzi? Pan jest policjantem w Nowym Jorku?

Tak, proszę pana.

W porządku.

Przyszła pora na zadawanie pytań.

250

-

Czy współpracował pan z Erickiem Weirem?

Kolejna chwila ciszy. I znów usłyszeli piskliwy, męski głos, przemawiający bardzo szybko:

Pan Weir? No tak... chyba tak. Dlaczego pan pyta? - Keating

mówił szybko, nerwowo, jakby przed rozmową wypił o kilka fili

szanek kawy za wiele.

Czy wie pan, gdzie go można znaleźć?

Nie... to znaczy... dlaczego pan mnie o to pyta?

Chcielibyśmy skontaktować się z nim w sprawie prowadzonego przez nas śledztwa kryminalnego.

O mój Boże! W jakiej sprawie? O czym chcecie z nim rozmawiać?

Chodzi o kilka ogólnych pytań. Czy miał pan z nim ostatnio jakiś kontakt?

I znowu cisza. Nadeszła chwila, kiedy ktoś zdenerwowany albo zaczyna mówić, albo wycofuje się jak ślimak do skorupy. Rhyme wiedział o tym doskonale.

Proszę pana? - przerwał milczenie Sellitto.

Śmieszne, wie pan? Ściągnę teraz pan mnie o niego pyta.

Głos Keatinga brzmiał tak, jakby ktoś rzucał kamyki na blachę.

Bo jest tak, powiem panu. Weir nie odzywał się do mnie od lat.

Myślałem nawet, że nie żyje. Przydarzył się wypadek w Ohio, to

był nasz ostatni wspólny angaż. Poparzył się. Naprawdę poważnie.

Znikł i wszyscy myśleliśmy, że nie żyje. Ale zadzwonił do

mnie jakieś sześć, siedem tygodni temu.

Skąd? - spytał Sellitto.

Nie wiem. Nie powiedział. Nie pytałem. Kiedy ktoś do ciebie dzwoni, to go nie pytasz skąd. Nie na początku rozmowy. O tym się po prostu nie myśli. A pan pytał kogoś kiedyś, skąd dzwoni?

Czego chciał? - wtrącił się do rozmowy Rhyme.

Dobrze już, dobrze. Pytał, czy utrzymuję kontakty z kimś, kto pracował w cyrku, kiedy zdarzył się ten pożar. W cyrku Hasbro. Ale to było w Ohio. Trzy lata temu. Cyrk Hasbro już nawet nie istnieje. Po pożarze właściciel zwinął interes, ludzie występują teraz pod inną nazwą. Dlaczego miałbym utrzymywać z kimś kontakt? Mieszkam w Reno. No to powiedziałem mu, że nie. A on no wie... rozumie pan.

Rhyme skrzywił się.

Rozzłościł się? - zaryzykowała Amelia.

No... można tak powiedzieć.

jt - Proszę mówić dalej. - Rhyme musiał się bardzo starać, by

w jego głosie nie było słyhać irytacji. - Chcielibyśmy wiedzieć co powiedział.

To wszystko, to wszystko! No, były jeszcze takie drobiazgi

Uczepi się człowieka i nie puści. Te jego szpony. Zupełnie jak

niegdyś... wie pan, jakie były jego pierwsze słowa?

Proszę mi powiedzieć - zachęcił go kryminalistyk.

-

„Tu Erick”. I tyle. Śadnego tam „dzień dobry” czy „Jak się

masz, John, pamiętasz mnie?”. Nie, Śadne takie. Mówi: „Tu

Erick”. Nie rozmawiałem z nim od czasu poŚaru, a on wita mnie

tak po prostu: „Tu Erick”. Udało mi się od niego odczepić... cięŚ

ko nad tym pracowałem, ale było tak, jakbym nigdy się nie od

czepił. PrzecieŚ wiem, Śe nie zrobiłem nic złego. A on dzwoni i za

raz czuję, Śe to ja jestem wszystkiemu winien. Zupełnie jakby

człowiek przyjął zamówienie od klienta, a kiedy przynosi mu ko

lację, ten mówi, Śe nie to zamawiał. Ale wszyscy wiedzą, o co cho

dzi: zmienił zdanie i zwała winę na ciebie. Jakby to był twój błąd

i jakbyś ty miał za niego zapłacić.

-

Nic innego? Nie powiedział nic innego?

Sellitto usłyszał w słuchawce ciche westchnienie.

-

Czy może pan coś nam o nim powiedzieć... tak ogólnie - spytała Amelia. - Miał jakichś przyjaciół, może jakieś ulubione miejsca, hobby?

-

Jasne - odparł nerwowo głos. - Wszystko, co pani wymieniła, nazywa się iluzją.

Co? - zdziwił się Rhyme.

Iluzje były jego przyjaciółmi, ulubionymi miejscami i hobby. Nic innego nie istniało. Zajmował się wyłącznie pracą.

A może powie nam pan coś o jego sposobie myślenia?

O tym, jak patrzył na świat.

I znów po pytaniu nastąpiła długa przerwa.

-

Trzy lata, dwa razy w tygodniu, przez pięćdziesiąt minut na scenie nie próbowałem go jakoś rozgryźć... i nie potrafiłem. Do samego końca, do poŜaru. Minęły trzy lata. A on nadal mnie przeraŜa. I... -

Keating roześmiał się piskliwym, niesamowitym śmiechem. - ZauwaŜyłaś, Ŝe powiedziałem „przeraŜa”? A chciałem powiedzieć „prześladowuje”. Nadal mnie prześladowuje. Freudowskie przejęzyczenie. Będę miał o czym opowiadać w poniedziałek o dziewiątej na kozetce.

Rhyme zdąŜył się juŜ zorientować, Ŝe, jak on sam, wszyscy obecni mieli juŜ dość bełkotu tego człowieka.

252

- Wiemy, Ŝe jego Ŝona zginęła w poŜarze - powiedział. - MoŜe wie pan coś o jej rodzinie?

Marie? Nie. Pobrali się na tydzień, moŜe dwa tygodnie przed poŜarem. Naprawdę się kochali. Myśleliśmy, Ŝe Marie go uspokoi. Ŝe juŜ nie będzie nas tak prześladował. Taką mieliśmy nadzieję. Ale nigdy jej lepiej nie poznaliśmy.

Czy moŜe pan podać nam nazwisko kogokolwiek, kto coś by o nim wiedział?

Jedyną osobą, która przychodzi mi do głowy, jest były menciŜer Hasbro. Edward Kadesky. Chyba jest teraz producentem w Chicago.

Sellitto poprosił o przeliterowanie nazwiska i zapisał je.

Czy Weir odezwał się do pana po tym pierwszym telefonie?

_ spytał.

Nie. Nie musiał. Dostał, czego chciał. Wyrównał rachunki.

Znów miał mnie w swoich łapach. Przerażał i prześladował.

Taki jest Erick...

-

Słuchajcie, muszę kończyć. Wyprasować strój. W niedzielę

rano pracuję. Jestem zajęty.

Odłożył słuchawkę. Sachs podeszła do telefonu i wcisnęła przycisk „wyłącz”.

No, nie... - szepnęła.

Facet potrzebuje dobrego lekarza. - Sellitto uśmiechnął się.

Ale przynajmniej mamy trop - przerwał im Rhyme. -

Znajdźcie mi tego Kadesky'ego.

Mel Cooper znikł na kilka minut, a kiedy wrócił, trzymał w dłoni wydruk z bazy danych

kompanii teatralnych. Była wśród nich Kadesky Production z South Wells Street w

Wietrznym Mieście. Sellitto zadzwonił pod wskazany numer. Zgłosiła się automatyczna

sekretarka i nic dziwnego, bo była już przecież sobota wieczór. Zostawił wiadomość.

-

Co wiemy? - spytał detektyw. - Namieszał w głowie swemu asystentowi. Jest niezrównoważony. Ranił ludzi. Ale co nim kieruje?

Amelia podniosła głowę.

-
Może zadzwonimy do Terry'ego? - zaproponowała.

Terry Dobyns był psychologiem, zatrudnionym przez Departament Policji Nowego Jorku.

Policja miała ich na etacie kilku, ale Terry był jedynym behawiorystą, specjalistą od tworzenia profilów psychicznych przestępców; tej sztuki nauczył się w akademii FBI w Quantico i praktykował ją dość długo. Dzięki gazetom i popularnym powieściom ludzie wiele dowiedzieli się o zaletach tworzenia profilów psychologicznych, co jest techniką użyteczną, choć - zdaniem Rhyme'a - ograniczoną do pewnej wąskiej grupy

253

przestępców. Zazwyczaj sposób rozumowania sprawcy nie kryje w sobie żadnych szczególnych tajemnic. Ale gdy jego motywy są niejasne, gdy nie sposób przewidzieć, kto może się stać kolejną ofiarą, stworzenie profilu bywa pomocne. Pozwala detektywom znaleźć informatorów albo choćby ludzi znających podejrzanego zdolnych przewidzieć jego następne posunięcie, ustawić pułapki w odpowiednim środowisku, zastawiać pułapki, a wreszcie szukać podobnych przestępstw w przeszłości.

Sellitto przejrzał spis telefonów funkcjonariuszy nowojorskiej policji, znalazł numer Dobynsa i natychmiast do niego zadzwonił.

Terry?

Lon! Słyszę echo; włączyłeś system głośno mówiący? Lin

coln jest z tobą, co?

No jasne - przytaknął Rhyme. Lubił Dobynsa, pierwszą oso

bę, którą zobaczył po wypadku, kiedy złamał kręgosłup. Jeśli do

brze pamiętał, Terry kochał futbol bezkontaktowy, operę i tajeni'

nice ludzkiej duszy, mniej więcej w równych proporcjach, choć

w ten sam sposób: całym sercem.

Przykro mi, Ńe dzwonię tak późno - powiedział Sellitto, nie

próbując nawet udawać, Ńe rzeczywiście jest mu przykro. - Ale

potrzebujemy twojej pomocy w sprawie wielokrotnego mordercy.

Mówisz o tym, o którym trąbi telewizja? Zabił studentkę

szkoły muzycznej i tego nieszczęsnego policjanta z patrolu?

Owszem. Zginął równieŃ charakteryzator teatralny, w ostat

niej chwili uratowaliśmy amazonkę. Zabijał ze względu na to, co

oni, wraz ze studentką, cytuję, „reprezentowali”. Dwie hetero—

seksualne kobiety, jeden homoseksualny męŃczyzna. Ani śladu

aktywności seksualnej. Nic nie wiemy. Aha, powiedział Lincoln

wi, Ńe znów zacznie jutro rano.

Powiedział? Przez telefon? MoŜe przysłał list?

AleŜ nie. Osobiście - wtrącił się w rozmowę Rhyme.

No, no, no! To musiała być ciekawa rozmowa.

Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

Następnie obaj, detektyw i kryminalistyk, opowiedzieli psychologowi o przestępstwach Weira oraz o tym, czego się o nim dowiedzieli.

Potem pytania zaczął zadawać Dobyns. Zastanawiał się przez

długą chwilę i powiedział:

-

Widzę tu działanie dwóch przeciwstawnych sił. Ale one się

nawzajem wzmacniają i prowadzą do tego samego skutku... czy

on nadal występuje?

- Nie - powiedziała Kara. - Nie wystąpił od czasu poŜaru. W kaŜdym razie nikt nic o tym nie wie.

- Pokazać się publiczności... - rzekł psycholog - ...to doznanie niesłychanie intensywne i jeśli ktoś do niego przyzwyczajony, jtkoś odnoszący sukcesy, traci tę szansę, odczuwa to bardzo głęboko. Aktorzy, muzycy - zapewne dotyczy to takŜe iluzjonistów - są skłonni do

definiowania samych siebie w kategoriach kariery zarodowej. Mówiąc krótko, poŜar

zniszczył człowieka, którym wasz sprawca wówczas był.

„Znikający człowiek”, przypomniał sobie Rhyme. RIGHT SQUARE BRACKET'7d - A to oznacza, Őe waszego sprawcy nie motywuje juŜ ambicja, chęć osiągnięcia sukcesu, oddanie się profesji, lecz gniew. Gniew tym większy, Őe musimy wziąć pod uwagę jeszcze jeden czynnik. Ogień zdeformował jego ciało i uszkodził płuca. Jako osoba w pewnym sensie publiczna musi szczególnie cierpieć z powodu

deformacji. Jego gniew wzrasta wykładniczo. Zapewne moglibyśmy nazwać to syndromem

Upiora w Operze. On z kolei ma samego siebie za dziwoląga.

I próbuje się odegrać?

Być moŜe, choć niekoniecznie dosłownie. Ogień „zamordo

wał go”, w kaŜdym razie jego poprzednie ja, kiedy więc morduje,

czuje się lepiej. To go uspokaja, redukuje w nim gniew, niepokój.

Dlaczego właśnie te ofiary?

Nie da się powiedzieć. Coś „reprezentowały”. Powtórzcie

jeszcze raz, co o nich wiecie.

Studentka szkoły muzycznej, charakteryzator i prawniczka,

o której mówił jako o amazonce.

Jest w nich coś, co wzbudziło jego gniew. Nie potrafię po

wiedzieć co, chyba Ŝe dostarczycie mi więcej danych. Podręczni

kowa odpowiedź brzmiałaby mniej więcej tak: kaŜda z tych

osób poświęcała się temu, co byśmy nazwali „decydującym

czynnikiem”. W kaŜdym razie czemuś waŜnemu, zdolnemu

zmienić Ŝycie. MoŜe jego Ŝona grała na jakimś instrumencie?

MoŜe spotkali się na koncercie? Co do charakteryzatora, wielką

rolę moŜe grać kompleks matki. Na przykład: jego jedyne

szczęśliwe wspomnienia z tego okresu to te, kiedy siedział w łazience i obserwował mamę

nakładającą makijaŜ. Konie? Kto

wie? MoŜe kiedyś jeździł konno z ojcem i bardzo mu się to

spodobało? Wspomnienie tych kilku szczęśliwych chwil odebrał

mu ogień, więc na ofiary wybiera tych, którzy mu je przypominają. MoŜe być takŜe odwrotnie,

negatywna asocjacja z tym, co reprezentowały ofiary. Jego

„Sona zginęła podczas próby? Może grała wówczas muzyka?

I dlatego miałby się tak starać? Tropić ofiary, planować, jak je znaleźć i zabić? - zdziwił się Rhyme. - Przecież musiało mu to zająć całe miesiące!

Umysł z trudem dochodzi do ładu sam ze sobą - odparł Dobyns. Jest jeszcze jedna sprawa, Terry. Wydaje się, że facet przemawiał do nieistniejącej widowni. że ją sobie wyobraził. Chwila... wydawało mi się, że mówi o niej „szanowni widzowie”, ale tak na prawdę mówił „szacowni widzowie”. Przemawiał do nich, jakby byli w moim pokoju. „A teraz, szacowni widzowie, zrobię to i to”.

Szacowni widzowie - powtórzył psycholog. - Wydaje się to bardzo ważne. Po upadku kariery i śmierci ukochanej ten ktoś przenosił uczucia, może nawet uczucie miłości, na nieokreśloną grupę.

Ludzie preferujący grupy, nawet tłumy, są najczęściej gwałtowni wobec jednostek, czasem nawet niebezpieczni. Nie tylko dla obcych, także dla partnerów, Sona, dzieci, innych członków rodziny i tak dalej.

Rzeczywiście, pomyślał Rhyme. John Keating rzeczywiście mówił przez telefon jak dziecko, nad którym znęcał się ojciec. Dobyns miał jeszcze coś do powiedzenia.

U waszego Weira tego rodzaju sposób myślenia jest tym niebezpieczniejszy, że zwraca się on do widowni wyobrażonej, a nie rzeczywistej. Zaryzykuję twierdzenie, że prawdziwi ludzie nie dla niego nie znaczą, nie mają żadnej wartości. Nie będzie miał problemu z zabijaniem, choćby i masowym. Powiedziałbym, że

macie twarde orzechy do zgryzienia.

Dzięki, Terry.

Dajcie mi znać, kiedy go już dorwiecie. Chciałbym spędzić z nim trochę czasu.

Pośgnęli się. Sellitto powiedział:

Moglibyśmy...

Idziesz do łóżka - przerwał mu Thom.

Co? - zdziwił się detektyw.

Nie ma trybu warunkowego, jest oznajmujący. Wszyscy wychodzą, a ty idziesz spać, Lincolnie. Jesteś blady, wyglądasz na zmęczonego. A ja nie dopuszczę do śladnych zapaści sercowo-krążeniowych albo neurologicznych. Nie na mojej zmianie. Może pał miętasz, że miałeś iść spać kilka godzin temu.

No dobrze już, dobrze - zgodził się Rhyme. Rzeczywiście czuł się zmęczony, no i - choć nikomu by się do tego nie przyznał - ogień naprawdę go przestraszył.

256

Członkowie zespołu rozeszli się do domów. Kara włożyła kurtkę. Rhyme nie miał wątpliwości, że jest zdenerwowana.

_ Coś się stało? - spytała Amelia.

Kara wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „nic mi nie będzie”.

-

Musiałam powiedzieć panu Balzacowi, dlaczego pytam go

Weira. Mocno się zdenerwował, a ja będę musiała zapłacić za to, co zrobiłam.

-

Napiszemy ci usprawiedliwienie. - Amelia próbowała rozł[ować sytuację Sarterem. -

Zwolnienie z lekcji.

Dziewczyna uśmiechnęła się słabo.

-

Do diabła z usprawiedliwieniami! - krzyknął ze swego poko—

Rhyme. - Gdyby nie ty, do tej pory nie mielibyśmy zielonego Pojęcia o toŒsamości mordercy.

Powiedz mu, Œeby do mnie zadzwonił. JuŒ ja go naprostuję. Kara zdobyła się tylko na słabe „dziękuję”.

-

Chyba nie zamierzasz wrócić do sklepu? - spytała Sachs.

-

No... tylko na chwilę. Pan Balzac zupełnie nie radzi sobie problemami praktycznymi. Muszę uzupełnić księgę sprzedaŝy, przedstawić numer przygotowywany na jutro.

Rhyme'a nie zdziwiła jej determinacja; wiedział juŝ, jak wielkà wladzê nad kandydatami do zawodu iluzjonisty mają ich mistrzowie, ich mentorzy. Zauwaŝył takŝe, ŝe Kara nazywała swego mentora „panem Balzakiem”, podczas gdy czasami mówiła o nim po prostu „David”.

Ale nie teraz. Nie sposób teŝ było nie zauwaŝyć, ŝe choć Mag omal nie zniszczył ŝycia Johna Keatinga, ten "rciàŝ traktował go niemal czołobitnie.

-

Wracaj do domu - powiedziała błagalnie policjantka. -

Jezu, przecieŝ zginęłaŝ dziś od ciosu noŝem!

Na ten ŝart Kara zareagowała słabym, nieszczerym śmiechem, zruszyła ramionami.

Nie mam zamiaru siedzieć tam długo - powiedziała, zatrzy

mując się na progu. - Wiecie, ŝe występuję jutro po południu.

4le jeśli chcecie, przyjdę rano.

Bardzo mi na tym zależy - powiedział Rhyme. - Chociaś spo-

iziewam się, że dopadniemy go przed południem, więc nie stra-

cisz zbyt wiele czasu.

Thom odprowadził dziewczynę do drzwi. Amelia Sachs wyszła korytarz, poczuła zapach

dymu, prychnęła z niesmakiem i po-'iegła po schodach, oznajmiając:

-

Idę wziąć prysznic!

257

Dziesięć minut później Rhyme usłyszał jej kroki na schodach. Słyszał też, jak chodzi tu i tam, cicho rozmawia z Thomem, po czym rozległy się jakieś trzaski i skrzypnięcia. Wreszcie pojawiła się na progu pokoju gościnnego. Miała na sobie swą ulubioną piśamę: czarny

podkoszulek i białe jedwabne szorty, ale w dłoniach trzymała coś, z czym normalnie nie

chodziła spać: glocka i słuśbową latarkę.

Jedno i drugie położyła na nocnym stoliku po swojej stronie łóśka.

- Nasz Mag za łatwo dostaje się tam, gdzie chce się dostać - oświadczyła, układając się do snu.

- Przeszukałam kaśdy kąt domu, oparłam krzesła o wszystkie drzwi i powiedziałam

Thomowi, że jeśli coś usłyszysz, ma wrzeszczeć z całych sił... ale nie wolno mu ruszyć się z miejsca. Mam ochotę kogoś załatwić, a wolałabym, żeby to nie był on.

Metoda

Niedziela, 18 kwietnia

Magiczny efekt jest jak uwiedzenie, jedno i drugie

osiąga się przez doskonale dobrane szczegóły,

wmówione uwodzonemu.

Cały sobotni ranek byli sfrustrowani. Poszukiwania Ericka Weira nie przyniosły rezultatu.

Dowiedzieli się tylko, że po porażce w Ohio Weir spędził kilka tygodni na oddziale poparzeń miejscowego szpitala i że uciekł z niego, nie wypisując się. Wkrótce potem sprzedał dom w Las Vegas i to był ich ostatni ślad. Nie znaleźli nawet zapisu, by kupił dom gdzie indziej. Ale, pomyślał Rhyme, w mieście swobodnie krąży gotówki z łatwością mógł dostać niewielki domek na pustyni, płacąc z ręki do ręki, by nikt o nic nie pytał i by nie trzeba było wypełniać śladnych papierów.

Bedding i Saul odszukali matkę nieżyjącej Sony Weira, panią Cosgrove. Niestety, nie wiedziała, gdzie szukać zięcia. Nie skontaktował się z nią po wypadku, nawet nie przysłał kondolencji z powodu śmierci córki. Starsza pani powiedziała jednak, że wcale jej to nie dziwiło. Jej zdaniem Weir był mężczyzną samolubnym i okrutnym, którego opętało marzenie o jej córce, który zahipnotyzował ją i w ten sposób zmusił do małżeństwa.

Nikt z jej krewnych nie miał styczności z Weirem.

Cooper kompilował informacje z baz danych, ale niewiele mu z tego wyszło. W VTCAP i

NCIC nie znalazł niczego. Policjanci oddelegowani do tropienia rodziny stwierdzili tylko, że ojciec i matka Weira nie żyją, że był ich jedynym dzieckiem i że nie sposób dotrzeć do dalszej rodziny.

Późnym rankiem zadzwonił do nich drugi asystent Weira, Art Loesser z Vegas. Wcale go nie

dziwiło, kiedy dowiedział się, że jego były szef poszukiwany jest w związku z popełnionym przestępstwem, i nie powiedział im nic oprócz tego, czego zdążyli się już dowiedzieć. Jego zdaniem Weir był jednym z najwybitniejszych iluzjonistów na świecie, ale traktował swój zawód o wiele za

poważnie. Sławę przyniosły mu niebezpieczne iluzje i nieoponowany temperament. Loessera nadal gnębiły koszmary z czasów, gdy był jego uczniem. Powiedziałem „przerasta”? Miałem na myśli „prześladuje”. Nadal mnie prześladowe.

-
Wszyscy młodzi asystenci podlegają wpływom mentora. -

Głos Loessera dobiegał z małego głośniczka systemu głośno mówiącego. - Ale mój psychoanalityk twierdzi, że jeśli chodzi o Weira, to byliśmy niczym zahipnotyzowani. Zupełnie jak Keating, pomyślał Rhyme. I obaj korzystali z pomocy psychoterapeutów.

-
Powiedział, że praca z nim wywołała syndrom sztokholmski.

Wie pan, co to takiego?

Rhyme powiedział, że zna ten termin, używany w sytuacji, gdy porwany odczuwa sympatię do porywacza, czasami przechodzącą nawet w uwielbienie.

Kiedy widział go pan po raz ostatni? - spytała Sachs. Nie czekał jej dziś Saden egzamin praktyczny, ubrana więc była w strój cywilny: dżinsy i trawiastozieloną, robioną na drutach bluzkę.

W szpitalu, na oddziale poparzeń. To było jakieś trzy lata temu. Początkowo regularnie go odwiedzałem, ale przez cały czas

mówił tylko o tym, jak to odegra się na wszystkich, którzy kiedyś mu się narazili albo po prostu nie akceptowali uprawianej przez niego magii. Potem znikł i więcej go nie widziałem.

Jakieś dwa tygodnie temu Weir zadzwonił do niego, zupełnie nieoczekiwanie. Dwa tygodnie temu, pomyślał Rhyme, czyli mniej więcej w tym samym czasie co do Keatinga. W każdym razie telefon odebrała Sona Loessera.

Nie zostawił numeru. Powiedział, że zadzwoni później, ale już się nie odezwał. I dzięki Bogu, wie pan? Nie mam pojęcia, jakbym sobie z tym poradził.

Nie wie pan, skąd dzwonił?

Nie. Pytałem Kathy, bo bałem się, że wrócił do miasta, ale powiedziała, że na wyświetlaczu pojawił się napis „rozmowa międzymiastowa”.

Nie powiedział Sonie, o co chodzi? Nie zdradził, skąd dzwoni?

Powtórzyła mi tylko, że był jakiś dziwny, podniecony. Szepotał, trudno go było zrozumieć. Pamiętam, że mówił tak po sąsiedzi.

Uszkodził sobie płuca. Był przez to jeszcze bardziej przerażający—

Gdzie ja to już słyszałem? - pomyślał Rhyme.

-

Pytał też, czy nie kontaktowaliśmy się z Kadeskym; to był producent w Hasbro, kiedy zdarzył się sąsiedzi. To wszystko.

Rzeczywiście, Loesser nie wiedział nic więcej i rozmowa

Wkrótce się skończyła.

Thom wprowadził do laboratorium dwie policjantki. Sachs skinęła głową na powitanie i przedstawiła Rhyme'owi Dianę franciscoyich i Nancy Ausonio. Kryminalistyk pamiętał, że to one pierwsze odpowiedziały na wezwanie do pierwszego morderstwa, następnie dostały zadanie prześledzenia pochodzenia starych kajdanek.

Rozmawialiśmy ze wszystkimi sprzedawcami, których zarekomendował nam dyrektor muzeum - powiedziała Franciscovich.

- Mimo ich mundury miały niepokalanie świeże i porządnie wyprasowane, widać było wyraźnie, że zarówno wysoka brunetka, jak i jej niższa, jasnowłosa koleżanka są skrajnie wyczerpane.

Postawione im zadanie potraktowały bardzo poważnie i zapewne tej nocy w ogóle nie kładły się do łóżka.

Kajdanki to Darbys, tak jak przypuszczaliście. - Ausonio przeszła do sprawy. - Są rzadkie... i kosztowne. Mamy listę dwunastu ludzi, którzy...

O mój Boże, patrz! - przerwała jej partnerka, wskazując na tablicę, na której Thom napisał:

-

Nazwisko sprawcy Erick A. Weir.

Nancy przerzuciła kilka kartek.

Przed miesiącem - przeczytała - Erick Weir złożył zamówienie
nie pocztowe na parę Darbys w Ridgeway Antique Weapons
w Seattle.

Adres? - spytał Rhyme.

Skrytka pocztowa w Denver. Sprawdziłyśmy. Umowa wyga
sła. Nie ma żadnych danych.

Jak płacił? - spytała Amelia.

Gotówką - odparli jednym głosem Nancy Ausonio i Rhyme,
który dodał jeszcze: - Nie oszukujmy się, on nie popełnia głupich
błędów. Co to, to nie. Daleko tym tropem nie zajdziemy. Ale ma
my przynajmniej potwierdzenie, że właściwie zidentyfikowali
śmy naszego chłopca.

Podziękował policjantkom. Amelia odprowadziła je do drzwi. Zadzwoił telefon.

Wyświetlony kod wydał się Rhyme'owi
znajomy, ale nie potrafił połączyć go z konkretnym rejonem.

Polecenie, przyjąć rozmowę... halo?

Mówi porucznik Lansing, policja stanowa. Chciałbym rozmawiać z detektywem Bellem.

Podano mi ten numer jako jeao tymczasowy punkt dowodzenia.

Cześć, Harry! - Bell podszedł do telefonu. - Słucham. -

A Rhyme'owi wyjaśnił szeptem: -To nasz łącznik w sprawie Constable'a. Z Canton Falls.

Przejrzeliśmy dowody, które przysłaliście nam rano - mówił

Lansing. - Nasi kryminaliści ciągle je badają. Paru ludzi roz
mawiało z Soną Swensena, pastora, którego złapaliście wczoraj
wieczorem. Nie powiedziała nic, co mogłoby wam w jakiś sposób

pomóc. W ich domu moi ludzie nie znaleźli niczego, co mogłoby powiązać pastora z Constable'ern lub kimkolwiek ze Stowarzyszenia Patriotycznego.

-
Nic? - Bell westchnął. - Wielka szkoda. Miałem faceta za beztroskiego durnia.

Może chłopcy ze Stowarzyszenia Patriotycznego zdążyli przed nami i doprowadzili dom do porządku?

Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Mam nadzieję, że w tej sprawie zasługujemy choćby na odrobinę szczęścia. No dobra, róbcie, co w waszej mocy, Harv. Dzięki.

Jeśli coś znajdziemy, natychmiast was zawiadomimy. Trzymaj się, Roland. - A kiedy skończyli rozmowę, Bell skinął głową w stronę białych tablic. - Sprawa Constable'a jest co najmniej równie trudna jak ta.

Ktoś znowu zapukał do drzwi. Weszła Kara z wielkim kubkiem kawy. Była zmęczona i wymizerowana; dwudziestoparoletnia dziewczyna nie powinna tak wyglądać. Zapewne pan Balzac karał ją za współpracę z Rhyme'em dodatkowymi godzinami pracy. Sellitto skorzysta! z okazji, by wygłosić długi monolog o najnowszych technikach odchudzania. Przerwał mu kolejny telefon.

Lincoln? - zatrzeszczał głos w głośniczku systemu głośno

mówiącego. -Tu Bedding. Zdaje się, że w sprawie tego klucza wy
odrębniliśmy trzy hotele. Trwało to tak długo, bo...

...bo okazuje się, że sporo hoteli z pokojami wynajmowanymi
na miesiąc lub dłuższej tak się używa plastikowych kluczy - włączył się do rozmowy jego wieloletni partner, Saul.

A tak się te z pokojami na godziny. Ale to zupełnie inna
sprawa.

-

Musielismy sprawdzić wszystkie. W każdym razie wygląda
na to, powtarzam, wygląda na to, że mieszkał albo w Chelsea
Lodge, albo w Beckmanie, albo... jak to się nazywało?

-

Lanham Arms - podsunął mu Saul.

264

_ No właśnie. Tylko w nich używa się modelu 42 w tym kolo-ne- Jesteśmy w Beckmanie.

Róg Trzydziestej Czwartej i Piątej. Zaraz zaczniemy próbować.

_ Co to znaczy, „zaczniemy”? - zdziwił się Rhyme.

_ Bo widzisz, tylko zamek w drzwiach hotelowego numeru potrafi odczytać numer klucza.

Maszyna w recepcji wypala kod na pustym kluczu, ale nie potrafi odczytać tego, co wypaliła, i nie wyświetli odpowiedniego numeru.

Dlaczego nie? To jakaś głupota!

Taka informacja po prostu nikomu nigdy nie była potrzebna.

Oczywiście nikomu oprócz nas i dlatego chodzimy od drzwi do drzwi i sprawdzamy wszystkie.

O, kurwa - warknął Rhyme.

TeŜ jesteśmy tego zdania.

Dobra juŜ, dobra. Przydzielić wam jeszcze kogoś? - spytał

Sellitto.

Nie. PrzecieŜ i tak moŜemy sprawdzać tylko jedne drzwi na raz. Inaczej nie da się zrobić.

Cześć, panowie - powiedział głośnie Bell.

Cześć, Roland.

Rozpoznaliśmy ten akcent - dodał drugi z „bliźniaków”.

Powiedzieliście Lanham Arms? Gdzie to jest?

Wschodnia Siedemdziesiąta Piąta. Niedaleko Lex.

Z czymś mi się to kojarzy, ale nie wiem dokładnie z czym.

Jest następny na naszej liście.

Po Beckmanie.

Który ma sześćset osiemdziesiąt dwa pokoje. Lepiej bierzmy się do roboty.

I „bliźniacy” wrócili do cięŜkiej roboty.

Komputer Mela Coopera pisnął, sygnalizując nadejście e-maila.

Laboratorium FBI w Waszyngtonie... nareszcie... mamy ra

port o metalowych opiłkach, tych mosiężnych, znalezionych w torbie Maga. Twierdzą, że ślady dowodzą ich pochodzenia od mechanizmu zegarowego.

Ale to oczywiście nie zegar - zauważył Rhyme.

Skąd wiesz? - zainteresował się Bell.

Bo to detonator - powiedziała spokojnie Sachs.

To by się zgadzało - przytaknął kryminalistyk.

Bomba benzynowa? - Cooper gestem głowy wskazał naszą czoną benzyną chusteczkę, pamiątkę, którą Weir zostawił po przedniego wieczora w sypialni Rhyme'a.

Bardzo prawdopodobne.

Facet ma zapas benzyny, no i jest opętany ogniem. Następną ofiarę ma zamiar spalić.

Czyli pokazać jej to, co zdarzyło się jemu. Ogień „zamordował go”, w każdym razie jego poprzednie ja, kiedy więc morduje, czuje się lepiej. To go uspokaja, redukuje jego gniew, niepokój.

Rhyme spojrział na zegar. Dochodziła dwunasta. Już prawie południe... kolejna ofiara umrze wkrótce. Ale kiedy? O dwunastej zero jeden czy o szesnastej zero sześć? Potrząsnął głową z gniewu, zapewne zdrząłby na całym ciele, gdyby zachował w nim czucie. Muszą coś zrobić!

Muszą zorientować się, gdzie Weir zamierza uderzyć. Mają tak mało czasu!

Może nie mają już czasu?

Na podstawie posiadanych dowodów nie mógł jednak dojść do żadnego konstruktywnego wniosku. A dzień ciągnął się przeraźliwie, czas płynął tak powoli jak płyn w kroplówce.

Przyszedł faks. Cooper powiedział głośno:

- To z laboratorium badania dokumentów w Queens. Udało się im odtworzyć gazetę z mazdy.

Brak oznaczeń, brak zakreśleń. A oto nagłówki:

AWARIA ELEKTRYCZNOŚCI, KOMISARIAT POLICJI ZAMKNIĘTY NA CZTERY
GODZINY.

KONWENCJA PARTII REPUBLIKAŃSKIEJ STAWIA NOWY JORK NA GŁOWIE.

RODZICE PROTESTUJĄ

PRZECIW NIEDOSTATECZNYM ZABEZPIECZENIOM SZKOŁY ŚEŃSKIEJ.

W PONIEDZIAŁEK ROZPOCZYNA SIĘ PROCES O MORDERSTWO NA TLE
RASOWYM.

WEEKENDOWE PRZEDSTAWIENIE

W METROPOLITAN THEATRE, DOCHODY PRZEZNACZONE NA CELE
CHARYTATYWNE.

WIOSENNE ZABAWY DLA DZIECI MŁODSZYCH I STARSZYCH.

266

GUBERNATOR I BURMISTRZ SPOTYKAJĄ SIĘ, BY OMÓWIĆ NOWE PLANY DLA
WEST SIDE.

Jeden z tych tytułów ma jakieś znaczenie - powiedział po-Rhyme? Ale który? Czy morderca

niał zamiar polować przy ikole dla dziewcząt? Na przedstawieniu dobroczynnym? A moŜe wypróbuje swe sztuczki, pozbawiając komisariat prądu? Rhyme złościł się coraz bardziej, ponieważ dostali do ręki nowy dowód... ale nie potrafili go rozpoznać.

Zadzwoił telefon Sellitta. Detektyw przyjął rozmowę, a wszyscy gapili się na niego, czekając na informację o kolejnym zabójstwie.

Była trzynasta zero trzy.

To juŜ prawdziwe popołudnie! Wyczerpali zapas czasu; jeśli morderstwo nie zdarzyło się jeszcze, moŜe zdarzyć się w kaŜdej chwili.

Ale wiadomość nie była najwyraźniej całkiem zła. Lon Sellitto uniósł brew. Powiedział do słuchawki:

Tak, tak... Naprawdę? Nie, to rzeczywiście niedaleko. MoŜe pan przyjechać? - Podał adres Rhyme'a i zakończył rozmowę.

Kto dzwonił?

Edward Kadesky. MenedŜer cyrku z Ohio, tego, w którym występował Weir i gdzie zdarzył się poŜar. Jest w mieście. Odebrał naszą informację z sekretarki w Chicago. Ma zamiar przyjść i porozmawiać z nami.

MAG

Miejsce zbrodni: szkoła muzyczna

-

Opis sprawcy: brązowe włosy, fałszywa broda, brak cech szczególnych, wiek - około pięćdziesięciu lat, budowa ciała średnia, wzrost średni. Mały i serdeczny palec lewej ręki złączone. Błyskawicznie zmienił kostium, by upodobnić się do starego, łysego woźnego.

- Motyw nieznan. - Ofiara: Świetlana Rasnikow. - Studia dzienne.

Sprawdzenie rodziny, przyjaciół, studentów i pracowników w celu zdobycia śladów.

Nie miała chłopaka ani znanych wrogów. Występowała na

Przyjęciach urodzinowych dla dzieci.

Układ scalony z dołączonym głośnikiem.

Wysłany do laboratoriów FBI do badania.

Magnetofon cyfrowy, prawdopodobnie z nagraniem głosem sprawcy. Wszystkie dane wymazane.

Magnetofon jest „sztuczką”. Produkcja domowa.

Użył staroświeckich żelaznych kajdanek do skrępowania ofiary.

Kajdanki firmy Darbys, stare, produkcji brytyjskiej. Spraw
dzić w Muzeum Houdiniego w Nowym Orleanie.

Zegarek ofiary zniszczony. Zatrzymał się dokładnie o ósmej
rano.

Bawełniane nici łączące krzesła. Brak nazwy firmy. Zbyt po
pularne, by wysledzić źródło.

Petarda imitująca strzał. Zniszczona.

Zbyt popularna, by wysledzić źródło.

-

Zapalniki: brak nazwy firmy.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Funkcjonariuszki wezwane na miejsce mówią o silnym błysku. Nie znaleziono
mikrośladów.

Prawdopodobnie pochodził z pirowaty lub piropapieru.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Buty sprawcy: Ecco numer 10.

Włókna jedwabiu ufarbowanego na szaro, zmatowionego.

Z kostiumu woźnego, szybko zmiana.

Sprawca prawdopodobnie nosi brązową perukę.

Czerwona hikora i porost *Parmelia conspersa*, pochodzą najprawdopodobniej z Central Parku.

Ziemia nasycona rzadko występującym olejem mineralnym.

Wysłana do FBI do analizy.

Czarny jedwab, 1,80 x 1,20 metra. Użyty jako kamuflaż. Źródło nie do wyśledzenia.

Często używany przez iluzjonistów.

Używa nakładek na palce maskujących odciski.

Nakładki.

Ślady lateksu, oleju rycynowego, makijażu.

Używane przy makijażu teatralnym.

Ślady alginianu.

Używanego jako forma do lateksowych „dodatków”.

-

Narzędzie zbrodni: biały sznur z plecionego jedwabiu z czar

nym jedwabnym środkiem.

Sznur naleŜy do akcesoriów magicznych. Zmienia kolor. Nie do
wyśledzenia.

268

-

Niezwykły węzeł.

T

Wysłany do FBI i Muzeum Marynarki. Brak informacji. Węzeł stosowany przez Houdiniego
podczas występów. Nie do rozwiązania.

-

UŜył znikającego atramentu, wpisując się do księgi wejść.

Miejsce zbrodni: East Village

-
Ofiara numer dwa: Tony Calvert.

Charakteryzator teatralny.

Wrogowie: nieznani.

śadnych znanych związków z pierwszą ofiarą.

Brak oczywistego motywu.

Przyczyna śmierci:

Uderzenie w głowę tępym narzędziem. Po śmierci ciało przecięte piłą.

-
Sprawca uciekł, upodabniając się do siedemdziesięcioletniej

kobiety. Sprawdzanie okolicy w poszukiwaniu stroju i innych dowo
dów rzeczowych.

Nic nie znaleziono.

-
Zegarek zmiaŜdŜony dokładnie o godzinie dwunastej w południe.

Wzór? Następne morderstwo o szesnastej?

-

Sprawca ukryty za lustrem. Źródło nie do wyśledzenia. Odciski palców wysłane do FBI.

Brak rezultatów.

Użył zabawki przypominającej kota (fałszywki), by zwabić ofiarę w alejkę. Zabawka nie do wyśledzenia.

Znaleziono olej mineralny, taki sam jak za pierwszym razem.

Czekamy na raport FBI.

Olej Tack-Pure do siodeł i innych produktów skórzanych. Dodatkowy lateks i elementy makijażu z nakładek na palce.

Znaleziono alginian.

Pozostawione na miejscu buty Ecco.

Na butach znaleziono włosy psów trzech różnych ras. Także nawóz.

Nawóz koński, nie psi.

Rzeka Hudson i powiązane z nią miejsca przestępstwa

-

Ofiara: Cheryl Marston.

Prawniczka.

Rozwiedziona. Mąż nie jest podejrzany.

-

Brak motywu.

269

Sprawca przedstawił się jako John. Blizny na szyi i piersi. Po
twierdzona deformacja dłoni.

Sprawca dokonał szybkiej zmiany w gładko ogolonego biznes
mena w luźnych spodniach khaki i eleganckiej koszuli, a następnie
w motocyklistę w ciemnosiniej koszuli Harleya.

Samochód w rzece Harlem. Sprawca najprawdopodobniej
zbiegł.

Knebel z taśmy samoprzylepnej. Źródło nie do wyśledzenia.

Petardy, takie, jakich używał poprzednio. Źródło nie do wyśle
dzenia.

Łańcuchy i karabińczyki, brak nazwy firmy, źródło nie do wy
śledzenia.

Sznur, brak nazwy firmy, źródło nie do wyśledzenia.

Składniki makijażu, lateks, olej Tack-Pure.

Torba sportowa, produkt chiński, źródło nie do wyśledzenia.

Zawiera:

Ślady flun i trapezami, środka oszłamiającego podawanego kobietom podczas randki.

Parafina, przylepna, używana w sztukach magicznych, źródło nie do wyśledzenia.

Wióry mosiężne (RIGHT SQUARE BRACKET'7b?). Wystane do FBI. Trwały tusz, czarny.

- Znalaziona granatowa wiatrówka, brak naszywek firmowych i naszywek pralni. Zawiera:

Przepustkę prasową sieci kablowej CTN, wystawioną na Stanleya Safersteina (nie jest podejrzany, nie figuruje w bazach danych NCIC i VICAP).

Plastikową kartę - klucz do pokoju hotelowego. American Plastic Cards, Akron, Ohio. Model APC-42, brak odcisków palców.

Prezes firmy ma sprawdzić akta sprzedaży.

Detektywi Bedding i Saul sprawdzają hotele.

-

Rachunek z restauracji Riverside Inn, Bedford Junction, stan

Nowy Jork, dowodzący, że dwa tygodnie temu cztery osoby zjadły lunch przy stole numer dwanaście. Zamówiono: indyka, kotlet mielony, stek i specjalność dnia. Nie podano alkoholu. Obsługa nie potrafi zidentyfikować gości (wspólnicy?).

-

Alejka, w której zatrzymano Maga.

Otwarcie zamku kajdanek wytrychem.

Ślina (wytrych ukryty w ustach).

Nie ustalono grupy krwi.

Mata piła umościwiająca uwolnienie się z więzów.

-

Brak śladów wskazujących, gdzie mógł być funkcjonariusz

270

Burkę.

Miejsce nad rzeką Harlem

śladnych śladów oprócz śladów opon w błocie.

Gazeta odzyskana z zatopionego samochodu. Nagłówki.

Awaria elektryczności, komisariat policji zamknięty na cztery godziny.

Konwencja Partii Republikańskiej stawia Nowy Jork na głowie.

Rodzice protestują przeciw niedostatecznemu zabezpieczeniu szkoły Śeńskiej.

W poniedziałek rozpoczyna się proces o morderstwo na tle rasowym.

Weekendowe przedstawienie w Metropolitan Theatre, dochody przeznaczone na cele charytatywne.

Wiosenne zabawy dla dzieci młodszych i starszych.

Gubernator i burmistrz spotykają się, by omówić nowe plany dla West Side.

Miejsce zbrodni: dom Lincolna Rhyme'a

-

Ofiara: Lincoln Rhyme.

-

Tożsamość sprawcy: Erick A. Weir.

Miejsce urodzenia: Las Vegas.

Poparzony w poŜarze w Ohio przed trzema laty. Cyrk Hasbro i Bracia Keller. Znikł po wypadku. Poparzenia trzeciego stopnia. Producent: Edward Kadesky.

Skazany w New Jersey za lekkomyślne naraŜenie Ŝycia.

Obsesja ognia.

Szaleniec. Zwraca się do „szacownych widzów”.

Słynął z niebezpiecznych numerów.

-

ŝona: Marie Cosgrove, zginęła w poŜarze.

Nie kontaktował się z jej rodziną od czasu poŜaru.

Rodzice Weira nie Ŝyją. Nie ma bliŝszej rodziny.

ŝadnych danych w VICAP i NCIC.

Nazywał siebie Czarodziejem Północy.

Zaatakował Rhyme'a, by powstrzymać go przed niedzielnym popołudniem (kolejna ofiara?).

Profil psychologiczny (autor Terry Dobyns, Departament Policji Nowego Jorku). Główny motyw: zemsta, choć może nie zdawać

sobie z tego sprawy. Chce wyrównać rachunki. Przez cały czas czuje

gniew. Zabijając, zagłusza ból spowodowany śmiercią Sony i nie

moŜnością występowania przed publicznością.

Weir skontaktował się ostatnio z asystentami: Johnem Keatingiem i Arthurem Loesserem z Nevady.

Pytał o poŜar i ludzi związanych z wypadkiem.

Opisali Weira jako szaleńca, władczygo, niebezpiecznego, opanowanego przez manię, ale

genialnego.

Kontakt z menedŜerem cyrku z czasów wypadku, Edwardem Kadeskym.

-

Zabił ofiary za to, co sobą reprezentują; być moŜe szczęśliwe

lub traumatyczne przeŜycia sprzed poŜaru.

Chusteczka nasyciona benzyną, źródło nie do wyśledzenia.

Buty Ecco, nie do wyśledzenia.

Profil iluzjonisty

-

Będzie uŜywał „zmyłek” przeciw ofiarom i policji.

Fizycznych (fałszywy trop).

Psychologicznych (odsunięcie podejrzeń).

Ucieczka ze szkoły muzycznej przypominała numer „Znikają

cy człowiek". Zbyt popularny, by wytropić wykonawcę.

Sprawca jest przede wszystkim iluzjonista.

Utalentowany w magii zręcznej ręki.

Zna także magię proteańską (szybkiej zmiany). Będzie używał różnych kostiumów z nylonu i jedwabiu, nakładek imitujących łysinę, nakładek na palce i innych akcesoriów lateksowych. Może być w dowolnym wieku, każdej płci i każdej rasy.

Śmierć Calverta = numer Selbita „Przeplówanie dziewczyny”.

Utalentowany włamywacz, zapewne umie „skrobać” zamki.

Zna techniki uwalniania się z więzów.

Zna techniki iluzji z udziałem zwierząt.

Używa technik mental i stycznych, by zdobyć informacje o ofiarach.

Użył metody zręcznej ręki, by oszołomić jedną z ofiar.

Próbował zamordować trzecią ofiarę przez naśladowanie numeru Houdiniego: „Tortura wodna”.

Brzuchomówstwo.

śyletki.

Zna lub prezentował numer „Płonące lustro”. Wyjątkowo nie

bezpieczny.

MęŜczyzna był średniego wzrostu, mocno zbudowany, miał doskonale do niego pasującą siwą

brodę i falujące włosy. Rhyme nader podejrzliwy po wczorajszej wizycie, zaraz po powitaniu pana prosi! o dokumenty.

- Mam nadzieję, Őe nie ma pan nic przeciwko temu. - Sellipto próbował łagodzić sytuację.

Wyjaśnił, Őe ostatnio mieli pewien kłopot ze sprawcą, który doskonale potrafi podawać się za kogoś innego. Kadesky - najwyraźniej przyzwyczajony, Őe wszędzie go rozpoznawano, i nieprzyzwyczajony do okazywania dowodów toŜsamości sprawiał wraŜenie lekko

zirytowanego, niemniej pokazał detektywowi prawo jazdy z Illinois. Cooper zaledwie na nie

zerknął, spojrzął w twarz producenta i niemal niedostrzegalnie skinął głową. JuŜ wcześniej skontaktował się z Wydziałem Komunikacji Illinois i znał wszystkie szczegóły prawa jazdy Kadesky'ego, łącznie z aktualną fotografią.

-

W informacji zostawionej na automatycznej sekretarce

wspomni ł pan o Ericku Weirze - powiedzia ł producent. Spoj

rzenie mia ł w ładcze i jednocze nie drapie ne, jak jastrz b.

-Tak.

-

A więc on jeszcze Śyje?

Było to doprawdy rozczarowujące pytanie, świadczyło o tym, Śe Kadesky wie mniej od nich.

Owszem, Śyje i daje się we znaki - powiedział zgryźliwie

Rhyme. - Jest podejrzany o dokonanie serii zabójstw w mieście.

NiemoŚliwe! A kogo zabił?

Zwykłych ludzi. A takŚe funkcjonariusza policji - wyjaśnił

Sellitto. - Mieliliśmy nadzieję, Śe udzieli nam pan informacji, które pomogą go zlokalizować.

Nie kontaktowałem się z nim od czasu poŚaru. Co o tym wiecie?

Niewiele - przyznała Amelia. - Proszę nam opowiedzieć.

Obwinił mnie o to... to było trzy lata temu. Weir i jego asystenci występowali u nas jako iluzjoniści, robili takŚe szybkie zmiany. Dobrzy byli, nie, nie tak... byli wręcz zdumiewający. Ale od miesięcy przyjmowaliśmy skargi. Od pracowników, a takŚe od widzów. Weir straszył ludzi. Był prawdziwym małym dyktatorem. A ci jego asystenci... nazywaliśmy ich sekciarzami. Opanował ich całkowicie. Iluzje były dla niego jak religia. Czasami podczas prób albo przedstawienia coś się komuś moŚe zdarzyć, nawet ochotnikom, ale jego zupełnie to nie obchodziło. Uważał, Śe magia jest tym lepsza, im większe niebezpieczeństwo. Twierdził, Śe powinna być jak rozgrzane do czerwoności Śelazo, wypalać pięć no na duszy. - Kadesky roześmiał się bez śladu wesołości. - Ale na to nie moŚemy sobie pozwolić, nie w biznesie rozrywkowym, Prawda? Poszedłem do Sidneya Kellera - był właścicielem cyrku

" i wspólnie zdecydowaliśmy, że go wyrzucamy. W sobotę rano,

Przed porannym przedstawieniem, posłałem inspicjenta, żeby mu to powiedział.

- To było w dniu pośaru? - upewnił się Rhyme.

Kadesky skinął głową.

-

Inspicjent wszedł do namiotu, kiedy Weir przygotowywał na scenie ściągacz gazowy do tego swojego numeru „Płonące lustro”. Powiedział, co postanowiliśmy. Weir dostał szału. Zrzucił go ze schodów i wrócił do pracy. Zszedłem na scenę. Złapał mnie... nie biliśmy się, można to chyba nazwać szarpaniną, ale z butli wydobywał się gaz. Wpadliśmy pomiędzy metalowe krzesła i to chyba iskra spowodowała wybuch. Jego poparzyło, Sona zginęła. Spłonął namiot. Zastanawialiśmy się, czy go oskarżyć, ale nim podjęliśmy decyzję, uciekł ze szpitala i znikł.

Odkryliśmy, że był już skazany w New Jersey. Lekkość narażenia Sycia. Nie wie pan, czy gdzieś jeszcze go zatrzymywano?

Nie mam pojęcia. - Kadesky potrząsnął głową. - Nie powinniśmy go angażować. Ale gdyby widział pan któryś z jego występów, z pewnością by mnie pan zrozumiał. Był najlepszy. Widzowie mogli się bać, owszem, ale kupowali bilety na niego! A te owacje!

- Zerknął na zegarek. - Za piętnaście druga. Nasze przedstawienie nie zaczyna się o drugiej. Jeśli wolno coś zaproponować, moim zdaniem dobrze byłoby ściągnąć do nas jeszcze kilka radiowozów. No, bo... Weir jest gdzieś na wolności, a tyle się między nami zdarzyło.

Do nas, to znaczy gdzie? - zdziwił się Rhyme.

No... na nasze przedstawienie. - Kadesky skinął głową, wskazując okno.

-

Wasze przedstawienie? Cirkie Fantastique?

Och, oczywiście. Przecież wiecie. Ściągnęliście policję - czyżbyście nie wiedzieli, że Cirkie Fantastique to stary cyrk Hasbro i Braci Keller?

Co? - zdumiał się Sellitto.

Rhyme zerknął na Karę. Dziewczyna potrząsnęła głową.

-

Kiedy rozmawiałam wieczorem z panem Balzakiem, nic mi o tym nie powiedział.

-

Po poŃarze - wyjaŃnił Kadesky - zmieniliŃmy całą koncepcjê. Cirque de Soleil odniósł tak wielki sukces, Ńe przekonałem

Sida Kellera, byŃmy poszli w ich Ńlady. DostaliŃmy pieniãdz z ubezpieczenia i ruszyliŃmy z Fantastique.

Wiêc w gruncie rzeczy prowadzicie ten sam biznes, z ktor go wylaliŃcie Weira - zauwaŃył Rhyme.

Praktycznie rzecz biorãc, tak. Oczywiście przedstawiê

274

wyglãda zupełnie inaczej. Ale w produkcji siedzã wãŃciwie ci sami ludzie. Ja na przykãlad...

Nie, nie, nie! - szepnãł Rhyme, wpatrujãc siê w tablice.

CoŃ nie tak, Linc? - zaniepokoił siê Sellitto.

PrzecieŃ Weir ma na myŃli wãŃnie to! Jego celem jest ten cyrk. Cirque Fantastique!

-Co?

Przejrzêc dowody. Porównãc fakty z załoŃeniami.

Rhyme skinãł gãowã.

-Psy!

Co? - Zdumiaãła siê Sachs.

Cholerne psy! Przyjrzyj siê tablicy! Tylko siê jej przyjrzyj!

Zwierzêca sierŃc i ziemia z Central Parku pochodzã z wybiegu

dla psów! Mamy go tuś pod oknem! - Wściekłe kiwnięcie głową
było jedynym gestem, jaki mógł wykonać. - Nie tropił Cheryl
Marston na końskiej ścieŝce, tylko obserwował wasz cyrk! Gaze
ta, ta z jego mazdy, tylko przyjrzyjcie się nagłówkom. „Wiosenne zabawy dla dzieci
młodszych i starszych”. Zadzwońcie do redakcji, sprawdźcie, czy jest tam informacja o cyрку.
Thom, znajdź Petera. Byle szybko!

Opiekun Rhyme'a był przyjacielem reportera z „Timesa”, młodego dziennikarza, który
pomagał im od czasu do czasu. Chwycił słuchawkę, wystukał numer. Peter Hoddins pracował
w dziale międzynarodowym, ale odpowiedź wyszukał im w niespełną minutę. Przekazał
ją Thomowi, który oznajmił donośnym głosem:

Pod tym tytułem opisali cyrk. Dokładnie: godziny przedsta
wień, poszczególne numery, biogramy artystów. Był nawet osobny
tekst o bezpieczeństwie.

..

Cholera! - warknął Rhyme. - Weir szukał właśnie takich in
formacji... a przepustka prasowa pozwoli mu wejść za scenę. -

Zerknął na tablice. - Tak! Mam! Ofiary! Co sobą reprezentują?

Pracę w cyрку! Charakteryzator. Amazonka... a ta dziewczyna?

Jak zarabiała na ŝycie? Bawiła dzieci na przyjęciach, zupełnie

Jak jakiś klaun czy coś!

~ Techniki morderstw. Wszystkie wzięte z cyrkowej magii - d°dała Amelia.

-

Oczywiście. Szykuje się na wasze przedstawienie. Terry Do-
yngs uznał, że jego głównym motywem jest chęć zemsty. Gdzieś

Namiecie macie bombę benzynową!

~ O mój Boże - jęknął Kadesky. - Tam jest dwa tysiące ludzi! aczynamy za dziesięć minut!

275

O drugiej po południu!

- Niedzielne przedstawienie - zauważył Rhyme. - Zupełnie

jak przed trzema laty w Ohio.

Sellitto chwycił radiotelefon motoroli. Próbował wezwać poli. cjanów sprzed Cirque

Fantastique, ale Saden się nie zgłosił. Zmarszczył brwi i postanowił skorzystać z telefonu Rhyme'a.

Funkcjonariusz Koslowsky - usłyszał w słuchawce.

Detektyw przedstawił się i spytał ostrym głosem:

Dlaczego wyłączyliście radia?

Radio? Mam wolne, poruczniku.

Wolne? Przecież przed chwilą objęliście służbę!

Ale, panie poruczniku, zostaliśmy zwolnieni.

-Co?

-

No... pół godziny temu przyszedł jakiś detektyw i powie
dział, że nie jesteśmy już potrzebni. że mamy wolne. Właśnie ja
dę z rodziną na Rockaway Beach. I...

Opiszcie tego detektywa!

Pod pięćdziesiątkę, broda, kasztanowate włosy.

Dokąd poszedł?

-

Nie mam pojęcia. Podeszedł do samochodu, błysnął odznaką,
więc odjechaliśmy.

Sellitto cisnął słuchawkę na widełki.

- Już się zaczęło! O Boże, już się zaczęło. Zadzwoń na Szóstkę, każe przyjechać saperom! -

krzyknął do Amelii. Następnie sam zadzwonił do centrali, wezwał jednostki ratownictwa i

straż pożarną i kazał im jechać pod cyrk. Kadesky podbiegł do drzwi. - Ewakuuję namiot!

Bell zadzwonił do służb medycznych. Poleciał im zainstalować prowizoryczny oddział oparzeń
w Columbia Presbyterian.

Chcę mieć tajniaków w parku - rozkazał Rhyme. - Niech

ich będzie jak najwięcej. Jestem pewien, że Mag będzie w parku.

Dlaczego? - zdziwił się Sellitto.

-

By obserwować ogień. On jest gdzieś blisko. Pamiętam, jak patrzył na ogień w mojej sypialni. Lubi patrzeć na ogień. Nie, ta kieć rozrywki nie odmówiłby sobie za Śadne skarby świata.

Edward Kadesky aŚ tak bardzo nie przejmował się ogniem. Kiedy biegł z domu Rhyne'a do pobliskiego namiotu cyrkowego,

nyśłał o tym, Śe nowe materiały i środki gaśnicze nie pozwolą, by awet najgorsza scena czy cyrkowy namiot spłonęły szybko. Nie,

irawdziwym niebezpieczeństwem nie jest ogień, lecz panika:

dekontrolowana ludzka masa, raniąca i depcząca słabszych, łamiąca im kości, miaŚdŚąca płuca, odbierająca oddech...

Strategia ratowania ludzi podczas wypadku w cyrku opiera się na jednej przesłance: trzeba wyprowadzić widzów, nie wzbudzając paniki. Tradycyjnie robiono to w następujący sposób:

dy-ygent orkiestry, dyskretnie poinformowany przez inspicjenta o wybuchu poŚaru, dawał sygnał do zagrania donośnego i bardzo Śywego marsza Johna Philipa Sousy: „Stars and

Stripes Forever". Kłauuni, akrobaci i ci pracownicy cyrku, którzy jeszcze nie uciekli, zajmowali wyznaczone z góry miejsca i spokojnie wyprowadzali ludzi przez wyjścia awaryjne.

Z czasem marsz Sousy zastąpiły znacznie bardziej efektywne metody komunikacji, udoskonalono teŚ techniki wyprowadzania widzów. Ale jeśli w namiocie wybuchnie bomba benzynowa, jeśli rozleje się płonący płyn...

Edward Kadesky wbiegł do środka. Dwa tysiące sześćset osób niecierpliwie czekało na początek przedstawienia. Jego przedstawienia.

Tak właśnie myślał. Bo on je stworzył. Edward Kadesky w swo-im Śyciu zachęcał ludzi do

odwiedzania strzelnicy w wesołym miasteczku, był konferansjerem drugorzędnych teatrzyków w zapartych miejscach, księgowym i sprzedawcą biletów w brudnych, Sierdzących regionalnych cyrkach. Przez lata walczył o stworzenie przedstawienia, które przekroczyłoby granicę wszechobecnej w tym biznesie tandety, najtańszej możliwej rozrywki. Raz już mu się udało, z Hasbro i braćmi Keller, ale Erick Weir go zniszczył. Mimo to powtórzył sukces z Cirque Fantastique, znanym i szanowanym na całym świecie, z cyrkiem, który spodobał się i przyniósł prestiż profesji, tak często pogardzanej przez tych, którzy chodzili do teatru i opery, ignorowanej przez ludzi oglądających E! i MTV.

Pamiętał falę gorącego powietrza, bijącą od płonącego namiotu Hasbro. Płatki sadzy jak szary, śmiercionośny śnieg. Ryk ognia... doprawdy zdumiewający dźwięk... z jakim trudem wypracowane dzieło umierało na jego oczach.

Istniała jednak znaczna różnica. Trzy lata temu namiot był pusty, dziś wypełniały go tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, które mogły znaleźć się nagle w środku szalejącej pożogi.

Asystentka Kadesky'ego, Katherine Tunney, młoda brunetka, która przed przyjściem do cyrku pracowała w organizacji administrującej parkami Disneya i dzięki swym talentom

błyskawicznie awansowała, zauważyła, że coś jest nie tak, i szybko do niego podeszła. Taki już miał nieoceniony talent: mogło się wydawać, że potrafi przekazywać myśli telepatycznie.

-

Co się stało? - szepnęła.

Opowiedział jej o tym, czego dowiedział się od Lincolna Rhy-me'a i policji. Oboje szybko rozejrzeli się po namiocie, szukając bomby, ale i obserwując potencjalne ofiary.

-

Co robimy? - spytała cicho kobieta.

Kadesky zastanawiał się przez krótką chwilę, po czym szeptem udzielił jej instrukcji.

Potem wyjdiesz. No, ruszaj.

A ty zostajesz? Na co...?

Rób, co mówię - powiedział ostro, a potem cichszym i spo

kojniejszym głosem dodał: - Spotkamy się na zewnątrz. Wszystko

będzie dobrze.

ZauwaŜył, Őe asystentka bardzo pragnie go objąć, przytulić, i powstrzymał ją spojrzeniem.

Widać ich było doskonale z prawie całej widowni, a on nie chciał, by ktoś choćby przez

chwilę pomy" ślał, Őe moŜe tu się stać coś złego.

-

Idź powoli. Uśmiechaj się. Pamiętaj, Őe zawsze jesteŝmy na

scenie.

Katherine skinęła głową. Podeszła najpierw do reŜysera ŝwiŝ' tła, a potem do dyrygenta

orkiestry, przekazując im otrzymane instrukcje. Następnie stanęła przy głównym wyjściu.

Kadesky poprawił krawat, dopiął marynarkę. Potem spojrział na orkiestrę, skinął głową.

Zawarczały bębny.

Pora zacząć przedstawienie, pomyślał. Uśmiechnięty szeroko wyszedł na scenę. Widownia

cichła powoli. Zatrzymał się po-Jrodku koła, dudnienie bębnów zamarło, a jednocześnie

oświetliły go dwa silne reflektory. Chociaś poprosił asystentkę, by przekazała oświetleniowcowi, że ma skupić na nim główne reflektory punktowe, aś drgnął; przez chwilę był pewien, że wybuchła bomba.

Edward Kadesky nie przestał się jednak uśmiechać i błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą. Podniósł mikrofon do ust.

-

Dobry wieczór, panie i panowie, witajcie w Cirque Fantastique. - Mówił głosem miłym, dźwięcznym, lecz także stanowczym. - Mamy dziś dla państwa wspaniałe przedstawienie. Teraz jednak zmuszony jestem prosić o wyrozumiałość. Obawiam się, że przysporzymy wam odrobinę niewygody, obiecuję jednak, że zostaniecie państwo sowicie wynagrodzeni za swą cierpliwość. Przygotowaliśmy specjalny pokaz na świeżym powietrzu. Jeszcze raz przepraszam... próbowaliśmy przenieść go do namiotu Plaza Hotel, ale szefowie hotelu protestowali. Podobno goście nie chcieli się zgodzić.

Przerwa na wybuch śmiechu.

-

Ośmielam się więc prosić państwa, byście wyszli teraz do

Central Parku. Nie zapomnijcie o biletach!

Ludzie zaczęli szeptać. Zastanawiali się, jaką to niespodziankę szykuje im cyrk.

Kadesky uśmiechnął się rozbajająco.

-

MoŜecie stanąć gdziekolwiek pod warunkiem, Ŝe będziecie widzieli domy na Central Park South. Daję słowo, Ŝe niczego nie straciecie.

Udało mu się poruszyć i zaciekawić widownię. Co to moŜe znaczyć? CzyŜby śmiałkowie z cyrku zamierzali przejść po linii między wieŜowcami?

-

Zapraszamy widzów z pierwszych rzędów. Spokojnie i powo-

"j jeśli wolno prosić. Kierujemy się w stronę najbliższego wyjścia.

Zapłonęły wszystkie światła. Dostrzegł Katherine, stojącą przy głównym wyjściu, uśmiechającą się, wskazującą ludziom drogę. fr°szę, skierował tę myśl do niej, wyjdź z namiotu. Uciekaj!

Ludzie wstawali, rozmawiali głoŝno; mimo skierowanych na Cenę oślepiających świateł

widział ich, choć niewyraźnie. Rozglądali się za znajomymi, zastanawiali się, kto wyjdzie

pierwszy w którą stronę iść, zbierali wokół siebie dzieci, torebki i kartoniki z popcornem, sprawdzali, gdzie schowali odcinki biletów.

Kadesky z uśmiechem patrzył, jak powoli masa ta rusza do

wyjscia. I wspominał.

Chicago, Illinois, grudzień 1903 roku. Podczas porannego

przedstawienia słynnego wodewilu Eddiego Foya w Iroquois

Theater reflektor punktowy wzniesił się, który błyskawicznie

rozszerzył się ze sceny na widownię. Dwa tysiące widzów nie

przemyślnie popędziło do wyjścia. Zapchali je tak, że strażnicy nie

mogli dostać się do środka. Ponad sześćset osób zmarło straszną]

śmiercią.

1.

Hartford, Connecticut, lipiec 1944 roku. Kolejne poranne przedstawienie cyrku Ringling

Brothers i Barnum & Bailey. Słynna rodzina Wallenda właśnie rozpoczęła numer na

trapezach, gdy zapalił się południowo-wschodni róg namiotu. Niegroźny początkowo ogień

błyskawicznie przerzucił się na płótno namiotowe, impregnowane benzyną i parafiną. W

ciągu zaledwie kilku minut zginęło sto sześćdziesiąt siedem osób, spalonych, uduszonych i

zmasakrowanych podczas ucieczki.

Chicago, Hartford, tyle innych miast. Tysiące ludzi zginęło straszną śmiercią w salach

widowiskowych i cyrkach. Co zdarzy się tu? Jak historia zapamięta Cirque Fantastique, jego dzieło, jego przedstawienie?

Tymczasem namiot opróżniał się spokojnie i bez zbytecznego pośpiechu. I w tym problem. Ceną

za uniknięcie paniki była powolność. W środku nadal było zbyt wielu ludzi. Co gorsza,

niektórzy widzowie nie ruszali się z miejsc, najwyraźniej preferując wygodę nad obejrzenie obiecanego spektaklu w parku. Kiedy inni wyjdą, trzeba będzie podejść, powiedzieć im, o co

naprawdę chodzi.

Kiedy wybuchnie bomba? Najprawdopodobniej jeszcze nie teraz. Weir zamierzał pewnie poczekać na spóźnialskich, niech wejdą, niech zajmą miejsca, niech ofiar będzie jak najwięcej. Dziesięć po drugiej. MoŜe ustawił zapalnik na piętnaście po, wpół do trzeciej.

Gdzie był zapalnik? Gdzie była bomba? Nie miał pojęcia,

· gdzie wywołałaby jak największe zniszczenia.

Rozejrzał się po namiocie. Przed głównym wyjściem powoli gromadził się tłum. Dostrzegł wśród niego Katherine - kiwała ręką, wzywając go do wyjścia.

Nie wyszedł. Postanowił, że zrobi wszystko, by zakończyć ewakuację namiotu, choćby miał wyprowadzać ludzi za rękę. Choćby

miał wypychać ich na dwór siłą i wracać po następnych. Nawet gdyby namiot walił się wokół niego w płomieniach. Wiedział, że wyjdzie ostatni.

Uśmiechnął się wesoło, potrząsnął głową; Katherine nie powinna się łudzić. Podniósł mikrofon do ust i znów spokojnym, choć donośnym głosem tłumaczył ludziom, jakie to wspaniałe atrakcje czekają ich na zewnątrz. Nagle przerwała mu głośnie muzyka. Spójrzął na balkon orkiestry. Muzycy wyszli - tak jak im polecił - ale dyrygent stał przy konsoli komputerowej, sterującej playbackiem, którego czasem używali. Spojrzeli na siebie, Kadesky skinął głową z aprobatą. Dyrygent, weteran wielu cyrków i wielu przedstawień, łączył taśmę z „The Stars and Stripes Forever”.

Amelia Sachs przeciskała się przez tłum wychodzący z namiotu, Cirque Fantastique. Wbiegła do środka. Usłyszała hałaśliwą muzykę, jakiś marsz, zobaczyła Edwarda Kadesky'ego, entuzjastycznie namawiającego wszystkich, by wyszli i obejrzelili przygotowane na zewnątrz atrakcje; założyła, że w ten sposób zapobie-i panice.

Świetny pomysł, pomyślała, wyobrażając sobie, jakim nie-zczęściem byłby gniotący się przy nielicznych wyjściach tłum.

Była pierwszym policjantem, który pojawił się na miejscu; bliżący się dźwięk syren świadczył o tym, że za chwilę będzie ich znacznie więcej, ale nie czekała na wsparcie.

Natychmiast rozpoczęła poszukiwania. Przede wszystkim rozejrzała się po namiocie, próbując określić, gdzie najlepiej byłoby podłożyć bombę zapalającą. Jeśli sprawca chciałby spowodować jak największe szkody, powinien umieścić ją pod ławkami, jak najbliżej wyjść.

Bomba - czy teŜ bombby - musiała być spora. W odróŜnieniu od dynamitu czy plastiku bomby benzynowe powinny być duŜe, by dokonać powaŜnych zniszczeń. MoŜna byłoby je ukryć w pojemnikach do przesyłek lub pudłach kartonowych. Beczka paliwa? ZauwaŜyła plastikowy kosz na śmieci, wielki, tak na oko o pojemności co najmniej dwustu litrów. Stał tuŜ przy głównym wejściu; w tej właśnie chwili przechodziły obok niego dziesiątki ludzi. W namiocie było ze dwadzieścia koszy, moŜe nawet dwadzieścia Pięć. Te ciemnozielone pojemniki były wręcz idealnym miejscem ćta podłoŜenia bomby.

281

Podbiegła do najbliŜszego, zawahała się. Nie mogła zajrzeć do środka, do tego trzeba było odchylić skośne klapki, uznała jed. nak, Őe nie załoŜono w nich zapalnika reagującego na ruch; Mag zgodnie z tym, czego dowiedzieli się od szefostwa, miał uŜyć raczej zapalnika czasowego. Z tylnej kieszeni wyjęła małą latarkę włączyła ją, zajrzała do środka, wypełnionego śmierdzącymi śmieciami: podartymi papierowymi opakowaniami, zgniecionymi kartonowymi pojemnikami po popcornie, pustymi kubkami i puszkami. Nie widziała dna. Poruszyła pojemnikiem; był zbyt lekki, by ukryto w nim choćby kilka litrów benzyny.

Znów rozejrzała się dookoła. W namiocie pozostało kilkaset osób, które nie spieszyły się do wyjścia. I kilkanaście pojemników do przeszukania.

Podeszła do następnego, zatrzymała się, zmruŜyła oczy. Pod loŜą po prawej, koło południowego wyjścia, dostrzegła jakiś przedmiot wielkości mniej więcej pół metra kwadratowego, przykryty czarną płachtą. Natychmiast przypomniała sobie o sztuczce Weira, uŜywającego materiału jako przykrycia, uniemoŜliwiającego jego dostrzeŜenie. Cokolwiek

kryło się pod tą płachtą, było po pierwsze niewidzialne, a po drugie mogło być benzyną.

A ludzie przechodzili sobie spokojnie w odległości nie większej niż pięć metrów.

Coraz głośniejsze wycie syren umilkło nagle; radiowozy zatrzymywały się przed namiotem.

W środku pojawili się najpierw policjanci, a zaraz potem strażacy. Pokazała odznakę najbliższemu.

Saperzy przyjechali? - spytała.

Powinni być za pięć minut.

Skinęła głową, nakazała sprawdzenie pojemników na śmieci, a sama podeszła ostrożnie do tajemniczego, przykrytego czarnym materiałem pudła.

I wówczas zdarzyło się najgorsze.

Nie, to nie była detonacja. Ale panika wybuchła tak, jakby pod tłum podłożono zapalnik.

Amelia nie była nawet pewna, co ją wywołało; zapewne ludzi zaniepokoił widok podjeżdżających radiowozów i strażaków, przebijających się przez tłum i wbiegających do namiotu. Usłyszała także kilka dobiegających sprzed głównego wejścia ostrych trzasków,

które rozpoznała z wczorajszej wizyty; to powiewała na wietrze wielka flaga przedstawiająca Arlekina. Ale ludzie wzięli je zapewne za wystrzały z broni palnej i cofnęli się do środka, 282

^

t szukając jakiegoś innego wyjścia. W namiocie echem odbiło się potężne westchnienie przerażonego tłumu, głośnie jak ryk. I wywołało wielką falę.

Wrzeszcząc wniebogłosy, ludzie rzucili się do wyjść. Tłum, lierzający od tyłu, zwałił Amelię z nóg. Bokiem głowy uderzyła ramię jakiegoś mężczyzny i omal nie straciła przytomności, dzie krzyczeli coś o bombach, pośarze, terrorystach. - Nie pchać się! - krzyknęła, ale nikt jej nie usłyszał. Zresztą nie sposób było powstrzymać tę falę. Setki ludzi stały się nagle jedną masą.

Niektórzy próbowali się opierać, powstrzymać lawinę, ale przegrywali i natychmiast stawali się jej częścią. Częścią bestii, z rozpaczliwą siłą szukającej wąskiego pasemka światła, oznaczającego wyjście.

Amelia z trudem wyciągnęła rękę, zakleszczoną pomiędzy ciałami dwóch nastolatków, których zdrowe, młodzieńcze twarze skrzywione były w grymasie przerażenia. Ktoś uderzył ją w głó

we od tyłu, zobaczyła leżące na ziemi strzępy; wzięła je za ludzkie ciało i z przerażeniem pomyślała, że tłum stratował dziecko, ale nie, to były tylko strzępy balonu. Obok poniewierała się dzie-inna butelka ze smoczkiem, prażona kukurydza, kupiona na jamiątkę maska Arlekina i discman; wszystko to tratowały stopy oszalałych z przerażenia ludzi. Gdyby ktoś upadł,

zginąłby w ułamku sekundy. Amelia miała problemy z utrzymaniem równowagi, by już nie wspomnieć o wyborze kierunku, spodziewała się, że sama lada chwila upadnie na ziemię.

I nagle poczuła, że unosi się w powietrzu. Powoli traciła przytomność, ściśnięta pomiędzy spoconym ciałem potężnie zbudowanego mężczyzny w zakrwawionym podkoszulku, trzymającego nad głową szlochającego chłopca, i kobietą, która najwyraźniej straciła

przytomność. Piskliwe krzyki dzieci i równie rozpaczliwe dorosłych wypełniały namiot, tylko wzmagając panikę. Przeraźliwe gorąco uniemożliwiało oddychanie. Była pewna, że miażdżące ściska zaraz uniemożliwią jej oddychanie. Klaustrofobia... której się tak strasznie bała, chwyciła ją w swój mocarny uścisk, pozostało tylko uczucie, że zostaje pogrzebana żywcem. Jeśli się poruszasz, nie dopadną cię...

Ale Amelia nie mogła się poruszyć. Unieruchomiły ją wilgotne ciała, już nie ludzkie; składały się z mięśni, potu, piędzi, śliny stóp i miażdżyły wszystko, co stawało im na drodze.

Błagam, nie. Proszę, niech coś się stanie. Niech wyciągnę choćby rękę. Niech choć raz swobodnie odetchnę.

283

Wydawało jej się, że widzi krew. Wydawało jej się, że widzi strzępy ciała.

Może były to strzępy jej ciała?

Strach, ból, brak powietrza... cokolwiek było tego przyczyną Amelia poczuła, że kręci jej się w głowie. Traciła przytomność. '

nie wolno ci upaść!

Proszę...

Nie starczyło jej powietrza na to, by zaczerpnąć oddechu. Skąd miała je wziąć? Tu przed jej twarzą pojawiło się czyjeś kolano, uderzyło ją w policzek raz, a potem poczuła zapach brudnych dżinsów, zobaczyła zdarte robocze buty.

Proszę, nie pozwól mi upaść.

I nagle zdała sobie sprawę, że już upadła.

Iluzje, szacowni widzowie, dotrzymują kroku najnowszej technice. Iluzjoniści włączali do swych występów mechanizmy zegarowe, magnesy, proch strzelniczy, gdy tylko stawały się

powszechnie dostępne, a czasami wcześniej. Wielki iluzjonista Robert-Houdin używał światła elektrycznego, nim Thomas Edison zdążył udoskonalić żarówkę. Podobnie rzecz się miała z bronią palną. Najpopularniejszy numer z jej użyciem polegał na tym, że asystent strzelał, a iluzjonista łapał kulę w dłoń lub usta.

Sztuczka ta stała się bardzo popularna w europejskich cyrkach. Wprowadzano wiele

wariantów, na przykład strzelanie z kilku pistoletów oraz zapraszanie na scenę ochotników z widowni i dawanie im broni do ręki.

Teraz, w naszym programie, odtworzymy występ Wiliama Ellswortha Robinsona, światowej sławy iluzjonisty sprzed wielu lat, występującego jako Chińczyk i pod chińskim

pseudonimem Chung Ling Su. Sławę przyniosła mu właśnie sztuczka z chwytnością kuli.

Istnieje wiele sposobów na przekonanie widzów o autentyczności tego numeru. Co

odważniejsi iluzjoniści ładują prawdziwą broń prawdziwymi nabojami, pozwalając zapoznać się z nimi widowni, a następnie zamieniają prawdziwy nabój na ślepy. Dziewiętnastowieczni

iluzjoniści spośród Indian przygotowywali naboje z malowanego na srebrno zaschniętego

błota. Ellsworth używał specjalnie przygotowanej broni ładowanej od przodu, dwulufowej,

przy czym w jednej lufie znajdowała się prawdziwa kula i z niej nie można było wystrzelić.

Do drugiej przed występem ładował ślepy nabój.

Ach, szacowni widzowie, czyżbym dostrzegł wyraz zawodu na waszych twarzach? Czy

dziwicie się, dlaczego „puściłem farbę”, jak mawiamy my, iluzjoniści? Powiedziałem wam przecież, co Robinson robił naprawdę, zdradziłem metodę.

Dlaczego więc to, co za chwilę zobaczycie, ma budzić w was pod-niecenie?

Gdzie tu tajemnica ?

No cóŜ... dwudziestego trzeciego marca 1918 roku, w kulminacyj. nym punkcie występu, asystent tego wielkiego iluzjonisty wymierzył w niego dwa muszkiety i wypalił. Robinson upadł na scenę chwytając się za pierś. Zmarł wkrótce potem. Okazało się, Ŝe w jednym z karabinów proch dostał się do prawdziwej lufy i wybuchł przy odpaleniu ślepaka, wyrzucając prawdziwą kulę.

Rozumiecie teraz, szacowni widzowie, co jest najsilniejszym narkotykiem w naszej pracy.

Nawet iluzjonista nie wie, jak skończy się jego występ.

Malerick miał na sobie uniform chłopca hotelowego, niemal identyczny z tym, jaki nosili pracownicy Lanham Arms Hotel z manhattańskiej Upper East Side. Szedł korytarzem piętnastego piętra, niosąc tacę, na której znajdował się przykryty półmisek oraz waza z wielkim czerwonym tulipanem.

Doskonale dobrał wszystkie szczegóły, znakomicie pasował do otoczenia, nie budził najmniejszych podejrzeń. Grał idealnie: spuszczonego wzrok, lekki uśmiech na twarzy, powolny krok, błyszcząca taca.

Od prawdziwego boy'a hotelowego różnił go niewidoczny szczegół: pod metalową przykrywką termiczną na tacy leŜały nie grzanki z jajkiem, nie klubowy sandwich, lecz beretta z dokręconym grubym tłumikiem oraz skórzana torba z wytrychami i innymi narzędziami.

- Mam nadzieję, Ŝe państwu się u nas podoba? - spytał mijające go małŜeństwo. Gdy usłyszał odpowiedź, Ŝe tak, bardzo, Ŝyczył im miłego dnia. Dla nielicznych mijających go gości, wracających z późnego niedzielnego śniadania lub wychodzących na miasto w to piękne wiosenne popołudnie, miał nieodmiennie miły uśmiech.

Minął okno, za którym dostrzegł pas zieleni: część Central Parku. Zastanowił się przelotnie, co tam się teraz dzieje, co dzieje się w białym namiocie Cirque Fantastique. Kilka dni poświęcił kierowaniu podejrzeń policji właśnie tam, pozostawiając odpowiednio dobrane

dowody na miejscu zbrodni.

Poświęcił jej myleniu.

Mylenie i podstęp to dla iluzjonisty chleb powszedni. To gwarancja powodzenia występu, a w tej dziedzinie Malerick, człowiek o tysiącu twarzach, był prawdziwym mistrzem. Pojawiał się iak płomień zapalki i znikal, jakby ten płomień zdmuchnięto.

Potrafił spowodować i własne zniknięcie.

Wiedzial, Œe policja wpadnie w histerię. Wiedzial, Œe będzie szukała bomby benzynowej, pewna, Œe moŒe ona wybuchnąć lada chwila. Ale bomby nie było, a przeszło dwa tysiące widzów Cirque Fantastique ani przez chwilę nie było zagroŒonych, chyba Œe niektórzy zostaną zdeptani w trakcie panicznej ucieczki.

Malerick doszedł do końca korytarza. Obejrzał się przez ramię. Był sam. Natychmiast postawił tacę na podłodze przy drzwiach. Zdjął przykrywkę, schował berettę do zapinanej na zamek błyskawiczny kieszeni uniformu chłopca hotelowego. Ze skórzanej torby wyjął śrubokręt, po czym takŒe schował go do kieszeni.

Szybko i bez problemu odkręcił metalową zapadkę pozwalającą tylko na uchYLENIE okna

(doprawdy, ludzie popełniają samobójstwa, jeśli tylko dać im okazję, pomyślał przelotnie) i podniósł je do samej góry. OdłóŒył śrubokręt do torby. Bez problemu podciągnął się na parapet, zeskoczył na gzyms. Czterdzieści pięć metrów nad ulicą.

Gzyms miał pół metra szerokości; wymierzył go, gdy kilka dni temu wynajął jeden z pokoi w tym korytarzu. Choć Malerick w zasadzie nie zajmował się akrobatyką, jak kaŒdy wielki iluzjonista miał doskonale wyczucie równowagi. Wąskim wapiennym gzymsem szedł tak pewnie jak chodnikiem. Po jakichś pięciu metrach doszedł do rogu hotelu i spojrzał na sąsiedni budynek.

Był to dom mieszkalny, stojący frontem do Wschodniej Siedemdziesiątej Piątej. Nie miał gzymsu, ale naprzeciw miejsca, w którym stał w tej chwili, w odległości niespełna dwóch

metrów znajdowało się wyjście przeciwpożarowe, górujące nad kanałem powietrznym; a tu słychać było nieustanny szum klimatyzatora.

Malerick rzucił linę wyposażoną w niewielki hak, tak by zaczepiła się o zardzewiałą poręcz wyjścia. Sprawdził, czy hak dobrze chwycił, obwiązał się liną w pasie i wybrał luz. Następnie Przeskoczył z budynku do budynku nad przepaścią. Siła skoku Przeniosła go nad poręczą.

Malerick wylądował i nawet się nie zachwiał, nie mówiąc już o podparciu rękami.

Odwiązał sznur i wszedł po schodach na siedemnaste piętro. Zajrzał do środka, ale nikogo nie dostrzegł. Położył broń i torbę z Narzędziami na parapecie okiennym. Jednym ruchem zdjął uniform chłopca hotelowego, pod którym miał zwykły szary garnitur białą koszulę i krawat.

Berettę wsadził za pasek i wyjętym z torby wytrychem otworzył okno. Wskoczył do środka.

Przez chwilę stał nieruchomo, odpoczywając i czekając, aż jego oddech się uspokoi.

Następnie ruszył korytarzem w stronę drzwi do mieszkania, które było jego celem. Zatrzymał

się przy nich, przyklęknął, położył na podłodze torbę. W dziurkę od klucza wsunął napinacz, a nad nim wytrych. W trzy sekundy otworzył zamek, w pięć odsunął zapadkę. Uchylił drzwi, by odsłonić zawiasy, na które prysnął smarem z małego pojemnika, podobnego do tych, w

których sprzedaje się odświeżacze oddechu. Drzwi nie miały prawa zaskrzypieć. W następnej chwili był już w mieszkaniu. Powoli zamknął za sobą drzwi.

Rozejrzał się dookoła.

Na ścianie wisiały produkowane masowo kopie surrealistycznych krajobrazów Dalego, zdjęcia rodzinne, a na honorowym miejscu niezdarna akwarela przedstawiająca Nowy Jork, najwyraźniej namalowana przez dziecko (artystka podpisała się imieniem Chrissy). Przy drzwiach stał tani stolik z jedną nogą krótszą, pod którą wsunięto złożony papier. W rogu stała narta z zerwanym wiązaniem. Tapeta była stara, poplamiona.

Malerick poszedł korytarzem w stronę dużego pokoju, z którego dobiegał dźwięk telewizora, ale po drodze wszedł do małego pokoju, gdzie znajdował się koncertowy fortepian - krótki, czarny kawai. Na wieku leżały nuty z nabazgranymi na marginesach notatkami. Na okładce

nut widniało to samo imię: Chrissy. Malerick nie zgłębił wszystkich tajemnic muzyki, ale nuty znał i bez problemu zorientował się, że utwór ten jest dość trudny. No tak, młoda Chrissy, czyli Christine Grady, córka nowojorskiego prokuratora okręgowego, Charlesa Grady'ego.

Był w domu Grady'ego. Człowieka, którego miał zabić za sto tysięcy dolarów.

Amelia Sachs siedziała skrzywiona na trawie przed namiotem Cirque Fantastique, bardzo bolała ją prawa nerka. Pomogła kilkudziesięciu ludziom wydostać się z ogarniętego paniką tłumu, po czym znalazła miejsce, w którym mogłaby odpocząć.

Nad jej głową powiewała czarno-biała flaga z namalowaną na niej maską Arlekina. I ciągle trzaskała na wietrze. Wczoraj dźwięk ten wydawał jej się niesamowity, dziś, po panice spowodowanej przez Maga, maska i trzask były obrzydliwe i groteskowe.

288

Udało jej się uniknąć śmierci przez zdeptanie, choć kolaniem i butem ostro potraktował ją

męszczyzna gotów po trupach dotrzeć pierwszy do wejścia. Ale ciągle bolały ją plecy, łeb i twarz. Siedziała nieruchomo przez piętnaście minut, osłabiona i dręczona przez mdłości, częściowo z powodu zabójczego tłoku, a częściowo z powodu klaustrofobii. Amelia nie bała

się małych pokoi, bez problemu jeździła windą, ale całkowite ograniczenie możliwości ruchu niemal wywoływało u niej panikę, a także dolegliwości fizyczne.

Gdziekolwiek spojrzała, widziała rannych, opatrywanych przez ekipy medyczne. Ich szef poinformował ją, że nikomu nie stało się nic poważnego, głównie mieli do czynienia ze zwichnięciami, powierzchownymi ranami ciętymi, wybitymi barkami, no i jedna osoba złamała rękę.

Tłum wypchnął Sachs z namiotu południowym wejściem. Gdy tylko znalazła się na świeżym powietrzu, padła na kolana i odpełzła w bok.

Rozejrzała się dookoła. Uwolnieni z zamkniętej przestrzeni widzowie, niezagrożeni eksplozją bomby czy atakiem terrorystycznym, zaczęli pomagać tym, którzy stracili orientację lub odnieśli rany.

Zatrzymała jednego z saperów. Patrzyła na niego z dołu, wydawał jej się ogromny; pokazała mu odznakę i powiedziała

0

przykrytym płachtą przedmiocie ukrytym pod ławkami przy południowym wyjściu. Funkcjonariusz pobiegł przekazać tę informację kolegom.

Dobiegająca z namiotu donośna muzyka ucichła, z namiotu wyszedł Edward Kadesky.

Ludzie, obserwujący aktywność saperów, zrozumieli wreszcie, że znaleźli się w prawdziwym niebezpieczeństwie

1

Że to ten człowiek, dzięki błyskawicznej reakcji na zagrożenie, ocalił ich przed niebezpieczeństwem spowodowanym choćby paniką.

Rozległy się oklaski. Kadesky przyjął je spokojnie, skromnie. Przeszedł wśród ludzi, sprawdzając, czy nic się nie stało pracownikom

cyrku i widzom. Niektórzy, przede wszystkim ranni, nie byli aż tak

wielkoduszni, złościli się, pytali o to, co się właściwie stało, i twierdzi

li* Że sami potrafiliby przeprowadzić ewakuację o wiele sprawniej.

Saperzy i strażnicy postanowili już sprawdzić namiot. Nie znaleźli ani śladu jakiegokolwiek bomby. W pokrytym płótnem pudle był zapas papieru toaletowego. Efekt przeszukania przyczep i cięśców okazał się identyczny.

Amelia Sachs zmarszczyła brwi. Czyżby się mylili? Jak to możliwe? Nic nie rozumiała.

Dowody były przecie jednoznaczne.

289

Owszem, Rhyme potrafił wysnuwać ryzykowne wnioski z niedostatecznych dowodów i więcej niż raz zdarzyło mu się pomylić ale w wypadku Mąga wszystkie, ale to wszystkie

dowody zgodnie wskazywały cel zamachu: Cirque Fantastique.

Czy Rhyme wie już, że nie znaleźli bomby? - spytała samą siebie. Wstała, zachwiała się, a potem niepewnym krokiem ruszyła na poszukiwanie kogoś dysponującego radiem; jej zmiana motorola, której szczątki leżały przy południowym wyjściu, była chyba jedyną śmiertelną ofiarą paniki.

Malerick wyszedł z pokoju muzycznego mieszkania Charlesa Grady'ego. Przeszedł mrocznym korytarzem, przystanął, wsłuchał się w głosy dobiegające z pokoju dziennego i kuchni apartamentu Gradych,

Ciekawe, czy to będzie niebezpieczne?

Zrobił, co mógł, by zredukować niebezpieczeństwo paniki wśród ochroniarzy Grady'ego, którzy mogliby go wówczas postrzelić bez wahania. Dwa tygodnie temu, podczas lunchu w Bedford Junction, gdzie spotkał się z Jeddym Barnesem i jego grupą ze stanu Nowy Jork, Malerick wyłożył swój plan. Uznał, że byłoby świetnie, gdyby przedtem, nim wtargnie do domu prokuratora, ktoś spróbował dokonać zamachu na prokuratora. Wybrano nawet kandydata, jakiegoś zboczonego pastora z Canton Falls, Ralph Swensena, na którego Barnes miał jakiegoś haka. Ale nie do końca ufał wielebnemu, więc po wydostaniu się z samochodu nad rzeką Harlem, Malerick, przebrany za woźnego, szedł za nim od tego nędznego hoteliku aż do Neighborhood School, by upewnić się, że w ostatniej chwili nerwy go nie zawiodą.

Plan Malericka zakładał, że Swensonowi nie może się udać (Barnes dostarczył mu broń z podpiłowaną iglicą). Jego zdaniem schwytanie zamachowca sprawi, że ochroniarze rozluźnią się i nie będą aż tak skłonni do gwałtownej reakcji, gdy znajdą prawdziwego mordercę.

Cóż, pomyślał, tak to powinno wyglądać. W teorii.

Idąc cicho korytarzem, nie oglądał już kiepskich reprodukcji i rodzinnych fotografii, nie

zwracał uwagi na stosy magazynów: przeglądów prawniczych, „Vogue'a”, „New Yorkera” oraz mnóstwo tandetnych antyków kupionych na ulicznych wyprzedażach, które prokurator Grady zamierzał kiedyś poddać renowacji, 3eCZ na razie pozostawały nieodnowione - milczące świadectwo tego> Śe doba ma zaledwie dwadzieścia cztery godziny. 290

Malerick znał rozkład mieszkania, odwiedził je przebrany za hydraulika, ale był to zaledwie wstępny rekonesans: rozpoznanie, znalezienie dróg ucieczki i tak dalej. Nie poświęcił chwili Śyciu rodzinnemu Gradych, wiszącym na ścianie dyplomom małŚonków (Śona prokuratora takŚe była prawnikiem), fotografiom krewnych j mnóstwie portretów ich jasnowłosej, dziewięcioletniej córki.

Teraz przypomniał sobie spotkanie z Barnesem i jego współpracownikami. Bojownicy natychmiast rozpoczęli gorącą debatę na temat sensowności zabicia Śony prokuratora i jego córki.

Poświęcenie Swensena miało sens, wymuszał je plan. Ale jaki sens miało mordowanie całej rodziny? Zadał to pytanie przy pieczonym indyku, który okazał się wyśmienity.

-
No cóŚ, panie Weir - powiedział Jeddy Barnes. - To rzeczywi ście waŚna sprawa. Powiedziałbym, Śe powinien ich pan zabić na wszelki wypadek.

Malerick skinął głową z miną wyraŚającą zrozumienie. Wiedział z doświadczenia, Śe nie wolno zniŚać się do poziomu widowni i współwykonawców.

Nie mam nic przeciwko temu, Śeby i ich załatwić - wyjaśnił.

- Ale czy nie byłoby praktyczniej zostawić przy Śyciu kobiety?

Oczywiście jeśli nie pociągnie to za sobą Śadnego ryzyka. To zna czy ryzyka, Śe będą mogły mnie zidentyfikować albo Śe dziew

czynka podbiegnie do telefonu, Œeby zadzwonić na policjê. Podej

rzewam, Œe sã wŒród was ludzie, którym nie spodobałoby siê

zabójstwo kobiety i dziecka.

Pańska decyzja, panie Weir - przyznał Barnes. - Pogodzimy

siê z niã, jakakolwiek bêdzie.

Niby okazał łagodnoŒć, ale widać było, Œe niezbyt mu ona odpowiada.

Malerick zatrzymał siê przed wejŒciem do duŜego pokoju. Zawiesił na szyi fałszywy

identyfikator policjanta policji nowojorskiej. Spojrzał w zamglone lustro, którego

powierzchnia wrêcz wołała o odnowienie.

Tak. Wszedł w rolê. Wyglądał jak detektyw, majãcy za zadanie chronić ludzi, którym

groŒono Œmierciã.

Odetchnãł głêboko. Był spokojny jak gład.

A teraz, szacowni widzowie, podnosi siê kurtyna, rozbłyskujã Œwiatła.

Rozpoczyna siê prawdziwe przedstawienie.

Trzymajãc rêce luźno po bokach, wszedł do duŜego pokoju mieszkania Gradych.

C

zeŒć, jak leci? - powiedział męŒczyzna w szarym garniturze do zaskoczonego Luisa

Martineza, spokojnego, tęgawego detektywa pracujãcego dla Rolanda Bella.

Ochroniarz siedział na kanapie przed telewizorem; na kolanach miał otwartego „New York

Timesa".

-

Ale mnie zaskoczyłeś, człowieku. - Skinął głową, spojrzał na odznakę i identyfikator, a potem na twarz mężczyzny. - Przyszedłeś mnie zmienić?

-Tak.

Jak tu wszedłeś? Dali ci klucz?

Owszem, w centrali. - Mężczyzna mówił cicho, zachrypniętym głosem, jakby miał katar.

Masz szczęście - burknął Luis. - My musimy dzielić się jednym. Cholerny wrzód na tyłku.

Gdzie jest pan Grady?

W kuchni. Z Soną i Chrissy. Przyszedłeś wcześniej, wiesz?

Ja tam nie wiem. Kazali być, to jestem.

Taaa, skąd my to znamy. - Policjant nagle zmarszczył brwi.

- Chyba cię nie znam?

Joe David. Pracuję w Brooklynie.

Aha. Siedemdziesiątka. Zębki mi się tam wyrzynały.

A dla mnie to pierwsze przeniesienie. Do ochrony, oczywiście.

W telewizji zaczęła się głośna reklama.

-
Przepraszam, ale nie słyszałem - powiedział Luis. - Powie
działeś, że pierwsze przeniesienie?

-Tak.

-
Aha. I wyobrażam sobie, że ostatnie. - Potężny detektyw pU'

292

ścił gazetę. Wstał z kanapy, jednym płynnym ruchem wyciągnął i kabury glocka i wymierzył
w mężczyznę, ponieważ wiedział, że to Weir. Zazwyczaj Luis był spokojny, ale teraz
krzyczał w mikrofon ile sił w płucach: „Jest tu! Dostał się do środka! Jest w dużym
pokoju!”.

Dwaj czekający w kuchni policjanci, Roland Bell i tęgi Lon Sellitto, wbiegli do pokoju; obaj
sprawiali wrażenie niebotycznie zdumionych. Złapali Weira za ramiona, wyrwali mu zza pasa beretę
z tłumikiem.

Na ziemię, już, już, już! - krzyknął Sellitto ochrypłym, nieco
drżącym głosem, przykładając lufę do twarzy więźnia. Ale gęba,
pomyślał przelotnie Martinez. W swej długiej karierze policjanta
widział wielu zdumionych sprawców, ale ten facet tylko dyszał,
nie mógł wypowiedzieć słowa.

Skąd on tu się wziął, do diabła? - spytał zdyszany Sellitto.

Bell tylko pokręcił głową, wyraźnie skonsternowany.

Luis skuł Maga, raczej brutalnie, dwoma parami kajdanek. Sellitto pochylił się ku więźniowi.

-

Byłeś sam? Masz wsparcie na zewnątrz?

-Nie.

Nie próbuj kłamać!

Ręce...! Ręce mnie bolą! - jęknął Mag.

Jest z tobą ktoś?

Nie, nie, przysięgam!

Niebiosa mi pomogły... - mówił tymczasem do krótkofalówki

Bell - ... wszedł do środka... nie, nie wiem jak.

Dwaj mundurowi policjanci wbiegli do mieszkania z korytarza, gdzie kryli się w pobliżu wind.

-

Wygląda, jakby otworzył okno - powiedział jeden z nich.

-Wiecie które? Te wychodzące na wyjście przeciwpożarowe.

Bell zerknął na Weira... i zrozumiał.

-

Gzylms na budynku hotelu? Skoczyłeś?

Mag nie odpowiedział, ale musiało tak być. Policjanci stali przecieŜ w alejce oddzielającej Lanham i kamienicę Grady'ego, a takŜe na obu dachach. Ale nikomu nie przyszło do głowy, Ŝe ktoŝ moŜe przejść po gzylmsie i skoczyć nad alejką oraz kanałem

wentylacyjnym.

Ktoŝ mu pomagał?

Nie. Wszystko wskazuje na to, Ŝe działał sam.

Sellitto włoŜył gumowe rękawiczki i przeszukał zatrzymanego. Znalazł narzędzia włamywacza oraz akcesoria i rekwizyty magika. Najdziwniejszymi z nich były nakładki z odciskami palców ciasno przyklepione do opuszków palców. Detektyw zdjął je i scho' wał do torebki na dowody rzeczowe. Gdyby nie napięta atmosf. ra: płatny morderca bez większego problemu dostaje się do mieszkania ofiary, którą mieli chronić, pomysł z dziesięcioma nakładkami w jednej torbie wydałby mu się komiczny.

Podczas przeszukania policjanci przyglądali się Weirowi. Był muskularny i w doskonałej formie, mimo iŜ poŜar sprzed lat spowodował powaŜne zranienia: blizny na twarzy i szyi były bardzo wyraźne.

-

Ma jakieŝ dokumenty? - spytał Bell.

Sellitto potrząsnął głową.

-

Tylko FAO Schwarz. - W policyjnym Sargonie oznaczało to kiepsko sfalszowane odznaki policyjne i inne dokumenty, w istocie niewiele więcej niż zabawki.

Weir zajrzał do kuchni; z miejsca, w którym leżał, widział, że jest pusta.

-

Och, Gra dych nie ma - powiedział niedbale Bell, jakby było to oczywiste.

Mag opadł bezwładnie na tandetny, przetarty dywan.

-

Jak? Jakim cudem mnie rozpracowaliście?

Lon odpowiedział mu... jeśli można to uznać za odpowiedź.

Jest ktoś, kto marzy tylko o tym, żeby osobiście odpowiedzieć ci na to pytanie. No, chodź. Przejdziemy się.

Witam ponownie - powiedział Rhyme, patrząc na zakutego

w kajdanki Maga, stojącego na progu laboratorium.

Ale... ogień... -Weir mimowolnie spojrział na prowadzące do sypialni schody.

Przykro mi, Źe popsulem ci występ. - Głos Rhyme'a był spokojny, chłodny. - Wygląda na to, Źe nie uda ci się ode mnie uwolnić, Weir.

Mag spojrział na kryminalistykę.

Nie tak się nazywam - syknął. - JuŜ nie!

Zmieniłeś nazwisko?

Nie. - Erick Weir potrząsnął głową. - Nie sędowo. Ale Weirem byłem kiedyś, a teraz jestem kimś zupełnie innym.

Rhyme przypomniał sobie, co mówił Terry Dobyns: Źe ogień „zamordował” dawnego Weira i stworzył kogoś zupełnie nowego-Tymczasem morderca z uwagą przyglądał się bezwładnemu ciału Rhyme'a.

294

_ Jestem pewien, Źe mnie rozumiesz - powiedział. - Podejrzewam* Źe bardzo chciałbyś

zapomnieć o przeszłości i stać się kimś

innym> prawda?

_ A jak nazywasz sam siebie?

- To juŜ jest tajemnica moja i moich widzów.

Ach, oczywiście. „Szacowni widzowie”.

Gdy Weir stał tak w zwykłym szarym garniturze, skuty kajdankami i zdumiony, wydawał się

w jakiś sposób pomniejszony. Peruka znikła; włosy miał gęste, długie, ciemnoblonde. W

świecie dnia wyraźnie widoczne blizny na szyi wyglądały okropnie.

Jak mnie znalazłeś? - spytał schrypniętym, zdyszczanym głosem

sem. - Prowadziłem cię do...

Do Cirque Fantastique? AleŜ oczywiście. - Gdy Rhyme'owi

udawało się przechytryć sprawcę, nieodmiennie wpadał w do-
bry humor objawiający się między innymi skłonnością do rozmo-
wy. - Chcesz powiedzieć, Ŝe nas zmyliłeś? No to słuchaj... przy-
rzałem się dowodom i doszedłem do wniosku, Ŝe jakoś za łatwo
mi idzie.

Za łatwo? - spytał Mag i rozkaszał się.

Na miejscu przestępstwa znajdujemy dwa typy dowodów.

Pierwsze sprawca zostawia mimowolnie, a drugie podkłada. Po-
to, Ŝeby nas zmylić, wyprowadzić w pole.

Gdy wszyscy nasi pobiegli do cyrku szukać bomby, doszedłem do wniosku, Ŝe przynajmniej
niektóre dowody zostały podłoŜone. Wydawały się zbyt oczywiste, na przykład na

podeszwach butów, które zostawiłeś w mieszkaniu drugiej ofiary, była psia sierść, ziemia i ślady
roślinne typowe dla Central Parku. Pomyślałem sobie, Ŝe naprawdę cwany sprawca mógł po prostu
wdeptać to wszystko w podeszwy i zostawić buty właśnie po to, byśmy je

znaleźli i natychmiast pomyśleli o wybiegu dla psów, który znajduje tuŜ obok namiotu. I cała ta
gadania o ogniu, kiedy odwiedzałeś mnie zeszłego wieczora... - zerknął na Karę. - To się nazywa
zmył-

ka słowna, prawda?

Weir obejrzał sobie dziewczynę od stóp do głów.

Ano, tak - przyznała, dosypując cukru do kawy.

Ale przecieŜ próbowałem cię zabić! - wydyszał Mag. - Ŝebyś

poszedł po tych tropach, musiałeś Ŝyć.

Rhyme roześmiał się głośno.

-

Ale ty wcale nie chciałeś mnie zabić! Do głowy ci to nie
Przyszło. Oczywiście chciałeś, byśmy w to uwierzyli, boby to do
dało wiarygodności twoim słowom. Ale gdy tylko stąd wyszedłeś,

295

zadzwoiłeś pod dziewięćset jedenastie z najbliższego automatu Sprawdziłem w centrali.

Człowiek, który do nich dzwonił, powiedział, że widzi płomienie z budki. Tylko że ta budka stoi za
rogiem. Nie widać z niej mojego pokoju. Sprawdził to dla mnie Thom. Dziękuję! -

krzyknął kryminalistyk do swego opiekuna który właśnie przechodził przed drzwiami.

-

Nada - odpowiedział zmęczony głos.

Weir przymknął oczy i potrząsnął głową. Dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swych pomyłek.

Rhyme zmarszczył brwi, zerknął

na jedną z tablic.

-

Wszystkie twoje ofiary zajmowały się czymś, co ma związek
ze sztuką cyrkową. Muzyka, makijaż, jazda konna. Techniki mor

derstwa wzięłaś ze sztuk magicznych. Ale gdybyś rzeczywiście chciał zniszczyć Kadesky'ego, nie prowadziłbyś nas do Cirque Fantastique. To oznaczało, że planujesz coś innego. Ale co? Jeszcze raz przyjrzałem się dowodom. Na miejscu trzeciego przestępstwa, nad rzeką, zostałeś przez nas zaskoczony. Nie miałeś nawet czasu zabrać kurtki z przepustką prasową i kluczem hotelowym, co oznaczało, że nie były podłożone. Miały jakiś rzeczywisty związek z tym, o co ci naprawdę chodziło.

Karta do pokoju hotelowego pochodziła z jednego z trzech hoteli, w tym Lanham Arms.

Detektyw Bell rozpoznał nazwę, ale nie pamiętał skąd. Okazało się, że przed tygodniem pił tam kawę z Grady i omawiał z nim kwestie związane z bezpieczeństwem rodziny.

Powiedział mi, że hotel stoi ściana w ścianę z kamienicą, w której Grady ma mieszkanie. A przepustka prasowa? Zadzwoiłem do dziennikarza, któremu ją ukradłeś. Powiedział, że zajmuje się sprawą Andrew Constable'a i przeprowadził już kilka wywiadów z Grady. Znaleźliśmy teś opiłki mosiądzu. Skłanialiśmy się ku najgorszemu, że pochodzą z zapalnika czasowego bomby, ale... mogły teś pochodzić z klucza lub innego podobnego narzędzia. W tym momencie opowieść podjęła Amelia Sachs.

-

Potem przyszła kolej na stronę z gazety, którą znaleźliśmy w wyciągniętym z wody samochodzie. Był tam nagłówek artykułu o cyrku, owszem, ale nie tylko. Także dotyczący sprawy Constable'a.

Skinęła głową w stronę tablicy.

W PONIEDZIAŁEK ROZPOCZYNA SIĘ PROCES O MORDERSTWO NA TLE
RASOWYM.

-

I ten rachunek z restauracji - kontynuował Rhyme. - Powi
nieneś go wyrzucić.

296

Jaki rachunek? -Weir zmarszczył brwi.

TeŜ był w kieszeni. Z niedzieli, dwa tygodnie temu.

Ale wtedy byłem w... -Weir umilkł nagle.

Miałeś zamiar powiedzieć, Ŝe nie byłeś w mieście, co? -

Sachs uśmiechnęła się lekko. - Tak, wiemy, wiemy. Rachunek po
chodził z restauracji w Bedford Junction.

Nie wiem, o czym mówicie.

Policjant z Canton Falls, zajmujący się sprawą Stowarzyszenia Patriotycznego, zadzwonił do mnie, szukając Rolanda - podjął temat Rhyme. - Na wyświetlaczu zobaczyłem kod i zapamiętałem go. Był taki sam jak na rachunku.

Weir wpatrywał się w niego bez jednego mrugnięcia, a Rhyme mówił dalej.

-

No i okazało się, że Bedford Junction leży o rzut kamieniem od Canton Falls, gdzie mieszka Constable.

-

Kim jest ten Constable, o którym ciągle gadacie? - spytał szybko Weir, ale Rhyme bez problemu odczytał z jego twarzy, że doskonale zna odpowiedź na to pytanie.

Przesłuchanie przejął Sellitto.

-

Czy Barnes był wśród tych, z którymi jadłeś lunch? Jeddy

Barnes?

Nie mam pojęcia, o kim pan mówi.

A co wiesz o Stowarzyszeniu Patriotycznym?

Tyle, ile wyczytałem w gazecie.

Jakoś ci nie wierzymy - skomentował tę odpowiedź Sellitto.

-

MoŜecie wierzyć, w co chcecie - warknął Weir. Rhyme wi

dział w jego oczach gniew, ten gniew, o którym wspomniał Dobyns. - Jak odkryliście moje prawdziwe nazwisko? - spytał. Nikt

nie odpowiedział, on zaś wpatrzył się na ostatni wpis na tablicy

dowodów. Twarz mu pociemniała. - Ktoś mnie zdradził? - spytał

zdyszany, chrapliwym głosem. - Prawda? Ktoś powiedział wam

o poŜarze i Kadeskym? Kto? - Ze zjadliwym uśmiechem spojrział

najpierw na Sachs, potem na Karę, a wreszcie na Rhyme'a. -

John Keating, tak? A moŜe poinformował was, jak go nazywa

łem? Rzadkie gówno. Nic mi nie pomógł. Art Loesser teŜ. Dwaj

Pieprzeni judasze. Ale zapamiętałem ich. Doskonale pamiętam ludzi, którzy stanęli mi na drodze. - Rozkaszłał się, a kiedy atak minął, rozejrzał się dookoła i jego wzrok spoczął na Karze. - Kara-.. tak masz na imię? Kim jesteś? - Iluzjonistką - odpowiedziała dziewczyna z czymś w rodzaju Wyzwania.

297

-
Jedna z nas, co? - zakpił Weir i przyjrzał jej się uważnie
Dziewczyna iluzjonistką? Co tu robisz? Jesteś konsultantką czy
czymś w tym rodzaju? Wiesz, może kiedy wyjdę, złożę ci wizytę
i spowoduję, że znikniesz. Z przyjemnością.

-
Do końca Śycia nie wyjdiesz, Weir - warknęła Amelia.

Przerywany, chrapliwy śmiech iluzjonisty brzmiał niepokojąco
Niech ci będzie. Kiedyś ucieknę. W końcu mury to przecieś
tylko iluzja.

Moim zdaniem ucieczka teś nie wchodzi w rachubę - powie
dział spokojnie Sellitto.

Odpowiedziałem ci na pytanie „jak”, Weir, czy jak tam sam

siebie nazywasz - przerwał tę rozmowę Rhyme. - Teraz chciałbym

się dowiedzieć „dlaczego”? Uznaliśmy, że mścisz się na Kadeskim. I nagle okazuje się, że chcesz zamordować Grady'ego. Iluzjonista - morderca do wynajęcia?

Zemsta? - Weir stracił panowanie nad sobą. - A na co komu,

kurwa, zemsta? Czy zemsta usunie mi blizny z płuc? Czy wróci mi

sen? Nic nie pojmujesz. Jediną rzeczą, która się dla mnie liczy

ła, jedyną w Syciu, były występy. Iluzja, magia. Mój mentor - Satani - szykował mnie do tego zawodu przez całe Sycie. Ale po Sar

zniszczył wszystko. Brak mi sił na występy. Mam zdeformowane

dłonie. Nie mogę normalnie mówić. Nikt nie przyjdzie mnie obej

rzeć. Nie mogę robić tego, do czego Bóg dał mi jedyny prawdziwy

talent. Jeśli jedynym sposobem, w jaki mogę wykonywać swe po

ślanictwo, jest łamanie prawa, będę łamał prawo.

Syndrom upiora w operze...

Tymczasem Mag znów przyjrzał się bezwładnemu ciału Rhyme^.

-

A co ty myślałeś po wypadku, kiedy zorientowałeś się, że już

nigdy nie będziesz gliniarzem?

Rhyme nie odpowiedział. Cios był wyjątkowo celny. Co czuł? Rzecz jasna, ten sam gniew,

który nakręcał Weira. I tak, po wypadku, całkowicie zatracił zdolność odróżniania rzeczy

dobrych od złych. Dlaczego nie miałbym zostać kryminalistą? - pytał sam siebie, szalony,

wściekły, przygnębiony. Potrafię znaleźć i ocenić dowody lepiej niż ktokolwiek na świecie.

Co oznacza, że lepiej niż ktokolwiek potrafię nimi manipulować. Mogę popełnić przestępstwo doskonałe...

Dzięki ludziom takim jak Terry Dobyns i inni lekarze oraz dzięki przyjaciołom z policji nie wcielił tych myśli w życie> a w końcu zbladły one i znikły, jakby ich nigdy nie było. Nie da się

jednak zaprzeczyć, że wiedział, o czym mówi Weir. Choć nigdy, nawet w najczarniejszych godzinach rozpacz nie przyszło mu do głowy, by mógł odebrać komuś życie. Oczywiście, nie licząc siebie.

-

Więc zostałeś najemnikiem?

Weir zrozumiał, że stracił panowanie nad sobą, zdradził za wiele i odmówił odpowiedzi na kilka kolejnych pytań.

Sachs nie wytrzymała. Podeszła do białej tablicy, zerwała z niej kilka zdjęć pierwszych dwóch ofiar i gwałtownie podsunęła je pod oczy Weirowi.

-

Zabiłeś tych ludzi, żeby sprowadzić nas na fałszywy trop?

- krzyknęła. - Tylko tyle dla ciebie znaczyli?

Weir wytrzymał jej spojrzenie. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie rozluźnionego. Rozejrzał się, roześmiał.

Naprawdę myślicie, że potraficie zatrzymać mnie w więzieniu? Czy wiecie, że Houdini kazał się kiedyś zamknąć, nagi, w jednej z cel śmierci więzienia w Waszyngtonie? Wydostał się z niej tak szybko, że starczyło mu czasu na otworzenie wszystkich cel w korytarzu i pozamieniał więźniów, nim strażnicy zdążyli wrócić z przerwy śniadaniowej?

Jasne - westchnął cierpliwie Sellitto. - Ale rozumiem, że to było dawno temu. Dziś stosujemy nieco bardziej wyrafinowane zabezpieczenia. - Zabiorę go do śródmieścia - zwrócił się do Rhyme'a i Sachs. Sprawdzimy, czy ma nam jeszcze coś do powiedzenia.

Ruszyli w kierunku drzwi, ale zatrzymał ich głos Rhyme'a.

Zaczekajcie - powiedział, nie odrywając oczu od tablicy do wodów.

Co jest? - zdziwił się Sellitto.

Uciekł Larry'emu Burke'owi, otwierając kajdanki?

Racja.

Znaleźliśmy ślady śliny, pamiętacie? Zajrzyjcie mu do ust.

Sprawdźcie, czy nie schował tam klucza albo wytrychu.

Nic nie schowałem. Naprawdę - powiedział Weir.

Sellitto włożył gumowe rękawiczki, które dał mu Mel Cooper.

Otwieraj gębę - polecił. - A ugryziesz, to zgmiotę ci orzeszki.

Kapujesz? Ruszysz gębą, stracisz jaja.

Rozumiem. - Mag otworzył usta jak najszerzej. Korpulentny detektyw zaświecił w niego latarką, pogrzebał palcem, ale nic nie

znalazł.

Jest jeszcze jedno miejsce, które powinniśmy sprawdzić

~ Powiedział cicho Rhyme.

Sellitto tylko chrząknął.

299

-

Załatwimy to na miejscu, Linc. Są rzeczy, których nie zrobię

za tę nędzną pensję.

Podeszli do drzwi, lecz okazało się, że Kara ma coś jeszcze do powiedzenia.

-

Chwileczkę. Sprawdźcie mu zęby. Spróbujcie je poruszyć

albo wykręcić. Przede wszystkim trzonowe.

Weir zeszywniał na widok podchodzącego detektywa.

-

Nie możecie tego zrobić - zaprotestował.

Otwieraj dziób! To, co mówiłem o jajach, ciągle jest aktualne.

Mag westchnął.

Pierwszy u góry po prawej. To znaczy, po mojej prawej.

Sellitto spojrzał na Rhyme'a, sięgnął do ust Maga i pociągnął.

Rzeczywiście, ząb był fałszywy, w środku znajdował się skręcony kawałek metalu. Wrzucił go do torebki na dowody, a sam ząb troskliwie wsadził na miejsce.

-

Takie to małe. Rzeczywiście się do czegoś nadaje? - spytał.

Kara zajrzała do torebki.

Och, tym czymś normalne kajdanki otworzyłby w cztery sekundy.

No, no, Weir. Idziemy.

Mag nie spuszczał wzroku z Kary.

-

Zapamiętam cię. Obiecuję. Słyszałaś o P.T. Selbie? Bardzo podoba mi się, co robił. Być może wystąpisz w którymś z moich numerów, kiedy już wyjdę na wolność.

-
Jeśli wyjdiesz na wolność. - Sellitto się roześmiał.

Ale Rhyme wpadł na pewien pomysł.

Przepraszam cię, Lon. - Korpulentny detektyw spojrzał na

niego zaskoczony. - Nie masz przypadkiem wraŜenia, Œe kiedy

pomógł nam znaleźć wytrych w zębie, mógł zastosować taką swo

ją małą zmyłkę?

Racja - powiedziała Kara, kiwając głową.

Weir poddał się kolejnemu badaniu Sellitta bez protestu, ale i bez przyjemności. Tym razem detektyw sprawdził wszystkie zęby. I znalazł drugi drucik w fałszywym zębie po lewej, w dolnej szczęce.

JuŜ ja dopilnuję, Œeby umieścili cię w miejscu naprawdę

specjalnym - oznajmił groźnie Sellitto. Następnie wezwał kolej

nego policjanta i polecił mu skuć stopy Weira dwiema parami

kajdanek.

W tym nie sposób chodzić - poskarŜył się Mag.

Spróbuj kroczkami - poradził Sellitto lodowatym tonem-

- Kroczek po krocuku.

MęŜczyzna odebrał informację w barze przy drodze 244. Nie miał telefonu w przyczepie - w

ogóle nie miał telefonu, nigdy nie ufał telefonom - więc stąd właśnie telefonował i tu

przyjmował rozmowy.

Mijało czasami kilka dni, nim ktoś się z nim kontaktował, ale tej jednej, ważnej rozmowy spodziewał się wcześniej, toteż pośpieszył do „Elma's Dinner” zaraz po szkółce niedzielnej.

Hobbs Wentworth był potężnym facetem. Miał rzadką rudą bródkę i kręcone włosy, odrobinę jaśniejsze niż bródka. Słowa „kariera” nikt z Canton Falls nie kojarzył z Hobbsem, co nie znaczyło, że Hobbs nie potrafił harować jak wół. Wręcz przeciwnie, uczciwie zarabiał na każdą kolejną tygodniówkę pod warunkiem, że miał pracę na świeżym powietrzu, nie musiał przy niej myśleć i zatrudniał go biały chrześcijanin.

Jego żoną była cicha, pospolita kobieta imieniem Cindy, większość czasu poświęcająca uczeniu dzieci w domu, szyciu i rozmowom z kobietami, robiącymi to, co i ona. Sam Hobbs pracował, polował, a wieczorami dyskutował z przyjaciółmi (jeśli dyskusjami można nazwać rozmowy ludzi, którzy zgadzali się ze sobą w każdym najdrobniejszym szczególe).

Całe życie spędził w Canton Falls i bardzo mu się tu podobało. Było gdzie zapolować, wstępu na tereny myśliwskie nie ograniczano, ludzie wiedzieli, czego chcą, zachowywali pogodę ducha i potrafili odróżnić swe głowy od tyłków (określenie „myślą to, co ja” dotyczyło w zasadzie ich wszystkich). Miał mnóstwo okazji, by robić to, co lubi. Na przykład uczyć w szkółce niedzielnej. Miał ukończone osiem klas; bilet ukradł, ale wiedzy nie zdobywa się w ten sposób. Niedouczony, nigdy nie podejrzewał, że sam będzie uczył.

301

Okazało się jednak, że doskonale radzi sobie z dziećmi w szkółce niedzielnej. Nie prowadził modłów, nie wyśpiewywał z innymi: „Jezus mnie kocha i ja jego też...”, nic z tych rzeczy. Nie, on tylko opowiadał dzieciakom historie z Biblii. Pokochały go głównie dlatego, że nie trzymał się klasycznej wykładni. Na przykład w jego opowieści Jezus nie wykarmił tłumów

jedną rybą i dwoma chlebami, tylko poszedł na polowanie z łukiem w ręku, ustrzelił jelenia ze stu metrów, wypatroszył go i sprawił własnoręcznie na placu w centrum miasteczka i w ten sposób

nakarmił jego obywateli. Jako ilustrację do tej fascynującej historii przyniósł do klasy swój kompozytowy Clearwater MX Flex. Strzała ze stalowym grotem wbiła się w słowianą cegłę ściany na osiem centymetrów, ku nieukrywanemu zachwytowi widzów.

Właśnie skończył kolejną taką lekcję i poszedł do „Erma's”. Kelnerka podeszła do niego natychmiast.

Cześć, Hobbs? Szarlotka?

Nie. Omlet z pieczarkami. Podwójny sos. Słuchaj, nie było...

Nim zdążył skończyć zdanie, kelnerka wręczyła mu kawałek papieru, na którym napisane było „Zadzwoń do mnie, JB”.

-

To od Jeddy'ego, tak? - spytała. - Poznałam go po głosie. Od czasu kiedy policja zainteresowała się tymi żołnierzami z lasu, wcale go nie widuję.

Hobbs zignorował jej pytanie.

-

Zaczekaj z tym omletem - poprosił tylko i poszedł do wiszącego w kącie telefonu, po drodze szukając drobnych w kieszeni dżinsów. Jednocześnie przypomniał sobie lunch, który zjedli dwa tygodnie temu w Riverside Inn w Bedford Junction: on, Frank Stemple i Jeddy Barnes z Canton Falls oraz jakiś Erick Weir, któ

rego Barnes nazywał później Magikiem, bo facet był, co niewia

rygodne, zawodowym czarodziejem.

Barnes zrobił mu przyjemność, kiedy na widok wchodzącego Hobbsa wstał i z uśmiechem powiedział do Weira:

-

Z przyjemnością przedstawiam najlepszego strzelca w naszym okręgu. Poluje z łukiem. Poza tym jest naprawdę twardym zawodnikiem.

Hobbs siedział nad wytwornym posiłkiem w wytwornej restauracji (do głowy by mu nie przyszło, że będzie kiedyś jadł w Riverside Inn), grzebiąc widelcem w specjalności dnia i słuchając, jak Barnes i Stemple opowiadają o ich gościu. Był on kimś w rodzaju żołnierza, najemnika, a Hobbs wiedział wszystko o najemnikach, subskrybował przecie „Soldier of Fortune”- Za—

302

uważył blizny na ciele mężczyzny oraz zdeformowane palce lewej ręki; podejrzewał, że spowodował je napalm.

Początkowo Barnes nie chciał nawet spotkać się z Weirem. Podejrzewał pułapkę. Ale Magik od razu ich uspokoił. Poprosił, żeby oglądali wiadomości pewnego szczególnego dnia.

Pierwszą podano informację o zamordowaniu meksykańskiego ogrodnika, nielegalnego imigranta, pracującego dla bogatej rodziny w sąsiednim miasteczku. Weir przyniósł

Barnesowi jego portfel. Trofeum... jak jelenie rogi.

Weir był szczery. Wyjaśnił im, że wybrał Meksykanina, ponieważ zna poglądy grupy na

kwestię imigracji. Przyznał, że ich nie podziela i interesują go wyłącznie pieniądze, które zarabia dzięki swym specjalnym talentom. Co doskonale wszystkim pasowało. Przy lunchu Magik przedstawił swój plan, po czym uprzejmie pośegnał się ze wszystkimi i wyszedł. Kilka dni później Barnes i Stemple wyprawili do Nowego Jorku nerwowego zbrojnego -pedofila, wielbego Swensena z zadaniem zabicia Grady'ego w niedzielę wieczorem. Wielbny

spieprzył sprawę, tak jak przewidywali.

Zgodnie z życzeniem pana Weira Hobbs miał czekać na telefon, na wypadek gdyby okazał się potrzebny.

No i wyszło na to, że chyba jednak jest potrzebny. Wystukał numer Jeddy'ego.

Tak? - usłyszał w słuchawce ostry głos.

To ja. - Policja stanowa poszukiwała Barnes'a, toteż ustalili, że rozmowy telefoniczne mają być krótkie. - Musisz zrobić to, o czym rozmawialiśmy przy lunchu - powiedział Barnes.

Aha. Pojechać nad jezioro.

Zgadza się.

Pojechać nad jezioro z wędką? - upewnił się Hobbs.

Słusznie.

Tak jest. Kiedy?

Teraz. Zaraz.

Oczywiście.

Barnes odłóżył słuchawkę, a Hobbs zmienił zamówienie z omletu z pieczarkami na kawę i

kanapkę z jajkiem na bekonie; zachował tylko dodatkowy sos. Bo kiedy Barnes mówi:

„Teraz. Zaraz”, to ma być teraz i zaraz. Robisz to, co masz zrobić jak najszybciej potrafisz.

Dostał kawę i kanapkę, wziął je ze sobą, wsiadł do swego pika-Pu i wyjechał na szosę. Musiał coś jeszcze załatwić po drodze -

303

podjechać do przyczepy. Tam przesiadł się w starego grata, do-dge'a zarejestrowanego na

kogoś, kto nigdy nie istniał, i pojechał „nad jezioro”, co wcale nie oznaczało jeziora, tylko pewne szczególne miejsce w Nowym Jorku.

Tak jak „wędka” nie oznaczała bynajmniej kija z Śyłką i ha-czykiem z jednej strony, a kołowrotkiem z drugiej.

Grobowce.

Po jednej stronie przyśrubowanego do podłogi stołu siedział ponury Joe Roth, malutki i

tłuściutki prawnik Andrew Constable[^], po drugiej Charles Grady i jego pomocnik, Roland

Bell. Amelia Sachs stała; w ciężkim powietrzu pokoju o brudnych, niemal nieprzejrzystych

oknach znów poddała się klaustrofobii, która nie męczyła jej od czasu tej strasznej paniki w Cirque Fantastique. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, kołysała się w przód i w tył.

Otworzyły się drzwi, wszedł Constable w towarzystwie strażnika, który skuł mu ręce z

przodu, obrócił się i wyszedł na korytarz.

Nie udało się - powiedział Grady. Głosem zdumiewająco

spokojnym, pozbawionym jakichkolwiek uczuć, pomyślała Sachs.

Co...? - zdziwił się Constable. - Czy chodzi o tego durnia

Ralpha Swensena?

Nie. Chodzi o Ericka Weira.

Kogo? - Constable zdziwił się... wyglądał na naprawdę zdu

mionego.

Prokurator opowiedział mu w skrócie o ostatnim zamachu oraz o mordercy, iluzjoniście który stał się płatnym mordercą, Weirze.

-

Nie, nie, nie. Nie miałem nic wspólnego z Weirem. Nie mam nic wspólnego z tym... czymś. - Constable opuścił wzrok na podrapany blat stołu. Na szarej farbie widać było wydrapane napisy; litery „A”, „C” i niedokończone „K”. - Przecież cały czas ci tłumaczyłem, Charles, że są ludzie, których kiedyś znałem, i że mocno przesadzili. Ciebie i państwo mają za wrogów współpracujących z sydami, Afroamerykanami i tak dalej. Falszują moje słowa, używają ich jako pretekstu do napadów na ciebie. Powtarzam, daje słowo, że nie miałem z tym nic wspólnego - zakończył cicho.

Roth zwrócił się do prokuratora.

- Nie warto bawić się w łatwe gierki, Charles. Próbujesz łowić ryby w mętnej wodzie. Jeśli znajdziesz coś łączącego mojego klienta z włamaniem...

304

- Ten Weir zabił wczoraj dwie osoby... tak jak funkcjonariusza policji. Co oznacza morderstwo pierwszego stopnia.

Constable się skrzywił; ciężar rozmowy przyjął na siebie jego prawnik.

- No cóż, mogę tylko powiedzieć, że bardzo mi z tego powodu przykro. Odnoszę jednak wrażenie, że nie oskarżacie o nic mojego klienta. Zapewne dlatego, że nie macie żadnego dowodu łączącego go z Weirem, prawda? Grady go zignorował.

- W tej chwili rozmawiamy z Weirem. Oczekujemy, że zdobędziemy informacje interesujące policję stanową.

Constable spojrział na Amelię Sachs. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Sprawiał wrażenie bezradnego, samo jego spojrzenie wydawało się sugerować, że oczekuje od niej pomocy. Zapewne spodziewał się, że przemówi przez nią kobiecy rozsądek. Ale Sachs milczała, Bell tak się nie odzywał. Nie ich sprawą było dyskutowanie z podejrzanymi. Roland Bell był tu, ponieważ odpowiadał za bezpieczeństwo Grady'ego, chciał więc dowiedzieć się czegoś więcej o próbie zamachu na jego synie oraz możliwych kolejnych zamachach, Amelia zaś szukała dodatkowych informacji o Constable'u i jego współnikach, by uzupełnić luki w dochodzeniu przeciw Weirowi.

Ale człowiek ten ją fascynował. Znała tylko opinie innych, toteż spodziewała się zobaczyć kogoś złego do szpiku kości, a spotkała mężczyznę rozsądnego, współczującego, niemal załamanego tym, co stało się w ciągu ostatnich kilku dni. Rhyne zajmował się wyłącznie dowodami, brakowało mu cierpliwości, by studiować moralność i motywy sprawców, ją jednak bardzo interesowały kwestie dobra i zła. Czy w tej chwili patrzyła na niewinnego człowieka, czy nowego Hitlera? Constable potrząsnął głową.

- Proszę posłuchać, z mojego punktu widzenia jakiegokolwiek próby wykluczenia pana ze sprawy nie mają sensu. Stan przyśle po prostu kolejnego prokuratora okręgowego, proces będzie się toczył dalej, a ja zostanę oskarżony tak samo o morderstwo. I po co roi to? Jaki miałbym powód, by podnosić na pana rękę?

Bo jesteś bigotem, mordercą i...

Proszę pana, już zniosłem bardzo wiele - przerwał mu Constable, wyraźnie tracący cierpliwość. - Aresztowano mnie, upoko

rzono przed rodziną. Poniewiera mną prasa i policja. A wie pan,

jakie popełniłem przestępstwo? - Spojrzał Grady'emu wprost

^ oczy. - Zadawałem trudne pytania.

305

Andrew... - Roth dotknął ramienia klienta, lecz on odsunął się od niego gwałtownie. Zabrzęczały łańcuchy. Constable rozgrzał się już i nie miał zamiaru przerywać przemowy.

Właśnie tu, w tym pokoju, mam zamiar popełnić te przestępstwa, których rzeczywiście jestem winien. Oto pierwsze: pytam, czy zgadzacie się ze mną, gdy twierdzę, że im rząd większy, tym słabszy ma kontakt z ludźmi. Wówczas gliniarze mogą wsadzić kij do szczotki w odbyt zatrzymanego... i to, pozwolę sobie dodać, niewinnego.

Złapano ich i ukarano - zaprotestował słabo Grady.

Pójdą siedzieć, ale ofiara nie odzyska przez to godności, której ją pozbawili, prawda? A ilu nigdy nie złapano? Pomyślcie tylko o tym, co stało się w Waszyngtonie. Pozwolono, by terroryści dostali się do naszego kraju, swobodnie się po nim poruszali, choć zamierzali przeciw nas zabijać... my zaś nie śmiemy ich urazić, nie tylko odmawiając im prawa wjazdu, ale nawet pobierając odciski palców i wymagając noszenia dokumentów, identyfikujących ich ponad wszelką wątpliwość. I druga sprawa: czy rząd ma prawo rozdawać pieniądze z naszych podatków artystom? Takim jak ten, który wyrzeźbił Józefa, Maryję i Dzieciątko Jezus z krowiego łajna. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by pan się tym przejmował.

wał, w końcu stworzył zarówno tego faceta, jak i krowy. Ale dla czego rząd wydaje moje cięŜko zarobione pieniądze na takie bzdury?

Nie odpowiedzieli mu ani policjanci, ani prokurator.

A co myślicie państwo o kolejnym przestępstwie? Pozwolę sobie spytać, dlaczego nie godzimy się wszyscy z czymś oczywistym: rasy i kultury różnią się między sobą. Nigdy nie powiedziałem, Ŝe któraś z nich jest lepsza albo gorsza od innych. Twierdę tylko, Ŝe gdy się je miesza, skutek bywa na ogół opłakany.

Segregację rasową znieśliśmy ładnych kilka lat temu - za uwaŜył Bell. Jego południowy akcent był bardzo wyraźny. - MoŜe pan nie wie, ale dziś jest ona przestępstwem.

Detektywie, nie wątpię, iŜ uczono pana, Ŝe przestępstwem była kiedyś sprzedaŜ alkoholu. Przestępstwem była kiedyś praca w niedzielę. Za to nie była przestępstwem praca dziesięciolatków w fabryce. Zmądrzeliśmy jednak i znieśliśmy te prawa, ponieważŜ nie były zgodne z ludzką naturą.

Constable pochylił się, spojrział na Bella, potem na Sachs.

-

A teraz pozwolę sobie zadać trudne pytanie moim przyjaciołom policjantom.

ZałoŜmy, Ŝe dostajecie informację o podejrzanym o morderstwo; jest być moŜe Murzynem

lub Latynosem. Widzicie podejrzanego w ciemnej alejce. Czy nie zaciśnięcie palca na spuście nieco mocniej, niż gdyby był biały? A jeśli okaże się, że to biały, normalny biały, ma wszystkie zęby i jego ubranie nie śmierdzi szczykami, to czy nie ulżyście palcowi, choćby

trochę? Czy nie przeszukacie go odrobinę łagodniej?

Takie oto popełniłem przestępstwa. - Constable potrząsnął głową. - Poza nimi nic nie mam na sumieniu.

-

Wspaniała gadka, Andrew - powiedział cynicznie Grady. -

Ale nim zagrasz oskarżyciela przed sądem, powiedz mi, co sądzisz o tym, że dwa tygodnie temu Weir w towarzystwie trzech osób zjadł lunch w Riverside Inn w Bedford Junction, czyli dwa kilometry od Canton Falls, gdzie spotyka się Stowarzyszenie Patriotyczne, i jakieś pięć od twojego domu.

Constable drgnął zaskoczony.

-

Riverside Inn? - powtórzył, patrząc w okno tak brudne, że nie sposób było powiedzieć, czy widoczne przez nie niebo jest błękitne, czy też chore, słońce od zanieczyszczeń przemysłowych.

Grady spojrzał na niego spod przymkniętych powiek.

I co? Znasz to miejsce?

Ja... - Roth znów dotknął jego ramienia i więzień zamilkł.

Wymienili szeptem kilka słów, Constable skinął głową.

Prokurator nie oparł się pokusie przyciśnięcia go.

-

Znasz kogoś, kto bywa tam regularnie?

Andrew Constable zerknął na swego prawnika, który potrząsnął głową. Zapadła cisza.

-

Jak ci się podoba cela? - przerwał ją Grady.

-Co?

Jak ci się podoba twoja cela w areszcie, Andrew.

Nieszczególnie, co zapewne wiesz i bez pytania.

W więzieniu jest znacznie gorzej, Andrew. I będziesz musiał
siedzieć w pojedynce. Czarni z rozkoszą zmieniają ci d...

Daj spokój, Charles - westchnął Roth. - Niepotrzebne nam
takie gadanie.

-

Wiesz, Joe, powiem ci szczerze, Œe naduŒywacie mojej cierpliwoŒci. Ciągłe słyŒę tylko: tego nie zrobiłem, tamtego teŒ nie...
Dobra, jeśli tak się sprawy mają... - odwrócił się nagle, spojrzał na Constable'a - ...to rusz tyłek i pokaŒ mi, jaki jesteś niewinny.
Udowodnij, Œe nie miałeś nic wspólnego z zamachami na mnie i moją rodzinę, daj mi nazwiska tych, którzy mieli... i wówczas za gniemy rozmawiać.

307

Constable i Roth znów wymienili szeptem kilka zdań.

Mój klient - powiedział formalnie prawnik - chce odbyć parę rozmów telefonicznych. Na podstawie nowo zdobytych informacji rozwaŒa moŒliwość współpracy.

Mnie to nie wystarczy. Chcę nazwisk. Teraz.

Musi ci wystarczyć - powiedział do Grady'ego Constable.

Był wyraźnie poruszony. - Nim zacznę mówić, muszę mieć pewność.

Boisz się, Œe będziesz musiał zdradzić przyjaciół? - Prokurator niemal wpadł mu w słowo. - Cóż, przyjacielu, podobno lubisz zadawać trudne pytania. To teraz będziesz musiał na trudne pytania odpowiedzieć. Co to za przyjaciele, skoro chcą cię wysłać do więzienia na resztę Œycia? - Wstał. - Jeśli nie odezwiesz się do dziewiątej wieczorem, jutro zaczynamy proces. Tak jak zaplanowaliśmy.

ie była to imponująca scena. Gdy dziesięć lat temu David Balzac na zawsze zrezygnował z występów i kupił sklep „Dym i Lustra”, zburzył ścianę między frontową a tylną częścią sklepu, tworząc w ten sposób małą salkę widowiskową. Nie miał licencji na organizowanie przedstawień, nie mógł więc pobierać opłaty za wstęp, lecz mimo to w czwartkowe wieczory i niedzielne popołudnia organizował występy, i nawet je reklamował. Robił to z myślą o uczniach, dawał im możliwość zdobycia doświadczenia w występach przed publicznością. A jest to bardzo ważne.

Kara wiedziała, że ćwiczenia w domu czy sklepie i wyjście na scenę różnią się jak noc i dzień. Bywa, że kiedy pojawiaasz się przed widownią, dzieją się rzeczy niewytłumaczalne.

Sztuczka, która podczas prób uparcie nie wychodziła, udaje się doskonale, jakby ręce i umysł iluzjonisty opanowała tajemna siła, mówiąca: „Tym razem nie spieprzysz”. I przeciwnie, zdarza się zepsuć coś łatwiuteńkiego, tak znanego, że niemal już nudnego, choćby tak zwane francuskie upuszczenie jednej monety; nieszczęście nieoczekiwane do tego stopnia, że nikomu do głowy nie przychodziło przygotowanie techniki maskującej wpadkę.

Salkę od części sklepowej dzieliła wysoka, szeroka, czarna kurtyna, poruszająca się od czasu do czasu w przeciągu, powodowanym otwarciem drzwi wejściowych, któremu towarzyszyło ciche bi-bip Strusia Pędziwiatra z elektronicznego czujnika umieszczonego we framudze.

Zbliżała się czwarta po południu. Ludzie wchodzili, zajmowali miejsce, najchętniej w tylnych rzędach (podczas występów magów i iluzjonistów ludzie wolą nie siadać z przodu, nigdy nie wiadomo, czy artysta nie wezwie kogoś „na ochotnika” i nie ośmięszy go publicznie).

Stojąca za kulisami Kara ukradkiem przyglądała się scenie. Jej proste czarne boki były

porysowane i poplamione, zapadniętą dębową posadzkę pokrywały kawałki taśmy używanej podczas prób do maskowania ruchów rąk. Od kulis maleńką scenę, trzy na cztery metry, oddzielał zaledwie postrzępiony wiśniowy szal ale przecież była to scena i kiedy stanie na niej w świetle reflektora, będzie się czuła tak jak w Carnegie Hali.

Podobnie jak artyści wodewilowi czy zwykli prestidigitatorzy, iluzjoniści na ogół budowali swój występ z serii sztuczek. Dobierali je starannie, przechodzili od najmniej do najbardziej efektownych, starając się stworzyć porywający finał, ale - zdaniem Kary - coś takiego obserwowało się z zainteresowaniem równym przyglądaniu się fajerwerkom. Każdy kolejny

wybuch jest oczywiście wspanialszy i bardziej kolorowy od poprzedniego, ale całość nieodmiennie rozczarowuje, ponieważ nie ma tematu, nie ma ciągłości. Kara uważała, że występ iluzjonisty ma opowiadać historię, każda kolejna sztuczka powinna mieć związek z poprzednią i następną, a w finale należy powtórzyć jedną lub dwie wcześniejsze, które pozostawią widzów zdumionych i zachwyconych.

Przychodziło coraz więcej ludzi. Kara zastanawiała się nawet, czy dziś widownia będzie pełna, choć tak naprawdę nie miało to dla niej szczególnego znaczenia. Uwielbiała pewną opowieść, której bohaterem był Robert-Houdin. Otóż pewnego wieczora wyszedł on na scenę, a na widowni było zaledwie... troje ludzi. Wystąpił dla nich tak, jakby wszystkie miejsca były zajęte, a jedynym odstępstwem od rutyny było tylko to, że tę trójkę zaprosił do siebie do domu na kolację.

Nie wątpiła, że wszystko pójdzie dobrze. Nawet przed występami w sklepie ćwiczyła pod okiem pana Balzaca całe tygodnie. W tej chwili, choć od wejścia na scenę dzieliły ją zaledwie minuty, nie denerwowała się i nie myślała o sztuczkach. Obserwowała widownię, ciesząc się tą krótką chwilą spokoju. A przecież nie miała chyba powodu, by czuć się tak komfortowo, wręcz przeciwnie: zdrowie matki; narastające problemy finansowe; powolne postępy w nauce, przynajmniej w oczach pana Balzaca; gość od grzanek z jajkiem, który znikł dokładnie trzy tygodnie temu, ale przedtem obiecał, że zadzwoni jutro. „Nie później, daję słowo”-Ale chłopak, który zniknął, brak pieniędzy i umierająca matka jakoś jej tu nie ciążyły.

Kiedy była na scenie, nie interesowało jej nic oprócz wywołania na twarzach widzów pewnego szczególnego wyrazu. Oczami wyobraźni widziała go wyraźnie: wargi rozchylone w uśmiechu, szeroko otwarte ze zdumienia oczy, uniesione brwi. A na ustach jedno, nieuniknione na pokazie iluzjonistycznym pytanie: „Jak ona to zrobiła?”. Na zakończenie udanego przedstawienia był na wszystkich twarzach, na zakończenie mniej udanego, przynajmniej na niektórych.

W zwykłej magii ulicznej wykonuje się specyficzne ruchy rąk, znane jako „zbieranie” i „kładzenie”. Efekt zmiany jakiegoś przedmiotu w inny osiąga się niewidocznym zabraniem pierwszego i podłożeniem na jego miejsce drugiego tak płynnie, że publiczności się wydaje, iż zmienia się on na ich oczach. I właśnie to robiła Kara. Zabierała widzom smutek, nudę i gniew, a na jej miejsce „kładała” szczęście, fascynację i spokój; zmieniała ich w ludzi czujących radość w sercu, choćby i krótkotrwałą.

Zbliżała się godzina występu. Znowu zerknęła na widownię. I bardzo się zdziwiła. Większość miejsc była zajęta. Przy pogodzie tak ładnej jak w to niedzielne popołudnie mało kto tu przychodził. Z radością przyjęła pojawienie się Jaynene z domu pogodnej starości; jej potężna postać na chwilę przesłoniła wejście; towarzyszyły jej przyjaciółki - siostry ze Stuyvesant Manor. Znalazły jeszcze wolne miejsca. Podobnie jak kilku przyjaciół Kary: sąsiadów z Greenwich Street i klientów sklepu.

Tuż po czwartej odchyliła się kurtyna i na widowni pojawił się gość, którego absolutnie się nie spodziewała.

- Łatwo dojechać - powiedział Rhyme drwiąco, prowadząc wózek, lśniący Storm Arrow, przez przejście między dwoma rzędami krzeseł. Zatrzymał się mniej więcej w połowie drogi między wejściem a sceną. - Nie każ człowiekowi wkładać garnituru.

Przed godziną zdumiał Sachs i Thoma, twierdząc, że dobrze byłoby pojechać na występ Kary jego vanem rolhcem przystosowanym do przewożenia osób niepełnosprawnych.

- Choć szkoda marnować takie piękne popołudnie na siedzenie w czterech ścianach - dodał.

Oboje popatrzyli na niego ze zdumieniem. Nawet przed wypadkiem, gdy był sprawny, nigdy nie spędził pięknego popołudnia inaczej niż w czterech ścianach.

- Podjedź samochodem, Thom, dobrze? Dziękuję.

- No proszę, proszę - powiedział opiekun i wyszedł.

Teraz rozglądał się po nędznej salce. Dostrzegł tęgą kobietę która spojrzała na niego z

sympatią, wstała i przysiadła się do Amelii. Przywitała Rhyme'a skinieniem głowy. Spytała, czy jest tym policjantem, któremu pomaga Kara. Rhyme przytaknął, po czym nastąpiła wzajemna prezentacja.

Tęga kobieta miała na imię Jaynene. Była pielęgniarką w domu rehabilitacji i opieki nad

ludźmi starszymi, w którym mieszkała matka Kary. Przyjrzała się Rhyme'owi

wszechwiedzącym spojrzeniem, a on tylko uśmiechnął się kpiąco.

Oj, z tą rehabilitacją coś mi się chyba wymknęło. Powinnam

powiedzieć „dom starców”.

A ja jestem absolwentem TIMC*.

Jaynene zdziwiła się wyraźnie, myślała chwilę, a potem powiedziała:

Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Instytut Łagodzenia Skutków Nieszczęśliwych Wypadków

- odpowiedział Thom.

Nazywaliśmy to „Gospodą pod Kaleką” - dodał Rhyme.

On bardzo lubi prowokować ludzi.

-

Pracowałam z pacjentami z uszkodzeniami kręgosłupa - przy

znała Jaynene. - Najbardziej lubiałam tych wściekających się i prze

klinających. A najbardziej bałam się tych spokojnych i pogodnych.

Oczywiście, pomyślał Rhyme. Bo to właśnie ci spokojni i pogodni prosili przyjaciół, by

wrzucili im do drinka sto pastylek se-conalu. Albo, jeśli mogli uŚyc rąk, wlewali wodę w kontrolki kuchenek i włączali gaz.

Nazywało się to śmiercią na cztery fajerki.

-

Masz kategorię C4? - spytała Jaynene.

Owszem.

I oddychasz samodzielnie. Dobra robota.

Jest tu matka Kary? - Amelia rozejrzała się dookoła.

Tęga Murzynka wahała się chwilę, nim odpowiedziała krótko:

-Nie.

-

Nigdy nie przychodzi jej obejrzeć?

Niezbyt interesuje się karierą zawodową córki - powiedzia
ła ostroŚnie kobieta.

Kara mówiła nam, Őe jej matka jest chora. Mam nadzieję, ze
czuje się lepiej? - spytał Rhyme.

* Traumatic Incident Mitigation Center.

_ Owszem, trochę.

Rhyme wyczuł, że coś kryje się za tymi niedomówieniami, ale pielęgniarka samym tonem głosu wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie ma zamiaru dyskutować o stanie swojej pacjentki z obcymi.

Przygasły światła, na widowni zrobiło się cicho. Na scenę wszedł siwowłosy mężczyzna. Mimo zaawansowanego wieku i wyraźnych oznak trudów życia (czerwony nos pijaka, poplamiona tytoniem broda) oczy miał bystre, trzymał się prosto, a po scenie poruszał z wprawą zawodowca. Stał obok jedyne tu rekwizytu: przyciętego drewnianego słupa naśladowującego fragment rzymskiej kolumny. Choć otoczenie wyglądało nędznie, ubrany był w doskonale skrojony garnitur, zupełnie jakby kierowała nim zasada, że na scenie, dla widzów, trzeba zawsze wyglądać najlepiej. Rhyme uznał, że to mentor Kary, niesławny pan Balzac.

Mężczyzna nie przedstawił się. Ogarnął spojrzeniem widownię; jego wzrok nieco dłużej zatrzymał się na postaci kryminalistki. Cokolwiek pomyślał, nie zdradził tego. Powiedział spokojnym głosem.

- Panie i panowie, mam przyjemność przedstawić wam dziś jedną z moich najzdolniejszych studentek. Kara pracuje ze mną od roku. Pokażę nam najbardziej ezoteryczne iluzje w całej historii naszego zawodu, niektóre pochodzą z mojego repertuaru, inne są jej dziełem. Nie dajcie się zaskoczyć - wpatrzone w Rhyme's oczy Balzaca zabłyśły demonicznie - i nie pozwólcie, by wstrząsnęło wami to, co zobaczycie. A teraz... panie i panowie... daję wam... Karę!

Rhyme uznał, że najpożyteczniejszą spędzi tę godzinę, obserwując sztuczki okiem naukowca. Cieszyło go wyzwanie związane z obserwacją mechanizmu ich powstawania, odnotowywanie, jak Kara przeprowadza kolejne sztuczki, jak znikają karty i monety, kiedy dokonuje szybkich zmian. W grze, którą nazwał „Daj się Przyłapać”, dziewczyna prowadziła z nim o

kilka długości, choć z pewnością nie miała pojęcia, że w nią gra.

Kara pojawiła się na scenie ubrana w obcisły czarny strój z dekoltem w kształcie półksiężyca, na który narzucony miała rodzaj płaszcza z przezroczystej tkaniny udrapowany tak, by przypominał rzymską togę. A do tej chwili Rhyme nie uważał Kary za kobietę atrakcyjną

fizycznie, a już z pewnością nie seksowną, ale ten obcisły kostium sprawił, że wyglądała niesłychanie atrakcyjnie.

313

Dziewczyna poruszała się płynnie, zmysłowo, niczym tancerka. Długą chwilę przyglądała się widowni; każdy miał wrażenie że spojrzała mu w głąb duszy. Mistrzowsko budowała napięcie.

-

Zmiana - powiedziała niezbyt głośno, głosem pełnym napię-

cia. - Zmiana... jakże nas fascynuje. Alchemia... transformacja

ołowiu w złoto. - Pokazała srebrną monetę, zamknęła ją w dłoni—

otworzyła ją niemal w tej samej chwili, ukazując złotą monetę

która wyrzucona w powietrze zmieniła się w deszcz złotego kon-

fetti.

Nagrodziły ją brawa i szmer zdumionych głosów.

-

Zmiana... noc... - światła przygasły, w sali zapanowała nie
przenikniona ciemność, rozjaśniona po zaledwie kilku sekundach
- ...przechodzi w dzień. - Kara miała na sobie równie obcisły jak
przedtem strój, złoty jednak i na dekolcie ozdobiony znakiem
gwiazdy. Rhyme roześmiał się, zachwycony sprawnością, z jaką do
konała zmiany. - ście... - w dłoni dziewczyny pojawiła się czerwo
na róŜa - ...śmierć... - stuliła dłonie, a gdy je rozchyliła, trzymała
w nich zaschnięty Őółty kwiat - ...i znów Őycie. - Tym razem trzyma
ła w rękach bukiet kwiatów. Rzuciła go zachwyconej kobiecie na
widowni; Rhyme słyszał, jak wyszeptwała: „Są prawdziwe”.
Kara opuściła ręce i ponownie przyjrzała się widowni. Była bardzo powaŜna.

Jest księga - powiedziała głosem, wypełniającym echem
mała salkę. - Napisana przed wiekami przez rzymskiego poetę,
Owidiusza. Nosi tytuł „Metamorfozy”. Metamorfoza, jak wów
czas gdy gąsienica staje się... - Otworzyła dłoń i nad widownię
wzleciał motyl.

Przez cztery lata Rhyme uczył się łaciny. Ciągłe pamiętał, jak zmuszano go do tłumaczenia
fragmentów Owidiusza na sprawdzianie. „Metamorfozy” były serią czternastu czy piętnastu mitów,
przedstawionych w poetyckiej formie. Do czego prowadziła Kara? CzyŜby próbowała uczyć klasyki

literatury mamusie przyszłych prawników i dzieciaki interesujące się wyłącznie prymitywną muzyką i nowym Nintendo? A jednak zauważył, że jej obcisły kostium przyciąga uwagę wszystkich nastoletnich chłopców na widowni.

-

Metamorfozy... to księga opowiadająca o zmianach. O ludziach, którzy zmieniają się w innych ludzi, w zwierzęta, drzewa, martwe przedmioty. Niektóre z opowieści Owidiusza są tragiczne, niektóre fascynujące, ale wszystkie łączy jedno... - przerwała>
a potem powiedziała donośnie: - ... magia!

I znikła w błysku światła i chmurze dymu.

Przez następnych czterdzieści minut Kara fascynowała widownię serią iluzji i sztuczek magicznych, nawiązujących do niektórych części „Metamorfóz”. Rhyme od razu zrezygnował z szukania dziur w jej przedstawieniu. Oczarowała go oczywiście opowiadana przez nią historia, lecz nawet gdy od czasu do czasu otrząsał się z jej czaru, koncentrował na ruchach dłoni, ani razu nie zauważył metody.

Wreszcie zeszła ze sceny, po długich owacjach i bisie, podczas którego Kara zmieniła się w drobną staruszkę i z powrotem w siebie (młody starzeje się... młodość powraca...). Pięć minut później, w dżinsach i białej bluzce, pojawiła się na widowni, by powitać przyjaciół.

Sprzedawca sklepowy postawił na stole dzbanek wina, kawę, napoje chłodzące, ciasteczka.

-

Nie macie szkockiej? - zdziwił się Rhyme, patrząc na ubogo
zastawiony stół.

-

Niestety nie, proszę pana - odparł brodaty młody mężczyzna.

Amelia, uzbrojona w kieliszek wina, zaprosiła do towarzystwa

Karę.

-

Strasznie mi miło. Nie sądziłam, że przyjdziecie.

Cóż mogę powiedzieć? - Policjantka tylko się uśmiechnęła.

- Fantastyczne przedstawienie.

Doskonale - przyznał Rhyme i spojrzał na bar. - Może mają
szkocką gdzieś pod ladą - powiedział z nadzieją do swego opiekuna.

Thom skinął mu głową. Zwrócił się do Kary.

-

Czy potrafisz tak je zmienić upodobania? - spytał uprzej

nie. Wziął dwa kieliszki chardonnay, do jednego wsunął słomkę

i podał ją szefowi.

-

To albo nic, Lincolnie.

Rhyme pociągnął łyk wina.

Podobało mi się zakończenie z przemianami młodości i sta
rości. Było takie... nieoczekiwane. Obawiałem się, że raczej zmie
nisz się w motyla i odlecisz.

I o to chodzi. Przy mnie musisz spodziewać się niespodziewa
nego. Zręczny umysł, pamiętasz?

Słuchaj - wtrąciła Amelia - naprawdę powinnaś spróbować

1 Cirque Fantastique.

Dziewczyna roześmiała się, ale nic nie powiedziała.

-

Ale nie - protestowała Sachs. - Jesteś prawdziwą profesjo
nalistką.

315

Rhyme zorientował się natychmiast, że Kara wolałaby nie kontynuować tego tematu.

Wszystko w swoim czasie - powiedziała lekko. - Robię to, co
powinam w tej chwili robić. Nie ma powodu do pośpiechu. Wie
lu popełnia ten błąd, Œe za szybko prze przed siebie.

Jedźmy na grzanki z jajkiem sadzonym - zaproponował

Thom. - Nie będą tak dobre jak moje, ale jestem strasznie głod
ny. Jaynene, jedziesz z nami.

Tęga Murzynka zgodziła się chętnie i nawet zaproponowała miejsce: nowo otwarty lokalik
koło Jefferson Market, przy Szóstej i Dziesiątej. Kara się jednak wykręciła. Powiedziała, Œe musi
zostać i przećwiczyć parę sztuczek, które nienadzwyczajnie wyszły jej podczas występu.

AleŒ dziewczyno! - oburzyła się Jaynene. - Masz zamiar pra
cować? Dzisiaj?

Tylko kilka godzin. Przyjaciel pana Balzaca urządza dziś
prywatne przedstawienie, więc sklep zostanie zamknięty wcześ
niej. - Kara mocno przytuliła Amelię i poŒegnała się z nią. Wy
mieniły numery telefonów, obiecały sobie, Œe spotkają się przy
pierwszej okazji. Rhyme jeszcze raz podziękował swej konsul—
tantce.

Nie złapalibyśmy go bez ciebie - przyznał.

Przyjedziemy obejrzeć cię w Las Vegas - poŒegnał ją Thom.

Rhyme zawrócił wózkiem i pomiędzy dwoma rzędami foteli

pojechał do wyjścia. Przypadkiem spojrział w lewo i dostrzegł baczne spojrzenie Davida

Balzaca, obserwującego go z zaplecza sklepu. Chwilę później zwrócił się do podchodzącej do niego
Kary. Dziewczyna zmieniła się natychmiast, straciła całą pewność siebie, wydawała się wręcz
nieśmiała.

Metamorfozy, pomyślał Rhyme, patrząc, jak Balzac powoli zamyka drzwi, odcinając świat
czarodzieja i jego uczniocy.

Powtórzę jeszcze raz: możesz dostać prawnika, a bardzo go potrzebujesz. - Rozumiem - odparł cicho Erick Weir.

Siedzieli w pokoju Sellitta na One Police Plaza. Był to pokój bardzo mały, pomalowany na szaro i udekorowany w sposób, który w raporcie policyjnym można by opisać następująco:

„Fotografia niemowlęcia - sztuk jeden, fotografia małego dziecka płci męskiej - sztuk jeden, fotografia dorosłej kobiety - sztuk jeden, obrazek przedstawiający jakiś krajobraz nad jeziorem - sztuk jeden, miejsce nieznane, roślina w doniczce - sztuk jeden, uschnięta”.

W pokoju tym Sellitto przesłuchiwał setki podejrzanych. Jediną różnicę między nimi wszystkimi a tym obecnym stanowił fakt, że Weir przykuty był do stojącego przy biurku szarego stołka dwiema parami kajdanek, a za nim stał uzbrojony policjant patrolu.

Rozumiesz?

Przecież powiedziałem.

Tak zaczęło się przesłuchanie.

W odróżnieniu od Rhyme'a, specjalizującego się w badaniu dowodów rzeczowych, detektyw pierwszego stopnia Lon Sellitto był policjantem z krwi i kości. Interesowało go wyłącznie dojście do prawdy... z użyciem wszelkich środków dostępnych nowojorskiej policji i wszystkim innym agencjom przestrzegania prawa... oraz własnego, wyrobionego na ulicach miasta sprytu i nieustępliwości. Często powtarzał, że być policjantem to najwspanialsza robota na świecie. W tej pracy musiał być aktorem, politykiem, szachistą, a czasami rewolwerowcem i obrońcą futbolowym.

Najwspanialsza była jednak gra w przesłuchanie. Nakłonię nie podejrzanego, by przyznał się do winy, podał nazwiska współ, ników, miejsce, gdzie znajdują się zwłoki innych ofiar.

Od początku było jednak jasne, że Weir nie okazał się kopalnią informacji.

A teraz, Ericku, powiedz mi, co wiesz o Stowarzyszeniu Patriotycznym?

Jak już mówiłem, nic. Tyle, co czytałem w gazetach. - Weir próbował podrapać się po nosie i ramieniu. - Moglibyście zdjąć mi kajdanki, choćby na chwilę?

Nie moglibyśmy. Więc tylko czytałeś o stowarzyszeniu?

Oczywiście. - Mag się rozkaszał.

Gdzie?

Chyba w „Timesie”.

Masz wykształcenie, wyrażasz się bardzo elegancko. Nie spodziewam się, byś podzielał ich poglądy.

Nie podzielam. Dla mnie są bandą wściekłych bigotów - po

wiedział Weir cichym, zdyszonym głosem.

Jeśli rzeczywiście tak sądzisz, to podjąłeś się zamordowania

Grady'ego wyłącznie dla pieniędzy. Chcielibyśmy dowiedzieć się,

kto cię wynajął.

Ale ja przecieŜ nie miałem zamiaru go zamordować - szep

nął aresztant.

Tylko włamałeś się do jego mieszkania z naładowanym pi

stoletem za pasem...

Proszę posłuchać. Lubię wyzwania. Lubię sprawdzać, czy po

trafię dostać się tam, gdzie nikt inny nie potrafi. Nigdy nikogo

nie skrzywdziłem. - Te ostatnie słowa skierował nie tylko do de

tektywa, lecz takŜe do wymierzonej w jego twarz poobijanej ka

mery wideo.

-

Słuchaj, jak ci smakował kotlet mielony? A moŜe jadłeś pie

czonego indyka?

-Co?

Lunch w Bedford Junction, w Riverside Inn. Obstawiam, że

poprzestałeś na drobiu, a chłopcy Constable'a zaŜerali się mię-

sem: mielonym, stekiem i specjalnością dnia. Co zamówił Jeddy—

Kto? Ach, ten facet, o którego juŜ mnie pytano? Barnes.

Chodzi o rachunek, tak? - Weir oddychał szybko, ciężko. - Praw

dę mówiąc, po prostu go znalazłem. Szukałem kawałka papieru,

żeby coś zapisać i akurat ten wpadł mi w rękę.

Prawdę mówiąc? - pomyślał Sellitto. Właśnie.

318

_ Więc chciałeś coś zapisać?

Weir skinął głową. Dusił się, nie mógł powiedzieć słowa. _ A gdzie byłeś, kiedy

potrzebowałeś tego kawałka papieru? -Lon Sellitto nudził się coraz wyraźniej. _ Nie wiem. W

Starbucks.

Którym?

Nie pamiętam.

Ostatnio przestępcy często wymieniali Starbucks, kiedy chcieli stworzyć sobie alibi. Zdaniem Sellitta miało to sens: kawiarni było tak wiele i wszystkie wyglądały identycznie, więc kryminaliści mogli twierdzić, że nie pamiętają, w której byli tego a tego dnia o tej a o tej godzinie, nie tracąc resztek wiarygodności.

-

A dlaczego była czysta? - spytał niedbale Sellitto.

-Co?

-

Druga strona rachunku. Skoro chciałeś coś na niej napisać,

dla czego była czysta?

Ach! No tak, chyba nie znalazłem długopisu.

W Starbucks? Przecież tam jest mnóstwo długopisów. Klienci płacą kartami kredytowymi. Muszą podpisywać wydruki.

Kasjerka była zajęta. Nie chciałem odrywać jej od pracy.

Co chciałeś zapisać?

Ach? - Weir oddychał ciężko. - Zdaje się, że godzinę seansu filmowego.

-

Gdzie jest ciało Larry'ego Burke'a?

Kogo?

Policjanta, który aresztował cię na Osiemdziesiątej Ósmej

Ulicy. Wczoraj wieczorem powiedziałeś Lincolnowi Rhyme'owi,

że go zabiłeś i ukryłeś ciało gdzieś na West Side.

Próbowałem tylko skierować jego myśli na cyrk, żeby my
słał, że tam zaatakuję. Odciągałem jego uwagę. Podawałem fał
szywe informacje.

I kiedy przyznałeś się do innych zabójstw, to te były fałszy
we informacje?

-

No właśnie. Nikogo nie zabiłem. Ktoś to zrobił i teraz próbu
je mnie zrobić.

Bo to jest, najstarsza metoda obrony na świecie. A także najgłupsza. I najbardziej zawstydzająca.

Kto niby miałby chcieć cię zrobić?

Nie wiem. Ale mnie zna, to chyba oczywiste.

Ponieważ ma dostęp do twoich ubrań, włókien, włosów i róż
nych innych rzeczy i może je umieścić na miejscu przestępstwa?

319

No właśnie.

Świetnie. Lista nie może być długa. Podaj mi (e kilka na
zwisk.

Weir przymknął oczy.

-

Nic mi się przychodzi do głowy. - Pochylił głowę-. - To takie frustrujące.

Sam Sellitto nie znalazłby lepszych słów na opisanie sytuacji. Minęło bardzo męczące pół godziny tej nudnej gry. Wreszcie detektyw po prostu się poddał. Był wściekły. Myślał o tym, że wkrótce zapuka do drzwi mieszkania swej dziewczyny i zje przy. 'gotowaną przez nią kolację, indyka - co za ironia, przecież figurował on także w menu lunchu z Riverside Inn - a Larry Burkę nigdy już nie wróci do rodziny. Zrzucił ryaskę przyjaznego, choć dociekliwego śledczego i cicho powiedział: - Zejdź mi z oczu.

Wraz z kilkoma policjantami odprowadził Weira dwie przecznice dalej, do aresztu męskiego, gdzie miał zostać formalnie zatrzymany pod zarzutem morderstwa, usiłowania morderstwa, napadu i podpalenia. Sellitto uprzedził funkcjonariuszy DOC o specjalnych zdolnościach tego szczególnego więźnia, lecz uzyskał zapewnienie, że zostanie on umieszczony na oddziale specjalnym, z którego nie sposób uciec.

-

Detektywie Sellitto? - rozległ się gardłowy szept Weira.

-Tak?

-

Przysięgam na Boga, że tego nie zrobiłem. - W głosie Maga brzmiała bardzo przekonująca nuta. - Może, kiedy odpocznę,

przypomnę sobie coś, co pozwoli panu złapać prawdziwego mor-

dercę. Zrobię wszystko, żeby panu pomóc.

Kilka pięter niżej, w Grobowcach, dwójka funkcjonariuszy prowadziła idącego powoli, krok za krokiem zatrzymanego do biura aresztu, gdzie miano załatwić wszystkie konieczne formalności.

Nie wygląda mi na szczególnie groźnego, pomyślała Linda Welles, funkcjonariuszka służby więziennej. Był silny, to się czuło, ale nie tak silny jak chłopcy, z którymi często tu miano do czynienia, gówniarze z Alfabetycznego Miasta i Harlemu o perfekcyjnych ciałach, których urody nie mogły zniszczyć nawet wielkie ilości cracku, heroiny i wódy.

Ciekawe, dlaczego robią tyle zamieszania wokół chudego starszawego gościa, Weira, Ericka.

320

Trzymajcie go, nie spuszczajcie wzroku z jego dłoni i pod żadnym warunkiem nie zdejmujcie kajdanków.

Tymczasem facet wyglądał nędznie, po przesłuchaniu był cholernie zmarnowany, oddychał z trudem. Kaleka dłoń i te blizny na szyi, ciekawe, skąd się wzięły. Ogień, rozgrzany olej? Aż wstrząsnęła się na myśl o tym, jak musiał cierpieć.

Welles pamiętała, co powiedział detektywowi Sellitcie w progu pokoju przesłuchań: „Zrobię wszystko, żeby panu pomóc”. Mówił jak dzieciak, który zawiódł rodziców.

Mimo obaw Sellitta pobieranie odcisków palców i fotografowanie zatrzymanego przebiegło bez problemów. Znow załóżono mu podwójne kajdanki na ręce i kajdany na nogi. Welles i Hank, potężny strażnik, chwycili Weira za ramiona i poprowadzili długim korytarzem do wind. Jedną z nich mieli wjechać na górę, na najlepiej zabezpieczone piętra.

Welles prowadziła tymi korytarzami setki zatrzymanych. Ani przez chwilę nie zwątpiła, że jest uodporniona na ich groźby, błagania i łzy. Ale w tej śalonej, dziecinnej obietnicy, którą Weir złożył Lonowi Sellitcie było coś, co poruszyło ją do głębi. Może naprawdę był niewinny? Z całą pewnością nie wyglądał na mordercę.

Weir skrzywił się. Welles instynktownie rozluźniła palce, bardzo mocno zaciśnięte na jego ramieniu. Niemal w tej samej chwili aresztant jęknął i oparł się na niej całym ciężarem ciała.

Twarz miał skrzywioną z bólu.

Co jest? - spytał Hank.

Kurcze... boli... o Boże! - I aresztant z trudem wyszeptał:

- Kajdany!

Lewą nogę trzymał wyprostowaną. Była sztywna jak deska, mięśnie drżały.

-

Rozkuć go? - spytał Hank.

Welles wahala się, ale po chwili powiedziała stanowczo: „Nie!”, po czym zwróciła się do Weira: Połóż się na boku. Zaraz się tym zajmę. - Dużo biegała, wie

działa więc, co robić w wypadku kurczy. Uznała, że Weir nie uda-

ł jej jego cierpienie wydawało się stuprocentowo prawdziwe,

a mięśnie miał twarde jak skała.

O Jezu! - krzyczał z bólu. - Kajdany!

Powinniśmy je zdjąć - powtórzył Hank.

-

Nie ma mowy. Połóż go. Już ja się tym zajmę.

Wspólnymi siłami ułożyli aresztanta na podłodze. Welles za

dęła masować jego sztywną nogę. Jej partner cofnął się o krok:

321

uwaga przyglądał się temu, co robiła. Nagle, zupełnie przypadkowo, strażniczka podniosła wzrok i dostrzegła, że skute na plecach dłonie Weira przesunęły się na bok i że opuścił on luźne spodnie o kilka centymetrów. Wyprostowała się, dokładnie przyjrzała się zatrzymanemu. Zsunął bandaż z zewnętrznej części uda, a pod spodem... co to było, do jasnej cholery? Rozcięcie skóry?

W tej chwili dłoń Weira trafiła ją prosto w nos, miażdżąc chrząstkę. Ból był tak wielki, że oszołomił ją i odebrał jej głos.

Klucz! W małym rozcięciu skóry na udzie, pod bandażem, Weir ukrył klucz lub wytrych!

Hank był szybki, ale Weir okazał się jeszcze szybszy. Nim strażnik zdołał wyciągnąć rękę,

dostał łokciem w krtań; powoli osunął się na ziemię, chwycił za gardło, oddychał z

największym trudem. Weir chwycił rękojeść pistoletu Welles i próbował wyrwać go z kabury.

Walczyła z nim z całej siły. Strażniczka próbowała krzyczeć, ale krew z rozbitego nosa spływała do gardła i zaczęła się dławić.

Nadal walcząc o broń, lewą ręką Weir rozkuł nogi z trzech par kajdan. Po czym obiema rękami zaczął wyrywać jej glocka.

-

Ratunku! - Welles zakrzuszyła się krwią. - Niech mi ktoś pomoże!

Weirowi udało się wyjąć broń z kabury, lecz strażniczka, która w tej chwili myślała wyłącznie o dzieciach, chwyciła go mocno za nadgarstki. Lufa wykonała obrót, minęła Hanka, który opadł na kolana, dławił się i próbował zwymiotować.

-
Pomocy! - krzyknęła. - Funkcjonariusz ranny! Ratunku!

Wszczęło się zamieszanie, drzwi na końcu korytarza otworzyły

się, ktoś biegł w ich kierunku, ale korytarz wydał się jej długi na kilometry, a Weir coraz mocniej zaciskał dłoń na rękojeści glocka. Tarzali się po podłodze, patrząc sobie wprost w oczy z odległości kilku centymetrów, a lufa pistoletu powoli, lecz nieubłaganie zwracała się w jej stronę i w końcu znalazła się pomiędzy ich ciałami. Dysząc ciężko, Weir próbował

wcisnąć palec wskazujący pod osłonę spustu.

-
Nie, proszę... nie... nie...! - jęknęła strażniczka. Więzień uśmiechnął się okrutnie, widząc, jak Welles z przerażeniem wpatruje się w ciemny otwór lufy, pewna, że strzał nastąpi lada chwila.

Przed oczami Welles pojawił się obraz córki, ojca dziewczynki, jej własnej matki.

Nie ma, kurwa, mowy, pomyślała, wściekła. Oparła stopę o ścianę, odepchnęła się od niej mocno. Weir przeleciał nad jej głową, padł na wznak, a ona upadła na niego.

Pistolet wypalił z ogłuszającym hukiem. Odrzut szarpnął jej nadgarstkiem, na ścianie

wykwitła wielka plama krwi.

Nie, nie, nie!

BoŜe, oby tylko nic nie stało się Hankowi.

W tym momencie zobaczyła, jak jej partner podnosi się z wysiłkiem. Nie, nie został

postrzelony. Sekundę później uświadomiła sobie, Ŝe nie musi juŜ walczyć o pistolet; trzymała glocka w garści i nikt nie próbował go jej wyrwać. Poderwała się na równe nogi i drŜąc odsunęła się od Weira.

O mój BoŜe...

Kula trafiła Ericka Weira w skroń, pozostawiając straszliwą ranę. Na przeciwległej ścianie widać było plamę krwi, mózgu i kości. Mag leŜał na wznak, patrząc w sufit szeroko rozwartymi, zaszklonymi, nieruchomymi oczami. Krew z rany ściekała na podłogę.

Roztrzęsiona, zszokowana Welles krzyknęła ile sił w płucach: - O kurwa, patrzcie, co

zrobiłam! O ŜeŜ ty...! Niech mu ktoś pomoŜe!

Nadbiegło kilkunastu straŜników. Spojrzała na nich i ze zdumieniem stwierdziła, Ŝe

zatrzymują się nagle, przyklękają, przyjmując pozycję defensywną. Westchnęła ze zdumienia.

CzyŜby za jej plecami pojawił się morderca? Odwróciła się, lecz korytarz był pusty. Ale jej koledzy nadal klęczeli z uniesionymi rękoma. I krzyczeli. Ogłuszona hukiem wystrzału przez chwilę nic nie słyszała.

- Jezu, Linda, pistolet! Schowaj pistolet! Patrz, gdzie mierzysz!

Linda Welles zdała sobie nagle sprawę z tego, Ŝe w panice wymachuje pistoletem, Ŝe mierzy

w podłogę, w sufit... i w kolegów, Ŝe zachowuje się jak dziecko, które dostało w prezencie pistolet na wodę.

Co za lekkomyślność, pomyślała i roześmiała się śmiechem szaleńca. Schowała glocka do

kabury. Poczula przy tym, Ŝe coś twardego przyczepiło się do jej mundurowych spodni.

Oderwała to coś, co okazało się okrwawioną kością z czaszki Weira. „Och” - westchnęła zdziwiona, kiwając głową, i wybuchnęła szaleńczym śmiechem, jak 3ej córka, kiedy bawiły się w łaskotki. Splunęła na dłoń, zaczęła czyścić ją z krwi, ocierając o spodnie, coraz szybciej i coraz mocniej. Nagle przestała się śmiać. Upadła na kolana i rozszołała się.

zkoda, że tego nie widziałaś, mamó. Oczarowałam ich, wiesz?

Kara siedziała na brzošku krzesła, trzymając w dłoni kubek kawy ze Starbucks, letniej, niemal dokładnie w temperaturze ciała... na przykład ciała jej matki, różowego, świeżego, wyglądającego tak nieprawdopodobnie zdrowo.

-

Przez czterdzieści pięć minut miałam całą scenę dla siebie.

Jak ci się to podoba?

-Ty?

To słowo nie było częścią wyobrażonego dialogu. Mama była przytomna, a to jedno słowo powiedziała mocnym, donośnym głosem.

Ty?

Kara nie miała pojęcia, czego dotyczyło to pytanie. Mogło znaczyć: „O czym ty przed chwilą mówiłaś?”. Albo: „Kim ty jesteś, że wchodzisz do mojego pokoju i wygodnie rozpiersz się w krześle, jakbyśmy się znały?”. Albo: „Słyszałam kiedyś słowo «ty», ale nie wiem, co znaczy, a za bardzo się wstydzę, żeby zapytać. To ważne, wiem, ale nie pamiętam. Ty, ty, ty”.

Nagle matka spojrzała przez okno, na wijący się wokół niego powój i powiedziała:

-

Wszystko dobrze się skończyło. Jakoś przez to przebrnęli

śmy.

Kara wiedziała, że kontynuowanie rozmowy z będącą w takim stanie matką może tylko doprowadzić do rozpacz. Wypowiadane przez nią zdania w ten sposób nie będą wiązały się ze sobą. Czasami mama gubiła nawet tok myśli, mówiła jedno zdanie, nie kończyła go i wówczas zapadała pełna zafascynowania cisza.

324

Dlatego dziewczyna po prostu dalej opowiadała o swym występie i metamorfozach, których dokonała. A potem, z jeszcze większym zapałem, opowiedziała matce o tym, jak pomagała policji złapać mordercę.

Mama uniosła brwi, jakby rozpoznała córkę, a może zrozumiała jej słowa i serce Kary zabiło z nadzieją. Pochyliła się w stronę łóżka.

-

Znalazłam formę do ciasta. Nie przypuszczałam, że kiedyś jeszcze ją zobaczę.

Głowa starszej pani opadła na poduszkę. Kara mocno zacisnęła dłonie w pięści. Oddychała szybko.

-

To ja, mamó. Ja! Królewskie Dziecko! Przecież mnie widzisz!

-Ty?

Niech to diabli RIGHT SQUARE BRACKET Kara w milczeniu wściekała się na demona, który opanował ciało jej biednej matki, przygasił jej ducha. Zostaw ją w spokoju! Zwróć mi ją!

Cześć - powiedział od drzwi kobiecy głos, zaskakując dziewczynę. Przetarła łzy z policzków gestem tak zręcznym jak przy francuskiej sztuczce z monetami i dopiero potem się odwróciła.

Cześć - powiedziała do Amelii Sachs. - Udało ci się mnie wytropić.

-

Jestem policjantką. To mój zawód. - Amelia weszła do pokoju. Niosła dwa kubki kawy ze Starbucks. Zerknęła na identyczny w dłoni Kary. - Przepraszam - powiedziała. - Zdaje się, że przywiozłam piasek na Saharę.

Kara zgmiotła pusty kubek. Wrzuciła go do kosza, przyjęła prezent Amelii.

-

Przy mnie kofeina nigdy się nie zmarnuje - powiedziała i wypła łyk kawy. - Dzięki. Jak tam brunch?

-

Fantastyczny. Jaynene jest po prostu niesamowita. Thom za
kochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Wyobraź sobie, że roz
śmieszyła Lincolna!

-

Rzeczywiście, ona tak właśnie działa na ludzi. Jest dobrą
kobietą.

-

Zaraz po przedstawieniu Balzac zgarnął cię tak szybko, że
nie zdążyliśmy ci odpowiednio podziękować. Przyszłam nadrobić
to zaniechanie. No i zaproponować, żebyś przysłała nam rachun
ek za swe usługi.

-

Do głowy by mi to nie przyszło. Od ciebie dowiedziałam się,

co to kubańska kawa i to mi wystarczy za wynagrodzenie.

-

Nie. Powinniśmy ci zapłacić. Wystaw fakturę, wyślij do
e, a ja już dopilnuję, żeby dotarła do władz miasta.

325

-

Byłam asem policji! - Kara roześmiała się. - No, to będzie

0

czym opowiadać wnukom. Hej, słuchaj, cały wieczór mam wolny. Pan Balzac poszedł gdzieś z
przyjacielem. Umówiłam się z kilkoma przyjaciółmi z SoHo. Zapraszam. Skorzystasz?

-

Chętnie. Mogłybyśmy - Sachs spojrzała ponad ramieniem

Kary. - Dzień dobry.

Kara obejrzała się przez ramię. Matka przyglądała się policjantce. Pochwyciła jej spojrzenie.

-

W tej chwili ona nie rozumie, co się wokół niej dzieje próbowała tłumaczyć.

To było latem - odezwała się staruszka. - W czerwcu. Jestem tego prawie pewna. - Zamknęła oczy i opadła na poduszkę.

Chyba nie czuje się najlepiej?

To chwilowe. Z pewnością wkrótce się jej poprawi. Tylko czasami tak dziwnie się zachowuje. - Kara pogłaskała matkę po ramieniu. - A twoi rodzice? - spytała Amelię.

Przypuszczam, że ta historia wyda ci się znajoma. Ojciec nie żyje. Mama mieszka niedaleko, w Brooklynie. Trochę za blisko, żeby czuć się z tym dobrze. Ale udało się nam... porozumieć.

Kara doskonale wiedziała, że „porozumienie” między matką

1

córką bywa na ogół bardziej skomplikowane niż najbardziej skomplikowany traktat międzynarodowy. Nie prosiła Amelii o wyjaśnienia. Nie dziś. Ta sprawa może poczekać.

Nagle rozległ się przenikliwy dźwięk. Obie kobiety jednocześnie sięgnęły po pagery. Wygrała Sachs.

Wyłączyłam telefon komórkowy - wyjaśniła. - Przy wejściu jest znak zakazujący używania komórek. Mogę? - Wskazała telefon na stoliku.

Oczywiście, proszę.

Amelia podniosła słuchawkę. Wybrała numer. Kara wstała, poprawiła pościel na łóżku matki.

-

Pamiętasz ten pensjonat, w którym zatrzymaliśmy się na noc? W Warwick? Blisko zamku? - spytała.

Pamiętasz? Powiedz mi, że pamiętasz!

-

Rhyme? To ja - usłyszała głos Amelii.

Jednostronna rozmowa Kary z matką skończyła się kilka sekund później, gdy dziewczyna usłyszała wypowiedziane ostrym tonem słowa: „Co? Kiedy?”.

Dziewczyna spojrzała na policjantkę, marszcząc brwi. Amelia potrząsnęła głową.

-

Będę za chwilę. Tak, jest ze mną. Powiem jej. - Odłożyła słuchawkę.

O co chodzi? - spytała Kara.

Wygląda na to, że dziś nie dam rady bawić się razem z wami, dziewczynami. Przegapiliśmy klucz albo wytrych. Jakimś cudem

w areszcie męskim Weir otworzył kajdanki i próbował odebrać

broń któremuś ze strażników. Zginął.

-

O mój Boże! - szepnęła zaskoczona dziewczyna.

Amelia podeszła do drzwi.

-

Muszę zbadać miejsce przestępstwa. - Zatrzymała się, spoj
rzała na Karę. -Wiesz, od początku obawiałam się, że pozostawie
nie go pod strażą aś do procesu spowoduje więcej problemów, niż
rozwiąże. Okazał się za sprytny. Istnieje jednak jakaś sprawiedli
wość. Aha! Jakakolwiek sumę miałas zamiar wypisać na rachun
ku, możesz ją spokojnie podwoić.

-

Constable ma dla was pewne informacje - powiedział suchy

głos w słuchawce.

-

Bawił się w detektywa, co? - spytał kpiąco Charles Grady.

Kpiąco, lecz nie sarkastycznie. Prokurator nie miał nic przeciwko Josephowi Rothowi, obrońcy, który mimo że reprezentował szumowiny, nigdy nie uświnił się w bagnie, naturalnym środowisku jego klientów, a do policjantów i prokuratorów odnosił się z naleśnym szacunkiem. Grady traktował go tak, jak sam był traktowany.

-1 owszem. Zadzwoił pod kilka numerów w Canton Falls, ostro postraszył paru członków Stowarzyszenia Patriotycznego, więc to i owo sprawdzili dla niego bardzo szybko. Wygląda na to, że niektórzy byli działacze organizacji zesłi na psy.

Jacy? Barnes? Stemple?

A tego to mi już nie powiedział. Wiem tylko, że cholernie się wkurzył. W kółko powtarzał „Judas, Judasz, Judasz”.

Grady nie potrafił wzbudzić w sobie sympatii dla Constable'a. Wszedł między wrony, niechaj kracze jak i one.

-

Chyba nie marzy, że wypuszczę go czyściutkiego i świeżutkiego jak niemowlę.

Z całą pewnością nie, Charles.

Wiesz o śmierci Weira?

Owszem. I wiesz, Andy ucieszył się, kiedy mu o tym powie
działem. Jestem całkiem pewien, że nie miał nic wspólnego z ata
kami na ciebie i twoją rodzinę.

327

Grady nie przejmował się opiniami obrońców, nawet tak uczciwych i szczerych jak Roth.

Więc ma przyzwoite, solidne informacje? - spytał.

Tak, ma.

Prokurator uwierzył Rothowi. Adwokat należał to tych ludzi których po prostu nie sposób
oszukać. Jeśli twierdził, że Constable jest gotów sprzedać swych ludzi, to był gotów sprzedać
swoich ludzi. Czy da się z tego zrobić sprawę, to oczywiście zupełnie inna rzecz. Ale... jeśli
Constable zna fakty, jeśli miejscowi gliniarze nie spaprzą dochodzenia i aresztowania, to zapewne
uda mu się wsadzić winnego za kratki. Grady miał ten zamiar dopilnować, by

badaniem dowodów zajął się Lincoln Rhyme.

Sam prokurator przyjął wiadomość o śmierci Weira z mieszanymi uczuciami. Publicznie
wyraził niepokój i obiecał oficjalne śledztwo w sprawie strzelaniny w areszcie, prywatnie był
zachwycony tym, że ten człowiek wreszcie zniknął z tego świata. Nadal odczuwał skutki
wstrząsu i niepohamowany gniew wywołany faktem, że Weir potrafił tak po prostu wejść do
jego mieszkania, że zagroził nie tylko jemu, lecz także jego żonie i córce. Z nią spojrzał na
kieliszek wina. Bardzo pragnął je wypić, ale wiedział, że przeprowadzona przed chwilą rozmowa
telefoniczna wyklucza picie alkoholu, przynajmniej przez jakiś czas. Sprawa

Constable^ była tak ważna, że musiał nad nią pracować, będąc w pełni swych intelektualnych
możliwości.

-

Chce porozmawiać z tobą w cztery oczy - powiedział Roth.

To wino... Grgich Hills Cabernet Samdgnon. Roczniak 1997.

Wspaniała winnica, wspaniały rocznik.

-

Kiedy najwcześniej możesz być w areszcie? - spytał ad

wokat.

-

Za pół godziny. Już wyjeżdżam.

Grady odłożył słuchawkę.

-

Mam dobrą wiadomość. Nie będzie procesu! - zawołał do

Sony.

Luis, policjant o stalowych oczach, jedyny, który mu pozostał - po śmierci Weira Lon Sellitto zredukował obstawę prokuratora do jednej osoby - oznajmił: Jadę z tobą.

Nie. Zostań tu, bardzo cię proszę. Pilnuj Sony i córki.

Jeśli to jest dobra nowina, to jaka jest zła, kochanie? - spytał

tała Sona Grady'ego, wchodząc do pokoju.

Nie będzie mnie na kolacji. - Prokurator zjadł kilka krakersów Goldfish. Popił je wielkim łykiem doskonałego wina. Niech to diabli, pomyślał. W końcu mamy powód do świętowania.

Mocno poturbowany Sólty camaro SS Amelii przystanął naprzeciw Centre Street 100. Amelia położyła na desce rozdzielczej przepustkę nowojorskiej policji i wysiadła. Skinęła głową technikom badania miejsca przestępstwa, stojącym przy ruchomym laboratorium.

Gdzie to się stało? - spytała.

Na parterze z tyłu. W korytarzu do sali zatrzymań.

Miejsce zamknięte?

-Tak.

-

Z czyjej broni strzelano?

-

Lindy Welles. Strażniczki. Mocno to nią wstrząsnęło. Sukin syn złamał jej nos.

Sachs wyjęła jedną z walizek, przywiązała ją do wózka na kółkach i poszła w stronę frontowego wejścia do budynku sądów kryminalnych. Za nią ruszyli technicy.

Nie powinno być problemów, pomyślała policjantka. Przypadkowa strzelanina pomiędzy

funkcjonariuszem na służbie i próbującym uciec aresztowanym przestępcą. Rutynowe badanie. Niemniej doszło do zabójstwa, a to wymagało pełnego raportu z miejsca przestępstwa dla powołanej przez policję komisji do badania wypadków z użyciem broni, śledztwa oraz ewentualnych spraw sądowych. Sachs miała zamiar wykonać swą pracę tak starannie jak zawsze.

Strażnik sprawdził jej identyfikator i poprowadził zespół labiryntem korytarzy do piwnicy gmachu sądów. Podeszli wreszcie do zamkniętych drzwi, na które naklejona była policyjna taśma. Obok stał detektyw policji rozmawiający z umundurowaną strażniczką z nosem wypchanym serwetkami i zabandażowanym.

Amelia przedstawiła się i wyjaśniła, że ma przeprowadzić badanie miejsca przestępstwa. Policjant skinął głową i odsunął się, dając jej okazję do rozmowy z funkcjonariuszką Welles. Stłumionym, nosowym głosem strażniczka wyjaśniła, że podejrzanemu udało się jakimś cudem uwolnić z kajdanków.

- Zabrało mu to dwie, może trzy sekundy - mówiła. - Zdjął wszystkie. Otworzyły się tak, jakby w ogóle nie były zamknięte. Przecież nie zabrał mi kluczy. - Wskazała kieszeń na piersi mundurowej bluzy, w której je zapewne trzymała. - Klucz, wytrych czy coś takiego ukrył w nodze.

329

Jak to? - Amelia zmarszczyła brwi. Pamiętała, jak dokładnie przeszukali Weira.

No, w nodze. Sama zobaczysz. - Skinieniem głowy wskazała korytarz, na którym leżały zwłoki Weira. - W rozcięciu skóry, pod bandażem. Wszystko zdarzyło się tak szybko!

Zapewne sam rozciął skórę i pod nią schował narzędzia, pomyślała Sachs. Obrzydliwe.

-

Nagle złapał mój pistolet. Zaczęliśmy o niego walczyć, no i nagle wypalił. Nie zamierzałam strzelać. Naprawdę. Po prostu... po prostu chciałam zachować kontrolę nad bronią. Wypaliła... nagle.

Zachować kontrolę... nagle wypaliła... Tylko słowa, Sargon gliniarzy, zapewne budowała z nich mur, barierę przeciw poczuciu winy. Nie miało to nic wspólnego ze śmiercią aresztanta, z tym, że jej życie było zagrożone, że Weirowi udało się zmylić kilkunastu funkcjonariuszy, nie. Chodziło tylko o to, że wypadek przydarzył się jej! Pracujące w nowojorskiej policji kobiety wysoko ustawiały sobie poprzeczkę i jeśli spadały, ich upadek był znacznie groźniejszy niż mężczyźni.

Ujęliśmy go i natychmiast przeszukaliśmy - powiedziała ła godnie Amelia. -1 niczego nie zauważyliśmy.

Pewnie - powiedziała cicho strażniczka. - Ale to i tak musi wyjść.

Chodziło jej o przesłuchanie przed komisją. Miała rację. Musiało wyjść.

No cóż, postanowiła Sachs. Zrobię, co w mojej mocy, zbadam miejsce przestępstwa jak najlepiej umiem i napiszę raport tak, by pomóc jej w miarę możliwości.

Welles delikatnie dotknęła złamanego nosa.

-

O cholera, jak boli! - Po policzkach pociekły jej łzy. - Co na to powiedzą moje dzieciaki? Ile razy pytały mnie, czy mam nie bezpieczną pracę. Odpowiadałam, że nie. A teraz...

Sachs włożyła gumowe rękawiczki i poprosiła Linde o oddanie broni. Wzięła Glocka, wysunęła magazynek i wyrzuciła nabój z komory. Wszystko razem umieściła w plastikowej torbie. Po czym, przypominając sobie, że już prawie jest sierżantem, powiedziała:

-

Możesz wziąć wolne, wiesz?

Welles nie zwracała na nią uwagi.

-

Po prostu wypalił - powtórzyła zduszonym głosem. - Ja tego nie chciałam. - Nie chciałam nikogo zabić.

Linda? MoŜesz wziąć wolne. Tydzień, dziesięć dni.

Naprawdę?

Porozmawiaj ze swoim komendantem.

Jasne. Oczywiście. To świetnie. - Linda Welles podeszła do sanitariusza, rozmawiającego z jej partnerem, który oprócz wielkiego siniaka na szyi wydawał się nietknięty.

Technicy do badania miejsca przestępstwa rozstawili sprzęt pod zamkniętymi drzwiami, prowadzącymi na korytarz, w którym doszło do strzelaniny. Amelia otworzyła walizkę, wyjęła środki do badania miejsca przestępstwa, ułożyła je porządnie, ustawiła kamerę wideo i aparaty fotograficzne. Przebrała się w biały kombinezon, założyła gumowe opaski na stopy.

Doczepiła mikrofon, poprosiła o radiowe połączenie z telefonem Rhyme'a. Następnie zerwała policyjną taśmę, otworzyła drzwi. Myślała przy tym: rozciął skórę, by schować wytrychy i klucze do kajdanek? Ze wszystkich przestępców, których udało się wytropić jej i Rhy-me'owi, Mag był z pewnością...

O, cholera! - powiedziała głośno.

I ja witam cię z prawdziwą przyjemnością, Sachs - rozległ się w słuchawkach zgryźliwy głos kryminalistyka. - No, przynajmniej mam nadzieję, Ŝe to ty. Ledwie cię słyszę przez te szумы.

Nie wierzę własnym oczom, Rhyme. Patolog zabrał ciało, nim zdąŜyłam je zbadać! -Amelia ze zdumieniem wpatrywała się w korytarz pokryty plamami krwi... lecz pusty.

-

Co? - warknął Rhyme. - Kto do tego dopuścił?!

Na miejsce przestępstwa personel medyczny dopuszczano pierwszy tylko wówczas, gdy ktoś został ranny. Jednak w razie zabójstwa ciała nie wolno było poruszyć nikomu, łącznie z dyżurnym lekarzem patologiem, przed zbadaniem go przez ekipę kryminalistyczną.

Traktowano to jako oczywistość; kariera tego, kto pozwolił zabrać ciało Maga, wisiała w tej chwili na włosku.

Masz problem, Amelio? - zawołał od drzwi jeden z techników.

Tylko popatrz - odparła gniewnie, wskazując korytarz. - Pałodzi zabrali ciało, nim zdążyliśmy je zbadać!

Ostrzyżony na jeża technik zmarszczył brwi. Spojrzał na kolegę i powiedział:

-

No... bo... dyżurny lekarz czeka na zewnątrz. Rozmawialiśmy z nim, kiedy przyjechałaś. Może pamiętasz, karmił gołębice. Czekał, aż skończymy, żeby zabrać ciało.

-

Co się dzieje? - warknął Rhyme. - Słyszę jakieś głosy.

331

Ekipa patologa czeka na ulicy, Rhyme - powiedziała cicho

Amelia Sachs. - Wygląda na to, że to nie oni zabrali ciało. Co...?

O Jezu Chryste, nie!

Sachs zadrżała, niczym na mrozie.

Rhyme, nie sądzisz chyba...

Co widzisz? Jak wyglądają plamy krwi?

Natychmiast podbiegła na miejsce, dokładnie obejrzała plamy krwi.

O, nie! Nie wygląda to wcale na ślady po ranie z broni palnej!

Tkanka mózgowa, kości?

Szara tkanka, owszem. Ale ona też wygląda nie tak. Widzę

kawałki kości.

-

Zrób wstępny test krwi. Będziemy mieli jakąś wskazówkę.

Amelia wróciła pod drzwi.

-

Co jest? - próbował dowiedzieć się jeden z techników,

umilkł jednak, widząc, jak Amelia gorączkowo grzebie w jednej

z walizek.

Znalazła zestaw do katalitycznego testu krwi Kastle-Meyera, wróciła na miejsce

przestępstwa, zebrała próbkę ze ściany korytarza. Dodała do niej fenoloftaleiny; odpowiedź otrzymała po kilku sekundach.

Nie wiem, co to jest - powiedziała do mikrofonu - ale z pewnością nie krew. - Spojrzała na rdzawoczerwone plamy na podłodze. One przynajmniej wyglądały na prawdziwe. Sprawdziła próbkę ze skutkiem pozytywnym. Dopiero teraz zauważyła leżącą w kącie brzytwę.

Chryste, Rhyme, wszystko tu jest lewe! Weir pociął się gdzieś, upuścił sobie trochę prawdziwej krwi, oszukał strażników.

-Aż zadrżała, wyobrażając sobie, co rzeczywiście zrobił Weir.

Wezwij ochronę. Niech zamkną wszystkie wyjścia.

Mamy ucieczkę! Zablokować wyjścia! - krzyknęła Sachs.

Detektyw wybiegł na korytarz... i zamarł, gapiąc się na podłogę. Linda Welles deptała mu po piętach, równie zdumiona. Chwila ulgi spowodowana świadomością, że nie zabiła człowieka, niemal natychmiast ustąpiła grozie wywołanej świadomością tego, co się naprawdę stało.

-

Nie! Przecież on tu leżał. Z otwartymi oczami. Wyglądał jak martwy! - krzyknęła piskliwym, zrozpaczonym głosem. - To znaczy, miał głowę... całą we krwi! Przecież widziałam... widziałam ranę!

Widziałaś iluzję rany, pomyślała z goryczą Sachs.

Zawiadomili strażników przy wszystkich wyjściach! - krzyknął detektyw. Tylko że, Chryste, ten korytarz nie jest zamknięty! Gdy tylko zamknęliśmy drzwi wejściowe, mógł pójść, gdzie mu się podoba! Pewnie właśnie kradnie samochód albo jedzie metrem do Queens!

Amelia Sachs zaczęła wydawać rozkazy. Być może ten detektyw przewyższał ją stopniem, ale ucieczka tak nim wstrząsnęła, że do głowy mu nie przyszło kwestionować jej polecenia. Wystawcie list gończy. Do wszystkich jednostek miejskich, federalnych i stanowych, także MTA. Imię i nazwisko: Erick Weir.

Biały. Lat - pięćdziesiąt kilka. Zdjęcie jest na formularzu zatrzymania.

Co miał na sobie? - spytał Linde Welles policjant. Po naradzie z partnerem zdobyli pewne szczegóły stroju.

Amelia Sachs uznała, że strój nie ma żadnego znaczenia. Mag z pewnością zdał się już przebrać i teraz wygląda zupełnie inaczej. Z miejsca, gdzie stała, rozchodziły się cztery mroczne korytarze. Na końcach tych korytarzy widziała spore grupy ludzi: strażników, dozorców, gliniarzy... Czy był wśród nich przebrany Erick Weir?

Na razie jednak zostawiła tę sprawę detektywowi. Miała mnóstwo do zrobienia. Zbadanie tego miejsca przestępstwa miało być zwykłą formalnością, a stało się teraz kwestią życia i śmierci.

Malerick ostroŚnie przemierzał piwnice aresztu męskiego. Przypominał sobie szczegóły ucieczki; w myśli zwrócił się do swej widowni.

Szacowni widzowie, pozwólcie, Őe zdradzę wam pewien trik związany z zawodem iluzjonisty.

By naprawdę oszukać widownię, nie wystarczy odwrócić jej uwagi na czas wykonywania sztuczki. A to dlatego, Őe umysł ludzki, gdy styka się ze zjawiskiem niedającym się logicznie wytłumaczyć, wraca do niego później i stara się zrozumieć, co się właściwie stało. My, iluzjonis'ci, nazywamy to „rekonstrukcją” i jeśli nie wykonamy sztuczki odpowiednio dobrze, inteligentny, podejrzliwy widz da się zmylić zaledwie na chwilę, ale po zakończeniu przedstawienia odkryje jednak naszą metodę.

Pytacie, szacowni widzowie, w jaki sposób oszukujemy tym razem widownię?

UŚywamy najmniej prawdopodobnej dostępnej nam metody: albo absurdalnie prostej, albo wręcz oszalamiająco skomplikowanej.

Pozwolę sobie podać przykład: wielki i słynny iluzjonista przesuwając pióro przez chusteczkę. Widzowie rzadko domyślają się, jak pióro przenika przez tkaninę. Nie widzą metody, a z pewnością chcieliby ją znać. Bo Őe przenika, nie ma Őadnych wątpliwości. Czy w chustce jest dziura? Niektórzy widzowie z pewnością się nad tym zastanawiają, ale szybko odrzucają ten pomysł. Uznają, Őe jest zbyt prosty dla takiego słynnego artysty. Wolą uznać, Őe osiąga efekt znacznie bardziej skomplikowaną metodą.

A oto inny przykład. Iluzjonista umówił się z przyjaciółmi na kolację w restauracji.

Poproszono go, by przedstawił kilka sztuczek—

334

początkowo protestował, ale w końcu się zgodził. Poprosił kelnera o zapasowy obrus, osłonił nim stół, przy którym siedziała zakochana para, a następnie zniknęła ona w niespełna sekundę.

Jego przyjaciele oczywiście są niesłychanie zdumieni. Jak to moŚliwe? Őadnemu z nich do

głowy nie przyjdzie, Œe iluzjonista spodziewał się zaproszenia do występu i wcześniej załatwił ustawienie w sąsiedztwie składanego stolika, a takŒe wynajął aktorów, grających zakochaną parę. Przygotowani do występu, znikli, gdy iluzjonista zasłonił ich stolik.

Rekonstruując występ z pamięci, widzowie odrzucili to wyjaśnienie jako zbyt skomplikowane na improwizowane przedstawienie.

A tak właśnie było przy tej sztuczce, której świadkami byliście przed chwilą, szacowni widzowie, a którą nazywam „Zastrzelonym więźniem”.

Rekonstrukcja. Wielu iluzjonistów zapomina o tym psychologicznym procesie. Ale Malerick nigdy o nim nie zapominał. I wziął go pod uwagę, planując ucieczkę z aresztu. StraŒnicy prowadzący go korytarzem do celu byli pewni, Œe widzieli, jak zatrzymany uwalnia się z kajdanek, chwyta broń i, postrzelony, umiera na podłodze pod ich nogami.

Byli przeraŒeni, skonsternowani, moŒna nawet powiedzieć, Œe doznali szoku. Lecz nawet w tak dramatycznych momentach ludzki umysł robi to, do czego został stworzony, i zanim jeszcze rozwiął się dym, Linda oraz jej partner juŒ analizowali to, co się stało, rozwaŒali moŒliwoŒci, podejmowali decyzje. Jak wszyscy widzowi, straŒnicy takŒe dokonali rekonstrukcji i wiedząc, Œe Erick Weir jest utalentowanym iluzjonistą, bez wątpienia zastanawiali się, czy sama strzelanina nie została przypadkiem sfingowana.

Ale słyszeli strzał z prawdziwej broni, a z jej lufy wyleciała prawdziwa kula. Na własne oczy widzieli, jak pęka czaszka Wei-ra, widzieli bezwładne ciało, wpatrzone w sufit martwym wzrokiem, leŒące na podłodze w kałuŒy krwi, tkanki mózgowej i odpryskach koŒci.

Rekonstrukcja doprowadziła do oczywistego wniosku: nieprawdopodobne, by ktoś posunął aŒ tak daleko tylko po to, by sfingować strzelaninę. Tak więc, pewni, Œe mają trupa, pozostawili go samego, nieskrępowanego, a sami poszli gdzieŒ rozmawiać Przez te swoje radionadajniki i telefony.

A moja metoda, szacowni widzowie?

Prowadzony przez policjantów Malerick już w korytarzu nałożył gumowe rękawiczki, które wyjął z kieszeni Lindy Welles. Następnie odkleił bandaż na udzie i z małego nacięcia na skórze wyjął uniwersalny klucz do kajdanek. Gdy tylko miał swobodę ruchów, strażniczkę uderzył w twarz, a jej partnera w gardło, po czym wyrwał Glocka z kabury. Musiał walczyć, lecz w końcu udało mu się skierować lufę... obok głowy. I dopiero wówczas pociągnął za spust. Jednocześnie odpalił zapalnik małej petardy, przyklejonej na głowie, do wygolonego miejsca pod włosami, wysadzając niewielki pęcherz wypełniony fałszywą krwią, kawałkami szarej gumy i odłamkami krowiej kości. Celem urealistycznienia obrazu ukrytą syfietką naciął skórę na głowie; nawet drobne rany głowy krwawią obficie bez dojmującego bólu.

Upadł na podłogę niczym bezwładna lalka. Oddychał płytko. Oczy miał otwarte dzięki kleistym kroplom, dzięki nim też wydawały się szklane, a poza tym pozwalały nie mrugać przez dłuższy czas.

O kurwa, patrzcie, co zrobiłam! O Se ty...! Niech mu ktoś pomoże!

Och, funkcjonariuszko Welles, było już o wiele za późno, żeby mi pomóc.

Byłem martwy jak jeleń uderzony przez cięsarówkę.

Erick Weir szedł teraz wijącymi się korytarzami w trzewiach gmachu sądu do znajdującego się w piwnicy schowka na środki czystości, gdzie już wcześniej ukrył konieczne do ucieczki przebranie. W małym pokoiku przebrał się, upchnął za wielkimi pudłami niepotrzebne już rekwizyty - pozostałości po „ranie”, ubranie. Przebranie się, nałożenie odpowiedniego makijażu i wejście w nową rolę zajęło mu niespełna dziesięć sekund.

Ostrożnie wyjrzał na korytarz - pusto. Szybko poszedł w stronę schodów. Zbliżał się czas finału.

-

To było wyjście - orzekła Kara.

Zaledwie kilka chwil temu dziewczynę przywieziono do domu Rhyme'a wprost z Stuyvesant Manor.

Wyjście? - zdziwił się kryminalistyk. - Co to takiego?

Plan alternatywny. Wszyscy dobrzy iluzjoniści mają jeden lub dwa na każdą sztuczkę. Jeśli zdarzy ci się coś spaprać i widzowie się zorientują, masz jeszcze sposób, żeby jakoś się uratować. Domyślił się jakoś, że może być złapany, więc zabezpieczył sobie drogę ucieczki.

336

Tylko jak?

Petarda i pęcherz wypełniony krwią, ukryty we włosach.

Strzał? Może był to lewy pistolet? Większość sztuczek typu łapania kuli opiera się na fałszywkach, lewej broni. Druga lufa na przykład. Albo ładowanie ślepych pocisków. Mógł nawet podmienić pistolet tej biednej strażniczce, która prowadziła go do

celi.

-

Bardzo w to wątpię. - Rhyme spojrział na Łona Sellitta. Tęgi detektyw, jak zwykle w pogniecionym garniturze, chętnie się z nim zgodził.

Jasne. Nie widzę, jakim cudem mógłby zamienić słuŝbową broń Welles albo wymienić ostre naboje na ślepaki.

Ale mógł udać, Ŝe się postrzelił - powiedziała spokojnie Kara. - Zagrać jednym strzałem.

Co z oczami? - spytał Rhyme. - Ŝwiadkowie twierdzą, Ŝe były otwarte. Nawet nie mrugnął. I były zamglone.

Mamy dziesiątki fałszywek pozwalających nam udawać trupy. Mógł na przykład uŝyć kropli do oczu nawilŝających gałkę

oczną. Dzięki niej można nie mrugać nawet przez dziesięć, piętnaście minut. Istnieją takŝe samonawilŝające się soczewki kontaktowe. Powodują, Ŝe oczy wydają się zamglone, jak u Ŝywych trupów.

Zombi i fałszywa krew... Chryste, co za bajzel!

Jak przeszedł przez tę cholerną bramkę do wykrywania metalu?

W korytarzu prowadzącym do cel jeszcze ich nie ma - wyjaśnił

Sellitto. - A oni szli właśnie do cel.

Rhyme westchnął. Bardzo szybko zaczynało mu brakować cierpliwości.

-
Gdzie mamy dowody, do cholery? - warknął. Spojrzał nieprzyjaźnie na Mela Coopera, jak gdyby niepozorny, szczupły

technik mógł zmaterializować gońca z aresztu. Okazało się, że mają tam do przebadania dwa miejsca: korytarz, w którym do szło do strzelaniny, i piwnicę, schowek na środki czystości. Jedna z ekip przeszukujących areszt znalazła elementy fałszywej rany, ubrania i jeszcze kilka interesujących rekwizytów.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Thom poszedł wpuścić gościa i chwilę później w laboratorium pojawił się Roland Bell.

- Nie wierzę - wydyszał. Pocił się, włosy miał zmierzwione. ~ Czy to sprawdzona wiadomość? Czy naprawdę udało mu się zwiać?

337

Tak - burknął wściekły Rhyme. - Technicy przeczesują energię, na miejscu jest także Amelia. Ale nie znaleźli śladnych tropów.

Być może wieje gdzie pieprz rośnie - powiedział powoli Bell— jego południowy akcent stał się nagle bardzo wyraźny - ale moim zdaniem trzeba przenieść rodzinę Gradych do bezpiecznego domu. Niech tam siedzą, póki nie zorientujemy się co i jak.

-

Oczywiście - Sellitto zgodził się z nim natychmiast.

Bell wyciągnął telefon komórkowy.

-

Luis? Tu Roland. Słuchaj mnie uważnie. Weir uciekł... nie, nie, wcale nie zginął, tylko udawał. Chcę, żeby Grady z rodziną natychmiast przeniósł się do bezpiecznego domu. Ma tam się dzieć, póki nie dorwiemy faceta. Wysyłam... co?!

To jedno zdumione pytanie, wypowiedziane podniesionym głosem, spowodowało, że wszyscy zgromadzeni w laboratorium nagle zamarli i wpatrzyli się w detektywa.

-

Kto jest z nim?... Sam?! Co ty mi tu opowiadasz?

Rhyme z napięciem przyglądał się Bellowi, na jego tak zazwyczaj pogodnej, spokojnej twarzy pojawił dziwny wyraz strachu. Jeszcze raz, nie pierwszy, Rhyme miał dziwne wrażenie, że choć dziejących się wydarzeń pozornie nie sposób było przewidzieć, to rozwijają się w logiczny, spójny ciąg, jakby ktoś już dawno je zaplanował.

Roland Bell zwrócił się do Sellitta.

Luis twierdzi, że dzwoniłeś i zwolniłeś ochronę.

Do kogo dzwoniłem?

Do domu Grady'ego. Miałeś powiedzieć Luisowi, że zwal-
niasz wszystkich naszych ludzi oprócz niego.

A niby czemu miałbym to zrobić? - zdumiał się tęgi detek-

tyw. - O kurwa, to znowu on! Odesłał do domu ochronę, zupełnie
jak tych gliniarzy pod cyrkiem!

Jest jeszcze gorzej - oznajmił wszystkim obecnym Bell.

- Grady pojechał do śródmieścia. Sam. Ma spotkać się z Constable'em, który chce zawrzeć układ:
zwolnienie od oskarżenia w za-

mian za informacje. - Luis, trzymaj się jak najbliżej rodziny—

I dzwoń do wszystkich członków zespołu. Mają wrócić natych-

miast. Nie wpuszczaj do mieszkania nikogo z wyjątkiem tych,

których znasz osobiście. Ja spróbuję znaleźć Chrlesa.

Przerwał rozmowę i natychmiast zadzwonił pod inny numer.

-

Nie odpowiada - powiedział głośno i nagrał się na pocztę

głosową: „Charles, tu Roland. Weir uciekł, nie mamy pojęcia gdzie jest i co zamierza. Gdy

tylko odbierzesz moją wiadomość, zjap najbliższego znanego ci osobiście uzbrojonego

funkcjonariusza, zostań przy nim i zadzwoń do mnie".

Podał numer, a następnie ponownie zadzwonił, tym razem do go Haumanna, szefa służb

ratowniczych, z informacją, że Grady jedzie do aresztu sam, bez ochrony. Wreszcie schował

telefon.

Trafiliśmy Panu Bogu w okno - powiedział Sellitto, potrząsając głową. - No dobra, powiedzcie mi teraz, co robi nasz chłopek.

Jedno wiem z całą pewnością - odparł Rhyme. - Nie wyjdzie z miasta. Za dobrze się bawi.

Przez całe życie tylko jedna rzecz miała dla mnie jakieś znaczenie: występy na scenie. Euzja... magia...

- Dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

Strażnika wyraźnie zaskoczyły wyjątkowo uprzejme słowa Andrew Constable'a, którego wprowadzał do sali przesłuchań Grobowców na dolnym Manhattanie.

Więzień uśmiechał się niczym kaznodzieja, dziękujący parafianom za datki. Strażnik zdjął kajdanki, skuwające mu ręce za plecami, i natychmiast założył je ponownie z przodu.

Czy pan Roth już jest?

Siadaj i zamknij się.

Oczywiście. - Constable usiadł posłusznie.

Zamknij się!

Znowu okazał się posłuszny.

Strażnik wyszedł. Andrew Constable, pozostawiony sam sobie, wyrzwał przez brudne okno, za którym widać było miasto. W głębi duszy był prowincjuszem, ale umiał polubić i docenić Nowy Jork. Jedenastego września zdziwił się jak wszyscy, ale jednocześnie był naprawdę wściekły. Gdyby Ameryka przyjęła sposób myślenia Stowarzyszenia Patriotycznego, nigdy by do tego nie doszło, a ludzie nienawidzący amerykańskiego stylu życia, żyjący jego ojczyźnie zagłady, nie chodziliby spokojnie po ulicach.

Trudne pytania...

Chwilę później otworzyły się ciężkie metalowe drzwi. Strażnik

Wpuścił do sali Josepha Rotha.

Cześć, Joe. Grady zgodził się negocjować?

Tak. Powinien przyjechać za jakieś dziesięć minut. Ale bę

dziesz musiał dać mu coś konkretnego, Andrew.

339

Dam, oczywiście. - Więzień westchnął ciężko. - Po naszej

ostatniej rozmowie dowiedziałem się jeszcze kilku ciekawych

rzeczy. Wiesz, Joseph, serce boli mnie na myśl o tym, co dzieje się

w Canton Falls. A zaczęło się pod moim nosem, może z rok temu.

Ta historia, której czepiał się Grady, z zabijaniem policjantów...

myślałem, że to kompletny nonsens, ale nie. Niektórzy rzeczywi

ście planowali tę bzdurę.

Masz nazwiska? - zainteresował się natychmiast Roth.

Pewnie, że mam. Nazwiska przyjaciół. Dobrych przyjaciół.

Przynajmniej kiedyś. A jeśli chodzi o lunch w Riverside Inn, to

kilku ludzi ze stowarzyszenia rzeczywiście wynajęło tego Weira

do zabicia Grady'ego. Mam nazwiska, daty, miejsca, numery tele

fonów. I będę miał więcej. Większość patriotów będzie ze mną

współpracować aż do końca. Są lojalni. Nie martw się.

Doskonale. - Widać było, że Rothowi spadł kamień z serca. -

Jestem pewien, że Grady będzie się ostro stawiał, przynajmniej

na początku. Ale na pewno wszystko się jakoś ułoży.

Dziękuję, Joe. - Constable spojrział w oczy swojego obrońcy.

- Cieszę się, że to właśnie ciebie zatrudniłem.

Muszę powiedzieć, Andrew, że cholernie mnie zaskoczyłeś.

Śebyś ty wziął sobie na adwokata śyda? No wiesz, mówiło się o tobie sporo różnych rzeczy.

Ale potem lepiej mnie poznałeś?

Tak. Potem lepiej cię poznałem.

O czymś mi przypomniałeś, Joe. Kiedy jest pascha?

-Co?

No, to wasze święto. Kiedy je obchodzicie?

Obchodziliśmy ją przed tygodniem. Wtedy, kiedy wysze
dłem wcześniej. Pamiętasz?

Tak, pamiętam. A co wówczas świętujecie?

Ocalenie śydów, kiedy zginęli wszyscy pierworodni Egipcja
nie. Bóg uchronił swych synów.

Aha. Bo ja myślałem, że przekroczenie egipskiej granicy, no,

coś takiego jak przejście przez Morze Czerwone.

Nie. Ale to teŜ dobra okazja, Ŝeby świętować.

W kaŜdym razie przykro mi, Ŝe nie złoŜyłem ci odpowiednich Ŝyczeń.

Doceniam to, Andrew. - Adwokat spojrział swemu klientowi wprost w oczy. - Jeśli wszystko pójdzie jak powinno, moŜe przyśzedłbyś z Ŝoną do nas, na seder. To uroczysta kolacja. Zawsze gościmy jakieś piętnaście osób, nie tylko śydów. Dobrze się bawimy—

340

Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie. - MęŜczyźni wymienili uścisk dłoni.

No, to mamy kolejny powód, Ŝeby mnie stąd wyciągnąć. Zaberajmy się do roboty. Przypomnij mi wszystkie oskarŜenia i powiedz, jak twoim zdaniem moŜemy skłonić Grady'ego do współpracy. - Constable przeciągnął się. Dobrze jest mieć ręce przed sobą i wolne nogi. Tak dobrze, Ŝe tylko go rozbawiła odczytywana przez adwokata długa lista powodów, dla których prawomyślni obywatele stanu Nowy Jork uznali za konieczne go izolować.

Nudny monolog przerwał chwilę później strażnik. Wywołał prawnika na korytarz na krótką rozmowę. Kiedy Roth wrócił, był wy-

rażnie zaniepokojony.

Mamy tu siedzieć i na razie nigdzie się nie ruszać. Weir uciekł. Jest gdzieś w budynku.

Tu? - zdziwił się Constable.

-Tak.

Czy Grady jest bezpieczny?

Nie wiem. Ale zakładam, że ma ochronę.

Więzień westchnął ciężko.

Wiesz, na kim się to wszystko skrupi? Na mnie, oczywiście.

Mam dość. Do szafu doprowadza mnie całe to gówno! Chce mi się rzygać! Sam się dowiem, gdzie jest Weir i co planuje.

Ty? Jak?

Zwrócę się do wszystkich w Canton Falls, którzy jeszcze mnie słuchają, i każę im tropić Barnes'a. Może uda im się go przekonać, żeby powiedział nam, gdzie jest ten Weir i co planuje.

I te słowa także zaniepokoiły prawnika.

Chwileczkę, Andrew. Chyba nie ma w tym nic nielegalnego?

Nie martw się. Dopilnuję tego osobiście.

Jestem pewny, że Grady to doceni.

-

Joe, powiem ci szczerze, że Grady gównu mnie obchodzi.

Zrobię to dla siebie. Dam im głowy Weira i Jeddy'ego na tacy...

Może wtedy ludzie uwierzą, że cały czas się staram. A teraz zała

twimy parę telefonów i spróbujemy jakoś posprzątać ten bajzel.

H

obbs Wentworth nieczęsto wyjeżdżał z Canton Falls. Przebrany za sprzątacza pchał wózek ze

szczotkami, mopami i wędką (tak nazywał swój samopowtarzalny karabin szturmowy colt

AR-15), rozglądał się po ulicy i coraz bardziej zdawał sobie sprawę z tego, że przez

dwadzieścia dwa lata, które minęły od jego ostatniej wizyty, miasto sporo się zmieniło.

Widział też, że to, co mówią o raku, toczącym powoli białą rasę, to całkowita, absolutna racja.

O Panie czuwający nad naszymi zielonymi pastwiskami, tylko spójrz na nas z wysokiego

nieba. Więcej tu Japończyków, Chińczyków czy jakichś innych niż w jakimś pieprzonym

Tokio! I Latynosi; w tej części Nowego Jorku byli po prostu wszędzie, roili się jak komary! I te palanty w szmatach na łbie; nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie wyłapano ich wszystkich i nie wystrzelano po jedenastym wrześniu. Przez ulicę przechodziła właśnie ich baba, zakutana po czubek nosa. Miał straszną ochotę kropnąć ją tylko dlatego, że mogła znać kogoś, kto znał kogoś, kto zaatakował jego ojczyznę.

A Hindusi i Pakistańcy? Ich wszystkich powinno się odesłać do domu, przecie nikt nie rozumiał tej ich gadaniny, a poza tym nie byli chrześcijanami.

Hobbs był wściekły na rząd, który otworzył granicę i pozwolił wjechać do kraju tym zwierzętom. Zabierali białym chrześcijanom Amerykę, pozostawiając im tylko małe bezpieczne wysepki, takie jak Canton Falls, a i one z dnia na dzień robiły się coraz mniejsze. Ale Bóg znalazł naprawdę twardego zawodnika, Hobbsa Wentwortha, i wyznaczył mu błogosławioną rolę bojownika o wolność.

342

Jeddy Barnes i jego przyjaciele wiedzieli, że oprócz talentu do uczenia dzieci w szkółce niedzielnej Hobbs ma jeszcze jeden: potrafił zabijać ludzi i robił to bardzo, ale to bardzo dobrze. Czasami jego „wędką” był nóż myśliwski, czasami garota, niekiedy ukochany colt lub łuk laminatowy. W ciągu ostatnich paru lat przeprowadził kilkanaście misji i wszystkie zakończyły się olśniewającym sukcesem. Latynos w Massachusetts, lewicowy polityk z Albany, czarnuch w Burlington, morderca dzieci - ginekolog z Pensylwanii... myślał o nich „oni”.

A teraz miał zamiar dodać do tej listy prokuratora. Pchał wózek przez niemal pusty o tej porze podziemny parking przy Centre Street. Zatrzymał się przy jednym z wyjść, oparł o drzwi, po chwili o wózek. Sprawiał wrażenie zmęczonego, zachowywał się tak, jakby pragnął odpocząć trochę przed powrotem do ciężkiej pracy. Minęło kilka minut, kiedy drzwi otworzyły się i z korytarza budynku wyszła przez nie kobieta w średnim wieku, ubrana w dżinsy i białą bluzkę.

W rękę trzymała teczkę. Skinął jej głową, kobieta uśmiechnęła się uprzejmie... ale zatrzasnęła za sobą drzwi. Usprawiedliwiła się nawet: „Pan rozumie, nie mogę pana wpuścić, obowiązują nas ścisłe przepisy dotyczące bezpieczeństwa”. Hobbs odpowiedział równie grzecznie, że oczywiście rozumie. On też się uśmiechał.

Zaledwie minutę później zdjął z jej szyi identyfikator na taśmie, a drgające jeszcze ciało wrzucił do wózka. Przeszedł przez drzwi bez problemu. Windą pojechał na drugie piętro. Pchając przed sobą wózek, z ciałem kobiety przykrytym

plastikowymi workami na śmieci, poszedł korytarzem i szybko znalazł biuro, które pan Weir

uznał za najlepiej słuŝące jego celom. Był z niego dobry widok na ulicę, a ponieważ naleŝało do Wydziału Statystyk Drogowych, moŝna było spokojnie załoŝyć, ŝe ŝadne nagłe wydarzenie nie ŝciągnie tu pracowników w sobotni wieczór. Drzwi były zamknięte, ale

Hobbs, któremu siły nie brakowało, po prostu je wykopał (pan Weir powiedział, ŝe nie ma czasu uczyć go sztuki posługiwania się wytrychami).

Wszedł do środka. Wyjął karabin z wózka, zamontował celownik optyczny, spojrzał przez niego na ulicę. Odległość i pozycja idealne. Musiał trafić.

Ale czuł się trochę niepewnie.

Nie, nie martwiło go zabójstwo Grady'ego, jego załatwi bez Problemu. Jedyne problem stanowiła metoda ucieczki. Lubił ŝycie w Canton Falls, opowiadanie dzieciom historii z Biblii, polowanie, łowienie ryb, rozmowy z kumplami, którzy wszyscy myśleli zdrowo, czyli tak samo jak on. Nawet Cindy była w porządku, przynajmniej od czasu do czasu, kiedy warunki były odpowiednie, a przedtem człowiek się napił.

Plan magika Weira uwzględniał jednak ucieczkę z pokoju. Gdy tylko Hobbs zobaczy

Grady'ego, ma wystrzelić pięciokrotnie, raz za razem, przez zamknięte okno. Pierwsza kula rozbije szybę i moŝe nie trafić, ale następne powinny osiągnąć celu. Potem, tłumaczył pan Weir, on, Hobbs, ma otworzyć wyjście awaryjne, ale nie wolno mu się przez nie wymknąć.

Ma tylko „zmylić” policję, skłonić ją, by tam go ŝciagała, sam zaś powinien wrócić na parking.

Wcześniej ustawił starego dodge'a na miejscu dla niepełnosprawnych; pozostawało mu tylko

ukryć się w bagażniku. Magik tłumaczył, ŝe moŝe jeszcze tej samej nocy, a najpóźniej

następnego dnia rano samochód zostanie odholowany na parking policyjny. Wynajmuje się

do tego prywatne firmy pomocy drogowej, tłumaczył; ich ludziom nie wolno otwierać

zamkniętych drzwi i bagażników skonfiskowanych samochodów. Dojadą na parking, nawet

jeśli na drodze będą blokady. Gdy uzna, ŝe niebezpieczeństwo minęło, Hobbs ma wydostać

się z bagażnika i wrócić do domu. W samochodzie miał wodę i jedzenie, a nawet butelkę, do

której mógł się w razie potrzeby wysiusiać. To był bardzo sprytny plan.

Hobbs, jako wybrany przez Boga naprawdę twardy zawodnik, miał zamiar zrobić wszystko, by zrealizować go od początku do końca.

Wymierzył w przypadkowego przechodnia; zaczynał wczuwać się w rolę myśliwego na polowaniu. Kiedyś pan Weir musiał być naprawdę świetnym magikiem, pomyślał. Ciekawe, czy kiedy to wszystko już się skończy, zgodzi się przyjechać do Canton Falls i dać przedstawienie dla dzieci ze szkoły niedzielnej. A nawet jeśli nie, pomyślał Hobbs, to przynajmniej opowiem im o Jezusie jako magiku, który używa sprytnych sztuczek przeciw Rzymianom i poganom.

Pociła się.

Pot ziębił jej ciało, ale nie tylko pot. Także strach.

Szukaj dobrze...

Skręciła w kolejny mroczny korytarz gmachu sądów kryminalnych. Dłoń trzymała na kolbie pistoletu.

344

...ale oglądaj się przez ramię.

Jasne, Rhyme, jasne. Ale kogo mam wypatrywać przez ramię? pięćdziesięcioletniego mężczyzny o pociągłej twarzy, może brodatego, a może gładko ogolonego? Starszej kobiety w fartuszkach bufetowej? Robotnika, strażnika aresztu, sprzątacza, gliniarza, sanitariusza, kucharza, strażaka, pielęgniarki? Z dziesiątków ludzi, którzy mieli święte prawo być tu w niedzielę o tej porze?

Kogo? Kogo? Kogo?

W jej radiu odezwał się głos Sellitta.

Jestem na drugim piętrze, Amelio. Nic.

Jestem w piwnicach. Widziałam dziesiątki ludzi. Identyfika

tory pasują, ale kto wie, czy nie planował tego od miesiący i czy

nie poukrywał tu fałszywych?

Przechodzę na trzecie.

Skończyli rozmowę i Sachs wróciła do poszukiwań. Marsz labiryntem korytarzy. Mnóstwo drzwi. Wszystkie zamknięte.

Ale oczywiście zamki tak proste jak te nie mogły powstrzymać Maga. Otwarcie

któregokolwiek zajęłoby mu sekundy. Mógł schronić się w dowolnej ciemnej szafce, w

kaśdym z wielu magazynków. Mógł dostać się do gabinetów sędziowskich i tam doczekać do

poniedziałku. Mógł wyjąć kratę i przez którąś z rur, jakiś przewód lub tunel, dostać się do połowy budynków w śródmieściu Manhattanu oraz do metra.

Skręciła za róg, gdzie czekał na nią kolejny korytarz. Sprawdziała klamki; jedne z drzwi nie były zamknięte na klucz.

Jeśli siedzi w szafce, z pewnością albo juŝ usłyszał jej kroki, albo usłyszy trzask zamka. Nie miała wyboru, musiała wejść szybko! Pchnąć drzwi, zaświecić latarką, musi być gotowa na skok w lewo, jeśli lufa broni zwróci się w jej stronę (praworęczni mają tendencję do

zwracania broni w lewo, gdy strzelają w panice; kula przechodzi wówczas po prawej stronie celu).

Przyjęła pozycję; lekko ugięte kolana, dotknięte artrety-zmem, zaprotestowały przenikliwym bólem. Ostre światło halogenowej latarki przeszło ciemność. Szafkę wypełniało kilka pudeł

oraz rząd szafek na akta. Poza nimi nic nie było. Juŝ miała wyjść, kiedy przypomniała sobie, Ŝe Mag potrafił ukryć się w mroku, uŝywając tylko kawałka czarnego materiału. Przeszukała pokoik dokładniej, świecąc latarką we wszystkie kąty. Nagle poczuła na karku bardzo

delikatne muśnięcie. Westchnęła głośno, odwróciła się, podnosząc broń... i wymierzyła ją w sam środek starej, grubo pokrytej kurzem pajęczyny.

Wróciła na korytarz.

Kolejne zamknięte drzwi. I znów nic.

Usłyszała zbliżające się kroki. Przeszedł obok niej łysy mężczyzna mniej więcej sześćdziesięcioletni, w mundurze strażnika, ze wszystkimi niezbędnymi identyfikatorami, pozdrawiając ją skinieniem głowy. Był wyższy od Weira, toteż przepuściła go bez obaw.

Dopiero po chwili w jej głowie zaświtała myśl, że ekspert od szybkiej zmiany zna zapewne jakieś sposoby na zmianę wzrostu.

Obróciła się błyskawicznie.

Strażnik znikł, przed oczami miała wyłącznie pusty korytarz. A może... a może tak się jej tylko wydawało? Przed Świetlaną Rasnikow ukrył się pod kawałkiem jedwabiu, przed Calvertem za lustrem. Oboje zginęli.

Czując ucisk w żołądku, wyciągnęła Glocka z kabury i powoli ruszyła ku miejscu, gdzie znikł strażnik, który wcale nie musiał być strażnikiem.

Gdzie? Gdzie jest Weir?

Roland Bell biegł truchcikiem wzdłuż Centre Street, rozglądając się czujnie dookoła.

Samochody, ciężarówki, buchające parą metalowe wózki z hot dogami, młodzi ludzie, ciężko pracujący w firmach prawniczych i bankach inwestycyjnych, młodzi ludzie zataczający się po paru piwach wypitych w South Street Seaport, starsze panie z pieskami na smyczy, mijające się przy wejściach do sklepów tłumy; setki mieszkańców Manhattanu, którzy wychodzą na ulicę w dni piękne lub deszczowe tylko dlatego, że rozpira ich właściwa wszystkim nowojorczykom energia.

Gdzie?

Bell wierzył głęboko, że życie jest jak wbijanie gwoździ... czyli, w dialekcie jego okolicznych stron, strzelanie do celu. Urodził się w Karolinie Północnej, w rejonie Albemarle Sound. Tam posiadanie

broni i umiejętnie obchodzenie się z nią były Syciową koniecznością, nie rozrywką mieszcuchów. Nauczono go szanować broń, a częścią tego szacunku była maksymalna koncentracja. Nawet proste strzały: do papierowych tarcz, grzechotników, mokasynów

miedziogłowców, jeleni, mogły przecieŝ chybić i przez to stać się niebezpieczne. Na celu trzeba koncentrować się cały czas.

Podobnie w Ŝyciu. Bell wiedział, Ŝe niezależnie od tego, co dzieje się w tej chwili w Grobowcach, musi bez reszty poświęcić się swojej robocie. Ochronie Charlesa Grady'ego.

346

Amelia Sachs połączyła się z nim i przekazała, Ŝe sprawdza wszystkich ludzi znajdujących się w tej chwili w gmachu sądów kryminalnych, niezależnie od wieku, rasy, płci i wysokości.

Właśnie wytropiła i wylegitymowała łysego jak księŜyc strażnika spo-o wyŝszego od Weira, i puściła go tylko dlatego, Ŝe znał jej ojca. Skończyła z jedną częścią piwnic i miała zamiar zabrać się do następnej.

Zespoły kierowane przez Sellitta i Bo Haumanna przeszukiwały wyŝsze skrzydła budynku.

Operacja uzyskała wsparcie ze strony zupełnie nieoczekiwanej. Andrew Constable we własnej osobie zbierał ślady na północy stanu Nowy Jork. Ale byłaby sensacja - pomyślał Bell, gdyby facet podejrzewany o usiłowanie zabicia prokuratora znalazł trop, który doprowadziłby do prawdziwego sprawcy.

Biegł, zaglądając do samochodów, do stojących na ulicy cięŜarówek, w ciemne alejki między domami. W kaŝdej chwili gotów był wyciągnąć broń, ale nie miał zamiaru jej wyciągać.

Uznał, Ŝe zabójca będzie się starał dopaść Grady'ego raczej na ulicy niŜ w budynku, gdzie miał on większe szansę ujść z Ŝyciem. Bardzo wątpił, czy ma do czynienia z fanatykami, profil psychologiczny wcale o tym nie świadczył. Grady zaparkuje samochód i wysiądzie, a następnie będzie musiał podejść do wielkich drzwi ponurego gmachu sądów, to da zabójcy duŝo czasu na oddanie celnego strzału. Bardzo łatwego strzału; nie było tu Ŝadnej ochrony.

Gdzie jest Weir?

I gdzie jest Grady?

Jego siostra poinformowała Bella, że prokurator pojechał do miasta prywatnym samochodem, nie służbowym. Detektyw natychmiast zarządził poszukiwania volva, ale na razie nikt go nie zauważył.

Bell obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, powoli, dostojnie, z uwagą lustrując okolicę.

Jego wzrok spoczął na budynku rządowym, stojącym po drugiej stronie ulicy; nowym, z dziesiątkami okien wychodzących na Centre Street. Detektyw brał udział w odbiciu zakładników, których przetrzymywano właśnie tam, i wiedział, że na weekendy budynek niemal całkowicie pustoszał. Doskonałe miejsce, by ukryć się i zapolować na Grady'ego.

Ale ulica też była niezła, zwłaszcza dla snajpera strzelającego do jadącego samochodu.

Gdzie? Gdzie?

Roland Bell przypomniał sobie, jak polował kiedyś z tatą na mokradłach Great Dismal w południowej Wirginii. Zaatakował ich dzik, a ojciec jedynie go zranił. Zwierzę uciekło w krzaki, ojciec tylko westchnął i powiedział:

Musimy go dostać. Nie zostawia się ранnego zwierzęcia.

Tato, ale przecież on nas zaatakował - zaprotestował chłopiec.

Zrozum, synku, to my wkroczyliśmy w jego świat, a nie on w nasz. Ale nie ma to przecież żadnego znaczenia. To kwestia czystej gry. Musimy go znaleźć, choćby to nam miało zająć cały dzień. Trzeba mu skrócić cierpienie, a poza tym jest teraz o wie

le groźniejszy dla kogoś, kto mógłby się tu pojawić.

Chłopiec rozejrzał się dookoła. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się nieprzebyta gęstwa krzaków, trzcin, rosnącej w kępach na bagnie trawy, a to wszystko poprzecinane kałużami stojącej wody.

-

Ale on przecież może być wszędzie, tato.

Ojciec roześmiał się, choć bez wesołości.

Och, o to możesz się nie martwić. Nie my go znajdziemy, ale on nas. Połóż kciuk na bezpieczniku, synu. Zapewne będziesz musiał szybko strzelać. Wszystko w porządku?

Oczywiście, tato.

Dorosły, doświadczony funkcjonariusz policji Roland Bell jeszcze raz uważnie rozejrzał się dookoła. Ciemne alejki, okoliczne budynki, domy po przeciwnej stronie ulicy... i nic.

Ani śladu Charlesa Grady'ego.

Ani śladu Ericka Weira, ani śladu jego współników.

Bell postukał palcami w rękojeść pistoletu.

Och, o to możesz się nie martwić. Nie my go znajdziemy, ale on nas...

Rhyme, chodzę od drzwi do drzwi. To już ostatnia część piwnicy. - Mogą się tym zająć służby ratownicze. - Kryminalistyk ze zdziwieniem zdał sobie sprawę z tego, że mówiąc do mikrofonu, kuli się i chowa głowę w ramiona.

-

Potrzebujemy wszystkich ludzi, których mamy do dyspozycji - szepnęła Sachs. Cholernie wielki budynek. Znalazła się już na terenie Grobowców. Kolejne mroczne korytarze. - I trochę tu strasznie. Jak w szkole muzycznej.

Coraz to bardziej i bardziej tajemnicze.

-

Pewnego dnia powinieneś dopisać do tej swojej książki rozdział o badaniu miejsca przestępstwa w nawiedzonych domach.

- Amelia próbowała uspokoić skołataną nerwy Sartinami. - Koniec rozmowy. Jeszcze się do was odezwę.

Rhyme i Cooper wrócili do analizy dowodów zebranych w miejscu przestępstwa. W korytarzu, gdzie strzelano, znaleźli ślady, próbki prawdziwej krwi, fragmenty wołowej kości oraz szarej gąbki udającej tkankę mózgową i fałszywą krew, czyli syrop cukrowy, zmieszany z barwnikiem do żywności. Nie znaleźli natomiast ani kluczyka do kajdanek, ani

wytrychów; Mag musiał je zabrać ze sobą. W sumie wszystko to na niewiele się im Przydało. W szafce na środki czystości było nieco więcej uŜytecznych śladów, a wśród nich papierowa torba, gdzie ukrył okrwawioną Petardę, pęcherz, gumowe rękawiczki i ubranie, w którym władał się do Grady'ego: obszerny garnitur i eleganckie półbuty Oxford. Cooper znalazł teŜ mnóstwo mikrośladów: lateksu, składaków substancji uŜywanych przy charakteryzacji, fragmenty lepkiej parafiny, plamy tuszu identyczne z tymi, które znaleźli

349

wcześniej, grube włókna nylonu i zaschnięte smugi fałszywej krwi.

Jak się okazało, włókna pochodziły z granatowoszarego dywanu. Fałszywa krew okazała się farbą. Bazy danych, do których mieli dostęp, nie dostarczyły uŜytecznych informacji o Ŝadnym ze znalezionych materiałów, wysłali więc wyniki analizy chemicznej i zdjęcia do laboratoriów FBI z prośbą o pilne wyśledzenie źródeł.

Rhyme wpadł na pewien pomysł.

Kara! - zawołał do dziewczyny siedzącej obok Mela Coopera, przesuwającej cwiêrdolarówkę między palcami i gapiącej

się w monitor komputera, na którym widać było powiększenie

nylonowego włókna. - PomoŜesz nam w jednej sprawie?

Jasne.

Przejdź się do Cirque Fantastique i pogadaj z Kadeskym.

Opowiedz o ucieczce Maga i wypytaj go; moŜe przypomniało mu

się coś, czego nam do tej pory nie powiedział. Które iluzje lubi

najbardziej, ulubione postacie i przebrania; moŜe do jakichś

wracał częściej niŜ do innych. MoŜe jakieś numery powtarzał

szczególnie chętnie. Innymi słowy chcemy dowiedzieć się wszyst

kiego, co mogłoby nam pomóc w określeniu jego obecnego wy

głodu.

Dziewczyna wstała i zarzuciła na ramię torbę w czarno-białe pasy.

-

Może mieć jego stare zdjęcia, choćby wycinki prasowe przedstawiające Weira w kostiumie. Zapytam - obiecała.

Rhyme potwierdził, że to świetny pomysł. Spojrzał na wypisaną na tablicach listę dowodów.

Potwierdzał tylko to, co widział od dawna: im więcej materiału zgromadzisz, tym mniej wiesz.

MAG Miejsce zbrodni: szkoła muzyczna

Opis sprawcy: brązowe włosy, fałszywa broda, brak cech szczególnych, wiek - około pięćdziesięciu lat, budowa ciała średnia, wzrost średni. Mały i serdeczny palec lewej ręki - złęczone. Błyskawicznie zmieniał kostium, by upodobnić się do starego, łysego woźnego.

Motyw nieznan.

Ofiara: Świetlana Rasnikow.

Studia dzienne.

Sprawdzenie rodziny, przyjaciół, studentów i pracowników

w celu zdobycia śladów.

Nie miała chłopaka ani znanych wrogów. Występowała na urodzinowych przyjęciach dla dzieci.

Układ scalony z dołączonym głośnikiem.

Wysłany do laboratoriów FBI do badania.

Magnetofon cyfrowy, prawdopodobnie z nagraniem głosem sprawcy. Wszystkie dane wymazane.

Magnetofon jest „sztuczką”. Produkcja domowa.

Użył staroświeckich żelaznych kajdanek do skrępowania ofiary.

Kajdanki firmy Darbys, stare, produkcji brytyjskiej. Sprawdzić w Muzeum Houdiniego w Nowym Orleanie.

Zegarek ofiary zniszczony dokładnie o ósmej rano.

Bawełniane nici łączące krzesła. Brak nazwy firmy. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Petarda imitująca strzał. Zniszczona.

Zbyt popularna, by wysledzić źródło.

Zapalniki: brak nazwy firmy.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-
Funkcjonariuszki wezwane na miejsce mówią o silnym błysku. Nie znaleziono mikrośladów.

Prawdopodobnie pochodził z pirowaty lub piropapieru.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Buty sprawcy: Ecco numer 10.

Włókna jedwabiu ufarbowanego na szaro, zmatowionego.

Z kostiumu woźnego, szybka zmiana.

Sprawca prawdopodobnie nosi brązową perukę.

Czerwona hikora i porost *Parmelia conspersa* pochodzą najprawdopodobniej z Central Parku.

Ziemia nasycona rzadko występującym olejem mineralnym.

Wysłana do FBI do analizy.

Czarny jedwab, 1,80 x 1,20 metra. Użyty jako kamuflaż. Nie do wyśledzenia.

Często używany przez iluzjonistów.

Używa nakładek na palce maskujących odciski.

Nakładki.

Ślady lateksu, oleju rycynowego, makijaŜu.

UŜywane przy makijaŜu teatralnym.

Ślady alginianu.

UŜywany jako forma do lateksowych „dodatków”.

-

Narzędzie zbrodni: biały sznur z plecionego jedwabiu z czarnym jedwabnym środkiem.

350

351

Sznur naleŜy do akcesoriów magicznych. Zmienia kolor. Nie do wyśledzenia.

-

Niezwykły węzeł.

Wysłany do FBI i Muzeum Marynarki. Brak informacji. Węzeł stosowany przez Houdiniego podczas występów. Nie do rozwiązania.

-
UŚył znikającego atramentu, wpisując się do księgi wejść.

Miejsce zbrodni: East Village

-
Ofiara numer dwa: Tony Calvert.

Charakteryzator teatralny.

Wrogowie: nieznani.

śadnych znanych związków z pierwszą ofiarą.

Brak oczywistego motywu.

Przyczyna śmierci:

Uderzenie w głowę tępym narzędziem. Po śmierci ciało przecięte piłą.

-
Sprawca uciekł, upodabniając się do siedemdziesięcioletniej kobiety. Sprawdzenie okolicy w poszukiwaniu stroju i innych dowodów rzeczowych.

Nic nie znaleziono.

-
Zegarek zmiażdżony dokładnie o godzinie dwunastej w południe.

Wzór? Następne morderstwo o szesnastej?

-
Sprawca ukryty za lustrem. Źródło nie do wyśledzenia. Odciski palców wysłane do FBI.

Brak rezultatów.

Użył zabawki przypominającej kota (fałszywki), by zwabić ofiarę w alejkę. Zabawka nie do wyśledzenia.

Znaleziono olej mineralny, taki sam jak za pierwszym razem.

Oczekiwany raport FBI.

Olej Tack-Pure do siodeł i innych produktów skórzanych. Dodatkowy lateks i makijaż z nakładek na palce.

Znaleziono alginian.

Pozostawione na miejscu buty Ecco.

Na butach znaleziono włosy psów trzech różnych ras. Także nawóz.

Nawóz koński, nie psi.

Rzeka Hudson i powiązane z nią miejsca przestępstwa

-

Ofiara: Cheryl Marston.

Prawniczka.

352

Rozwiedziona. Mąż nie jest podejrzany.

Brak motywu.

Sprawca przedstawił się jako John. Blizny na szyi i piersi. Po twierdzona deformacja dłoni.

Sprawca dokonał szybkiej zmiany w gładko ogolonego biznes

mena w luźnych spodniach khaki i eleganckiej koszuli, a następnie w motocyklistę w dżinsowej koszuli Harleya.

Samochód w rzece Harlem. Sprawca najprawdopodobniej zbiegł.

Knebel z taśmy samoprzylepnej. Źródło nie do wyśledzenia.

Petardy, takie, jakich używał poprzednio. Źródło nie do wyśledzenia.

Łańcuchy i karabińczyki, brak nazwy firmy, źródło nie do wyśledzenia.

Sznur, brak nazwy firmy, źródło nie do wyśledzenia.

Składniki makijażu, lateks, olej Tack-Pure.

Torba sportowa, produkt chiński, źródło nie do wyśledzenia.

Zawiera:

Ślady flunitrapezanu, środka oszłamiającego podawanego kobietom podczas randki.

Parafina, przylepna, używana w sztukach magicznych, źródło nie do wyśledzenia.

Wióry mosiężne (?). Wysłane do FBI.

Trwały tusz, czarny.

- Znaleziona granatowa wiatrówka, brak naszywek firmowych

i naszywek pralni. Zawiera:

Przepustkę prasową sieci kablowej CTN, wystawioną na Stanleya Saf ersteina (nie jest

podejrzany, nie figuruje w bazach danych

NCIC i VICAP).

Plastikową kartę - klucz do pokoju hotelowego. American Plastic Cards, Akron, Ohio. Model APC-42, brak odcisków palców.

Prezes firmy ma sprawdzić akta sprzedaŜy.

-

Detektywi Bedding i Saul sprawdzają hotele.

Poszukiwania zawęŜone do Chelsea Lodge, Beckman i Lanham

Arms. Nadal trwają.

-

Rachunek z restauracji Riverside Inn, Bedford Junction, stan

Nowy Jork, dowodzący, Ŝe dwa tygodnie temu cztery osoby zjadły

lunch przy stole numer dwanaście. Zamówione: indyk, kotlet mielo

ny, stek i specjalność dnia. Nie podano alkoholu. Obsługa nie potrafi

zidentyfikować gości (wspólnicy?).

- Alejka, w której zatrzymano Maga. Otwarcie zamku kajdanek wytrychem. Ślina (wytrych ukryty w ustach). Nie ustalono grupy krwi.

T

Mała piła umożliwiająca uwolnienie się z więzów.

-

Brak śladów wskazujących, gdzie może być funkcjonariusz

Burkę.

Miejsce nad rzeką Harlem

śladnych śladów oprócz śladów opon w błocie.

Gazeta odzyskana z zatopionego samochodu. Nagłówki.

„Awaria elektryczności, komisariat policji zamknięty na cztery godziny”.

„Konwencja Partii Republikańskiej stawia Nowy Jork na głowie”.

„Rodzice protestują przeciw niedostatecznemu zabezpieczeniu szkoły Śeńskiej”.

„W poniedziałek rozpoczyna się proces o morderstwo na tle rasowym”.

„Weekendowe przedstawienie w Metropolitan Theatre, dochody przeznaczone na cele charytatywne”.

„Wiosenne zabawy dla dzieci młodszych i starszych”.

„Gubernator i burmistrz spotykają się, by omówić nowe plany dla West Side”.

Miejsce zbrodni: dom Lincolna Rhyme'a

-

Ofiara: Lincoln Rhyme.

-

Tożsamość sprawcy: Erick A. Weir.

Miejsce urodzenia: Las Vegas.

Poparzony w pożarze w Ohio przed trzema laty. Cyrk Hasbro i Bracia Keller. Znikł po wypadku. Poparzenia trzeciego stopnia. Producent: Edward Kadesky.

Skazany w New Jersey za lekkomyślne narażenie życia.

Obsesja ognia.

Szaleniec. Zwraca się do „szacownych widzów”.

Słynął z niebezpiecznych numerów.

-

sona: Marie Cosgrove, zginęła w poŜarze.

Nie kontaktował się z jej rodziną od czasu poŜaru.

Rodzice Weira nie żyją. Nie ma bliŝszej rodziny.

śadnych danych w VICAP i NCIC.

Nazywał siebie Czarodziejem Północy.

Zaatakował Rhyme'a, by powstrzymać go przed niedzielnym popołudniem (kolejna ofiara?).

Profil psychologiczny (autor Terry Dobyns, Departament Policji Nowego Jorku). Główny motyw: zemsta, choć może nie zdawać sobie z tego sprawy. Chce wyrównać rachunki. Przez cały czas czuje gniew. Zabijając, zagłusza ból spowodowany śmiercią Sony i niemoŜnością występowania przed publicznością.

-

Weir skontaktował się ostatnio z asystentami: Johnem Keatingiem i Arthurem Loesserem z Nevady. Pytał o poŜar i ludzi związanych z wypadkiem. Opisali Weira jako szaleńca, władczego, niebezpiecznego, opanowanego przez manię, ale genialnego.

Kontakt z menedżerem cyrku z czasów wypadku, Edwardem Kadesky m.

Zabił ofiary za to, co sobą reprezentują, być może szczęśliwe

lub traumatyczne przeżycia sprzed pośaru.

Chusteczka nasyciona benzyną, źródło nie do wyśledzenia.

Buty Ecco, nie do wyśledzenia.

Miejsce ucieczki z aresztu

Petardy i pęcherz z fałszywej rany - produkcja domowa, źród

ło nieznane.

Sztuczna krew (syrop cukrowy + czerwony barwnik spożyw

czy), fragmenty kości wołowej, szara gąbka udająca tkankę mózgo

wą, prawdziwa krew, Śyletka.

Gumowe rękawiczki.

Dodatkowe fragmenty lateksu i makijażu, jak na poprzednich

miejscach.

Lepka parafina.

Normalny tusz, czarny, identyczny ze znalezionym wcześniej.

Zaschnięta sucha krew (farba), wysłana do FBI.

Włókna dywanu, wysłane do FBI.

Profil iluzjonisty

-

Będzie używał „zmyłek” przeciw ofiarom i policji.

Fizycznych (fałszywy trop).

Psychologicznych (odsunięcie podejrzeń).

Ucieczka ze szkoły muzycznej przypominała numer „Znikający człowiek”. Zbyt popularny, by wytropić wykonawcę.

Sprawca jest przede wszystkim iluzjonistą.

Utalentowany w magii zręcznej ręki.

Zna także magię proteańską (szybkiej zmiany). Będzie używał różnych kostiumów z nylonu i jedwabiu, nakładek imitujących łysinę, nakładek na palce i innych akcesoriów lateksowych. Może być w dowolnym wieku, każdej płci i każdej rasy.

Śmierć Calverta = numer Selbita „Przepełnianie dziewczyny”.

Utalentowany włamywacz, zapewne umie „skrobać” zamki.

Iii,

Zna techniki uwalniania się z więzów.

Zna techniki iluzji z udziałem zwierząt.

Używa techniki mentalistycznych, by zdobyć informacje

o ofiarach.

Użył metody zręcznej ręki, by oszołomić jedną z ofiar.

Próbował zamordować trzecią ofiarę przez naśladowanie numeru Houdiniego: „Tortura wodna”.

Brzuchomówstwo.

śyletki.

Zna lub prezentował numer „Płonące lustro”. Wyjątkowo nie bezpieczny.

Cirque Fantastique ośywał na godzinę przed rozpoczęciem wieczornego występu.

Kara przeszła pod flagą z wizerunkiem Arlekina. Od razu zauważyła policyjny radiowóz; to

Rhyme zdecydował, że po wydarzeniach z dzisiejszego poranka policja winna być stale

obecna na miejscu. W poczuciu, że z policjantami łączy ją specjalna, braterska więź (czyż

sama nie była teraz kimś w rodzaju policjanta), pomachała w stronę samochodu, a glina, który nawet jej nie znał, odmachnął przyjaźnie.

Na razie nikt nie sprawdzał biletów, toteż Kara mogła spokojnie wejść do namiotu, nawet za kulisy. Zauważyła młodego człowieka z clipboardem w ręku. Na pasku, w miejscu, gdzie Amelia nosiła broń, miał identyfikator pracownika.

Przepraszam - powiedziała, podchodząc do chłopaka.

Tak? - odezwał się z wyraźnym akcentem francuskim lub

francusko-kanadyjskim.

Szukam pana Kadesky'ego.

Nie ma go. Jestem jednym z jego asystentów.

Gdzie go mogę znaleźć?

Nie tu. Kim pani jest?

Współpracuję z policją. Rozmawialiśmy już z panem Kadeskym, ale mam do niego kilka pytań.

Chłopak spojrznął na biust Kary. Zapewne szukał identyfikatora... ale wcale niekoniecznie.

Aha... Policja? Pan Kadesky je obiad. Wkrótce wróci.

Wie pan moŜe, dokąd poszedł?

Nie. Musi pani wyjść. Nie wolno tu pani przebywać.

Chcę tylko zobaczyć się z panem...

356

Ma pani bilet?

Nie, ale...

Więc nie wolno pani tu czekać. Musi pani wyjść. Pan Kadesky nic nie mówił o policji.

-

Ale ja naprawdę muszę się z nim zobaczyć – powiedziała stanowczo Kara, przyglądając się jego przystojnej twarzy.

Musi pani wyjść. Proszę poczekać na niego przed namiotem.

MoŜemy się minąć.

Będę musiał wezwać ochronę - pogroził jej chłopak z tym
voim śmiesznym akcentem. - Mogę to zrobić.

Kupię bilet - poddała się Kara.

-

Wszystkie bilety wyprzedane. Ale nawet z biletem nie wej—
ie pani za kulisy. Wyprowadzę panią.

I wyprowadził ją przez główne wejście, przy którym stali już racownicy cyrku, sprawdzający bilety.
Kara zatrzymała się, rzeź ramię wskazała na przyczepę z napisem „Kasa”.

-

Czy tam mogę kupić bilet? - spytała.

Chłopak skrzywił się lekko, choć niewątpliwie szyderczo.

-

Tak, kasa to miejsce, gdzie kupuje się bilety. Ale, jak już powiedziałem, wszystkie bilety zostały sprzedane. Jeśli chce pani

>rtać o coś pana Kadesky'ego, proszę zadzwonić do jego firmy.

Chłopak odszedł. Kara odczekała chwilę, a później, minąwszy róg namiotu, skierowała się do bocznego wejścia na scenę. Uśmiechnęła się do strażnika, który odpowiedział jej uśmiechem, zaledwie zerknąwszy na przypięty do paska identyfikator pracowniczy z kanadyjsko-francuskim nazwiskiem, który bez żadnych problemów zwróciła przystojnemu chłopakowi, zadając niemądre, ale z pewnością odwracające uwagę pytanie o kasę.

Oto zasada, którą powinieneś poznać, pomyślała. Nigdy nie dóć się z ludźmi o zręcznych rękach.

Gdy tylko znów znalazła się za kulisami, schowała identyfikator do kieszeni i odszukała

przyjaźniej nastawionego pracownika yrku. Kiwając głową z sympatią, kobieta wysłuchiwała jej wyjaśnień: były iluzjonista, poszukiwany za morderstwa, został zidentyfikowany jako ktoś, kto pracował kiedyś dla pana Kadesky'ego i z tego powodu chciałaby z nim porozmawiać.

Słyszała o morderstwach, uprzejmie zaprosiła dziewczynę, by zaczekała na producenta,

wydała jej nawet przepustkę do loży VIP-ów, po czym odeszła, tłumacząc się nawałem pracy.

Obiecała, że poinformuje o jej obecności strażników, którzy z kolei skierują do niej pana

Kadesky'ego, gdy tylko wróci z obiadu.

357

Kara szła do loży, gdy odezwał się jej pager. Zobaczyła wyświetlony numer, jęknęła i

pobiegła do jednego z zainstalowanych czasowo w namiocie automatów. Wybrała numer

drżącą ręką.

Stuyvesant Manor - usłyszała głos w słuchawce.

Proszę z Jaynene Williams, pokój pielęgniarek, trzecie piętro.

Czekała, czekała i czekała.

-Tak?

-

To ja, Kara. Coś się stało mamie?

Nic złego. Ale chciałam ci powiedzieć... nie chcę budzić przesadnych nadziei, bo to pewnie nic, ale przed paroma minutami obudziła się i pytała o ciebie. Wie, że mamy niedzielny wieczór, pamięta, że przychodziłaś wcześniej.

Ja? Prawdziwa ja?

Tak. Usłyszała twego prawdziwego imienia. A potem skrzywiła się lekko i dodała: „Chyba że znacie ją pod tym idiotycznym pseudonimem scenicznym Kara”.

O Boże? Czy to możliwe? Czyżby aż tak jej się poprawiło?

-

Mnie też poznała. Spytała, gdzie jesteś. Chciałaby ci coś powiedzieć.

Serce dziewczyny biło tak szybko, jakby zamierzało wyrwać się z piersi.

Powiedz mi coś...

Powinnaś przyjechać tu jak najszybciej, słoneczko. To moŜe

potrwać, ale moŜe i nie. Sama wiesz, jak to bywa.

Akurat mam waŜną sprawę, Jaynene. Przyjadę, gdy tylko będę mogła.

PoŜegnały się i straszliwie zdenerwowana Kara wróciła do loŜy. Napięcie było wręcz nie do zniesienia. Być moŜe w tej właśnie chwili matka ją wzywa, złości się, nie widząc jej przy swym boku, i pewnie jest bardzo rozczarowana.

Proszę, modliła się, wypatrując Kadesky'ego.

Nic.

Szkoda, Ŝe nie moŜe postukać magiczną hikorową róŜdŜką w obdrapany metal barierki loŜy i w ten sposób zmaterializować producenta.

Błagami Wymierzyła wyobraŜoną róŜdŜkę w kierunku wejścia.

Przez chwilę nic się nie działo i nagle ktoś wszedł do środka, ale to nie był Kadesky, lecz trzy aktorki w średniowiecznych kostiumach, w maskach, których martwy wyraz raŜąco kontrastował z energicznymi krokami artystek, gotowych do wieczornego przedstawienia.

358

Roland Bell stał w wąskim kanionie śródmieścia Manhattanu, na sntre Street, pomiędzy wielkim, ponurym gmachem sądów krymi-lalnych, ukoronowanym mostem Westchnień, i brzydkim, przeciętnym biurowcem, znajdującym się po przeciwnej stronie ulicy.

Ciągle szukał samochodu Charlesa Grady'ego.

Ciągle szukał Weira.

Co bym zrobił, gdybym był mordercą? - myślał. Jak próbowałbym załatwić Grady'ego? Z tego budynku? Z tamtego samochodu? Czy moŜe byłbym tym przechodniem? Co ta kobieta ma w dziecinnym wózku? Co dziwnego jest w czterdziestoletnim dŜentelmenie, powoli idącym chodnikiem i jedzącym lody?

Kolejny powolny obrót. Gdzie? Gdzie? Gdzie?

Rozległ się klakson, od strony wejścia na most. Krzyk.

Bell podbiegł parę kroków. Przez głowę przebiegła mu myśl: czy to zmyłka?

A jednak nie. Zwykła kłótnia kierowców.

Obrócił się w stronę wejścia do sądów i jego wzrok padł... na Charlesa Grady'ego, który szedł spokojnie ulicą z pochyloną głową, pogrążony w myślach. Detektyw podbiegł do niego, krzyżąc:

Charles! Na ziemię! Weir uciekł!

Grady zatrzymał się, zmarszczył brwi.

Padnij! - wrzasnął Bell resztką sił.

Do prokuratora coś wreszcie dotarło. Ukucnął między dwoma zaparkowanymi samochodami.

Co się stało? - krzyknął. - Co z moją rodziną?

Pilnują jej - odparł detektyw, a do przechodniów krzyknął:

-

Policja! Mamy problem! Proszę opuścić ulicę.

Ludzie błyskawicznie się rozpierzchli.

Rodzina! - Grady był załamany. - Jesteś pewien, że nic im się nie stało?

Oczywiście!

Ale przecież Weir...

Sfingował strzelaninę w areszcie. Wydostał się z budynku

i jest gdzieś tutaj. Już jedzie po nas opancerzona furgonetka.

-

Bell rozglądał się przez cały czas, obserwował okolicę. Wreszcie dobiegł do Grady'ego. Osłonił go, stając plecami do biurowca.

-

Zostań, gdzie jesteś, Charles. Wyciągniemy cię z tego.

Wyjął zza pasa krótkofalówkę.

359

- Co się dzieje?

Hobbs Wentworth na własne oczy widział, jak jego cel, prokurator, pada na chodnik i kryje się za męszczyzną w sportowej marynarce, z pewnością gliniarzem.

Krzyż w celowniku optycznym wędrował po plecach policjanta. Hobbs szukał miejsca, by oddać strzał do Grady'ego, ale bez skutku. Chociaż... facet osłaniał Grady'ego, ale gdyby

strzelić mu przez dolną część kręgosłupa, prokurator dostałby w pierś. Kula mogła jednak zrykoszetować i tylko ranić Grady'ego, który wówczas by upadł i skrył się za samochodem. Trzeba szybko podjąć jakąś decyzję, pomyślał Hobbs. Gliniarz już gadał przez radio. Za minutę na ulicy zaś zaroi się od niebieskich. Hej, słuchaj, twardy zawodniku, co masz zamiar teraz zrobić?

Gliniarz nadal rozglądał się dookoła. Grady kuczał jak sikająca suka.

W porządku. Strzelę mu w udo, zdecydował Hobbs. Facet najprawdopodobniej padnie do tyłu, odsłaniając cel. Colt to karabin samopowtarzalny; pięć strzałów w dwie sekundy. Nic lepszego nie wymyślę.

Jeszcze sekunda, dwie... może gliniarz przesunie się, pochyli, zejdzie z linii strzału.

Hobbs patrzył w celownik prawym okiem, choć lewe też miał otwarte; krzyśyk celownika optycznego tkwił nieruchomo na plecach Bella. Pomyślał: kiedy wrócę do Canton Falls, zrobię z tego wspaniałą opowieść dla dzieci. Jezus zagra moją rolę, będzie miał wspaniały łuk kompozytowy, zwabi w pułapkę oddział rzymskich żołnierzy, torturujących chrześcijan.

Juliusz Cezar będzie krył się za żołnierzem, ale Jezus przestrzeli tego żołnierza i ukatrupi sukinsyna.

Dobra historia. Dzieci ją pokochają.

Gliniarz nie miał zamiaru odsłaniać prokuratora.

No, to do roboty, pomyślał Hobbs, odbezpieczając karabin. Przeniósł krzyśyk na nogę gliniarza, zaczął powoli ściągać spust. Szkoda, że ten policjant jest biały.

Ale Hobbs Wentworth nauczył się w Syciu jednego: do celu się strzela, bez względu na to, kto nim jest.

odnosząc motorolę do ust, Roland Bell czuł jej charakterystyczny zapach: plastiku, metalu i potu.

Jednostka ratownictwa, czwórka, dojeŚdŚacie? - spytał ze swym charakterystycznym, południowym akcentem.

Potwierdzam.

W porządku, więc...

W tym momencie w kanionie ulicy rozbrzmiało echem kilku stłumionych strzałów. Bell drgnął.

Strzały! - krzyknął Charles Grady. - Słyszę strzały! Trafili cię?

Nie ruszaj się. - Detektyw przykucnął obok prokuratora.

Obrócił się, unosząc jednocześnie pistolet. Spojrzał na budynek po drugiej stronie ulicy. Liczył szybko.

Wiem, skąd strzelano - powiedział do mikrofonu. - Grupa cztery, drugie piętro, piąte biuro, licząc od północnej krawędzi budynku!

Potwierdź!

Potwierdzam. Oj...

Aha. Rozumiem, bez odbioru.

Co się dzieje? - Słyszając strzały, prokurator padł na chodnik, a teraz próbował się podnieść.

LeŚ! - Detektyw prostował się ostroŚnie. Nie patrzył juŚ na okna budynku, lecz na idących po chodniku ludzi. Zawsze istniała moŚliwoŚć, Śe w pobliŚu znajdują się wspólnicy zamachowca.

Lecz w tym momencie podjechała opancerzona furgonetka jednostki ratownictwa i pięć sekund później Bell i Grady znaleźli się w bezpiecznym miejscu. Samochód ruszył z piskiem opon. Jechali na East Side; prokurator miał dołączyć do rodziny.

361

Bell wyjrzał przez tylną szybę - policjanci z jednostki ratunkowej biegli ulicą w stronę biurowca.

Me my go znajdziemy, ale on nas.

Nie da się ukryć, znalazł.

Detektyw zdecydował, że potencjalny zabójca prokuratora wybierze strzał z budynku rządowego. Najprawdopodobniej włamie się do któregoś z biur na niższym piętrze, od strony chodnika, z pewnością nie na dach, obserwowany przez kilkadziesiąt kamer ochrony. Sam pozostał na widoku jako przynęta tylko dlatego, że podczas incydentu z zakładnikami dowiedział się pewnej interesującej rzeczy, jak w większości nowych budynków rządowych i tu zainstalowano okna nieotwierające się i wyposażone w kuloodporne szyby, zdolne wytrzymać nawet wybuch niewielkiej bomby. Ponośli przy tym pewne ryzyko; zamachowiec mógł użyć amunicji przeciwpancernej zdolnej przebić dwuipółcentymetrową szybę, ale w porę przypomniał sobie powiedzenie, które usłyszał dawno temu, przy jakiejś sprawie: „Bóg nie daje pewniaków”.

Postanowił skłonić snajpera do strzału; spękana szyba ujawniłaby wówczas jego kryjówkę. Pomysł okazał się celny... w ponad stu procentach. Stąd owo niestosowane w komunikacji radiowej „oj”.

Czwórka do Bella. Miałeś rację.

Mów.

Jesteśmy w środku. Zabezpieczyliśmy miejsce. Sprawca za

szedł na... jak to nazywają?... Nagrodę Darwina? Dla przestępcy,
który popełnił największe głupstwo.

Potwierdzam. Co ze sprawcą? - spytał Bell.

Pytanie wynikało stąd, że detektyw nie rozpoznał kryjówki zamachowca po spękanych szkle,
tylko po wielkiej plamie krwi na oknie. Policjant z jednostki ratunkowej powiedział, że
pociski w miedzianym płaszczu, wystrzelone z karabinu colta, odbiły się od szkła, rozpadły na
mnóstwo odłamków i ugodziły strzelca w kilka miejsc, głównie w podbrzusze, przerywając tętnicę.
Gdy policja dotarła na miejsce, facet nie szedł. Wykrwawił się.

Powiedz mi, że to Weir.

Niestety. Bardzo mi przykro. Sprawca nazywa się Hobbs

Wentworth. Mieszkał w Canton Falls.

Roland Bell skrzywił się przeraźliwie. Był wściekły. Weir nadal był na wolności i
przypuszczalnie miał pomocników.

-

Macie coś, co mogłoby nam podpowiedzieć, gdzie jest
i czego chce?

362

-

Nie - odparł ochryplym głosem dowódca taktyczny. - Tylko

dokumenty potwierdzające tożsamość. No i miał jeszcze przy so

bie książeczkę z opowieściami biblijnymi dla dzieci. - Policjant

umilkł na chwilę. - Przykro mi to mówić, Roland, ale mamy jesz—

I cze jedną ofiarę. Wygląda na to, że zabił kobietę, żeby dostać się do budynku. W porządku, zabezpieczamy miejsce i zaczynamy i szukać Weira. Koniec.

Bell spojrzał na Grady'ego.

-

Ani śladu Weira - powiedział krótko.

Problem w tym, że to wcale nie musi być prawda. Być może znaleźli mnóstwo śladów Weira, a nawet jego samego: jako gliniarza, sanitariusza, reportera, detektywa po cywilu, przechodnia, bezdomnego... i po prostu go nie rozpoznali.

Przez półkę szybę pokoju przesłuchań Andrew Constable widział ponurą twarz przyglądającego mu się czarnego strażnika. Nagle twarz znikła, widocznie facet wyszedł na korytarz pogadać z kumplami.

Wstał zza metalowego stołu, minął prawnika, podszedł do szyby. Dostrzegł mężczyznę, który jednocześnie spojrzał na niego. Strażników było dwóch, toczyli jakąś poważną rozmowę.

Czyli wszystko w porządku.

Mówiłeś coś? - spytał Joe Roth.

Nie. Nic nie mówiłem.

Och, widocznie się przesłyszałem.

A może jednak coś powiedział? Jakieś słowo, krótką modlitwę?

Wrócił do stołu. Roth spojrział na niego znad kartki Śóltego papieru, na której zapisał kilka nazwisk i numerów telefonów, podanych im przez współpracowników Constable'a z Canton Falls w odpowiedzi na prośbę o informacje o planach Weira.

Adwokat nie czuł się zbyt pewnie. Właśnie dowiedzieli się o kolejnej próbie zamachu na Grady'ego; doszło do niej zaledwie parę minut temu, tuŚ przed tym budynkiem. Ale to nie Weir był zamachowcem i nadal nikt nie miał pojęcia, gdzie jest i co zamierza.

Obawiam się, Śe Charles się wystraszył i nie będzie chciał z nami gadać. Powinniśmy chyba zadzwonić do niego do domu, powiedzieć, co zdobyliśmy. - Postukał palcem w listę nazwisk. - Albo przynajmniej dać to temu detektywowi... jak mu tam? Aha, Bell.

Właśnie.

363

Prawnik przesunął tłustym paluchem po liście.

-

Sądysz, Śe ktoś z tych ludzi wie o Weirze coś, co mogłoby do niego doprowadzić? Bo tego właśnie chcą: dorwać faceta.

Constable pochylił się i przyjrzał liście. Przy okazji zerknął na zegarek Joego. Potrząsnął głową.

Bardzo wątpię - powiedział.

-Ty...? Wątpisz?

Jasne. Widzisz ten pierwszy numer?

No... widzę.

To pralnia na Harrison Street w Canton Falls. Ten drugi to

Koło Gospodyń Wiejskich. Następny: kościół baptystów. A nazwiska?

No... to współpracownicy Barnes'a.

A skąd. - Constable zachichotał. - Wszystkie wymyślone.

Co? - zdumiał się Roth.

Więzień przysunął się do swego adwokata, spojrzał mu w oczy.

Przecież tłumaczę ci, że nazwiska i numery telefonów są fałszywe!

Nie rozumiem.

A pewnie, ty śłośny, pieprzony śydzie!

I nim Joseph Roth zdołał się osłonić, dostał potężny cios splecionymi rękoma wprost w twarz.

41

A

Andrew Constable był silnym mężczyzną. Chodził pieszo na polowanie i ryby, często w odległe miejsca, uprawiał jelenie, ciął kości, rąbał drzewo. Tłuszcutki prawnik nie był dla niego śadnym przeciwnikiem. Próbował podnieść się, zawołać o pomoc, ale Constable przycisnął

jego dłonie do blatu stołu i zadał drugi mocny cios w krtań; zamiast krzyku rozległ się

zduszony charkot. Ściągnął go z krzesła i zaczął tłuc jego twarzą o podłogę. Niemal

natychmiast pozbawił go przytomności, po czym natychmiast z powrotem posadził na krześle,

plecami do szyby. Gdyby w tej chwili któryś ze strażników zajrzał do pokoju przesłuchań,

zobaczyłby tylko, że prawnik czyta jakieś dokumenty rozłożone na stole. Constable pochylił się, zdjął jedną ze skarpetek Rotha, wytarł ze stołu część krwi, a resztę przykrył papierami.

Zabije go później. Na razie, najwyżej na kilka minut, bardzo potrzebował takiego niewinnego obrazka.

Za kilka minut będzie wolny.

Wolność...

Przecież plan Ericka Weira prowadził właśnie do tego punktu.

Najlepszy przyjaciel Constable'a, Jeddy Barnes, jego zastępca w Stowarzyszeniu

Patriotycznym, wynajął Weira nie po to, by zabił Grady'ego, lecz po to, by uwolnił więźnia ze słynącego z doskonałych zabezpieczeń nowojorskiego aresztu miejskiego, bezpiecznie przeprowadził przez Most Westchnień i wreszcie wywiózł w nowoangielską dzicz, z której

Stowarzyszenie Patriotyczne miało nadal prowadzić ideową walkę z brudasami, mieszkańcami i ignorantami. A celem tej walki było pozbycie się z kraju czarnych, gejów,

sydów, Latynosów, obcokrajowców, czyli tych, Przeciw którym Andrew Constable wypowiadał się z wielką

365

pasją podczas cotygodniowych wykładów dla członków Stowarzy. szenia Patriotycznego i na ukrytych stronach www, subskrybowanych przez tysiące właściwie myślących obywateli ze wszystkich zakątków kraju.

Constable wstał, podszedł do drzwi, wyjrzał na zewnątrz. Strażnicy nie mieli zielonego pojęcia o tym, co się przed chwilą zdarzyło w pokoju przesłuchań.

Pomyślał, że przydałaby mu się jakaś broń. Z kieszeni zakrwawionej koszuli Rotha wyciągnął ołówek w metalowej oprawie, której koniec owinał skarpetką, by przy ciosie nie skaleczyć dłoni. Pchnięcie takim narzędziem zadawało poważne, często śmiertelne rany.

Usiadł naprzeciw swego adwokata i korzystając z wolnej chwili, myślał o planie stworzonym przez Weira, czyli, jak go nazywał Jeddy Barnes, Magika. Był to plan genialny przede

wszystkim dlatego, że zawierał wiele iluzjonistycznych sztuczek. Finty i finty w fintach, bardzo dokładne rozplanowanie w czasie, sprytne odwracanie uwagi. A wszystko rozpoczęło się od wbicia policji w głowę pomysłu zamachu na Sycie Grady'ego. Temu właśnie służyła po pierwsze ofiara wielebnego Svensena, a po drugie - nieudany zamach Ericka Weira. Zajęci ochronieniem prokuratora gliniarze zlekceważyli wszystkie inne możliwości, w tym ewentualną ucieczkę Andrew Constable'a z aresztu miejskiego, Weir pozwolił się złapać w trakcie drugiej próby właśnie po to, by trafić do aresztu. Constable tymczasem miał dokonać kilku własnych zmyłek. Przede wszystkim rozbroić przeciwników, przedstawić się im jako głos rozsądku, dowodzić swej niewinności w dyskusjach, zdobyć zaufanie Grady'ego i wreszcie ściągnąć go do aresztu określonego dnia o określonej godzinie obietnicą skompromitowania najważniejszych przywódców Stowarzyszenia Patriotycznego. Nie wykluczał nawet pomocy w poszukiwaniach Weira, czym rozbroił policję, jednocześnie stwarzając szansę przekazania Barnesowi i innym konspiratorom zakodowanej informacji o tym, w którym miejscu aresztu się znajduje, a informacja ta przez Jeddy'ego dotarłaby do iluzjonisty.

Hobbs Weintworth takse był kozłem ofiarnym. Miał zapalc wać na Grady'ego przy wejściu do aresztu, ale to, czy by mu się udało, czy nie, nie miało najmniejszego znaczenia. I znów chodziło tylko o to, by odciągnąć policję od aresztu. Weir, który po s mulowaniu własnej śmierci krążył swobodnie po budynku, miał pojawić się o czasie, w przebraniu, zabić strażników i wyprowadzić Constable'a na wolność.

W plan wpisane było takse działanie, na które Constable czekał od wielu tygodni. Jeddy Barnes powiedział:

Tuś przed pojawieniem się Weira w pokoju przesłuchań musisz unieszkodliwić swojego prawnika.

Co to ma znaczyć?

Magik zostawił decyzję tobie. Powiedział tylko, że masz go

unieszkodliwić, żeby przypadkiem nie wszedł mu w drogę.

W tej chwili, patrząc na struśki krwi spływające z oczu i ust adwokata, Constable pomyślał: No, ten sydek z całą pewnością został unieszkodliwiony. Ciekawe, jak Weir załatwi strażników, w jakim przebraniu się pojawi, jaką drogę ucieczki wymyśli.

Dokładnie o czasie rozległ się brzęczyk. A więc droga do wolności została otwarta.

Constable poderwał bezwładne ciało Rotha z krzesła i cisnął je w kąt pokoju przesłuchań.

Pomyślał nawet, że mógłby go spokojnie zabić, przydeptując mu krtań. Ale pewnie Weir ma pistolet z tłumikiem. Albo nóż. A to broń znacznie poręczniejsza.

Rozległ się zgrzyt zamka. Drzwi do pokoju przesłuchań stanęły otworem.

Andrew Constable zdążył jeszcze pomyśleć: Zdumiewające! Weir potrafi przebrać się za

kobietę!, lecz w następnej chwili uświadomił sobie, że zna tę rudowłosą policjantkę, która wczoraj przyjechała po Bella.

-

Mamy rannego! - krzyknęła, widząc bezwładne ciało Rotha.

-Wezwać służby ratownicze!

Jeden ze stojących za nią strażników chwycił słuchawkę telefonu, drugi wcisnął czerwony przycisk na ścianie korytarza. Po areszcie poniosło się echem wycie syreny.

Constable nic nie rozumiał. Co się tu dzieje? Gdzie jest Weir?

A ta policjantka? Widział, że w dłoni trzyma pojemnik z gazem łzawiącym, jedyną broń, jaką wolno było nosić w areszcie. Mimo zdziwienia i oszołomienia Constable potrafił myśleć szybko. Skulił się, jęknął, chwycił za brzuch.

-

Ktoś tu wszedł! Jakiś więzień. Próbował nas zabić! -W zakrwa
wionej dłoni krył ołówek. - Jestem ranny. Pchnął mnie w brzuch.

Rzut oka za szybę. Ani śladu Magika.

Policjantka rozejrzała się dookoła. Constable osunął się na Podłogę, myśląc: kiedy podejdzie bliżej, zadam jej cios w twarz.

Może uda mi się trafić w oko. Albo zabiorę jej gaz, prysnę nim w twarz lub po oczach? Albo przyłożę jej ołówek do szyi; strażnicy pomyślą, że to broń, otworzą mi drzwi. Weir musi być gdzieś blisko, może nawet tuż za drzwiami.

No, kochanie. Trochę bliżej. Uważaj, upomniał się Constable, może mieć kamizelkę kuloodporną. Mierz w tę słiczną buzię.

Twój prawnik? - spytała Amelia. - Czy on też oberwał?

Tak! To był czarny. Krzyczał, że jestem rasistą i że da mi
szkołę! - Opuścił głowę, ale czuł, że policjantka się zbliża. - Joe
jest ciężko ranny. Musimy mu pomóc.

Pół metra? Metr? Nie więcej.

A jeśli okaże się, że to biały, normalny biały, ma wszystkie zęby i jego ubranie nie śmierdzi szczykami, to czy nie ulżycie palcowi, choćby trochę?

Constable jęknął.

Czuł, że ruda policjantka jest bardzo blisko. - Sprawdzę, jak ciężko jest pan ranny -
powiedziała. Chwycił ołówek. Był gotów do skoku. Podniósł wzrok... i zobaczył wycelowany
w twarz pojemnik z gazem łzawiącym.

Amelia wcisnęła przycisk. Z odległości pół metra trafiła go wprost w twarz. Constable miał
wrażenie, że usta, nos i oczy przeszywa mu tysiąc igieł. Wrzeszczał, gdy wrywała mu z
dłoni ołówek i kopniakiem przewracała na wznak.

- Dlaczego to zrobiłaś? - krzyknął, próbując unieść się na łokciu. - Dlaczego?

Amelia Sachs zastanawiała się przez chwilę, jak odpowiedzieć na to pytanie, ale szybko podjęła decyzję. Prysnęła mu gazem w twarz po raz drugi.

Wsadziła pojemnik w kaburę na pasie. Drzemiący w niej przy-! J szły sierŜant oburzał się na powtórne uŜycie gazu, ale kiedy dostrzegła błysk ostrza ołówka w jego dłoni, gliniarz z ulicy, którym przecieŜ była, uŜył wszelkich dostępnych środków obrony i z radością słuchał

cholernego bigota, kwiczącego jak zarzynana

świnia.

Cofnęła się o krok. Dwaj straŜnicy wlekli Constable'a po podłodze.

-

Lekarza! - wrzeszczał wniebogłosy. - Sprowadźcie lekarza!

Moje oczy! Mam prawo do lekarza.

-

Ile razy mam ci mówić, Őebyś się zamknął - warknął jeden

ze straŜników. Constable wierzgał wściekle, dlatego na koryta

rzu skuto mu nogi w kostkach.

Sachs i dwaj inni straŜnicy zbadali Josepha Rotha. Oddychał jeszcze, ale był powaŜnie ranny i nieprzytomny. Amelia uznała, Őe lepiej go nie ruszać, zresztą wkrótce pojawił się miejski zespół ratowniczy i wylegitymowawszy jej się, wziął się do roboty. UdroŜnił tchawicę,

załoŜył kołnierz ortopedyczny, przeniósł na wózek i zabrał wprost do szpitala.

Amelia wyprostowała się, odetchnęła głęboko, rozejrzała po pokoju i korytarzu, by

sprawdzić, czy Weirowi nie udało się jakimś cudem dostać do środka. Nie, z całą pewnością nie. Poszła w kierunku wyjścia, ale pewnie poczuła się dopiero wówczas, gdy od oficera słuŜbowego odebrała swojego glocka. Zadzwoiła do Rhyme'a i poinformowała go, co się stało.

Constable czekał na Maga - dodała.

Na Maga?

Tak sãdzę. Kiedy zobaczył, Őe to ja wchodzę do środka, był

369

cholernie zaskoczony. Opanował się prawie natychmiast, ale je-stem pewna, Őe spodziewał się kogoś innego.

A więc o to chodziło Weirowi? O wyciągnięcie Constable'a?

Moim zdaniem tak.

Cholera by wzięła te zmyłki! - warknął Rhyme. - Zmusił nas do skoncentrowania się na zamachu na Grady'ego. Do głowy by mi nie przyszło, Őe chce po prostu uwolnić Constable'a. - Zamilkł na chwilę. - Chyba Őe ucieczka teŜ jest zmyłką, a Weir naprawdę chce zabić Grady'ego.

To moŜliwe - przytaknęła Amelia.

-

Odkryłaś jakieś ślady Maga?

-Nie.

Rozumiem. Nadal ślęczę nad tym, co znalazłaś w areszcie.

Wracaj, wspólnie się temu przyjrzymy.

Nie wróćę, Rhyme. - Spojrzała na korytarz. Kilkudziesięciu ciekawskich zgromadziło się przed stanowiskiem oficera dyŜnego, a wszyscy gapili się na zabezpieczone korytarze. - On tu gdzieś jest. Mam zamiar na niego zapolować.

Opracowane przez Suzuki lekcje gry na pianinie dla dzieci opierały się na zasadzie opanowywania kilkunastu ćwiczeń z coraz to trudniejszych podręczników. Kiedy uczeń opanował ćwiczenia z któregoś z podręczników, rodzice często wydawali przyjęcie dla dziecka, zapraszając na nie najbliższych przyjaciół, rodzinę i nauczyciela muzyki. Rzecz jasna częścią tego przyjęcia jest krótki recital.

Przyjęcie na cześć Christine Grady, która właśnie przyswoiła sobie „Trzeci tom ćwiczeń” Suzuki, miało się odbyć za tydzień. Dziewczynka ciężko pracowała, siedząc w krótkim pokoju ich miejskiego mieszkania i przygotowując się do koncertu. W tej chwili siedziała przy fortepianie, ćwicząc „Dzikiego jeźdźca” Schumanna.

Jej pokój do ćwiczeń był mały i mroczny, ale Chrissy go uwielbiała. Stało tu kilka krzeseł, kilka półek na nuty i przepiękny krótki fortepian koncertowy, skąd zresztą wzięła się nazwa pokoju.

Wykonanie andante z „Sonatiny C dur” Clementiego wyszło jej może nie doskonale, ale całkiem dobrze. Dziewczynka nagrodziła samą siebie, grając sonatinę Mozarta, jedną z jej ulubionych. Wydawało jej się jednak, że nie gra tak dobrze, jak potrafi - Rozpraszała ją kręcący się wszędzie policjanci. Prawda, wszyscy oni byli bardzo mili, rozmawiali z nią o „Gwiezdnym wojnach”,

„Harrym Potterze” i grach komputerowych i przez cały czas się uśmiechali. Ale Chrissy bezbłędnie wyczuwała, że tak naprawdę wcale się nie uśmiechają i chodzi im tylko o to, żeby się nie martwiła, więc ta ich fałszywa swoboda sprawiała, że bała się jeszcze bardziej.

Obecność policjantów w domu oznaczała, że ktoś próbuje skrzywdzić tatę. O siebie Chrissy wcale się nie martwiła, straszne wydawało jej się to, że ktoś może odebrać jej tatusia. Bardzo chciała, by przestał występować przed sądem. Długo zbierała się na odwagę, ale w końcu go o to zapytała. Ale na jej pytania tata

odpowiedział swoim:

Lubisz grać na fortepianie, skarbie?

Bardzo.

Ja tak samo bardzo lubię wykonywać swoją pracę.

Aha, fajnie - odparła, choć wcale nie sądziła, że to było fajne. Gra na fortepianie nikogo przecież nie drażni, nikt cię za nią nie nienawidzi, a już z pewnością nie chce cię zabić. Dziewczynka przymknęła oczy, skoncentrowała się na grze, popełniła błąd w pasażu, spróbowała ponownie.

Dosłownie przed chwilą dowiedziała się, że nie będzie im wolno tu mieszkać, że muszą się gdzieś przenieść. Na dzień, może dwa, obiecywała matka, ale co będzie, jeśli okaże się, że potrwa to dłużej? Co będzie, jeśli odwołają jej przyjęcie? Chrissy zdenerwowała się, przestała grać. Zamknęła nuty, schowała je do tornistra.

Hej, a co to takiego?

Na podstawce pod nuty leżało ciasteczko miętowe i wcale nie to małe, wręcz przeciwnie, wielkie, takie, jakie sprzedają przy kasach Food Emporium. Ciekawe, kto je zostawił? Mama nie pozwalała nikomu jeść w krótkim pokoju, nawet córce, a już zwłaszcza lepkich słodczy i to podczas ćwiczeń.

Może to prezent od taty? Tata miał wyrzuty sumienia z powodu tych wszystkich kręcących się po mieszkaniu policjantów i dlatego, że wczoraj nie mogła grać w Neighborhood School.

Jasna sprawa. To musi być prezent od taty. Chrissy wyjrzała zza niedomkniętych drzwi. Po korytarzu kręciło się mnóstwo ludzi. Słyszała ich głosy i jeden z nich poznała: miękki, sympatyczny, naleśający do miłego detektywa z Karoliny Północnej, który miał dwóch synów; obiecał jej, że kiedyś się poznają. Mama wyniosła walizkę z sypialni. Miała smutną minę i mówiła właśnie:

-

Przecież to szaleństwo! Nie potraficie znaleźć jednego czło-
wieka? Cała policja? Nie rozumiem.

Chrissy usiadła wygodnie, rozpakowała ciasteczko i zjadła je powoli. Kiedy skończyła, przyjrzała się palcom. No tak, pobrudziła się czekoladą. Powinna pójść do łazienki i umyć ręce. A przy okazji spłucze celofan w toalecie i mama o niczym się nie dowie. Nazywało się to „niszczeniem dowodów”; mówili o tym w telewizyjnym programie CSI. Rodzice nie pozwalali jej go oglądać, ale czasami się udawało.

Roland Bell i Charles Grady powrócili szczęśliwie do mieszkania prokuratora. Rodzina zaczęła pakować się przed przeniesieniem do bezpiecznego domu, który znajdował się w okolicach Murray Hill. Detektyw przede wszystkim zasunął zasłony i ostrzegł Gradych, by nie zbliśali się do okien. Wyraźnie było widać, że bardzo ich tym zaniepokoił, ale uspokajanie ludzi nie naleśało do jego obowiązków. Płacono mu za to, żeby nie pozwolił cwany mordercom ich zabijać.

Odezwała się jego komórka. Dzwonił Rhyme.

- Wszyscy bezpieczni? - spytał bez wstępów.

Jak świeśo przewinięte niemowlę w łóśeczku.

Constable powędrował do specjalnie zabezpieczonej celi

Pilnowany przez dobrze nam znanych strażników, co?

Amelia twierdzi, że chociaż Weir jest dobry, nie da rady zmienić się w dwóch Shaquille'ów O'Nealów.

Rozumiem. Co z tym jego prawnikiem?

Rothem? Przesyja. Chociaż nieźle oberwał. Teraz... - Rhyme przerwał. Słuchał kogoś z laboratorium; Bellowi wydawało się, że słyszy cichy głos Mela Coopera. Nie trwało to długo. - Nadal sprawdzam to, co Amelia znalazła w areszcie. Na razie nie mam żadnych szczegółowych śladów, ale jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Bedding i Saul znaleźli pokój, otwierany tym plastikowym kluczem. W Lanham Arms.

Kto go wynajął?

Nazwisko i adres fałszywe, ale opis idealnie pasuje do Weira. Za szafką technicy znaleźli strzykawkę. Nie wiemy, czy został nią Weir, ale zakładamy, że tak. Mel znalazł na igle ślady czekolady i sacharozy.

Sacharoza to cukier, tak?

Owszem. A w strzykawce był arszenik.

Ktoś wstrzyknął truciznę w słodycze? - domyślił się Bell

-
Na to wygląda. Spytaj Grady'ego, czy ktoś przysyłał im ostatnio jakieś czekoladki lub coś podobnego.

Bell przekazał pytanie Rhyme'a. Zarówno prokurator, jak i jego Sona stanowczo zaprzeczyli.

Wyraźnie zaniepokoiło ich nawet takie niewinne pytanie.

-
Nie mamy w domu słodyczy - powiedziała z naciskiem pani Grady.

-
Powiedziałeś, że zaskoczył cię dziś po południu, bo zdołał dostać się do mieszkania bez niczyjej pomocy? - zwrócił się do detektywa Rhyme.

-

Jasne. Byliśmy pewni, że złapiemy faceta przy wejściu, w piwnicach albo na dachu. Nie spodziewaliśmy się, że może wejść frontowymi drzwiami.

Czyli mógł mieć czas na zostawienie słodyczy w kuchni?

Z pewnością nie tam - wyjaśnił Bell. - W kuchni siedzieliśmy Lou i ja.

Czy miał dostęp do jakichś innych pokoi w mieszkaniu?

Bell przekazał to pytaniem Grady'emu i jego Sonie.

A o co chodzi, Rolandzie? - zdziwił się prokurator.

Lincoln znalazł właśnie jakieś nowe dowody i twierdzi, że

Weir mógł przemyścić tu truciznę. Najprawdopodobniej w słodyczach. Nie jesteśmy pewni, ale...

Słodyczach? - odezwał się cichy głos za ich plecami.

Bell, Grady i kilku innych gliniarzy, opiekujących się rodziną prokuratora, odwróciło się jak na komendę. W drzwiach stała Chrissy, patrząc na detektywa szeroko rozwartymi ze strachu oczami.

Chrissy? Co się stało? - zdumiała się jej matka.

Słodyczach? - powtórzyła dziewczynka.

Upuściła na podłogę plastikowe opakowanie po ciasteczku

i rozplakała się.

Bell stał na chodniku przed domem Grady'ego, obserwując przechodniów. Czuł, jak pocałować mu się dłonie.

Dziesiątki ludzi.

Czy któryś z nich jest Weirem?

Albo kimś z tego ich cholernego Stowarzyszenia Patriotycznego?

Podjechała karetka, wyskoczyło z niej dwóch sanitariuszy. Nim dobiegli do wejścia, Bell zatrzymał ich i dokładnie sprawdził

dokumenty.

373

-

Co się dzieje? - spytał jeden z nich, najwyraźniej urażony

Ale detektyw zignorował go i zawołał głośno: „W porządku, wy prowadźcie ją!”.

Sprawdził parkujące w pobliżu samochody, obejrzał przechodniów, spojrzał w okna

sąsiednich budynków. Gdy uznał, że jest bezpiecznie, gwizdnął. Luis Martinez, potężny i jak zwykle spokojny, wyprowadził do karetki Chrissy i jej matkę.

U dziewczynki nie stwierdzono jeszcze śladnych objawów zatrucia, choć była bardzo blada i

trzęsła się od płaczu. Zjadła ciasteczko miętowe, które w tajemniczy sposób pojawiło się w jej pokoju. Bell wiedział, że zostawił je tam Weir; po włamaniu do mieszkania mógł tam wejść bez najmniejszych problemów. Ale detektyw nie rozumiał po prostu, jak można być

człowiekiem aŜ tak złym, by Ŝwiadomie usiłować skrzywdzić dziecko i choć w swoim czasie on teŜ dał się nabrać na gładką gadkę Constable'a, to teraz zrozumiał, do jakiego stopnia zdeprawowani sã członkowie Stowarzyszenia Patriotycznego.

RóŜnice między kulturami? RóŜnice między rasami? O, nie! Jest tylko jedna róŜnica. Dobro i uczciwość z jednej strony, zło z drugiej.

Bell poprzysięgł sobie, Ŝe jeśli dziewczynka umrze, uczyni celem swego Ŝycia dopilnowanie, by i Weir, i Constable zapłacili za to najwyŜszã cenę.

-

Nie martw się, skarbie - powiedział kojącem głosem do Chrissy, której jeden z sanitariuszy mierzył wlaŜnie ciŜnienie.

- Nic ci nie będzie.

Dziewczynka nie odpowiedziała, nadal cicho szlochała. Detektyw zerknął na jej matkę. Pani Grady patrzyła na córkę ze strachem i czułościã, lecz na jej twarzy widać teŜ było gniew, wielokrotnie przewyŜszający ten, który czuł Bell.

Roland Bell zadzwonił do centrali i natychmiast przełączony został na izbę przyjęć szpitala, do którego jechali.

Podjedziemy do was za jakieŜ dwie minuty - powiedział do dyŜurnej pielęgniarki. A teraz proszę wysłuchać mnie bardzo, ale to bardzo uwaŜnie: izba przyjęć i korytarze prowadzące do odziału zatrucić macie oczyścić z ludzi. Wszystkich ludzi. Nie chcę widzieć nikogo, kto nie nosi identyfikatora ze zdjęciem!

Detektywie, tego nie moŜemy zrobić - zaprotestowała bieta. -To jest bardzo ruchliwa część szpitala.

Nalegam, szanowna pani.

Nie rozumiem.

- Nalegam. Mamy uzbrojonego zabójcę, polującego na małą dziewczynkę i jej rodzinę. Jeśli zauważymy kogoś bez identyfikatora, aresztujemy go... i nie będziemy wykazywać się cierpliwością.

Mówimy o izbie przyjęć szpitala miejskiego, detektywie. -

Pielęgniarka wyraźnie traciła cierpliwość. - Czy wie pan, na ilu ludzi patrzę w tej chwili?

Proszę pani, nie mam pojęcia. Proszę sobie tylko wyobrazić, że patrzy pani na nich, a oni wszyscy leżą na brzuchach i są związani jak świnie. Tak to będzie wyglądało, jeśli nie usunie ich pa ni przed naszym przyjazdem. A tak przy okazji to zostały już niepełna dwie minuty.

-

S

prawy zmieniają barwę. Charles Grady siedział skulony na pomarańczowym plastikowym krześle w poczekalni przed salą ostrego duŜuru, wpatrzony w zielone linoleum, wydeptane dziesiątkami tysięcy stóp.

-

Sprawy kryminalne, oczywiście.

Roland Bell siedział obok prokuratora. Potężne ciało Luisa sięgało od futryny do futryny jednych drzwi, przy drugich, prowadzących na korytarz, czuwał inny z jego podwładnych z oddziału SWAT, Graham Wilson, poważny, przystojny detektyw, specjalista od rozpoznawania ludzi noszących ukrytą broń. Jego przenikliwe spojrzenie działało niczym aparat rentgenowski.

Pani Grady towarzyszyła córce podczas badań wraz z dwóm pilnującymi ich funkcjonariuszami Bella.

-

Na studiach miałem takiego profesora - mówił dalej Grady, nieruchomy, jakby wyrzeźbiony z kawałka drewna. - Był prokuratorem, potem sędzią. Powiedział nam kiedyś na ćwiczeniach, Őe choć praktykuje prawo przez wiele lat, nigdy nie spotkał swej drodze czarno-białej sprawy. Wszystkie miały róŜne odci«

nie szarości. Były wśród nich cholernie ciemnoszare, były cholernie jasnoszare, ale wszystkie można było nazwać po prostu szarymi.

Bell zerknął na korytarz. Pielęgniarki przygotowały improRIGHT SQUARE BRACKET zwaną poczekalnią dla rannych

rolkarzy i rowerzystów. Zgodni z jego poleceniem tę część szpitala pozostawiono pustą.

-

Ale kiedy włączysz się w sprawę - ciągnął prokurator - to zmienia ona kolor. Staje się czarno-biała. Niezależnie od tego, czy jesteś oskarŜycielem czy obrońcą, to już koniec wszechobecnej szarości. Twoja strona ma sto procent racji, jest tą dobrą,

376

I *

a przeciwna - w stu procentach złą. Dobro i zło. Ten profesor twierdził, Ő trzeba się bronić przed takim myśleniem. Musisz zawsze pamiętać, Ő istnieją tylko róŜne odcienie szarości.

Bell dostrzegł pielęgniarkę. Młody Latynos nie wydawał się groźny, ale mimo to skinął na

Wilsona, by sprawdził jego identyfikator.

Chrissy przebywała w sali operacyjnej już piętnaście minut. Dlaczego nikt nie przyjdzie, nie powie im, co się właściwie dzieje?

- Wiesz, Rolandzie - mówił dalej Grady - przez wszystkie te miesiące, odkąd dowiedzieliśmy się o spisku w Canton Falls, widziałem sprawę Constable'a jako czarno-białą. Do głowy mi nie przyszło, Ő może być szara. Rzuciłem przeciwko niemu wszystko, czym dysponowałem.

- Prokurator roześmiał się ponuro, spojrział w stronę korytarza i natychmiast spowaŜniał. -

Gdzie jest ten lekarz? - spytał cicho, opuszczając głowę. - Ale... - ciągnął - ...gdybym widział

ją szarą, to pewnie nie przydeptywałbym go tak mocno. Gdybym poszedł na kompromis, to

może nie wynająłby Weira? Może nie... - Umiął i tylko ruchem głowy wskazał w kierunku sali operacyjnej, gdzie leżała w tej chwili jego córka. Zachłysnął się i przez chwilę płakał cicho.

-

Moim zdaniem twój profesor się mylił, Charles - powiedział cicho Bell. - A już z pewnością mylił się, jeśli chodzi o takiego Constable'a. Ktoś zdolny zrobić coś, co on zrobił... tu nie ma od cieni szarości.

Grady przetarł twarz drżącymi dłońmi.

-

Twoi synowie, Rolandzie? Byli kiedyś w szpitalu?

Byli. Odwiedzali matkę aż do jej śmierci. Ale Roland Bell nie miał zamiaru o tym rozmawiać.

-

Bywali, owszem - powiedział niedbale. - Nic poważnego, opatrywanie czoł i palców uszkodzonych przez piłkę do softballu.

Albo przez zawodnika przebiegającego po nich z piłką.

-

Widzisz? To odbiera człowiekowi oddech. Po prostu zatyka.

Kilka minut później na korytarzu coś się zaczęło dziać. Lekarz w zielonym fartuchu dostrzegł

Grady'ego i ruszył powoli w jego kierunku. Bell nic nie odczytał z jego twarzy.

-

Charles - powiedział cicho.

Prokurator siedział ze spuszczoną głową, kątem oka śledził

jednak każdy krok lekarza.

-

Czarno-białe - szepnął. - O, Chryste!

Wstał.

Lincoln Rhyme zapatrzył się przez okno w ciemniejące, wieczorne niebo. Z zadumy wyrwał go dzwonek telefonu.

-

Polecenie, przyjąć rozmowę.

Kliknięcie.

-Tak?

-

Lincoln? Tu Roland.

Mel Cooper odwrócił się i spojrzał przejęty na kryminalistykę. Jak wszyscy wiedział, że

Roland Bell jest w szpitalu z rodziną Gradych.

-I co?

-

Nic jej nie będzie.

Cooper przymknął oczy i podziękował Bogu. Rhyme tak że poczuł wielką ulgę.

śladnych śladów trucizny?

śladnych. Ciasteczko jak ciasteczko.

A więc to tak? Se zmyłka - rzekł z namysłem.

Najwyraźniej.

Tylko... o co mu chodzi, do cholery? - spyta! cicho Rhyme,
kierując to pytanie bardziej do siebie niż do Bella czy kogokol
wiek ze swego otoczenia.

Wszystkie pieniądze postawię na to, że Weir kieruje nas na
Grady'ego - powiedział detektyw. - Co oznaczałoby, że ma jakiś plan
wyciągnięcia Constable'a z aresztu. Jest gdzieś w gmachu sądów.

Jedziecie do bezpiecznego domu?

Owszem. Całą rodziną. Będziemy tam siedzieć, aż złapiesz
faceta.

Aż go złapię. A co z „jeśli go złapię”?

Skończyli rozmowę. Rhyme odwrócił! wózek od okna, podjechał do tablic z wypisanymi na
nich porządnie, po kolei gromadzonymi dowodami.

Ręka jest szybsza niż oko.

Nie. Wcale nie.

O co chodzi temu mistrzowi iluzji?

Czując, jak ścięgnięta na jego szyi napinają się aż do granicy skurczu, wyrzwał przez okno,

spróbował się uspokoić, logicznie pomyśleć o zagadce, przed którą stanęli.

Hobbs Wentworth, wynajęty morderca, nie był. Grady'emu i jego rodzinie zapewniono bezpieczeństwo. Constable był doskonale przygotowany do ucieczki z sali przesłuchań, ale Weir nie przyszedł mu z pomocą w żadnym widocznym sposób. Wyglądało więc na to, że jego plany diabli wzięli.

378

Ale Rhyme nie zamierza! przyjąć tego oczywistego założenia. Sugerując zamach na Sycie

Christine Grady, odciągnął ich uwagę od śródmieścia i kryminalistyk był skłonny przychylić się do opinii Rolanda Bella, że wkrótce mogą mieć do czynienia z kolejną próbą uwolnienia Andrew Constable'a. A może chodziło o coś jeszcze innego, na przykład o zamach na

Constable'a, uniemożliwiający mu złożenie zeznań.

Nie wiedział, co robić, i strasznie go to denerwowało. Rhyme już dawno temu pogodził się z myślą, że w swym obecnym stanie nigdy osobiście nie złapie sprawcy. Kompensował to sobie inteligencją. Siedział nieruchomy w fotelu inwalidzkim, leżał w łóżku, ale to nie

przeszkadzało mu w osiągnięciu intelektualnej przewagi nad przeciwnikiem.

Ale nad Weirem, nad Magiem, nie udało mu się osiągnąć przewagi. Mag był człowiekiem zdolnym zmylić każdego.

Rhyme zastanawiał się w tej chwili, co jeszcze można zrobić, by znaleźć odpowiedzi na pojawiające się w związku z tą sprawą pytania.

Sachs, Sellitto i jednostki ratownicze przetrząsali areszt miejski i gmach sądów. Kara rozmawiała z Kadeskim w Cirque Fantastique. Thom telefonował do Keatinga i Loessera,

byłych asystentów zabójcy. Miał spytać ich, czy Mag kontaktował się z nimi wczoraj lub czy może przypomnieli sobie coś, co mogłoby okazać się przydatne. Zespół Badania Dowodów Fizycznych, wysłany od FBI, przeszukiwał gabinet w gmachu rządowym, miejsce

śmierci Hobbsa Wentwortha, a technicy w Waszyngtonie zajmowali się analizą włókien i fałszywej krwi, znalezionych przez

Amelię Sachs w areszcie.

Co jeszcze można zrobić, by dowiedzieć się, o co chodzi Weirowi? - pytał sam siebie Rhyme.

Pozostało tylko jedno.

Rhyme zdecydował się zrobić to, czego nie robił od lat.

Sam zaczął chodzić po siatce. Rozpoczął w pokoju zatrzymań męskiego aresztu miejskiego,

po czym przeniósł się na kręte korytarze, oświetlone zgnitozielonymi lampami

fluorescencyjnymi. Mijał narożniki, których ostre kandy starły obijające się o nie wózki i palety. Zaglądał do szafek i do kotłowni. Tropił ślady...

i myśli Ericka Weira.

Pracował oczywiście z zamkniętymi oczami, wyłącznie w wyobraźni. A jednak w jakiś

sposób tropił przeciwnika.

379

Światła zmieniły się na zielone. Malerick delikatnie dodał gazu. Myślał o Andrew

Constable'u, który na swój sposób też był magiem, a przynajmniej tak twierdził Jeddy Barnes.

Niczym doskonały mentalista Constable oceniał człowieka w sekundę i natychmiast

przyjmował sposób zachowania, który czynił z nowo poznanego jego wierne przyjaciela.

Przemawiał z humorem, inteligentnie, przystępnie. Był zawsze racjonalny i zawsze słuchał dyskutanta.

Doskonale sprzedawał się naiwniakom.

A naiwniaków na tym świecie nie brakowało. Mogło się wydawać, że ludzie nie wierzą w nonsensy sprzedawane przez Stowarzyszenie Patriotyczne i podobne do niego ugrupowania.

Ale, jak dawno temu zauważył wielki impresario sztuki cyrkowej, którą uprawiał przeciw sam Malerick, P. T. Barnum, co minuta rodzi się na ziemi jakiś frajer.

Jadąc powoli w korkach, jakże charakterystycznych dla niedzielnego popołudnia, Malerick wyobrażał sobie, jak zdumiony był Constable, gdy nadeszła chwila ucieczki. W jego plan wpisane było unieszkodliwienie prawnika. Kilka tygodni temu, w restauracji w Bedford Junction, Jeddy Barnes powiedział:

Wie pan, panie Weir, chodzi o to, że Roth jest sydem. Andrzej załatwi go z radością.

Mnie tam nie sprawia to żadnej różnicy - powiedział Malerick. - Jeśli chce, może go nawet zabić. Na plan to nie wpłynie.

Byle usunął go z drogi.

Barnes skinął głową.

-

Spodziewam się, że będzie to dobra nowina dla pana Constable.

Z radością wyobrażał sobie rosnącą rozpacz i panikę Constable, siedzącego obok stygnącego ciała prawnika, czekającego, a Weir przybędzie z bronią i przebraniem i wyprowadzi go z aresztu, czego przeciw wcale nie planowano.

Otworzą się drzwi pokoju przesłuchań, dziesiątki strażników zawloką go z powrotem do celi.

Proces potoczy się jak powinien i Constable oraz Wentworth, Barnes i cała reszta podobnych im neandertalczyków z północy stanu Nowy Jork nigdy nie dowie się, jak i do czego zostali uwięzieni.

Czekając na kolejną zmianę światła, zastanawiał się, co z jego kolejną zmyłką, „Otruta dziewczynką”. Przyznałby chętnie, że jest melodramatyczna, wręcz szablonowa, ale lata występów

na scenie nauczyły go, że im płytszy schemat, tym bardziej cieszy się 380

nim przeciętny widz. W tym wypadku nie wykazał się wyrafinowaniem, nie mógł przecież mieć pewności, że w Lanham znajdą strzykawkę, nie wiedział też, czy dziewczynka - lub ktokolwiek inny - zje ciasteczko. Ale Rhyme i jego ludzie byli wystarczająco dobrzy, by założyć, że odkryją, co podano im do odkrycia i - przerażeni - uznają, iż to kolejny zamach na Sycie prokuratora i jego rodziny. I w końcu stwierdzą, że w ciasteczku nie było trucizny.

Co wówczas zrobią?

Uznają, że są gdzieś może inne zatrute ciasteczka. A może wezmą to za zmyłkę, mającą odciągnąć ich uwagę od aresztu męskiego, bo przecież Malerick może mieć kolejny plan na uwolnienie Constable'a.

Mówiąc wprost, policja też będzie pływać w bagnie ignorancji... bo i skąd ma wiedzieć, co się dzieje?

A więc, szacowni widzowie, przez dwa ostatnie dni byliście świadkami wyrafinowanego połączenia fizycznego i psychologicznego odwrócenia uwagi.

Fizycznego - przez skierowanie uwagi na mieszkanie Charlesa Grady'ego i gmach męskiego aresztu miejskiego.

Psychologicznego - przez odwrócenie uwagi od tego, czego Malerick rzeczywiście chciał dokonać, ku czemuś bardzo prawdopodobnemu, co - jak mu się zdawało - odkrył ku swej wielkiej satysfakcji Lincoln Rhyme: zabójstwu Grady'ego i uwolnieniu Andrew Constable'a.

Od chwili gdy policja wydedukowała, że takie ma cele, przestała szukać jakichkolwiek wyjaśnień.

A prawdą było to, że Malerick w najmniejszym nawet stopniu nie interesował się sprawą Constable'a. Umiejętnie dostarczał dowodów: iluzjonistyczne sztuczki związane z pewnymi aspektami cyrkowego Sycia przy okazji pierwszych trzech zbrodni, but z przylepioną do podeszwy psią sierścią i ziemią, odniesienia do pośaru w Ohio, związki z Cirque

Fantastique... wszystko to przekonało policję, że jego intencją nie była zemsta na Kadeskim, ponieważ, jak powiedział mu Lincoln Rhyme, było to zbyt oczywiste. Musiało chodzić o coś zupełnie innego.

Ale nie chodziło.

W tej chwili, ubrany w fartuch sanitariusza, wjechał karetką przez boczną bramkę prowadzącą do namiotu Światowej Sławy, Wielkiego, Uznanego przez Krytyków na Całym Świecie Cirque Fantastique.

Zaparkował pod rusztowaniem łóŜ, wysiadł z szoferki, rozejrzał się dookoła. Nikt nie zwrócił uwagi na karetkę: ani policja,

381

ani Saden z wielu strażników, ani pracownicy cyrku. Po porannej panice, spowodowanej informacją o podłożeniu bomby, obecność karetki w tym miejscu wydawała się całkowicie naturalna.

Spójrzcie, szacowni widzowie, oto iluzjonista, stojący pośrodku niewidocznej jeszcze sceny.

Oto „znikający człowiek”, obecny, lecz niewidzialny.

Nikt nie zainteresował się samą karetką, która nie była wcale prawdziwą karetką, tylko

„fałszywką”, samochodem kupionym kilka miesięcy temu, który samodzielnie upodobił do ambulansu. Zamiast wyposażenia medycznego za przednim siedzeniem znajdowało się kilkanaście plastikowych beczek z ponad trzema tysiącami litrów benzyny, podłączonych do

prostego detonatora. Już wkrótce benzyna zapłonie, zabójcza kula ognia sięgnie namiotowego płótna, ławek i ciał przeszło dwóch tysięcy ludzi.

A wśród nich będzie Edward Kadesky.

Bo widzi pan, panie Rhyme, kiedy rozmawialiśmy w pańskiej sypialni, podczas numeru

„Zwęglony człowiek”, to ja tak tylko sobie gadałem. Kadesky i Cirque Fantastique

zrujnowały mi życie, zabiły ukochaną, więc mam zamiar ich zniszczyć. Chodzi właśnie o zemstę. Tylko i wyłącznie o zemstę.

Ignorowany przez wszystkich Malerick spokojnie wyszedł z namiotu. Wkrótce pozbędzie się

fartucha sanitariusza, dokona szybkiej zmiany i wróci wieczorem. Zajmie miejsce na widowni i będzie oglądał wspaniałą kulminację własnego przedstawienia.

D

o namiotu wchodziły rodziny, grupki przyjaciół, pary oraz mnóstwo rozbawionych dzieci.

Zapełniały się ławki, krzeselka i łosze, ludzie zmieniali się powoli w nowy twór: widzów; całość zupełnie inną niż składające się na nią części. Metamorfozy...

Kara westchnęła. Zatrzymała przechodzącego obok strażnika. - Proszę pana, czekam bardzo długo. Nie wie pan, kiedy wróci pan Kadesky? To bardzo ważna sprawa.

Strażnik nic nie wiedział, podobnie jak dwóch kolejnych pracowników cyrku, do których zwróciła się z tym pytaniem.

Zerknęła na zegarek i serce jej się ścisnęło. Oczami wyobraźni widziała leżącą w łóżku matkę, rozglądającą się po pokoju, przytomną, tryskającą energią, zastanawiającą się, gdzie też podziąła się jej córka. Dziewczyna omal nie rozplakała się ze złości. Wpadła w pułapkę.

Wiedziała, że musi zostać, zrobić wszystko, co w jej mocy, by powstrzymać Weira, a jednak bardziej niż cegokolwiek pragnęła znaleźć się przy boku matki.

Wróciła do wielkiego, jaskrawo oświetlonego namiotu. Artyści zgromadzili się za sceną, gotowi do występu; ich twarze zasłaniały owe niesamowite maski rodem z komedii delParte.

Niektóre z siedzących na widowni dzieci także miały maski, kupione w stoiskach z pamiątkami: haczykowate złowrogie nosy, okrągłe nosy klaunów, ostre dzioby. Rozglądały się dookoła, podniecone i zachwycone... lecz, zauważyła Kara, nie wszystkie. Niektóre

rozglądały się dookoła niepewnie. Być może maski i niesamowite dekoracje zbytnio przypominały im filmowe horrory?

Kara uwielbiała występy dla dzieci, choć wiedziała, że wymagają niezwyklej ostrości i skupienia uwagi; rzeczywistość

383

dzieci różniła się od rzeczywistości dorosłych, iluzjonista bardzo łatwo mógł zniszczyć ich poczucie spokoju. Dla młodej widowni wykonywała wyłącznie zabawne iluzje, po czym, bywało, gromadziła widownię wokół siebie, na scenie, i - jak to mówią iluzjoniści - puszczała farbę.

Kara była świadoma otaczającej ją ze wszystkich stron magii. Poruszona, oczekiwała początku przedstawienia, jakby sama miała w nim wystąpić. Czowała, że poca jej dłonie.

Och, oddałyby wszystko, by czekać teraz w jednym z namiotów słuchających za garderoby.

Zadowolona, pewna siebie, ale też napięta, z uwagą obserwowała zegar odliczający czas do występu, podczas gdy serce biłoby jej coraz szybciej. Na tym świecie nie sposób czuć się lepiej.

Uśmiechnęła się smutno. Owszem, dostała się do Cirque Fantastique.

Jako goniec.

W tym momencie musiała zadać sobie pytanie: czy jestem wystarczająco dobra? Mimo tego, co mówił David Balzac wierzyła, że tak. Przynajmniej tak dobra jak, powiedzmy, Harry Houdini podczas swych pierwszych występów, kiedy to jedynymi uwalniającymi się z więzów byli widzowie, wymykający się z pokazu, znudzeni lub nawet zaśmiewani tym, jak psuł nawet najprostsze sztuczki. Robert-Houdin u progu swej wielkiej kariery nudził widownię do tego stopnia, że uciekał się do nakręcanych zabawek -automatów, w tym słynnego Turka, który zamiast niego grał z wybranymi widzami w szachy.

Gdy jednak obserwowała kulisy, setki ludzi, którzy występowali na arenie od dziecka, w głowie słyszała głos Davida Balzaca: „Jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie...”. Przyjmowała tę opinię z rozczarowaniem, ale była ona dla niej w pewien sposób wygodna. Ma rację, zdecydowała. On jest mistrzem, ja tylko terminuję. Muszę zaufać opinii eksperta. Jeszcze rok, może dwa lata. Warto poczekać.

A poza tym mama...

Być może mama siedzi w tej chwili w łóŜku, rozmawia z Jaynene i zastanawia się, gdzie jest córka... córka, która porzuciła ją w chwili, gdy powinna być przy jej boku.

Na schodach pojawiła się asystentka Kadesky'ego, skinęła na nią dłonią. Czy to juŜ...?

Błagam!

Ale nie.

- Telefonował przed chwilą - powiedziała młoda kobieta. - Miał w radiu wywiad, który się trochę przeciągnął. Przyjedzie lada chwila. Tam jest jego loŜa. MoŜe pani w niej poczekać.

Kara skinęła głową i, przygnębiona, udała się do wskazanej loŜy. Usiadła, rozejrzała się dookoła. Magiczna transformacja dobiegła wreszcie końca: na widowni nie było wolnego miejsca. MęŜczyźni, kobiety i dzieci stali się wreszcie widzami.

Łup!

Kara drgnęła. Przez namiot przetoczył się potężny huk bębna. Światła zgasły, zapanowały egipskie ciemności, w mroku widać było jedynie czerwone światełka nad wyjściami awaryjnymi.

Łup!

Na widowni zapadła martwa cisza.

Łup... łup... łup!

Kolejne, potężne, powolne uderzenia w bęben. Czuło się je całym ciałem.

Łup... łup...!

Jasne światło punktowego reflektora oświetliło środek sceny i stojącego na niej Arlekina, ubranego w kraciasty strój i maskę. Arlekin uniósł berło wysoko nad głowę, rozejrzał się dookoła figlarnie.

Łup!

Arlekin zrobił pierwszy krok. Ruszył wokół sceny, a za nim szła procesja artystów: innych

postaci z commedia delParte oraz duchów, elfów, ksiąŜat, księŜniczek, czarodziejów.

Niektórzy po prostu maszerowali, inni tańczyli, jeszcze inni wykonywali numery akrobatyczne z fascynującą powolnością akrobatów występujących pod wodą, niektórzy szli na szczudłach z gracją, która dana jest niewielu ludziom spacerującym swobodnie na własnych nogach, niektórzy wreszcie jechali na rydwanach i wózkach, udekorowanych siatkami, piórami, koronkami i małymi świecącymi światełkami. A wszyscy poruszali się w rytmie narzucanym przez bęben.

Łup... łup...!

Zamaskowane twarze, twarze pomalowane białą, czarną, srebrną i złotą farbą, twarze błyszczące od lśniącego pudru. Dłonie Ŝonglujące świecącymi kulami, niosące pochodnie, świece i latarnie, rozrzucające confetti białe jak śnieg.

Była to procesja powolna, dostojna, lecz takŜe groteskowa i zabawna...

Łup!

384

385

...średniowieczna i futurystyczna, hipnotyzująca. I z wielką siłą, wprost, przekazywała jedną myśl: cokolwiek istnieje poza tym namiotem, tu nie ma Ŝadnego znaczenia. MoŜesz zapomnieć o

wszystkim, czego nauczyłeś się o Śyciu i ludzkiej naturze, o samych prawach fizyki. Twe serce nie bije już swym naturalnym rytmem, lecz w rytm wielkiego bębna, dusza nie jest już twoja, lecz uleciała z tą nieziemską paradą, zmierzającą powoli, lecz nieuchronnie w świat iluzji.

Szacowni widzowie, oto wielki finał naszego występu. Nadszedł czas, by przedstawić najślawniejszą - i najbardziej kontrowersyjną - iluzję. Odmianę niesławnego „Płonącego lustra”.

Podczas przedstawienia, zaprezentowanego wam w tym tygodniu, widzieliście iluzje stworzone przez mistrzów tak słynnych jak Harry Houdini, P.T. Selbit czy Howard Thurston. Ale nawet oni nie ośmielili się wykonać „Płonącego lustra”.

Podczas tego numeru iluzjonista trafia do piekła. Otaczają go zbliżające się nieuchronnie płomienie, a jedyną drogą ucieczki jest lustro, również chronione ogniem.

Lecz niewykluczone, że nie ma drogi ucieczki? Muszę was uprzedzić, szacowni widzowie, że ostatnia próba przedstawienia „Płonącego lustra” skończyła się tragedią. Wiem, ponieważ tam byłem.

Zatem proszę, wykorzystajcie tę krótką wolną chwilę, rozejrzyjcie się dookoła, zastanówcie, co byście zrobili, gdyby zdarzyło się nieszczęście.

Chociaż nie, na to jest już za późno. Być może najlepsze, co możecie teraz zrobić, to modlić się.

Malerick powrócił do Central Parku. Stał pod drzewem, niespełna pięćdziesiąt metrów od rozświetlonego w mroku, białego namiotu Cirque Fantastique.

Znów był brodaty, miał na sobie dres i gruby sweter z golfem. Spod czapki Chase Manhattan

10K Run for the Cure wyglądały spocone jasne włosy. Plamy fałszywego potu, wprost z

butelki, plamiły dres, dodając autentyczności kolejnej odgrywanej przez niego postaci:

pomniejszego urzędnika wielkiego banku, odbywającego niedzielną wieczorną przebieškę,

który zatrzymał się, by złapać oddech, i przy okazji obserwuje namiot cyrkowy. Zachowanie doskonale naturalne.

Uświadomił sobie, że jest wręcz przedziwnie spokojny. Przypomniało mu to dawne czasy, moment po otwarciu cyrku Hasbro, gdy nie dotarła jeszcze do niego cała groza tego, co się stało. Powinien wówczas skulić się, krzycząc z bólu, lecz on nic nie czuł. Zapadł w emocjonalną śpiączkę. I to samo czuł w tej chwili, słuchając muzyki, której niskie tony wydawały się nienaturalnie wzmocnione przez napięte namiotowe płótno, choć nie zagłuszały oklasków, śmiechów, zdumionych westchnień.

Gdy jeszcze Malerick występował, właściwie nie znał tremy. Skoro wiesz, że występ jest efektowny, skoro ćwiczyłeś wystarczająco często i długo, niby czym miałbyś się denerwować? I teraz tak nie czuł niepokoju. Zaplanował wszystko bardzo starannie, nie miał więc wątpliwości, że jego występ przebiegnie tak jak powinien.

Kiedy przyglądał się namiotowi w jego ostatnich minutach istnienia na tej ziemi, przed szerokim wyjściem towarowym, przez które wcześniej wjechał karetką, dostrzegł dwie postacie, mężczyzny i młodej kobiety. Rozmawiali o czymś z pochylonymi głowami, przemawiając jedno drugiemu do ucha; tylko w ten sposób można było porozumieć się mimo głośniejszej muzyki.

Tak! Mężczyzną był Kadesky. I po co było martwić się, że w momencie wybuchu producent będzie gdzieś daleko? A dziewczynę widział u Lincolna Rhyme'a. Miała śmieszne, rudofioletowe włosy.

Jestem iluzjonistką...

To ty tak twierdzisz, pomyślał z drwiną.

Kadesky wskazał dłonią wejście do namiotu. Oboje poszli powoli w tym kierunku. Zdaniem Malericka znaleźli się nie więcej niż trzy metry od fałszywej karetki.

Zerknął na zegarek. Już niemal czas.

A teraz, szacowni widzowie, moi przyjaciele...

Dokładnie o dziewiątej wieczorem z wejścia do namiotu wystrzeliła smuga ognia. Sekundę później tańczący cień płomieni ukazał się na płótnie namiotu Cirque Fantastique. Płonęły ławki, płonęły dekoracje, płonęli ludzie. Muzyka nagle umilkła, rozległy się rozpaczliwe krzyki, u szczytu namiotu pojawiły się kłęby dymu.

Malerick wpatrywał się w ten straszny widok szeroko rozwartymi oczami.

388

Kłęby dymu gęstniały, krzyki były coraz rozpaczliwsze.

Malerick całą siłą woli walczył z tym, by nie uśmiechać się nienaturalnie. Odmówił modlitwę dziękczynną; nie, nie wierzył w Śadne bóstwo, któremu naleŜałyby się słowa podzięk, zwrócił się więc do ducha Harry'ego Houdiniego, jego wzoru, świętego patrona iluzjonistów.

Usłyszał krzyki ludzi znajdujących się obok niego, w tym odległym zakątku parku, biegnących ku namiotowi, być moŜe po to, by pomóc ludziom, być moŜe po to, by po prostu się pogapić. Malerick odczekał jeszcze kilka chwil, ale wiedział, Őe wkrótce pojawią się tu setki policjantów. Przybrał zatroskany wyraz twarzy, wyciągnął telefon komórkowy i przyłoŜył go do ucha, jakby wzywał straŜ poŜarną. Wolnym krokiem przeszedł na chodnik.

Powinien iść dalej, jednak przystanął. Obejrzał się; gęsty dym nie zasłonił jeszcze wielkich flag przed namiotem. Na jednej z nich Arlecchino, Arlekin, wyciągał rękę ku widzowi.

Szacowni widzowie, jak widzicie, moja dłoń jest pusta.

Tylko Őe wzorem specjalistów od zręcznej ręki, dłoń Arlekina wcale nie była pusta. Ukrył w niej coś, bardzo zgrabnie, pod palcem odwróconej dłoni.

I tylko Malerick wiedział, co to jest.

Wiedział, Őe jest to śmierć.

Puszczenie farby

Niedziela, 18 kwietnia - wtorek, 22 kwietnia

Prawdziwie wielki iluzjonista przedstawia swą iluzję tak,
by ludzie poczuli się nie tylko zmyleni,
lecz takŜe głęboko poruszeni.

S.H. Sharp

N

a West Side Highway camaro Amelii, mknący w stronę Central Parku, osiągnął sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

W odróŜnieniu od FDR Drive, drogi szybkiego ruchu o bezkolizyjnych wjazdach, West Side Highway była tu wręcz najeŜona światłami drogowymi, a przy Czternastej Ulicy znajdował się garb, po którego pokonaniu uszkodzony chevrolet wpadł w poślizg, zarzucił niebezpiecznie i ze zgrzytem gniecionej blachy otarł się o betonową barierkę.

A więc morderca znów wprowadził ich w błąd kolejną genialną zmyłką. Celem Weira nie była ani śmierć Charlesa Grady'ego, ani uwolnienie Andrew Constable'a. Tym ich tylko

zwodził. Weir zamierzał zrobić to, co odrzucili wczoraj jako zbyt oczywiste. Zniszczyć Cirque Fantastique.

Rhyme zadzwonił, kiedy zamierzała sprawdzić jedną z ostatnich możliwych kryjówek w areszcie miejskim. Glocka trzymała wysoko, wyciągnęła nogę, by wykopać drzwi... i w tym momencie odezwała się krótkofalówka. Lon Sellitto i Roland Bell jechali do cyrku, Mel Cooper biegł do parku, kierował się tam takŜe Bo Haumann i kilkunastu funkcjonariuszy zespołu ratowniczego. Potrzebowali wszystkich sił, Lincoln Rhyme kazał jej wracać tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Jadę - powiedziała i wyłączyła radio. Odwróciła się, juŜ. miała pobiec korytarzem, ale zawahała się w ostatniej chwili i wykopała drzwi, przed którymi stała.

Na wszelki wypadek.

Pokoik był pusty i cichy... ale wyobraziła sobie, Ŝe słyszy kpiący śmiech zabójcy.

393

Pięć minut później siedziała juŜ za kierownicą camaro, wciskając gaz do dechy.

Na skrzyŜowaniu z Dwudziestą Trzecią zapaliło się czerwone światło. Na szczęście ruch był niewielki, więc przejechała skrzyŜowanie, polegając przede wszystkim na ciągle działającej kierownicy niŜ zawodnych hamulcach, no i na instynkcie samozachowawczym obywateli, poddających się przeciwko urokowi wystawionego na dach błękitnego migającego światła.

Przeskoczyła skrzyŜowanie, zredukowała bieg, wcisnęła gaz, przyspieszyła do sto pięćdziesiątki. Na siedzeniu pasażera odnalazła motorolę, wezwała Rhyme'a, poinformowała go, gdzie jest, i spytała, czego dokładnie od niej chce.

Malerick wyszedł z parku wolnym krokiem. Od czasu do czasu potrącali go ludzie biegnący w przeciwnym kierunku, w stronę pośaru.

Co się dzieje?

Jezu!

Policja... czy ktoś zawiadomił policję?

Słyszycie te krzyki? O, Boże!

Na rogu Central Park West i jednej z poprzecznych ulic zderzył się z młodą Azjatką, patrzącą na park z wyraźnym niepokojem.

-

Nie wie pan, co się tam stało? - spytała.

Malerick pomyślał: tak, wiem, co się stało. Męczyzna, który zniszczył mi życie... i jego cyrk... właśnie umierają. Ale marszcząc brwi, odparł:

-

Nie wiem. Ale to chyba coś poważnego.

Skinął głową i ruszył na zachód, rozpoczynając niespieszny powrót do mieszkania. Szedł okrężną drogą, dokonał także kilku szybkich zmian; mógł być całkowicie pewien, że nikt go nie śledzi.

Jego plan zakładał spędzenie nocy w domu i wyjazd do Europy następnego dnia. Tam zamierzał ćwiczyć przez kilka miesięcy, a potem wznowić występy... pod nowym

nazwiskiem. Poza „szacownymi widzami” nikt przecież nie wiedział, kim jest Malerick.

Malerick dopiero miał stać się sławny. Tylko jednego ślaował: nigdy już nie będzie mógł pokazać widzom swego ulubionego numeru, „Płonącego lustra”, związanego z nim tak ściśle, że z pewnością by go zdemaskował. A także wielu innych: bruchomówstwa, mentalizmu i kilku prostszych magicznych sztuczek. Jak wykazały zdarzenia z ostatniego tygodnia, sama różnorodność repertuaru była, jeśli można tak powiedzieć, puszczeniem farby na temat jego tożsamości.

Malerick doszedł do Broadwayu, przystanął, rozejrzał się, po czym zawrócił w stronę mieszkania. Cały czas obserwował okolicę i miał absolutną pewność, że nikt go nie śledzi.

Wszedł do domu, zatrzymał się w korytarzu, przez pięć minut przyglądał się ulicy. Przeszedł nią starszy pan z pudłem, Malerick rozpoznał w nim sąsiada mieszkającego po przeciwnej stronie ulicy, oraz dwie nastolatki liśące lody. Przejechał dzieciak na rolkach. Potem nie pojawił się już nikt. Ulica opustoszała, jutro był poniedziałek, dzień szkoły i pracy, ludzie siedzieli w domach, prasowali ubrania, pomagali dzieciom odrabiać lekcje lub też siedzieli przyklejeni do telewizorów, oglądając raport specjalny CNN o tragicznych zdarzeniach w Central Parku.

Wszedł do mieszkania i zgasił wszystkie światła.

Oto, szacowni widzowie, koniec przedstawienia. Wszystko się kiedyś kończy.

Naturą naszej profesji jest jednak to, że wszystko, co dla dzisiejszych widzów jest stare i zużyte, gdzie indziej, jutro i pojutrze, wyda się nowe i zachwycające dla innej widowni.

Czy wiedzieliście, przyjaciele, że wywołanie przed kurtyne nie służy podziękowaniu występującemu artyście, lecz daje mu szansę, by podziękował wam, szacowni widzowie, którzy byliście tak uprzejmi, że poświęciliście mu czas i uwagę.

Dziś więc to ja, szacowni widzowie, biję wam brawo za łaskę, której udzieliliście mi, obserwując to skromne przedstawienie. Mam nadzieję, że nie znudziłem was i że dobrze się bawiliście. Mam nadzieję, że wniosłem w wasze serca odrobinę radości i że zawiodłem was do krainy cudów, gdzie życie zmienia się w śmierć, śmierć w życie, a to, co rzeczywiste, w to, co nierzeczywiste.

Szacowni widzowie, kłaniam się wam nisko...

Malerick zapalił świecę. Usiadł na kanapie, wpatrując się w płomień nieruchomym wzrokiem.

Wiedział, że dziś zadrży, że przekaże mu wyczekiwaną wieść.

Siedział wyprostowany, radując się dokonaną zemstą. Kiwał się w przód i w tył powoli, w hipnotycznym rytmie. Oddychał płytko.

Płomień drgnął.

395

Tak!

Przemów do mnie.

Drgnij, błagam, drgnij...

I kilka chwil później płomień drgnął. Z pewnością me było to złudzenie.

Ale nie dlatego, że przekazywał wiadomość z zaświatów, od duchów ukochanych, którzy odeszli. Poruszył go powiew świeżego kwietniowego powietrza, przeciąg wywołany przez kilku policjantów jednostki szturmowej w pełnym umundurowaniu, którzy wywalili drzwi jego mieszkania taranem, rzucili zdumionego Maga na podłogę, po czym rudowłosa kobieta, którą widział w mieszkaniu Rhyme'a, przyłożyła mu do karku lufę pistoletu i spokojnym, pewnym głosem poinformowała go o jego prawach.

Dwaj policjanci jednostki ratowniczej, cięŜko posapując, wnieśli po schodach Rhyma oraz jego wózek i troskliwie ustawili go w korytarzu. Stamtąd kryminalistyk pojechał swym silver arrow do mieszkania Maga. Zatrzymał się obok Amelii.

Podczas gdy policjanci przetrząsali mieszkanie, Rhyme przyglądał się Bellowi i Sellitcie, przeszukującym zdumionego iluzjonistę. Sam zasugerował im, by uciekli się do pomocy lekarza wypoŜyczonego z Wydziału Medycyny Sądowej. Lekarz pojawił się chwilę później i natychmiast udowodnił swą przydatność. Znalazł szereg nacięć na skórze zatrzymanego; wyglądały jak blizny, lecz były w istocie miniaturowymi kieszeniami, w którym znajdowały się niewielkie metalowe narzędzia.

-

Odwieźcie go do szpitala w areszcie, niech mu zrobią rentgen - powiedział Rhyme. -

Do diabła, nie rentgen, tylko rezonans magnetyczny. Mają zbadać kaŜdy centymetr kwadratowy faceta.

Magowi nałŜono na ręce trzy pary kajdanek, na nogi dwie. Dwaj policjanci unieśli go i posadzili na podłodze. Oczy w brodatej twarzy ze zdumieniem wpatrywały się w kryminalistykę, on tymczasem rozglądał się po pokoju, wypełnionym magicznymi akcesoriami. Maski, fałszywe dłonie i róŜne lateksowe rekwizyty sprawiały, Ŝe wyglądał trochę niesamowicie, ale Rhyme wyczuwał przede wszystkim smutek i samotność w przedmiotach, które miały rozbawiać dziesiątki tysięcy ludzi, a tymczasem słuŜyły mordercy w jego strasznych celach.

-

Jaki...? - szepnął Mag.

Rhyme zauważył na jego twarzy zdumienie, a także konsternację. Bardzo mu się to spodobało. Wszyscy myśliwi twierdzą

397

zgodnie, że poszukiwanie zdobyczy to najwspanialsza część polowania, ale Saden myśliwy nie będzie naprawdę wielki, jeśli największej przyjemności nie poczuje, gdy dopadnie ofiary.

Jakim cudem udało ci się to wszystko poskładać? - wydyszał

Mag swym astmatycznym głosem.

Jakim cudem zorientowałem się, że chodzi ci o cyrk? -

Rhyme zerknął na Sachs.

-Nie mieliśmy wielu dowodów, ale te, co były, sugerowały,

że...

-

Sugerowały? - przerwał jej oburzony Rhyme. - One wręcz

do nas wrzeszczały!

-

...sugerowały - powtórzyła niewzruszona Amelia - co na prawdę masz zamiar zrobić. W piwnicach aresztu, w szafce, znaleźliśmy dwie torby z ubraniami i fałszywą raną.

Znaleźliście torby?

Na butach i garniturze zostało trochę zaschniętej czerwonej farby. I włókna z dywanu.

-

Założyłem, że ta farba była ci potrzebna jako fałszywa krew. - Rhyme potrząsnął głową. Był na siebie wściekły. - To było logiczne założenie, ale powinienem zbadać także inne możliwości. FBI zidentyfikowało ją jako farbę samochodową Jenkin Manufacturing. Odcień pomarańczowoczerwony, używany tylko do samochodów pogotowia i straży pożarnej. Tę farbę sprzedaje się wyłącznie w małych puszkach, do poprawek. Włókna te pochodziły z samochodu: wykładziny, używanej w starych karetkach GMC, które przestano produkować osiem lat temu.

- Więc Lincoln doszedł do wniosku, że ostatnio kupiłeś albo ukradłeś starą karetkę i trochę ją podszykowałeś - podjęła opowieść Sachs. - Być może chciałeś nią uciec, być może potrzebna ci była do kolejnego zamachu na Charlesa Grady'ego? Nagle przypomniałam sobie opiłki

mosiądzu i zadałam sobie pytanie: a jeśli rzeczywiście pochodziły z zapalnika czasowego, jak kiedyś myśleliśmy? A ponieważ w domu Lincolna uślyłeś chusteczki zamoczonej w benzynie, wydawało się rozsądne założyć, że w karetkce masz zamiar umieścić bombę benzynową.

A potem wystarczyło uciec się do logicznego rozumowania...

Grał na wyczucie, o to chodzi - zakpił Bell.

Wyczucie - oburzył się Rhyme. - Wyczucie to nonsens, liczy

się wyłącznie logika. To podstawa nauki, a kryminalistyka jest

czystą nauką.

398

Sellitto teatralnie przewrócił oczami. Niesubordynacja w szeregach w niczym jednak nie

tlumiła entuzjazmu Lincolna Rhyme^.

-

Mówiłem o logice, tak? Aha, Kara powiedziała nam o odwró-

caniu uwagi widzów i kierowaniu ich spojrzenia tam, gdzie nie

chcesz, żeby patrzyli.

Najlepsi iluzjoniści przygotowują sztukę tak perfekcyjnie, że w rzeczywistości wskazują na metodę, na to, co i jak chcą osiągnąć, ale my im nie wierzymy. Patrzymy w innym kierunku.

Kiedy to się zdarzy, to koniec. Wy przegraliście, on wygrał.

-

Tak właśnie zrobiłeś... i muszę powiedzieć, że to był błyskotliwy pomysł. A ja nie rzucam komplementami na prawo i lewo, prawda, Sachs? Chciałeś zemścić się na Kadeskym za pośar, który zniszczył ci życie. Zaplanowałeś więc swój występ tak, by do końca zemsty, ale pozostać na wolności. W ten sam sposób postępowanie na scenie: kładłeś kolejne warstwy zmyłek. - Rhymer zmrużył oczy, próbując coś sobie przypomnieć. - Pierwsza zmyłka... zmusiłeś... Kara twierdzi, że tak to się nazywa w języku iluzjonistów...

Zabójca milczał.

Jestem pewien, że usłyszała właśnie tego słowa. W każdym razie najpierw zmusiłeś nas do przyjęcia założenia, że chcesz zniszczyć cyrk z zemsty. Nie wierzyłem w to, jako zbyt oczywiste. Nasze podejrzania doprowadziły do zmyłki numer dwa: podsunąłeś nam wycinek z gazety z artykułem o Gradym, rachunek z restauracji, przepustkę prasową, klucz hotelowy, żebyśmy myśleli, że chcesz zamordować prokuratora. I kurtka od dresu nad Hudsonem... miałeś zamiar zostawić ją na miejscu, prawda? Kolejny podłożony dowód, który mieliśmy znaleźć. Mag skinał głowę.

Tak, oczywiście. Ale wasi ludzie zaskoczyli mnie, musiałem

ciekać... i wyszło lepiej. Bardziej naturalnie.

W tym momencie - kontynuował Rhyme - założyliśmy, że

jesteś wynajętym zabójcą, używającym iluzji, by zbliżyć się do

Charlesa Grady'ego i zamordować go. To właśnie podejrzewali-ly... do pewnego stopnia. Mag uśmiechnął się lekko.

Do pewnego stopnia. No tak, kiedy używa się zmyłki, by

szukać ludzi... inteligentnych ludzi... oni zawsze pozostają po-

iejrzliwi.

W tym momencie przyszedł czas na zmyłkę numer trzy. Mieliśmy trzymać się z dala od

cyrku, więc podsunąłeś nam inny pomysł. Dałeś się zatrzymać w taki sposób, żebyśmy

pomyśleli, że nie zamierzasz zabić Grady'ego, ale wyciągnąć z więzienia Constable'a.

Wówczas zapomnieliśmy już o cyrku i Kadeskim. Ale tak naprawdę Constable i Grady wcale cię nie obchodzili.

Oczywiście. Byli rekwizytami, mieli was ogłupić.

Stowarzyszenie Patriotyczne poczuje się nieszczęśliwe -

mruknął Sellitto. Mag skinął głową. - Owszem. Ale powiedziałbym, że jest to najmniejszy z moich

problemów.

Rhyme za wiele wiedział o Constable'u i stowarzyszeniu, by

traktować ich tak lekceważąco.

Bell skinął głową w kierunku Maga i spytał Rhyme'a:

Tylko co mu dawało wystawienie Constable'a i zaplanowa

nie tej lewej ucieczki?

Ale to oczywiste! - wtrącił się do rozmowy Sellitto. - Chciał

nas odciągnąć od cyrku. To mu ułatwiało podłożenie bomby.

-

A właśnie że nie, Lon - powiedział cicho Rhyme. - Był inny powód.

Na te słowa, a może raczej ton, którym zostały wypowiedziane, Mag spojrzał na Rhyme'a oczami, w których po raz pierwszy tego wieczora pojawił się niepokój; prawdziwy niepokój, jeśli nie strach.

Mam cię, pomyślał Rhyme, a głośno powiedział:

Rozumiecie, to była czwarta zmyłka.

Czwarta? - zdumiał się Sellitto.

Tak... ponieważ to wcale nie jest Erick Weir - oznajmił

Rhyme. Musiał przyznać, choćby przed samym sobą, że wypadło to przesadnie dramatycznie.

Morderca oparł się plecami o nogę stołu. Westchnął, przy mknął oczy.

To nie Weir? - spytał zdumiony Sellitto.

Właśnie. O to chodziło mu przez cały ostatni weekend.

Chciał zemścić się na Kadeskym i cyrku Hasbro, którym jest dziś Cirque Fantastique. No cóż, łatwo jest wyrzucić zemstę, jeśli nie myśli się o ucieczce. Ale - kryminalistyk skinął głową w kierunku Maga - on chciał uciec, uniknąć więzienia i nadal występować. Więc dokonał szybkiej zmiany tożsamości. Tak pojawił się Erick Weir; po południu dał się aresztować, po czym uciekł, gdy pobrano od niego odciski palców.

Sellitto skinął głową.

No, tak. Zabiłby Kadesky'ego, spalił cyrk i wszyscy szukali by Weira, a nie prawdziwego sprawcy. - Tęgi detektyw zmarszczył brwi. -Tylko... kim on jest, do cholery?

To Arthur Loesser. Protegowany Weira.

Zabójca westchnął cicho. Oto pozbawiono go resztek anonimowości, a wraz z nimi szans na ucieczkę.

-

Ale Loesser do nas dzwonił - zaprotestował Sellitto. - Był na zachodzie. W Nevadzie.

-

Nie, nie był. Sprawdziłem bilingi. Na wyświetlaczu mojego telefonu pojawiło się „Brak identyfikacji”, ponieważ zadzwonił z opłaconego z góry konta rozmów międzystanowych. Ale tak na prawdę telefonował z automatu na Zachodniej Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy. Nie ma Sony. Informacja na automatycznej sekretarce była fałszywa.

- Zadzwonił też do tego drugiego asystenta, Keatinga, udając Weira? - spytał Sellitto.

401

Oczywiście. Pytał o pośar w Ohio, mówił dziwnie, wydawał się groźny. Potwierdził tym nasze przekonanie, że Weir jest w Nowym Jorku i że szuka zemsty na Kadeskym. Musiał pozostawić po sobie ślad, żebyśmy byli pewni jednego: Weir wyszedł z kryjówki. Zamówił na jego nazwiska kajdanki Darbys. Kupił broń.

Rhyme spojrzął na zabójcę.

Jak tam głos? - spytał kpiąco. - Płuca nie dokuczają?

Przecież wiesz, że nic mi nie jest - warknął Loesser. Nie szeptał już i nie oddychał z trudem. Jego płuca nie zostały uszkodzone. Po prostu udawał, by lepiej upodobnić się do Weira.

Kryminalistyk skinął głową w kierunku sypialni.

-

Widziałem tam szkice plakatów. Rozumiem, że to twoje dzieło. Jest na nich nazwisko „Malerick”. Sam się tak nazwałeś, co? Zabójca skinął głową.

Powiedziałem ci prawdę. Nienawidzę swojego nazwiska, nie nienawidzę swego syna sprzed pośaru. Nie chciałem, żeby coś mi o tym przypominało. Jestem Malerickiem, dla siebie i innych.

Jak się połapałeś?

Rękawiczki. To rękawiczki uświadomiły mi, że coś tu jest nie tak. Amelia znalazła gumowe rękawiczki, które miałeś na rękach, kiedy uciekałeś z aresztu. Przecież przed chwilą pobrano ci odciski palców! Więc po co rękawiczki? Miałyby sens tylko wtedy, gdyby odciski na karcie różniły się od prawdziwych. No więc bliżej przyjrzałem się dowodom. W areszcie znaleźliśmy z Amelią kolejne ślady magicznej przylepnej parafiny, impregnowanej włóknami białego papieru i kartonu. A także tusz, zwykły, niezniekający, pasujący do tego, który znaleźliśmy w torbie nad jeziorkiem, gdzie zaatakowałeś Marston. I tu pytanie: czego dotyczyłeś? Tuszu, kartonu, papieru... karty odcisków palców, oczywiście! Zacząłem podejrzewać, że przygotowałeś lewą kartę i ukryłeś ją gdzieś w biurze zatrzymań. Może dostałeś się tam w przebraniu

policjanta? Powiedzmy, tydzień przed aresztowaniem przykleiłeś kartę z odciskami Weka pod jakąś półką albo na tylnej ścianie szafki na akta, przylepiłeś ją gdzieś tą magiczną parafiną. Kiedy cię dopadliśmy, po prostu podmieniłeś karty.

Loesser skinął głową.

-

Parę dni temu przylepiłem kartę pod ladą na stanowisku pobierania odcisków palców. Kiedy technik wziął moje odciski, strąciłem na podłogę wałek. Szukali go, a ja zamieniłem kartę ze swoimi odciskami na tę z odciskami pana Weira. Swoją wyrzuciłem.

Pana Weira, zastanowił się Rhyme. Ta sama nienawiść połączona z szacunkiem brzmiała w głosie drugiego asystenta, Keatinga.

Morderca się skrzywił.

Znaleźliście kartę, którą wyrzuciłem, i zdjęliście z niej odciski palców?

Oczywiście. Mel znalazł te odciski na gumowych rękawiczkach. Większość ludzi zapomina, że doskonałe odciski zostają na gumie od środka. Figurujesz w bazie danych odcisków od czasu, kiedy zatrzymano cię wraz z Weirem pod zarzutem lekkomyślnego narażenia Sycia.

Sellitto miał jeszcze wątpliwości.

Ale on musi być znacznie młodszy od Weira!

Oczywiście. I jest. - Kryminalistyk skinął głową w stronę

Loessera. Te jego zmarszczki to lateks. Blizna też. Zwykle fałszywki. Weir urodził się w 1950 roku. Loesser jest dwadzieścia lat

młodszy, musiał się więc postarzyć. Aha! - mruknął bardziej do siebie niż słuchaczy. - Tę sprawę przeoczyłem. Muszę się nauczyć

szybciej myśleć. Te kawałki lateksu ze śladami makijażu, które

Amelia znalazła chyba na wszystkich miejscach przestępstwa; są

dziłem, że to z nakładek na palce. Ale... kto stosuje makijaż na

palcach? Natychmiast by się wytarł. Nie, mógł pochodzić wyłącznie

nie z twarzy. - Rhyme bliżej przyjrzał się policzkom i czołu Loesera.

- Ta maska musi być bardzo niewygodna - zauważył.

Można się do niej przyzwyczać.

-

Sachs, sprawdźmy, jak wygląda naprawdę, dobrze?

Policjantka z pewnymi kłopotami usunęła fałszywą brodę

oraz zmarszczki pod oczami i na policzku. Prawdziwa skóra pokryta była czerwonymi

plamami od kleju, ale bez wątpienia znacznie młodsza. Inny był nawet kształt twarzy. Loesser zupełnie nie przypominał mężczyzny, którym był jeszcze przed chwilą.

Nie przypomina to maski z „Mission Impossible”, co? Ta

kiej, co to jednym ruchem się ją wkłada, jednym zdejmuje.

śycie różni się od filmu.

Paluszki też, poproszę. - Rhyme wskazał głową lewą dłoń

mordercy.

By kalectwo palców wydało się przekonujące, zostały one ciasno zabandażowane i pokryte grubym lateksem. Po zdjęciu bandaży okazało się, że są pomarszczone, białe i, przynajmniej na razie, bezwładne, lecz poza tym były całkiem zdrowe. Sachs obejrzała je dokładnie.

402

403

a

- Właśnie miałam spytać, dlaczego nie zdjęłeś tego opatrunku na targach, skoro wiedziałeś, że szukamy mężczyzny ze zdeformowaną lewą ręką. Teraz rozumiem. Wyglądają tak dziwnie, że z pewnością by cię wydały.

Rhyme jeszcze raz przyjrzał się dokładnie Loesserowi. - No, to mieliśmy przestępstwo prawie doskonałe. Sprawca omal nie doprowadził do oskarżenia o jego przestępstwa osoby trzeciej.

Weir byłby winny, mielibyśmy pozytywną identyfikację, ale on sam by znikł. Na zawsze.

„Znikający człowiek”. Za to Loesser i jego Sona prosperowałiby w najlepsze.

Mimo że morderca wybrał wczoraj swe ofiary tylko po to, by zmylić policję, a nie z głębokiej potrzeby psychologicznej, potwierdziła się teoria Terry'ego Dobynsa: szukał on zemsty za ogień, który zabił ukochaną osobę. Różnica była tylko taka, że to nie Weir mścił się za kres kariery i śmierć Sony, lecz Loesser za utratę mentora, właśnie Weira.

-

Jest jeszcze jeden problem - nie ustępował Sellitto. - Dla czego mówisz, że Weir „by znikł” i to „na zawsze”? Prędzej czy później byśmy go przecieś dorwali.

-

A jak myślisz, Lon - Rhyme uśmiechał się - dlaczego kazałem tym młodym byczkom wnieść mnie po schodach? Po co w ogóle zdecydowałem się odwiedzić to wyjątkowo nieprzyjazne dla inwalidów miejsce? Chciałem osobiście przejść po siatce... ach, przepraszam, raczej przejechać po siatce. Sprawnie uruchomił wózek i korzystając z touchpada podjechał do kominka. Podniósł głowę. - Zdaje się, że znaleźliśmy naszego podejrzanego. - Patrzył na półkę nad kominkiem i leżące na niej inkrustowane pudełko. - To Erick Weir, prawda? A raczej jego prochy?

- Masz rację - powiedział cicho Loesser. - Wiedział, jak niewiele czasu mu zostało. Bardzo chciał uciec z oddziału poparzeń szpitala w Ohio, umrzeć w swoim mieszkaniu w Las Vegas.

Więc go wykradłem i odwiozłem do domu. sły zaledwie kilka tygodni. Przekupiłem pracownika kostnicy na nocnej zmianie, żeby skre—
mował zwłoki.

-

A odciski palców? - spytał Rhyne. - Zdjąłeś mu je po śmierci? żeby przygotować fałszywą kartę?

Morderca skinął głową.

-

Planowałeś to od lat?!

-

Tak! - Loesser niemal krzyczał. - Jego śmierć jest jak... jak oparzenie, które ciągle boli!

I

- Ryzykowałeś aŜ tyle dla zemsty? Za śmierć szefa?

1

- Szefa? On był kimś znacznie ważniejszym niż szef! Nic nie rozumiesz. O ojcu myślę kilka

razy w roku, a on przecież żyje. A o panu Weirze o każdej godzinie każdego dnia. Od chwili gdy przyszedł na mój występ w sklepie, w Vegas... nazwałem się Młodym Houdinim...

miałem czternaście lat. W życiu nie spotkało mnie nic lepszego! Obiecał, że nada memu życiu sens, że pokaże mi wizję. W piętnaste urodziny uciekłem z domu. Odtąd podróżowaliśmy razem. - Głos mu zadrżał, zabójca zamilkł na chwilę. - Może i pan Weir mnie bił - mówił dalej

- może na mnie wrzeszczał, może i bywało tak, że zmieniał moje życie w piekło, ale znał moje możliwości, widział, co w sobie mam. Troszczył się o mnie, nauczył mnie, jak być

iluzjonistą. - Loesser opuścił głowę. - A potem mi go zabrano. Kadesky i ten jego cholerny biznes; to on jest wszystkiemu winien. Zabił Weira, zabił mnie. Arthur Loesser spłonął w tym ogniu. - Spojrzał na inkrustowane pudełko, twarz miał smutną, a jednocześnie tak pełną nadziei i przedziwnej, chorej miłości, że Rhyme poczuł, jak dreszcz przenika jego nieczule przeciw ciała.

Loesser spojrzał na niego i zaśmiał się z zimną pogardą.

Dobra. Masz mnie. Ale pan Weir i ja zwyciężyliśmy. Spóźni

łeś się. Cyrk spłonął, Kadesky nie żyje. A nawet jeśli jakimś cu

dem się uratował, jego kariera leży w gruzach.

Ach, oczywiście, Cirque Fantastique i poster. - Rhyme po

trząsnął głową. Wydawał się bardzo poważny. - Mimo wszystko...

Co? O czym ty gadasz?! - Loesser rozejrzał się dookoła w pa

nice, nie rozumiał, o co chodzi.

Przypomnij sobie, co się niedawno zdarzyło. Dzisiaj, tylko

trochę wcześniej. Jesteś w Central Parku, widzisz płomień, wi

dzisz dym, słyszysz rozpaczliwe krzyki... więc decydujesz się

odejść, tak będzie lepiej dla ciebie, przecieŜ wkrótce zaczniemy cię szukać. Wracasz do domu. Po drodze ktoś na ciebie wpada; dziewczyna, Azjatka w dresie do joggingu. Wymieniacie kilka słów o tym, co się stało, później ruszacie kaŜde w swoją stronę.

* - O co ci chodzi!?! - spytał zaniepokojony Loesser.

-

Popatrz na pasek od zegarka.

Brzęknęły kajdanki. Zabójca obrócił ręce dłońmi do góry. Do paska przyczepiony był mały, czarny dysk. Amelia Sachs zdjęła go zręcznie.

-

Nadajnik GPS. Dzięki niemu mogliśmy cię śledzić. Nie zdziwiłeś się, Őe zapukaliśmy do ciebie, kiedy najmniej się tego spodziewałeś?

- Ale kto...? Zaraz, chwileczkę. Czy to była ta wasza iluzjonistka, Kara? A ja jej nie poznałem!

CóŜ, na tym polega iluzja, jeśli się nie mylę - zakpił Rhyme.

- ZauwaŜyliście cię juŜ w parku, ale baliśmy się, Őe znikniesz.

Trzeba przyznać, Őe dobrze ci to wychodziło. Przewidzieliśmy takŜe, Őe będziesz wracał do domu okręŜną drogą. Poprosiłem

więc Karę, Œeby odpowiedziała sztuką na sztukę. Dziewczyna jest niesamowita. Nawet ja jej nie poznałem. Zderzyła się z tobą i korzystając z okazji, przylepiła nadajnik do paska.

Mogliśmy dopaść cię juŒ na ulicy - dodała Amelia - ale trochę za dobrze uciekasz. Poza tym chcieliśmy dotrzeć do twojej kryjówki.

PrzecieŒ... przecieŒ wiedzieliście wszystko przed poŒarem!

Owszem - powiedział niedbale Rhyme - chodzi ci o karetkę? Saperzy znaleźli ją i rozbroili w niespełna minutę, a potem zamienili na podobną. Nie chcieliśmy, Œebyś się zorientował, Œe cię przyłapaliśmy. Wiedzieliśmy, Œe zechcesz przyjrzeć się poŒarowi. Wprowadziliśmy do parku tylu tajniaków, ilu tylko mieliśmy, kaŒąc im szukać męŒczyzny twojej postury, obserwującego poŒar, ale odchodzącego, nim ogień się rozprzestrzeni. Paru cię znalazło, Kara przyczepiła nadajnik i proszę, oto jesteśmy!

Ale ogień... widziałem ogień!

Teraz chyba rozumiesz, co mam na myśli, przeciwstawiając świadków dowodom. Widział ogień, więc musiał być poŒar - powiedział kryminalistyk, zwracając się do Sachs. - Ale poŒaru nie było - zwrócił się do Maga.

Do rozmowy znowu włączyła się Amelia. /

Dym pochodził z kilku granatów dymnych Gwardii Narodowej, zamontowanych pod kopułą przy uŒyciu dźwigu, a płomień - z palników gazowych ustawionych przy wejściu na scenę, blisko

karetki. Kilka innych ustawili na scenie i podświetlili tak, by rzu-
cić cień płomieni na płótno namiotowe.

Słyszałem krzyki - szepnął zdruzgotany Loesser.

Ach, to kolejny pomysł naszej nieocenionej Kary, błyskotli-
wie zrealizowany przez Kadesky'ego. Ogłosił przerwę w przed-
stawieniu, a widowni powiedział, że to na prośbę ekipy filmowej,
zamierzającej nakręcić scenę pośaru w cyrku. Poprosił wszyst-
kich, by krzyczeli jak najgłośniej. Ludzie byli zachwyceni. Mieli
zagrać w filmie!

Nie... To przecieŜ była...

...iluzja - dokończył Rhyme. - Oczywiście. Czysta iluzja.

Zręczny umysł Unieruchomionego Człowieka.

Lepiej, żeby teraz zbadala to mieszkanie - powiedziała

Amelia, marszcząc brwi.

Oczywiście, oczywiście. Co za bezmyślność z mojej strony.

Siedzimy pogrążeni w przyjacielskiej rozmowie i zanieczyszczamy
miejsce przestępstwa.

Dwaj mundurowi wyprowadzili skutego podwójnymi kajdankami zabójcę. Humor wyraźnie
mu nie dopisywał, nie tak, jak podczas pierwszego zatrzymania.

Dwaj potężni policjanci już chwytali wózek Rhyme'a, gdy odezwała się komórka Łona
Sellitto.

Tak, jest tu. - Detektyw zerknął na Amelię. - Chcesz z nią
porozmawiać? - Słuchał przez dłuższą chwilę, potrząsnął głową.

Był bardzo poważny. - Dobrze, powtórzę - obiecał i zakończył roz-

mowę.

To był Marlow - oznajmił.

Szef patrolu. Ciekawe, o co tu chodzi? - pomyślał Rhyme. W każdym razie Lon wyraźnie się czymś martwi. Sellitto tymczasem mówił dalej:

-

Chce zobaczyć cię jutro w śródmieściu, dokładnie o dziesiątej. Chodzi o awans. Ale mówił coś jeszcze... nie mogę sobie przypomnieć... Coś o ocenach z testu. - Zapatrzył się w sufit. Wyglądał na bardzo przygnębionego. - Ale co?

Amelia sprawiała wrażenie nieporuszonej, choć Rhyme dostrzegł, jak palcem wskazującym zaczyna podważać skórę za paznokciem kciuka. Ale prawie natychmiast zorientowała się, co robi, i przestała.

Tęgi detektyw strzelił palcami.

-

Mam! Przypomniałem sobie. Dostałaś trzecią ocenę w historii departamentu. - Spojrzał na Rhyme'a, i mina mu zrzędła. -

Chyba wiesz, co to znaczy, Lincoln! Niech się Bóg nad nami zlituje,

przecież teraz będzie zupełnie nie do życia!

Biegła, oddychając ciężko. Korytarz wydawał się ciągnąć kilometrami. Kara pędziła po szarym linoleum, myśląc nie o Weirze, nie o jego oszalałym asystencie, nie o fenomenalnej

iluzji płonącego cyrku, lecz tylko i wyłącznie o tym, czy zdała. Czy jest na czas.

Jej szybkie kroki odbijały się echem od ścian mrocznego korytarza. Mijała drzwi, niektóre zamknięte, inne otwarte na oścież. Słyszała fragmenty programów telewizyjnych, strzępy muzyki, głosy odwiedzających się z bliskimi; godziny odwiedzin się kończyły.

Zatrzymała się, kilka razy głęboko odetchnęła, a kiedy poczuła, że serce bije jej mniej więcej normalnie, weszła do pokoju i powiedziała wesoło: -

Cześć, mamo!

Jej matka odwróciła się od telewizora, uśmiechnęła zaskoczona i wyraźnie zadowolona.

-

Kogoś ja widzę!? Dzień dobry, córeczko.

O mój Boże, pomyślała Kara, patrząc w błyszczące, rozradowane oczy. Mama jest przytomna! Naprawdę jest przytomna! Ucisnęła mamę, przysunęła sobie krzesło.

Jak się czujesz?

Doskonale. Ale wieczór mamy dość chłodny.

Kara wstała i zamknęła okno.

Już myślałam, że nie przyjdiesz, skarbie.

Byłam strasznie zajęta. Kiedy ci opowiem, czym się ostatnio

zajmowałam, nie uwierzysz.

Nie mogę się doczekać.

Może napijesz się herbaty?

Nie, dziękuję. Nic mi nie potrzeba, kochanie. Mogłabyś wyłączyć telewizor? Wolę porozmawiać z tobą. Mam tu pilota, ale ja go nigdy nie mogę sobie z nim poradzić. Czasami mam wrażliwość, że ktoś wkrada się tu nocami i zmienia przyciski.

Cieszę się, że zdaś mi, nim zasnął.

Czekałabym na ciebie choćby całą noc.

Kara uśmiechnęła się radośnie i wtedy jej matka powiedziała:

-

Myślałam o twoim wujku, kochanie. O moim bracie.

Dziewczyna skinęła głową. Nieświadomy brat jej matki był czarną owcą w rodzinie. Była jeszcze dzieckiem, kiedy wyjechał na zachód, zrywając kontakt z bliskimi. Matka i dziadkowie nie chcieli nawet o nim mówić, zakazano wymieniania jego imienia podczas rodzinnych spotkań. Za to plotkom nie było kresu. Mówiono, że był gejem, mówiono, że wcale nie, że ośmielił się, ale zdradzał Sonę z Cyganką, że zastrzelił kogoś, z kim pokłócił się o kobietę, że nigdy się nie ośmielił, że był muzykiem jazzowym i pijakiem...

Kara od zawsze pragnęła dowiedzieć się, jak było naprawdę.

Opowiedz mi o nim. Proszę.

Naprawdę cię to interesuje?

O tak, oczywiście! Nie ma to jak ciekawe historie. - Dziel

czyna pochyliła się, oparła dłoń na ramieniu matki.

408

Doskonale... ale... kiedy to było? W maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego, może siedemdziesiątego pierwszego. Nie dam głowy za rok - widzisz, co się dzieje z moją pamięcią - ale przy sięgnę na wszystko, że to był maj. Wujek przyjmował przyjaciół z wojska, którzy właśnie wrócili z Wietnamu.

Był żołnierzem? Nie wiedziałam.

Oczywiście. Bardzo dobrze wyglądał w mundurze. Ale to, co tam przeszli, straszne, po prostu straszne. - Głos matki nagle spowaśniał. - Przyjaciela twojego wujka postrzelili, gdy szedł tuż obok niego. Zmarł na jego rękach. Wielki Murzyn. No więc Tom i jeszcze jeden żołnierz poprzysięgli sobie, że założą firmę, by wspomóc jego rodzinę. Pojechali na południe. Kupili łódź. Potrafisz wyobrazić sobie wujka na łodzi? Ja nie. Moim zdaniem to był chyba najdziwniejszy pomysł na świecie. Łowili krewetki. Tom

zarobił fortunę.

-

Mamo... - powiedziała cicho Kara.

Starsza pani uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Potrząsnęła głową.

Łódź... no, w każdym razie ta ich firma odniosła wielki suk

ces. Ludzie dziwili się, bo Tom nie wydawał się im bardzo bystry.

- Matka spojrzała na nią z błyskiem w oku. - Wiesz, co im mówił?

Co takiego, mamo?

Głupiego poznasz po uczynkach jego.

Bardzo słusznie - szepnęła dziewczyna.

Och, Jenny, pokochałabyś swojego wujka, gdybyś tylko go

poznała. Wiesz, że spotkał się z prezydentem? I grał w ping-pon—

ga w Chinach?

Matka nie zauważyła nawet, że jej córka płacze. Zachwycona, opowiadała jej film, który

oglądała przed chwilą w telewizji, „Forresta Gumpa”. Jej brat miał na imię Gil, ale teraz stał

się Tomem, zapewne dlatego, że tak miał na imię aktor grający tytułową rolę, Tom Hanks.

Ona sama natomiast stała się Jenny, przyjaciółką Forresta.

Nie, nie, nie! - pomyślała zrozpaczona dziewczyna. A jednak się spóźniłam. Matka odeszła, pozostała po niej zaledwie iluzja.

Ale mówiła dalej, choć jej opowieść nie układała się w ładną sensowną całość. Łódź do połowu krewetek w Zatoce Meksykańskiej zmieniała się w łódź do połowu tuńczyka na północnym Atlantyku, zaskoczona przez coś, co starsza pani nazwała „sztormem

doskonałym". Tonął transatlantyk, a wuj, we fraku oczywiście, był członkiem jego orkiestry i grał na skrzypcach aż do końca. Luźne myśli i wspomnienia, wraz z obrazami zaczerpniętymi z kilkunastu filmów, splątały się w węzeł nie do rozwikłania. I w końcu wujek wraz z resztką sensu w tej opowieści zniknął, pozostawiając tylko bełkot, tak odraŹajaco zimny jak trup w bagnie.

- Jest gdzieś tam, na dworze - zakończyła opowieść starsza pani. -Wiem, Źe tam jest - powtórzyła i przymknęła oczy.

Kara siedziała nieruchomo z dłonią na ramieniu matki i czekała, aż zaśnie. Przecież była przytomna. Jaynene nie przywołałaby mnie z byle powodu. Co zdarzyło się raz, może zdarzyć się znowu. Nie zamierzała się poddawać.

Kiedy upewniła się, Źe mama śpi, wyszła z pokoju. Może mam talent - pomyślała - ale

brakuje mi tej najważniejszej umiejętności: magicznego przeniesienia matki w miejsce, gdzie serca, obfite w paliwo miłości, płoną jasnym ogniem przez wszystkie dane im od Boga dni.

Gdzie umysł zachowuje w pamięci każdy szczegół, choćby najbogatszej historii rodzinnej.

Gdzie to, co wydaje się murem wzniesionym między kochającymi się ludźmi, jest w rzeczywistości tylko efektem - krótkotrwałą iluzją.

Gerald Marlow, mężczyzna o gęstych, sztywnych od odŹywki włosach, był szefem patrolu policji nowojorskiej. Zachowywał spokój w każdej okoliczności; nauczył się tego podczas

patrowania nowojorskich ulic przez dwadziecia lat i przez kolejnych pientnascie, ktore spdzil na pracy znacznie ryzykowniej-szej: nadzorowaniu funkcjonariuszy robiacych to, co on sam kiedyś robil.

W ten poniedzialkowy poranek Amelia stala przed nim mniej wiecej na bacznośc, cala sila woli opanowujac silny artretyczny bol kolan. Marlow siedzial wygodnie w swym gabinecie na wysokim pietrze Wielkiego Gmachu na Police PlaSa, w sredmieściu.

Podniost wzrok znad leSacej na biurku teczki, dokladnie obejrzal idealnie odprasowany mundur Sachs.

Och, przepraszam. Proszę usiasc, funkcjonariuszko. Hmm..

córka Hermana Sachsa?

Tak jest.

Bylem na jego pogrzebie.

Pamiętam.

-

Bardzo uroczysty.

Mierzac skala pogrzebow.

Marlow siedzial za biurkiem wyprostowany, taksujac ja stalowym, przenikliwym spojrzeniem.

-

Doskonale. Nie mam zamiaru niczego ukrywać. Macie kłopoty, Sachs.

Te słowa uderzyły ją z siłą ciosu w twarz.

Nie rozumiem.

Sobota, miejsce przestępstwa nad rzeką Harlem. Samochód wpadł do rzeki. Badaliście ją?

411

Mazda Maga. Rozwalony szafas Carlosa.

Tak jest.

Czy kogoś tam zatrzymaliście?

Ach, to o to chodzi. Nie, właściwie nie zatrzymałam. Jakiś facet wtargnął na ogrodzony przez policję teren. Zacierał ślady. Pojechałam go zatrzymać.

-

Zatrzymać, aresztować... w każdym razie oddaliście go pod nadzór policji?

-

Oczywiście. Musiałam oczyścić miejsce przestępstwa. Nie

zostało jeszcze zbadane.

Amelia Sachs wiedziała już, o co chodzi. Jakiś zatroskany obywatel złożył na nią skargę. Nic wielkiego, takie rzeczy zdarzają się codziennie. Na takie głupstwo nikt tak naprawdę nie zwraca uwagi. Nie ma się czym przejmować.

Jakiś facet, co? Nie nazywał się przypadkiem Victor Ramos?

Chyba tak. Takie nazwisko podał.

A nie był to przypadkiem kongresman Victor Ramos.

Czyli jednak ma się czym przejmować.

Kapitan otworzył dzisiejsze wydanie „New York Timesa”.

Sprawdzimy... gdzie to jest. Aha, mam. - Pokazał jej rozkładówkę, na której widniało wielkie zdjęcie mężczyzny w kajdankach z podpisem: „VICTOR WYELIMINOWANY Z GRY”.

Naprawdę poleciłaś „wyeliminować go z gry”?

On przecieś...

Tak powiedziałaś?

Tak mi się zdaje.

Czy powiedział, że szuka ofiar pozostałych przy życiu?

Ofiar? - Amelia roześmiała się. - To był szalony trzy na trzy metry, potrącony przez wpadający do rzeki samochód. Zawaliła się ścianka...

Niepotrzebnie się denerwujecie, Sachs.

...i rozerwała plastikowa torba na śmieci. To tyle, jeśli chodzi o zniszczenia. Zespół ratunkowy sprawdził, czy nic się nikomu nie stało, po czym ogrodziłem miejsce przestępstwa. Ofiarami wypadku mogły być wyłącznie wszy!

Aha. - Jej wybuch wytrącił Marlowa z równowagi. - Ramos twierdzi, że chciał tylko sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało. Właściciele - w głosie Amelii zabrzmiała zupełnie niepotrzebna ironia - wyszli ze swego domu o własnych siłach. Nikt nie został ranny. Choć, o ile pamiętam, jeden z nich opierał się przy aresztowaniu i dorobił się siniaka na policzku.

412

Aresztowaniu?

Próbował ukraść latarkę jednemu ze strażaków, a potem go obsikał.

No, nie....

Tym zaćpanym po uszy dupkom nic się nie stało. Takich oby

wateli broni Ramos?

Kapitan, z którego twarzy można było wyczytać ostrość i więcej niż odrobinę sympatii, nagle spowaśniał. Był już tylko biurokratą wykonującym swe obowiązki.

Czy według posiadanej przez panią wiedzy Ramos zniszczył dowody, mogące doprowadzić do zatrzymania podejrzanego?

Przecież to nie ma żadnego znaczenia, panie kapitanie. Ważna jest procedura. - Amelia Sachs bardzo starała się zachować spokój, mówić normalnym głosem. Marlow był w końcu szefem szefa jej szefa.

-

Próbuję rozwiązać trudny problem, funkcjonariuszko Sachs.

Powtórzę pytanie: czy wie pani z pewnością o zniszczeniu jakichś dowodów?

Nie - odparła Amelia z westchnieniem.

A więc jego obecność na miejscu przestępstwa nie miała żadnego znaczenia?

Ja...

Miała czy nie miała?

Nie miała, panie kapitanie. Ale ścigaliśmy mordercę policjanta. Czy to się nie liczy, kapitanie? - spytała z goryczą.

Liczy się. Dla mnie. I dla wielu innych. Dla Ramosa nie.

- Amelia Sachs skinęła głową.

Niech będzie. O jakiej burzy mówimy?

Na miejscu była ekipa telewizyjna. Oglądaliście wieczorne wiadomości?

TeŜ mi pytanie, pomyślała Amelia. Nie, nie oglądałam. Byłam zbyt zajęta łapaniem zabójcy.

Ale głoŝno powiedziała:

-

Nie, panie kapitanie.

Pokazali Ramosa na samym początku. Skutego i prowadzono go przez dwóch policjantów.

PrzecieŜ wie pan, Ŝe zjawił się tam tylko po to, by go sfilmowali, jak ryzykuje Ŝycie dla dobra wyborców. Coś mnie zastanawia, kapitanie. Czy Ramos ma się wkrótce ubiegać o reelekcję?

Samo potwierdzenie czegoś takiego moŜe wysłać człowieka na wcześniejszą emeryturę. Lub pozbawić go emerytury. Marlow milczał.

O co właściwie...?

O co właściwie chodzi? - Marlow zacisnął wargi. - Bardzo mi przykro, funkcjonariuszko, ale zdaje się, że Ramos was załatwił.

Sprawdził to i owo, dowiedział się o egzaminie na stopień sierżanta, pociągnął za sznurki. Nie zaliczyliście.

-Co?

Nie zaliczyliście egzaminu. Ramos pogadał z egzaminatorami.

Dostałam trzecią ocenę w całej historii departamentu. -

Amelia roześmiała się gorzko. - A może nie?

Tak. Z testu wyboru i egzaminu ustnego. Ale potrzebny jest jeszcze egzamin praktyczny.

Podobno świetnie się spisałam.

Ocena wstępna wyglądała obiecująca, zgoda. Ale oficjalny raport nie pozostawia żadnych wątpliwości. Oblałaś.

Niemożliwe! Co się stało?

Jeden z egzaminatorów nie chciał cię przepuścić.

Nie chciał...? Ale przecieŜ...

Nie dokończyła. Przypomniała sobie wychodzącego zza śmieciarki przystojnego policjanta ze strzelbą. Tego, któremu przytarła nosa.

Bang, bang.

Kapitan przyglądał się kartce papieru.

Napisał, cytując: „Nie wykazuje należytego respektu wobec osób wyżej postawionych w hierarchii. Lekceważy równych rangą, co może doprowadzić do sytuacji zagrożenia osobistego i zespołowego”.

Aha! Ramos znalazł kogoś, kto nie miał nic przeciw załamaniu mnie odmownie i podyktował mu raport. Przepraszam, pytam, panie kapitanie, ale czy pan naprawdę wierzy, że uliczny gliniarz napisze „może doprowadzić do sytuacji zagrożenia osobistego lub zespołowego”? Niech pan da spokój, kapitanie.

Widzisz, tatku, pomyślała, zwracając się do ojca. Wpadłam między wrony i nie zakrakałam. Zrobiło jej się bardzo ciężko na sercu.

-

I co jeszcze? - Spojrzała kapitanowi wprost w oczy. - Bo jest coś jeszcze, prawda?

Marlow nie opuścił wzroku. Był twardy, to mu trzeba przyznać.

-

Tak. Jest coś jeszcze. I to coś znacznie gorszego.

No, tatku, zaraz się dowiemy, co może być znacznie gorsze.

Ramos próbuje cię zawiesić.

Zawieszenie? A to co za gówno!

414

Chce wewnętrznego śledztwa.

Mściwy... - już miała dodać „fiut”, ale spojrzała na Marlowa

i powstrzymała się w ostatniej chwili. Przecież to takie nastawie

nie wpędziło ją w kłopoty.

I to nie wszystko. Ramos jest tak wściekły, że zażądał zawie

szenia z wstrzymaniem pensji.

Taką karę stosowano wobec funkcjonariuszy oskarżonych o popełnienie przestępstwa.

-

Dlaczego?

Marlow nie odpowiedział. Nie musiał. Amelia Sachs doskonale wiedziała dlaczego. By jego

oskarżenia okazały się choćby prawdopodobne, Ramos musiał udowodnić, że wykopana na

aut policjantka, która ośmieliła się go zawstydzić, jest tak egoistyczna i bezmyślna, że aż

zdolna narazić zdrowie i życie zwykłych obywateli.

Kolejny dowód na to, jaki mściwy z niego fiut.

O co dokładnie mnie oskarŜa?

Niesubordynacja, niekompetencja.

Nie mogę stracić odznaki, panie kapitanie. - Amelia walczyła z ogarniającą ją rozpaczą.

Na obłany egzamin nic nie poradzę, Amelio. Ta sprawa leŜy w kompetencjach komisji, która juŜ podjęła decyzję. Ale będę walczył z zawieszeniem. ChociaŜ... nie mogę nic obiecać. Ramos ma długie ręce i wielkie plecy. W całym mieście.

Sachs podniosła rękę, zaczęła drapać się w głowę. Poczwała ból, a kiedy opuszczała dłoń, palce miała śliskie od krwi.

-

Czy mogę mówić szczerze, panie kapitanie?

Marlow zgarbił się w krześle.

-

Jezu, Amelio, oczywiście! Chyba nie muszę przekonywać cię, jak cholernie źle się czuję w związku z tą sprawą. Mów, co ci leŜy na sercu. I nie musisz stać na baczność. To przecieŜ nie wojsko.

Amelia Sachs odchrząknęła.

-

Panie kapitanie, jeśli Ramos wymusi zawieszenie, natychmiast kontaktuję się z prawnikami Stowarzyszenia Dobroczynnego Policjantów Patrolu. Nagłośnię sprawę. Posunę się tak daleko, jak tylko będzie trzeba.

Nie śartowała. Choć wiedziała, że szeregowi policjanci, walczący z dyskryminacją lub dochodzący swych praw przez stowarzyszenie najczęściej skazywani byli na nieoficjalny ostracyzm. Wielu z nich kierowano na boczny tor, zwichnięto im kariery, choć teoretycznie wychodzili ze sporów jako zwycięzcy.

-

Przyjąłem do wiadomości, funkcjonariuszko Sachs - powie
dział Marlow, patrząc jej wprost w oczy.

A więc pójdzie na pięści.

To było powiedzenie jej ojca. Użył go, kiedy tłumaczył córce, co to znaczy być policjantem.

Amie, musisz zrozumieć, że czasami wszystko dzieje się naraz, czasami uda ci się zmienić coś na lepsze, a czasami śmiertelnie się nudzisz. I czasami, dzięki Bogu nieczęsto, trzeba pójść na pięści. Cios za cios. Człowiek jest sam, nie ma nikogo, nikt mu nie pomoże. Nie chodzi tylko o przestępców. Bywa, że idziesz na pięści ze swym szefem. Albo z ich szefem.

Nawet z kumplami. Chcesz być gliniarzem, bądź gotowa walczyć samotnie. Bo są sprawy, których się nie obejdzie.

CóŜ, na razie pełnisz słuŜbę jak zwykle.

Tak jest. Kiedy się czegoś dowiem?

Za dzień, moŜe dwa.

Amelia podeszła do drzwi. Odwróciła się na progu.

-

Panie kapitanie?

Marlow spojrzał na nią, jakby dziwił się, Ŝe ciągle widzi ją w gabinecie.

-

Ramos wtargnął na moje miejsce przestępstwa. Gdyby to był pan albo burmistrz, albo nawet sam prezydent, postąpiłabym identycznie.

-

Wiem. Jesteś córką swojego ojca. Byłby z ciebie dumny.

-

Kapitan podniósł słuchawkę telefonu. - Miejmy nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Thom wpuścił Łona Sellitto do holu. Lincoln Rhyme siedział na swoim czerwonym wózku inwalidzkim, złoścąc się na robotników budowlanych, znoszących po schodach gruz i śmieci pozostałe po robotach związanych z remontem uszkodzonej w piwnicy sypialni. Bał się, że uszkodzą mu zabytkową stolarkę.

Asystent poszedł do kuchni, nie zapominając po drodze upomnieć pracodawcy.

Daj im spokój, Lincoln. Przecież stolarka nic cię nie obchodzi.

Chodzi o zasady, a nie jakieś nieważne szczegóły. Dom jest mój, a oni mają wszystko w nosie.

-

Zawsze wpada w taki nastrój, kiedy skończy pracę - wyjaś

nił Thom detektywowi. Masz dla niego jakąś smakowitą kradzież

albo lepiej morderstwo? To by go uspokoiło.

-

Nie potrzeba mi morderstwa na uspokojenie - warknął

Rhyme, gdy tylko Thom zniknął mu z oczu. - Chcę, żeby ci ludzie

uwaga! na ściany!

-

Słuchaj, Linc, musimy pogadać - powiedział Sellitto.

Rhyme'a uderzył ton jego głosu... i wyraz oczu. Współpracowali blisko od lat. Bezbłędnie

wyłapywał zmartwienie i niepokój Łona. Ciekawe, o co chodzi? - pomyślał.

-

Rozmawiałem z miejscowym szefem patrolu. Chodzi o Amelię. - Sellitto zamilkł,

odchrząknął.

Rhyme nie miał wątpliwości, że serce zabiło mu mocniej. Nie mógł poczuć jego bicia,

oczywiście, ale czuł gorącą krew napływającą do twarzy.

Kula? Wypadek samochodowy?

-

Mów dalej - powiedział cichym, ale spokojnym głosem.

417

Oblała egzamin na sierśanta.

Co?!

Ano tak.

Rhyme poczuł ulgę, a zaraz potem litość i smutek.

Skąd wiesz?

Radar gliny? A może wyśpiewał mi to jakiś pieprzony ptaszek? Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Sachs jest gwiazdą.

Kiedy coś takiego spotyka gwiazdę, ludzie gadają.

Co z jej ocenami?

Oblali ją mimo ocen.

Rhyme poprowadził wózek do laboratorium. Sellitto, zaniedbany bardziej niż zwykle i w bardziej niż zwykle wygniecionym garniturze, poszedł za nim.

-

Okazało się, że sprawa była prosta: Amelia to Amelia. Roz

kazała komuś opuścić nieprzebadane miejsce przestępstwa,

a kiedy ten ktoś nie posłuchał, kazała go skuć.

Ale miała pecha. Bo wpadła na Victora Ramosa.

Kongresmana Ramosa? - Rhyme zupełnie nie interesował

się lokalną polityką, ale o tym polityku słyszał. Victor Ramos był

zwykłym oportunistą. Najpierw porzucił swe środowisko: latyno

ską społeczność hiszpańskiego Harlemu, ale wrócił do niej ostat

nio, kiedy się zorientował, że atmosfera politycznej poprawności

oraz liczba wyborców może zawieść go do Albany albo nawet sa

mego Waszyngtonu.

Mogą tak po prostu dać jej kopniaka?

Daj spokój, Linc. Oni wszystko mogą. Mówi się nawet o za

wieszeniu.

Może walczyć o swoje. Będzie walczyć o swoje.

A ty wiesz, co dzieje się z ulicznym gliniarzem, jeśli rzuci

wyzwanie szarżom. Nawet jeśli wygra, zesłają ją do wschodniego

Nowego Jorku. W najlepszym razie, bo mogą przecież zesłać ją za

biurko we wschodnim Nowym Jorku.

-

Niech się pieprzą - prychnął kryminalistyk.

Sellitto chodził po pokoju tam i z powrotem, uważając, by nie potknąć się o kable; od czasu do czasu spoglądał na białe tablice, zapisane listami dowodów w sprawie Maga. Wreszcie opadł na krzesło, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. Wcisnął wałek tłuszczu na brzuchu pod pasek spodni; sprawa Maga fatalnie odbiła się na jego diecie.

-

Jest jedna rzecz - powiedział cicho i jakby konspiracyjnie.

-Tak?

418

Znam pewnego faceta. To on oczyścił Osiemnastkę.

Pamiętam. Heroina i crack miały brzydki zwyczaj znikać im z magazynu dowodów. To było jakieś parę lat temu?

Aha. O tym właśnie mówię. Teraz gość ma Wielki Gmach obstawiony od piwnic po dach. Sam komisarz go słucha, a on słucha mnie. Jest mi winien przysługę. - Machnął ręką, wskazując zapisane tablice. - O kurwa, popatrz na to, pomyśl, czego właśnie dokonaliśmy. Dorwaliśmy cholernie cwane go faceta. Pozwól mi wykonać ten jeden telefon. Dla Amelii chętnie pociągnę za parę sznurków.

Rhyme też przyjrzał się tablicom, potem stojącej w laboratorium aparaturze, stołom

laboratoryjnym, ksiąŜkom. W tym miejscu naukowo analizowano dowody, które w ciągu kilku ładnych lat ich współpracy Amelia Sachs umiała zdobyć na miejscach kolejnych przestępstw albo siłą, albo sprytem.

No, nie wiem... - powiedział z wahaniem.

W czym problem?

Jeśli w ten sposób zdobędzie sierŜanta, to... no, to nie ona zdobędzie sierŜanta.

-

PrzecieŜ wiesz, ile znaczy dla niej ten awans.

Wiem. Doskonale wiem, pomyślał Rhyme.

-

No, to mnie posłuchaj. Zagramy według reguł Ramosa. Chce podrzucić jej Ŝwinie, to my mu podrzucimy. Zagramy na jednym boisku i według tych samych zasad. - Ten pomysł bardzo spodobal się tęgemu detektywowi. - PrzecieŜ Amelia nie musi nic wiedzieć - dodał jeszcze. - Poproszê faceta, Ŝeby trzymał jêzyk za zębami. Posłucha mnie.

PrzecieŜ wiesz, ile znaczy dla niej ten awans.

-

Co o tym myślisz, Linc?

Rhyme milczał. Szukał odpowiedzi, obserwując otaczający go ze wszystkich stron sprzęt laboratoryjny, który czekał na kolejną sprawę. Wyrzwał za okno. Drzewa w parku pokrywały się zielonymi wiosennymi listkami.

Rysy na boazerii zatarto, wszystkie ślady po poŹarze w sypialni zniknęły. Pozostał w niej wprawdzie wyraźnie wyczuwalny zapach dymu, ale Rhyme'owi przypominał zapach dobrej szkockiej whisky, był więc nawet mile widziany.

O północy, w ciemnym pokoju, Rhyme leŹał nieruchomo na wysokim ortopedycznym łóŹku, wpatrując się w okno. Dostrzegł ruch; to jeden z sokołów, najcichszych, najzręczniejszych ze stworzonych przez Boga myśliwych, właśnie wrócił z polowania. W zaleŹności od światła i stopnia gotowości do lotu sokoły wydawały się zmniejszać lub rosnać. W tej chwili

wydawały się większe niŹ w dzień, prawdziwie wspaniałe, a takŹe groźne. Im takŹe nie podobały się dźwięki dobiegające z rozstawionego w Central Parku namiotu Cirque Fantastique.

Powinni wprowadzić godzinę policyjną - burknął Rhyme do leŹącej obok niego Amelii.

Mogę rozstrzelać ich generator - odparła Amelia świeŹym, przytomnym głosem; najwyraźniej nie zasnęła ani na chwilę. Jej głowa spoczywała na poduszce przy jego głowie, ustami dotykała jego szyi; czuł delikatny dotyk jej włosów i chłodny nagiej skóry.

Wiedział, Źe opiera się piersiami o jego pierś, brzuchem o biodro,

nogą o nogę; nie czuł tego, ale widział zarys jej ciała, którego bli

skość sprawiała mu tyle radości.

Amelia Sachs zawsze i bezwarunkowo stosowała się do jego zasady: badający miejsce zbrodni nie może używać perfum lub wody kolońskiej czy płynu po goleniu, ponieważ upośledzałoby to jego zdolność do odbioru bodźców węchowych, a węch dostarczał wielu dowodów. Tej nocy jednak Amelia nie była na służbie i przyjemnie pachniała gardenią, jaśminem i syntetycznym olejem silnikowym.

Byli sami. Thom z przyjaciółką wyszli do kina, a wieczór spędzili przy nowych płytach kompaktowych, pięćdziesięciu gramach kawioru Sveruga, krakersach i mnóstwie moeta; bardzo przyjemnie, mimo sporych trudności z piciem szampana przez słomkę. Teraz, w ciemnościach, Rhyme znowu rozmyślał

o

naturze muzyki zdumiony, jak ścisły system porządkujący wysokości dźwięków, ich długości i dzielące je interwały może tworzyć coś aż tak poruszającego ludzką duszę. Fascynujący problem; im dłużej nad nim rozmyślał, tym bardziej nabierał przekonania, iż wcale nie jest on aż tak trudny do rozwiązania, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Muzyka wywołała się przeciwieństwo z doskonale znanego mu świata nauki, logiki i matematyki.

Jak człowiek zabiera się do tworzenia melodii? Czy ćwiczenia, którym poddawał się co dnia, odniosą skutek, czy będzie kiedyś w stanie nacisnąć klawisze keyboardu?

Nie od razu dostrzegł, że przygląda mu się Amelia.

Słyszałeś o egzaminach? - spytała.

Tak - powiedział po krótkim wahaniu. Unikał tego tematu

przez cały wieczór. Oddał inicjatywę Sachs, znał ją... jeśli będzie chciała o czymś porozmawiać, sama zacznie. A póki nie zacznie, temat nie istnieje.

I wiesz, co się stało?

Nie ze szczegółami. Zakładam, że podpada to pod kategorię: skorumpowany, egoistyczny urzędnik państwowy przeciw pracowanemu, bohaterskiemu gliniarzowi. Mam rację?

Prawie - odpowiedziała Sachs, śmiejąc się.

Znam to z własnego doświadczenia.

Dobiegająca z cyrkowego namiotu rytmiczna muzyka wdzierала się do sypialni, budząc sprzeczne uczucia. Człowiek wiedział, że powinna go denerwować, taka była nachalna, a jednocześnie nie sposób było oprzeć się jej radosnemu rytmowi.

-

Lon z tobą rozmawiał, prawda? Proponował, że pociągnie za jakieś sznurki? Zadzwoń do kogoś w ratuszu?

Amelia nie musi nic wiedzieć. Poproszę faceta, żeby trzymał język za zębami.

Musiał się roześmiać.

-

Jasne, że tak. Dobrze znasz Łona.

Muzyka ucichła. Rozległy się oklaski, a kiedy ucichły, usłyszeli cichy głos konferansjera.

-

Słyszałam, że mógłby załatwić tę sprawę. Wymanewrować

Ramosa.

Prawdopodobnie tak. Lona wiele może.

-1 co mu powiedziałaś?

A jak myślisz?

Ja tu zadaję pytania.

Powiedziałem „nie”. Nie pozwoliłem mu.

Naprawdę?

Naprawdę. Powiedziałem mu, że zrobisz to po swoim albo
wcale.

Niech to diabli!

Rhyme spojrzał na nią zaniepokojony. Czyżby źle ją osądził?

Jestem wściekła na Lona - oznajmiła Sachs. - że w ogóle
o tym pomyślał.

Miał dobre intencje.

Nie mógł przecieŝ tego poczuć, ale miał wraŝenie, ŝe Sachs przytula go mocniej.

To, co mu powiedziałaś... dla mnie jest najwaŝniejsze na świecie, wiesz?

Wiem.

421

Moŝe się zrobić nieprzyjemnie. Ramos chce mnie zawiesić.

Na rok, bez pensji. Nie wiem, co zrobię, jeśli mu się uda.

Zostaniesz konsultantką. U mnie.

Cywil nie moŝe chodzić po siatce. Jeśli będę tylko siedzieć i myśleć, oszaleję.

Kiedy się ruszasz, nie mogą cię dorwać...

Jakoŝ przez to przejdziemy.

Kocham cię - szepnęła Sachs. Odetchnął głąboko jej słod

kim zapachem, zapachem kwiatów i quaker state, i powiedział:

Kocham cię.

O Boŝe, jak tu jasno. - Patrzyła w okno, przez które wdzierał

się blask jasnych światel z terenu cyrku. - Gdzie zasłony?

Spaliły się, nie pamiętasz?

Myślałam, ŝe Thom kupił nowe.

Nawet zaczął je wieszać, ale strasznie powaŝnie to potrakto

wał, mierzył i tak dalej. W końcu wyrzuciłem go z sypialni. MoŜe

pobawić się tym później.

Sachs wyskoczyła z łóŜka. Zasłoniła okno zapasowym prześcieradłem, odcinając większość draŝniącego ją światła. Potem wróciła, przytuliła się do Rhyme'a i niemal natychmiast zasnęła.

Ale on nie. LeŜał, słuchając muzyki i tajemniczego głosu konferansjera, coŝ przyszło mu do głowy i o ŝnie nie było juŜ mowy. LeŜał z szeroko otwartymi oczami, pogrąŜony w myślach.

I chyba nie ma nic dziwnego w tym, ŝe myślał o cyrku.

Póŝnym rankiem Thom wszedł do sypialni Lincolna Rhyme'a i ze zdziwieniem stwierdził, ŝe ma on goŝcia.

Czeŝć - powitał Jaynene Williams, siedzącą przy łóŜku na jednym z kupionych niedawno krzeseł.

Czeŝć.

Thom, który wlaŝnie wrócił z zakupów, był wyraŝnie zdziwiony jej obecnoŝcią, choć dzięki komputerowi, systemowi kontroli otoczenia i systemowi kamer wideo Rhyme mógł dzwonić, do kogo mu się podobało, zapraszać i otwierać drzwi.

Czegoŝ się tak wystraszył? - zakpił kryminalistyk. - PrzecieŜ zaprosiłem juŜ kiedyŝ parę osób.

Przychodzi mi do głowy tylko światło księŜyca.

UwaŜaj, bo zamiast ciebie zatrudnię Jaynene.

Zatrudnij i ją, i mnie, to będziesz mógł się znećać nad dwie

ma osobami za cenę jednej. - Thom uŝmiechnął się do pielę

niarki. - Nie martw się, tego bym ci nie zrobił.

Miałam już gorszych pacjentów.

Pijasz kawę czy herbatę?

Och, bardzo przepraszam. Gdzie się podziały moje maniery?

- zgorszył się Rhyme. - Już dawno powinienem nastawić wodę.

Kawa w zupełności mi wystarczy - Jaynene uśmiechnęła się.

Dla mnie szkocka - powiedział Rhyme, a kiedy jego opiekun

zerknął na zegarek, dodał. - Mała. Dawka lecznicza.

Kawa dla wszystkich - oznajmił Thom i znikł w kuchni.

Rhyme i Jaynene rozmawiali przez chwilę o urazach kręgosłupa, o pacjentach, o reżimie ćwiczeń i elektrycznej stymulacji, mającej poprawić ich stan. W pewnym momencie jednak

Rhyme, niecierpliwy jak zwykle, uznał, że wykazał się już wystarczającą uprzejmością i może wreszcie przejść do rzeczy.

Mam pewien problem - powiedział, zniżając głos. - Coś

mnie niepokoi, a ty chyba potrafisz mi pomóc. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Jeśli tylko będę mogła? - Pielęgniarka przyjrzała mu się podejrzliwie.

Możesz zamknąć drzwi?

Jaynene spełniła jego prośbę, po czym znów przysiadła przy łóżku.

Jak długo znasz Karę? - spytał Rhyme.

Karę? Nieco ponad rok. Od kiedy przywiozła matkę do Stuyvesant.

To dość drogie miejsce, prawda?

Bardzo drogie. Zgroza, ile trzeba płacić. Ale we wszystkich domach takich jak nasz opłaty są mniej więcej takie same.

Matka Kary ma ubezpieczenie?

Zaledwie Medicare. Większość rachunków biedna dziewczyna reguluje z własnej kieszeni. Jeśli może. W tej chwili jest na biegnąc, ale często ma zaległości.

Rhyme powoli skinął głową.

Zadam ci jeszcze jedno pytanie. Pomyśl, nim odpowiesz.

Bardzo cię proszę, żebyś była ze mną absolutnie szczerą.

No, cóż... - Pielęgniarka wahała się, wpatrzona w świeżo polakierowaną podłogę. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Minęło południe. W pokoju gościnnym Rhyme i Roland Bell słuchali nowej płyty, którą kryminalistyk kupił przez Internet: fortepianowych nagrań Dave'a Brubecka. Rozmawiali także o sprawie Andrew Constable'a.

423

Charles Grady i sam stanowy prokurator generalny zdecydowali opóźnić sprawę celem włączenia do niej dodatkowych oskarżeń: usiłowania zabójstwa własnego prawnika, spisku mającego na celu dokonanie zabójstwa i morderstwa. Nie zapowiadało się, że sprawa będzie łatwa, wymagała połączenia Constable'a z Barnesem i ze Stowarzyszeniem Patriotycznym, ale jeśli ktoś mógł doprowadzić do skazania przestępcy, to takim człowiekiem był właśnie Grady. Miał on także zamiar doprowadzić do skazania Arthura Loessera na karę śmierci za zamordowanie funkcjonariusza patrolu Larry'ego Burke'a, którego ciało znaleziono wreszcie w alejce na Upper West Side. W tej właśnie chwili Lon Sellitto uczestniczył w jego uroczystym pogrzebie w Queens.

Do pokoju weszła Amelia, bardzo zmęczona po długiej konferencji z prawnikami, załatwionymi przez Stowarzyszenie Dobroczynne Policjantów Patrolu. Omawiano sprawę jej ewentualnego zawieszenia. Powinna zjawić się przed kilkoma godzinami; z wyrazu jej twarzy Rhyme natychmiast się zorientował, że nie było to owocne spotkanie. Miał jej wiele do powiedzenia, przede wszystkim o rozmowie z Jaynene i o tym, co zdarzyło się później, próbował nawet się do niej dodzwonić, lecz bez skutku. A teraz nie było już czasu na rozmowę, ponieważ pojawił się kolejny gość.

Thom wprowadził do pokoju Edwarda Kadesky'ego.

-

Panie Rhyme - powitał kryminalistyka, uprzejmie skinął głową. Zapomniał nazwiska Amelii, ale i jej ukłonił się grzecznie. Potrząsnął dłonią Bella. - Dostałem pańską wiadomość. Podobno poznaliście jakieś nowe fakty?

Rhyme skinął głową.

Dziś rano pogrzebałem trochę w tej sprawie. Próbowałem poukładać nieuporządkowane szczegóły.

Jakie nieuporządkowane szczegóły? - zdziwiła się Amelia.

Szczegóły, o których nie wiedziałem, że nie zostały jeszcze poukładane. Takie, których nie znałem.

Amelia zmarszczyła brwi. Kadesky też sprawiał wrażenie niezbyt szczęśliwego.

Asystent Weira... ten Loesser... chyba nie udało mu się

uciec?

Nie, skąd. W tej chwili jest w areszcie.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Thom znikł, by po chwili pojawić się ponownie wraz z Karą.

Dziewczyna rozejrzała się dookoła, przyglądała krótkie włosy, już nie fioletowe jak poprzednio, lecz ciemnorude, w odcieniu przypominające piegi.

424

Cześć! - przywitała wszystkich. Obecność Kadesky'ego wyraźnie ją zdziwiła.

Czym mogę państwu służyć? - spytał Thom, jak zwykle nie naganie uprzejmy.

Mógłbyś zostawić nas na chwilę? Proszę.

Thom spojrzał na Rhyme'a; wyraz twarzy kryminalistyka, podobnie jak jego głos zdradzały, że jest on poważnie zaniepokojony. Skinął głową i wyszedł do kuchni. Tymczasem Rhyme zwrócił się do Kary:

-

Dziękuję, że przyszedł. Potrzebuję twojej pomocy. Chciałbym definitywnie zakończyć sprawę.

-
Chętnie pomogę.

Nieuporządkowane szczegóły...

-
Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tym wieczorze,
kiedy to Mag wjechał do namiotu Cirque Fantastique karetką,
w której była bomba.

Kara skinęła głową. Stuknęła pomalowanymi na czarno paznokciami.

Chętnie pomogę, jeśli tylko potrafię.

Przedstawienie miało zacząć się o ósmej, czy tak? - Rhyme
zwrócił się do Kadesky'ego.

Tak. Punktualnie o ósmej.

Nie był pan obecny w cyrku, gdy Loesser wjechał karetką za
bramę?

Nie. Udzielałem wywiadu w radiu.

Ale ty tam byłaś? - Rhyme zwrócił się do Kary.

Oczywiście. Nawet widziałam, jak wjeżdża. Wtedy wcale
mnie to nie zdziwiło.

Gdzie dokładnie zaparkował Loesser?

Pod główną trybuną. No, może nie dokładnie pod, ale bardzo blisko.

A więc nie pod najdroższymi miejscami? - Było to pytanie do Kadesky'ego.

-Nie.

Ale blisko głównego wyjścia przeciwpożarowego? Tego, którego w razie ewakuacji użyłaby większość ludzi?

Tak jest.

Do czego zmierzasz, Lincoln? - zainteresował się Bell.

Zmierzam do tego, że Loesser zaparkował karetkę tak, by bomba wyrządziła jak największe szkody, lecz jednocześnie w ten sposób, by dać szansę ucieczki osobom zajmującym miejsce w łóżkach. Czym się kierował, wybierając to miejsce?

425

nil

Nie wiem - przyznał producent. - Być może obejrzał namiot wcześniej i wybrał najlepsze miejsce... to znaczy najlepsze z jego punktu widzenia, a najgorsze z naszego.

Oczywiście, to możliwe - powiedział Rhyme tonem głębo

kiego zastanowienia - ale z drugiej strony zapewne nie chciałby
pojawiać się w cyrku wcześniej, by się nie zdradzić... zwłaszcza że
ustawiliśmy tam patrole policyjne.

Słuszna uwaga.

Czy nie wydaje się więc prawdopodobne, że ktoś znający
rozkład wnętrza namiotu doradził mu tę lokalizację?

Mówi pan o kimś z wewnątrz? Podejrzewa pan, że miał po
mocnika? - Kadesky zmarszczył brwi. - Niemożliwe. Nikt z moich
pracowników by tego nie zrobił.

-

O co ci chodzi? - Amelia wyraźnie się zaniepokoiła.

Rhyme zignorował ją i następne pytanie zadał Karze.

O której godzinie poprosiłem cię, byś poszła do cyrku spo
tkać się z panem Kadeskym?

Mniej więcej piętnaście po siódmej.

Czekałaś na niego w loży?

Dziewczyna skinęła głową.

Na górze? Obok wyjścia ewakuacyjnego?

Kara rozejrzała się dookoła. Nerwowo wyłamywała sobie palce.

Chyba... tak, tak mi się zdaje. - Spojrzała na Amelię. - Dla

czego on mnie o to wypytuje? Nie rozumiem. O co wam chodzi?

Chodzi o to, Œe dobrze pamiętam, co sama nam kiedyś po

wiedziałaś, Karo - wyjaśnił Rhyne. - O ludziach, związanych

z występem iluzjonisty. Po pierwsze mamy asystenta i wiemy, Œe

on z iluzjonistą współpracuje. Po drugie z ochotnikiem z widow

ni. Po trzecie ze współnikiem. Wspólnicy to ludzie pracujący dla

iluzjonisty, ale pozornie niemający z nim nic wspólnego. Udają

pracowników fizycznych albo ochotników.

Słusznie - przytaknął Kadesky. - Mnóstwo iluzjonistów ko

rzysta z pomocy współników.

I tym przez cały czas byłaś dla Loessera, prawda? - zaatako

wał Rhyne, zwracając się do Kary.

Co takiego? - W głosie zdumionego Bella jego południowy

akcent zabrzmiał jeszcze wyraźniej niż zazwyczaj.

Kara zadrŒała. Bezradnie kręciła głową. PrzeŒyła szok.

Od samego początku pracowała z Loesserem - wyjaśnił kry

minalistyk.

Nie! - zaprotestował Kadesky. - Ona?

Bardzo potrzebuje pieniędzy, a Loesser zapłacił jej za po-
moc pięćdziesiąt tysięcy górką. Balzac teŜ jest w to wmieszany.

Kara? - szepnęła zdumiona Amelia. - Nie, nie wierzę. Ona
by tego nie zrobiła.

Doprawdy? - Rhyme doskonale udał zdumienie. - A co ty
o niej wiesz? Nie znasz nawet jej prawdziwego imienia.

Ja... - Policjantka spojrzała na przyjaciółkę, jakby wzro-
kiem prosiła ją o pomoc. - Nie - przyznała. - Nie znam.

Kara rozplakała się.

Amelio, tak mi przykro - wyszeptala przez łzy. - Wiem, Ŝe nie
zrozumiesz, ale... Pan Balzac przyjaźnił się z Weirem. Przez kilka
lat występował z nim i kiedy dowiedział się o jego śmierci w pło-
mieniach, był zdruzgotany. Loesser powiedział mu, co ma zamiar
zrobić, i obaj zmusili mnie do współpracy. Uwierz mi, proszę... nie
wiedziałam, Ŝe zamierzają krzywdzić ludzi. Pan Balzac twierdził,
Ŝe to będzie proste wymuszenie, Ŝe chcą tylko wyrównać rachun-
ki. Kiedy dowiedziałam się, Ŝe Loesser zabija ludzi, było juŜ za
późno. Zagroził mi, Ŝe jeśli przestanę im pomagać, poda moje
prawdziwe nazwisko policji. Ŝe nigdy nie wyjdę z więzienia. I pan
Balzac teŜ... - Otarła łzy. - Nie mogłam mu tego zrobić.

Nie mogłaś tego zrobić swemu mentorowi - stwierdził gorz-
ko Rhyme.

Kara, z paniką w oczach, precyzyjnie się między Sachs i Kadeskym. Pobiegnęła w stronę drzwi.

-

Zatrzymaj ją, Rolandzie! - krzyknął Rhyme.

Bell zachował się niczym rasowy obrońca: skoczył błyskawicznie i przewrócił ją na podłogę.

Potoczyli się w kąt pokoju. Dziewczyna była silna, ale nie miała szans w starciu z policjantem. Została skuta.

Bell wstał zdyszany, podszedł do Rhyme'a, wyjął zza pasa motorolę i na oczach przyglądającej mu się ze zdumieniem Amelii zgłosił konieczność przetransportowania więźniarki do aresztu kobiecego. Pod szczególnym nadzorem.

Z wyrazem obrzydzenia na twarzy odczytał Karze jej prawa.

Rhyme westchnął ciężko.

-

Próbowałem cię uprzedzić, Sachs, ale nie mogłem się do ciebie dodzwonić. Źaluję, że tak się stało... ale już po wszystkim.

Ona i Balzac zaplątali się w tę sprawę od samego początku. Oszukali nas, tak jak oszukiwali widzów.

- Ja nie rozumiem, jak mogła to zrobić - szepnęła Amelia.

Manipulowała dowodami, okłamywała nas, podsuwała fałszywe tropy... chodź, Rolandzie, pokażę ci to wszystko na naszych

tablicach - powiedział Rhyme.

Kara podsuwała fałszywe dowody? - Amelia Sachs nie potrafiła się z tym pogodzić.

A pewnie. I doskonale jej to wychodziło. Zaczęła od samego początku, nim ją spotkałaś. Przecież sama powiedziałaś, że to ona dała ci znak, byście spotkały się w kawiarni. Ustawili to tak, że lepiej nie można.

Bell stał przy białych tablicach. Miał wskazywać kolejne dowody, a Rhyme wyjaśniać, jak Kara użyła ich przeciwko nim. Ale przeszkodził mu Thom.

Przyszła jakaś policjantka - zawołał.

Wprowadź ją - poprosił kryminalistyk.

Młoda funkcjonariuszka w modnych okularach przekroczyła próg, podeszła do stojących w grupie Sachs, Bella i Kadesky'ego, przyjrzała się im zza modnych okularów, skinęła głową Rhy-me'owi i spytała Bella:

-

To pan dzwonił po eskortę do aresztu kobiecego, detektywie? - Mówiła z wyraźnym latynoskim akcentem.

Bell skinął głową, wskazując kąt pokoju.

-

Jest tam. Zna swoje prawa.

Policjantka zerknęła na leżącego na podłodze nieruchomy kształt.

W porządku, zawiozę ją do śródmieścia - powiedziała. Zawa

hała się. - Ale mam jedno pytanie.

Pytanie? - zdziwił się Rhyme.

428

-

A o co chodzi? - spytał równie zdumiony Bell.

Policjantka nie odpowiedziała na ich pytania. Spojrzała na

Kadesky'ego.

Dokumenty proszę - powiedziała stanowczo.

Do mnie pani mówi? - zdumiał się producent.

Owszem. Chcę zobaczyć pańskie prawo jazdy.

Legitymujesz mnie? Znowu? Przecież sprawdzaliście mnie

wczoraj.

Proszę...!

Zły jak osa Kadesky sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Ale nie znalazł w niej portfela, tylko starą, wygniecioną portmonetkę w czarne i białe paski.

Hej, chwileczkę... - Zawahał się. Nie wierzył własnym

oczom. -To nie moje.

Nie pańskie? - zdziwiła się policjantka.

Oczywiście, że nie. - Kadesky bezradnie klepał się po kie

szeniach. - Doprawdy nie wiem...

Tego się właśnie spodziewałam. - Policjantka zachowywała się bardzo poważnie i profesjonalnie. - Bardzo mi przykro. Aresztuję pana pod zarzutem kradzieży kieszonkowej. Ma pan prawo zachować milczenie...

Przecież to bzdura - zaprotestował Kadesky. - Straszna po myłka. - Otworzył portmonek, zajrzał do środka i nagle wybuchł pełnym niedowierzania śmiechem. Wyjął prawo jazdy, po kazał wszystkim. Na zdjęciu była Kara.

Z portmoneki wypadła kartka papieru. Złapał ją w powietrzu. Widniały na niej dwa słowa: „Mam cię”.

-

Czy... - Kadesky przerwał, dokładniej przyjrzał się policjantce. - Przecież to ty!

„Policjantka” roześmiała się, zdjęła okulary, czapkę oraz czarną perukę. Śmiejący się wesoło Roland Bell rzucił jej ręcznik, którym wytarła z twarzy ciemny makijaż. Odkleiła grube brwi i czerwone nakładki z polakierowanych na czarno paznokci. Wreszcie z rąk zdumionego Kadesky'ego wyjęła portmonek i oddała mu jego portfel. Producent nie zauważył nawet, że

mu go wyjęła z kieszeni, kiedy wpadła na niego i Amelię podczas udawanej „próby ucieczki”.

Amelię zatkało, tylko z podziwem kręciła głową. Oboje ze zdumieniem patrzyli na leśną w kącie postać. Kara podeszła do niej. Podniosła lekką konstrukcję, zaledwie przypominającą ludzką postać; jeszcze przed chwilą leżała ona na „brzuchu”, ubrana

w coś przypominającego dŹinsy i wiatrówkę, które dziewczyna miała na sobie, gdy Bell zakładał jej kajdanki. Lateksowe nadgarstki manekina skute były tymi właśnie kajdankami; uwolniła się z nich w kilka sekund i zdołała jeszcze skuć nimi manekina.

Gdy obecni odwrócili się, złapani na zmyłkę wskazującego tablice Rhyme'a, młoda iluzjonistka zdołała nie tylko uwolnić się, lecz takŹe wymknąć na korytarz i dokonać szybkiej zmiany w policjantkę.

No to macie fałszywkę - oznajmił radoŹnie Rhyme. - Fałszywą Karę.

Dziewczyna złoŹyła manekin; miał on teraz rozmiar niewielkiej poduszki, bez Źadnych problemów wniosła go do domu Rhyme^ pod wiatrówką. Z bliska nikt nie pomyliłby go z człowiekiem, ale leŹał w cieniu, uwagę obecnych skutecznie odwrócono i nikt nie zauwaŹył, iŹ bardzo róŹni się od Kary.

Kadesky potrząsnął głową z podziwem.

Wymknęłaś się nam i przeprowadziłaś szybką zmianę w niepełną minutę?

W czterdzieŹci sekund.

-Jak?

Widział pan efekt. Metodę wolę zostawić dla siebie.

-

Czy myślę się, twierdząc, że przygotowaliście ten szt, bo
chcesz przesłuchania?

Kara się zawahała. Zerknęła na kryminalistykę, a on dodał jej odwagi ostrym spojrzeniem.

Myli się pan - powiedziała odważnie dziewczyna. - To było
przesłuchanie. Chcę pracy.

Sama twierdziłaś, że nie jesteś jeszcze gotowa.

Nie mnie o tym decydować. A co pan o tym sądzi?

Kadesky spojrzał na nią ostro.

Pokazałaś nam dobrą sztuczkę. Znasz inne?

Wiele.

Ilu zmian dokonywałaś podczas jednego występu?

Czterdziestu dwóch. Trzydzieści postaci. W ciągu pół godziny.

Czterdziestu dwóch w pół godziny? - spytał z niedowierzeniem producent.

Owszem.

Kadesky zastanawiał się, ale zaledwie kilka sekund.

-

Zgłoś się do mnie w przyszłym tygodniu. Nie mam zamiaru skracać moim artystom czasu występów, ale zastępstwo przyda się z pewnością. Poza tym dam ci zapewne szansę samodzielnych występów poza sezonem, w zimie, kiedy zatrzymujemy się na Florydzie.

Kara i Rhyme znów wymienili spojrzenia. Kryminalistyk energicznie skinął głową.

-

Zgoda - powiedziała dziewczyna, wyciągając rękę. Kadesky potrząsnął nią energicznie, zerknął na rozkładany sprzęt, który tak ich ogłupił, i spytał:

Sama to wymyśliłaś?

-Tak.

Radzę opatentować.

No proszę, a mnie to nawet do głowy nie przyszło. Dziękuję.

Doskonały pomysł.

Czterdzieści dwie zmiany w trzydzieści minut - powtórzył

Kadesky. Skinął głową Rhyme'owi. Wyszedł bez słowa, ale i on,

i Kara sprawiali wrażenie rasowych kierowców zachwyconych

tym, że udało im się kupić wyścigowy samochód po niewygórowa

nej cenie.

Amelia nie zdołała zachować powagi.

No, aleście mnie oszukali - powiedziała ze śmiechem. - Ty

też - dodała, patrząc na Rhyme'a.

Hej, uważaj. - Roland Bell przekonująco udawał obrażone

go. - Ja też wystąpiłem na scenie. Skułem ją tymi rękami.

Kiedy to wymyśliliście?

Rhyme wyjaśnił jej, że ostatniej nocy, kiedy leżał bezsenne, słuchał cyrkowej muzyki,

niewyraźnego głosu konferansjera, oklasków i okrzyków widowni. Przypomniała mu się

wówczas Kara i jej wspaniałe przedstawienie w „Dym i Lustra”. Ale dziewczyna była taka nieśmiała i Balzac panował nad nią tak niepodzielnie. No i ten jej problem z matką. Właśnie dlatego zaprosił na rano Jaynene.

Zadam ci jeszcze jedno pytanie. Pomyśl, nim odpowiesz.

Bardzo cię proszę, żebyś była ze mną absolutnie szczerą. Czy mat

ka Kary kiedykolwiek z tego wyjdzie?

Pytasz o to, czy kiedykolwiek odzyska świadomość?

Właśnie tak. Czy wyzdrowieje.

Nie ma mowy.

Więc Kara nie zabiera jej do Anglii?

Nie, nie, nie! - Pielęgniarka uśmiechnęła się, ale nie był to uśmiech wesoły. - Nigdzie jej nie zabierze.

Kara twierdzi, że nie może rzucić pracy, bo musi płacić raty za prywatny szpital.

430

431

Och, oczywiście, jej matkę trzeba gdzieś umieścić. Ale nie u nas. U nas płaci się za rehabilitację, rekreację, leczenie i interwencje w nagłych wypadkach. Najprościej mówiąc: opieka krótkoterminowa. Tymczasem mama Kary nie wie nawet, który mamy rok. Można ją umieścić wszędzie. Przykro to mówić, ale starszej pani nie da się leczyć, można ją co najwyżej obsługiwać.

Co będzie, jeśli odda się ją do hospicjum?

Będzie się jej pogarszać... aż do śmierci. Dokładnie tak, jak u nas. Tylko że nie doprowadzi córki do bankructwa.

Po rozmowie Jaynene i Thom poszli na lunch, podczas którego niewątpliwie zabawiali się nawzajem opowieściami o szaleństwach ludzi pozostawionych pod ich opieką, Rhyme zaś zadzwonił do Kary, a kiedy przyszła, odbyli zasadniczą rozmowę. Nieco niezręcznie, przynajmniej na początku, Rhyme nie za dobrze radzi! sobie ze sprawami osobistymi. Konfrontacja z bezdusznym seryjnym mordercą była niczym w porównaniu z wkraczaniem z butami w czyjeś prywatne życie.

Wiesz, że nie znam dobrze twojego zawodu - zaczął rozmowę Rhyme. - Ale widziałem cię na scenie w niedzielę wieczorem, w tym sklepie, no i zaimponowałaś mi... a mnie niełatwo zaimponować. Dobra byłaś.

Jak na uczennicę. - Kara lekceważąco machnęła ręką.

Nie! Jak na artystkę! Czas, byś wyszła na scenę.

-

Nie jestem jeszcze gotowa. Ale kiedyś, oczywiście...

Zapadła ciężka cisza, którą przerwał kryminalistyk.

Moje wątpliwości budzi to, że niektórzy nigdy na nią nie tra

fiają. - Popatrzył na swoje sparaliżowane ciało. - Wszystko może się zdarzyć. A ty? Ty, Karo, zrobiłaś coś bardzo ważnego. Możesz zmarnować swoją jedyną szansę.

Ale pan Balzac...

Pan Balzac ściąga ci cugle. To oczywiste dla każdego.

Chodzi mu wyłącznie o moje dobro.

Nie. Nie sędę. Nie wiem oczywiêcie, o czym myêli, ale jednego jestem pewien, nie myêli o tobie. Przypomnij sobie Weira, Keatinga, Loessera. Pamiêtaj teê, co sama powiedziałaê: mentor potrafi zaczarowaç ucznia. Podziêkuj Balzacowi za to, co dla ciebie zrobił, obiecaj, êe zostaniecie przyjaciółmi, wyêlij mu zaproszenie do loêy na twój pierwszy występ w Carnegie Hall, ale odejdź od niego... póki jeszcze moêesz.

Przecieê on mnie wcale nie zaczarował! - Kara rozeêmiała siê lekcewaêaco.

432

Rhyme milczał. Wiedział, êe w tej chwili Kara zastanawia siê nad tym, jak głęboko wpadła i jaką wladzê ma nad niã Balzac.

Kadesky jest nam coê winien... po tym, co dla niego zrobiliêmy - powiedział w koñcu. - Amelia powiedziała, êe kochasz Cirque Fantastique. Moim zdaniem powinni ciê przesłuchaç. Moêe i tak. Ale mam problemy osobiste...

Mamê? - przerwał jej.

-Tak.

Rozmawiałem z Jaynene.

Kara umilkła.

Pozwól, Œe opowiem ci pewn historię.

Historię?

-

Byłem szefem wydziału kryminalistyki tu, w Nowym Jorku.

Jak zapewne dobrze wiesz, była to robota przede wszystkim administracyjna. A ja najbardziej lubiłem badanie miejsca przestępstwa, dlatego chociaŒ dostałem awans, wrywałem się w teren, kiedy tylko mogłem. No i... przed paroma laty mieliŒmy w Bronksie seryjnego gwałciciela. Oszczędzę ci szczegółów, w kaŒdym razie to była cholernie obrzydliwa sprawa i bardzo chciałem szybko dopaść faceta. Wyjątkowo mi na tym zaleŒało. Patrol zawiadomił mnie o kolejnym ataku, zaledwie przed pół godzin; wygldało na to, Œe na miejscu znajdę choć troch przyzwoitych dowodów. Pojechałem do miasta, Œeby przeprowadzić badanie osobiŒcie.

Kiedy znalazłem się na miejscu, dostałem wiadomoŒć, Œe mój zastępcza i dobry przyjaciel dostał ataku serca. CięŒkiego. Bardzo powaŒnego. To był młody facet w doskonałej formie. No nk, w kaŒdym razie prosił, Œebym do niego przyjechał. - Rhyme przerwał na chwilę. Nie było to mile wspomnienie; musiał się bardzo postarać, Œeby je od siebie odsun. - Nie przyjechałem. Musiałem zbadać miejsce, wypełnić karty łańcucha dowodów. Dopiero potem pojechałem do szpitala. Pobiłem wszystkie rekordy szybkoŒci, ale i tak się spóźniłem. Zmarł

godzinę wcześniej. Trudno się czymś takim pochwalić, prawda? Tyle lat minęło i ciągle mnie to boli. Ale nie postąpiłbym inaczej. Za Śadne skarby.

Chcesz mnie przekonać, Śe powinnam przenieść matkę do innego zakładu, prawda? - spytała dziewczyna z goryczą w głosie.

-Tańszego. Dopiero wtedy będę szczęśliwa.

AleŚ nic takiego. Znajdź jej miejsce, w którym otrzyma od powiednią opiekę, będzie miała towarzystwo. WaŚne jest to, cze

go ona potrzebuje, a nie to, czego potrzebujesz ty. Centrum rehabilitacji szybko doprowadzi cię do bankructwa... Wiesz, próbuję ci tylko wytłumaczyć, Śe jeśli jest coś, co chcesz robić w Śyciu, to wszystko inne musisz temu czemuś podporządkować. Weź tę pracę w Cirque Fantastique albo znajdź sobie jakąś inną, ale musisz zrobić ten krok i to teraz, juŚ.

Wiesz, jak wyglądają niektóre z tych hospicjów?

Prawdopodobnie nie najlepiej i twoim zadaniem jest teraz znalezienie takiego, które będzie się podobało wam obu. Przepraszam za bezpośredniość, ale przecieŚ uprzedzałem cię, Śe de likatność nie jest moją mocną stroną.

Kara potrząsnęła głową.

-

Słuchaj, Lincoln, nawet gdybym się zdecydowała, nigdy nie dostanę pracy w Cirque Fantastique. Do nich przychodzą setki podań tygodniowo!

Na te słowa Rhyme wreszcie się uśmiechnął.

-
Wyobraź sobie, że o tym też pomyślałem. Unieruchomiony

Człowiek ma pomysł na pewien numer. Sądzę, że warto spróbować.

Tak skończyła się opowieść Rhyme'a.

Nazwaliśmy tę sztukę „Uciekającym podejrzanym” - po

wiedziała Kara. - Może nawet włączę ją do swojego repertuaru?

Dlaczego mi nie powiedziałeś? - spytała Rhyme'a urażona

Amelia.

Byłaś w śródmieściu. Nie zdążyłem cię złapać. Przepraszam.

No cóż, zapewne wyszłoby lepiej, gdybyście mnie jednak

uprzedzili. Przecież mogłeś choćby zostawić wiadomość.

Sachs! Koniec tego dobrego. Przeprosiłem, a wiesz, że nie

często mi się to zdarza. Powinnaś to docenić. A skoro zaczęliśmy

już o tym rozmawiać, powiem ci szczerze, że nie wiem, jak mogło

by „wyjść lepiej”. Zdumienie na twojej twarzy warte było fortunę. Dodało przedstawieniu wiarygodności.

A Balzac? Znał Weira? Był wplątany w tę sprawę?

Wszystko wymyślone. - Rhyme skinął głową, wskazując Karę. - Razem napisaliśmy scenariusz.

Amelia spojrzała na dziewczynę niezbyt przyjaźnie. Westchnęła.

-

Najpierw dajesz się zadźgać na śmierć właśnie wtedy, kiedy
ja się tobą opiekuję, a potem, jak za dotknięciem czarodziejskiej
róŝdŝki, zmieniasz się w podejrzaną o morderstwo. To będzie bar
dzo trudna przyjaźń.

Kara zaproponowała, Ŝe pobiegnie do kubańskiej restauracji po jedzenie na wynos, choć
Rhyme podejrzewał, Ŝe chodzi jej raczej o to, by kupić sobie wielki kubek ich mulistej kawy.
Nim uzgodnili zamówienie, zadzwonił telefon.

-

Polecenie, przyjmij rozmowę.

Z głoŝnika rozległ się głoŝ Sellitta.

Linc, zajęty jesteś?

To zaŝy. O co chodzi?

Głupiego robota kocha. Potrzebna nam pomoc. Mamy doŝć
niesamowite morderstwo.

O ile pamiętam, poprzednio było tylko „dziwne”. Podejrze
wam, Ŝe przymiotnikami szafujesz tylko po to, by pobudzić moją
ciekawoŝć.

-

Nie, naprawdę, nie mam pojęcia, co z tym począć.

-
Dobrze już, dobrze - burknął Rhyme. - Podaj szczegóły.

Szorstkie zachowanie kryminalistyka maskowało oczywiście

radość z faktu, że nuda nie będzie mu dokuczać... przynajmniej przez jakiś czas.

Kara przystanęła przed wejściem do „Dymu i Luster”. Zdziwiła się, widząc to, czego nigdy przedtem nie dostrzegła: dziurę w lewym górnym rogu drzwi, zapewne od strzału z wiatrówki, nieudolne graffiti, starą księżkę o Houdinim, porzuconą w rogu wystawy, otwartą na stronie pokazującej pleciony sznur, którym ten słynny iluzjonista często posługiwał się w trakcie występów.

Błysnęło światelko, to pan Balzac zapalił papierosa. Kara odetchnęła głęboko. Jeśli masz to zrobić, zrób teraz, pomyślała i weszła do środka.

Balzac był na zapleczu z przyjacielem, Kalifornijczykiem, który przyjechał dać pokaz na

prywatnym przyjęciu dobroczynnym. Niewysokiemu mężczyźnie w średnim wieku

przedstawił ją jako uczennicę. Przez chwilę rozmawiali o przedstawieniu gościa i o

przyjaciółach z miasta, ot, zwykłe plotki, jak się typowe dla ludzi wywodzących się z jednego środowiska. Trwało to krótko; mężczyzna śpieszył się na samolot, a do sklepu wpadł tylko po to, by zwrócić pożyczone rekwizyty. Pożegnał się z przyjacielem, skinął głową Karze i wyszedł.

Spóźniłaś się - powiedział szorstko Balzac. Zdziwił się, wi

dząc, że Kara nie odkłada torby za ladę, jak to zwykle czyniła.

Spojrzał na jej dłonie. Nie trzymała w nich kubka kawy. A to

bardzo wiele mówiło.

Co? - spytał krótko, zaciągając się papierosem. - O co cho

dzi?

Odchodzę.

Jak to?

Rozmawiałam z Kadeskym. Dostałam pracę w Cirque Fantastique.

Kadesky? On? Nie, nie, nie! Ty? Przecież to nie magia, tylko...

Ja chcę pracować w Cirque Fantastique.

Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Nie jesteś gotowa. Masz potencjał, ale brakuje ci wielkości.

Przecież to nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko wyjście na scenę. Tylko przedstawienie.

Jeśli postąpisz po prostu...

Po prostu? Och, Davidzie, jak możesz. Po prostu? A kiedy, twoim zdaniem, już nie będzie „po prostu”? Za rok? Za pięć lat?

-

Zwyczaj pod jego ciężkim spojrzeniem zawsze spuszczała wzrok, ale dziś miała siłę, by spojrzeć mu wprost w oczy. - Czy kiedykolwiek wypuściłbyś mnie spod swych opiekuńczych skrzydeł?

Wpatrzony w blat biurka Balzac przekładał papiery z kupki na kupkę.

Kadesky! - prychnął lekceważąco.

- I co niby masz dla niego

robić?

Będę asystentką, przynajmniej na początku. Zimą, na Florydzie, zacznę występować samodzielnie. A potem... kto wie?

Jej mentor zdusił papierosa w popielniczce.

To błąd. Zmarnujesz talent. Tam nie pokazują iluzji takich, jakich cię uczyłem.

Dostałam tę pracę dlatego, że mnie uczyłeś.

Kadesky! Nowa magia!

Oczywiście. Ale przedstawię tak same stare sztuczki. Pamiętasz

„Metamorfozy”, „Stare staje się nowym”?

David Balzac nie uśmiechnął się, choć wzmianka o jego „starych sztuczkach” z pewnością sprawiła mu przyjemność.

Słuchaj - mówiła dalej dziewczyna - ja dalej chcę się u cie

bie uczyć. Ilekroć wrócę do miasta, będę do ciebie wracała. Za

płacę za lekcje.

Nie sądzę, by to się udało. Nie można słyszeć dwóm panom

-

szepnął Balzac, a kiedy Kara nie odezwała się, dodał: - No cóż,

zobaczymy. Nie wiem, czy będę miał czas.

Kara wstała, zarzuciła torbę na ramię.

-

A więc to już? Teraz? - spytał.

-

Tak chyba będzie lepiej.

David Balzac tylko skinął głową.

-

Do widzenia.

Bliska łez, Kara zarzuciła torebkę na ramię. Podeszła do drzwi.

-

Chwileczkę. - Jej, były już, mentor wyszedł na chwilę, a kie

dy wrócił, wcisnął jej coś do ręki. Pudełko po cygarach, a w nim

trzy kolorowe chusteczki Tarbella. - Zatrzymaj je. Podobało mi

się, jak robisz tę sztuczkę.

Naprawdę? Pamiętała poprzednią pochwałę. „Ach”.

Kara objęła i mocno przytuliła Balzaca. Zdziwiona pomyślała: Oto nasz pierwszy fizyczny

kontakt po tym, jak zaangażował mnie do sklepu i uścisnął mi rękę osiemnaście miesięcy

temu.

Balzac odwzajemnił jej uścisk niezręcznie, jakby krępowała go ta sytuacja, i szybko cofnął się o krok.

Dziewczyna wyszła. Nim drzwi sklepu się zamknęły, pomachała mentorowi na pożegnanie,

ale on już znikł w mroku, rządzącym wszechwładnie jego sklepem. Włożyła pudełko z

chusteczkami do torby i ruszyła w stronę Szóstej Alei, która miała doprowadzić Karę do jej mieszkania.

436

52

Morderstwo było rzeczywiście niesamowite. A właściwie podwójne morderstwo, którego

dokonano w opuszczonej części Roosevelt Island: wąskim pasie domów mieszkalnych,

szpitali i upiornych ruin nad East River. Linia tramwajowa prowadzi stąd na Manhattan i kończy się niedaleko budynku Organizacji Narodów Zjednoczonych, więc nic dziwnego, że mieszka tu wielu pracowników ONZ.

I to właśnie ich znaleziono martwych: dwóch młodych przedstawicieli jednego z krajów bałkańskich. Ręce skrępowano im na plecach, po czym obydwóm dwukrotnie strzelono w tył głowy.

Podczas przeszukania miejsca zbrodni Amelia znalazła kilka interesujących dowodów. Popiół z papierosów, których marka nie figurowała ani w stanowych, ani federalnych bazach danych, ślady roślin niewystępujących na terenie miasta oraz odcisk ciężkiej walizki, postawionej na ziemi przy zwłokach i zapewne otwartej.

Najdziwniejsze było to, że obie ofiary straciły prawe buty. Nie znaleziono ich w pobliżu ciał.

-

U obydwu prawe buty, Sachs - powiedział Rhyme, patrząc na czystą białą tablicę, przed którą Amelia chodziła tam i z powrotem.

- I co mamy z tym zrobić?

Odpowiedź na to pytanie musiała poczekać, ponieważ w tej chwili odezwał się telefon komórkowy policjantki. Dzwoniła sekretarka kapitana Marlowa. Zaprosiła ją na spotkanie z szefem. Od zamknięcia sprawy Maga minęły trzy dni, trzy dni temu dowiedziała się o działaniach, które podjął przeciwko niej Ramos. Od tego czasu ani słowem nie wspomniano o zawieszeniu.

-

Kiedy? - spytała Amelia.

438

-

Jak najszybciej - odpowiedziała sekretarka.

Policjantka zakończyła rozmowę. Spojrzała na Rhyme'a. Za
ciśnięte wargi skrzywiła w niepewnym uśmiechu.

-

JuŜ czas. Muszę iść.

Rhyme tylko skinął głową.

Pół godziny później Amelia Sachs siedziała juŜ w gabinecie kapitana Marlowa, który jak
zwykle pogrąŜony był w lekturze jakichś dokumentów.

-

Chwileczkę - powiedział, nie podnosząc wzroku. Od czasu

do czasu notował coś na marginesie absorbujących go bez reszty

dokumentów.

Amelia siedziała nieruchomo, ale daleko było jej do spokoju. Skubała skórki paznokci.

Wyłamywała palce. Minęły dwie bardzo długie, wypełnione ciszą minuty. O, Chryste,

pomyślała i na tym wyczerpała się jej cierpliwość.

-

O co chodzi, panie kapitanie? Odpuścił?

Marlow skrupulatnie zaznaczył miejsce, w którym oderwał się od lektury dokumentu.

Podniósł głowę. -Kto?

-

Ramos. Czy odpuścił sprawę egzaminu na sierŚanta?

I ten drugi mŚciwy fiut - lubieŚny glina z egzaminu praktycznego.

-

Odpuścił? Ramos? - Marlow wyraźnie zdumiał się jej naiw

nością. - AleŚ funkcjonariuszko, o tym nie ma mowy!

A więc... mógł być tylko jeden powód tego wezwania. Świadomość ta była jak pierwszy

strzał na strzelnicy, ostry, odbierany całym ciałem, które przy kolejnych powoli drętwieje i przestaje cokolwiek odczuwać. Jeden powód: za chwilę Marlow odbierze jej broń i odznakę.

Zawiesili mnie.

Szlag by trafił!

Przygryzła wargę.

Kapitan tymczasem zamknął teczkę i spojrzał na nią z prawdziwie ojcowskim uczuciem,

czym skutecznie wyprowadził ją z równowagi; nagle nabrała przekonania, że nowiny są tak straszne, i że uznał za konieczne jakoś je jej osłodzić.

-

Ludzie tacy jak Ramos... z nimi nie da się wygrać, funkcjo

nariuszko Sachs. Nie w ich grę, nie na ich boisku. Zwyciężyłaś

w bitwie, skułaś faceta, przepędziłaś z miejsca przestępstwa...

ale on wygrał wojnę. Ramosowie tego świata zawsze wygrywają

wojny.

439-Ma pan na myśli głupców, prawda? Małostkowych, zawist

nych głupców?

Marlow był zawodowym gliniarzem, który zaszedł wysoko, a zamierzał zająć jeszcze wyżej,

dlatego po raz drugi udał, że nie

słyszy pytania.

-

Tylko popatrz - powiedział, wskazując blat biurka, w który sam wpatrywał się z obrzydzeniem w oczach. Papiery, papiery, papiery, notatki, teczki. - I pomyśleć, że kiedy byłem zwykłym gliną z patrolu, skarżyłem się na nadmiar biurokracji. - Przejrzał jedną stertę, nie znalazł w niej tego, czego szukał, sprawdził następną, zrezygnował w połowie, znalazł jakieś dokumenty, przeglądał je powoli, ale okazało się, że to jednak nie te, których szukał. Mimo rozczarowania nie ustawał w wysiłkach.

Och, tatku, nie sądziłam, że dojdzie do zawieszenia.

I nagle smutek wraz z rozczarowaniem zmieniły się w jej duszy w ciężki, twardy kamień.

Amelia pomyślała: Aha! Chcecie to rozegrać w ten sposób? W porządku. Może pójdę na dno, ale i wy nie wyjdziecie z tego cali i zdrowi. Ramos i małe ramosopodobne fiutki długo będą lizać rany.

Pójdzie na pięści.

- Jest! - ucieszył się Marlow. Znalazł to, czego szukał: dużą kopertę z przyklejoną do niej kartką. Przeczytał to, co było na niej napisane. Zerknął na stojący na biurku zegarek w kształcie koła sterowego. - Och, ale ten czas leci! - mruknął. - Pora kończyć.

Funkcjonariuszko Sachs, proszę oddać mi odznakę.

Amelia posłusznie sięgnęła do kieszeni. Serce straszliwie biło jej w piersi.

Na jak długo? - spytała cicho.

Rok. Bardzo mi przykro.

Cały rok? A miała nadzieję, że na trzy miesiące! W najgorszym razie.

-

Nie udało mi się załatwić lepszego układu. Rok. Prosiłem o odznakę! - Marlow potrząsnął głową. - Bardzo przepraszam za pośpiech. Za kilka chwil mam ważną naradę. Doprawdy, te narady doprowadzają mnie do szaleństwa. Będziemy dyskutować o ubezpieczeniach. A ludzie myślą, że my nic nie robimy, tylko łapiemy bandytów. A raczej nie łapiemy bandytów, sądząc z tego, co o nas mówią. Hm... hmm... nic nie wiedzą o przekładaniu papierów. Wiesz, jak mój ojciec nazywał biurokrację? Biurwokracja. Trzydzieści dziewięć lat pracował dla American Standard.

440

Szef działu sprzedaży. BIURWOKRACJA. Doskonały opis naszej roboty. - Wyciągnął rękę.

Zła, zrozpaczona i rozczarowana, Amelia Sachs podała mu wytarty skórzany portfelik ze srebrną odznaką i legitymacją policyjną.

Odznaka numer pięć-osiem-osiem-pięć.

/ co teraz zrobi? Zatrudni się w jakiejś pieprzonej ochronie?

Zadzwonił telefon. Kapitan odwrócił się, podniósł słuchawkę.

-

Mówi Marlow. Tak jest... załatwiliśmy ochronę. - Mówił coś

jeszcze, zdaje się, że o procesie Andrew Constable'a i jednocześnie

nie położył kopertę na kolanach. Przytrzymując słuchawkę przy uchu ramieniem, prowadził rozmowę, rozwiązywał czerwoną nitkę, którą koperta była przewiązana.

Monotonnym głosem przekazywał informacje o kolejnych oskarżeniach zarówno Constable'a, jak i członków Stowarzyszenia Patriotycznego, o policyjnych nalotach na ich obozy wokół Canton Falls. Amelia natychmiast zauważyła, że mówi głosem cichym, powagą, pełnym szacunku; w biurokratyczne gry facet potrafił grać bezbłędnie. Pewnie rozmawiał z burmistrzem albo i gubernatorem?

A może z kongresmanem Ramosem?

Gry biurokratyczne, gry polityczne... czy to jest istota pracy w policji? Ona przecież nie umiała grać, czyżby nie było dla niej miejsca w policji?

Biurwo-kracja.

Myśl ta była nie do zniesienia. Och, Rhyme, co my teraz zrobimy?

Przeżyjemy, pomyślała. Ale życia nie można po prostu przeżyć. Jeśli się je tylko przeżywa, to się przegrywa.

Kapitan nadal mówił do słuchawki językiem biurokracji idealnej. Ale kopertę udało mu się otworzyć. Wrzucił do niej jej odznakę. Schował ją do szuflady, ale też wyjął z niej coś owinięte w papierową chustkę do nosa.

-

...nie ma czasu na ceremonie. Później coś wymyślimy - wyszeptał. Amelia zdumiała się; najwyraźniej mówił do niej!

Ceremonie?

Marlow popatrzył na nią i zakrywając słuchawkę dłonią, powiedział:

-

Ubezpieczenia! Nie wierzę, by ktoś umiał to zrozumieć! A ja muszę nauczyć się wszystkiego o statystyce śmiertelności, doświadczeniach rentach i zabezpieczeniu członków rodziny.

441

Rozwinął chusteczkę. Sachs zobaczyła... złotą odznakę! Kapitan kończył rozmowę.

Normalnym, pełnym szacunku głosem powiedział:

-

Tak jest, kontrolujemy sytuację. Tak, mamy swoich ludzi w Bedford Junction. I w Harrisonburgu też. Tak, cały czas jesteśmy aktywni,

I znów szepnął do niej.

-

Zachowałem wasz numer, funkcjonariuszko. - Rzeczywiście,
na błyszczącej złotem odznace widniały znajome cyfry: 5885.

Wsunął ją w skórzany futerał. W szufladzie znalazł jeszcze coś:
tymczasową legitymację. I ona znalazła się na swoim miejscu.

Zgodnie z legitymacją Amelia Sachs była od dziś detektywem trzeciego stopnia.

Tak jest, słyszeliśmy o tym, według naszej oceny zagrożenia
poradzimy sobie z tą sytuacją. Tak, oczywiście. - Marlow odłożył
słuchawkę. Potrząsnął głową. - Wolę proces bigota niż te cuda
z ubezpieczeniami, choćbym miał jeden dziennie. W porządku,
funkcjonariuszko Sachs, do legitymacji musicie zrobić sobie ak-
tualne zdjęcie. - Przerwał na chwilę, wyraźnie się nad czymś za-
stanawiał. - Nie jestem męskim szowinistą, broń Boże, nie odbie-
raj tego w ten sposób, ale bardziej mi się podoba, kiedy kobiety
wiążą włosy z tyłu. Nie nisko, tylko, rozumiesz chyba, z tyłu. Tak
będzie... porządniej. Czy to dla was problem, funkcjonariuszko
Sachs?

Czyli... mam rozumieć... nie zostałam zawieszona?

Zawieszona? Skąd. Właśnie zostałam detektywem. Nikt cię
nie poinformował? O'Connor miał do ciebie zadzwonić... albo je-
go sekretarka, albo ktoś.

Dan O'Connor, szef Biura Detektywów.

Nikt do mnie nie dzwonił. Z wyjątkiem pańskiej sekretarki.

Aha. No, ale mieli zadzwonić.

Co się właściwie stało?

Przecież powiedziałem, że zrobię, co w mojej mocy. I zrobiłem. Powiedzmy sobie szczerze: nie mogłem dopuścić do zawieszenia. Co bym bez ciebie zrobił? - Z obrzydzeniem spojrzął na zaścielające stół papiery. - By już nie wspomnieć o tym, że nie chciałbym stanąć przeciw tobie w sądzie. Byłoby to doprawdy obrzydliwe.

O tak, panie kapitanie, obrzydliwe. Bardzo obrzydliwe.

Panie kapitanie, ale wspomniał pan coś o roku?

Tak, oczywiście. Chodziło mi o egzamin na stopień sierżanta. Możesz do niego przystąpić

najwcześniej w kwietniu przyszłego roku. Podlega on ustawie o służbie cywilnej, na to nic nie mogę poradzić. Ale przeniesienie do Biura Detektywów to sprawa czysto policyjna i Ramós nic nie może na to poradzić. Zameldujecie się u Łona Sellitto, funkcjonariuszko.

Nie wiem, co powiedzieć. - Sachs wpatrywała się w złotą odznakę jak zaczarowana.

Możecie powiedzieć: „Dziękuję panu bardzo, kapitanie Marlow”. Albo coś takiego. Nasza współpraca w patrolu sprawiła mi ogromną przyjemność. śałuję, że skończyła się po tylu owocnych latach.

Ale...

To był Sart, funkcjonariuszko Sachs. Mimo krążących o mnie plotek mam poczucie humoru. Aha, jak pewnie zauważyliście, dostaliście zaledwie trzeci stopień.

Tak jest. - Amelia robiła wszystko, by się głupio nie uśmiechać.

Jeśli chcecie awansu na sierżanta i detektywa pierwszego

stopnia, policzcie do dziesięciu i weźcie głęboki oddech, nim aresztujecie... czy teŜ zatrzymacie... kaŜdego, kto się wam nawy nie pod rękę. A takŜe zastanówcie się, co mówicie i komu, To taka ojcowska rada.

Tak jest, panie kapitanie!

A teraz, skoro juŜ skończyliśmy tę pouczającą rozmowę, funkcjonariuszko... aaa, przepraszam, detektywie Sachs, moŜe pozwolicie mi wrócić do pracy. Mam mniej więcej pięć minut, by nauczyć się wszystkiego o ubezpieczeniach.

Amelia Sachs obejrzała ze wszystkich stron zaparkowany na Centre Street camaro, cięŜko uszkodzony po zderzeniu z mazdą Loessera. Najbardziej ucierpiał przedni pas, maska i jeden z błotników. Trzeba będzie solidnie się napracować, by doprowadzić biedaka do porządku.

To jej nie martwiło. Amelia doskonale znała się na samochodach. Znała kaŜdą śrubę w swym camaro: główkę, rozmiar, długość. W garaŜu w Brooklynie miała komplet narzędzi; większości napraw mechanicznych i blacharskich dokonywała samodzielnie.

Ale blacharki nie lubiła. Tę robotę uwaŜała za nudną, tak jak nudne byty dla niej występy na wybiegu i randki z supermęski-mi, superprzystojnymi gliniarzami. Nie lubiła uczonej gadaniny psychiatrów, ale zapewne, w głębi duszy, Ŝywiła nieufność do tego, co

powierzchowne, moŜna nawet powiedzieć: kosmetyczne. Dla niej w samochodzie liczyło się serce i dusza: tłoki, paski klinowe, przekładnie i to, co sprawiało, Ŝe tona pozornie martwego metalu, szkła, plastiku i skóry zmieniała się w pędzący z wielką prędkością pocisk.

Postanowiła, Ŝe odstawi camaro do zakładu w Astorii, w Queens: mieli tam mechaników naprawdę dobrych, mniej lub bardziej uczciwych i ceniących mocne, nietypowe samochody, takie jak jej.

Usiadła za kierownicą, włączyła silnik; jego basowy ryk ŝciągnął uwagę przechodzących obok parkingu gliniarzy, prawników i biznesmenów. Wyjechała z parkingu i nim włączyła się

do ruchu, podjęła kolejną decyzję. Kilka lat temu, po zrobieniu zabezpieczenia antykorozyjnego, pod wpływem chwili zdecydowała się przemaalować wóz z fabrycznej czerni na jaskrawą Sólć. Bo i co za róŜnica? Co ma decydować o kolorze samochodu, włosów i paznokci, jeśli nie kaprys?

Mechanicy będą musieli zastąpić przynajmniej jedną czwartą blacharki. Lakierowanie jest koniecznością. A więc: zmieni kolor. Na straszacki czerwony; to była pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy. Miał on dla niej szczególne znaczenie. Po pierwsze, ojciec twierdził, że wszystkie potężne, sportowe samochody powinny być czerwone, po drugie czerwony był też storm arrow Rhyme'a. A on uznałby wprowadzie tego rodzaju sentyment za bezsensowny, lecz jednocześnie cieszyłby się nim w głębi serca. Tak. Czerwień będzie dobra.

Mogła odstawić samochód do Queens juŜ, zaraz, ale postanowiła poczekać. Nawet takim wrakiem przejeździ jeszcze te kilka dni; jako nastolatka miała o wiele gorsze. W tej chwili chciała tylko wrócić do domu, do Lincolna, powiedzieć mu o cudzie alchemii, transmutacji, która zmieniła jej srebrną odznakę w złotą... i wziąć się do pracy nad najnowszą z długiej serii tajemnic: dwaj zamordowani dyplomaci, nieznane rośliny, dziwne odciski w błocie i dwa zaginione buty. Obydwa prawe.

PODZIĘKOWANIE

Zawsze jestem wdzięczny Madelyn Warcholik, która pomogła mi wypełnić tę książkę fabułą i bohaterami. Dziękuję Jane Davis, praktykującej własny rodzaj niezwyklej magii, czyli administrującej moją witrynę, a także siostrze i pisarce jak ja, Julie Reece Deaver.

W pracy nad tą powieścią pomogły mi następujące pozycje: „The Creative Magician's

Handbook" Marvinna Kaye'a, „The Illustrated History of Magic" Milbourne'a i Maurine Christopher, „The Magic and Methods of Ross Bertram" Rossa Bertrama, „Magicians and Illusionists" Adama Wooga, „The Annotated Magic of Slydini", Slydiniiego i Gene'a Matsuury, „The Tarbell Course in Magic" Harlana Tarbella, „Houdini on Magic" w opracowaniu Waltera B. Gibsona i Morrisa N. Younga, oraz „Magic in Theory" Petera Lamonta i Richarda Wisemana.